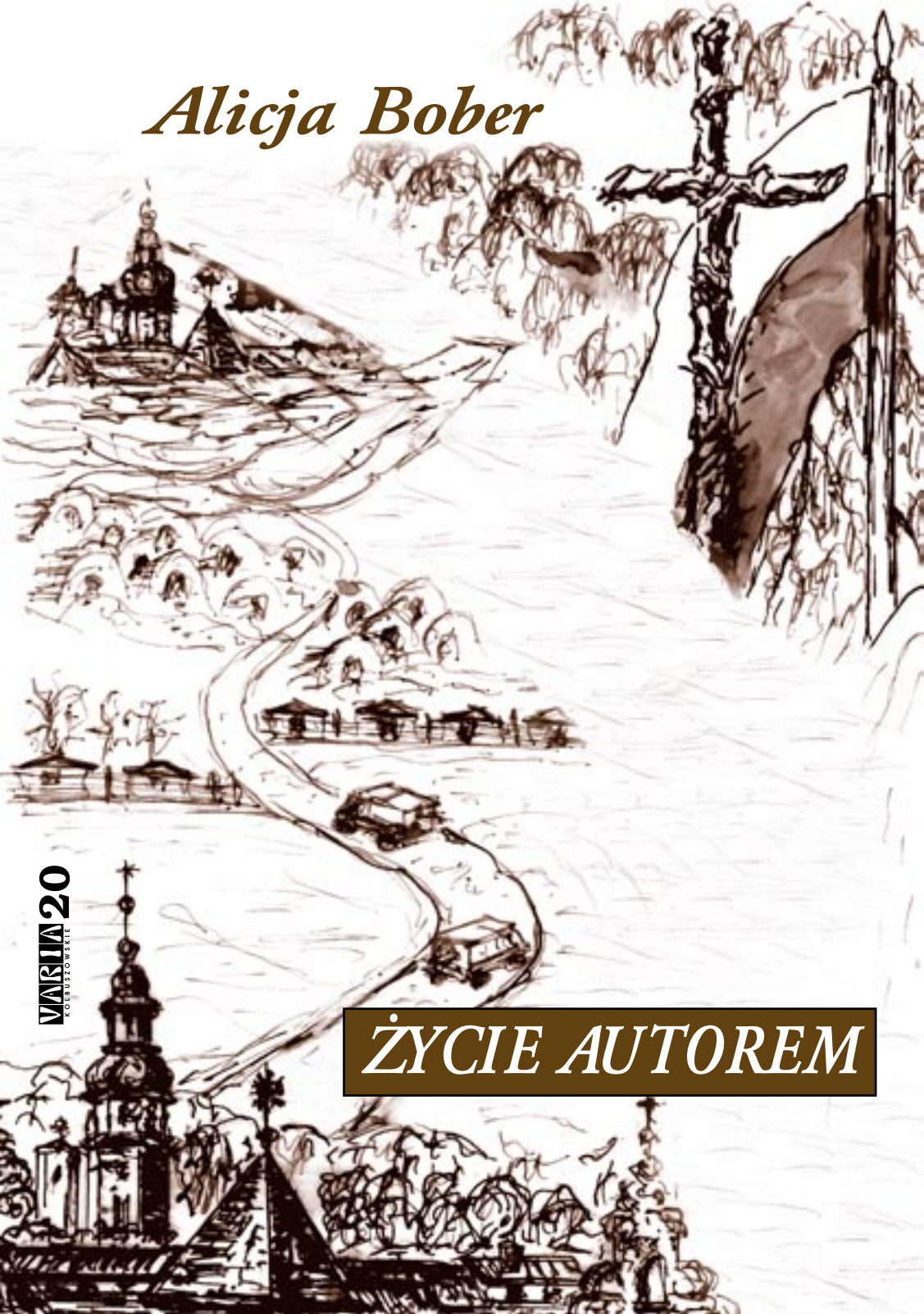


Alicja Bober



VARIA 20
ZOBUSZCOWSKIE

ŻYCIE AUTOREM

VARIA KOLBUSZOWSKIE

Alicja Bober

ŻYCIE AUTOREM

Kolbuszowa 2005 r.

Redaktor serii "Varia Kolbuszowskie": Andrzej Dominik Jagodziński

Redakcja: Jacek Bardan, Zbigniew Lenart, Wojciech Mrocza

Redaktor graficzny: Jarosław Hrycyszyn

Redaktor wydania: Zbigniew Lenart

Projekt okładki: Wilhelm Hrycyszyn

Przygotowanie do druku, korekta, posłowie:
Gustaw Ostasz i Katarzyna Waszczyszyn

Fotografie ze zbiorów
Alicji Bober

ISBN 83-916150-7-3

ISSN 1231-6393

Wydawca: Miejska i Powiatowa Biblioteka Publiczna w Kolbuszowej,
adres: 36-100 Kolbuszowa, ul. Piłsudskiego 7, tel. (017) 227 18 23

Wydanie pierwsze

Kolbuszowa, grudzień 2005 r.

Łamanie i druk: ABAKUS, Kolbuszowa, ul. Wiktora 21

nakład: 500 egz.

*Moim Najdroższym
i Tym wszystkim
gnębnym zamęczonym
w więzieniach
łagrach
na zesłaniu
którzy
nie zdążyli przeżyć
i Tym wszystkim
którzy to przeżyli.*

Dziękuję
Panu Profesorowi Gustawowi Ostaszowi,
Pani Katarzynie Waszczyszyn,
Panom
Zbigniewowi Lenartowi
Andrzejowi Jagodzińskiemu
i zespołowi współpracowników
za inicjatywę,
ogromny wkład pracy w przygotowanie do druku,
pokonanie problemów z tym związanych,
patronat i edycję.

Autorka

Spis treści

Podziękowania	5
---------------------	---

Część I. *Dziś tu a jutro tam*

Pożegnanie Lwowa i podróż	9
W Tas-Bułaku Centrali czyli w Sigisbaju	14
Barak.....	38
W Urdzarze	57
Droga do Wojska Polskiego.....	64
W Ajaguzie.....	66
W Guzarze.....	68
Ostatnie dni w Guzarze	76
Pożegnanie „nie ludzkiej ziemi”	77

Część I. *Tęcza wśród burzy*

Założenie szkoły	81
Przyjazd do Rehovoth	82
W baonie saperów.....	87
W Rehovoth	91
Wywiad.....	107
Szkolna codzienność.....	116
W Quastinie.....	161
Wakacje.....	176
Kurs w Betanii.....	193
W Jeninie.....	209
W Nazarecie	232
Matura	253
Ostatnie dni w szkole	266
Epilog.....	279

Posłowie

Gustaw Ostasz, Katarzyna Waszczyszyn <i>Wspomnienia, diariusz, powieść</i>	283
Fotografie.....	287

Część I

DZIŚ TU A JUTRO TAM

Pożegnanie Lwowa i podróż

Kiedy szurnęły ciężkie drzwi i zamknięto je na skobel, wagon byłący stał się bardzo mroczny. Dwa okienka pod sufitem, powyżej górnej półki, zwanej narą, prawie nie dawały światła. Nieszczęśni pasażerowie oswajali się z mrokiem. Jeśli kto już ochłonął, szukał na półkach miejsca dla siebie, bo cały wagon zawalony był kuframi, walizami, różnymi tłumokami, tarasującymi przestrzeń. Znalazłam miejsce na górnej półce, obok cioci Izy, przycupniętej przy okienku, dołączyła do nas mama. Wciągnęłyśmy tam również dziewczynkę, Cesię. Z zewnątrz docierały głosy komend po rosyjsku, ukraińsku i polsku, wołania dzieci i dorosłych, płacz, szuranie ciężkich wagonowych drzwi. Ruch tam wzrastał. Z okienka chłopcy obserwowali peron, wywoływali nazwiska podawane przez ludzi biegających wzdłuż pociągu w poszukiwaniu bliskich.

– Prędko piszcie kartki z adresem rodzin! Ludzie je zbierają i pobiegną zanieść. Piszcie, piszcie! Może wasi zdążą tutaj, by coś donieść z potrzebnych wam rzeczy.

Wszyscy zabrali się za pisanie: my do babci z prośbą o naczynia; nie mieliśmy ich wcale. Ledwie udało się nam wziąć trochę odzieży i trzy poduszki, w tobołku z dwóch starych kap na łóżka. Ciocia przynajmniej zdołała zabrać walizeczkę z odzieżą i pudło z kołdrą. Dano nam zbyt mało czasu na pakowanie. Odbywało się w trybie alarmowym. Dopiero tutaj zobaczyliśmy nędzę swego wyposażenia, gdy innym rodzinom udało się zabrać tak wiele. Zapewne trafiły na mniej nieludzkich wykonawców przesiedlenia. Lokomotywa nagle zagwizdała przeraźliwie i szarpnęła tak mocno, aż ludzie się wywracali.

– Żegnajcie! Bądźcie zdrowi!

– Wróćcie! Wróćcie!

– Zostańcie z Bogiem!

Ryk, szloch, zgiełk, hałas, zamieszanie, rozpacz i szaleństwo. Pociąg na-

bierał szybkości, więc chciałam się wycofać od okienka, do którego mnie wezwano, bym rzuciła swą kartkę, lecz zatrzymała mnie matka chłopców.

– Ta kartka już nie dojdzie, ale może jeszcze gdzieś pociąg przystanie po drodze. Zostań, popatrz!

Przystanął na Podzamczu, tuż nad skarpią. Z domu Stankiewiczów wybiegła cała rodzina.

– Co wam podać? Co trzeba? Wołali do mnie, gdy machałam z okienka.

– Słuchajcie! Wasz słoik i pudełko Ali Dawidowicz są w naszej piwnicy, w pace, pod książkami. Idźcie do mej cioci Juli, ma klucz. – Darłam się, uradowana, że ocaleje ich złoto, dane nam na przechowanie, bo już mieli nieproszonych lokatorów.

– Mów, co wam przynieść! Wołali, lecz pociąg szarpnęła gwałtownie i ruszył.

– Żegnajcie!

Patrzyliśmy na ostatnie widoki Lwowa, których uczyłam się na pamięć. Najdłużej zegnała nas okaleczona przez bombę wieża Ostrobramskiej. Na jak długo? Tyle, tyle rodzin, taki strasznie długi pociąg.

– Piątek, trzynastego kwietnia, co za dzień! Westchnęła pani, która w kapełuszu z piórkiem, znalazła się w tym bydlęcym wagonie, w tej nieplanowanej podróży. Jakoś zaczęto ustawiać i upychać, rozmieszczać się na narach i na środku wagonu. W rogu, blisko naszego kąta, otwór w podłodze, obramowany czterema deseczkami, tworzącymi korytko; widocznie przygotowano go nam zamiast ubikacji. Panie poświęciły dwa prześcieradła na pseudo-parawan. Potem wyciągano żywność i zabrano się do jedzenia, co kto miał. My też. Było tego niewiele. Mama, zanim wyszła z domu, odkroiła całuskę z dwukilowego chleba, na drogę. A w „bratrurze” została rynka paluszków, bo poprzedniego dnia nikt nie mógł jeść z przejęcia, gdyż zakończyła się dwudniowa rozprawa Wandy, zapadł wyrok: pięć lat za kontrrewolucję. Nas właśnie zabierano na zesłanie, jako rodzinę aresztowanej. To już stało się bez decyzji sądu.

Na jakiejś stacji pozwolono wyjść trzem osobom z wagonu po żywność i wodę. Karmiono nas raz na dobę, przeważnie stęchłą kaszą oraz wrzątkiem. Wody mieliśmy zawsze za mało, pół szklanki na osobę dziennie. Pierwszego dnia podróży dostarczono nam kilka brył węgla, trochę drewna na rozpałkę i ogarek świecy; co się już nigdy więcej nie powtórzyło. A w małym, żelaznym piecyku trzeba było palić na noc, z powodu zimna. Nasz wagon nr 38 sprawiał wrażenie przepelnionego, choć jechało w nim tylko trzydzieści kilka osób, czyli mniej, niż w innych wagonach.

Wieczorem dwuletnia Ziuteńka płakała, że musi iść spać bez kąpieli. Czteroletni Loluś próbował wytłumaczyć siostrzyczce, że nie mają wanienki, ani wody, bo nie są w domu, czym mała rozżaliła się jeszcze bardziej, aż przykro było wszystkim. Wtedy Jurek i Staszek zaczęli śpiewać. „Tę piosenkę, tę jedyną”. Dołączyły inne dzieci, a matki zajęły się szykowaniem legowisk na noc. Matka owych dwóch małych śpiewaków ułożyła na naszej narze materace dla swej matki, staruszki męczzonej okropnym kaszlem. Zrobiło się nam ciasno, dwie poduszki musiały pomieścić ciocię, mamę, mnie, Cesię. Cesia była półsierotą, wziętą zamiast ojca, oficera policji, którego sowieci nie zostali w domu. Liczyła czternaście lat. Miała jedną walizkę z odzieżą, drugą z książkami. Ojciec mój znalazł miejsce na dolnej półce, obok chłopaków, trójki rodzeństwa i jeszcze paru osób. Wszędzie ciasno. Twardo było na deskach przykrytych kapą, zimno pod płaszczem, bez innego okrycia, cierpło się z niewygody, braku powietrza i natłoku myśli. Niekiedy słyszało się czyjeś tłumione łkanie, kaszel, jęk przez sen. Czasem ktoś świecił zapałkę, usiłując się dostać za parawan i potykając po drodze o leżących i bagaże. Stukot kół trochę tłumił te odgłosy i coraz bardziej wwiercał się do mózgu. Noc wlokła się dziesiątkami kilometrów, które pogłębiały przepaść pomiędzy naszym dotychczasowym życiem, a tą niewiadomą, której rozmiaru jeszcze nie znamy, ale już zaczynamy odczuwać jej gorycz. Nazajutrz, gdy już wszyscy pozbierali się ze snu, Staś z Jurkiem zaczęli śpiewać „Kiedy ranne wstają zorze...”

– To tak u nas w koszarach zawsze żołnierze śpiewali rano, to się człowiek przyzwyczaił; powiedział jedenastoletni mężczyzna, wprowadzając ten zwyczaj w wagonie. Gdy zwinięto legowiska, młodzież zeszła z nar, by wyprostować obolałe kości. Opowiadaliśmy o szkole i książkach o Syberii, jakie kto zdążył przeczytać: Wacława Sieroszewskiego, Bronisława Piłsudskiego, Ferdynanda Ossendowskiego, Zofii Szczuckiej, Ferdynanda Goetla; również o książkach o rewolucji: Stefana Żeromskiego.

– Tatu – mówiłam później rozgorączkowana do ojca – tyle jest tych książek, tyle możemy już z nich wiedzieć, jak to dobrze, że o tym pisano. Takie różne koleje losu.

– Masz rację. Życie wymyśla najróżniejsze.

– I nasze życie?

– To tato napisze potem o tym, co tam będziemy przeżywać, dobrze?

– A, pewnie, że to powinno być spisane, pewnie. Wiesz, staraj się mieć w życiu oczy otwarte: obserwuj i zapamiętaj, nawet jeśli czegoś nie rozumiesz, staraj się zapamiętać, a zrozumienie przyjdzie z czasem. Potem mi

przypomnisz, do tej książki o zesłaniu, bo musi być prawdziwa, musi. Inaczej nie warto pisać. Dobrze? Zamyśliłam się nad ową przyszłą książką, której treści jeszcze nie znał autor. Jakie będzie jej zakończenie? Oby szczęśliwe, oby. W Podwołoczyskach żegnaliśmy polską granicę i każdy chciał rzucić okiem na Zbrucz, który już nas oddzieli od ojczyzny.

W Wołoczyskach pociąg stał długo, ale nie zanosilo się na otwarcie wagonów i wypuszczenie trójki po wodę. Przechodnie z peronu obiecali nam wodę przynieść, więc okienkiem spuściliśmy jedyne wiadro na sznurze. Czekaliśmy długo, choć studnia była blisko. Przepadło wiadro i sznur, pozostała nauczka. Trudno. Teraz brak wody był jeszcze bardziej dotkliwy. Poważna strata. A na najbliższej stacji wprost tragedia. Gdy wypuszczono z wagonów trójki po wodę, podczas zamieszania panującego na stacji jakaś młoda para spuściła się z okienka na tyłach pociągu i ruszyła na wzgórze, za którym spodziewała się znaleźć ratunek. Zanim dotarła za pochyłość wzgórza, sypnęły się strzały. Padli oboje. Wokół pociągu rozszalała się bieganina i wrzaski, przygoniono pędem tych wypuszczonych z wagonów, zabroniono patrzeć przez okienka i pociąg znów ruszył z kopyta, szarpnąwszy z całej siły. Tak nas powitano na progu nowej rzeczywistości.

– Ta, czegoż oni, głuptasy, dopiero za Zbruczem zdecydowali? Lamentowała na dole babcia Gajewska, a wszyscy byli tak wstrząśnięci, że nawet chłopaczkom nie chciało się śpiewać. Następne szarpnięcie pociągu spowodowało upadek pani Jadwigi z górnej półki wprost na rozpalony właśnie piecyk, gdzie przypiekła sobie całe przedramię. Staś rozplakał się z żalu nad matką, aż go Jureczek pocieszał. Mila i Jaś, rodzeństwo medyków, rzucili się na ratunek, a babcia na materacach dostała ataku kaszlu i bałam się, że to może być kaszel ostatni. Bezradność pozbawiała nas złudzeń. Uczyliśmy się, jak wygląda wolna zsyłka.

Pakując we Lwowie rzeczy, ojciec wziął ze sobą Ewangelię. I oto teraz w pociągu czytał. Ludzie uciszylesi się i coraz głośniejsz rozlegał się dobitnie czytany tekst. „Maluczko, a nie ujrzycie mnie. I znowu maluczko, a ujrzycie mnie w pełni chwały”. I nagle głos ojca załamał się wzruszeniem, a tu i ówdzie zrywał się nagły szloch lub ciche pochlipywanie. Nie jesteśmy opuszczeni przez Boga. To przecież słowa otuchy: „Maluczko, a ujrzycie mnie”. Zapamiętamy je. Będą promieniem pośród ciemności, źródłem ciepła w czasie mrozów: Bóg nie da nam zginąć. Uratuje. „Maluczko”. Wiele rąk wyciągnęło się po tę księgę nadziei.

Wołę przejeżdżamy pod Saratowem. Wieczne światła odbijały się po drugiej stronie ogromnej rzeki. To jeszcze Europa. Ural mijamy nocą. Obszar

kamieni oraz piachu, wydając się śniegiem wzdłuż jeziora Aralskiego, uzmysłowił nam, że znaleźliśmy się w Azji. Gdzieś na pustyni pociąg przystanął. Na torach pracowali nędzarze, Azjaci. Wołali do nas w swoim języku, gestykulując błagali o jedzenie. Nie mieliśmy czym się dzielić. Tego dnia w wagonie prawie nikt nie zjadł kaszy, wyjątkowo niedobrej. Pociąg szarpnęła, szybko więc zgarnięto tę kaszę na gazetę. Delikatnie spuszczone z okienka wagonu, spadając, rozdarła się, a zawartość runęła w piach. Niestety z krzykiem rzucili się, jedni przez drugich wybierali tę okropną kaszę z piasku, byle prędzej zjeść.

Czy i nam szykują sowioci podobny los? Dwukrotnie na pustyni otwarli wagony, abyśmy wyszli. Za pierwszym razem mieliśmy wrażenie, że nas po prostu chcą na owym bezludziu zostawić, a sami odjechać z tym wszystkim, co jest w pociągu. Spacerując wzdłuż wagonów spotykaliśmy znajomych. – „Wy też? Mój Boże!” Szaro brudni, wymięci, udręczeni. Zawieszani między rozpaczą, a nadzieją. „Maluczko”.

Po dziewiętnastu dniach pociąg zatrzymał się na stacji Ajaguz, nad rzeką. Wydano nam żywność, okropną kaszę i wodę; trzy butelki wody na wagon. Postój trwał długo. Przed wieczorem konwojenci zdejmowali sztaby, rozsuwali drzwi i pod przewodnictwem oficera NKWD sprawdzali zesłańców. Nazajutrz kazachskie furmanki, zaprzęgnięte w woły, zbiorą bagaże, głównie pasażerów z części tylnej pociągu, który liczył pięćdziesiąt osiem wagonów. Ten długi pociąg ciągnęła jedna lokomotywa z przodu, a pchała inna; z tyłu. Coraz więcej zesłańców opuszczało stację. Było późno, gdy po nas przyjechał samochód ciężarowy. Po paru godzinach znaleźliśmy się w jednej z ferm sowchozu Tas Bułak; nazywała się Łaj Bułak. Noc spędzimy pod gwiazdami, przy tobołach, wśród tubylców, którzy gromadzili się, aby nas obejrzyć. Świętowali już 1 maja i nie było mowy o żadnym spaniu. Rankiem zjechały podwozy, załadowano bagaże i ruszyliśmy – sto osób – do fermy centralnej, pożegnawszy zostawionych. W odległym o dwadzieścia kilometrów Sigizbaju trafiamy do klubu. Izba posiadała stół, dwie ławki, scenę. Zajmowaliśmy miejsca pokotem, nam się udało szczęśliwie, bo przy ścianie. Urządzono dla Polaków kąpiel w łaźni, zresztą jedyny raz. Na poczcie podano nam adres: Sowchoz Tas Bułak, Centrala, rejon Urdżar, okręg Semipałatyńsk. Pozwolono pisywać, nawet depeszować do Lwowa, z czego liczni korzystali. My jednak nie odważyliśmy się, aby nie narażać rodziny na represje za kontakt z zesłańcami.

Małe osiedle przypominało wieś ulicówkę, z niby placem pomiędzy klubem a pocztą, za którą przycupnęła łaźnia. Daleko na północy widać było

pasmo gór Tarbagataj. Wieczorem grupa dziewcząt zainicjowała pieśni majowe, śpiewali je lokatorzy klubu. Tubyłcy przyglądali się, kiwając głowami. Tak rozpoczął się nasz pobyt na zesłaniu.

W Tas-Bułaku Centrali czyli w Sigisbaju

„Śliczna gwiazdo miasta Lwowa, Maryjo!” „Zlituj się, zlituj, niech się nie tułamy!” Te pieśni miałam nadal w uszach oprócz uporczywego stukotu pociągu, zanim usnęłam na podłodze, pomiędzy ciotką i mamą. Tato odgradzał mamę od innych. Pokotem zaś cisnęły się Nuckowskie, Marysia i Helenka, moje koleżanki najpierw z gimnazjum nazaretanek, a potem liceum pedagogicznego; tuż obok ich matka z młodszymi córkami, Janką i Lucią. Dalej legowiska rodzin policjantów. Cesia Szakalska, którą opiekowali się Dudkowie, Jaś i Mila, studenci medycy, ich brat, Kazik, szesnastolatek; aresztowani przy łożu konającego rodzica. Sąsiadowali z panią Bokotową, jej synami i z babcią.

Inne osoby rozpoznawało się w kolejności. Pani Nowakowa Anna z Dziunią sześćioletnią i młodszym Jerzykiem. Samotne panie: Korzeniewska, Jaworska, Białkowska, Ostrowska, pani Nowakowa starsza z Danką w moim wieku, Kazikiem i jedenastoletnią Irenką. Dalej pani Schmalowa z Lalą i Marysią, Grześ Bader z matką, pani Kasprzak z Ludwikiem. Rodziny: Espenhanów, Baczyńskich, Czupkiewiczów, Stadnickich. Kilka rodzin żydowskich z drobnymi dziećmi. A potem stadła Tabaczyńskich, Wojciechowskich, Goryluków, Rogala, Mańkowska z pięciorgiem drobiazgu, Sochaccy, Łabęccy. I cała rzesza na środku: Marchutowie, Kijanowskie, Lubuśkowie.

Nie oprzytomnieliśmy ze snu, gdy do sali wtargnęło troje Rosjan i trzech Kazachów. Ogłosili nam listę zakazów i nakazów, przeliczyli nas, sprawdzali wiek i zawód. Ojcu, jako drukarzowi, nakazali pracę od razu, zapewniając, że *robotajuszczym* przysługuje osiemset gramów chleba dziennie, jeśli chleb jest. Niepracującym zaś dwieście gramów, jeśli starczy. *Kto nie robotaje, toj nie kuszaje*. Przesłano Polaków do pracy, wszyscy więc będą pracować. Tymczasem Centrala odstąpiła nam klub, a potem będą mieszkania. Na razie brak pracy, ale gdy już będzie, to obowiązkowa.

Po odejściu reprezentantów władz wiele osób zwiedzało wieś. Na drugim jej końcu była spółdzielnia, około półtora kilometra od klubu, za nią szkoła i piekarenka, czynna w zależności od dostaw mąki. W sklepie było parę półek z dziełami Stalina, jakieś obuwie z ubitego filcu (*pimy*), dostępne na specjalne talony i pseudo-herbata *kirpicznyj czaj*. Wobec tego zaczęły się wędrówki po lepiankach w poszukiwaniu żywności, odstępowanej nam głównie za odzież,

rzadziej za gotówkę. W klubie odwiedzali nas tubylcy, starając się dogadać po rosyjsku i po kazachsku, albo na migi. Wszystkiego dotykali, łącznie z odzieżą na nas, cmokając z podziwem. Pani Nuckowska wskazała mamie Rosjanke, z którą uzgodniła dostawę mleka; ta również obiecała nam litr dziennie. Panie na podwórzu budowały kuchnie polowe i, pouczone przez Kazaczki, usiłowały palić suchym nawozem *kiziakiem*. Ojciec wrócił zadowolony, bo miał pracę w swoim zawodzie.

W klubie udostępniono kuchenkę. Paliło się w niej gałęzmi z krzewów, rosnących trzy kilometry za osiedlem. Pozwolono je łamać. Karczowanie było niedozwolone. Wiązało się chrust sznurkiem i dźwigało na plecach, ile kto uniósł. A potem w kuchence każdy chciał własny opał oszczędzić, a do cudzego dołączyć swój garnek. Mama przeżywała inną biedę. Dotychczas pożyczala garnek od pani Nuckowskiej, z którą się przyjaźniła. Teraz – po przeniesieniu Nuckowskiej z kilkoma rodzinami na pierwszą fermę – musiała pożyczać od innych pań, co ją krępowało. Gotowała rano mleko a na obiad zupę; zwykle kartoflanę. Czasami mieliśmy chleb dzięki pracy ojca. Zrazu ciasnota doprowadzała do awantur na wspólnej sali. Kiedyś dwie panie tak się pokłóciły o decymetr miejsca, broniąc legowisk, że aż jedna w drugą rzuciła jajkiem, surowym. Jaka strata, mogło uświetnić zacierkę na kilka razy. Wskutek przeniesienia kilkunastu rodzin udostępniono kuchenkę, tam się rozgrywała część awantur. Kilku mężczyzn trafiło do *traktornego parku*, toteż ich żony lub matki jako pierwsze chciały zajmować kuchnię, co rozumiano. Po nich lokowały się tam matki maluchów. Natomiast reszta nie mogła się doczekać. Stąd przesuwanie cudzych garnków, kłótnie, wrzaski.

Międzynarodowe przyjaźnie, kolejki, niemożność utrzymania higieny, to źródła wszawicy. Każdy rano zaczynał się od przeglądu i czyszczenia odzieży, a gęsty grzebień był największym skarbem i jeśli się zjawił w spółdzielni, trzeba było mieć silne łokcie, aby dopomóc szczęściu przy zakupie. Sprzedawaliśmy po trochu skromny zapas odzieży i oszczędzaliśmy każdą połówkę ziemniaka, gdyż ceny rosły, a stan posiadania kurczył się zbyt szybko. Chadzano się po lepiankach, odwiedzało rodziny rosyjskie w ich domach, lecz Rosjanie okazywali się bardziej skąpi od Kazachów. Na szczęście, w odległym o dwadzieścia pięć kilometrów Nowotrojsku – *kołchoz* – można dostać żywność. Tam ludność miała własne działki. Zezwalano nam, póki brak pracy, wybierać się do Nowotrojska. Zaczęły się wędrówki, kupowanie żywności – na zasadach handlu wymiennego – za odzież, pościel i co tylko możliwe. Okazało się, że w tobołkach mieliśmy aż dwa plecaki; prawdziwy skarb i ratu-

nek. Zanim ojciec dostał wolny dzień, dekadówkę, już ktoś pożyczał plecaki, a później informował o warunkach napotykanych w *kolchozie*. Wydały nam się lepsze, niż te w majątku państwowym (*sowchoz*).

Dekadówka zbiegła się z niewielką wypłatą. Wzięliśmy plecaki, torbę na zakupy, po jednej koszuli dziennej od nas trzech i parę woreczków płóciennych; bo już się nauczyliśmy, że nigdzie nie ma opakowań. I jeszcze ten jedyny słoik – o pojemności półtorej kwaterki – w którym przemyciłam różę podczas pakowania we Lwowie. Ruszyliśmy dobrze przed brzaskiem, aby mieć trochę czasu na odpoczynek podczas największego skwaru. Parę godzin polna droga wiodła przez płaski step, przykryty kopułą bezchmurnego nieba. Minęliśmy wieś spaloną w okresie głodu i buntów, zaledwie cztery lata temu, jak nam mówiono. Nagle płaszczyna się urwała i długa, stroma skarpa wiodła ku płaszczyźnie następnej, gdzie w pewnej odległości rozciągała się wioska. Ostrożnie schodziliśmy po zboczu, pełnym ostrych głazów.

– Zaczniemy od tamtego końca, wskazał ojciec, u Bułgarów można lepiej kupić, mają jarzyny i nawet pieką chleb. – Byli zesłańcami z okresu wielkiej wojny, jak to się mówiło o pierwszej wojnie światowej. W którejś z najdalszych chat bułgarskich za jedną koszulę dostaliśmy parę miseczek mąki, za drugą miód. Gdzie indziej trochę kaszy jaglanej, ziemniaki. Mieliśmy dziesięć rubli. Z jednej chaty wyszła Bułgarka i zaproponowała nam chleb, śliczny, biały i wyrośnięty na kwasie, po pięć rubli za bochenek. Ojciec zauważył wielkie liście, suszące się na płocie.

– Tytoń? – zdziwił się.

– *Da, da! Tabak.*

– Za pięć rubli chleb i za pięć rubli tytoń! – Zdecydowała mama, a ja aż gębę rozdziawiłam, zdumiona, bo przecie głodna, od samego Lwowa, a tu takie poświęcenie.

– No, cóż – powiedziała, gdy tato poszedł po tytoń – teraz jedzenia mamy więcej niż kiedykolwiek i to nawet urozmaicone. Po troszku wystarczy do następnej wyprawy. Ale co to taka porcja dla mężczyzny? Przynajmniej sobie czasem papierosem zaćmi ten głód.

Wracaliśmy wolnym i miarowym krokiem pod tę okropną górę. Już się przestałam gorszyć, że ją nasze panie nazwały Golgotą. Mamie i mnie ojciec nie pozwolił dźwigać więcej niż wiaderko ziemniaków, co liczone jako pół puda, czyli osiem kilo. Byliśmy po posiłku: kubek mleka i lepieszka (placek z wody i mąki, pieczony na blasze kuchennej), a mimo to owe ciężary przerastały nasze siły. Kręta dróżka wiodła zakosami, nogi ślizgały się na żwirze do tyłu, głowy raniły. Żeby chociaż nie tak stromo. Wreszcie doszliśmy do szczytu, usiedli i odłożyli ciężary.

– Najgorsze za nami. – Tato nadrabiał miną, a ja, ogłupiała z wysiłku, ze strachem myślałam o pozostałych, około dwudziestu dwóch, kilometrach do pokonania. A jak mama podoła, taka słaba?

Dowleliśmy się, by od razu paść na swe miejsca na ziemi. Ciocia podała mleko i pokroiła pyszny chleb. Mama odchorowywała wszystkie wyprawy; na szczęście kupiona mąka lub kasza starczała dłużej, niż ziemniaki. Również ja każdą wyprawę opłacałam bolesnymi krwotokami, które w naszych warunkach były nieszczęściem. A jednak możliwość zaprowiantowania się w Nowotrojsku była naszym ratunkiem, jak się później o tym przekonaliśmy.

* * *

Funkcjonariuszy miejscowych władz – *precjedatel, uprawalajuszczy, paliwod* – ogarnęliśmy wspólną nazwą: dygnitarze. Ich zjawienie się wczesnym rankiem, nie zwiastowało niczego dobrego. Tym razem nas zaskoczyli.

– Możecie, kto chce, przenieść się do miasta rejonowego, Urdżaru.

– A czy tam jest lepiej, *łutsze*?

– Gorzej już nie może być! – Pani Mańkowska owijała się płaszczem, bo przed chwilą ktoś nabył jej sukienkę, wprost z modelu żywego. – Biorę dzieci i jadę; odezwała się, otoczona pięciorgiem zakatarzonego drobiazgu.

Zgłosiło się jeszcze kilka innych rodzin, w tym żydowskie. Tymczasem dygnitarze zapowiedzieli, że ogłoszą komunikat także na fermach, by na drugi dzień przygotować woły do zaprzęgu. W klubie wrzało od emocji i domysłów na temat dobrowolnych decyzji i skutków. Bracia Sochaccy aż się poróżnili, Józko nabił czajnikiem guza Bolkowi, matka rozdzielała walczących prowizoryczną miotłą z gałązek piołunu. Bokotowie z zachwytem opowiadali Kaziowi Dudkowi o wojnie na czajnik i miotłą, serdecznie współczując, że nieobecność pozbawiła go widoku tak niezwykłego.

* * *

– Ałma Ata przekazuje depesze ze Lwowa! Przybiegli Bokociaki z wiadomością. Kto żyw pędził na pocztę. W kuchni poodsuwano garnki na gliniany brzeg, blacha została wolna.

– Żeby tylko ogień nie wygaś, strasznie źle się dziś rozpałało; martwiła się pani Aniela, wychodząc ostatnia.

– Ja dopilnuję; ucieszyła się mama, niosąc pożyczony garnek na zupę. – Do nas nikt nie mógł napisać, bo nie posłaliśmy nikomu adresu. Może myślą, że już nie żyjemy. Rozżałiła się.

Dołączyłam do grupy. Kierownik poczty, Mielnikow odbierał depesze, z którymi listonosz Misza wychodził przed budynek – nie wpuszczano hałaśliwego tłumu – i czytał nazwisko adresata oraz treść depeszy. Przeważnie zapowiadały pieniądze albo paczki. Telegraficznie nadesłane pieniądze wypłacano, póki kasa miała zapas. Innym obiecano nazajutrz i dotrzymano słowa. Jedna z depesz zawierała złą wiadomość. Zmarł ojciec rodzeństwa Dudków w tym dniu, gdy ich zabrano. Pocieszała ich myśl, że ubłagali zostawienie matki; była przy mężu do końca i ominęło ją zesłanie. Ogólny nastrój wśród Polaków uległ poprawie. Już był kontakt nawiązany. Niektórym pomoc nadeszła, inni mogli jej oczekiwać, mogli mieć nadzieję. To bardzo dużo znaczy. Po naradzie i my zdecydowaliśmy się wysłać do babci telegram z prośbą o pieniądze i paczki, jako że przy opuszczaniu mieszkania pytani, komu przekazujemy nasze meble i rzeczy, podaliśmy właśnie babcię, sądząc słusznie, że staruszki po osiemdziesiątce nie wezmą. Sensacyjna wiadomość o pieniądzach Polaków obiegła *sowchoz* z przyległościami i ceny skoczyły. Tak więc ratunek dla jednych, stanowił klęskę dla drugich; którzy dotąd nie mieli pieniędzy. Było nam bardzo ciężko.

* * *

Rozpoczęła się prawdziwa batalia werbunkowa na sianokosy.

– *Dawaj, sobierajsia! Dawaj w rabotu! Dawaj, wychadi!* – Brzmiały codzienne pobudki, dobrze przed brzaskiem.

– Niczego nie dają i nigdzie nie wychodzę. – Wrzasnął jakiś zirytowany głos, a pobudzone przedwcześnie dzieci zaczęły płakać.

– Wstawajcie, darmożjady! Do roboty! Na co wy nam tutaj?

– A, to nas odeślijcie do Lwowa, do domu! Darmo to wy nam poodbierali wszystko. A my tu za wszystko płacimy. Za każdy kęs.

– To my wystosujemy na was raport. Nie chcecie pracować.

– A my napiszemy do Stalina, że nas gnębicie.

I takie ranne, co dzień, pobudki i miłe rozmowy weszły w nawyk. W końcu jednak wymusiliśmy ustępstwa. Pozwolono każdej rodzinie, aby jedna z osób – *domochazjajka* – prowadziła, pozał się Boże, gospodarstwo domowe. Reszta, w wieku od osiemnastu do pięćdziesięciu pięciu (kobiety) i mężczyźni do sześćdziesięciu lat, musiała się zdecydować pod groźbą wstrzymania racji chleba. Zdarzał się, co prawda, chleb gliniasty bądź też piaszczysty, ale bez niego byłoby ciężko; tym bardziej po zdarzeniu z Marylką.

Po chleb do spółdzielni biegło się na wiadomość o dostarczeniu go przez piekarza. Czasem robił to kilka razy na dzień, czasem zaopatrywał sklep jedynym rzutem. Nigdy nie starczyło wszystkim, więc się pchano; szczególnie Polakom trudno było dostać, gdyż propaganda głosiła, że burżujom i darmozjadom chleb się nie należy. Marylka Fiszer, stojąc w beznadziejnej kolejce po chleb, umykający jej sprzed nosa któryś raz, skrzyczała Rosjankę, odpychając ją w decydującym momencie od lady.

– Łaski nam nie robicie, tak samo płacimy jak i wy. Nie prosiliśmy, by nas tu przywozić. Mogliśmy zostać u siebie. U nas pies miał lepiej, niż tutaj mają ludzie.

Straszne, gdyby ktoś tylko złożył niepotwierdzone doniesienie („donos”), to już groźnie obciążylby. A co dopiero przy tylu świadkach, obrażonych na młodą i śliczną Polkę.

– „Wróg *Sowieckiego Sojuza!* *Białoruczka!* Gardzi ludem roboczym!”

Zawiadomiono milicję w Urdzarze, która przyjechała aresztować Marylkę w nocy. Obserwowaliśmy rozpacz jej rodziców, zesłanych tutaj razem, za syna, studenta medycyny, uwięzionego w 1939 roku. Zarzucano mu trockizm, tępiony bardziej od nacjonalizmu. Marylkę skazano na trzy lata łagru, co nam ogłoszono z triumfem.

* * *

Na sianokosy roszyłano brygady robocze z każdej fermy, głęboko w rozległy step. Czasowo zatrzymywały się one do wykonania swych prac w określonym miejscu, a potem koczowały gdzie indziej, aż do skutku. Z traktorami wyruszali robotnicy do ręcznego kopiczkowania i nie wracali na noc do ferm, bo stawały się coraz bardziej odległe. Robocza brygada w Centrali, chadziajska, pracowała według innych zasad. Nocowaliśmy na miejscu, w klubie, skąd co dzień o brzasku wyprowadzano nas na określony teren dokoła osady, w promieniu czterech kilometrów. Wyżywienie było naszą sprawą prywatną, mogliśmy zabierać ze sobą żywność na cały dzień, albo nie jeść wcale, bo żadnej dostawy, ani kuchni tam nie było. Robota kończyła się dopiero z zapadnięciem zmroku i wtedy ruszaliśmy z powrotem do „domu”. Na brygadach stepowych obowiązywało każdorazowo płacenie za wyżywienie, u nas ten problem nie istniał. Pierwszego dnia, gdy o brzasku goniono nas do pracy, miałam straszne pecha o dalekosiężnych skutkach. Z powodu biegunki spóźniłam się na rozdawanie narzędzi. Brygadzista Gałysz skrzyczał mnie bardzo i wręczył połamane widły, na których widok wszyscy parsknęli śmiechem.

– Dajcie mi całe! Jak takimi można pracować? – Pokazywałam widły o dwu, skrajnych, zębach całych, środkowym złamanym w połowie i czwartym brakującym. No, jak?

– Dobrze ci tak! Spóźniłaś się. I otworzył szopeę, gdzie innych narzędzi nie było. Współtowarzysze ruszyli w drogę, powlokłam się też, rozżalona, że nikt nie stanął w mojej obronie ani słowem. Nieludzka harowa. Musiałam uwijać się jak szalona, aby dorównać innym. Gałysz krzyczał, abym nie obniżała normy. Noc przemęczyłam, obolała od stóp do głów i nazajutrz pierwsza pogalopowałam pod narzędziownię. Nic z tego. Brygadzysta przypisał mnie do połamańców. Zrozpaczona, darłam się, że chcę widły całe.

– Oto marzenia współczesnej pannicy: widły. – Żartował któryś z młodych panów, co skwitowano śmiechem, zapewne we własnym sumieniu rozgrzeszając się z niewrażliwości na cudzą krzywdę.

– To niesprawiedliwe. Niech co dzień kto inny nimi pracuje!

– Ale to ty się spóźniłaś, a nie kto inny! – Wrzasnęła a inni już odeszli, z własnej pilności. Do końca pracy w tej brygadzie otrzymywałam połamane widły. Przestałam się wściekać, nosiłam w sobie poczucie krzywdy i obserwowałam obojętność ze strony współtowarzyszy pracy. To walka o byt, myślałam.

* * *

Mama odwiedzała lepianki Kazachów, prowadząc handel wymienny. W ten sposób kupowała trochę jagieł, czasem ziemniaki; starała się, aby co dzień możliwa była dla rodziny zupa. Chleb trafiał się jej rzadko, nie miała sił, aby się pchać w sklepie. Kiedyś zaszła do Rosjanki, u której wcześniej kupiła kaszę. Staruszka rozgadała się po ukraińsku. W Kazachstanie znalazła się sześć lat temu, z masą ludności wysiedlonej za bunt na Ukrainie, oburzonej na rekwizycje, nadanej po rewolucji, ziemi i przymusową kolektywizację. Obfite zbiory płodów rolnych odbierano ludziom siłą, zabijając opornych i wywożąc całe osiedla. Żyzne ziemie marnowano. Kazachstan nie był w stanie wykarmić tubylców i zesłańców. Bunt objęły rozległe regiony. Sowieckie wojsko prowadziło pacyfikację. Płonęły wsie, ginęła ludność, jak podczas rewolucji. Pacyfikatorzy nagradzali dzieci, które donosiły władzom na rodziców. Mordowali rodziców, a wyrodne dzieci uznawali za bohaterów, kochających ojczyznę proletariacką. Ludzie więc uchodzili w niedostępne góry, gdzie nawet brakło trawy do jedzenia. Zdarzało się, że matki uśmiercały po kryjomu swe dzieci młodsze, ażeby mogły starsze wykarmić i utrzymać przy życiu.

Mama twierdziła z płaczem, że staruszka chciała ją ostrzec. Usiadłszy na

progu, staruszka obserwowała, czy ktoś nie nadchodzi. Bała się swego jedyne-
go syna, który jej pozostał po utracie kilkorga dzieci. Prosiła o obrazek święty,
albo o dwa, bo z inną staruszką obiecały sobie nawzajem wsunąć potajemnie
za śmiertelną koszulę, oczywiście tak, aby się nikt nie dowiedział, nawet syn.
A kiedy on nadszedł, wtedy *babuszka* zaczęła przed mamą wychwalać władzę
sowiecką i najlepszego syna. Tak, mniej więcej, mogło wyglądać życie każdej
rodziny w tym ustroju. A tymczasem kopiczkowanie siana dobiegło końca
i zaczęliśmy je gromadzić i budować olbrzymie sterty. To była ciężka praca,
pełna kurzu, który wdzierał się do płuc. Kiedyś przyjechał fotograf i musie-
liśmy płacić po pięć rubli za zdjęcia do paszportów.

* * *

Gdy nasza brygada skończyła pracę w obrębie Sigizbaju, poroższano nas
na inne fermy. Tym razem dopatrzoneo się, że Ela Wojciechowska ukończyła
osiemnaście lat w czerwcu, ją też obowiązywał nakaz pracy. Obie zostałyśmy
odesłane do pierwszej fermy Dżyldykara, była dość odległa od siedziby, to-
też samej osady nawet nie widziałam. O warunkach pracy już wiedziałyśmy
dość dużo, także o konieczności płacenia za stołówkę, rodzice dali więc nam
trochę pieniędzy i po dwa podpłomyki na drogę. Obiecałam sobie, że przede
wszystkim dopilnuję, abym dostała porządne widły; przydzielono nas na
grabie przy traktorze. Niestety, ten sam powód przyczynił się do mego spóź-
nienia. Znowu przygalopowałam ostatnia. Tym razem spośród pięciu osób
akurat mnie się dostało siodło bez oparcia.

– *Niczewo*. Odpadło. Skąd ja ci wezmę inne? – Dziwił się traktorzysta. Mu-
siałam się po prostu trzymać rękami siodełka.

Traktorzysta i pomocnik chcieli przekraczać normy, zrywali więc nas
o trzeciej nad ranem, gdy kuchnia rozdawała wrzątek. Potem bieg na grabie.
Według komendy cisnęłyśmy stopami pedała a grabie zostawiały równe rzę-
dy siana za nami. „Raz, dwa!” – Tak cały dzień. Około pierwszej w południe
podjeżdżaliśmy pod kuchnię połową, zwykle wtedy, gdy już inni kończyli
jeść, aby nie tracić czasu na czekanie. Kucharka wydawała zupę do kubków
półlitrowych. Była to baranina gotowana w osolonej wodzie, wzbogacona ka-
wałkiem flaka z kością albo na patyku, aby można było trzymać. Ziemnia-
ki już się wykończyły, mąki też nie było. Za ten obiad trzeba było płacić od
razu. Na kolację dawano bezpłatny wrzątek, na który wcale nas traktorzysta
nie zwalniał z roboty. Jeśli zdarzyło się, że dowieziono chleb, wszyscy mieli
prawo do kupienia ośmiuset gramów.

Traktor pracował do północy dzięki naftowej latarni wiszącej obok kierowcy, który wypoczywał na zmianę z pomocnikiem. Nam zostawało niewiele czasu do nabrania sił, toteż, kiedy podjeżdżał beczkowóz, zsuwałyśmy się ze swych siodełek, by usnąć na chwilę. Za pierwszym razem na widok wody rzuciłyśmy się do niej, lecz zostałyśmy skutecznie odpędzone. Napoiwszy traktor jego pan a nasz władca krzykiem i kopniakiem przerywał nam drzemkę, gnając do roboty. Tak się działo kilka razy dziennie. Wieczorem nieprzytomnie zmęczone, lepkie od potu, czarne od kurzu, biegłyśmy do strumyka, jakieś pół kilometra, aby się wykapać, zanim można będzie rzucić się na swą wiązkę siana, w szałasie z gałęzi. My, dziewczęta, sypiałyśmy pośrodku. Nasi koledzy – jako bariera – na skraju, aby uniknąć powtórki gorzkich doświadczeń z Kazachami, którzy się upili kumysem na początku sianokosów.

Upał sięgał pięćdziesięciu stopni. Nosiło się więc na głowach chustki albo czapki. W czasie wielkiego deszczu wolno nam było spać w przyczepce – narzędziowni. Kiedy jednak po takim noclegu Jurek zabił sto dwadzieścia wszy, przestaliśmy korzystać z przyczepki.

Sierpień prażył bez miłosierdzia. Praca wysysała resztki sił. Pieniądze się skończyły, odmówiono nam „obiadowej zupy”. Usiłowałyśmy zatem wyjaśnić, że skoro traktorzysta i pomocnik otrzymują premię za przekroczenie normy, to myśmy powinny być opłacane podwójnie. Wszak oni pracują na zmianę, gdy my bez przerwy.

– Co wy się równacie z traktorzystą! Stawka na grabiach jest inna i w dodatku dzieli się na was pięcioro. Jeszcze nikt z Polaków nie zrobił tu tyle, żeby pokryć wyżywienie. Co to za robotnicy.

– W takim razie, skoro nasza praca nic nie jest warta, obejdziecie się bez niej. Nie jadłyśmy od wczoraj, dzisiaj pracowałyśmy już prawie dziesięć godzin. Nie mamy siły. Idziemy do domu.

Nasze koleżanki, obie Nuckowskie, Wandzia Lubuśka i cała reszta głośno świadczyła, że nie kłamiemy.

– To sobie pożyczcie pieniądze, wiemy, ile Polacy mają. Zakrzyczano nas, choć tłumaczyłyśmy, że przecież nie będziemy mogły oddać. Traktorzysta ogłosił koniec przerwy i pożegnałyśmy wystraszone koleżanki, zdecydowane odejść mimo gróźb władców.

Słońce lało się nam bezlitośnie na skołatane głowy. Poranione i nabrzmiałe ropniakami nogi coraz gorzej niosły nas przez szeroki step. Nie mówiłyśmy o świdrującym bólu głowy, bo nie było rady ani na głód, ani na przegrzanie. Chyba po dwóch godzinach marszu zaczęłyśmy wypatrywać mijanej tam kie-

dyś sadzawki. W oczach robiło się już jasno i ciemno na przemian. Nogi drżały, usta popękały i wyschły, spuchnięty język bolał. Bałyśmy się usiąść na spoczynek, aby nie usnąć i nie pozostać na noc w stepie. Gdy ukazało nam się dość znaczne obniżenie gruntu, z radością, że to sadzawka, pośpieszyłyśmy w tamtą stronę. Poniżej gładkich połączeń splekanego, wyschniętego mułu, daleko od brzegu, zobaczyłyśmy burą, pół gęstą ciecz. Piłyśmy i ochlapywały się; mokra. Po kilku następnych kilometrach Ela spostrzegła jeźdźca na koniu. Kazach *uprawelajuszczy*, najwyższa miejscowa władza. Skrzyczał nas, kazał wrócić do pracy, groził sądem za *proguł* (przestępstwo). Do Centrali zostały nam dwa kilometry. Powlokłyśmy się do domu.

Nasze matki nie miały placków, czy pieniędzy, aby nam podać w step, ale miały zupę ze szczawiu, którą zdołałyśmy wypić, zanim padłyśmy z wyczerpania.

Nasi rodzice poważnie traktowali pogróżki. Na drugi dzień za ich radą powlokłyśmy się do szpitala, gdzie dano nam maść ichtiolową na te okropne ropniaki. Lekarz, uprzedzony przez Milę, którą tam przyjął do pracy jako pielęgniarkę (czwarty rok medycyny) i liczył się z nią, dał nam zwolnienie z pracy na trzy dni. Leczyłyśmy nogi, mama przeznaczyła ściereczkę na opatrunki.

Władcy szaleli, lecz zaświadczenia lekarskie respektowali. Chciałyśmy je przedłużyć, ale lekarzowi nie było wolno. Mila poradziła nam zgłosić się w biurze do jakiejś pracy na miejscu, bo wszystkie najważniejsze władze wyruszyły w step. Urzędnik pozwolił nam robić porządek wokół biura. Na drugi dzień dostałyśmy znów zwolnienie z pracy na trzy dni, z zastrzeżeniem, że na tym koniec. Potem Elę zatrudniono w narzędziowni, a mnie z Kazikiem Nowakiem w magazynie. We dwoje musieliśmy napełniać dużą przyczepę pszenicą, pełnymi wiadrami, liczonymi, napełnianymi ze stosu na ziemi. Przyczepę, niestety wysoką, traktorzysta odwoził do innego magazynu, gdzie dorodne ziarna zsypywaliśmy na ziemię, już z łatwością. Wieczorem, na ostatniej turze, Kazik z uznaniem odniósł się do czterech kieszeni mego harcerskiego mundurka, który chętnie nosiłam do pracy, choćby ze względu na rękawy do podwijania.

– Nabieraj teraz pszenicę do kieszeni! Taka okazja może się już nie powtórzyć. Tobie to dobrze, ja nie mam żadnej kieszeni.

– Żartujesz? To przecież kradzież.

– No, wiesz! A oni nam nie ukradli naszej ojczyzny i mienia? Ta pszenica należy do państwa, *kazionna* i my też.

– Wiesz co? Nabiorę, ale nie dla nas, tylko dla was. To już nie będzie grzech,

tylko dobry uczynek; zdecydowałam, pęczniejąc z dumy, chwalona przez młodszego kolegę, który się nie mógł nadziwić.

Tak pracowaliśmy przez trzy dni, lecz Kazik napełniał pszenicą worki, które Irenka, zrzucając w odpowiednim miejscu, zabierała do domu. Mnie ani do głowy nie przyszło wspomnieć mamie cokolwiek na ten temat, bo zawsze uczyła nas, że „cudza własność, to rzecz święta”, więc się żenowałam, pomimo tego naszego straszego biedowania. Nie przyszło mi na myśl, że jeśli nawet sama nie chciałam jeść kradzionego, to przecież mogłam im, głodującym, tego nie odmówić.

Pod koniec sierpnia główny dygnitarz zapowiedział rychły przyjazd zwierzchników z Urdżaru na sąd nad nami. Mama popłakiwała, ciocia, zdennerwowana, zrobiła sobie skręta z tytoniu wzbogaconego jakimś zielem, i z gazety; co stanowiło luksus oszczędnie szafowany. Natomiast ojciec, idąc po gałęzie na opał, zapowiedział, że coś wymyśli. I rzeczywiście wymyślił. – Pójdźcie jutro zapisać się do szkoły! – Poszłam sama, gdyż Ela się rozchorowała, miała gorączkę, a to się liczyło. Dostała zwolnienie.

Oznajmiłam kierownikowi, że wydano nam paszporty na pięcioletni pobyt, dlatego chcę zapisać się do szkoły, aby się uczyć języków: rosyjskiego i kazachskiego, co uważam za mój obowiązek. Zaskoczony, odbył naradę z nauczycielką i nauczycielem. Musiałam się przyznać do swych osiemnastu lat, ale nie zdradziłam się, że byłam już w pierwszej klasie licealnej, po czteroletnim gimnazjum. Udałam, że nie umiem wytłumaczyć, bo tam u nas był inny system nauczania. Zakwalifikowano mnie do piątej klasy, rosyjskiej, od niej zaczynała się nauka kazachskiego; a w piątej kazachskiej nauka rosyjskiego. Wracając do domu, uszczęśliwiona, napotkanym maluchom robiłam „żabkę” ze złożonych rąk i demonstrowałam strzelanie palcami, co je zawsze zachwycało. Lubiłam dzieci, a te były biedne, głodne, bose, brudne i zaniedbane. Na szczęście, nie znały innego życia, nie wiedziały więc, jak bardzo są nieszczęśliwe.

* * *

Nowy rok nauki obie szkoły, rosyjska i kazachska, mieszczące się w jednym budynku, zaczynały uroczyście, zebrane na podwórzu. Lekcje odbywały się na dwie zmiany, kolejno przestrzegane raz przez przyznanie wcześniejszej, raz późniejszej pory każdej z tych szkół. Moja klasa chodziła na pierwszą zmianę w tym roku. Mieściła się w niedużej izbie lekcyjnej, o dwóch oknach (z małym otwieranym lufcikiem), stały tam dwa szeregi czteroosobowych

ławek naprzeciw nauczycielskiego stołu, nad nim wisały portrety Stalina i Woroszyłowa, a między nimi czarno biała fotografia herbu ZSRR. Tablica czarna, na niej podwójne linie, poziome i ukośne, jako że tamtejsza kaligrafia wymagała pisania liter pochyło pod jednym kątem.

Zoja Skokowa zaprosiła mnie do swojej ławki, po dziewczęcej stronie. Usiadłam obok niej, Marusi i Klaudii, przerośnięta w gronie dwunastolatek i wzbudzająca sensację, która mnie raczej bawiła. Wychowawczyni Lena, ogłosiła plan lekcji i koszt podręczników oraz zeszytów rozdanych uczniom, za co na drugi dzień należało przynieść pieniądze. Poczyła też, że wszystko trzeba koniecznie obłożyć gazetą i podpisać, co sama sprawdzi. Matematyk martwił się, czy podołam rachunkom, bo mają już mnożenie liczb trzycyfrowych przez trzycyfrowe. Kazachskiego nauczał Kazach powszechnie nie-lubiany, od kiedy kupił sobie gdzieś w mieście jedwabną koszulę granatową, z bardzo licznymi białymi guziczkami, czego mu szczerze zazdrozczono; uważano, że to go wbiło w nadmierną pychę.

Gdy na drugi dzień wyjęłam książki i zeszyty z chlebaczka, dziewczynki narobiły tyle szumu, że aż chłopcy po ławkach pośpieszyli ze swego rewiru, zobaczyć, co się dzieje. Zoja, machając moim zeszytem, wzywała nauczycielkę. – Wynalazek! Patrzcie, wynalazek! Wezwana podeszła zaciekawiona. Wzięła z rąk Zojki mój zeszyt, na którego okładce gazetowej przykleiłam domorosłą etykietkę, wyciętą z kratkowanej kartki zeszytu, obramowaną obwódką i podpisaną atramentem, zrobionym z kopiowego ołówka i gorącej wody.

– Jakie fajne! A jak to przykleiłaś? Pytała zdziwiona.

– Klejem z wody i mąki.

– Nie trzyma. – Zapewniła i chłopcy krzyczeli, że bujam.

– Z wody i mąki zagotowanej. Trzeba cały czas mieszać. – Dziwiłam się teraz ja, że tego nie wiedzą i musiałam tłumaczyć dokładniej. Dzieci podpisywały swe zeszyty wprost na gazetowym druku, czego ja nie wymyśliłabym wcale. Dziewczynki zapowiedziały swe wizyty w klubie, abym im też porobiła takie etykietki. Na szczęście przyznałam się do zwrotu pożyczonych nożyczek i obiecałam przykleić tyle, na ile starczy mi kleju, więc niektóre przyniosły po odrobinie mąki. Potem cała klasa chodziła w glorii wynalazku, aż najstarsi, z siódmej, przychodzili osobiście oglądać i upewniali się, że taki klej trzyma.

Dzieci zachowywały się swobodnie wobec nauczycieli, traktowanych za pan brat. Lekcje były hałaśliwe, chłopcy co chwila wyskakowali z ławek, biegali.

Kaligrafia stanowiła przedmiot, do którego były specjalne zeszyty w linię i tablica. Lena tłumaczyła, że jak już ktoś umie pisać, to ma pisać tak porządnie. Utrwaliła parę wyrazów na tablicy z zaleceniem odwzorowania każdego w kilku liniijkach.

– Napiszcie mi na wzór jeden wyraz w zeszytcie; poprosił jeden uczeń.

– I mnie, i mnie! – Zrywali się inni.

– Cicho! Napiszę każdemu, kto siedzi na swoim miejscu z zamkniętymi ustami; ogłosiła i poskutkowało.

– Marusia zajrzała do mojego zeszytu. – Napisz mi też, na wzór!

Kaligrafowałam wzory dziewczynom, Lena chłopakom, w takiej ciszy, że aż kierownik szkoły zajrzał, co się stało.

– Siemion Siemionowicz, czy wiecie, że mamy kredki? Sześć kolorów!

– Witali uczniowie nauczyciela rysunków.

– *No, ładno!* – Ucieszył się. – A to mamy dzisiaj w programie rysować jabłko. Rysujemy jabłko! – oznajmił.

– *A czto eto takoje?* My nie widzieli. Owoc? Jak dynia i arbuż?

– A może Polki widziały? – Polki, bo już byliśmy dwie, gdyż dołączyła do mnie Irenka Nowak, jedenastoletnia.

Zaczęłyśmy rysować w swych zeszytach, gdy reszta targowała się zawzięcie, aż któryś, z mutacją, huknął basem:

– Siemion Siemionowicz! *Czy wy zdurzyli?* Jak rysować, jak my nigdy nie widzieli? No, jak? – Zakończył piskliwie, z aplauzem klasy.

Nauczyciel przystanął przy nas. Cieniowałam swe jabłko fioletem, na to nakładałam czerwień, z drugiej strony było zielone, co tłumaczyłam Zojce. Obok dorysowałam przekroje, podłużny i poprzeczny.

– Jak żywe! Takie jest całe, a to przekrojone tędy i tędy! – Demonstrował nauczyciel klasie. – Macie na zadanie domowe narysować jabłko. Już teraz wiecie, jakie to jest. I wyszedł z klasy z dzwonkiem i z dwoma zeszytami Polek. Po lekcjach kierownik nas zatrzymał. – Macie zostać na zebraniu samorządu uczniowskiego. Bardzo ważne.

Po wyborze delegatów klasowych kierownik prosił o udzielenie głosu nauczycielowi rysunków, a ten wnioskował założenie szkolnej gazetki ściennej, ilustrowanej przez uczniów i późniejsze wysłanie jej na międzyszkolny konkurs. Wniosek przyjęto z zapałem, a dwie polskie uczennice mianowano ilustratorkami gazetek. Nagrodzono nas brawami.

W domu odrabiałam prace domowe, w tym dwadzieścia kilka jabłek, rysowanych w tyłu zeszytach. Potem tak samo było z różami.

Kiedy nauczyciel ogłosił, że „w programie stoi rysowanie szafy”, już cała klasa wykrzykiwała.

– A co to takiego?

– No, szafa, to jest mebel. Stoi pod ścianą. Jest z drzewa. I do szafy wieszają się ubrania.

– Oj-ba-joj! A to w czym chodzić? Na golasa? – Zmartwił się któryś i było wesoło, co nie zwolniło mnie z rysowania szaf we wszystkich zeszytach.

Gazetka ścienna stała się oczkiem w głowie całej szkoły. Poeta z siódmej klasy machnął satyrę na siódmoklasistę Griszkę, który jako jeden z pięciorga na całą szkołę otrzymał buciki, gdyż mieszkał na pierwszej fermie i faktycznie trudno było mu tych osiem kilometrów w jedną stronę chodzić bez butów przez okrągły rok. Niewdzięcznik wkrótce potem chodził w przeciwnym kierunku, nad rzeczką, gdzie udawało mu się łowić ryby, jako najstarszemu z licznej dzieciarni, stale głodnej. Do tej poezji miałam wykonać ilustrację, a ta wprawiła w zachwyty przede wszystkim Griszkę, który chciał gazetkę zabrać do domu, aby tam pokazać. Ledwie zdołano go przekonać, że to będzie wysłane na konkurs do samego Semipałatyńska. Mnie poklepał z uznaniem zanim odskoczyłam. – No, Polka, skąd ty wiedziałaś, jak ja wyglądam? Nie obraził się za zawadiacki nos, żółtą czuprynę, ale był dumny, najbardziej z butów promieniejących blaskiem, jak na reklamie pasty. A ja cieszyłam się swoim chodzeniem do szkoły, które, jak się okazało, istotnie uchroniło mnie od sądu. Przy okazji Eli też się upiekło.

* * *

Młodego drukarza zagoniono najpierw na sianokosy, potem na żniwa, a mego tata do pomocy przy przeróbce owczarni na kwatery dla Polaków; podawał cegły budowniczemu. Cegły, gliniane, niewypalone, suszone na słońcu, były bardzo ciężkie, tata zaś słaby. Jedna spadła z wysoka mu na nogę i boleśnie zraniła paluch. Ledwie dokuśtykał do lekarza, a potem do domu. Lecząc nogę musiał chodzić do pracy.

Stajnia owcza, którą nam przeznaczono na przyszłe lokum, była długim, glinianym barakiem o jednym wejściu. To wejście zamurowano. Zrobiono pięć kwater, do których wiodły teraz osobne wejścia. Każda z kwater miała trzy pomieszczenia: mały korytarzyk środkowy przypominał sień, po obu jego stronach izby mieszkalne, oddzielone wewnętrznym murem i drzwiami. W każdej izbie małe okienko z szybą wlepioną gliną wprost do muru. Drzwi wewnętrzne nie miały klamek, ani skobli, a kuchenka ani płyty, ani popielnika. Dużo było obowiązków przy tej przeróbce i tata wracał zmęczony. Nie

możliśmy się jednak doczekać mieszkań, a władze śpieszyły się z wyprowadzeniem nas z klubu, gdzie miał się odbywać kurs traktorzystów.

Miesiąc później do wielu rodzin – również do naszej – zaczęły nadchodzić wiadomości ze Lwowa. Pierwsze do nas dotarły pieniądze, telegraficznie wysłane przez Leona, pięćset rubli za nasz fortepian, który sprzedała ciocia Julia. Okazały się ratunkiem, choć ceny teraz bardzo skoczyły. Rodzice poszli do Nowotrojska na zakupy. Nie obyło się bez kłopotów. W powrotnej drodze mama zgubiła jeden słupkowy obcas. Toteż dwadzieścia kilka kilometrów, niosąc ciężki plecak, kuśtykała na drugim obcasie, którego nie udało się wyłamać. Wróciła spłakana i udręczona.

Potem nadeszły listy z zapowiedzią paczki, wreszcie paczka; pierwsza. Radość, bo pamiętają, chcą pomóc, ratują. Niecierpliwie wypruwamy nici z płótna ochronnego. Wszystko się nam przyda, niczego tutaj nie można kupić. Cieszymy się, że jest skrzynka; będzie półeczka. Chroni naczynie, o które mama prosiła. Ojciec wydłubuje szczyrykiem gwoździe, aby nie uszkodzić. Garnki są w ściereczce; i ona się przyda.

– O, banieczka! Będzie na mleko. A czajnik nie mój – martwi się mama – pewnie Julia wybrała go do paczki, gdyż lekki, aluminiowy. A tę rynkę lubiłam na mięso. I talerz blaszany, może być za pokrywkę. I ryneczka czerwona.

- Dozwolona waga, osiem kilo. Skrzynka także ważyła; rzekł tato.
- Bogu dzięki, odtąd mama nie musi pożyczać, może gotować.
- Tak, tylko, że dzisiaj nie mam co.
- Następna paczka będzie z kaszą i inną żywnością.
- Jak Bozia da doczekać; westchnęła.

O ile listy podtrzymywały na duchu, o tyle paczki stały się materialnym ratunkiem, bez którego trudno byłoby przeżyć ten okres.

W jakiejś paczce, przygotowanej z naszych rzeczy przez Lolka, znalazła się sukienka Wandzi. Ciocia orzekła, że nie uda się jej sprzedać, za mała dla tutejszych mieszkanek. Wandzia jest drobna.

– Wcale bym jej nie sprzedała. Zatrzymamy dla Wandy, gdy do nas dołączy, przyda się jej ciepła sukienka.

- Dla więźniów mają łagry, a nie „wolną zsyłkę”; przypomniała ciocia.
- Co ty mówisz? – wystraszyła się mama – przecież wniesiono apelację, chyba nie grozi im Sybir? Adam zdążył zapłacić adwokatowi.
- Im trudno ufać. Ale żeby tutaj Wanda? – Zastanawiała się ciocia.
- Będzie z nami. Wiem. To przecucie, pewność. – Chciałam znaleźć jakiś mądrzejszy argument, lecz widząc miny obu, zrezygnowałam, zasmucona, że posądzają mnie o bzik.

To wydarzenie nastąpiło w dzień trzydziestej rocznicy ślubu rodziców. Skromni, nigdy rocznic ślubu nie celebrowali, lecz ja uczciłam tę wystrójnieniem się w Wandziną sukienkę – za krótką, ale nie za ciasną – i wyrwaniem się do spółdzielni tak wcześnie, że udało mi się zdobyć porcję chleba. Zaraz po śniadaniu ogłoszono przeprowadzkę. Wiedzieliśmy, kto z kim będzie dzielił wspólne lokum, a wskutek odesłania niedawno kilku rodzin na czwartą fermę, do obu chutorów, Górnego i Dolnego, na jedną izbę przypadało około jedenastu osób. Mama już dawniej umówiła się z panią Wojciechowską. Jej rodzina, tak jak my, niewiele zdołała z domu zabrać. Na czworo mieli dwie walizki odzieży i parę garnków oraz jakieś okrycia. Nędza. Do nas też dołączyły Maryla Antonow i Marysia Nuckowska, które zapisały się na kurs traktorzystów, organizowany w klubie zaraz po wyprowadzeniu stamtąd Polaków. Ciocia Iza zaprzyjaźniła się z Druframi, z nimi zamieszkała, oprócz kilku innych samotnych, starszych pań. Przed przeprowadzką, zgodnie z poleceniem, ściany i polepy wymalowaliśmy gliną. Pan Wojciechowski gdzieś na złomowisku przy zakładach naprawczych wygrzebał kawałki blach, z których ułożył niby płytę kuchenną, nie dopuściwszy murarza do zamurowania kuchni od wierzchu. Komin – rura blaszana wprost od paleniska – sterczał nad dachem, który ogarniał tył baraku, osłaniając również ścianę niższą. Komin zatykało się po wygaśnięciu ognia, z zewnątrz, co zwykle robiła Ela, jako najlżejsza.

Otrzymaliśmy kwatery przy pierwszej sieni, nie narożną, lecz sąsiednią. W narożnej mieszkała pani Sochacka z Józkiem i Bolkiem, pani Kublinowa z Wackiem, byłym studentem prawa i panią Cesią, Jakubowska z młodszym bratem męża; zamiast którego oboje zostali wywiezieni. Niedaleko naszego końca baraku zrobiono ustęp, jak się okazało, za płytki, za mały, wkrótce nie do używania.

Marzyliśmy o mieszkaniu bez przeludnienia, wszak od świtu do zmroku pełno bywało u nas tubylców. Wkrótce okazało się, że wszystko ma swoje blaski i cienie. Ósmego października nocujemy „u siebie”. Na polapie z gliny nie jest mniej twardo, niż na klubowej podłodze, lecz zimniej. Drzwi zewnętrzne do sieni zamykały się na patyk, drzwi wewnętrzne, wiązane sznurkiem do gwoźdźcia, wyjątkowo nieszczelne, wiały zimnem z dworu. Nasi współlokatorzy zmarzli pod pierzynami, cóż dopiero my, którym nogi wyłaziły spod płaszców. Cieszyliśmy się z poduszek. Pierzyn oczekiwaliśmy niecierpliwie.

Pan Wojciechowski zdobył ławę drewnianą, niezbyt szeroką, mimo to oboje z żoną, wychudzeni, mieścili się na niej, jak na pryczy. Stała wzdłuż kuchenki, przylegając do niej. Fela z Elą zajęły miejsce pod okienkiem, obie

Marie w sąsiedztwie, my w czwartym kącie. Skrzynka po naczyniach stanowiła mebel do stawiania pożyczanej miednicy, z okazji kąpeli – „po kawałku” – i prania. Palenie pod kuchnią wzięły na siebie mama i Fela, co było nader uciążliwe. Gałęzie zwykle mokre, kiziak źle wysuszony, palenisko bez popielnika. Dym cofał się i drażnił oczy rozpalających ognisko, dmuchających w płomień. Brakło papieru i słomy na rozpałkę. Zapałki paliły się co chwarta.

Noce już zapadały bardzo wcześnie, dni skracaly się, stawały się coraz ciemniejsze. W dzień Wszystkich Świętych deszcz padał zawzięcie, coraz bardziej przybierając na sile. Zmarznięta, przytulona z jednej strony do mamy, która spała obok ojca, usnęłam późno. Nagle zerwałam się, przerażona jakimś zimnym chłasnieniem, aż wrzasnęłam. Za chwilę zerwali się inni. Ojciec zaświecił zapałkę.

– Glina! Z dachu. Rozmokła przez ten deszcz.

Niewiele już potem było spania. Dach z gałęzi, przykryty skąpą warstwą słomy, miała uszczelnić glina. Deszcz się z nią uporał. Rano nasze płaszcze były obłożone warstwami gliny. Kiedy deszcz ustał, wówczas wiatr dmuchał nam do izby, mroźny, przenikliwy. Zalepić ubytków nie było sposobu. Dach zawaliłby się pod ludzkim ciężarem. Skromną pociechą stała się lampka Wojciechowskiego i gwóźdź, na którym ją zawiesił. Tato zaś zdołał kupić u sklepikarza kilka paczek drewnianych a od drukarza parę dykt, z których sklecił pryczę dla nas trojga. Już nie musieliśmy spać na glinie. Mimo to ojciec i ja nie mogliśmy usnąć prawie dwa tygodnie z powodu zimna. Paliło się tylko raz na dzień, kiedy pod wieczór gotowaliśmy mizerną zupę, dopiero potem kładliśmy się do snu. Mama, tuląc się do nas, osłabiona, zapadała jakoś w sen. Paczka z pierzynami nadeszła w ostatni dzień przed opadami śniegu. Byliśmy uratowani.

Z początkiem listopada w jedno popołudnie i noc śnieg zasypał domy. Tylko mieszkańcom naszej klatki udało się odtarasować wejście. Sąsiadów musieliśmy odkopać, wygrzebawszy tunel do ich drzwi, otwieranych na zewnątrz. Oni odgrzebali następnych, a ci dalej. Świeży i czysty śnieg był źródłem wody; nie musieliśmy już chodzić po nią do rzeczulki. Niestety, pochłaniał więcej opału. Oszczędzaliśmy opał aż do udręczenia. Zdarzył się jednak okres dwutygodniowy, kiedy zupełnie go zabrakło i marzliśmy nieludzko. Mrozy osiągały czterdzieści stopni w dzień, nocą bywało zimniej, stepowe wichry okazywały się lodowate. Nie paliło się u nas, ani nie gotowało, sąsiedzi spostrzegli to od razu. Pani Bokotowa zaproponowała nam przyjmowanie

garnka z zupą na swoją kuchnię – to samo zrobiła pani Sochacka wobec pani Wojciechowskiej – podtrzymując ognisko każdego dnia przez parę godzin, nie tylko dla uwarzenia stawy. Nie sposób wyrazić, jakie dobrodziejstwo stanowiła gorąca zupa. Byliśmy zaziębieni, buty nam nie schły, nawet kiedy piec grzał. Po chleb chadzałam, zazwyczaj bez skutku, z Elą. Na koniec moje półbuty zrezygnowały ze służby, choć ja nie mogłam zrezygnować z nich. Jeden stracił podeszwę na całej długości od obcasa do noska, obcas drugiego urwał się. Następnego dnia ojciec reperował buty. Pożyczył obcegi, gwoździem zrobił otwory w każdej podeszwie i w odpowiednim miejscu na wierzchniej części buta. Przeciągnął drut, nad noskiem zacisnął, skrzył. Buty upodobniły się do nosorożców. Zaziębiona bardzo, musiałam z powodu takich butów zrezygnować ze szkoły. Nawet po chleb nie wybierałam się częściej niż raz dziennie. Czekałiśmy na paczki ze Lwowa, wysłane nam przed jesienią.

* * *

W czasach mego dzieciństwa babcia miała taki zwyczaj, że do imiennych prezentów (sandały, zabawki) dokładała wnuczkom coś – „na przyszłość” – ze złota. Żartowałyśmy, iż zbiera nam wyprawę, ona jednak myślała o jakimś zabezpieczeniu „na czarną godzinę”. Według wujka nie przewidziała godziny „czerwonej”. Kiedy bombardowania dotknęły Lwów, polecono mi zebrać te pamiątki razem; opróżnić z nich pudełeczka, puzderka, etui. W jednym puzderku trzymałam stalówki różnych rozmiarów i teraz w kieszeni szkolnego fartuszka znalazłam je w Kazachstanie. Wzięłam ze sobą do szkoły, gdyż nie miałam piórnika, dzieci wpadły w zachwyty nad zameczkiem puzderka.

W klasie dzieci dokuczają najmłodszemu, Griszce, który przybył z Semipałatyńska, skąd jego ojca skierowano do pracy jako kierownika zakładów naprawczych. Mały wspominał Semipałatyńsk i tego mu nie darowano, nie rozumiejąc, że tęskni za dawnym środowiskiem. Kiedyś z Elą przechodziłyśmy chyba czwarty raz w dniu po chleb, bezskutecznie, trochę zmartwione, że trzeba będzie za godzinę wracać, bo już ma być na pewno i wtedy Griszka Kuszczaj zaprosił nas do siebie, abyśmy się ogrzały i posłuchały płyt. Miał miłą matkę, która jeszcze się nie oswoiła z nowymi warunkami i chętnie z nami posiedziała. Płyty, przeważnie z piosenkami ludowymi, mały nastawiał z wielkim przejęciem, na koniec zostawiwszy ulubioną, której melodię znałyśmy i Ela śpiewała z zapałem. Ogrzane, wróciliśmy do sklepu i szczęśliwie kupiliśmy chleb.

Gdy opuszczałam szkołę, drobne pamiątki dałam koleżankom, a Griszce pudzanko, bo widziałam, jak on się nim zachwycił. Był zaskoczony i wzruszony, więc raz jeszcze podziękowałam mu za koncert z płyt, mówiąc, że to pudzanko właśnie na jego pamiątkę. Przyniósł mi szklaną kliszę „Karawana na pustyni”, wielkości pudełka od zapalek, kolorową, która pewnie była skarbem dziecięcym. Też na pamiątkę. Gdzie jesteś mały Grzesiu, tęskniący za swym miastem?

* * *

Niurwała, dziewięcioletnia Kazaczka, nad wyraz miła, mieszkała z rodziną – oprócz kierownika Mielnikowa – w budynku poczty. Któregoś dnia w maju zobaczyła, że siedząc na schodkach w klubie strugałam z patyka łyżkę dla mamy. Rozmowna, zapoznawała mnie ze słówkami kazachskimi, czasem pytała o jakies wyrazy polskie i zwykle mnie odprowadzała, zasypując pytaniami. – Czy widziałas kiedyś film? Bo tu raz przyjechało kino i wszyscy się na nim ruszali jak żywi i gadali. A czy w twoim mieście są takie domy, co to jeden stoi na drugim i mają wspólny dach? – Jak nie lubić takiego dziecka? Raz przybiegła i mówi, że jej mama prosi o zapalke polskie. Da nam trzy nowe pudełka kazachskie za jedno polskie. Tato mój chciał podarować całe, ostatnie, więc wzięłam połowę zawartości; nie pozwoliłam. U Niurwali zapowiedziałam pokaz. Przecięłam zapalke na cztery części i jedną ćwiartką zapaliłam. Cieszyły się, ona i jej matka, jak dzieci i schowały resztę. W zimie Niurwała wypatrywała mego przyjscia na pocztę, aby mi pokazać dość grubą patyk. Zrób mi z tego łyżkę dla mojej mamy! Za taką łyżkę mama Niurwali zapłaciła mi garścią *boursaku*, który właśnie sporządzała, gdy przyszedłam. Mąkę zagniotła z wodą, obsypała szczyptą soli, uformowała wałek grubości trzech palców, pokroiła na kawałeczki, usmażyła w łoju baranim. *Boursak* wydał się nam pyszny. Często wałam Elę i Cesię, które mi towarzyszyły, lecz gdy przypomniały, że dziś Mikołaj, zostawiłam resztę rodzicom. Wystarczyło po cztery „paluszki”.

* * *

Codziennosc w naszym „domu” kazachskim uzyskiwała odcień szary. Dzień każdy krótki, mroczny, noc zbyt długa i ciemna, przez zamrożone okno swiata nie widać. Ojciec chodził do drukarni, gdzie młodszy kolega uczył go właściwego systemu pracy. Podczas odwiedzin dygnitarzy należa-

ło fingować pakowanie sprzętu drukarskiego celem przekazania Urdżarowi. Tymczasem po wizytach rozpakowywać zmyślnie, aby wyglądało, że akurat jest właśnie pakowany. W ten prosty sposób można było przedłużać żywot drukarni, inaczej pracownicy trafiliby do magazynu zbożowego. A tam akurat pracował Jaś Dudek (piąty rok medycyny), Marysia Baczyńska (studentka) i Lala Schmalówna; która liczyła siedemnaście lat. Od świtu do nocy dźwigali sześćdziesięciokilowe worki pszenicy, z parteru na piętro, gdzie znajdowała się waga. Zważone worki zsuwali do przyczepki. Po takiej pracy wracali ledwie żywi. Mieszkańców naszej izby stale pędzono do robót, nie mieliśmy jednak ani butów, ani siły; kończyło się więc często na awanturach. Oczywiście za pracę przy sianokosach nie otrzymałam wynagrodzenia. Co najwyżej mogłam się cieszyć, że mnie nie sądzono.

Zimą poczta docierała rozmaicie, niekiedy raz na parę tygodni. Zresztą poczcie lwowskiej zabroniono przyjmowania paczek dla zesłańców. Do tego celu wyznaczono tylko Stanisławów i Stryj, dokąd je zespołowo dowożono. Ze Lwowa dozwolono wysyłać druki, toteż otrzymywałam książki, które błogosławiłam.

Moje szkolne koleżanki odwiedziły mnie w Sigizbaju kilkakrotnie. Za ich pomocą nauczycielka namawiała mnie, abym wróciła do szkoły. W odpowiedzi pokazałam swoje – zniszczone – obuwie. Obiecałam nadal ilustrować gazetkę i dlatego parę razy mi ją przyniosły. Raz zauważyły, jak mama cerowała pończochy i nadzieić się nie mogły, iż można pozbyć się dziur, nie mając łąt. Pokazałyśmy, jak to się robi, ale one stwierdziły, że na to trzeba mieć dużo nici.

Prawdziwą udrękę wywoływały oczywiste, przyziemne potrzeby. Ustęp nie funkcjonował. Żadnych wiader, czy czegoś w tym guście nie było. Dzień czy noc, pozostawało jedynie „iść za chałupę”. To było straszne. Zaziębieni, czy tylko podziębieni, w nocy musieliśmy wkładać mokre, lodowate buty i wychodzić na dwór, nawet wtedy, gdy wiał wiatr stepowy i panował straszny mróz. Rozpacz.

Chleb pieczono w dużych, pięciokilowych bochenkach. Sprzedawano w porcjach, krojonych dla pracujących, albo dla niepracujących. Na ladzie zbierały się okruszki, za które gruby Mielnikow brał opłatę jak za chleb pełnowartościowy. Modliłam się, stojąc w kolejce, aby te okruszki dostać, przecież w domu nie było nic, Kompletna pustka. Ucieszyłam się, kiedy przede mną pozostała tylko jedna pani, o której wiedziałam, że gotuje parę razy dziennie dla siebie samej, wyciągnęłam więc w stronę sprzedawcy rękę z pieniędzmi.

– Chwileczkę, panienko! Tak się nie robi. Ja byłam pierwsza.

– Czy pani naprawdę będzie to jadła? – Wskazałam zmiotki.

– Też coś! Przecież wiesz, że ja mam te psy i pieski. To takie wdzięczne stworzenia, przecież muszą je karmić. A w kolejce stoję przed tobą, sama przyznasz, że mnie się to należy.

– *Da, da. Prawilno.* A ty – reagował sprzedawca – do roboty!” Wszyscy dawno znikli, także miłośniczka piesków, a ja szłam, zataczając się, targana przez wichurę i wściekła na siebie, że nie potrafiłam obronić okruszyn chleba. Powinnam była rzucić w twarz tej miłośniernej wobec psów, że odbiera okruszyny ludziom; przecież mieszkaliśmy razem przez pół roku i widziała. Zaczęłam gonić, aby ją dopędzić. Wołałam, wicher znosił głos w moją stronę. Biegłam, podeszwa przekrzywiła się na drucie. Upadłam i beczałam jak głupia. Dobrze mi tak! Ale tam czeka mama. Nie pytała o nic, jej głodne oczy widziały wszystko. Na szczęście pani Bokotowa przysłała swe dzieci z pytaniem, czy nie chcemy ziemniaków, może nam pożyczyć. To się pamięta długie lata.

* * *

Ze Lwowa przychodziło dużo listów. O tym, co się dzieje u najbliższych często i dokładnie informował nas Lolek Sawkiewicz. Studiował politechnikę i znalazł jakąś pracę, która uchroniła go przed poborem do Armii Czerwonej; sowieci bez pardonu wcielali Polaków z rocznika 1919. Listy Lolka były dla nas podporą duchową i źródłem informacji; wdzięcznie je wspominam. Dzidka, moja starsza siostra została ostrzeżona i od razu z mężem opuściła Grzymałów, gdzie Leon Kaczyński, jej mąż, pracował. Udała się do naszego lwowskiego domu, została przyjęta. Tam już mieszkała babcia, obaj wujkowie, ciocia Julia, bratowa mojej mamy z Marylką i Olkiem. Pisywali rzadko. Zgromadzili wszystko, co po nas pozostało. Lolek przychodził tam robić dla nas paczki z owych rzeczy. Dzidka podjęła pracę nauczycielską na wsi. Leon pozostał przy naszej rodzinie, wpisał się na kurs, aby go zostawiono w spokoju. Wanda miała rozprawę apelacyjną, uzyskała złagodzenie wymiaru kary do trzech lat. A zatem łagier, co następny list potwierdził. Byliśmy mocno zmartwieni. Tato usiłował trochę złagodzić nastrój tłumaczeniem, że do wymiaru kary wlicza się okres od dnia aresztowania (pół roku), toteż Wandzia powinna wrócić do Lwowa wcześniej niż my; nas zesłano na pięć lat. Oczekiwaliśmy adresu Wandzi, niepewni. Drugą, bardzo smutną wiadomością była śmierć babci, osiemdziesięcioletniej. Babcia nie mogła się doczekać naszego powrotu, zmarła na serce. Poza tym we Lwowie biedowano. Pieniądze nie mia-

ły wartości, żywność droga, stałe braki w zaopatrzeniu. Marylka kończyła medycynę i miała pracować. Olek przeniósł się do innego gimnazjum. Młodzież odnosiła się do bolszewickiego systemu, w tym do programów szkolnictwa, ze sceptycyzmem. Nikt nie był pewien niczego. Do rzadkości należały rodziny, w których nikogo nie brakowało.

* * *

Upewniliśmy się, że zimą do Nowotrojska można wędrować tylko wówczas, kiedy śnieg na całej powierzchni jest twardy. A zatem wcześniej rano. Na stepie śnieg osiąga głębokość od jednego metra do trzech i dopóki z wierzchu zamrznięty, dopóty można po nim iść, a nawet jechać saniami. Jednak zazwyczaj w zimie mało dróg było uważano za przejezdne. Pani Kierepkowa zaproponowała nam wspólną wyprawę, ale tato pracował i nie dostał jeszcze drugiego dnia wolnego, oprócz niedzieli. Ja się zdecydowałam, bo coś tam z otrzymanych wcześniej paczek odłożyliśmy na wymianę, a żywności brakło. Z pierwszej fermy dołączyli Mazurowie: Weronka, Jasiek i, najmłodsza z nich, Zośka, w moim wieku. Pani Kierepkowa zabrała Matyldzię. Wyruszyliśmy, gdy noc gwiazdzista zaczynała blednąć; znanym traktem, choć śnieg go zasypał. Byłam szczęśliwa, wszak otrzymałam ze Lwowa paczkę z półbutami na słupkowym obcasie. Były skórzane, stukały po lodowej nawierzchni. Mimo ostrego mrozu szło się nam dobrze. Mój plecak nie był ciężki: parę rzeczy na wymianę. Gwiazdy pogasły i gdzieś daleko, za Tas Bułakiem, zaczęły się ukazywać pierwsze promienie. Wyskoczyło słońce. Szklista powierzchnia twardego lodu zaiskrzyła się. Jaki wysrebrzony świat, ślicznie.

– Ojej! Trzeba galopem do Nowotrojska; przeraził się Jaś. Zaraz skorupa się stopi i zapadniemy się. Prędzej!

– Ludzie, ratujcie! Matyldzia wyskoczyła do przodu. Patrzcie, tam!

– Zgubiła się droga. Nie zdążymy.

Podbiegliśmy. Matylda stała na krawędzi stepu, który urywał się nagle bardzo stromo, lecz nie na znanej nam trasie, bo całkiem z innej strony oglądanego teraz z góry kołchozu. Urwisko ciągnęło się na bardzo długiej przestrzeni. Nie było czasu do stracenia. W takim śniegu ludzie ginęli. Nie ma innej rady, jak zjechać w dół.

– W imię Boże! Zjeżdżamy, Matyldziu, usiądź na teczce; zdecydowała jej matka i siadła na zarękawek, Jasiek i Weronka na swych futrzanych czapkach. Zośka miała chustkę na głowie, ja berecik, przywiązany szalikiem. Zocha podwinęła płaszcz do góry, aby się nie podarł na lodzie. Jazda. Siadłam na rękach

i ruszyłam. Na łeb, na szyję. Wiatr bił w twarz i czułam tysiące drobnych ukłuć, igielki lodu siekły bezlitośnie. To moje słupkowe obcasy rznąły powierzchnię lodu na okruszki. Ręce piekły coraz bardziej. W oczach mi poczerwieniało. Nagle słyszę ryk. Zośka? Tak, ona. Łąduję tuż za nią u stóp Matyldzi i jej z matki. Biedna Zocha, chciała oszczędzić płaszcz i spódniczkę, zjeżdżała na majtkach, skończyła bez nich i bez skóry, startej z pośladek. To jej krew czerwieniła mi się w oczach. Nie inaczej stało się z moimi dłońmi, wokół nich fruwały strzępki rękawic. Złamałam kawałek pokrywy lodowej i chłodziłam ręce, doradzając Zośce to samo. Weronka poświęciła poszewkę, przeznaczoną na handel i podłożyła ją biduli pod spódnicę. Trzeba ruszać. Zdążyliśmy dojść do wydeptanej drogi, gdy lód zaczął nam trzeszczeć pod stopami. Handel wymienny udał się nam dość dobrze, bo niewielu śmiałków przybywało w tym czasie do kołchozu. Nocleg pani Kierepkowa znalazła dla wszystkich na czas, aby przed brzaskiem ruszyć w drogę powrotną właściwą trasą. Udało się dotrzeć do Tas Bułaku przed krytycznym momentem. Zocha gorączkowała, wylądowała w szpitalu, gdzie inne pacjentki podziwiała śpiącą na brzuchu i koniecznie chciały sprawdzić stan jej odwrotnej strony medalu. Moje ręce wydobrzały wcześniej.

* * *

Wreszcie przekazano nam bezpośrednią wiadomość od Wandy, kartkę z ła-gru adresowaną do babci. Po rosyjsku. Wolno jej pisać jedną na trzy miesiące, otrzymywać zaś może więcej. Prosi babcię o nasz adres i list od nas. Mama zmartwiła się, że Wanda wie o naszym wywiezieniu. Wanda wspominała, że zdrowa; przebywa z koleżankami. Ma prawo dostawać paczki, prowadzić korespondencję musi po rosyjsku lub po ukraińsku. Prosiła o jasiczek do spania.

Zimą paczki z kraju nie dochodziły. Wysłaliśmy jasiczek swój, starając się dołączyć wszystkiego po trochu z naszych nader skąpych zapasów, na przykład cukier w woreczku wielkości ćwiartki chusteczki do nosa, zostawiając sobie mniej; resztki z paczki. Nadmieniliśmy, że jesteśmy zdrowi, dajemy sobie radę, kontakt z rodziną mamy stały i pytaliśmy, o co nam było można. Gdy brakło mi słów rosyjskich lub ukraińskich, używałam polskich, oczywiście wyrażonych w jednym z owych alfabetów. Zapewniałam, że ślemy wszystkiego po trosze (jagły, mąkę, kaszę gryczaną z paczki), bo nie wiemy, co chciałyby i czy ma gdzie gotować.

Po kilku miesiącach dała znać, że otrzymała przesyłkę, ucieszyła się, już

wie, jak nam się wiedzie. Paczka powiedziała wszystko. To była jedyna, na więcej nie mogliśmy się zdobyć.

Pisałam właśnie listy do Lwowa, ciesząc się, że tam koleżanki na tajnych kompletach realizują polski program, o czym donosiły mi w sposób nieco kamuflowany. Tymczasem odwiedziły nas dzieci tubylcze z ostatniej w baraku kwatery, którą przeznaczono Kazachom, kiedy wrócili ze stepów, skończywszy letni wypas owiec. Zwyczajem tubylców Szurka z małym braciszkiem o imieniu Bała stali przy drzwiach i obserwowali nasze zajęcia. Mama coś łałała, pani Wojciechowska przebierała resztki pszenicy, Fela dmuchała w palenisko z garstką *kiziaku*, by rozniecić ogień, Ela siedząc na ziemi pod okienkiem czytała książkę, a ja wykorzystywałam atrament, póki nie zamarznął. Dzieci uznałam za typowe i narysowałam małego chłopca, co Szurka biegła pokazać matce, gdyż Bała z portretu naprawdę był podobny. Za chwilę przyniosła czarzkę *bursaku*. To mnie natchnęło nieszczęsnym pomysłem. Wybrałam się do grubego Mielnikowa, władcy spółdzielni, aby sportretować jedyńckę w nadziei, że gdy się uda, mogę liczyć na następne okazje. Niestety, choć pomysł był dobry, wykonanie zawiodło. Rysunek udatny, podobieństwo elementów wyraźne, całość jednak w żaden sposób nie przypominała modelu. Pięcioletnia Tania wierciła się, jak gdyby ją coś oblażyło, robiła głupie miny – chyba ja też – i moja święta cierpliwość oraz wytrwałe wysiłki na nic się nie zdały. W końcu jej matka ogłosiła obiad, stawiając na stole kapuśniak. Porwałam płaszcz tak szybko, że wkładałam go już za drzwiami, upokorzona niemal do łez niepowodzeniem i brakiem choćby gestu pozorującego zaproszenie mnie do stołu, z czego bym zresztą nie skorzystała. Trudno. Mam prawo próbować choćby nawet jako beztalencie. Robiłam, co mogłam, przeliczyłam się. Tylko ta reszta doświadczenia. Całą drogę do domu obiecywałam sobie powiedzieć, że jadłam obiad, ale mama uprzedziła mnie.

– Zupa gorąca. Dobrze ci zrobi. – A pani Wojciechowska dorzuciła.

– Syty głodnego nigdy nie zrozumie, tym bardziej ruscy.

* * *

Czasem odwiedzał nas Chińczyk, który przybył z innego *sowchozu*, by uczestniczyć w kursie traktorzystów. Stawał przy drzwiach i obserwował podobnie jak Kazachowie. Na wyrka nie zapraszało się nikogo z obcych, zresztą usiąść nie było gdzie, chyba na polepie glinianej. Rozgadał się kiedyś, gdy zastał tatę i pana Wojciechowskiego. Odsiedział pięć lat w łagrze – tam się oswoił po trosze z językiem rosyjskim i kazachskim – za przekroczenie grani-

cy. Z Chin uciekł do Związku Sowieckiego przed głodem w bardzo nieurodzajny rok. Dano mu paszport, czyli obywatelstwo i nie myślał już o przekraczaniu granicy, aby nie wpaść znowu. Zresztą „głód taki sam” wszędzie. Przedstawivszy życiorys zwrócił się do taty – wskazując na mnie – z pytaniem, ile kosztowałaby ta *kyzymka* (dziewczyna), gdyby chciał ją uczciwie kupić na żonę.

– Alicja, gratuluję zaszczytu. Pisnęła Ela z niewinną minką.

– Ale pilnie czytasz – odpaliłam – i nie podsłuchujesz, zazdrośnico.

Biedny konkurent nie mógł zrozumieć, dlaczego oferta nie została przyjęta.

– Ja uczciwie. Będę traktorzystą, zarobię, przyjadę zapłacić. Uskładałam i wtedy. Tylko, żeby już nie inny, tylko ja. Nie teraz. Jak już będę miał pieniądze. Ja pracowity i porządny, nie *swolocz*. Ja zapłacę, pojedziemy do urzędu, będzie kontrakt ślubny. Wtedy ojciec tłumaczył, jak dziecku, że u nas tak nie wolno, ale to – wydawało się – jakby mówił „dziad do obrazu”. Aż pan Wojciechowski chciał zagadać biedaka.

– A ile żon może mieć Chińczyk? Tam w Chinach?

– Tutaj, jeden. Tam, nie jeden. Dużo ryżu, dużo żon. Mało ryżu, mało żon, nie trzeba dużo. A ja chcę ...

– Ela – zauważyłam – masz szansę! – Jednak Fela nas uciszyła.

Wytrwały absztyfikant zaglądał jeszcze kilkakrotnie, lecz nic nie mówił, bo nie było tata. Zjawił się po zakończeniu kursu, by się pożegnać. Tym razem zastał ojca i deklarował powrót, jednak dał sobie wyperswadować. Może dlatego, że leżałam chora. Już miał odejść, nagle wybuchł śmiechem i wyciągając rękę w kierunku mamy, zachwycił się, urzeczony:

– Okulary! Okulary! Ja kupić, ja czytać. I porwał je, aż mama protestowała. Z rąk Feli wyjął gazetę i wniebowzięty włożył okulary.

– *Nikak nie mogu*; wyznał po chwili z głębokim żalem.

– To jest rosyjska gazeta, a nie chińska; rzekła Fela z powagą, biorąc gazetę i podając mu ją we właściwy sposób, bo trzymał do góry nogami.

– Umiecie czytać po rosyjsku?

– Nie, po rosyjsku nie, ale w okularach, ja powinien.

Barak

Trochę łatwiej było żyć w owym porozdzielaniu nas osobno w klatkach, łatwiej, niż w tamtej jednej izbie z kuchenką na setkę ludzi. Było trochę biegania, aby pożyczyć miednicę, nożyczki, młynek do kawy celem zmielenia pszenicy, bo taką lepiej uwarzyć. Było zimno, lecz mniej ciasno i krępująco.

Przeważnie sypiano na dywanach z Polski ułożonych na glinie, lecz w pościeli obleczonej, co zadziwiało tubylców; tak jak i nasz zwyczaj przebierania się do snu. Wszędzie ludzie mieli jakieś kufry, kosze, walizy, pełniące różnorakie funkcje, ze stołem na czele, gdyż prawdziwych mebli brak. Tylko u nas było inaczej. Dwa wyrka, skrzyneczka, dwie walizki współmieszkańców i prawie żadnych rzeczy, poza garstką odzieży. Żadnej bielizny pościelowej, czym różniliśmy się, niestety, od innych. Mniej się jadło, mniej paliło, ogrzewało, mniej było szumu i ruchu. Nasze dwie Marie wracały na nocleg zmęczone po kursie, który obejmował praktykę w *traktornym parku*, króciutko się wtedy świeciła lampka na ropę, rozkładano legowiska i dzień kończył się wspólnym różańcem. Pan Wojciechowski, organista, wieczorami, przed powrotem kursantek zaczynał śpiewać *Godzinki*, a ponieważ przeziębienie nas nie opuszczało, wciąż tłumiłam w sobie myśl, że tym śpiewaniem to się raczej nie tyle napraszamy Panu Bogu, ile mścimy za swoją dolę. Wszystko, tylko nie *Godzinki*, na które zdawałam się porastać kolcami, lecz nie miałam wyboru, wobec czego traktowałam je jak pokutę.

Czasem z Elą wystawałam u progu, wszak w domu nie było ciepłej. Przytupywałyśmy, umilając sobie życie opowiadaniem książek lub filmów. Nie korzystałyśmy z zaproszeń do innych kwater, by się ogrzać, wszędzie panowała ciasnota. Nieraz przechodnie zatrzymywali się na pogawędkę, czasem ktoś z młodzieży. Choćby Cesia, która bardzo się z nami zżyła; to dzięki niej pani Jadwiga orientowała się w naszej sytuacji i proponowała pomoc. Chętnie pojawiała się Matyldzia z nowinkami, do których miała dar szczególny. Od niej dowiedziałyśmy się o niezwykłym zjawisku nocą. Zorza polarna docierała aż tak daleko. Miejscowi uznali ją za znak, który zapowiada rychłą wojnę; zaczęła się w czerwcu.

Kiedyś, gdy po nieudanych wyprawach wróciliśmy obie z Elą bez chleba, Matyldzia dyskretnie przybiegła do nas z placuszkami, uszczęśliwiona, błagając, abyśmy się nim obdzieliły, bo sama zjadła już całe. To było zaskakujące i wzruszające.

Pewnej nocy zbudziło mnie gwałtowne, poziome kołysanie, jak gdyby ktoś gwałtownie szarpał wyrkiem. Po głośnych oddechach zorientowałam się, że nie tylko ja nie śpię. A potem słyhać było kaszel, wycieranie nosów, drapanie się Marysi (świerzb), nikt nie spał, choć w ciemności nikt się nie odezwał. Kołysanie odczułam kilka razy. Wskutek panującej ciszy doszłam do wniosku, że to majaki głodowe. Rankiem wpada pani Sochacka z pytaniem, czy i nam trzęsienie ziemi nie dało spać. I wówczas okazało się, że w naszej izbie – a było nas dziewięcioro – każdy uznał swe odczucia za głodowe majaki.

Pewnego razu, gdy zabrakło chleba, a zapowiedziano nową dostawę, roz-

ważaliśmy z Elą, czy czekać przed spółdzielnią, czy iść do domu w tę straszną wichurę, aby zaraz potem wracać. Wówczas pani Maria zaproponowała zasięgnięcie języka u piekarza, kiedy będzie gotów z wypiekami. Za godzinę.

– Może poczekacie u mnie, tuż obok. Szkoda mordegi, taki wicher. – Ela zdecydowała się bez namysłu, więc posłaliśmy. Lepianka malutka z sionką i izbą mieszkalną. Meble, dwa łóżka, mały stół i stołek, jak u Rosjan. Z walizy pani Marii ustawiona niby komoda, przykryta serwetką, album ze zdjęciami z Polski.

– Pokażę, zdejmujcie płaszcze, tu ciepło. O, to nasza rodzina, mama, mój mąż, nasz synek, którego pozwolono zostawić mi z mamą.

– Gdzie są teraz? – Odważyła się Ela.

– Męża wzięli: oficer policji. Żegnał mnie i mówił. „Musisz przeżyć! Wróć. Musisz, za wszelką cenę, pamiętaj!” – Rozpłakała się.

– To najlepszy człowiek na świecie. Muszę przeżyć dla niego, dla synka, dla matki. Nie miałam wyjścia. Ja wciąż choruję, gdzież mi do takiej pracy, jak tu. Na ile by wystarczyło to, co mam? Kiedy Kazach zaproponował, abym została jego gospodynią, pojęłam, że to moja szansa na przeżycie. *Domochadziajek* nie zmuszają do roboty. Tyle to ja mogę. Chodzę po mleko, gotuję, piore, szyję, sprzątam. Ta lepianka już całkiem inaczej teraz wygląda. A on spokojny, pracuje, docenia.

– No, tak, ale...

– Ale teraz ja mam spokój i jakąś nadzieję. Nie głoduję, nie marznę. Nikomu męża nie odebrałam, krzywdy nie wyrządziłam. Reszta to moja sprawa osobista.

– A nasi ludzie?

– Nie narzucam się im. Nikomu. Odsunęłam się. Wiem, co mówią, trudno. Tam też nie wszystko jest, jak powinno być.

Oglądałyśmy album, świadectwo normalnego, rodzinnego życia. Smutno.

– Ciężko pani w odosobnieniu.

– Zdecydowałam się na tę ofiarę. Dla męża. On zrozumie. Tak bał się o moje zdrowie, z którym było źle. On mnie nie potępi. A tu wszystkim schodzę z drogi, nawet pomocy nie proponuję, rozumiem pogardę. – Wracałyśmy z chlebem i ciężkim sercem. Dręczyły nas bowiem pytania. Czy za wszelką cenę, to znaczy także za taką? Czy to jest prywatna sprawa? Czy? Czy?

Od niedawnych współmieszkańców – przesiedlonych na czwartą fermę – chodzących do Sigizbaju na pocztę, wiedzieliśmy, że w Chutorze Dolnym, oprócz hodowli świń, prowadzono hodowlę krów. Czasem można tam było kupić ser *obrat*, dość tani. Wybrałyśmy się więc z Elą w słoneczną, choć mroź-

ną niedzielę. Szło się po ubitym, śniegowym trakcie, wyjeżdżonym przez sanie, a utwardzonym nogami ludzi dorosłych, chodzących w obie strony do pracy oraz dzieci, które nie miały szkoły na miejscu. Na Chutorze Dolnym znalazłyśmy lepiankę Polaków. Odsapnęłyśmy chwilkę i Danka Kijanowska zaprowadziła nas do mleczarni, gdzie kupiłyśmy po dwa kilo sera, jeszcze ciepłego. Podziękowałyśmy wszystkim, uśmiechnięte od ucha do ucha wracałyśmy, skubiąc po trochę – póki nie zamarzł – twaróg z woreczków, aby mieć siły na powrotne (cztery) kilometry. Już widać było pierwsze lepianki Sigizbaju, kiedy nadjechał na koniu Kazach, *uprawalajuszczy*, główny nasz wróg. Nie zdążyłyśmy ukryć woreczków. Odebrał, sprawdził, rzucił na ziemię. Wrzeszcząc, że to kradzione, pędził nas z powrotem na Chutor Dolny. Wówczas ostrożnie wyjmowałyśmy z woreczków ser, by po trochu połykać zmarznęte grudki, skoro nie było nadziei na doniesienie do domu. Rosjanki w mleczarni nie dały się zakrzyczeć i zgodnym chórem wołały, iż odsprzedały nam swój tygodniowy przydział, bo do tego mają prawo, a my przyszłyśmy aż z centrali. Rozwścieczony, chwycił nasze woreczki i wybiegł wprost do chlewów. Zawartość wysypał świniom.

– Świnie *kazionne, obrat kazionny*. Teraz w porządku. A wy mnie popamiętajcie.

– Pod jednym względem miałyśmy szczęście; odezwała się Ela w powrotnej drodze.

– Czyżby? Nie mogłam sobie przypomnieć.

– To, że Cesi nie puszczono z nami, chociaż prosiła.

* * *

Opłatki napływały w listach, zwykle wzbogaconych kartką na odpowiedź, wszak papieru brakło. Wszyscy starali się zaoszczędzić albo zdobyć na Wigilię mąkę, ziemniaki i mieć przynajmniej ten raz pierogi. Mąka była czarna, jakiej nikt u nas, we Lwowie, nigdy nie widział, oścista, lecz upragniona. Do narady o możliwości zaoszczędzenia mąki włączyła się Ela, przysłuchując się rozmowie matki z Felą.

– A, to nic nie szkodzi, że nie będzie tradycyjnych dwunastu potraw. Wystarczy nam jedenaście. I jeszcze mam pomysł. Ala i ja możemy, bo nam się to świetnie udaje, pójść znowu i kupić w Dolnym ser. – I cieszyła się, strojąc żarty z niedawnej klęski.

Nadeszła Wigilia, pierwsza na zesłaniu. Nawet gwiazdki nie było na pochmurnym niebie, a wiatr stepowy udowadniał, kto tam ma największe prawa. Wszyscy snuli się przyciszeni wspomnieniami i tęsknotą, z wielokrotnioną

przez niepokój o najbliższych, oddalonych. Obie Marie poprzedniego dnia poszły osiem kilometrów na „swoją” pierwszą fermę; całe szczęście, dzięki temu dzień był spokojniejszy. W izbie zrobiło się luźno. Przyprowadziłam ciocię na wieczerzę. Opłatkiem łamaliśmy się ze sobą i współmieszkańcami, składając życzenia. Cała uczta, po cztery pierogi. Czarne ciasto, białe ziemniaki, luksus. Wodę z gotowania mama odstawiła; to będzie zupa świąteczna, tamci swoją wypili, a my wrzątek.

W dzień Bożego Narodzenia radość wszelkiego stworzenia; ktoś zaczął beżmiernie smutnym głosem śpiew. Kolędy było słychać w całym baraku, wicher się uciszył, jakby zrozumiał, że mają dotrzeć do niebios, nabrzmiałe błaganiami i łzami. Podczas Świąt Bożego Narodzenia odwiedzano się z życzeniami i opłatkiem, nie brakło go wtedy. Odłożyłam trochę na nieznaną przyszłość.

* * *

Stogi układano w rozmaitych, odległych od ferm rejonach, tam, gdzie odbywały się sianokosy. Brakowało środków transportu, ale z pewnością część siana można było przybliżyć ku ludzkim siedzibom. Uważano jednak, że zimą będzie się wozić siano zgodnie z potrzebami. Właśnie zimą na pierwszej fermie Dżyldykara zmuszono do jazdy Frania Kozuszka. Dano mu spore sianie do załadowania, machnięto ręką, w którym kierunku ma jechać i kazano pilnować wołu. Pogoda mroźna, wiatr taki sobie. Na szczęście Franio był nienajgorzej ubrany. Na głowie miał ruską, futrzaną czapę z nausznikami i klapą, chroniącą czoło. Pojechał.

W stepie pogoda nigdy nie jest pewna. Już cieszył się, że widzi stóg, gdy nagły burzan zamienił świat w zimne piekło. Zwierzę wydobywało z siebie całą energię i na ślepo dotarli do celu. Ni stąd ni zowąd wół zaczął drzeć wyrwę w zamrożniętej ścianie siana, Franio poszedł za jego przykładem. Wspólnymi siłami zrobili jaskinię, w której przeczekiwali groźną aurę. Trwała trzy dni. Wół przynajmniej miał na miejscu spiżarnię. Franio głodny, bez poczucia czasu, usypiał i budził się. Tracił przytomność i znów usypiał, grzejąc się przytulony do zwierzęcia. Na fermie matka szalała z lęku, jednak nie sposób było ruszyć na poszukiwanie. Na krok nic widać, burzan szalał. Czwartego dnia znaleziono żywych, chłopca i wołu. Franio trafił do szpitala, tam kosztem amputacji odmrożonych palców u niego uratowano mu życie.

* * *

Dziubarbej, teraz popychadło sowchozowe, był dzieckiem bogatych *bejów* – mieli liczne stada owiec – zamordowanych podczas rewolucji. Biedacy

kazachscy włączyli Dziubarbeja do grupy swoich dzieci i to go uratowało. W sowchozie stałym miejscem pobytu Dziubarbeja był Sigizbaj, skąd słano go w różne miejsca z pilnymi zadaniami, zwykle tam, gdzie komu innemu było niemiło. Najczęściej jako woźnicę, który dostarczał różne rzeczy do ferm Tas Bułaku. Znali do wszyscy. Nikomu wody nie mącił.

Któregoś dnia wlokłam się ze spółdzielni, znużona piętą, bezowocną wyprawą po chleb, którego już w tym dniu nie oczekiwano. W domu pustka i zimno, a ja znów zostałam odepchnięta od lady przez silniejszych. Dławiłam się łzami. Zmarzłam tak bardzo, aż zaczęłam beczeć rozgrzeszając się, że nikt nie widzi. Tymczasem tuż przede mną wyrósł Dziubarbej.

– *Kyzymka*, bierz chleb! Bierz, nie płacz! I wyciągnął *pajok* zza pazuchy. Ocknęłam się na tyle, że od razu podałam mu należność, którą miałam w rękawiczce.

– *Rachmet*, Dziubarbej, *rachmet!* Dziękowałam dobroczyńcy, który ostrzegł, abym nikomu nie mówiła i znikł w najbliższej lepiance. Miłosierny Kazach, pogardzany Azjata. Jak go porównać z panią, która hoduje wdzięczne pieski? Moje wyobrażenie świata zaczęło się chwiać.

* * *

Najwięcej książek przysłał mi Lolek, odkrywszy wydawnictwa Zückerkandla. Były to dramaty klasyków światowych; miały format kartki pocztówkowej. Kilka książek dostałam od Ali Dawidowicz, jakąś od swej pierwszej nauczycielki, Martusi. Od czasu do czasu od Leona, szwagra, który w zachwyty wprowadził mnie i innych czytelników Mickiewiczem w opracowaniu Stanisława Pigonia. Każdy coś tam znajdował dla siebie, czytano w niektórych kwaterach na głos, dopóki się nie ściemniło. Dziewczęta przepisywały, jeśli tylko miały na czym. Uczyły się na pamięć. Nawet maluchy przychodziły, prosząc o czytanie bajek. Następne były od Leona, bardzo rozchwytywane. Józefa Ignacego Kraszewskiego *Kunigas* i *Chata za wsią* oraz Jacka Londona *Dolina księżycy*, oprawione solidnie, grube.

Nowa książka zachwycała mnie objętością. Niestety, rozczarowała treścią: *Słownik niemiecki*. Po co mi? W gimnazjum miałam francuski i łacinę. Jednak okazało się, że Kazio Dudek wpadł na pomysł uczenia się niemieckiego z Bokociakami, licząc na pomoc pana Jasia. Ten, nagabywany przez chłopaków, oznajmił, że zaczną się lekcje, gdy będą umieć trochę słówek. Staś, spotkawszy mnie, zameldował rozpromieniony:

– Wiesz, wkrótce pan Jaś zacznie z nami lekcje. Umiemy już dość dużo słówek. Wszystkie, po kolei, na litery: a, b, c oraz część na d.

Potem Lolek przysłał *Antologię liryki polskiej* Wacława Borowego. Była nam podporą duchową, okazją do wzruszeń, azyłem od zmartwień, serdeczną więzią z krajem, jakiej bardzo, oprócz korespondencji, było nam trzeba.

Dnia z wolna przybywało, mrozy w dzień zelżały. Cieszyliśmy się, że zima ma się ku końcowi. Już nawet poczta dowoziła paczki, nadane wczesną jesienią. Jakaś przez nas oczekiwana, z kaszą, wróciła do Dzidki, bo ta włożyła do niej miód, który sfermentował, rozsadził puszkę i przebił się przez opakowanie. Szkoda. Trudno. Kilka paczek z odzieżą zimową, wysłanych Cesi przez jej ciotkę, dotarło teraz. Otrzymywała wiadomości o ukrywającym się ojcu, który również dawał o sobie znać jako rzekoma babcia. Rodzina zawiadomiła nas o wysłaniu paczki do Wandzi, do łagru, prosząc, aby tym już się nie kłopotać. W jednej z paczek mama dostała babciną spódnicę, długą do ziemi, szeroką. Przerobiła na siebie, a z resztek uszyła mi kamizelkę, z guzikami, które wystrugałam z patyka; mama obszyła je materiałem. Wspaniale zakrywała łąty „na plecach” bluzki. I tak się wystroiłam na Wielkanoc.

Wielkanoc zbiegła się z naprawdę pierwszym dniem wiosny. Wiatr i słońce zlikwidowały śnieg i rozpulchniona ziemia zazieleniła się trawką. Wszyscy mieszkańcy osady powyłazili ze swych nor. Polacy, rzecz można, celebrowali święto, naprzód śpiewem, później spacerem bez pośpiechu, strojni w najlepsze resztki ubrań, radośni, odmienieni. Cud. Zjawiły się nasze dziewczęta z Chutoru Górnego. Nalegały. – Przyjdźcie do nas na wzgórze zobaczyć stepową wiosnę, gdyż tubylcy zapewniają, że trwa ledwie kilkanaście dni. –

Pośród spacerowiczów wzdłuż naszego baraku nie było ani mamy, ani pani Wojciechowskiej. Siedziały z Felą w izbie, gawędziły w miłym nastroju.

– A to znacie – zaczęła pani Wojciechowska – „Nadziejo, jakaś mi miła”?

Fela zawtórowała. „Tyś życia mego ozdoba. II Tyleś mnie razy zdradziła! II Ja zawsze pójdę za tobą!” Rozległa się piosenka, wcześniej nieznana mi, pamiętana odtąd wraz z matką Feli i Eli.

Poniedziałek Wielkanocny. Wyprawa na Górne. Tam nagły wybuch wiosny rozkwiecił połacie łąk. Łachami czerwieniły się niewielkie, niczym stokrotki, kwiatki podobne do naszych maków. Dalej całe kolonie maleńkich tulipanów, białych, żółtych, czerwonych, ledwie wystających znad trawy, potem miniaturowy hiacyntów. Często wśród trawy napotykałyśmy liście poziomek, takich, jak tam, u nas, w Polsce. Powietrze świeże, wiaterek łagodny, wzgórze raczej płaskie. Ślicznie. Świat jest piękny. Czemu wszakże tak tęskno i smutno? Sam chutor bardzo

mały, lepianki ubożuchne, kilka rodzin naszych, parę tubylczych. Odludzie. Strasznie tu musiało być zimą.

Tuż po świętach wtargnęli dygnitarze z naczelnym Kazachem i Gałyszem, pięcioro. Z wrzaskiem oznajmili, że władza karnie przenosi na trzecią fermę Wojciechowskich, gdyż nikt z nich nie pracował i nie chce pracować. Dygnitarze zaczęli chwycić, co im wpadło w ręce i wyrzucać przed dom krzycząc, że zaraz będzie podwoda. Za nieposłuszeństwo *proguł*. Powstało okropne zamieszanie, uczestniczyli w nim również inni mieszkańcy baraku. Fela odbierała rzeczy wynoszone i wносиła z powrotem, wszak wśród nich były nasze. A prześladowcy szarpali, aby na nowo zabrać i wynieść. Hałas, rozpacz, szaleństwo. Rzucono na wóz dwie walizki, obok kilka tobołków. Wśród rozgardiaszu oraz pożegnań rozstawaliśmy się z przyjaciółmi, na niewiadome. Gdy odprowadziłam ich spory kawał, a potem zobaczyłam moich rodziców, bardzo smutnych, tak mi się żal zrobiło, że chętnie wyłabym – śpiewane zawsze z panem Wojciechowskim – *Godzinki*, które przez minione pół roku stanowiły dla mnie rodzaj pokuty.

Tydzień później to samo spotkało nas i kilka innych rodzin: panią Anię Nowakową z Dziunią i Jerzykiem, panią Korzeniewską, zaprzyjaźnioną z nimi, panią Kierepkową z Matyldzią. Gdy rzeczy załadowano na wóz, rozsunęłam je, aby mama usiadła, słaba bardzo; z zaburzonym zmysłem równowagi po przewlekłym zapaleniu ucha środkowego. Gałysz, który się zjawił nagle, podniósł wrzask, że nie wolno siedzieć na wozie nikomu, bo wół się przemęczy. Na moje protesty chwycił mamę za rękę, aby ściągnąć z wozu. Ja natomiast chwyciłam jego rękę, wystraszona, że mama spadnie. Zeszła. Woźnica ruszył, mama położyła dłoń na brzegu wozu, aby przy nim iść. Gałysz, zobaczywszy, uderzył ją po ręce.

– Ludzie, ratujcie, a to cham! Pałnęłam z całej siły po tej „karcącej dłoni”, za co Gałysz zamachnął się, wściekły. Odskokczyłam, a mama krzyknęła, abym się uspokoiła. Odeszła od wozu i pociągnęła mnie. Ojciec odprowadził nas na bok, nie zwracając uwagi na głośne przekleństwa, sypiące się po rosyjsku i po kazachsku za mną. Krzyczałam, biorąc ludzi na świadków, lecz widziałam, że ci, którzy dopiero co żegnali nas ze współczuciem, odchodzą obojętni. Już obojętni, pomimo niedawnych serdecznych słów „z Bogiem!”

– No, cóż skomentował to ojciec, my odchodzimy, oni zostają. Zrobiłaś, co mogłaś w obronie matki. Oni mają rodziny, nie mogą swoich dzieci narażać na zemstę Gałysza. To wszystko.

* * *

Tiki Bułak po kazachsku znaczy „owczy klucz”. Osada niewiele większa od Łaj Bułaku („kozi klucz”), gdzie nas przed niecałym rokiem wyładowano

z samochodów. Trzy rosyjskie domy i kilkanaście kazachskich lepianek. Bez poczty, szkoły, piekarni, szpitala – dla którego ciocia Iza wolała zostać w Centrali – bez klubu. Urząd jednoizbowy, sklepik zwykle pustawy, oferujący mąkę zamiast chleba, rzecz jasna, jeśli była. Kwaterę nam dano w łaźni owiec; dla ludzi łaźni nie było. W sieni dół na wodę do kąpeli zwierząt przed strzyżeniem. W izbie, do której wiodły prowizoryczne drzwi, piec kuchenny na parę garnków i dwa okna bez możliwości otwarcia. Przy oknie dalszym zajęłam miejsce dla nas. Tam ojciec zmontował pryczę. Cała Polonia przyszyła nas witać. Był to piętnasty kwiecień, rocznica naszego przejazdu przez Zbrucz. W Tiki Bułaku zastaliśmy panią Kapałczyńską z Andrzejem, moim rówieśnikiem, i młodszym Jurkiem, znajomych z wagonu, panią Horodyską z Jurkiem i Zosią, panią Zwierzańską z Krysią, Hanką i Janką, tudzież rodziny Serwatowskich, Śniadowskich, Dzieduszyckich Prokopczyców, Rohatyńców, Kahane, Tyszków, Klinków i kilka innych; razem wtłoczone do dwu kwater w domach rosyjskich. Pokazano nam, któredy chodzić do rzeki po wodę, niecały kilometr za szosą. Posililiśmy się, czym kto mógł i, ułożyliśmy się spać.

Śniłam, że kłują mnie setki igieł, a potem, że płonę. Aż krzyk własny mnie obudził. Pałą rękę, cała skóra.

– Świeca? Tu, tu była. Nie płacz, Jerzyku! – Usłyszałam głos pani Ani i za chwilę świeca migotała płomykiem. Wyciągnęłam nogę spod pierzyny. Jezu, mrowie pluskiew. Na rękach, wszędzie. Wskoczyłam z wyrka, zaczęłam je z siebie zrzucać, strzepywać, zgarniać, nie tylko ja jedna, wszyscy. – Zdeptujcie od razu! Rozdeptujcie! – Padały urywane uwagi, a ja zacisnęłam usta; nie ma innej rady. Ale nam wymyślili karę. Boże, ratuj! Co jeszcze? Rozpacz, a świeczka się topi, jedyna. Pani Ania musi ją zgasić. Jaki smród od tych pluskiew. Męka do samego rana. Posnęliśmy wśród płaczu.

Przed brzaskiem nowi władcy urządzili nam pobudkę, wzywając do roboty. Na krzyk odpowiedzieliśmy wściekłością z powodu pluskiew, co ich tak ubawiło, że rechotali i klepali się po udach ze śmiechu. Cóż to takiego kłopy (pluskwy)? Wiadomo, są wszędzie. Dopiero teraz glina w baraku sigizbajskim wydała nam się czymś wspaniałym. Wszak ostatnia noc okazała się gorsza od tamtej nocy, kiedy dach gliniany spływał nam na głowy i legowiska. Do roboty wypędzono ojca, przydzielono mu cielęta, mnie owce. Resztę, dzieci, matki, gospodynie domowe potraktowano ulgowo.

Andrzej Kapałczyński, spostrzegłszy mnie przed stajnią, radził, bym ubrała się ciepłej. Miał rację, tu jeszcze nie doszła taka wiosna, jaką pożegnaliśmy w Tas Bułaku i na Górnym. Trawka już się tu i ówdzie nadawała do skubania

owieczkom, choć płaty śniegu leżały nadal. Trzoda traktowała je jako źródło wody. Pasłam dwadzieścia dwie owce z jagniętami na skraju fermy. Dzień, zaczęty wcześniej, dłużyl się mi bardzo, ból głowy narastał, doczekać się nie mogłam sygnału powrotu, bez czego nie wolno było stamtąd ruszyć. Stada wprowadzano do owczarni kolejno, za każdym zamykając przegrodę, aby nie wywołać zmieszania się. Ponowne rozdzielanie byłoby zbyt kłopotliwe i trwałoby długo. Kręciłam się w swoim rewirze między jakimiś dołami, wypełnionymi śniegiem, głodna, słaba, bez możliwości odpoczynku. Ziemia, mokra, odstraszała od siadania. Wreszcie mnie zawołało, zdałam stado. Mama czekała z zupą, którą już oboje z tatą jedli, bo tato wrócił wcześniej niż ja. Uspokajano nas, że noc na pewno będzie lepsza od wczorajszej. Cały dzień panie tępiły pluskwy. Zlewały wrzątkiem ściany i polepę.

Niestety, tępienie insektów nie okazało się skuteczne. Nocą pojawiły się znowu, spadały z sufitu. Chyba bardziej zażarte. Wyniosłam się więc do sieni, gdzie było odrobinę lepiej, lecz wciąż ktoś tamędy przechodził. Pseudo drzwi trzeszczały. Moje legowisko przeszkadzało. Musiałam zrezygnować ze spania w sieni. Z początkiem maja zrobiło się cieplej, przeniosłam się więc na drewnianą trybunę, stała na placyku, tuż przed naszym oknem. Zaprosiłam do towarzystwa, zachwyconą tym, Matyldzię. Wytrzepałyśmy i sprawdziłyśmy okrycia, aby nie zawlec robactwa. A gdy kiedyś deszcz nas wypłoszył, wyniosłyśmy się do opuszczonej przez owce stajni, którą już „wymalowano” na zimę. Tam można było się wyspać. Miejsce lepsze, niż to, które dano ludziom. Zwierzęta były ważniejsze. To dla nich trzymano w „koszarach” bryły soli. Dla nas soli nie było. Za kradzież soli groziły dwa lata więzienia, jak informował ojca Kazach, którego mój rodzic przyłapał na rąbaniu bryły. Ów Kazach bryły się podzielił. Zalecił jednak ukryć sól, aby nikt nie doniósł władzom.

Cierpiałam na bóle głowy, które potęgowała lokalizacja terenu do wypasu owiec. W zaśnieżonych rowach gniła padlina. Owce chorowały na gruźlicę. Stłoczone w ciasnocie i zaduchu, padały. Zdechłe rzucano po rowach. Nie zakopywano, gdyż – twierdzono – nie było komu. Pozwolono to zrobić Polakom, lecz dopiero po całym dniu pracy – kiedy nikt z nas nie miał już sił – i bez odpowiednich narzędzi. Domagałam się, aby mi dano inny teren. Odtąd pasłam na jakimś pagórku, między terenem Andrzeja i Matyldzi, piętnastolatki, którą też zmuszono do pracy. Tam tkwiłyśmy do końca kwietnia, marznąc od świtu do zmroku, zwykle o jednym podpłomyku na cały dzień; oczywiście, jeśli dano nam przydział mąki zamiast chleba. Za dwa tygodnie pracy przy wypasie owiec otrzymałam piętnaście rubli oraz premię – również

piętnaście rubli – za to, że mi na dyżurze żadna owca nie padła. Błada i dumna zaniiosłam mamie pierwszą wypłatę. – Dobre i to – westchnęła. – Przed rokiem miałyby wartość. Teraz jajko kosztuje trzy ruble. Piętnaście dni, od świtu do zmroku, za dziesięć jaj. –

Wiosna tutaj zapanowała w maju. Inna. Nie spotkałam owego bogactwa kwiecia, jakie zachwyciło mnie w Górnym. Nie znalazłam szczawiu, którym jakiś czas żywiliśmy się w Centrali. Tutaj step zielenił się lebiodą. Z początku była uzupełnieniem potraw, potem, w okresie „międzypaczkowym”, stanowiła jedyne wyżywienie. Później mama zbierała kwiat dziewanny i dziurawiec. To wszystko trwało ledwie parę tygodni, zanim słońce nie wysuszyło roślin. Przez kilkanaście kolejnych dni, o świcie mama zbierała na gnojowisku pieczarki, lecz i one niebawem się skończyły.

Przydzielono mi stado dwustu dwudziestu owiec i teren za rzeką, którą przekraczałam, prowadząc zwierzęta na wypas w głęboki step. Wszystkie stada rozchodziły się z fermy promieniście, nie groziło zatem ich zmieszanie. Moje zajmowało w owczarni miejsce przy wrotach. Stada wprowadzano do stajni kolejno, po każdym zamykając przegrodę wewnętrzną. Ponieważ moje stado, jako ostatnie, mieściło się przy wrotach, dlatego musiałam wyprowadzać pierwsza o brzasku, a wprowadzać ostatnia, o zmroku. Pracowałam zazwyczaj dwie godziny dłużej niż inni, a czasem nawet więcej. Za każdym razem owce liczono. Oddalały się od fermy, skubiąc trawę. Szły tak do południa. Kiedy słońce było w zenicie, stawały blisko jedna przy drugiej, chowając łeb pod brzuch sąsiadki i wymieniając się co jakiś czas, aby każda mogła uchronić się przed przegrzaniem. Tak stały dwie godziny, murem. Co za instynkt i solidarność. Te, narzucone mi, przerwy wykorzystywałam na wypoczynek. Nosiałam w chlebaku książkę, parę listów, kartki do odpisania. Czasem miałam placuszek z mąki i wody, lecz bywały dni, kiedy żywiliśmy się *taukanem* – łuska z prosa, mielona na żarnach, stosowana przez Rosjan na paszę świń – albo usiłowaliśmy jeść uschnięte, lękowate lodygi lebiody.

Samotność mi nie ciążyła. Wypoczywałam od gwaru, ruchu i konieczności liczenia się z ciągłą obecnością nader wielu ludzi. Chętnie brałam ze sobą *Antologię liryki polskiej*, czytałam. Pisałam wierszyki. Czasami śpiewałam, zapewne baraním głosem, bo owce mi wtórowały.

Pewnego ranka kilka owiec zaczęło wydawać dziwne głosy, ani beczenie, ani kaszel. Wyciągały szyje i łbami trącały mnie pod kolana. Wpadłam w panikę, że się pewnie potruły jakimś zielskiem i zdychają. Od fermy odeszłam już ze cztery kilometry, nie zdążyłabym stada szybko tam pognać. Zostawiłam je

więc i popędziłam sama, jak szalona. Gdy zziajana wpadłam na fermę, zastałam czabanów przed stajnią. Najstarszy zapytał, co się stało.

– Owce! Wielojęzyczną mową, gestami, ruchami, wyciągniętą szyją, otwartą gębą usiłowałam tłumaczyć, popędzając, aby biegli ratować stworzenia, a oni nic.

– Giną, zdychają, *ponimajesz?* Omal nie płakałam. Oni patrzyli na mnie z uwagą, zrozumieli całe przedstawienie, i nic.

– Zdychają – wrzeszczałam – nie będziecie mieli owiec, *ponimajesz?*

– Będziemy mieli i to jeszcze więcej; któryś powiedział, ale to do mnie nie od razu dotarło.

– Oj, ba, joj! Tak się przejęła, że się sama tu zaraz okoci; zawołał inny radośnie i ryknęli śmiechem.

Zbaraniałam.

– Co? Jak? Żachnęłam się, zrozumiawszy, i szybciućko zwiąłam.

Byłam bliska płaczu wskutek upokorzenia, zmęczenia, również z przejęcia i ze strachu, co ja mam z tym fantem robić? Przystanęłam za biurkiem, a potem wróciłam krokiem pełnym godności i powiedziałam dobitnie.

– Macie mi przysłać zootechnika! Ja nie specjalista. I macie dać podwodę na jagnięta! Po drodze jest rzeka.

Odeszłam. Minąwszy zabudowania, popędziłam, bardzo zaniepokojona. Przybyło siedem jagniąt. Zanosilo się na więcej. Padłam i usnęłam, ledwie podłożywszy chlebak pod głowę i przykrywszy ją chustką. Obudziły mnie owce; już po swojej południowej sjeście. Radziły sobie same. Przypomniało mi się, co mówił Andrzej. Owce bywają partiami sztucznie zapładniane, stad nie trzeba mieszać. Są grupowane według terminu kocenia. Tylko, że ja nie sądziłam, iż to moje stado jest kotne. Czarna ze mnie masa. Oczywiście, nie przysłano mi zootechnika, ani nikogo. Gdyby mi mama nie pomogła, nie wiem, jak dałabym sobie radę z przenoszeniem jagniąt przez rzekę.

Kiedy dążąc do Tiki Bułaku martwiłam się, że to „za karę”, usiłowałam pocieszyć się faktem, że tam już prawie rok żyją nasi, no i przede wszystkim tym, że znów będziemy razem z Elą i jej rodziną. Nie zastaliśmy ich jednak, bo z miejsca odprawiono ich do Kuduku. Kuduk to nie był już nawet chutor, dwie lepianki i owce do wypasu. Pustkowie i głód. Tak spełniała się zemsta Gałysza. Do Tiki wrócili po miesiącu. Pani Wiktoria, matka dziewcząt, czuła się bardzo źle. Toteż po kilku dniach pobytu z nami Fela zdecydowała się na wyjazd z matką do Urdzaru, do szpitala. Lekarze, dwaj Polacy ze Lwowa, okazali się bezsilni. Pani Wiktoria zmarła na raka. Tam została pochowana. Fela wróciła sama. Nie mogę opędzić się myśłom, że nadzieja, którą żyliśmy, jeszcze raz zawiodła.

Parę dni przed końcem maja Kazach *uprawiający* Tiki Bułaku zapowiedział, że tym razem także Polacy pójdą na letnie koczowisko z trzodą w step; niczym nasz polski, góralski redyk. To się nazywało po kazachsku *dżajlau*. Nie mogłam spać po nocach. Wytypował mnie spośród wielu, lecz w ostatnim dniu zrezygnował z pozostałych. Cały zaszczyt spadł na mnie. Popędziłam do mamy z płaczem. Wzięła mnie za rękę i taką, splakaną, zaprowadziła wprost do żony pana i władcy. Ona słabo mówiła po rosyjsku, tak mniej więcej jak ja po kazachsku, ale zrozumiwałyśmy się doskonale. Na drugi dzień zgłosiłam się do pracy, a gdy już moja kolejka wyprowadzania stada nadeszła, pędziłam je we wskazanym kierunku. Rzekę przechodziło się w innym miejscu i stąd więcej miałam kłopotu z przenoszeniem jagniąt. Kiedy już część mego stada znalazła się po drugiej stronie rzeki, a ja zbierałam następną partię, by przenieść, wtedy moje przeprowadzone owce nagle się spłoszyły i rozbiegły. Zdołały się zmieszać z dwoma innymi stadami, z prawej i lewej. Dostałam kręćka i biegałam w kółko bezradna. Właśnie na to wszystko nadszedł ów despotyczny władca z żoną i synkiem półtorarocznym, niesionym przez babkę. Z okropnym jazgotem i wymachiwaniem rąk kobiety pokazywały, co myślą o mojej gapiowatości i nieudolności, aż Kazach się zirytował i wyrzucił mnie. Na to czekałam. Ani mu do głowy nie przyszło, że cały ten cyrk został zaaranżowany przez babską solidarność. Mama w rewanżu uszyła Kazaczce – z jej zniszczonego kubraczka – zimowy płaszczyk dla synka, na wyrost. Naturalnie, mama uszyła w rękach, a z mojego zarękawka, chowanego na czarną godzinę, dodała kołnierz barankowy z kłapami i mankiety, co się Kazaczce bardzo podobało. Ponieważ mama nie przyjęła pieniędzy, Kazaczka przyniosła jagły „przynajmniej za to futerko”. Zwierzyła się, że mnie lubi, gdyż gładzę po głowach kazachskie dzieci, co widywała i szkoda by mnie dać na *dżajlau*, gdzie się wszystko może zdarzyć.

* * *

Matka Władzia pochodziła z Jugosławii. Była żoną konsula polskiego, więzionego przez NKWD, nie wymawiała głoski „ł”, toteż jej syna niektórzy złośliwie nazywali Władziem. Delegowano go akurat do Tas Bułaku Centrali, aby zawiózł beczki z ropą naftową. Nie ostrzeżono, że musi uważać na zakręt tuż przy bardzo stromym spadku drogi, która wskutek skał zmienia nagle kierunek pod kątem prostym. Na dodatek dano Władziowi zwierzę jednookie, narowiste. Słońce prażyło, wół człapał wolno, Władzio kiwał się na beczce, aż go zmogło i usnął. Zbudził się zbyt późno. Arba już pędziła z góry, wół gnał na oślep i wykręcił sobie nogę. Dyszel wozu uderzył w skałę. Beczka spadła,

wóz stracił koło, złamał dyszel. Najgorsze, że beczka pękła i *karasina* wypłynęła. Nieudolny, potłuczony woźnica wrócił do Tiki z kulawym wołem.

– Sabotaż! Pięć lat za sabotaż. Popamiętasz, Polaku! – Rozpętała się wokół chłopca burza. Sprawdzano autentyczność sińców, zarządzo no wizję lokalną, zwieziono szczątki beczki i dwukółki jako dowód rzeczowy sabotażu. Słowem, obłąd. Pani Łabędzka rozpacziała, że jedynaka zamkną, on zaś, obolały wskutek potłuczeń, chodził jak struty. Ninia płakała całą noc.

Rano Ninia zbudziła się z gotowym planem. Poszła wprost do *uprawlajuszcze go*. Przedstawiła się, jest narzeczoną Władzia, mają się pobrać, dlatego ośmiela się tłumaczyć, że to nie jego wina, lecz wół, napadnięty przez muchy, pędząc z góry, nie dał się zatrzymać. Najlepszy dowód, że woźnica został potłuczony. Na koniec wybuchła płaczem, iż dzieje się im krzywda. Wypadek może się przytrafić nawet temu, kto lepiej zna się na wołach. Eteryzna panienka, bardzo się przejęła. Odeszła ze łzami. Sprawa przycichła. Ninia czuła się już wybawicielką, chodziła do pracy. Kopiczkowała siano. Pewnego razu przyjechał tam *uprawlajuszczy*.

– *Nu, dawaj, kyzymka!* Poznakomym się; wyłożył rzecz prosto. Nikogo w pobliżu, żaden krzyk nie pomoże. Za gwałt grozi kara pięć lat, ale trzeba w pierw udowodnić. Co robić? Bronić się widłami? On silniejszy. Zdecydowała. – Zrób jeden krok, a ja się przebiję; zawołała, gdy zsiadał z wołu, i oparła widły trzonkiem o ziemię, kierując zęby prosto we własne piersi. Zrozumiał. Zaskoczyła go desperackim oporem.

– *Zdużyła, cztoli?* (zghupiała, czy co?). I klnąć po kazachsku ruszył w powrotną drogę. Władziowi jednak się upiekło. Ożenił się z Ninią już w Persji.

* * *

W czerwcu otrzymałam pełną pensję miesięczną i premię, razem sześćdziesiąt rubli. Owce wyprowadzono w step, a nas rozesłano do zbiorów. Chłopcy trafili na sianokosy z częścią dziewcząt. Inne dziewczęta na plantacje, wśród nich ja i Ela. Już pracowało tam kilka naszych dziewcząt oraz pani Czupkiewiczowa z Izą. Plantacje, zwane ogrodami, znajdowały się w odległości pięciu kilometrów od fermy. Kierował nimi ogrodnik, „dziadek”, który tam mieszkał z jedenastoletnim synem Waską, w malutkiej chałupie. Zajmował kuchenkę, odstąpiwszy izdbkę robotnicom, które sypiały na glinie pokotem, w ciasnocie, pozwalającej jednak na obracanie się z boku na bok, co już umiałyśmy doceniać.

Nie dowożono tam żywności, miałyśmy prawo korzystania z przydziałów

ziemniaków, które gotowała pani Czupkiewiczowa, za co myśmy odrabiały jej normę. Dziadek chętnie się zgodził, bo gotowała również dla niego i Waśki, a reszta pracownic nie traciła czasu. Budził nas przed brzaskiem, prowadził na wyznaczony teren robót, aby ze świtem rozpocząć walkę z chwastami. Koło ósmej Waśka wołał nas na śniadaniową kartoflankę. Na obiad były ziemniaki. Pani Czupkiewiczowa umiała dziada przekonać, że harówka wymaga właściwego wyżywienia, inaczej nie wykonamy normy. Po obiedzie, w najgorszy upał, pozwalał na półgodzinny odpoczynek. Kolacja bywała po całodzienniej pracy, prawie po ciemku; kartoflanka, jak rano, osolona, cudowna. Nie kazało nam za wyżywienie płacić, lecz nie przypominam sobie, abyśmy za pracę otrzymały jakąkolwiek gotówkę. Dość, że karmiono.

Harowałyśmy porządnie. Podczas pielienia długich pól kapusty, ogórków, ziemniaków, *bakszy* (dynie, kawony i melony), gdyśmy osiągały jeden koniec zagonu, ten drugi, wypielony, zdążył już od nowa zarosnąć chwastami. Syzyfowa praca i ciągle poganianie *dawaj skorej!* Lato, słońce praży, temperatura straszna, powyżej czterdziestu stopni; w południe więcej. Bolały plecy, ręce ropięją przy drobnym skaleczeniu, awitaminoza coraz to głębsza. Wieczorem wlecemy nogi do izbuszki, schodzimy do sąsiadującego z nią głębokiego jaru, by umyć się w strumieniu, a po kolacji paść i natychmiast usnąć.

Minęła połowa czerwca i żar się nasilał. Wstałam z okropnym bólem głowy i po śniadaniu zapomniałam włożyć chustkę, bo czułam się, jak w żelaznej obręczy. Schylona nad grzędami pracowałam do obiadu, który przespałam. Nie mogłam się ruszyć, zmogło mnie porażenie słoneczne. Pani Czupkiewiczowa stwierdziła, że mam silną gorączkę. Wybawiła mnie tym z opresji, gdy dziadek wrzeszczał, abym przestała symulować i poszła do roboty. Na drugi dzień było gorzej, gdy więc zjawiała się nieoczekiwana *arba* z fermy, Czupkiewiczowa namówiła dziadka, aby mnie odesłał, bo brak pewności, czy się wygrzebię. W Tiki mama pożyczyła termometr od pani Serwatowskiej, wskazał czterdzieści stopni. Leżałam półprzytomna, mama chłodziła mi głowę okładami i zamartwiała się, że nie mogłam niczego przełknąć, wszystko zdawało mi się gorzkie, nie tylko mleko od krów karmionych piołunem. W dzień moich imienin otrzymałam list z życzeniami od Dzidki i płakałam ze wzruszenia, z bezsilności, z bólu głowy; łzy lały się same. Mama chciała iść do pobliskiego kołchozu, dwa kilometry, aby zdobyć kurę na mięso, z nadzieją, że rosół mi pomoże. Ubłagałam, żeby to odłożyła na drugi dzień, w obawie, iż nadal nie będę mogła niczego przełknąć. Wolałam zimne okłady.

Drugiego dnia mama wzięła resztki z ostatniej paczki na handel wymien-

ny do kołchozu, w którym trudno było cokolwiek dostać, gdyż, z powodu biedy nie przypominał Nowotrojska. Sami Kazachowie. Ojciec zjawił się z ważną wiadomością, wtedy nie pracował. Był na zwolnieniu chorobowym. Udręczony w kwietniu robotą przy cielakach, które brykały po stepie, zaniedbał nogę z niegojącym się paluchem. Groziło zakażenie. Pojechał więc do szpitala w Urdżarze, gdzie lekarze Polacy zajęli się nim. Leżał tam parę tygodni, nogę uratowano. Otrzymał zwolnienie z pracy wymagającej chodzenia i, pomimo gróźb naczelstwa, do roboty nie ruszył. Teraz przyszedł z wiadomością. Dziubarbej wiezie lampy stajenne dwukółką do Centrali i zabierze mnie do szpitalika, jeśli dopilnuję wołu; bo on jest po dwóch nocach nieprzespanych. Byłam gotowa, kiedy dziwne poruszenie zapanowało wśród Rosjan i tubylców, którym agronom Usatow przekazał wiadomość usłyszaną w radiu. Wkrótce i do nas dotarła. Niemcy napadły na ZSRR. Kij w mrowisko. Bieganina, niepokój, grupki przybitych tubylców. Wojna. I Polacy, zbierają się i rozważają, jakie to dla nas będzie miało znaczenie. Co teraz? Co dalej? Co z więźniami, zesłańcami? Co ze Lwowem, z Polską? Co na to świat, alianci?

Dziubarbej pyta, czy jadę. Oczywiście. Biorę chlebak, koszulę nocną, ręcznik, kawałek mydła i parę książek, na potem, gdy już będę mogła czytać. Włożyłam nową sukienkę, którą mi mama uszyła ze story i widzę w lusterku, że jestem dalej żółta. Włosy wiążę w dwa pędzelki. Tato sadowi mnie na dwukółce, obok Dziubarbej ułożył chlebak. Wół jest ten sam, który rozbił Władzia. Ojciec wręcza mi butelkę z wodą.

– Polewaj ręcznik na głowie i nie usnij, bo on, Kazach, pewnie chrapnie. Uważaj na tym niebezpiecznym zakręcie! Mamie będzie żal, że nie zdążyła z rosołem. Bądź zdrowa i przy każdej okazji przysyłaj wiadomości.

– Ucałowania dla mamy. Kurę zjedzcie na moje zdrowie. Wzięłam od Kazacha kij, gdyż faktycznie chrapnął. Ruszyłam, zadowolona, że wołu się nie śpieszy. Nie było mi wygodnie, głowa wprost przeszkadzała, okropny ból, gorączka. Groźny zakręt przewidziałam i tak szarpałam śpiącego, że zdążył się zbudzić i skutecznie hamował dwukółkę. W Sigizbaju kilka napotkanych przy poczcie kobiet, które znały mnie rok a pożegnały dwa miesiące temu, pytało, z jakiej jestem fermy, zwracając się per pani. Nie poznały mnie.

W szpitalu przyjęła mnie Mila, umieściła w sali kobiecej, przy oknie, podała leki i nie zdążyła z zupą. Zapadłam w straszny sen. Przez cztery doby nie odyskiwałam przytomności, a potem przyplątała się malaria. Ciocia Iza dowiadywała się o mój stan. Gdy oprzytomniałam, po kryjomu dzieliłam się z nią zupą. Tydzień później przywieziono Matyldię z dolegliwościami

brzucha, gorączkującą, bez fantazji. Spostrzegła moje manipulacje z zupą i dopóki nie mogła jeść, oddawała mi połowę swojej, abym całą porcję mogła mieć dla cioci, która biedowała. Spotkałam Lalę Schmallównę. Pracowała jako salowa dzięki protekcji Mili, która wybawiła ją od harówki w magazynie zbożowym. Matyldzia, wyleczona z tyfusu, opuściła szpital wcześniej niż ja. Podałam przez nią list rodzicom. Wysłałam dopiero po sześciu tygodniach. Otrzymałam zwolnienie lekarskie z pracy, całkowite na dni trzy, a do końca sezonu niezupełne, czyli z robót na słońcu. Rekonwalescencja następowała z trudem. Po trzech dniach zwolnienia całkowitego, czyszcząc stajnię, zemdlałam, wtedy mama zatrzymała mnie w domu także trzy dni. Później zabrakło sposobu. Wszystko nazywano sabotażem, a pracy innej niż na słońcu tam przecież nie było.

Wróciłam na plantację, przywitana miło przez naszych a z przekąsem przez dziadka. Teraz w grę wchodziło podlewanie. Zbierało się już plony, ogórki, kapustę, pomidory, kawony i melony. Od czasu do czasu przybywał wóz i należało ładować w obłądnym tempie. Biegałyśmy z ciężarem do upadłego, czasem obdarzane kopniakiem. Bywało, że nie zgłaszano się po zamówione plody, na przykład pomidory. Sterta złożona przy drodze, czekając na przyczepę samochodową, gniła. Dopiero wtedy pozwolono je nam zjadać. Natomiast zwykle plonów strzegł dziadek, jego żona lub Waśka, grożąc *progulem*. Raz na tydzień szłyśmy do domu pod warunkiem, że o brzasku będziemy z powrotem. Dziadek pilnował, abyśmy niczego z plantacji nie brały (*kazionne*), Waśka odprowadzał nas do końca ogrodów. Nieco dalej znajdował się upatrzonej dół. Tam któraś, za dnia, ukradkiem zostawiała część plonów. Pożegnane przez szpiegującego Waśkę – pod osłoną ciemności – brałyśmy te owoce do domów. A na polu gniły.

Ferma trzęsła się wskutek najbardziej fantastycznych wieści i domysłów, często sprzecznych, zasłyszanych gdzieś przez kogoś jako rzekome komunikaty radiowe. Niemcy parli za Armią Czerwoną, wciągającą ich w pułapkę. Polacy będą zwolnieni z więzień i łagrów. Ma powstać nasze wojsko, bądź sowieckie, choć z Polaków. Mężczyzn obowiązuje pobór. Polaków odeślą do kraju, albo umieszczą w obozach. Obłąd. Postanowiliśmy nikomu nie wierzyć, nie denerwować się i basta. Rosjanie i Kazachowie ćwiczyli musztrę, maszerowali po placyku, przed trybuną, z kijami w rękę ćwiczyli pod wodzą Usatowa, który służył w wojsku. Dzieci naśladowały mężczyzn.

* * *

Nie zwierzałam się nikomu, że czekam na Wandę. Harowałyśmy, zadreżczane przez ogrodnika, który wydawał się podminowany jak wszyscy Rosjanie,

przeżony wojną. Jego żona suszyła melony, krojone w plastry, na zimę. Mówiła do pani Czupkiewiczowej, że dla sowchozu, choć wiedziała, że nikt w to nie wierzy. Nam nie było wolno robić zapasów. Dziadek sporządzał kosze z wikliny znad strumyka, duże jak wiadra, i do nich zbierałyśmy pomidory oraz ziemniaki. Poganiał nas bez przerwy, nerwowo, z krzykiem, ze złością. Wskazał rzędy pomidorów do zrywania. Teren był tam lekko pochyły w kierunku drogi. Ela wypatrzyła, że od fermy zbliżają się do nas dwie osoby, duża i mała.

– Chyba to pani Kierepkowa i ktoś jeszcze; zgadywały dziewczęta.

Wyprostowałam się i rzuciłam okiem, choć jako krótkowidz nie mogłam stwierdzić, kto to. I nagle odczułam. Na ślepo. Wiedziałam. Zaczęłam pędzić.

– Wanda! Wanda! Wandziu! – Wołałam.

– Jezus, Maria! Ela podskoczyła do mnie. Minęłam ją, darłam się, pędziłam, wiewałam chusteczką, przeskakiwałam krzewy zastępujące mi drogę, aż zbliżające się osoby zamachały rękami. Ta mniejsza wybiegała naprzeciw. Wandzia. Co za radość.

– Wandziu, jesteś.

– Ala! Alunia!

Padłyśmy sobie w objęcia. Nadeszła pani Kierepkowa, a za nią moje koleżanki. Potem dziadek, wiedział, kto i skąd. Wydarzenie niezwykle, Polaków zwalniana. Nie protestował więc, abyśmy wzięły gości na obiad. Pozwolił urwać pomidory do ziemniaków. A sam przyniósł duży kawon. My zasypywałyśmy Wandę pytaniami, na które odpowiadała wszystkim naraz. Wypuszczona na podstawie układu Sikorski – Majski, to prawda, pierwszego września, z innymi Polkami z łagru. Zwrócono jej okulary, zabrane przy uwięzieniu, zegarek zaś przepadł. Na drogę dano bilet kolejowy, gdyż miała adres rodziców; tak, do samego Ajaguzu. Pierwszą, spotkana, Polkę pytała o sowchoz Tas Bułak. To była Marylka Fiszer. Również zwolniona. Nie, nie znały się wcześniej. Dalej jechały razem. Otrzymała na podróż chleb, ryby, sześćdziesiąt rubli. Marylka nocowała w Tiki, teraz ma czym się dostać do Tas Bułaku, gdzie mieszkają rodzice. Wandzia jechała pociągiem pięć dni. Armia polska tworzy się naprawdę. Wszyscy Polacy mogą do niej wstąpić. I ci z więzień, i ci z łagrów, nawet młodzi, którzy nie służyli w wojsku. A dziewczęta i dojrzałe kobiety do służby pomocniczej. Kiedy skończył się czas pracy, razem poszliśmy na fermę. Tam zbiegli się wszyscy nasi. Wandzia była tą pierwszą jaskółką, od której można się wiele dowiedzieć o uwięzieniu i łagrze. Panie miały mężów, synów, braci, którzy przechodzili podobne koleje losu. Chciały wiedzieć. Dłgie,

nocne, Polaków rozmowy musiałyśmy skrócić, aby przed brzaskiem meldować się w ogrodach.

Wandę zmuszono strzyc owce, bardzo się tym zemdowała. Kiedy się upewniła, że przysługuje jej teraz urlop, więcej do pracy nie poszła.

Moje ręce wyglądały kiepsko. Wanda rozbeczała się na taki widok. Kilka obrzmiałych ropniaków, skóra gruba jak podeszwa, spękana aż do krwi. Wyprawa do lekarza nie miała sensu, zajęłaby roboczodniówkę, tyleż powrót, a zwolnienie krótkie, na trzy dni. Wandzia uparła się, że mnie zastąpi, ledwie zdołaliśmy wybić jej ten pomysł z głowy, zresztą sama by wpadła, a mnie by nie uratowała. Rosjanie szaleli, wojna dawała im niezłą nauczkę, brali cięgi, truchleli ze strachu, co się skrupiało na nas. Okres zbiorów oznaczał, że zjedzie wiele fur i samochodów po towar. Ładowało się więc plony od świtu do nocy, wciąż w nerwach, przy krzyku odbiorców i wrzasku poganiaczy. Przemęczyłam się, dostałam krwotoku i po strasznej nocy wlokłam się do domu, na fermę. Tam oficjalnie poinformowano nas o zezwoleniu na przeprowadzkę w wybrane miejsce, niezagrożone wojną i podano termin zgłoszeń. Wielu zdecydowało się na Urdzar, który był najbliższym miasteczkiem, inni wybierali Ajaguz ze stacją kolejową, część zdecydowała, że zostanie na miejscu, dopóki nie dowie się, jak to jest naprawdę.

Po licznych naradach wybraliśmy Urdzar. Ojciec miał nadzieję na pracę w drukarni. Mama liczyła się z kosztem przeniesienia na własną rękę. Obie z Wandzią udałyśmy się tam w ostatnich dniach października, by znaleźć kwatery. Dołączyła do nas Matyldzia. Zatrzymałyśmy się u pani Ani Nowakowej, która z dziećmi i panią Korzeniowską już tam mieszkała od kilku dni. Matyldzi poszło łatwiej, miała tylko matkę, nam dla czworga było trudniej. Wreszcie na krańcach miasta wskazano nam chałupinę, której właścicielka wyjechała, gdyż męża wcielono do armii, zostawiła klucz sąsiadce, aby dom komuś wynajęła. Cud. Malutka sionka, izba z ruskim piecem i przypiekiem, stół, dwa stołki i na tym koniec. Brak łóżek. Trudno. Cena przystępna. Wiadra na wodę, razem z nosidłami pożyczmy nam sąsiadka, także wózek i siekierkę na gałęzie opałowe.

Mama przyjechała tak zwaną okazją, zatrzymaną na szosie; razem z panią Kierepkową. Ojca zaś wzięto do roboty w Tas Bułaku, aby kleił i zszywał urzędowe papiery przez cały miesiąc. Mamie sporządziłyśmy legowisko na przykrótkim, lecz ciepłym przypiecku. My natomiast spałyśmy na pojedynczej kapie, przykryte pierzyną. Niestety, mój stan zdrowia był nie najlepszy. Wyprawa po gałęzie (*karagaj*) znów zakończyła się krwotokiem, który

męczył mnie sześć tygodni. Leżałam na zimnej glinie, w słabo ogrzanej izbie. Co dzień mama gotowała marną zupę, ale wobec przerwania kontaktów ze Lwowem, skąd rodzina ratowała nas paczkami, rokowania nie wyglądały obiecująco. Cieszyliśmy się przynajmniej intymnością rodzinną, ciszą, spokojem. Żal nam było, że tata nie ma z nami; dołączył pierwszego grudnia. Nasza pierwsza noc w tej kwaterze przypadła na Wszystkich Świętych. Zdawała się wynagrodzeniem za ową noc sprzed roku, gdy zalewała nas glina i woda. Sielanka jednak skończyła się nieoczekiwanie. Dzień przed przyjazdem tata sąsiadka zawiadamia nas, że gospodyni wraca. Zaczęliśmy szukać nowego miejsca dla siebie, co okazało się bardzo trudne wskutek napływu Polaków z różnych ferm.

W Urdźarze

Ojciec zdążył nocować w chałupinie jeden raz. Zobaczył, jak mieszkamy, poznał sąsiadkę, właścicielkę miednicy i nożyczek. Podziwił moją pomysłowość, izbę oświetliłam z pomocą olejku rycynusowego. Umieściłam go w pudełeczku od pasty do butów (pamiątka ze Lwowa), knot zaś zmajstrowałam z bawełnianych frędzli.

Wandzi i mnie udało się wreszcie dostać adres nauczycielki, której mąż, oficer, poszedł na front, podczas gdy ona została w domu z matką. Zatem istniała szansa, że kobiety przyjmą lokatorów. Zgodziły się. Chatka była blisko śródmieścia, między szpitalem a apteką, zwrócona tyłem do ulicy, od której oddzielał ją niski murek przy furtce. Wejście od podwórka wiodło do sionki, drzwiami oddzielonej od kuchni. Piec kuchenny stanowił ścianę, między kuchnią a pokojem, do którego prowadził otwór na drzwi, zastąpione kotarą. Kuchnia miała małe okienko (którego nie sposób było otworzyć), wyposażona była jedynie w ławę, dwa wiadra na wodę i nosidła, parę garnków, misek oraz stołek z dzierzgą. Palenisko znajdowało się od strony kuchni, która ogrzewała całą kwaterę. W pokoju było okno – otwierało się – łóżko, stół, dwa stołki i kuferek na odzież, służący raczej do wdrapywania na wysoki przypiecek, na którym dotychczas sypiała *babuszka*. Tasia nauczycielka zajmowała owo łóżko z mężem, a teraz przygarnęła tam matkę, która odstąpiła swój przypiecek naszym rodzicom. Był za ciasny dla dwojga, a na dodatek za krótki – musieli podciągać nogi, aby się na nim zmieścić.

Dla Wandzi oraz mnie zabrakło legowiska. Przygotowano nam cegły, na które można położyć deski, gdyby były. *Babuszka* miała jedną. Gdy opuszczaliśmy z Wandzią Tiki Bułak, *uprawlajuszczy* zrabował nam deseczki i dykty

z naszej pryczy, uznając je za własność państwową. Na szczęście ojciec, pracując w Tas Bułaku, odkupił od młodego drukarza trzy dykty. Niejako w zastępstwie drugiej deski dłuższej, sięgającej od cegieł w głowach do cegieł pod stopami, *babuszka* ułożyła łopatę. Kładłyśmy się ostrożnie na to prowizoryczne wyrko, stojące tuż przy kotarze, głowami przylegające do ścianki kuchennej.

Pobudkę urządzał ulubieniec babuszki, prosiaczek. Budził się pierwszy, a nocując w kuchni, chociaż mieszkał w sionce, witał nas porannym czochraniem o moje cegły. Wyskakiwałam wtedy z piskiem spod pierzyny, wystraszona, że rozwali nasz nadzwyczajny mebel. Babuszka uwielbiała taki wesoły początek dnia, zresztą była jawnie zakochana w przyszłej słońinie, której z kolei ja po przemęczonej nocy, chętnie oddałabym świerzba, nabytego od siostry; zaraziła się nim w łagrze. Wierzyłam, że to kara za moje złośczenie się na Marysię; jej nocne drapanie się nie dawało mi spać w Sigizbaju. Było mi jej żal, a jednak się buntowałam. Na własnej skórze przekonałam się, co to za rozkosz. Dobrze mi tak! Z opresji ratował nas doktor Stanisław Prus, mąż Wandzinej szkolnej koleżanki, Ewy Acckord, której siostra, Zuzia, chodziła ze mną do jednej klasy w Szkole Panien Benedyktynek Łacińskich.

Wcześniej Wandzia przyniosła mi leki od doktora „na słowo”, teraz obie poszłyśmy pokazać ręce. Niestety, po mało skutecznym leczeniu, na moich pojawiło się zapalenie skóry.

Gospodynie przyjęły nas na kwaterę w celu podratowania swego budżetu. Tasia nie pracowała, bo oczekiwała dziecka, a jako żona oficera (*krasnoarmiejka*) otrzymywała należny dodatek rodzinny i część gaży męża, zgodnie z jego wolą. Wystarczało na skromne życie, jednak kobiety musiały przygotować się na powiększenie rodziny, każda kopiejka była potrzebna. Zamartwiały się brakiem wiadomości od Grisy, bez przerwy o nim opowiadały, zawsze w superlatywach. Był to człowiek wyjątkowo dobry i dbały o dom. Wyjeżdżając zaopatrzył je w opał, całą ścianę *kiziaków* – za które chadzało się, jak „za chałupę” – ponadto sprawił im *kolchoźnika*; radio było nie lada luksusem, zwłaszcza, że brakowało prądu. Tasia biegała do wszystkich, otrzymujących listy z frontu, z nadzieją, że uzyska jakąś wieść o mężu, potem płakała nocami z tęsknoty i rozczarowania, a matka drżała o dziecko. Żal mi się jej zrobiło, usiłowałam przekonać, że na pewno Grisza, jako oficer, jest na takim kursie, z którego pisać nie wolno. Chciała w to wierzyć. Była starsza ode mnie, a młodsza od Wandy.

Kiedyś Tasia zobaczyła, że piszę wierszyki. Poprosiła, abym jej przeczytała, bo już się osłuchiwała z polszczyzną i sporo rozumiała. Potem czytała mi swoje

ulubione, rosyjskie, tłumacząc, gdy coś było niejasne. Był to zbiorek utworów własnoręcznie przepisanych, skompletowała go będąc w Instytucie Pedagogicznym w Semipałatyńsku. Ja przyznałam się do swego liceum pedagogicznego i do szkoły w Tas Bułaku, a nawet pochwaliłam się znajomością kazachskiej piosenki, którą, na jej prośbę, odważyłam się zaśpiewać. Pierwsza zwrotka zabrzmiała całkiem niezle, lecz po drugiej wdzięczna słuchaczka dostała ataku śmiechu, aż łzy ocierała. Właśnie w tejsze chwili weszła *babuszka*.

– Ojej! Ta tu niemożliwa dziewczyna wyśpiewuje w najlepszej wierze takie niemożliwe sprośności, okropnie świńskie, że wytrzymać trudno. Po kazachsku. Nauczyła się w szkole. – Ryczała ze śmiechu. Sama bardzo dobrze знаła kazachski, ze szkoły i z instytutu.

O ile prosiak bywał utrapieniem na pobudkę, o tyle zachwycił nas swymi zdolnościami krajoznawczymi. Wystarczyło nieuważnie uchylić drzwi do sieni, albo nieostrożnie omiatać pioletem buty ze śniegu, a już to wścibskie stworzenie wybiegało na zewnątrz, by radośnie i swobodnie zwiedzać świat. Obie gospodynie, zarzuciwszy chusty, biegły za uciekinierem, który truchcikiem przemierzał znane i nieznane uliczki, podwórka, dotleniając siebie i swoje opiekunki. My zaś natychmiast otwieraliśmy okno, by, machając ścierkami, jak najdokładniej przewietrzyć izbę, łącznie z kuchnią, sypialnią prosiaka – wędrownika. Gospodynie nie tolerowały podobnej utraty ciepła, lecz przeganiane przez mądre stworzenie nie domyślały się naszych samowolnych poczynań.

Pewnego razu *babuszka* stwierdziła, że podłoga wymaga malowania. Przyniosła jakąś miskę z gliną, którą Wandzia rozrobiła z wodą, na gładko. Gdy obie panie domu wyszły, by nie przeszkadzać, wzięłam się do roboty. Już wysmarowałam połowę polepy, gdy *babuszka* weszła i podniosła krzyk, że tak się nie robi, bo to się nie będzie trzymać.

– Co za pomysł, musi być krowie łajno! – Wykrzyknęła, po czym przeniosła skądś świeże, wrzuciła do miski, bym wymieszała i zaczęła od początku. Nie mogłam, brzydziłam się. Poprosiłam mamę o kawałeczek szmatki, z tych przeznaczonych na łaty (skarby), aby choć dłoń owinąć. *Babuszka* zawrzała:

– *O, wot kulturnyj narod!* Nawet podłogi nie umieją malować. A ja nie wierzyłam, że to możliwe, że w waszym, podobno okręgowym, mieście nawet jednej woszobjki nie było.

Wreszcie wróciła Tasia. Kochany prosiak wymknął się tak zmyślnie, że zziajane gospodynie wróciły akurat wtedy, gdy już skończyłam to nieszczęsne „malowanie” podłogi. Przez szmatkę.

Gdy Wandzia po raz pierwszy wybrała się do doktora Prusa, w mojej sprawie, przywitano ją bardzo przyjaźnie. Tam właśnie spotkała Ewę. Oczywiście otrzymałam zaproszenie do odwiedzin domu, w którym przebywała – „więziona” przez anginę, tudzież przeziębienie – Zuzia. Od Tasi było tam niedaleko. Cała rodzina (babcia, mama, Ewa z mężem i Zuzia) zajmowała mieszkanie godne lekarza, samodzielne. Byli w Urdzarze od samego początku, tak jak i doktor Szybalski oraz ponad dwadzieścia innych polskich rodzin, najczęściej lokowanych po kilka osób w jednej kwaterze. Lokum było jednoizbowe, z polepą, to nie to, co mieszkanie kątem u Rosjan. Zuzia ucieszyła się z mych odwiedzin, bo już dłuższy czas nie wychodziła z domu. Opowiadała mi o całej Polonii Urdzaru, z dowcipem zaznajomiła z liczną młodzieżą, przeważnie w naszym wieku, a usłyszawszy, że mam aż osiemdziesiąt książek polskich, poprosiła o wypożyczenie kolejnych, bo jakieś już przyniosłam. Babcia i mama Zuzi zapraszały do częstych odwiedzin także Wandę; cieszyły się, że wyszła z łagru.

Kiedy Zuzia już poczuła się lepiej, wybrałyśmy się do Brzezińskich, mieszkających z Zaniewskimi. Jurek i Haneczka Brzezińscy mieli ponad trzydzieści polskich książek, jak dotąd – rekordową liczbę, z czego parę wypożyczyłam, w zamian oferując swoje, ku ogólnej radości. To oni, z sąsiadującymi nie opodal Wiesią i Zbyszkciem Klink, znajomymi z Tiki Bułaku, oraz Myszką Laniewską, wynajęli (za składowe pieniądze), po radzie z Prusami, chałupkę opuszczoną przez Rosjanek. Uczynili z niej polską świetlicę i przez cały luty dyżurowali na ochotnika przy jej ogrzewaniu. Świetlica skupiała naszą młodzież, spragnioną wzajemnych kontaktów, dotychczas sporadycznych ze względu na warunki mieszkaniowe zimą oraz nakazy pracy latem. Z tych wspólnych spotkań zrodziła się myśl zorganizowania przedstawienia dla całej ludności Urdzaru, poprzedzającego pobór Polaków – ochotników – do wojska, do którego garnęła się nasza młodzież męska i wszyscy, którzy odbyli służbę wojskową. Pomysł spodobał się, a po uzyskaniu oficjalnego zezwolenia stał się realny. Teraz przychodziliśmy na próby napisanych ad hoc skeczy, tańców i piosenek, potem udostępniono nam szkolną salę gimnastyczną z jedynym w miasteczku fortepianem. Adaś Zaniewski pełnił funkcję choreografa, grał Jurek Horodyski, a kilka par z zapałem ćwiczyło tańce ludowe. Wówczas doceniliśmy swoją młodość, nawiązywały się przyjaźnie, zapominało się o codzienności. A ta była niełatwa. Coraz trudniej było sprzedać resztki odzieży, w domu jadało się raz na dobę placuszek z plew, ja chodziłam w tenisówkach, bo innych butów już nie miałam. Tylko na Wigilię, głodując i oszczędzając,

zdobyliśmy się na tradycyjne pierogi – po cztery na osobę – szczególnie ze względu na Wandzię, która rok temu obchodziła święta w łagrze. Potem trudno już było o najtańszy grys (plewy).

Gdy z Tiki Bułaku dano podwodę do Centrali na komisję lekarską ochotników do Wojska Polskiego, obie z Wandzię postanowiłyśmy pojechać. Ważyłyśmy wszystkie „za” i „przeciw”. Pominąwszy patriotyzm i chęć niesienia pomocy innym, co dla nas, harcerek, miało znaczenie, beznadziejna sytuacja materialna rodziny stanowiła argument „za”.

Polskie przedstawienie, ogłoszone i reklamowane za zezwoleniem miejscowych władz, głównie dzięki osobistym wpływom doktora Prusa, tudzież przy poparciu naszego przedstawiciela delegatury rządu (funkcji ustanowionej we wrześniu tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku), pana Urbana, oraz wysłannika Wojska Polskiego do zwerbowania Polaków, pana Marchuta, pozwolono nam wystawić w kinowej sali. Bilety wstępu, takie jak na film, miały stanowić nasz dochód, którym postanowiono obdzielić idących do Wojska Polskiego. Pierwszego marca, w niedzielę, wypełniona po brzegi sala radowała ekipę przejętych aktorów. Konferansjerkę po polsku prowadził Zbyszek Klink (magister prawa), po rosyjsku Ewa Prusowa, dowcipnie wtajemniczająca widzów w treść poszczególnych scen. Całość stanowiła relację z naszego spotkania w świetlicy: po paru piosenkach uczestnicy spotkania zapadają w sen, śni im się cały szereg barwnych przygód, pełnych kolorowych tańców ludowych, inscenizacji i scenek rodzajowych. Mazur zaczynał się lamentem nad zmarłym „*Umarł Maciek, umarł*” i konsekwentnie kończył mazurem, tańcem tego wskrzeszonego oraz par, które dołączyły. Dziewczęta, strojne w kwietne wianki z farbowanych wiór (zdobyte od trumniarza), gorsety uszyte z przefarbowanych pończoch i ozdobione barwną aplikacją, pożyczały sobie na scenę niezwykle oryginalne obuwie. Do krakowiaka przywdziały fartuszki, prezentowały się świetnie, podobnie jak chłopcy, występujący w krakowskich spodniach, przypominających pidżamę, bibułkowych krakuskach. Domorośli panowie, zdobni w przemyślnie pawie pióra, wyposażeni w blaszane dziesiątkówki, wypadli rewelacyjnie. Równie pomysłowo zaprezentowała się elegancka szlachta i bohaterka – pani Twardowska. Pojawienie się diabła wśród ciemności i wybuchu płomieni, poprzedzających jego ukazanie się na stole, wywołało okrzyk zachwytu. Widzowie podziwiali efekt, my natomiast Mietka Piątka, który na oczach publiczności napełnił usta *karasiną* – to jest cuchnącą ropą naftową – imitującą napój szlachetny, by w chwili zgaszenia światła wypłuć ów płyn na zapaloną zapałkę. Czego się nie robi dla sztuki. Sukces był nie-

wątpliwy. Widzowie umawiali się na następny dzień w kolejki do kas tak, aby wyprzedzić pechowców, którym nie udało się zdobyć biletów na niedzielę. Niestety. Władze miejscowe musiały, nie szczedząc nam pochwał, właśnie na drugi dzień urządzić w kinie wiec, obiecując udostępnienie sali kiedy indziej; za tydzień. Planowano wcześniejszy wymarsz Polaków do wojska. Załatwione politycznie. Po opłaceniu sali dzielono zysk i mężczyźni otrzymali na swą wyprawę po sześćdziesiąt rubli. Nawet my z Wandzią dostałyśmy jedną „dolę”, bo zdecydowałyśmy się na wymarsz; domyślałam się, że to Ewa sprawiła nam tak wzruszającą niespodziankę. Po przedstawieniu wspólnie zaintonowaliśmy piosenkę *Przybyli ulani pod okienko* z nieco innym zakończeniem: „Ze Lwowa pojedziem do Berlina, powiesić Hitlera, sukinsyna”.

Krysia porwała Wandzię i mnie do siebie, tłumacząc, że jej mama ma do szczególną prośbę. Zapraszała już wcześniej, ale nie spieszyliśmy się z wizytą, wiedząc, że ojciec Krysi, który przybył organizować pobór Polaków do wojska, właśnie odchorowuje podróż i łagier. Poza tym mówiło się, że, zaopatrzone w swą oficerską gażę, odkarmia teraz rodzinę. Żona i córka porządnie się nabiedowały. Pamiętałam, że ubiegłej zimy ratowały się ziarnem podebranym chomikom w Tas Bułaku, na chutorze Górnym. A teraz niektórzy tam zachodzili, bo częstowano ich chlebem lub plackami. Matka Krysi prosiła nas o kupienie na bazarze i dostarczenie trzech sań opału. Wandzia wytłumaczyła, że nie weźmiemy gotówki, gdyż boimy się zostać okradzione. Stało na tym, że za opał pani zapłaci Kazachowi przy odbiorze. To już załatwimy. Dwoje sań złapałyśmy jednego dnia, a trzecie nazajutrz. Pani Marchutowa zapłaciła za nie dostawcy (sześćdziesiąt rubli), następnie poleciła owe gałęzie zawieźć naszej mamie. Byłyśmy zaskoczone i wzruszone. Nie koniec na tym. Krysia, niby tak nagle, wpadła na pomysł, że pożyczmy mi swe buciki, abym nie maszerowała do Ajaguzu w taki mróz w tych nieszczęsnych tenisówkach. W Krysinych butach tańczyłam na przedstawieniu. Ojciec przywiózł jej dwie pary obuwia; wojskowe, sznurowane, pożyczyła mi. Uzgodniłyśmy, że zwrócę je w Ajaguzie, dokąd mieli we troje dojechać samochodem, już umówieni z jakimś kierowcą. Do spotkania jednak nie doszło, pan Marchut długo chorował; buciki zostawiłam u Markiewiczowej, od której Krysia je odebrała. Ojciec Krysi zlecił przewodnictwo Jagiełłowiczowi, który prowadził ochotników i poborowych z Urdżaru do Ajaguzu.

Świetlica polska z wolna przestawała istnieć. Chłopcy wyjeżdżali, ich rodziny umawiały się na wspólne mieszkanie, wiadomo było, że sezon bezrobocia zimowego wkrótce się skończy. Trochę kręciliśmy się po mieście, aby

jak najtaniej kupić najpotrzebniejsze rzeczy. Kiedyś, idąc gromadnie boczną szosą, usłyszałyśmy dziwny hałas, przyspieszyłyśmy więc kroku, by zobaczyć, co dzieje się na głównej ulicy; wypadek, pogrzeb, pożar, czy coś innego? Oto zwartą kolumną, swobodnym krokiem maszerowali do poboru Rosjanie i Kazachowie – znacznie liczniejsi – gadając i przekrzykując się ponad głowami tłumnie odprowadzających. Poborowi mieli nietęgę minę. Kobiety i dzieci szlochały, jakby ich prowadzono na rzeź. I tak się czuli. Dzieci, popychane, ciągnięte, niesione, biegnące, wlokące się, wystraszone, płakały i piszczały, nie rozumiały, co się dzieje. Przystanęłyśmy i patrzyłyśmy z mieszanymi uczuciami. Czy u nas kiedykolwiek wyprawiano tak ludzi na wojnę? Co właściwie czeka teraz te kobiety? Zabraknie rąk do pracy. Czy ludzkość nie może żyć bez wojen? Czy ktoś się nad nami litował, kiedy nas porywano, wysiedlano z ziemi ojczystej? Jeszcze w domu rozmawiałyśmy o tym, gdy nadeszła Tasia.

– Jak to, u was nie płaczą kobiety, gdy im mężów zabierają na front? Nie? To po co oni mają iść, narażać swoje życie, gdy nawet nikt nie płacze przy pożegnaniu? – I rozszlochała się, bezradna, zrozpaczona brakiem oczekiwanego listu, pełna niepokoju. Wiele rodzin już otrzymało zawiadomienia o bohaterskiej śmierci ojca, syna, brata. Do niej nie przychodziło nic. Jej prosty, kobiecy żal nie przystoi, myślałam, żonie oficera bolszewika, którego przyjaźni nie doświadczyłyśmy na sobie.

Miałyśmy drobne przygody w szarym życiu. Moją siostrę okradziono na targu, innym razem wypchano z kolejki, gdy próbowała płacić Kazachowi za kawałek słoniny. Zdezorientowaną Wandzię z tłumu wyciągnęła wówczas koleżanka, która była w pobliżu. Mnie kiedyś Rosjanki przepuściły bez kolejki, wydziewając, „kto to widział na takie mrozy biegać w tenisówkach”. Jak na skrzydłach leciałam do domu z zamrznietą główką kapusty. Nie dostałabym jej, jeśli bym czekała na końcu kolejki. I tak się życie plotło. A czas rozłąki się zbliżał. W końcu nadeszło to najgorsze, pożegnanie z rodzicami. Z ciocią Izą rozstałyśmy się w Tas Bułaku na komisji lekarskiej. Proponowałyśmy jej, w imieniu rodziców, aby dołączyła do rodziny, jednak wolała tam zostać. Wtedy jeszcze mieszkaliśmy w Tiki Bułaku; w znacznie gorszych warunkach. Ciocia tłumaczyła, że na miejscu jest szpital, a my nie braliśmy wtedy pod uwagę przeniesienia się do Urdżaru. Biedna ciocia. Żyła w strasznej nędzy, ale nie wiedziała, że u nas jest tak samo. Pożegnałyśmy ją, bezsilne.

* * *

Zawiadomiono, że otrzymamy sanie na wymarsz. Okropny mróz, w punkcie zbornym tłum, dobrze, że rodzice zostali w domu. Chłopców idących do

wojska i mężczyzn, którzy wyszedłszy z łagrów, niedawno odnaleźli rodziny, było około sześćdziesięciu. Do junaków dołączono grupę ochotników nieletnich. Owemu wydarzeniu przyglądały się rodziny zostające w Urdzarze, cała Polonia, rosyjskie gospodynie odnajmujące kwatery i sporo gapiów. Siarczysty mróz zdawał się zachęcać do przytupywania, takt poddawały piosenki *Jak to na wojence ładnie, Wojenko, wojenko* i cały repertuar znany wszystkim. Śpiewanie przeplatano żartami, wybuchy śmiechu towarzyszyły wspominkom, młodzież w podnieceniu przekazywała sobie ważniejsze myśli, przed pożegnaniem. Stojące z boku Rosjanki, Kazaszki z dziećmi przypatrywały się jak dziwowisku:

– A za czym im tak wesoło? – Okrzyki zdumienia tłumili radość.

– Bo idą do wojska. Do naszego. Wojska Polskiego. – Wołano.

– A to przecież na front, na wojnę. – Suponowały.

– Właśnie, bić wroga. Z polskim wojskiem do Polski, do domu! – Wołano z zapałem i zawadiacko huknęła *Podbalańska wiara*. Zdumione kobiety kiwały głowami:

– Co to za naród?

Biedny, zuchowaty naród marzył do granic możliwości. Po kilku godzinach ogłoszono, że sanie zostaną podstawione dopiero następnego dnia. Rodzice ucieszyli się, że nieco dłużej pobędziemy razem. Była gorąca zupa. Sprzedaliśmy ostatnią rzecz, z której mogliśmy zrezygnować, naszą pierzynę. Ubłagałyśmy rodziców, aby przyjęli od nas chociaż połowę pieniędzy, resztę przeznaczamy na pożywienie, którego będziemy potrzebować na czas podróży. Przespałyśmy się „na łopacie”, okryte płaszczami.

Szóstego marca tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku żegnałyśmy rodziców. Miałyśmy nadzieję, że rozstajemy się na krótko a niebawem weźmiemy ich pod wojskową opiekę, pomożemy przeżyć. Nie zobaczyliśmy się już nigdy.

Droga do Wojska Polskiego

Podstawiono pięć sań na tobołki kilkudziesięciu wyruszających. Kapitan Jagiellowicz sprawdził listę. Wśród uśmiechów i uścisków ruszyliśmy w drogę.

– Zostańcie z Bogiem! Idźcie z Bogiem! Do zobaczenia! – Wołano z obu stron, z radością i smutkiem w oczach.

Trudno się żegnać, ciężko rozstawać. Towarzyszyła nam niemal cała młodzież z miasteczka, przeważnie dziewczęta i wyrostki nie mające szesnastu lat, rozżalone na swój wiek, przeszkodę. Odprowadzono nas do granic miasteczka,

gdzie wichur, niczym już niehamowany, gwizdał po szerokim stepie. Pożegnaliśmy najbardziej wytrzymałych, mróz ciągle wzrastał. Poniżej czterdziestu stopni wichura przewiewa nas na wylot, nie daje iść, ciężarem całego ciała trzeba pokonywać napór wiatru. Sanie się wloką. Kazachowie, idąc obok, trzymają lejce, usiąść nie wolno, sen grozi zamarznięciem. Zaciśkamy usta, ostrożnie należy wdychać powietrze zsiniałym nosem, iść równo, rytmicznie, nie zwalniać kroku. Ręce chowamy w kieszeniach. Wandzia w wełnianej czapeczce – miała ją na sobie w czasie aresztowania; w lutym tysiąc dziewięćset czterdziestego roku – stojący kołnierz podwiązała szalem. Mój berecik podtrzymywany jest przez kaptur, uszyty z szalika. Całe szczęście, że mamy buciki. Chłopców chronią od zimna futrzane, ruskie czapy, paru jest w lotniczych kominiarkach skórzanych, przywieźli je z Polski. Na wielu okryciach głów widnieją orzełki, wycięte z blachy po konserwie. Rozdał je nam ich wykonawca, Jurek Horodyski. Mam tę drogocenną pamiątkę do dziś. Aby dostać się z Urdżaru do najbliższej stacji kolejowej, która znajduje się w Ajaguzie, musieliśmy przejść sto siedemdziesiąt trzy kilometry. Ową odległość pokonywaliśmy etapami. Pozwoliliśmy sobie na wieczorny, krótki postój w Tassaryku, tam Kazachowie poczęstowali nas wrzątkiem, po czym, posiliwszy się własnym prowiantem, wyruszyliśmy, aby nad ranem dotrzeć do Łaj Bułaku, gdzie pokotem ułożyliśmy się na krótki sen; tym razem gorącą wodą uraczyli nas Polacy. Zaspokoivszy głód, odmaszerowaliśmy, by na nocleg dotrzeć do Taszkieszkienu. Wichur, który w czasie naszego nocnego marszu wydawał się wyjątkowo senny, teraz szarpał nas ze wszystkich stron. Chusteczki, „zakatarzone”, zamarzały. Często ktoś pozostawał na końcu, wołając:

– Idźcie i nie oglądajcie się za siebie!

Mróz zapiera dech. Wandzi i mnie towarzyszy Włodek, którego bliźniaczy brat, Janek, ciągle stara się być w pobliżu ojca, paradującego w dwóch lewych pimąch, raniących nogi, utrudniających każdy krok wycieńczonemu pobytom w łagrze kapitanowi. Śnieg pokrywa płaski, biały, groźny step. Było nam ciężko na tym mrozie, ale wkrótce przekonałam się, że może być jeszcze gorzej. Dopadły mnie uprzednie dolegliwości, a w tych warunkach to już tragedia. Dziękowałam Bogu, że jest ze mną moja siostra, że w tę trudną podróż nie wybrałyśmy się w pojedynkę, chociaż rozważałyśmy taką możliwość. Chciałyśmy, żeby jedna została z rodzicami, bowiem nie widziałyśmy szans na realną pomoc.

Dalej wędrowaliśmy za dnia, odległości od siedzib ludzkich pozwalały nam na to. Sypiało się pokotem, wprost na glinie, w tej samej odzieży, pod własnym płaszczem. A szarym rankiem – w drogę. Były jeszcze noclegi we wsi Aj, a w cza-

sie ostatniego, w Czinguży, nagle roztopy załaly lepiankę i zmusiły transport do zamiany sań na wozy. Pożyczyli je nam mieszkańcy kołchozu.

Ostatni etap drogi okazał się szczytem udręczenia. Rozchlapany, wierzchni śnieg zamarzał, od spodu woda przemaczała buty i więziła nogi, zmarznięte i ociężałe, jak głazy. Wiatr hulał. Mróz tężał. Boleści dopadły mnie z taką siłą, że chciałam już zrezygnować, zostać, nie żyć, nie czuć. Wanda wlokła mnie na siłę, Włodek pomagał, prowadzili mnie pod ręce, padali ze mną w wodę, wyciągali, objimali dłońmi, rozcierali, znów padaliśmy razem i wstawali, by się uratować. Cała moja dzielność rozplynęła się we łzach wstydu, że tak utrudniam, w rozpacz, że nie mam sił i narażam ich, że razem ze mną padną i zamarzną w tym strasznym stepie.

– Ratuj się! Co ja powiem mamie? – Wołała udręczona Wanda.

– Trzymaj fason! Musisz! – Dodawał Włodek.

Chyba nam to wymodlili, że w końcu osiągnęliśmy upragniony cel. Janek zaczął, dołączyliśmy do grupy.

W Ajaguzie

Wszystkie noclegi u Polaków już rozdzielono, nam, ostatnim, zapewniono nocleg u Kazachów. Wiesio Tyszka, junak, zaproponował, że pójdzie z nami, jako brat, aby dziewczynom nie było nieswojo. Młoda gospodyni przygotowała nam kąpiel, z której skorzystałyśmy, zanim „brat” przyniósł swoje rzeczy. Owa kąpiel, po pięciu dniach niezwykle trudnej podróży i nie mniej uciążliwych noclegów, była istnym błogosławieństwem. Na drugi dzień przekazano nas pani Kikalowej, która zaproponowała opiekę i miejsce w izbie; mieszkała z dwójką dzieci. Jej siostra już wstąpiła do wojska, teraz miała po nich przyjechać. Tymczasem pani Kikalowa się pakowała. Planowała sprzedać mnóstwo rzeczy (zdolała je wziąć ze sobą we Lwowie), aby dostać gotówkę i nie obarczać się ciężarami, gdyż miała podróżować z dziećmi. Poza tym kradzieże, zwłaszcza w tłumie, nie należały do rzadkości. Pomagałyśmy trochę przy pakowaniu, więcej zaś przy sprzedaży, co – muszę przyznać – nie było zbyt łatwe. Milicja grasowała i gdy złapano mnie z kołdrą (na placu) i zabierano do aresztu, zjawił się Adaś Zaniewski. Zapewniał funkcjonariuszy, że to jego własność, którą niesie od mamy do ciotki, a mnie tylko dał do potrzymania. Zrobiło się zamieszanie, Adasia aresztowano, ale zdążył za plecami milicjanta wcisnąć mi *corpus delicti*, który natychmiast zniknął pod *fufajką* nabywcy. I to za wymaganą cenę. Tutejsi Polacy zaprowadzili nas do pani Markiewiczowej, pełniącej funkcję delegata i dzięki jej usilnym staraniom wypuszczono, po

dwóch dniach, wygłodzonego „winowajcę”. Musiała zagrozić meldunkiem do najwyższych władz okręgowych NKWD, że w Ajaguzie zatrzymuje się Polaków na ochotnika idących na front; argument poskutkował. U tej właśnie pani zostawiłam pożyczone buciki, bo pan Marchut, ze względu na pogorszenie stanu zdrowia, nie spieszył się z opuszczeniem Urdżaru. A my czekaliśmy aż ruszą pociągi, zatrzymane wskutek uszkodzonych mostów. Kiedy wreszcie zaczęły kursować, tłumy ludzi, przybyłe z rozległych terenów, a koczujące w pobliżu – nie informowano o przerwie w transportach – tłoczyły się do wagonów. Milicja broniła kolejarzy przed nawałem pasażerów. Naszym poborowym, legitymującym się całą wymaganą dokumentacją, udało się wcisnąć dwoma rzutami, dwudziestego pierwszego marca. Dzień wcześniej zawiadomiono panią Kikalową, że jej siostra, Janina Hronowska, już jest w drodze. Spotkały się wieczorem.

Dwudziestego drugiego marca pani Janina, wraz z siostrą i siostrzeńcami, wezwana przez konwojenta, legitymując się niezbędnymi dokumentami, dostała się do pociągu. Z człowiekiem tym dotarła niegdyś do Ajaguzu, on zaś jechał po rodziny polskie aż do Semipałatyńska, skąd właśnie wracał. Nie mógł mnie i Wandy dopisać na listę, już pełną, gdyż to groziło wyłączeniem całego zespołu. Do pociągu wziął nas porucznik Michałowski, konwojent junaków, pouczając, że jedziemy na gapę i nie możemy dać się złapać. Ukrywałyśmy się, alarmowane przez junaków, traktujących pomoc jako zabawę i – jednocześnie – czyn patriotyczny. Wandzia była bardzo drobnej postury, toteż czasem udając bagaż lokowała się na górnej półce, między tobołkami; ja kiedyś w niby nieczynnej toalecie spędziłam noc. Tak to się jechało. W Taszkencie dostałyśmy przydział chleba, tak samo jak poborowi. Pewna Rosjanka zbombardowała mi pięściami plecy, bo odważyłam się zająć jej miejsce – przysiadłam na chwilę w budynku stacji, na ziemi. Na zewnątrz szalała ulewa, wewnątrz – tłok, siły mnie opuściły. Tak wyglądała nasza pierwsza przesiadka.

W Karszi, podczas drugiej przesiadki, wybieraliśmy się do łaźni, bo skończyła się ważność kąpielowych przepustek, bez których do pociągu nie wpuszczano. Po długich targach wydano nam przepustki, pięć rubli sztuka, ale upragnionej kąpeli nie było, „kto to widział; w nocy?” I znów.

– Co za naród? Nie dość, że dostali papierki, jeszcze im się coś zachciewa. Ostatni etap podróży odbywa się w komforcie. Pociąg osobowy, z wagonem dla Polaków, którzy jadą do wojska, nikt nikogo nie wyrzuca, ani nie śledzi. Radość trwa dopóty, dopóki nie weszli oficerowie. Z ich rozmowy wynnio-

skowałyśmy, że trwa ewakuacja wojska do Persji i dlatego wstrzymano pobór. Pytania, bezradne odpowiedzi, pogłoski, domysły, galimatias. Niepewność. Co z rodzinami, co z nami, co dalej?

W Guzarze

– Guzar! Jesteśmy na miejscu!

W tłum na peronie wstępuje ciżba z pociągu. Hałas, rwetes, wołania, gwizdy. Podbiegam do dwu kobiet w mundurach, pełna entuzjazmu, natychmiast ostudzonego oschłym. „Nie ma naboru. Wracajcie do mamy!” Czarna rozpacz. Nie ma wyjścia, Boże!

Nagle ktoś podbiega, woła Wandę, cieszy się, że zwolniono ją z łagru, pyta, co tu robi i prędko zaprasza do wagonu:

– Jedźcie z nami, to ostatni stąd transport do Persji!

– Nie, nie możemy, rodzice i ciocia w Kazachstanie.

Pociąg drgnął i ruszył, koledzy wołają Mietka, gdy ten, zobaczywszy swego dowódcę, przedstawia nas pospiesznie jako kuzynki, prosi o opiekę. Do wagonu wciągają go pomocne ręce. Zdążył.

Kapitan Nalepa wziął do obozu „kuzynki porucznika Szymańskiego”, kandydatki do Pomocniczej Służby Wojskowej Kobiet. Zgromadził już pięć namiotów rodzin cywilnych, ale nas potraktował jako przysze ochotniczki. Dostałyśmy namiot i pracę. Wandzia na poczcie polowej, mieszczącej się w sztabie, w centrum miasteczka, ja na miejscu, w kancelarii ewidencji, przy spisywaniu napływających artylerzystów i kandydatów do artylerii. Przybywali z najrozmaitszych stron – z więzień, łagrów, zesłania w sowchozach i kołchozach – zabiedzeni, obdarci, zawszeni. Witano ich łaźnią, dezynfekcją, nowym mundurem angielskim, w zamian musieli zdać swe łachy na spalanie. Szczepiono, jeśli było czym, karmiono skąpą zupą i racją chleba, żołnierze dzielili się wiktem z rodzinami cywilów, garnących się pod opiekę. Nieliczne wprawdzie miały jakieś resztki dobytku, który można by wymienić czy sprzedać na targu uzbeckim, lecz sprzeciwiały się temu władze miejscowe i nasza żandarmeria, bo grasowały różnorakie epidemie, a szpitale, przepełnione, nie miały środków niezbędnych do leczenia.

Wylądowałyśmy w Guzarze dnia dwudziestego ósmego marca. Upały zaczęły się nasilać, latem do sześćdziesięciu stopni. Noce na razie bywały bardzo zimne. Mnóstwo wojska transportowano do Iranu, napływające masy zajmowały ich miejsce. Mówiło się o nowym naborze kobiecym, meldowałyśmy o tym w listach naszym rodzicom.

Siedemnastego kwietnia komisja wojskowa zatwierdziła nasze przyjęcie na ochotniczki PSK, ale jeszcze pozostawałyśmy w obozie artylerii zajęte swoją pracą, by siódmego maja dostać przydział do Ośrodka Zapasowego w Guzarze. Dziesiąty maja był prawdziwym świętem.

Niedziela. Galowe mundury, spódniczka wełniana i frencz, okrągła czapka z daszkiem, pończochy koloru khaki, półbuty brązowe. Rankiem wymarsz do ośrodka szkoleniowego Guzar – Górka, cztery kilometry za miasteczkiem. Pięć kompanii w namiotach, na spłaszczonym wzniesieniu, nachylonym ku arikowi (rów nawadniający). Symboliczna brama wejściowa z patyków. Uroczysta msza polowa i wzruszająca przysięga. „Przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu, w Trójcy Świętej Jedynemu, być wiernym Ojczyźnie mej, Rzeczypospolitej Polskiej, sztandarów wojskowych nigdy nie odstąpić, stać na straży Konstytucji i honoru żołnierza polskiego, prawu, Prezydentowi Rzeczypospolitej być uległym, rozkazy dowódców i przełożonych wiernie wykonywać, tajemnic wojskowych strzec, za sprawę Ojczyzny mej walczyć do ostatniego tchu w piersiach i w ogóle tak postępować, abym mógł żyć i umierać jak prawy żołnierz polski. Tak mi dopomóż Bóg i Święta Syna Jego Męka. Amen”. Tekst autentyczny.

Nie potrafię wyrazić podniosłego nastroju i cichej radości, przepelniającej serce. Oto wzgardzonym, ściganym, sponiewieranym dane było doczekać tak wzniosłej chwili. Jest nasze Polskie Wojsko. Liczymy się w świecie. Nie daliśmy się wymazać z map. Zwrócono nam naszą godność, ludzką i narodową. Mamy swe orzelki, prawdziwie wojskowe, nad czołem i całe votum zaufania. Nasi będą walczyć o powrót do kraju i o wolność, a my im dotrzymamy kroku. Jak się rodzice cieszą.

Z głową w obłokach maszerowało się w spiekotę do obozu w mieście. Ale nogi stąpały po ziemi. I to w nowych, eleganckich, ale nie przystosowanych półbutach, sztywnych, angielskich. Dały nam porządnie w kość, pończochy ściągaliśmy zakrwawione. A w nocy na wartę włożyłam, wygrzebane z plecaka, tenisówki, gdyż nie zdołałam rozstać się z łachmanami. Nikt nie widział, było ciemno. Pluton wartowniczy wchłonął mnie z miejsca. Nocą, pod jakimś magazynkiem, na tyłach biur sztabu, zastanawiałam się, co właściwie miałaby zrobić samotna ochotniczka, gdyby ktoś postanowił ten magazynek okraść. Krzycheć, skoro nikt tu nie usłyszysz? Zwiąć z posterunku? Bić się z napastnikami? Wołać, „stój, bo strzelam?” Z czego? Miałam sześć godzin do podobnych rozmyślań, ale zrezygnowałam z nich, by powtarzać sobie w myślach zapamiętane wiersze. Nikt nie przyszedł mnie „zluzować”, a po-

wiadomiono mnie już, że nie można opuścić posterunku bez podmiany i nie wolno na warcie siedzieć. Krążyłam tam i z powrotem, zdziwiona, że mi się strasznie dłużej obowiązkowe dwie godziny, a okazało się, że „odstałam” czas potrójnie: od północy, do szóstej rano. Wyjaśniono mi, że wynikało zwyczajne nieporozumienie i nic się takiego nie stało, na szczęście nie było inspekcji. Podobne nieporozumienie, przy innym zapomnianym punkcie wartowniczym, zawiodło mnie do szpitala. Porażenie słoneczne. Leżałam dwa tygodnie w dawnym haremie, który przeznaczono na oddział żeński. Sąsiedni oddział – męski – mieścił się w budynku byłego meczetu. Pacjenci leżeli na kocach pokrywających mozaikowe posadzki lub w namiotach, na placu przed meczetem. W haremie każda z cel mieściła w sobie cztery łóżka. Komfort. Kilka razy gościły u nas skorpiony w majowej szacie godowej, bardzo niebezpieczne. Niektóre przypląciły odwiedziny życiem, inne uciekły przed czyhającym na nie butem. Po wyjściu ze szpitala trafiłam do ośrodka szkoleniowego, dokąd później dołączyła Wandzia, mająca odbyć kurs unitarny. Ten jednak ominął mnie, bo z czerwönką zostałam odesłana do szpitala zakaźnego.

Nie pamiętam, co zrobiono z uzbecką dziewczynką, gdy przydzielono nam szkołę na szpital. Zrazu chorych kierowano do poszczególnych klas – osobno cierpiących na tyfus plamisty, tyfus brzuszny, biegunkę, czerwönkę, malarię czy pelagrę. Potem już nie było takich możliwości, brakowało miejsc. W mojej sali leżałyśmy dwie, a następnie trzy na jednym kocu, na podłodze, później pięć, sześć. Salka mała, przejściowa. Wstrząsnęła mną śmierć jedenastoletniej Gieni Markot, umarła na mumsa. Strasznie cierpiała, opuchlizna uwy puklała się bardziej niż bark. Potem marły: mała Zosia, junaczki Bulkowska i Szczepańska, a w nocy czteroletnia Ewunia Kaczorowska na mych rękach. Czternastoletnia Janka Sukiennik umarła podczas rozmowy z leżącą obok niej dziewczynką, która dopiero po chwili zorientowała się, dlaczego zapytana nie odpowiada. Ułożeni na korytarzach tarasowali przejścia, do naszej sali wnoszono małych junaków, układano ich pokotem, w poprzek nóg. W nocy na moich nogach zmarł czternastoletni Janek Derwiz. Zimny i sztywny ciężar bezwładnych nóg obudził mnie ze snu. Boso, po ciemku, biegłam do dyżurnych, bez sensu, wszak nie było ratunku.

Wiadra stawiano chorym w salach albo na korytarzach, przecież coraz więcej sanitariuszek zostawało pacjentkami. Pielęgniarki chorowały, brakowało im sił do pracy, nie było lekarzy, lekarstw, środków higienicznych i owadobójczych, opatrunków, słowem wszystkiego. Kto mógł, korzystał z ubikacji na podwórku; chlorowanej. Inni, z różnym skutkiem, wołali o basen lub ko-

rzystali z wiader; opróżnianych rzadko. Na jednym wiadrze zmarła w korytarzu staruszka, przewracając się wraz z kubłem na podłogę. Krzyk sprowadził sanitariuszkę, która płacząc i klnąc, ścierała „to cholerstwo” sprzed legowisk, równie biedna i udręczona, jak płaczące pacjentki. Parę dni pobytu w owym szpitalu wystarczyło, bym zaczęła dręczyć się kwestią sprowadzenia rodziców. Pierwszy, usłyszany, rozkaz dzienny był poważnym ostrzeżeniem. „Zakazuje się, pod karą siedmiu dni ciężkiego aresztu, zjadania psów, a szczególnie młodych szczeniąt, ze względu na zbyt liczne przypadki śmiertelne”. Takie warunki. Nie mogliśmy w żaden sposób wysłać z Uzbekistanu rodzicom swojej cywilnej odzieży. Zabroniono ze względu na epidemię, a na bazarze trudno sprzedać. Uzbegy wiedzieli o zakazach, kupowali za bezcen. Nasza dekadówka sięgała ośmiu rubli, kisiejka mleka kosztowała pięć. Wanda spotkała w Guzarze panią Banszelową, której pomogła nawiązać – korespondencyjny – kontakt z najstarszą córką, Olgą. Dzięki temu dziewczyna mogła zaraz po zwolnieniu z łagru dołączyć do mamy i sióstr; dotarła do wojska i trafiła na ewakuację. Teraz pani Banszelowa pożyczyła Wandzi dwieście rubli, aby mogła je wysłać rodzicom; to było dozwolone. Potem, mimo zakazu, sprzedawałyśmy swoje szmatki cywilne, spłaciłyśmy dług. Mój Boże, to było wszystko, co od nas dostali.

Moja siostra ukończyła kurs unitarny, zgłosiła się na sanitarny, a zanim go zorganizowano, wszystkie kandydatki zatrudniono w szpitalach. Wanda trafiła do meczetu. Mnie odmówiono, gdyż nie odbyłam kursu unitarnego. A tak bardzo chciałyśmy być razem. Jednak swoje wykształcenie mogłam udokumentować legitymacją z liceum pedagogicznego, dlatego skierowano mnie na kurs świetliczarski, a tamten miałam uzupełnić przy okazji. Mało nas było na tym kursie; wymagano trzech klas gimnazjum. Większość dziewcząt nie zdążyła ukończyć trzech klas gimnazjum przed wywózką. Albo wiek im na to nie pozwolił, bądź też, żyjąc na wsi, gdzie nie było szkół średnich, kończyły edukację na szkole powszechnej, siedmioklasowej. Kurs świetliczarski prowadził porucznik Bałandiuk, przedwojenny nauczyciel z Zaleszczyk. Stateczny, życzliwy, godził się na wykłady nad *arikiem*, w cieniu morw. Umiałyśmy to docenić, pamiętając nieludzkiego porucznika Klara, który tak gnębił musztrą ochotniczki, że kilkanaście odwieziono do szpitala; dwie zmarły. Ów zawodowiec mściwie ogłosił, że „te baby diabli wezmą, albo z nich zrobię prawdziwe wojsko” za karę, że nie chciały zrezygnować ze śniadaniowej zupy, wskutek czego spóźniły się na musztrę. Porucznik Bałandiuk, ojciec koleżanki, okazał się przeciwieństwem tamtego, jako pedagog był ludzki, pamiętał

o tym, że przeszliśmy straszną szkołę życia. Tematyka wykładów, prezentowanie różnych form przyszłej działalności, podejście i sposób przekazu bardzo nam odpowiadały. Potem przyjechała pani Jakubowska (z Anglii) z całym repertuarem nowych piosenek żołnierskich, zapasem pomysłów do realizacji w świetlicach i wspólnie ożywili program zajęć. Byliśmy im za to wdzięczni. Dwutygodniowy kurs, dający kwalifikacje na świetliczarki, ukończyliśmy pozytywnie. Czas spędzony w Guzarze był dla nas prawdziwym odprężeniem.

Wiadomo już było, że następna ewakuacja do Iranu odbędzie się latem. Rozważaliśmy z Wandzią szansę sprowadzenia rodziny do Guzaru; aby dołączyła do ewakuacji. Jednak nie tylko epidemie stanowiły problem. Również i nasze osobiste choroby. Wandzia przechodziła zakaźną żółtaczkę, a potem pelagrę, wskutek czego została niemal bez umięśnienia; dosłownie skóra i kości, nie miała na czym siedzieć. Chorowałyśmy równocześnie lub na zmianę. Moja dzielna siostra, pracując w szpitalu, leczyła się we własny sposób – nader wątpliwy, z powodu braku lekarstw – bez hospitalizacji. Mój organizm chyba się uodpornił (po skończeniu omdleń), będąc silniejszą, zdecydowałam się na wyjazd po rodziców i ciocię do Kazachstanu. Uzyskałam zezwolenie od komendantki obozu, pani porucznik Makłowicz, a przychylnie zaopiniowane podanie zaniiosłam do sztabu, gdzie przyjął je ode mnie porucznik Lachowicz, znajomy z okresu pobytu w obozie artylerii. Do sztabu maszerowałam kilkakrotnie (cztery kilometry), na co otrzymywałam przepustki, zwykle po nocnej warcie, korzystając z wolnego czasu. Po drodze odwiedzałam Wandzię, zdając jej ze wszystkiego relację. Ta kurowała się na własną rękę, wypijając codziennie *kisiejkę* kwaśnego mleka. Wyglądała przerażająco, a ja drżałam o jej życie. Ludzie „padali, jak muchy”. Jadzia Ossolińska po trzech dniach ciężkiej walki o życie umarła na *papatacz*. Gdy leżałam w szpitalu, mieszczącym się w szkolnym budynku, widziałam, jak wywożono z reguły trzy furmanki trupów; początkowo w koszulach, potem tylko pod jednym, wspólnym prześcieradłem, aby koszule zmarłych służyły żywym, jeśli nie jako odzież, to jako środki opatrunkowe. Poza miastem nie nadążano z zakopywaniem masowych grobów, dezynfekowano je wapnem albo chlorem, warstwami.

Tymczasem nasz sztab czekał na decyzję Jangi Julu, czyli Sztabu Naczelnego, dotyczącą zasad udzielania urlopów na wyjazdy po rodziny wojskowe. Wydeptałam ścieżkę z Górki do miasta, zanim zapewniono mnie, że już wszystko skompletowane. Plik dokumentów upoważniających mnie do wyjazdu z Uzbekistanu, wjazdu do Kazachstanu i przywiezienia stamtąd rodziny, a także pieniądze na ten cel, miałam otrzymać następnego dnia. Kolejnego

dnia rozkaz z Jangi Julu cofnął zezwolenia; do odwołania. Sprawę zawieszono i znowu nie wiedziałyśmy, czy to lepiej, czy gorzej. Od końca maja już docierały do nas listy rodziców i koleżanek z Urdżaru. Pisali z nadzieją na rychłe spotkanie, które raz zapowiadałam, to znów odwoływałam, zależnie od sytuacji. Ojciec starał się nas przekonać o polepszeniu ich sytuacji; dzięki pomocy Delegatury Rządu dostali koc i sukienkę dla mamy. Zmienili adres, po naszym odejściu mieszkali taniej, we dwoje. Dotarli do nich pieniądze, które im posłałyśmy, szkoda, że nie wolno było wysłać rzeczy. Wreszcie sztab zdecydował, że z całego ośrodka PSK, przeznaczonego do ewakuacji, zostanie wydzielony pluton likwidacyjny, z którego ochotniczki dostaną delegacje na wyjazdy po rodziny. Zaniepokojona zdrowiem Wandzi, prosiłam komendantkę o włączenie mnie do tego plutonu i zostawienie siostry na liście do ewakuacji. Zrozumiała, zgodziła się, a moja biedna i bardzo słaba Wandzia, nie bez żalu i płaczu, dała się namówić na takie rozwiązanie, wydające się jedynie możliwym.

Dnia dwudziestego dziewiątego lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku zapowiedziano wizytę generała Władysława Andersa w naszym Ośrodku Szkoleniowym na Górcie. Na przeraźliwy dźwięk służbowych gwizdków z namiotów wysypały się kompanie w pełnym umundurowaniu galowym, dopinając po drodze grube, twarde, skórzane pasy i stanęły w obowiązującym szyku. Po jakimś czasie, który w skwarze wydawał się wiecznością, na komendę rozeszłyśmy się do namiotów, by runąć na ciasno skupione legowiska. Położyłyśmy się w odzieży, aby być w pogotowiu. Płótna namiotowe, gorące od żaru, nie dawały chłodu, a sterczenie w pełnym słońcu wyczerpało.

– Alarm! Alarm! – Wzywano, kiedy goniec na czatach ujrzała samochód.

– Jada. Już jada. – Meldowała.

Wszystkie kompanie stoją w szyku, sztab komendantek wysunął się z kancelaryjnego namiotu w kierunku warty, znajdującej się przy bramie z patyków. Powitania, meldowanie i obchód generała ze świtą. Ten, równym, sprężystym, raczej wolnym krokiem maszerował wzdłuż naszych trójszeregów, cały czas salutując w sposób angielski, całą dłonią, jak i nas uczono. Idąc, lustrował nasze babskie wojsko tak, że każdej z nas zdołał głęboko zajrzeć w oczy, a nawet w duszę. Potem stanął naprzeciw naszych pięciu kompanii, przez chwilę zdawał się zbierać myśli, a ja byłam pod wrażeniem owego historycznego wydarzenia, w którym dane mi było uczestniczyć. Przypatrywałam się generałowi. Był dość wysoki, sprężysty, wysportowany, raczej szczupły. Furażerka

na wystrzyżonej głowie. Opalony. Ubrany w siatkową koszulkę khaki z krótkim rękawem. Musi być wspaniale przewiewna. Ciemny krawat, ładniejszy od naszych, jasnych. Krótkie, drelichowe spodnie koloru koszulki. Opalone męskie nogi w skarpetach i półbutach. W tym lekkim stroju wygląda jak bóg wojny; mówią, że osmiokrotnie ranny. I stoi taki świeży i lekki naprzeciw naszej masy przegrzanych ciał w hermetycznie zamkniętych sortach galowego, wełnianego munduru, którego kilogramy kazano nam włożyć na siebie, wskutek czego niejedna mdlała podczas tamtej godziny zbędnego czekania. O, Boże! Daj dotrzeć do końca, chociaż popelinowa bluza przesiąkła potem a gumowe pasy do pończoch („całościowe”) parzą i buty gniją ogniem.

– Ochotniczki – zaczęła – drogie ochotniczki! Po wielu przejściach, z ogromnym poświęceniem, zgłosiłyście się na wezwanie ojczyzny, aby ofiarować swoje życie i swoją pracę pomocniczej służbie dla Wojska Polskiego, które się odradza poza granicami, daleko od rodzinnego kraju. Bardzo wiele przeszłyście w ciągu tych ostatnich lat, lecz nie załamałyście się pod brzemieniem trosk. Przeciwnie. Umocnił się wasz hart ducha, hart ducha polskich kobiet i polskich dziewcząt. Niechże on nadal was wspiera, w dalszej, ciężkiej naszej drodze do kraju. Nie będzie to droga najkrótsza, jakiej spodziewaliśmy się. Sytuacja polityczna tak się skomplikowała, że nasza polska armia, jak wiecie – częściowo już przeniesiona – nadal będzie ewakuowana na inne, obce ziemie, gdzie otrzyma broń, której tutaj jeszcze nie ma, bo brakło, gdzie zostanie właściwie przeszkolona, wyposażona i przygotowana do walki z wrogiem. Do walki o wolność i o ojczyznę. W najbliższym czasie i was czeka ta ewakuacja. I wy dołączycie do części Wojska Polskiego, która wypełni lukę w okrążeniu wroga przez aliantów, tak, aby we właściwym czasie otoczyć go pierścieniem i zmusić do kapitulacji. I wyrzucić z naszej ziemi na zawsze. Wiele jeszcze dróg czeka polskich tułaczy, ale wszystkie prowadzą do kraju, o który walczymy. Drogie ochotniczki. Znam dzieje waszych ostatnich lat, wasze cierpienia w więzieniach, łagrach i na zesłaniu. Wiem dobrze, że spotkałyście się z pogardą, głodem i nędzą, różnego rodzaju. Wiem, w jakich warunkach obozują nasze jednostki w Guzarze, a chyba najciężej jest tu, w obozie na Górcie. Zdaję sobie sprawę, że ponad wszystkie cierpienia, najbardziej trapi was myśl i ogromny niepokój o wasze rodziny i wszystkich najbliższych waszym sercom. Modlicie się o ich życie, nie wiedząc, gdzie są, bez kontaktu od wielu miesięcy, może od lat. Wiele polskich rodzin, rozrzuconych po całej ziemi Związku Radzieckiego, stara się śledzić wiadomości o naszym Polskim Wojsku, całej ich nadziei na ocalenie. Nie zawiedzimy tej

nadziei. Całym sercem jesteśmy z nimi i teraz, i potem, gdy już nas oddzieli granice od nich. Kochane ochotniczki! Polki nasze serdeczne! Do was się zwracam z apelem, jak do sióstr, matek, córek naszego narodu. Pamiętajcie o tych tysiącach rodaków pozostających tutaj. Będziemy usiłowali wszystkich ewakuować, wszystkich pozbierać i zabrać stąd, gdzie klimat jest dla nich tak bardzo nieodpowiedni, a warunki jeszcze bardziej się pogorszyły, wskutek wojny z Niemcami. Rozumiecie, że choćby te ogromne przestrzenie stanowią wielką przeszkodę do pokonania, że to wszystko, niestety, będzie rozciągnięte w czasie, chociaż ten nagli, liczy się każda chwila, każdy dzień. Tymczasem wy już będziecie w innym kraju, w innych krajach, gdzie ludzie będą was wypytywali o wasze dzieje od września tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku. Apeluję do waszych dobrych serc, do waszych umysłów i do waszej lojalności, wobec pozostających tutaj naszych rodzin. Nie oskarżajcie! Nie wołajcie o sprawiedliwość! Nie informujcie o tym, jakie miałyście w tym kraju życie, na jakie skazano was tu bytowanie, jak wyglądały lata harówki ponad siły, oderwanie od ojczyzny i rodziny. Tego nie mówcie! Nie opowiadajcie! Nawet naszym sprzymierzeńcom. Nie! Jeszcze nie teraz! Nie czas. Zostają tu tysiące Polaków, których chcemy wydostać. Nie wolno nam zamykać im drogi wyjścia. Opowiadania o naszych przeżyciach bardzo łatwo mogą stać się dla nich przeszkodą nie do przebycia. Potraktowane jako wroga propaganda staną im na drodze i ją zamkną. Nam tego robić nie wolno. Musimy utrzymać przymierze ze Związkiem Radzieckim i razem walczyć przeciw Niemcom. Nie wolno nam teraz zepsuć tych stosunków, z trudem nawiązanych. Rozumiecie? Od waszej postawy, od każdej z was, będzie dużo zależało. Pamiętajcie o tym! Wkroczymy na kolejne obce ziemie, gdzie cały świat będzie nas obserwował. Nas – Polaków, i was – Polki. Ponieście w świat honor polski, własny hart ducha, gorące serca, pamięć o obowiązkach wobec ojczyzny i wobec rodaków! Wierzę w was gorąco. Wierzę, że te drogi doprowadzą nas do domu i spotkamy się w wyzwolonej ojczyźnie. –

Takie było gorące przemówienie generała Andersa do ochotniczek w Guzarze. Staralam się oddać jak najwierniej jego treść i charakter, mimo że własnymi słowami. Chyba udało mi się podchwycić nawet styl autora, którego żarliwy apel trafił do naszych serc.

Na drugi dzień od świtu ćwiczyłyśmy „Pożegnanie generała”. Na placu, ustawione po kilka, tworzyłyśmy żywe litery, widoczne z lotu ptaka, dzięki ściśle określone mu miejscu każdej z nas. Na komendę zbiegałyśmy się i rozbiegały do namiotów, powtarzałyśmy wznoszenie w górę rąk, z białymi koszulkami. Pole-

cono nam włożyć popelinowe bluzki bez krawatów, spódniczki oraz półbuty; bez owych pończoch z okropnymi pasami.

– „Musi, co”. Generał skrytykował nasz występ w mundurach. – Cieszyła się Mańka – Bądź – Z – Miasta, a Hela Jankowska dodała, że pewnie widział, iż niejednej pot zalał oczy, a nie mogła wytrzeć, stojąc „na baczność”.

Tuż przed godziną odlotu Generała do Jangi Julu wybiegłyśmy na sygnał gwizdka. Ustawiliśmy się, tworząc napis, inne ochotniczki zrobiły „ramkę” długą na parę rzędów. Słyszałyśmy warkot i wkrótce ukazał się mały dwupłatowiec. Na komendę podniosłyśmy ręce z koszulkami, tworząc biały, rytmicznie falujący napis, w prostokątnym obramowaniu: „Bóg Cię prowadź, Generale!”

Za trzecim okrążeniem dwupłatowiec obniżył lot i na środek placu sfrunęła kartka z napisem: „I nas wszystkich – do Wolnej Polski! W. Anders”

Długo nie rozchodziłyśmy się. Może wróci? Zwieńczeniem dnia była niezwykła kolacja, kompot z suszonych winogron, uzbecki *kisz-misz*.

Ostatnie dni w Guzarze

Wandzia pracowała w szpitalu, ja wciąż miewałam warty, na zmianę z przepstkami. Nasze kompanie przeorganizowano. Wybierano dobrowolną kadrę zapasową, która miała tu stacjonować, potem zrezygnowano z niej, gromadzono na Górcie kompanie przeznaczone do ewakuacji, a resztę ludzi planowano odesłać do miasta. Ciągłe coś zmieniano. Trudności rosły. Zamieszanie także. Obie z Wandą kilkakrotnie żegnałyśmy się, to znów witały.

Dzień przed moim, zatwierdzonym, wyjazdem do Kazachstanu po rodzinę, cofnięto zezwolenia i dziesiątego sierpnia niedoszłą kadrę zapasową zawieziono wprost na stację kolei. Tam już zwieziono z Górci wszystkie nasze kompanie, całe babskie wojsko nocowało pod gwiazdami, przy torach, w oczekiwaniu na pociąg. Znowu witałam się z siostrą, od której miała mnie dzielić granica. Byłam zrozpaczona, że nie pojedę po rodziców, tym bardziej, że się mnie spodziewali. Komendantka uspokajała; liczniejsza kadra (z Jangi Julu) rozjedzie się po rodziny, zaopatrzona w dokumenty, adresy, pieniądze, aby pozbierać je i zwieźć do Sztabu Naczelnego, skąd będą ewakuowane w ślad za nami. Nie mogłyśmy nic zrobić, nic poradzić. Pozostawało nam tylko się cieszyć, że będziemy już stale razem. Wszystkie ochotniczki musiały przyjąć dodatkowe wyposażenie, plecaki, koce, chlebaki, całą odzież, słowem komplet; aby przewieźć za granicę; już nie będzie naboru do PSWK. Żałowałyśmy, że nie zostawiono części wyposażenia naszym biedakom; wystarczyłoby wziąć mundury, nie przysługujące cywilom. Jak bardzo przydałyby się tam buty,

koce, bielizna, menażki. Niestety, zabrakło czasu na rozsądek. Nasze dzwiganie zdawało się nonsensem.

O świcie, jedenastego sierpnia, na stację Guzar podjechał pociąg towarowy. Nasza kompania weszła do wagonu numer 42, znajdującego się w połowie składu. Zosia Nęcka sprawnie dyrygowała ładowaniem. Upchałyśmy mnóstwo bagaży i, po rozlokowaniu się na narach, tudzież na podłodze, mogłyśmy ułożyć się do snu. Wskutek ścisku odwracałyśmy się na komendę. Jechało się przy drzwiach otwartych; żar straszny, ponad pięćdziesiąt stopni. Spoczone, zmęczone, cierpiałymy na brak wody, skąpo rozdzielanej, tylko do popijania sucharów. Gdy fizjologiczne potrzeby stały się zbyt naglące, a brakło w wagonie choćby otworu, naśladowałyśmy pierwszą desperatkę. Kucało się przy drzwiach, dwie koleżanki trzymały delikwentkę za ręce, a ta wmawiała sobie, że nikt nie widzi. Później, co jakiś czas, zatrzymywano pociąg na pustyni Kara Kum. Pasażerowie zeskakiwali z wagonów i, nie oddalając się zbyt daleko, korzystali szybko z postoju, gdyż dziwne poczucie humoru skłaniało maszynistów do nagłego ruszania, bez uprzedzeń. Któregoś razu Wandzia ledwie zdążyła wsiąść. Pod koniec pierwszego dnia podróży, wskutek okropnego pragnienia, pozwolono nam na jakiejś stacji zaopatrzyć się w wodę. Biegunka szalała. Cieszyłyśmy się, że sąsiednie wagony zajmowały również „pestki”; przewisko od PSK, zmienionego w Persji na PSWK, Pomocnicza Służba Wojskowa Kobiet; nie uważałyśmy go za obraźliwe. Dalsze wagony zajmowali żołnierze, udręczeni i zubożeni, jak my. Ja zaś, przemęczona, chora, znowu gorączkowałam. Zastanawiałam się nad stopniowaniem sytuacji krytycznych, wspominając niełatwą podróż ze Lwowa do Ajaguzu. Wtedy myślałam, już nie może być gorzej. Teraz, kiedy faktycznie było gorzej, drętwiałam na samą myśl, że z takimi warunkami muszą zmierzyć się rodzice. Wandzia trzymała się dzielnie, choć biegunka jej nie ominęła. Czwartego dnia podróży dojechaliśmy do Krasnowodska.

Pożegnanie „nie ludzkiej ziemi”

Dotarliśmy, zmęczone nie ludzko. Po rozlokowaniu się we wskazanym miejscu – na piasku, wzdłuż torów, niedaleko stacji – zostawiłyśmy cały swój balast, aby skorzystać z upragnionej kąpieli w morzu. Osłabiona gorączką, z okropnym bólem głowy, zgodziłam się z Wandą, że lepiej mycie włosów odłożyć na drugi dzień. Koleżanki, które zdecydowały się na kąpiel „z głową”, wyszły z niej ze zbitym, nie do rozczesania kołtunem. Z pomocą piasku ścierały z siebie grube warstwy ropy naftowej; ze skórą można było sobie radzić,

z włosami już nie. Wodę do picia wydawano nam wprost z destylatora, po kwaterce na osobę, raz dziennie według listy. Komendantki kompanii odpowiadały za ewentualne nadużycia i braki. Z nieba lał się żar słońca, w powietrzu unosił się zapach ropy. Koledzy Wandy Szamraj zbudowali nam ścianę z plecaków. Dawała nieco cienia i osłaniała od piasku. Z peleryny zmontowali niby daszek. Z dwóch takich peleryn montowało się dwuosobowy namiot, niestety podgumowany, toteż w dzień było w nim duszno.

Teraz Wanda była silniejsza. Gdy zemdlałam, zapisała mnie do lekarza; z jego pomocy skorzystałam nazajutrz. Mało tego, z koleżankami wybrała się po wodę do najbliższej dzielnicy miasta; trzy kilometry. Wyprawa udała się. Po paru godzinach wrócili z pełnymi manierkami, chociaż o wodę trudniej niż o wino, dużo tańsze. Za ostatnie cywilne rzeczy – dwie koszulki nocne, kubek półlitrowy i ryneczkę – udało się Wandzi dostać menażkę wody i trzy menażki wina, którymi obdzieliła koleżanki. Wypiłam wodę z małym dodatkiem alkoholu. Nocami słychać było detonacje nadpsutych konserw; przysłanych z Anglii, lecz nie dostarczonych naszemu wojsku. Musiano je zakopywać i strzec; gdyż głodni zjadali, a wielu przypląciło życiem.

Na trzeci dzień w Krasnowodsku ogłoszono zbiórkę chorych, do których się zaliczałam. Zdrowym kazano zanieść nasz ekwipunek do ciężarówki. Wkrótce okazało się, że chore będą wiezione do portu; z bagażem, w jednej ciężarówce. Zdrowe pomaszserują z ładunkiem własnym pięć kilometrów. Od razu poszłam więc zgłosić Wandę jako chorą, lecz ofuknięto mnie, że trzeba to było zrobić rano. A jeśli naprawdę jest chora, to niech się zastanowi, czy się przyznać, gdyż chorzy nie będą mieć wstępu na statek. Powlokła się zatem w kolumnie, zdołałam zmienić jej plecak na mój chlebak, aby trochę ulżyć.

Było już ciemno, gdy znalazłyśmy się w okolicy przystani. Komendantka kompanii poleciła nam tu zostać, zawieruszyły się bowiem nasze dodatkowe bagaże i ekwipunek paru koleżanek. Trzeba odnaleźć i dopiero wtedy – rankiem – wejść na statek. Zimno było w nocy, odczuwało się wilgoć piasku, na którym ułożyłyśmy się, by spać. Podniecenie nocujących pod gwiazdami, rozmowy, ruch, śpiew, wybuchy śmiechu, to wszystko wybijało ze snu. Mówiono w sąsiedztwie, że skoro bolszewicy nie pozwalają na okrętowanie chorych, którzy nie mogą o własnych siłach iść po trapie, koledzy częstują słabeusza winem i prowadzą ze śpiewem; tym głośniejszym, im słabiej chory wlecze nogami.

– A co na to warta, strażnicy? Nie wołają: *Kak bolnoj, nielzia?*

– Wołają. I każą sobie chuchnąć.

– No, i co, i co?

– A, to przynajmniej wążają, że ktoś pił.

O świcie odnalazłyśmy bagaże i po trosze znosiłyśmy je do podnóża trapu, potem wyżej, skąd Bronka Skrzycka, Hanka Libera, Wanda Szamraj i Jan-kowskie zabierały je dalej, gdyż nie pozwolono zaokrętowanym schodzić na dół. Wtedy dotarła do mnie rozpacзлиwa myśl, że teraz to już nie tylko tysiące kilometrów, ale i morze dzieli nas od rodziców. Boże, ratuj! Oni zostają, zostają.

– Ała! Nie płacz! Nie wolno! Proszę! – Mówiła siostra, przełykając łzy.

– *Bolnaja? Bolnaja?* – Strażnik nachylił się nade mną, gdy wspinałam się w górę.

– Nie! Nie! – Wołałam.

– *A to za czom te słozy?* Ja nie widział, aby tu kto płakał, jak stąd odjeżdża.

– Nie mógł pojąć, zdziwiony.

– Mama, mama tu została. – Krzyczałam, niepomma na mundur, nie panując nad sobą, ogłupiała.

– A, poniał. – Usłyszałam. – *Prawilno.*

Statek nieduży, „Żdanow”, drobnicowiec. Na brzegu dziwiłam się, jakim cudem pomieści on tyle luda, gdy tak szli i szli. No i przekonałam się. Holowana przez Bronkę, przeciskałam się pokładem zatłoczonym cywilami, siedzącymi na resztkach dobytku, z dziećmi na kolanach, wśród tobołów tarasujących wąskie przejścia. Brnęłyśmy dalej, pod pokładem, przez korytarzyki, schodki, izdebki, schowki, do malutkiego kubryku, i jeszcze niżej. To tutaj.

– Mam dla was miejsce – odezwała się Jadzia Malewska spod okrągłego okienka, w załadowanym gratami kąciku.

– Gdzie? – Naprawdę nie rozumiałam. – Nie mogę sobie wyobrazić.

– A, to nic. Nie musisz. Potem się przekonasz.

I rzeczywiście, miejsce było w tej graciarni. Siedzieć ciasno, leżeć jeszcze gorzej, lecz kosztem ciasnoty zabieramy tyle rodzin, tyle biedaków do uratowania, a to najważniejsze. Szkoda, że naszych rodziców tu nie ma. Lecz czy zdołaliby przeżyć to okropne lato w Guzarze? Panie Boże, zlituj się! Zlituj!

Dowiedziałyśmy się, gdzie toaleta, trzeba czekać w kolejce. Stateczek zaczął chybotać, gwizdać, trzeszczeć i nie było wątpliwości, że ruszy, wówczas wróciliśmy do naszej mysiej nory. Wezwane i wypchane z ciasnych pomieszczeń, wydostałyśmy się na przepelniony pokład. Zerkając ponad głowami pasażerów ujrzałam a następnie usłyszałam orkiestrę wojskową Armii Czerwonej, która grała nam na pożegnanie, bardzo uroczyście, *Jeszcze Polska nie zginęła*. Tłum na statku podchwycił melodię i nasz hymn narodowy brzmiał

z taką siłą, że aż miałam wrażenie, iż drętwieję od stóp do głowy, w postawie na bacność. Musieli nas uznać, musieli. I grają nasz hymn, za którego śpiewanie niegdyś nie szczędzili kar. Ku mojemu zaskoczeniu zorientowałam się, że i ja śpiewam, drę się na całe gardło, tak samo zresztą, jak wszystkie ochotniczki, rodziny z dziećmi, bardzo przejęte. Pewnie to zapamiętają. Następnie odegrano, nieco wolniej, *Szyroka strona moja rodная*. Tak uroczystie żegnano nas, opuszczających ten kraj, gdzie znaleźliśmy się, rzuceni losem wojny, nie z własnej woli. Co do mnie, przeżyłam na tej ziemi dwa lata i cztery miesiące (od trzynastego kwietnia 1940 roku do siedemnastego czerwca 1942), niejednokrotnie bliska końca ziemskiej wędrówki, lecz widocznie nie nadszedł jeszcze mój kres.

Coraz więcej osób zapadało na chorobę morską, a i biegunki mało kto się pozbył. Zemdlałam, stojąc dwie godziny w kolejce do jedyne go czynnego ustępu. Ocucono mnie i zwolniono z kolejki. Do kabiny weszłam pod opieką siostry, bałam się upaść. Koleżanka za mną czekała jeszcze dwie godziny. Moje omdlenie nie poszło na marne. Komenda narobiła szumu i pozwolono chorym korzystać z ustępu kapitana statku; z zastrzeżeniem pierwszeństwa załogi. Więcej ubikacji nie było. Tymczasem kłopoty żołądkowe nasilały się. Chore nie zdążyły, kończyło się wrzuceniem pewnej części garderoby do morza; nie omijam drastycznych szczegółów, wszak tuszowanie zacierałoby prawdę. Teraz wiedziałam, że poprzednia podróż nie była najgorsza i znów wmawiałam sobie, iż na pewno gorzej już być nie może. Niestety, myliłam się.

We wtorek, osiemnastego sierpnia, straszne wydarzenie odebrało nam resztki fantazji i chęci do nadrabiania miną oraz obracania wszystkiego w żart. Na pokładzie zdarzył się wypadek. Młoda matka chłopczyka, który chorował na biegunkę, wystawiła za burtę, aby się załatwił. Malec spojrział w dół i tak się przestraszył, że wyrwał się z jej rąk. Zginął, miał trzy lata. W pieluszkach dowiozła go transportem do Kazachstanu, a wcześniej na Syberię. Przez całe zesłanie potrafiła uchronić. Jechała za mężem, który odnalazł ją, wyszedłszy z łagru. Sprowadził do Uzbekistanu – gdzie dotarła po jego ewakuacji do Persji – a teraz oczekiwał w porcie. Wyniesiono ją na ląd w kaftanie bezpieczeństwa. Zwariowała.

Statek „Żdanow” opuszczaliśmy wśród krzyku obłędu i spazmatycznego śmiechu kobiety, którą nieszczęście doprowadziło do szału. Działo się to we środę, dziewiętnastego sierpnia 1942 roku, w Pahlavi, na południowym brzegu Morza Kaspijskiego.

Część II

TECZA WŚRÓD BURZY

Założenie szkoły

Wzmianki o tym, że tworzy się polską szkołę, dotarły do nas latem 1942 roku, gdy byliśmy w Wojsku Polskim, w uzbeckim miasteczku Guzar, leżącym na północny zachód od Samarkandy, w kaszkadaryjskim okręgu. Nieco więcej powiedziały mi koleżanki z zesłania, z którymi spotkałam się w końcu sierpnia tegoż roku, w irańskim porcie Pahlavi, w obozie Pomocniczej Służby Wojskowej Kobiet, nad samym Morzem Kaspijskim. Bliższych informacji udzieliła mi Zuzia Accord, która była instruktorką w Szkole Junaczek w Jangi Julu, koło Taszcentu, gdzie do sierpnia 1942 roku stacjonował sztab Wojska Polskiego, organizujący owe szkoły. Równocześnie z naszym wojskiem przeszły one ewakuację ze Związku Radzieckiego do Iranu, skąd przeniesiono je do Palestyny. Tam Szkołę Junaczek przemianowano na Szkołę Młodszych Ochotniczek. Mój pobyt w SMO trwał rok, od lutego tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku, do lutego roku tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego. Był to najszczęśliwszy czas mojej wojennej młodości. Każdy ma jakiś kącik w sercu, w którym przechowuje pamięć o swoich szkolnych perypetiach. Skoro zwyczajna szkoła budzi w nas wspomnienia, to o ile więcej ich wiąże się ze szkołą zupełnie niezwykłą, istniejącą w wyjątkowych czasach i w niecodziennych warunkach. Była dla nas czymś znacznie więcej niż miejscem, w którym zdobywa wykształcenie, więcej niż internatem, bo chyba tak można by na język cywilny przełożyć nasz skoszarowany tryb życia. Na dalekiej, obcej ziemi była nam domem. I była nam Polską. O istnieniu Szkoły Młodszych Ochotniczek niewiele wie się u nas w kraju. Gdy w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym roku złożyłam w Ministerstwie Oświaty PRL swoje świadectwo dojrzałości do weryfikacji i zatwierdzenia, okazało się, że nasze władze nie miały dotąd do czynienia z podobnym dokumentem. Dopiero za pośrednictwem Ambasady PRL w Londynie uzyskano informacje na temat placówki szkolnej, która przez kilka lat działała na rzecz rozwoju oświaty polskiej w okresie drugiej wojny światowej poza granicami kraju, co naturalnie zostało potwierdzone i uznane.

Po przeszło trzydziestu latach zabieram się do spisania wspomnień z tego okresu szkolnego. Lepiej późno, niż wcale. Pomocą służą mi tylko pamiętki, fotografie, listy, stary brulion, kalendarzyki z tamtych lat z aktualnymi zapiskami, ot, cały ten mały bagaż serdeczny, z którym mimo wielu późniejszych wędrówek nie byłam w stanie się rozstać. Poza tym jestem zdana na własną pamięć, bo nikt nie może mi pomóc, podpowiedzieć, czy przypomnieć; czas zerwał kontakty. Na pewno nie wszystko zdołam przedstawić tak, aby nakreślić pełny obraz życia i działalności szkoły, której historii nawet nie znam w całości. Czasem wbrew woli zapomina się rzeczy istotne, by ich kosztem pamiętać drobiazgi, strzępy rozmów, własne wrażenia i przeżycia bardzo osobiste. Nie zamierzam zresztą stronić od wydobycia ich na światło dzienne, nie tylko dlatego, że szczerłość jest nieodzownym warunkiem, bez którego pamiętniki nie mają prawa bytu, ale także z tej racji, że byłam jedną z bardzo wielu przeżywających w podobny sposób ówczesną rzeczywistość. Chciałabym przejść tropem tułaczki i zatrzymać się na przystanku, gdzie ażylem kilkuset dziewcząt okazała się Szkoła Młodszych Ochotniczek. Oddać ducha tamtych dni i atmosferę. Może ktoś inny pozbiera swoje wspomnienia, odnajdzie kolejne ogniwo, jakie – u schyłku naszej drogi – zostawimy następcom, aby dzięki tej skromnej relacji poznali ogrom zagadnień i spraw, mieszczących się w pojęciu druga wojna światowa. Może, jak ja, ktoś zechce spłacić dług wdzięczności za przywróconą wiarę w dobroć człowieka i powie współczesnym, że warto coś ocalić od zapomnienia.

Przyjazd do Rehovoth

"Kiedyś, gdy z tej wojny wrócę,
Za jakieś kilkadziesiąt lat,
Plecak zdejmę, buty zrzucę
I siądę sobie bardzo rad.
Wnuków zbiegnie się gromadka
Wokół, szczebiotem swym
O bajkę będą prosić dziadka.
Cóż ja wtedy powiem im?"

Autobus zatrzymał się przed obozem. Na przednich siedzeniach zaczął się ruch, z odleglejszych miejsc słychać dalszy ciąg piosenki. „Pomnij ochotniczko miła, || Jakżeś w Kanequinie była, || Pod palmowym gajem stała || I na autostop czekała”.

– Oho, skończył się już Kanequin. Przeminał dla nas. – Zawołała któraś.

Coraz więcej dziewcząt zrywało się do okien, wstawały, pytały siebie nawzajem.

– Tak, to już tutaj.

Wreszcie dotarliśmy do właściwego miejsca. Drewniane baraki, ciemne, równymi rzędami poustawiane wzdłuż uliczek, tworzyły miasteczko. Ciemne jezdnie, obrzeżone trawnikami. Drzewa, krzewy bezlistne, zimno, wilgotno. Z ciemności wyszła niewysoka, siwa pani w mundurze, miała stopień porucznika.

– Czołem, dziewczęta!

– Czołem!

– Wchodźcie do baraku!

Każda wnosi bagaż. Mój wór wyjątkowo duży. Dostałam go w magazynie Batalionu Saperów w Kizyl Ribat, tym bardziej mnie ucieszyło, że łatwo mieścił się w nim mój kozuszek bezrękawnik, który właśnie „oficjalnie” wymieniałam z małym Zbyszkim, „synem baonu”, za oficerską, skórzaną kamizelkę, o której marzył.

– Dziewczęta, mamy łóżka.

– Naprawdę? Łóżka?

– Wspaniale. U nas nie było.

– Czołem, koleżanki! Witamy w szkole! – Zawałała służbowa. – Komendantka transportu ma się zameldować u naszej komendantki. Zaprowadzę.

– Nie ma komendantki transportu.

– Wyszła? To nic, poczekam.

– Nie ma wcale.

– Jak to? Gdzie się podziała?

– Nie było żadnej.

– Nie, nikt nie dowodził naszym transportem.

– No, to dawać przewodnika.

– Ta, nie było.

– W takim razie tłumacza. Chyba nie powiecie, że was wysłano przez te granice bez tłumacza? – Wołała.

– Nie miałyśmy żadnego tłumacza, ani żadnej szarży, ani żadnej innej eskorty. – Przekrzykiwałyśmy się ze śmiechem, już przywykłe do wzbudzania sensacji tak nietypowym transportem wojskowym. Bez wierzchniej władzy, zaopatrzone tylko w imienne skierowania do szkoły, złożone u każdej w pay-book'u, zostałyśmy powierzone kierowcy Arabowi, z którym porozumieć się było trudno, mającemu rozkaz wyjazdu i znającemu trasę; przekazane, niczym ładunek do przewiezienia.

– Czołem, dziewczęta! – Wołała od progu ochotniczka w stopniu starszego sierżanta. – Wala, Helenka! Jak się macie? – Ucieszyła się na widok znajomych.

– Pani Haneczka! Jak to dobrze! – Uściskały się serdecznie. – Dziękujemy pani za to, że pomogła nam pani dostać się tu, do szkoły.

– To pewnie ta nauczycielka, o której opowiadały? – Szepnęła do mnie Lonia Blok, którą poznałam w czasie podróży.

– Tak, niewątpliwie – odpowiedziałam. – Były razem z tą panią w siódmej dywizji, chyba jeszcze w Kerminie.

– Tak, były świetliczarkami.

Tego wieczora rozlokowałyśmy się w baraku. Dyrektorka, siwa pani, zdążyła porozmawiać z każdą. Poważna i spokojna zadawała rzeczowe pytania, wnikliwie analizowała nasze wątpliwości i wahania towarzyszące podjęciu decyzji, do której klasy się wpisać. Obiektywnie przedstawiła obowiązki i trudności, z jakimi boryka się szkoła, na przykład brak podręczników; wszystko to należało wziąć pod rozwagę. Był to dzień dwudziestego piątego lutego 1942 roku. Dotarliśmy po półroczu, dlatego trzeba się liczyć z koniecznością nadrobienia zaległego materiału. Do końca roku szkolnego pozostały cztery miesiące, sześć poprzednich należało uznać za stracone. Najważniejszy jednak problem, z którego wtedy nie zdawałyśmy sobie sprawy, stanowiła trzy lub czteroletnia przerwa w nauce oraz cały ogrom ciężaru lat niewoli, zesłania i głodu, dzielący nas od ostatniego pobytu w szkole i nie pozostający bez wpływu na pamięć. Wojna brutalnie wdarła się w nasze życie i młodość, a chociaż pod pewnymi względami wydorosłałyśmy (zbyt gwałtownie), pod innymi można było stwierdzić pewne zahamowania, zaś z nauką wiadomo – kto nie idzie naprzód, ten się cofa. Rekrutacja do szkoły nie ograniczała się do przedłożenia ostatniego świadectwa szkolnego, tym bardziej, że posiadanie takowego należało do rzadkich przypadków. Każda z nas była gotowa do maksymalnych wysiłków i rzetelnej pracy, chociaż nie wymagano podejmowania zadań, które byłyby ponad siły. Dopiero wracaliśmy do obowiązków szkolnych, życzliwość pani dyrektorki i naszej wychowawczynie rozstrzygnęła sprawę. I tak dokonał się ten przedziwny powrót na szkolną ławę.

Szkoła Młodszych Ochotniczek okazała się tą właśnie szkołą junaczek, o której słyszałam. Powstała wiosną tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku w Karkin Batasz, skupiając dziewczęta, które dotarły do Uzbekistanu z zamiarem wstąpienia do wojska, a miały poniżej osiemnastu lat. Po ewakuacji do Palestyny stacjonowała w Gederze, potem, przeniesiona do miasta

Rehovoth, zajmowała część obozu polskiej jednostki wojskowej. W Palestynie ustalono nową nazwę szkoły. Obecnie SMO starała się skupić, w miarę swoich możliwości, większą liczbę dziewcząt żądnych wiedzy, a granica wieku była przestrzegana mniej rygorystycznie. Nabór kandydatek do szkoły, warunkowany liczbą miejsc oraz podporządkowany możliwościom organizacyjnym, zależał zarówno od typujących jednostek wojskowych, jak i od Komendy Głównej Pomocniczej Służby Wojskowej Kobiet, zatwierdzającej lub odrzucającej wnioski. Jednostki wojskowe, zorientowane w ograniczeniach szkoły, starały się typować najlepsze spośród kandydatek, ubiegających się o szansę zdobycia wykształcenia średniego, zwanego w wojsku cenzusem. Oficjalna nazwa – ochotniczka – była stopniem wojskowym, najniższym, odpowiadającym stopniowi strzelca w piechocie. Komenda Pomocniczej Służby Wojskowej Kobiet (PSWK) skłonna była wyselekcjonować pewną ilość spośród wytypowanych przez oddziały kandydatek do szkoły, zwłaszcza tych, którym niewiele brakowało do zdobycia cenzusu. Za taki przyjęto świadectwo ukończenia – czteroletniego przed wojną – gimnazjum, co potocznie nazywano „małą maturą”, albo liceum, które przed rokiem 1939 trwało dwa lata, z wyjątkiem typu pedagogicznego (trzyletniego) i kończyło się egzaminem dojrzałości, dużą maturą. Taki system szkolnictwa wprowadzono w Polsce w roku szkolnym 1933 – 1934, za czasów ministra Janusza Jędrzejewicza. Zastąpił on ośmioletnie gimnazjum, do którego zdawało się po czterech klasach szkoły powszechnej oraz pięcioletnie seminarium nauczycielskie (egzamin po siedmiu klasach szkoły powszechnej), co określono nazwą szkolnictwa średniego starego typu. Do gimnazjum nowego typu zdawało się po sześciu klasach szkoły powszechnej; programowo obejmującej siedem lat nauki. Ów system odpowiadał potrzebom kandydatów do szkół zawodowych oraz młodzieży, która nie zamierzała podejmować dalszej edukacji. Pierwsza matura w liceum nowego typu odbyła się w maju 1938 roku. Rok wcześniej gimnazjum starego typu uwieńczyło świadectwami dojrzałości swą wieloletnią działalność. Szkoła Młodszych Ochotniczek, gdy do niej wstąpiłam, miała jedynie gimnazjum i liceum typu humanistycznego.

Tego wieczora, powitane specjalnym rozkazem dziennym, z zapalem przyłączyliśmy swe głosy do wieczornego hymnu, świadome przychylności losu, który pozwolił nam cieszyć się wielką szansą życiową. Placówka, choć na obcej ziemi, była polską szkołą. Nauka i wiedza, którą tu zdobędziemy, posłużą kiedyś Polsce. Oby jak najrychlej. Żarliwie płynęła nasza pieśń wieczorna, z kolejnego miejsca postoju, z nowych, obcych stron. „O, Panie, któryś jest

w Niebie, || Wyciągnij sprawiedliwą dłoń. || Wołamy z cudzych stron do Ciebie || O polski dach i polską broń!”

Długo, do bardzo późnej nocy, nie mogłam usnąć. Światła gaszono nam o godzinie dziesiątej. Noc ciemna, jak sadza, czasem przerywała ciszę jakimś głośniejszym westchnieniem sennym lub skrzyknięciem żelaznego łóżka. Barak mieścił ich około trzydziestu. Tuż po zgaszeniu światel przestała dudnić podłoga, umieszczona na wysokości około metra ponad ziemią. Baraki były wzniesione na palach. Moje łóżko sąsiadowało z łóżkiem Loni, to z kolei przylegało do kotary, oddzielającej naszą, dość długą, sypialnię od niewielkiej klasy lekcyjnej. Po mojej lewej stronie stały łóżka siostr, Wali i Helenki Luro. Naprzeciw mnie, za długim przejściem, ciągnącym się wzdłuż sypialnej strony baraku, ulokowano posłania Igi Zemanek, pielęgniarki z IV Szpitala Polowego oraz siostr Dąbrowskich, Ludmiły i ślicznej Oleńki. Ta druga, przybywszy marcowym rzutem do Teheranu, pracowała kilka miesięcy jako pielęgniarka w szpitalu hinduskim, gdzie nauczyła się angielskiego lepiej od swej siostry, młodszej stażem. Obie podczas naszej podróży zajęły się załatwianiem wszystkich formalności, związanych z kolejnymi noclegami, wymianą walut na mijanych granicach – irackiej, transjordańskiej i palestyńskiej – oraz ustalaniem terminów wyjazdów i postojów.

Podróż z Kanequinu w Iraku do Rehovoth w Palestynie trwała trzy dni i jedną noc. Wyjazd nastąpił dwudziestego drugiego lutego, o godzinie 1430. Wieczorem, w Bagdadzie, zmieniono nam autobus i dalsza jazda odbywała się nocą. Nazajutrz przekroczenie granicy i nocleg w transjordańskim Ammanie. Potem kolejna granica, palestyńsko-transjordańska. Wreszcie, późną nocą, przyjazd do nieznanego miasta. Tym razem była to Haifa. Kierowca, bardzo zmęczony, zawiózł nas do domu ATS (*Auxiliary Territorial Service*, czyli Pomocnicza Służba Wojskowa), a więc do naszych, choć nieznanych, koleżanek po fachu, tubylczych ochotniczek żydowskiej narodowości. Dość szybko zorientowały się w sytuacji, chociaż nikt ich nie uprzedził, zdaje się, że w ogóle nie wiedziały o naszym istnieniu. Z humorem przyjęły niespodziewanych, nocnych gości, udostępniły prysznice, poczęstowały kolacją i przygotowały łóżka w tempie alarmowym. Nazajutrz, wypoczęte i nakarmione, urzeczone bezinteresownością koleżanek – „to przecież zaszczyt gościć koleżanki z kraju, walczącego z Hitlerem; i w dodatku taka niespodzianka” – żegnane uśmiechami, zajęłyśmy miejsca w samochodzie, by wieczorem wyładować w obozie w Rehovoth.

W baonie saperów

W sobotę, dwudziestego lutego 1943 roku, o godzinie 22⁰⁰, otrzymałam nieoczekiwaną wiadomość, że w dniu dwudziestego drugiego lutego, o świcie, mam się zgłosić na wyjazd z Kizyl Ribat do szkoły w Palestynie. Byłam równie zaskoczona, jak uradowana. Oczywiście podanie o zezwolenie na ukończenie liceum złożyłam, gdy tylko dowiedziałam się o istnieniu szkoły i takich możliwościach. Pracowałam wówczas jako świetliczarka w batalionie saperów. Było tam pięć kompanii oraz podchorążówka (wśród tylu mężczyzn; na moje klasztorne wychowanie), a nas tylko „Siedem Jedy naczek”, jak nazywano z uszanowaniem cały ten babski zespół, mieszczący się w jednym namiocie. A był to świetny namiot, w którym po raz pierwszy od wstąpienia do wojska miałyśmy swoje prycze; oczywiście bez prześcieradeł, poduszek, czy choćby jaśka, ale wspaniałomyślny magazynier wydał nam aż po sześć koców, gdyż deszczowa i stale wilgotna iracka zima mocno dawała się we znaki, zwłaszcza nocami.

Straszną miałam treść, gdy mi komendantka Ośrodka Zapasowego w Jauli oznajmiła, że mam jechać „na przydział”. Byłam tam krótko, od przyjazdu do Iraku z Teheranu, gdzie po kilkumiesięcznym leczeniu szpitalnym przebywałam dwa tygodnie w obozie ozdrowieńców. Stamtąd zgłosiłam się na wyjazd do Iraku, wiedząc, że Wanda przebywa tam już od września. Bez trudu otrzymałam miejsce w najbliższym transporcie. Nie było chętnych do opuszczenia pięknego, egzotycznego Teheranu, żegnanego tylko na rozkaz i to z prawdziwym żalem, całkowicie zrozumiałym. W dodatku słyszało się pogłoski o ciężkich warunkach obozowych na kamiennej pustyni irackiej, zdanej na zimową porę deszczową i wybryki okropnego wiatru, zrywającego namioty znad głów żołnierzy, a czasem nawet dachy z domów. Pamiętam swój przedwieczorny przyjazd do obozu i ten pierwszy wieczór w Kanequinie, gdzie jeszcze wówczas stacjonował Ośrodek Zapasowy PSWK. Była to wigilia Świętej Barbary, obchodzono barbórki. W naszym obozie na górze słychać było śpiew żołnierzy obozujących na dole. Polskie pieśni, wskrzeszane z pamięci, napełniały swojskimi tonami gęstniejącą ciemność wieczoru. Melodie ludowe rozlegały się na przemian z żołnierskimi, śląskimi, powstańczymi – *Zasiali górale owies, Od Bytomia jedzie fura*. Wandy nie zastałam w ośrodku zapasowym. Pracowała w Szefostwie Budowlano – Kwatermistrzowskim jako kreślarka, bo tam „zapotrzebowano” ochotniczki po maturze i ona się zgłosiła. Ze względu na stan zdrowia, po przebytej żółtaczce zakaźnej, musiała na jakiś czas porzucić pracę w szpitalu. Zakwaterowana była w mieście, w pobliżu biura, razem z trzema innymi kreślarkami. Tam ją odnalazłam.

Dziesiątego grudnia Ośrodek Zapasowy PSWK przeniesiono do Jaluli. W moim namiocie, między innymi, znalazła się Krysia Bojko. Już wcześniej zwróciłam na nią uwagę. Sprawiała niezwykle miłe wrażenie, młoda, zawsze uśmiechnięta i tak bezpośrednia, jak gdybyśmy się znały od lat.

Po skończonej służbie rozpoczęłam pranie, gdy w połowie roboty wpadła po mnie służbowa z poleceniem, abym natychmiast meldowała się u komendantki obozu.

– Oto ochotniczka, o której mówiłam, panie poruczniku – przedstawiła mnie komendantka, gdy się zameldowałam.

– To? – Pan porucznik zdziwił się uprzejmie na mój widok, jak gdybym nie rozumiała po polsku.

– Świetliczarka. Po ukończonym kursie świetliczarskim – kontynuowała skwapliwie.

– A nie macie nic starszego? – Dodał głosem pobrzmiewającym dezaprobatą, ku mej skrywanej uciezce.

– Ależ, panie poruczniku! – Zareagowała komendantka, zerkając bardziej w moje papiery leżące przed nią, niż na mnie samą. – Ta oto ochotniczka zaczęła liceum pedagogiczne już przed wojną, w Polsce. Na dobrą sprawę byłaby już nauczycielką – perswadowała, jakbym była niechodliwym towarem, do zbycia. – Nie mamy więcej świetliczarek po kursie.

– O, Jezu! – Pomyślałam. – Jeszcze chwila, a doda, że nie jestem taka głupia, na jaką wyglądam!

– Gdzie pani była na tym kursie świetliczarskim? – Zapytał porucznik, tym razem zwracając się bezpośrednio do mnie.

– W Guzarze.

– Kto był tam komendantem kursu?

– Porucznik Bałandiuk, nauczyciel z Zaleszczyk – informowałam.

– Hmm... Skoro naprawdę nie macie nic innego, to niech już będzie – wyrokował zrezygnowanym głosem. – I tamte panie do biura, do kantyn i do sklepiku, także.

– Samochód czeka, pośpieszcie się! – Komendantka zwróciła się do nas, tych zebranych i „zatwierdzonych”. – Odmeldować się!

– Tak jest. Czołem!

W chwilę później jechałyśmy do saperów.

* * *

Nasz namiot stał niedaleko wejścia do obozu, między wartownią i magazynami z jednej strony, a kuchnią z drugiej, nieco na uboczu, znacznie mniejszy od żołnierskich namiotów. Z tyłu, nieopodal, była wygódka, niezwykle porządnie wykonana. Posiadała ściany i drzwi (zamykane na kłódkę – miałyśmy do niej klucz), wykonane z podwójnego, rozpiętego na ramach, workowego płótna, a nawet dach. W porównaniu z sanitarnymi urządzeniami tego rodzaju, odziedziczonymi po wojskowych obozach aliantów, należałoby uznać ją za komfortową, umiałyśmy to docenić. Wygódki obozowe najczęściej miały trzy, czasem nawet tylko dwie ściany, bez dachu. Nasz namiot, solidnie umocowany, wznosił się nad wykopaną powierzchnią mieszkalną, do której prowadziło kilka schodków, zaopatrzoną w dwie miednice i dwa wiadra (stojące na ławie i pod nią) oraz schówek na plecaki i worki.

– O, takiego namiotu wiatr nam nie zerwie!

– I prycze, czekają na nas prycze!

Wkrótce dowiedziałyśmy się, że naszym zwierzchnikiem jest porucznik Zdzisław Śliwiński – przyjechał z Warszawy – w baonie pełniący funkcję oficera oświatowego. Ten sam, który z nieskrywaną rezerwą „odbierał” nas z rąk komendantki ośrodka. Później okazał się świetnym szefem. Owszem, był wymagający, ale bardzo rzeczowy i konkretny, a przy tym sprawiedliwy i po prostu ludzki. Mój bezpośredni zwierzchnik, kierownik świetlicy, plutonowy podchorąży Józef Majchel, był nauczycielem w Poznańskim. Pod jego kierunkiem miałam przygotować kurs dla analfabetów, bo niestety w baonie byli i tacy. Zbierałam materiały pomocnicze, gdyż nie było żadnych książek, ani niezbędnych pomocy naukowych. Wieczorami, gdy świetlica była pełna, szef kantyny YMCA (*Young Men's Christian Association* – Związek Młodzieży Chrześcijańskiej, prowadzący kantyny w obozach wojskowych oraz równie tanie stołówki żołnierskie i domy noclegowe w dużych miastach) podrzucał mi do rozkolportowania różne mapki, słowniczki i informatory, z czym był nie lada problem. Przedpołudnia miałam wolne (podobnie jak kantyniarki – Krysia Bojko i Czesia Cybulska), a że właśnie wtedy odbywały się wykłady i ćwiczenia na kursie samochodowym saperów, pozwolono i nam w nich uczestniczyć. W świetlicy wciąż czułam się trochę zagubiona, jak przyszli uczestnicy kursu dla analfabetów, którzy krążyli po niej nie mniej onieśmieni ode mnie.

No, tak... Skończył się jeden rozdział. Kiedy tam powrócę?

Z baonu zostałam skierowana do szkoły. Nie przyszło mi to łatwo, o nie!

Gdy w ślad za swym podaniem pomaszerowałam do Kizyl Ribat, meldując się u komendantki Wysłouchowej i prosząc o pozytywne rozpatrzenie mojej prośby, zostałam wprawdzie dopuszczona przed oblicze władzy, ale jak mnie tam potraktowano, mój Boże!

– To ochotniczka chce do szkoły? – Usłyszałam ironiczne pytanie, odpowiadające lustrującemu przeglądowi mojej szanownej osoby.

– Tak jest. – Wyprostowałam się z godnością.

– Wiek?

– Dwadzieścia lat.

– No, wicie! Dwadzieścia lat. Ależ to bezczelność!

Ten wybuch oburzenia zupełnie mnie zdezorientował. Dlaczego, na litość boską, mieć dwadzieścia lat to bezczelność? Nigdy w życiu nie przyszło mi do głowy nic podobnego. Czy to moja wina?

– To żołnierz polski idzie krew łać za ojczyznę, to kraj ciemieźony ginie w niewoli, a nie ugina się pod jej jarzmem, a dziewczyna – dwadzieścia lat – chce sobie iść do szkoły, jak gdyby nic? W tym wieku? Zamiast pracować? Karierę się chce robić na wojnie, co? Matury się zachciewa, co? O, nic z tego! Służba nie druźba! Porządek musi być! O, to wszystkim zachciałoby się dekwować w szkole. Co? A do roboty!

Nie pamiętam już, jak się odmeldowałam, może zostałam odprawiona. Wiem tylko, że w drodze powrotnej nie spotkałam żadnego samochodu i cztery kilometry, przemierzone pieszo, minęły mi niespodziewanie szybko, na gorzkich rozmyślaniach, wypowiedanych tu i ówdzie głośno ku pustej szosie, bezkarnemu wiatrowi, a pod koniec także litościwemu deszczowi, który mnie dopadł w pobliżu obozu, by obmyć łzy. Nie mogłam się otrząsnąć z rozczarowania i zdumienia. Czy ze mną jest coś nie tak? Tak niedawno byłam dumna ze swej decyzji, nie pozbawionej odwagi i gotowości do wyrzeczeń. Przecież wróg stara się unicestwić polską inteligencję, brak nam ludzi wykształconych na każdym szczeblu, młodzież polska ma znikome możliwości zdobywania wiedzy, tak w kraju, jak i poza nim. Co z nami będzie, zanim się wojna skończy? Tymczasem i ja mogłabym przyczynić się do poprawienia sytuacji, kształcić i szkolić, bo tak niewiele mi trzeba do uzyskania choćby owego cenzusu, matury. A tu grom z jasnego nieba, bezczelność. Za co? Za to, że chcę się uczyć? A ileż to dziewcząt w ośrodku zapasowym marnuje się, bez przydziału, czyli bez pracy? To jest w porządku? Ostatecznie powrót do obowiązków szkolnych po paśmie tragicznych wydarzeń, ciężkich doświadczeń osobistych i przeżyć naszych bliskich, to nie takie proste. Kto tu myślał

o karierze? Decyzja była niełatwa, ale uczciwie przemyślana, zobowiązująca do solidnej pracy i wytrwałości. Tym bardziej, skoro się już ma dwadzieścia lat. Nieszczęsnych, aż dwadzieścia. A może podchodzę do tego zbyt subiektywnie? Może faktycznie jestem bezczelna? Mój Boże!

Przyjazne „jedynaczki” pocieszały mnie, jak tylko mogły. Byłam zbyt przygnębiona, by zorientować się, że panie wtajemniczyły w moje problemy kierownika świetlicy i oficera oświatowego, który nas stale obserwował, o czym naturalnie nie miałyśmy pojęcia. Najczęściej towarzyszył mu kapitan Wajdowicz, którego zważył się „kapitan I’m sorry”; od ulubionego zwrotu przywiezionego z Anglii. Ten także był nam przychylny. Relacje o mojej sprawie dotarły do komendanta batalionu, pułkownika, o którym szeptano, że jest zaprzysiężonym antyfeministą, co wzbudzało poważanie. I oto moje władze saperские załatwiły sprawę z samą komendantką. Dowiedziałam się o tym po kilku miesiącach. Pułkownik w sposób spokojny i autorytatywny oznajmił komendantce, że świetliczarka baonu saperów, zasługując na szacunek i życzliwość żołnierzy, nawet nie wie, iż wysłano delegację z prośbą, aby pomimo trudności wysłać ją do szkoły, gdzie zdobędzie maturę, co jej się słusznie należy. Oczekuje się, że po maturze powróci do baonu, by pomagać w krzewieniu oświaty. W dodatku podchorążówka saperów, sąsiadująca z obozem baonu, ma swoją świetliczkę po maturze, zatem i baon ma podobne ambicje. Tamta pani jest starsza, zdążyła ukończyć gimnazjum przed wojną, a naszej wojna dalszą naukę przerwała. Argumenty wystarczyły, interwencja poskutkowała, ja zaś, uradowana odkomenderowaniem, wdzięczna byłam losowi, choć nie wiedziałam nic o zakulisowych machinacjach. Potem, podczas mojego pobytu w szkole, baon parokrotnie dowiedział, iż interesuje się moją osobą, tudzież postępami w nauce. Ale to już dalsze dzieje, a i o tym dowiedziałam się znacznie później.

W Rehovoth

Zerwałam się na równe nogi, natychmiast oprzytomniałam.

– Pobudka! Pobudka! – Wołała służbowa, gwiżdżąc zawzięcie, a podłoga dudniła, gdy spiesząc się na obchód, biegła wzdłuż baraku.

– Dzień dobry, dziewczaki! – Zawołała Alina, ta wysoka blondynka, która wczoraj wtajemniczała nas w arkana szkolnej rzeczywistości.

– Wstawajcie! Wstawajcie! – Zawołała któraś, z drugiego końca baraku.

– Zaraz będzie gimnastyka poranna.

– Obowiązkowa.

– W umywalni tłok.

– Zaścielcie łóżka! Porządnie. W kostkę, bo sprawdzają.

Krzątanina, bieganina, ruch, gwizdek.

– Wychodzić!

– Gwizdek. – Na zbiórkę! Gimnastyka poranna przed barakami. Powrót do baraku. Kończenie porządków. I znów gwizdek.

– Zbiórka na apel. Zostawcie porządek!

– Prędej, prędzej!

– Już lećmy!

Biegniemy na plac apelowy. Ustawienie w szyku, w potrójnym rzędzie, według wzrostu; rzędy tworzą prostokątną podkowę.

Gwizdek. Komenda.

– Bacność! Poczec sztandarowy, występ!

Uroczysta, jakże wzruszająca chwila. Boże, doczekałam tego. Sztandar Polski wznosi się na maszt. Chyba się nie rozbeczę? Nasz sztandar nad tą ziemią gościnną, tą świętą ziemią, która przygarnęła tułaczy i tę oto naszą polską szkołę. Boże, Boże! I nagle, w tej uroczystej, przejmującej ciszy, doleciał mnie piskliwy szept Hanki Pstrokońskiej. „I z dziecinną radością pociągnąć za sznurek, || By stary Dąbrowskiego usłyszeć mazurek”.

– A to ci wyjechała z *Panem Tadeuszem*. – Pomyślałam, ubawiona raczej niż zgorziona tak zaskakującym zakłóceniem nastroju. To dobrze, dobrze, bo ze wzruszenia już zaczynałam lży przelykać. Że to tak po przebytej niewoli wszystko człowieka rozczula; myślałam.

Kilkaset dziewcząt na bacność, komendantka szkoły – kapitan Teodora Sychowska, pani dyrektorka – Maria Kościółkowska, grono pedagogiczne. Tylko tyle? O, jest pani Haneczka, protektorka sióstr Luro.

– Wiesz, ona właśnie jest wychowawczynią obu klas licealnych – usłyszałam, następnie padła komenda. – Do modlitwy!

– Słyszysz nas, Ziemió Święta? Nie nasza, nie polska jeszcze... Kiedy? – Zastanawiałam się.

– „*Kiedy ranne wstają zorze...*” – rozśpiewały się szeregi, a mnie znowu padły myśli. Który to już obóz? Który kraj na naszym szlaku? Ileż jeszcze będzie tych obozów, ile miejscowości, krajów? Gdzie jeszcze powieje, gdzie zawlecze nas ta zawierucha wojenna? Jak długo nie będziemy nic wiedzieć o swoich rodzinach, a one o nas?

– A ta, to nasza instruktorka, ta plutonowa. Jasia Fuchsowa. Także bardzo udana, fajna; kto szeptem poinformował mnie.

Raport. Rozkaz dzienny.

– Spocznij! Rozejść się!

– Liceum, liceum! Śniadanie!

Pochód z menażkami. Kolejka w kuchni. Menażka pełna kawy z mlekiem kondensowanym. Gorąca, to dobrze. Słodka, zbyt słodka. Duża kromka chleba, na niej margaryna, kawałek żółtego sera i łyżka dżemu pomarańczowego – gorzkawy, dużo w nim skórek – witaminizowany, bardzo smaczny. Śniadanie w jadalni, przy długich stołach, w towarzystwie grona pedagogicznego. Mycie menażek w zimnej wodzie, pod kranami umieszczonymi nad korytkami metalowymi, zawieszonymi wzdłuż ściany przedsionka. Pod nimi stoi parę kubłów na zlewki. Bieg do baraku. Inspekcja. Tym razem w roli oficera służbowego występuje porucznik Zdziarska, nasza pani biolog, w asyście instruktorki i koleżanki, pełniącej służbę podoficera. Zwracają uwagę na niezbyt elegancko pościelone łóżka:

– Kant na łóżku będzie wtedy porządy, kiedy tylko jeden koc, ten na wierzchu, położycie pojedynczo. Te pod spodem mają być złożone na połowę, poukładane równiutko dadzą elegancki kant. Spróbujcie!

– Tak jest!

Gwizdek na lekcje. Ósma godzina.

Szkoła niepodobna wcale do szkoły. Klasa niepodobna do żadnej klasy. Usiadłyśmy dookoła jedyne, długiego stołu (chyba wziętego z jadalni), na dwóch ławkach; z obu stron. Tablica w rogu. Krzesło dla „ciała pedagogicznego” stoi przy naszym wspólnym stole, tuż obok tablicy. Krótsza ściana baraku, ta z drzwiami, przez które wychodzi się na zewnątrz, stanowi jedną z dwóch dłuższych ścian naszej klasy. Drugą, równoległą, wyznacza kotara, to jest koc zawieszony po obu stronach środkowego przejścia, ciągnącego się wzdłuż baraku. Kotara oddziela „klasę” od „sypialni”, czy raczej od „części mieszkalnej”, w której znajdują się jedynie łóżka. Pod nimi – zgodnie z regulaminem – stoją nasze plecaki (coś pomiędzy workiem żołnierskim a chlebakiem), słowem, cały nasz ekwipunek. Przez jedno z niewielkich okien wpadł promyk słońca, mizerny, zimowy, ale zjawił się „na dobry znak”. Weszła wychowawczyni, pani Haneczka, odczytała prowizoryczną listę, poprawiła coś, dopisała, odłożyła. Przyjrzała się nam, uśmiechnęła. Zrobiłam w duchu uwagę, że chyba nigdy pani Haneczka nie potraktuje żadnej z nas tak, jak mnie potraktowała komendantka Wysłouchowa. Właśnie wychowawczyni zauważyła Igę. Ładna, wysoka, szczupła blondynka, o falistych włosach, tworzących „wałek pod spód”. Inteligentna twarz, duże, zielone oczy, usta umalowane

starannie, uczernione brwi, bardzo porządnie tuszowane rzęsy. Rumieńce na brzoskwiniowej cerze naturalne, lekkie.

– Jak ci na imię? – Zapytała wychowawczyni.

– Jadwiga. Wołają mnie Iga.

– Wiesz co, Iga? Rozumiem, że byłaś na tyle dorosła, iż pracowałaś samodzielnie. Byłaś pielęgniarką, prawda? Pamiętam z dokumentów, bo je przejrzałam. To odpowiedzialna praca. Oczywiście, pełniąc ją byłaś bardzo dorosła i może chciałaś sobie dodawać powagi, aby inni za taką ciebie uważali. Pewnie dlatego przywykłaś się malować. Owszem, widzę, że umiesz to robić w sposób elegancki, nic z krzykliwości, co się najczęściej u młodych dziewcząt obserwuje. A jednak teraz to porzuć. Nie o to chodzi, że jesteś znowu uczennicą. Po prostu nie jest ci to teraz potrzebne. Jesteś młoda, przystojna i nie musisz tego wcale psuć zbędnymi zabiegami. Największy urok młodości to naturalność. Przejaskrawienia nie są w dobrym guście. Nie chcecie chyba wyglądać jak „niewypierzone”? Oto macie okazję przeskoczyć te lata, które wydarły wam najwcześniejszą młodość i zmuszały do przeżywania więcej, niż niejeden dorosły zdołał znieść. Postarajcie się, wracając do szkoły, wrócić też do swoich młodzieńczych zwyczajów, sposobu bycia. Bądźcie naturalne, bądźcie sobą. Młodość jest waszym największym atutem, urokiem, bogactwem, najlepszym makijażem, którego nie trzeba psuć ani tuszować; nawet najlepszym tuszem. Nie jest potrzebne to postarzenie się w tak sztuczny sposób. Nie spieszczone się, jeszcze wiele przed wami. Wiek dojrzały nadejdzie wcześniej, niż można się spodziewać, i to z całym balastem, niekoniecznie upragnionym. Szansę pobytu w szkole wykorzystajcie i na to, aby sobie przypomnieć, że przecież jesteście młode, moje dziewczynki. Czy mnie rozumiecie?

Tak. Rozumiałyśmy. Wszystkie.

– Ależ strzeliłam gafę! – Śmiała się potem Iga. – A tak chciałam wyglądać dostojnie i uroczyście na pierwszej lekcji, tak ją uczcić zrobieniem się na bóstwo.

– Nie będziesz musiała wstawiać kwadrans przed pobudką – pocieszała ją Wala.

– Miałaś rację, że pani Haneczka jest fajna.

– Faktycznie. Inna to by się zapieniła ze złości i wlepiła karny raport – do rzuciła któraś.

– Coś ty? To nie u nas! Nie w naszej szkole. Zobaczycie, że tu naprawdę jest strasznie fajnie, przekonacie się. – Zapewniała Jadzia Jezierska.

– Jak to? Nie dają wam szkoły?

– *Uwidim, skazał ślepoj...* – Cytowała Krzysztofa.

– *Głuchomu.* – Dokończyła Hanka i wszystkim było wesoło

Pani Bronclowa, nasza wychowawczyni, dobiegała trzydziestki. Niezbyt wysoka, mająca „warszawską prezencję”, nawet w mundurze wyglądała szymbielnie. Uczyła historii, a czyniła to wspaniale. Polonistka, pani Apolonia Radwańska, poważnie chorowała na płuca i wkrótce po naszym przybyciu do szkoły wyjechała do sanatorium w Ein Karem (pod Jerozolimą). Tam przez jakiś czas przebywała również Hanka Ordonówna, lubiana piosenkarka i aktorka lat trzydziestych; także doświadczyła pobytu w Związku Radzieckim. Koleżanki, które dłużej znały panią Polę, oczekiwały jej powrotu, bardziej stęsknione od nas, nowych, ledwie znających spokojną, udręczoną chorobą, panią Apolonię. Szkoła przez parę miesięcy nie mogła znaleźć zastępstwa, co dla maturzystek stanowiło szczególny problem, zwłaszcza przy braku podręczników i lektur. Wtapiając się w życie szkoły, doceniłam słuszość decyzji pani dyrektor, która w tej pierwszej, zapoznawczej rozmowie doradziła mi wstąpienie do klasy pierwszej licealnej, zamiast do drugiej. Wyjaśniła, że mogę mieć kłopoty z łaciną, której nie było w programie liceum pedagogicznego, do którego uczęszczałam we Lwowie. Poza tym materiał przerobiony w okresie od września do końca lutego, czyli do momentu mojego wstąpienia do szkoły, przygotowywał do egzaminu dojrzałości, tych wiadomości mi brakowało. Niektóre koleżanki zaryzykowały, wstąpiły do klasy drugiej, ale nie wszystkie zdołały uporać się z wymaganiami, co wobec braku podręczników było zupełnie zrozumiałe.

Z łaciną poradziłam sobie nieźle, może dzięki temu, że moja nowa nauczycielka – w przeciwieństwie do tej z gimnazjum – nie miała do mnie żadnych zastrzeżeń. Pani Maria Szoska była bardzo spokojna, poważna i smutna. Później dowiedziałyśmy się, że jej mąż zginął na wojnie a dzieci zmarły wskutek epidemii. Tym bardziej starałyśmy się nie sprawiać kłopotu. Bardzo ceniłyśmy jej wykłady, zwięzły sposób podawania, a że nie było nawet słownika, nie mówiąc o podręczniku gramatyki czy tekstach, wszystko trzeba było notować, przepisywać, nadrabiać pilnością. Łacina była przedmiotem maturalnym.

Pani porucznik Zdziarska była biologiem. Jej wykłady, również jasne, podawały materiał „poszufladkowany”, przejrzysty, zrozumiałe. Ona sama była bardzo konkretna, od razu wiedziałyśmy, czego od nas oczekuje. Pełniła funkcję oficera służbowego, toteż często – ku obopólnemu zadowoleniu – przeprowadzała poranną inspekcję baraku. Także swój przedmiot, nauczany w sposób teoretyczny (bez gabinetu), potrafiła prezentować jako jedną z ciekawych dziedzin wiedzy, a nie „tępą piłę”.

Wszystkich przedmiotów uczono nas pierwszorzędnie. Wykłady stanowiły podstawowe źródło wiedzy. Nie było co marzyć o książkach, gabinetach, pracowniach, pomocach metodycznych, doświadczeniach, jak w normalnych szkołach, w zwykłych czasach. Wojna szalała, ludzie ginęli. Miałyśmy więcej, niż mogłyśmy sobie wyobrazić. Szczęście, że było komu uczyć. Nasze grono pedagogiczne postępowało tak, jak gdyby całą swoją wdzięczność za życie chciało przelać na nas, wyrazić ją pracą i cierpliwością.

Matematyki nauczał nas porucznik Woźniak. Przez kilka miesięcy chemii i fizyki nie było z powodu braku nauczyciela. Po odejściu pana Woźniaka przyszedł nowy matematyk, z zawodu kapitan artylerii, pan Florian Kotowicz. Uczciwie oznajmił nam, już na wstępie, że otrzymał rozkaz nauczania matematyki, fizyki i chemii, mimo, że dwa z owych przedmiotów nie są jego specjalnością, ale, na szczęście, otrzymał jakieś podręczniki, więc „będziemy to mordować wspólnymi siłami, bo nie ma innej rady”. No i mordowaliśmy, bez wzajemnych pretensji. Polubiłyśmy Florka (tak nazywałyśmy profesora) za uczciwe wyłożenie przysłowiowej kawy na ławę. Wydał się nam starszym panem (pod pięćdziesiątkę), zapewne z powodu siwizny. Widywałyśmy go zawsze z fajeczką, która według złośliwych pełniła raczej funkcję smoczka, niż urządzenia do zatruwania organizmu ludzkiego tudzież całej atmosfery tytoniem; co było jej przeznaczeniem. Florek zazwyczaj wprowadzał nas w temat lekcyjny stałymi formułkami:

– Niech będzie dana prosta „a”. Niech będzie dany punkt „b”, leżący w odniesieniu do prostej „a” i niech będzie dany punkt „c”, który w odniesieniu do prostej „a”, w odniesieniu zaś do punktu „b”...

Wkrótce powiedzonka „niech będzie dana” oraz „w odniesieniu do”, podobnie jak dobroduszne „ta kota” i „ta piesa”, weszły w repertuar klasowych przysłów i wzbogaciły nasz żargon.

Religia, tak jak w Polsce, była przedmiotem szkolnym; w pierwszej licealnej – dogmatyka, w drugiej – etyka chrześcijańska.

Przysposobienie wojskowe odbywało się wraz z musztrą. Uczęszczałyśmy na nie z drugą klasą licealną; pod kierownictwem naszej instruktorki, plutonowej, pani Jasi Fuchsowej. Ta była spokojna, zrównoważona, sprawiedliwie rozdzielała służbę i dyżury, nie odmawiała przepustek do miasta po sprawunki, na spacer, czy do kina. W sobotę, tuż po lekcjach, sama przynosiła nam przepustki z kancelarii, według wcześniej zebranych zgłoszeń. Dziewczęta, które planowały wyjazd do Tel Aviv lub do Jerozolimy, nie musiały tracić czasu na czekanie w kolejce do kancelarii, mogły biec do autobusu (niekiedy to

był autostop), zwłaszcza, że w takich razach rezygnowały z obiadu. W okresie gorączki przedmaturalnej zdarzało się, że darowała nam musztrę na rzecz powtórki z przedmiotu egzaminacyjnego. I tak byłyśmy świetnie musztrowane niczym przedwojenni kadeci. Wszystkie te dobrodziejstwa przyjmowałyśmy jako rzecz zupełnie zrozumiałą i naturalną. Żadnej nie przyszło nawet na myśl, że mogłoby być inaczej. Zdawałyśmy się nie dostrzegać wyrozumiałości, życzliwości, taktu, w kontaktach z „szefową”, naszą instruktorką.

Heca była z językiem obcym. Przed wojną uczyłyśmy się języka francuskiego lub niemieckiego; do wyboru. Teraz szkoła nie mogła znaleźć odpowiednich nauczycieli, wobec tego szukano anglisty, co miało uzasadnienie w realnych potrzebach życia. Na wiosnę zwerbowano Araba.

– Swoją drogą to paradne. Nas, Polki, na ziemi żydowskiej języka angielskiego będzie nauczał Arab. – Cieszyłam się w głos.

Jednak już na pierwszej lekcji okazało się, że Czarus nie znalazł z nami wspólnego języka (dosłownie), czym był zaskoczony nie mniej od nas. Próbował dogadać się po niemiecku (owego języka nauczał w arabskiej szkole), lecz okazało się, że znałyśmy tylko francuski. Zaproponowałyśmy też rosyjski. Wyłaził ze skóry, aby nawiązać z nami kontakt. Pisał, chodził, gestykułował, robił miny, odgrywał improwizowane scenki i nie tracił nadziei. Dopiero pod koniec rehovoth'skiego okresu szkoły nadeszły podręczniki Eckersley'a, tom pierwszy i drugi, ilustrowane; słowniczek zawierał trzy rubryki: alfabetyczny wykaz słówek, wymowę i pustą tabelę do zapisywania znaczeń wyrazu w rodowym języku użytkownika. Co to była za radość, nie do opisanania.

Wreszcie otrzymałyśmy prześcieradła i piżamy. Szalałyśmy z radości. Po ładnych paru latach możemy wreszcie spać po ludzku, nie dość, że na łóżkach, to również w pościeli. (Boże mój, kiedyż moi rodzice tego doczekają?) Sypiać na prześcieradle i mieć drugie, pod wierzchni koc; istna rozkosz. Bliźniaczki, zwane przez nas poufale, jak w domu, Siolo (Oleńka) i Micia (Ludmiła), odtańczyły na łóżkach taniec zwycięski; w biało niebieskich, flanelowych piżamach, jednakich dla wszystkich, bardzo przytulnych. Wyglądały jak rozbawione niedźwiadki. Śpiewałyśmy im do tańca, ma się rozumieć, nie tak cicho, jak fałszywie. Krzyśka grała na menażce, niczym na bębnie, Wanda Bania i Danka Oktaw, jedna drobna i krótka, druga długa, wtórowały na grzebieniach. Nuna Strzelec i Irka Świstunowicz korzystały z okazji, stepując *à la* Fred Astaire; co gotowe były czynić o każdej porze dnia i nocy. Wkrótce po tym epokowym wydarzeniu, piętnastego marca, zaopatrzono nas w moskitiery. Pani Jasia uroczyście zawiesiła moskitierę nad jednym z łóżek. Nad

każdym tkwił hak, wbity przez poprzednich mieszkańców. Rozpięła siatkę, obłożyła ją wokół materaca, podwinęła starannie i gładko z trzech stron, pozostawiając stronę czwartą, długą, na wejście i pouczając, że ma być ono szparą jak najbardziej płaską. Następnie wsunęła się na łóżko, skąd szybko i sprawnie podwinęła czwarty brzeg moskitiery pod materac. Śledziłyśmy z uwagą każdy jej ruch. Wiadomo, to wszystko może być sprawdzane podczas alarmu. Pilnowano nas, aby żadna nie odważyła się leżeć bez zaciągniętej moskitiery. Takie zachowanie musiało wejść w nawyk. Dzięki temu wiele z nas uniknęło malarii, choć niektórym dała się ona porządnie we znaki. Twarzy żółtych od chininy spotykało się wciąż dużo, co jakiś czas odwożono kogoś do szpitala angielskiego, na oddział malaryczny. Ten wieczór minął nam w prawdziwie rodzinnej atmosferze. Pani dyrektorka zakończyła na naszym baraku swój obchód, sprawdzając umocowanie moskitier, zatrzymała się właśnie w tej chwili, gdy wstępowała do nas pani Haneczka. Skupiłyśmy się przy łóżkach, gdzie zwykle siadłyśmy, rozgadując się na dobre. Kobiety słuchały z uwagą, zainteresowane kolejami naszych losów. Dom, rodzina zostawiona w kraju albo w Kazachstanie, praca w stepie przy sianokosach, żniwach, na plantacjach, tudzież przy wypasie owiec, robienie cegieł niewypalanych; jak te chucherka, bliźniaczki dawały radę miesić zimną glinę drobnymi nóżkami lub dźwigać cegły rączkami? – suszonych w słońcu, czy też brykietów z kiziaków (rozdrabniany z wodą nawóz owczy, bądź krwi, suszony opał). Pytały także o naszą pracę w wojsku. Dowiedziałyśmy się więcej o sobie, ponieważ nie znałyśmy się zbyt dobrze.

– Ja jestem najmłodsza w rodzinie, a to niełatwo mieć przed sobą cztery mądre siostry. W dodatku niebrzydkie – zwierzała się Krzysztofa, której w duchu przyznawałam rację.

– Komenderowały?

– Naturalnie! A poza tym zawsze słyszałam o sobie, „i nos, jak nieudany kartofel i gęba niewyparzona”.

– No, przeciwko tej niewyparzonej gębie, to ty chyba nic nie masz? – Podchwyciła „życzliwa” koleżanka.

– No, nie! Ta, przecież człowiek musi się bronić, no, nie? Często mi to w życiu pomaga, ale nie zawsze.

– A to dlaczego? – Zdziwiła się niewinnie pani Haneczka, co było oczywiście prowokacją. Krzysztofa kontynuowała:

– O, choćby na przydziale kreślarskim. Robiłam, co mogłam. Wprost wychodziłam z siebie, aby moje plany były precyzyjne, dokładne, czysto-

sieńkie, jak należy. Co już który wycacusiałam, to mi taki jeden młody pan podporucznik zawsze coś naknocił. No, niemożliwy. Raz już miałam tego dość. Przyniósł znowu jakiś mój plan, na który miał tylko coś nanieść i słodziusienko do mnie znowu. – Panno Krzysiu. To tutaj mi się pomyliło. Troszeczkę. Wyskrobiemy to, moja miła, dobrze? No, panno Krzysieńko! – To ja już się wściekłam i odpaliłam. – Znowu? Nie! Nie ma tak dobrze! – A on naprzód zbaraniał, a potem znów swoje „panno Krzysieńko”. To mnie jeszcze gorzej rozłościło. Nie pomoże żadne „panno Krzysieńko!”, ani „moja miła” – mówię mu. – Nie ze mną. Dość już mam tego. Pan jest niemożliwy. Ja się tak starałam. To pan mógł uważać wreszcie. Wszystko pan robi na łapu capu. Ostatnia gapa, młokos. A potem, ja mam kłopoty. „Wyskrobiemy, moja miła?” Otóż nie. Ja protestuję. Nie będzie więcej już żadnych skrobanek. Mam tego dość, żeby pan wiedział. Nie ze mną te sztuczki! – Tak wrzeszczałam, żeby miał nauczkę, no i ze wściekłości, że mi całą robotę jeszcze raz popsuł.

Nagle cała nasza załoga huknęła śmiechem. Nie widziałam, że w proggu namiotu zjawił się szef, podpułkownik. Ryczał najgłośniejszemu ze wszystkich.

– Ale się panu porucznikowi dostało.

– Dawnom się tak nie ubawił.

– Ojej, wyobrażam sobie. – Śmiała się pani Haneczka nie mniej od pani dyrektorki, a my wtórowałyśmy.

– Ba! Tylko, że to o mnie, a nie o młokosie mówili potem: „Nie ze mną te sztuczki”.

Krzysia nie spodziewała się, że po latach ów szczegół będzie pamiętany.

* * *

Lekcje odbywały się codziennie od ósmej rano do wpół do drugiej w południe. Od pierwszej do trzeciej wydawano obiad. Następnie obowiązkowa cisza i leżenie pod moskitierami, do czwartej. Można się było uczyć w tej ciszy, jeśli kogoś sen nie zmorzył, co podczas upałów wydawało się nieuniknione. Po południu nauka własna. Kolacja o siódmej, capstrzyk o dziewiątej, a o dziesiątej gaszenie świateł. Popołudniami lekcje można odrabiać w klasie, gdzie niestety przeszkadza hałas, ewentualnie na swoim wyrku, siedząc z podkulonymi kolanami; bądź na terenie obozu, w jakiejś wolnej klasie. Znalazłszy salę (klasę, świetlicę, kantinę), można popracować owocnie, zazwyczaj w niewielkim gronie. Latem uczono się na terenie parceli obozowej, na trawie, w cieniu wysokich drzew rycynusowych, pod bogato ulistnionymi pomarańczami, czy też pod gęstymi wysokimi oleandrami. Oczywiście, zapisywałyśmy wykłady

tudzież sporządzały szczegółowe notatki, aby było z czego się uczyć. Zadawano nam dużo różnego rodzaju prac pisemnych, zwłaszcza z przedmiotów maturalnych, co doceniałyśmy, traktując je jako przygotowanie się do przyszłego egzaminu pisemnego. Często profesorowie poświęcali nam swój wolny czas, zawsze bezinteresownie. To były nadprogramowe lekcje, na których nauczyciele starali nam się coś wyjaśnić, pogłębić, uzupełnić. Do obopólnych oczekiwań należało nie tylko zrealizowanie materiału szkolnego i przygotowanie się do matury, ale rzeczywiste poznanie i zrozumienie wielu zagadnień, najbardziej tych, które znajdowały odzwierciedlenie w prywatnych zainteresowaniach. Poza tym, w tak bardzo uszczuplonym roku szkolnym faktycznie trudno było cały materiał zrealizować na lekcjach porannych. Uczyliśmy się z zapałem, zawzięcie. Cieszyło nas wszystko, co rozumiałyśmy i zapamiętały. Nawet słówka łacińskie, a jakże. Sygnalizowały powrót zdolności zapamiętywania, w którą przeważnie miałyśmy powody wątpić. Wszystko działało się stopniowo, rosnące tempo pracy dawkowano nam niczym zwyczajną żywność rekonwalescentom, po długotrwałej diecie (to porównanie nasunęło mi się z autopsji). Ciężko było nadążyć, szczególnie w pierwszym okresie. Miewałyśmy kolejno służbę podoficera obozu, wartowniczą, to znów dyżury rozmaite, w baraku, w klasie, jadalni, świetlicy, czasem przy telefonie po godzinach urzędowania kancelarii; to przecież szkoła wojskowa. Owe zajęcia stanowiły dodatkowe utrudnienie, bowiem odrywały nas od lekcji, które potem trzeba było nadrobić, w dodatku korzystając z cudzych notatek. Oprócz tego organizowałyśmy sobie prywatne zajęcia. Cerować można było przy nauce, jeśli się pracowało z koleżanką, ale pranie czy prowadzenie korespondencji wymagało wyłączności. Na spacerach zdarzało nam się powtarzać lekcje lub opowiadać o nich, jeśli któraś opuściła. Nie zawsze jednak wystarczało czasu na odrobienie wszystkiego, co nam zadano. Dlatego nieraz po capstrzyku chyłkiem przekradałyśmy się do umywalni, albo do baraku, w którym mieściła się sala lekcyjna i tam, po zaciemnieniu wszystkich okien (nakaz obowiązujący w całej Palestynie; w obozie bezwzględnie przestrzegany), świeciłyśmy światło i pracowały zapamiętane, a cicho, jak przysłowiowa mysz pod miotłą, aby nie ściągnąć sobie na głowę służbowej lub nocnej inspekcji. Wstawanie przed pobudką w celu douczenia się uważałyśmy za bardziej uciążliwe. Było jeszcze ciemno i nie wolno świecić, zimno dokuczało, a że większości z nas jakoś tam się zwykle udawało przedłużyć sobie dzień, rankiem więc każda minuta snu cenna.

W polskim obozie wojskowym, w mieście Rehovoth, nasze baraki szkol-

ne skupiały się w jednym rejonie, jeden z baraków poświęcono na kaplicę, w której ksiądz odprawiał msze święte; w dni powszednie wczesnym rankiem, w niedzielę po południu. Inny barak, znajdujący się za kuchennym, mieścił kino obozowe, czynne w co drugi dzień powszedni oraz we wszystkie niedziele i święta. Wyświetlano tam głównie filmy angielskie lub amerykańskie, ale czasem zdarzało się, że sprowadzono, wyblakłe wprawdzie i zniszczone, lecz zawsze wzruszające nas, przedwojenne filmy polskie. Mimo nawału pracy i wciąż żywego zapału do niej, starałyśmy się w miarę często wygospodarować czas na pójście do kina (obozowe było bezpłatne), do czego zachęcało nas gro- no pedagogiczne. To była jedyna możliwa – ze względu na warunki – rozrywka kulturalna. Repertuar nie zawierał żadnych pozycji, które byłyby nieodpowiednie dla młodzieży. Ja wybrałam się po raz pierwszy do kina (od czasu wybuchu wojny) dnia czternastego marca, na angielski film *Cztery siostry*, co skrętnie zanotowałam w podręcznym kalendarzyku. W tym czasie YMCA, opiekująca się żołnierzami, ofiarowała nam niebieską flanelkę w kwiatki na cywilne szlafroczy, a Ambasada Australijska, bardzo przychylna Polakom, obdarowała każdą z nas wełnianym kocem, miękkim i lekkim. Śmiałyśmy się, że jesteśmy już posażnymi pannami, bo posiadamy nieco własnych „ruchomości” – koc i materiał. Od tego czasu nasze łóżka zaścieniałyśmy tymi australijskimi kocami, co sprawiło, że nasz barak sypialny wyglądał nader elegancko. Dotychczas nasze fasowane, popielate koce różniły się odcieniami; od jasnych poprzez bardzo ciemne, do całkiem burych. Moskitiery, do pory obiadu zwinięte i upięte, opuszczane dopiero w godzinach ciszy poobiedniej, przyczyniły się także do stworzenia nieco bardziej prywatnego charakteru naszego koszarowego trybu życia.

Dwa tygodnie temu przyjechałyśmy do szkoły. Trzeba było nadrobić zaległości, a dochodziły jeszcze lekcje bieżące (w trybie przyspieszonym), toteż pracowałyśmy bardzo sumiennie. W owym czasie często uczyłam się z Lonią. Język łaciński sprawiał jej trudności, za to ja z owym przedmiotem radziłam sobie całkiem dobrze. We środę, siedemnastego marca, Lonia powiedziała mi, że chce trochę pospacerować i zaproponowała wspólne odrabianie łaciny wieczorem. Wiedziałam, że zależało jej na tym, tymczasem ja miałam inne plany. Pod wieczór zorientowałam się, że Lonia nie była na kolacji, nie pokazała się przez całe popołudnie. Krótko ją znałam, ale dała się poznać jako bardzo pracowite i poczciwe stworzenie. Tegoż wieczora pytałam o nią wszystkich. Dowiedziałam się, że nie wzięła przepustki, zatem musiała być gdzieś w pobliżu. Wraz z instruktorką, wychowawczynią, koleżankami, służ-

bowymi zaczęłyśmy szukać. Podzielone na grupy, penetrowaliśmy cały obóz, baraki sypialne, klasy, kaplicę, stołówkę oraz rejon pozaszkolny, gdzie Lonia mogłaby się z kimś spotkać, a także – najdalej położony – barak przyszlých matek, oczekujących demobilizacji; po załatwieniu formalności związanych z przeniesieniem do obozu cywilnego. Nigdzie jej nie było. Gdyby chodziło o jakąś dziewczynę z wybujałą fantazją, tudzież osobę mniej słowną, sprawa nie wydałaby się nam aż tak groźna. Czas mijał, denerwowałyśmy się wszystkie. Co się mogło stać? W końcu, podejrzewając, że mogła usnąć na trawie, zaopatrzone w latarki, ruszyłyśmy tyralierą, by przegłędnać obszar całej obozowej parceli. Obszukiwałyśmy trawniki i zieleńce, sprawdzały gęste krzewy oleandrów oraz kępki drzewek pieprzowych, obchodziły rozrosłe kaktusy opuncji i przysadzi-ste agawy, miały rycynusy, aż do samego skraju obozowej posiadłości, do *pardesu*, czyli sadu pomarańczowego. I tutaj właśnie usłyszałyśmy okropny krzyk.

– Ludzie, ratujcie! Jest tutaj.

– Lonia!

– Wisi. Wisi na pomarańczy.

Noc ciemna, choć oko wykol, a tu z drzewa wiszą nogi Loni. Ale cała reszta, o ile można było zobaczyć z dołu, w słabym oświetleniu naszych latarek, ginęła gdzieś w koronie drzewa, wydała nam się jakby przylepiona do głównego konaru. Parę dziewcząt, dzięki pomocy koleżanek, wspięło się na drzewo.

– Żyje! Żyje! – Wołały jedna przez drugą.

– Nie wisi. Wcale nie wisi.

– Siedzi, jest gorąca.

– Loniu, nie bój się! Trzymamy ciebie, Loniu.

Ale Lonia nie reagowała. Obejmowała grubo pień drzewa obiema rękami, kurczowo je na nim zaciskając.

– Powoli, dziewczynki, ostrożnie! – Wołała pani Haneczka.

– Wy dwie, niżej, trzymajcie ją mocno w pół. A tamte wyżej niech rozluźnią jej ręce, tylko nie wypuście! Trzymajcie! – Dyrgowała pani Jasia, szybko a spokojnie.

– My tutaj ją weźmiemy, dawajcie – przekrzykiwałyśmy się z dołu.

Lonia otwierała oczy, a te same się zamykały. Była bardzo rozpalona. Wspólnym wysiłkiem, delikatnie, została ściągnięta z wysokości, następnie zaniesiona do izby chorych. Pani doktor Duczymińska stwierdziła wysoką gorączkę, poleciła wezwać pogotowie ratunkowe, nie odstępowała chorej ani na moment. Lonia była nieprzytomna. Zabrano ją do Wojskowego Szpitala Angielskiego, ponieważ w okolicy (a może w całej Palestynie) nie było polskich szpi-

tali. Lonia chorowała na zapalenie opon mózgowych. W trakcie hospitalizacji starałyśmy się ją odwiedzać na zmianę, podobnie czyniły panie, Haneczka i Jasia. Na szczęście Lonia wyzdrowiała. Wróciła do szkoły, ale była bardzo osłabiona. Mając spore zaległości w nauce, zrezygnowała z edukacji.

* * *

W niedzielę, dwudziestego pierwszego marca, zorganizowano nam wycieczkę do Jerozolimy. Impreza raczej kosztowna, biorąc pod uwagę żołąd młodszej ochotniczki, ale oczywiście pojechałyśmy wszystkie z wielką radością. Autobus przepełniony był zapachem spalin. Rankiem wstałam z bólem głowy, co mi się zdarza nader często, ale podczas jazdy bóleści nasiliły się. Prawdę mówiąc, gdy zjeżdżaliśmy do miasta tą śliczną serpentyną „Siedem siostr”, o której tyle słyszałam i cieszyłam się, że ją wreszcie zobaczę, pokrzepiałam się myślą, że niebawem wysiadziemy i świeże powietrze przyniesie mi ulgę, pozwoli przyjść do siebie. Oczom naszym ukazywało się miasto, rozległe, leżące w dolinie. Wieże kościołów dostojnie wznosiły się obok kopuł meczetów. Bagdad – oglądany z płaskiej perspektywy, pozbawiony kościołów, pełen egzotycznych minaretów i kopuł meczetów – był zupełnie inny. Owego miejsca nie dało się także porównać z Teheranem, to zupełnie inny styl. Już z daleka można było zobaczyć stare miasto, odróżniające się od jego nowoczesnej części, o europejskim charakterze, z szerokimi ulicami i zwartymi blokami dużych kamienic. Najpierw zajechaliśmy do Getsemani, tej dzielnicy, nad którą wznosi się Góra Oliwna. Na jej szczycie klasztor prawosławny, kopułami rozsiadły szeroko i masywnie. Nie opodal wskazano nam wielki gmach Uniwersytetu Żydowskiego. U stóp góry Ogród Oliwny, wyglądał bardzo leciwe. Sędziwe drzewa oliwkowe o potężnych pniach, rosochatych, o strzelających we wszystkie strony gałęziach, przypominały nasze polskie wierzby, przycupnięte nad rzekami. Podobno to zaledwie ósme pokolenie drzew pamiętających Chrystusowe czasy; tak głosi legenda. Wprowadzono nas przez furtkę do ogrodu otaczającego Bazylikę Konania. Wielki, jasny budynek, a raczej budowla o wysokich, ostrołucznych oknach. Wewnątrz półmrok. Okna słabo przepuszczają światło dzienne. Szyby wykonane są z cieniutkich tafli marmurowych, ułożonych parami naprzeciw siebie, liliowe, różowe, kremowe. Efekt niespotykany, ewokujący nastroj powagi. Nad głównym ołtarzem wznosi się olbrzymia kopuła, w jej wklęsłości widnieje niezwykle kolorowa mozaika, przedstawiająca Chrystusa modlącego się w Ogrójcu. Taki widok musi sprawiać imponujące wrażenie, niestety ja czuję się zupełnie przytłoczona. Głowa

boli mnie tak bardzo, że te kolory zdają się kłuć w oczy, dosięgając aż mózgu. Z bezsilną pretensją do samej siebie odchodzę, pełna goryczy, że nie mogę zdobyć się na żadne wzruszenie. Schodzimy z góry, mijamy jakąś pradolinę, by dotrzeć do równomiernie wznoszącego się terenu.

– Słuchajcie: to jest właśnie Dolina Józefata.

Gdzieś w pobliżu jest Świątynia Grobu Maryi, stara – wczesny romański styl – z grobowcem, na którym rzeźba przedstawia śpiącą Marię; powleczone złotem. Tylko piękna twarz i złożone jak do modlitwy ręce bielą się alabastrowym marmurem. Kontrastuje to z kamiennymi, surowymi murami, starą posadzką i kandelabrami, owiniętymi w szare pokrowce. Pniemy się Drogą Krzyżową. Przewodnik objaśnia, że nawierzchnia, po której stąpamy, wznosi się dwa metry nad drogą, którą kroczył Chrystus. Naukowcy obliczyli, że aż tyle się na niej nawarstwiło ziemi i skały przez minione stulecia. Miejscami jest bardzo stroma, niełatwa do przebycia. Mijamy tradycyjne miejsca, Kaplicę Świętego Szczepana, ruiny zamku Dawida, Wieczernik, czyli izbę mieszczącą się na piętrze, w której odbyła się Ostatnia Wieczerza, mieszkanie świętego Jana Apostoła. Idziemy w górę, w ciasne uliczki Starego Miasta. W wąskich zaułkach mieszczą się egzotyczne kramy z owocami. Są to przeważnie stoiska arabskie. Wszędzie stragany z różnego typu dewocjonaliami i pamiątkami, złotymi, srebrnymi i aluminiowymi. Małe sklepiki żydowskie oferują turystom przede wszystkim wyroby ze złota. Krzyż tak zwany jerozolimski, równoramienny, wzbogacony miniaturowymi krzyżykami na każdym z ramion, jest elementem dekoracyjnym na licznych wyrobach jubilerskich. Zdobi złote łańcuszki z medalikiem (cena: cztery funty palestyńskie), pierścionki, na których osadzone jest oczko z czarnego onyksu (pochodzenia wulkanicznego), wielkie, męskie sygnety, spinki, broszki. Można też kupić medaliki z wizerunkiem Matki Boskiej Jerozolimskiej Bolesnej po jednej stronie i krzyżem jerozolimskim po drugiej. Przy okazji sprzedawcy proponują zegarki, złote bransolety oraz modne łańcuchy z plaketką, na której można wygrawerować imię i nazwisko, znak tożsamości. Przekupnie i sklepikarze krzykliwie zachwalają swój towar, gestykułując chwytają przechodnia za rękaw, by wciągnąć do sklepika, choćby potencjalny klient miał tylko obejrzeć. Zupełnie jak na lwowskich „Krankidach”. Tylko obejrzeć. To nic nie kosztuje. Czasem nawet powiedzą po polsku: „Obejrzeć. Nie kosztuje”. Dobry chwyt, bowiem rodzima mowa może Polaka zawojować. Panuje szalony gwar, zgiełk, ruch i ścisk w owych zaułkach, czasem tak wąskich, że wyciągnąwszy ramiona można dotknąć ścian kamieniczek znajdujących się po przeciwległych

stronach uliczki. Arabskie białe turbany i chałaty mieszają się z europejskimi ubraniami Żydów. Można napotkać czarne chałaty, pejsate i brodate głowy w czapkach czarnych, lśniących, obszytych rudą lisią kitą, jak nasze, krajowe Icki z czasów mego dzieciństwa. Rejwach przyprawia o zawrót głowy. Hałas wwierca się do mózgu. Różnego rodzaju zapachy, przyjemne i przykre, tamują oddech. Tak właśnie wygląda *Via Dolorosa*. Ileż wysiłku, wyrzeczeń i kosztów ponieśli chrześcijanie przez długie stulecia, aby spełnić marzenie życia, odbyć pielgrzymkę do Ziemi Świętej.

Bazylika Grobu, cel naszej wyprawy, dobiła mnie do reszty, głównie ze względu na jarmarczną atmosferę, tłum goni, aby coś zaklepać i czym prędzej zwiewać, niczym w dziecięcej „zaklepywance”. Ludzie rozpychali się dosłownie łokciami, deptali po nogach, stratowaliby, gdyby ktoś upadł. Szturmem wpadali do środka, tam również panował niezwykły jazgot i ścisk. Nie pomagało stukanie wysokimi pastorałami o kamienne posadzki, którymi torowali sobie przejście jacyś chyba średniowieczni asceci, przybyli z ówczesnego Bizancjum. Były to wysokie postacie w czarnych habitach, długowłose i brodate, w dużych, walcowatych, czarnych nakryciach głowy.

– Prędszej, prędszej! – Popychają nas zewsząd.

– Tędy, po tych schodkach.

– O, tu, to tu jest ten grób Chrystusa. Ten kamień.

– Można tu położyć medalik i już jest poświęcony na grobie.

– Już, odejść. Prędszej. No, następni. Już robić miejsce dla innych. Prędszej!

Czy tu nikt nie przychodzi się modlić? Czy modlitwa tutaj jest w ogóle możliwa? Do Rehovoth dojechałam prawie nieżywa a uporczywa myśl, że jestem wyzuta z uczuć, do reszty mnie przytłoczyła.

Nazajutrz pani doktor Duczyńska bardzo dokładnie mnie przebadła. Do anemii, z którą mam kłopoty od dziecka, doliczyła nerwicę serca, też już nie nowość, zaaplikowała serię lekarstw, po czym odmaszerowałam zadowolona, że nie nabawiłam się niczego gorszego. W końcu od tego, co mi doskwiera, się nie umiera, najwyżej boli. Izba chorych nie wydaje lekarstw delikwentom. Trzeba przychodzić po nie trzy razy dziennie – „spacer dobrze ci zrobi” – częstują na miejscu. We wtorek byliśmy na filmie pod tytułem *Beethoven*. Bardzo mi się podobał, a choć czas spędzony w kinie okupiony być musiał nocną nauką, niewielka to cena.

Dwudziestego piątego marca wycieczka do Galilei. Zwiedziliśmy ślicznie położony Nazaret i jego zabytki, kościoły zbudowane nad grotami. Zobaczy-

liśmy Grotę Zwiastowania, w której mieszkała Maria, następnie obie grotę zamieszkałe niegdyś przez Świętą Rodzinę, te, które były dla niej domem przed ucieczką i po powrocie z Egiptu. Jakże różniły się od naszych tradycyjnych wyobrażeń szopki, krytej (polską) strzechą. Nad miastem, na najwyższym wzniesieniu, niczym na straży, czuwał wielki Kościół Chrystusa Młodzieńca, przy nim klasztor zakonników, sprawujących nad nim pieczę i prowadzących szkołę z internatem czy też zakład wychowawczy dla chłopców, a także nowicjat. W głównym ołtarzu figurowała śliczna rzeźba z marmuru czy alabastru, biała, smukła postać Pasterza, trzymającego w jednej dłoni jagnię a w drugiej pasterską laskę. Szkoda, że zabrakło widokówek przedstawiających ową rzeźbę, ale cieszę się, że mogłam kupić wizerunek głowy Pasterza.

Wycieczka sprawiła mi wiele radości. Tym razem nie miałam kłopotu z głową, może zadziałały lekarstwa, a może po prostu autobus nie był tak przesycony spalinami. Nie tylko zdołałam wszystko obejrzeć, wreszcie mogłam docenić piękno tej egzotyki, stale zadziwiającej swą różnorodnością, odmiennością od wszystkich krajobrazów, które świat rozwijał przed nami, jak na filmie.

Trzydziestego marca 1943 roku pierwsza rocznica szkoły, założonej w miejscowości uzbeckiej Karkin Batasz. Jej istnienie to dowód zrozumienia potrzeb narodu ze strony władz polskich, perspektywicznego myślenia oraz głowy na karku. Postrzegaliśmy je jako dobrodziejstwo. Szkoła junaków, bardzo liczna, mieści się w miejscowości Barbara, na południe od Rehovoth, za Gederą (w której stacjonuje kompania szoferek), obok szkoły kadetów, odpowiednika gimnazjum i liceum wojskowego.

Przed południem nie miałyśmy lekcji, tylko mszę połową i apel. Po południu wybrałyśmy się do kina obozowego na film amerykański. Te są dla nas trudniejsze w odbiorze, ze względu na wymowę, bardziej „bełkotliwą” i nasyconą skrótami, mniej rozumiałą niż angielska, z którą powoli zaczynamy się oswajać. Zwykle wybierałyśmy się do kina w towarzystwie Dąbrowskich, spośród których Siolo służyła nam za tłumacza (w krytycznych momentach). Polskie napisy, ukazujące się na ekranie obok obrazu filmowego, kręczone na odrębnej rolce, z zasady nie nadążały za obrazem, zawsze podawały tłumaczenie sporo opóźnione, co czasem bywało nawet zabawne, częściej jednak irytujące.

Na *prima aprilis* urządzono nam alarm. Fałszywy. Ale dałyśmy się nabrać. Potem dużo było śmiechu przy wspomnianiu biegu wydarzeń. To zadziwiająco, jak skore jesteśmy do wesołości, czasem wręcz brawurowej i do radości

z byle drobiazgu, byle powiedzonka, byle głupstewka. W takich momentach miewam złudzenie, że nasze dziewczęta i cała ta społeczność to pensjonarki od Sióstr Nazaretanek, wskutek nieporozumienia poprzebierane na zielono, w mundury wojskowe zamiast w mundurki szkolne (granatowe, zgodnie z przedwojennym zwyczajem polskim), przypadkowo zaplątane w jakąś nierzeczywistą scenę.

Wywiad

– Melduję się na rozkaz! – Zgłosiłam służbowo pani porucznik (przybyłej podobno ze sztabu), wezwana przez służbową do kancelarii.

– Spocznij. Zamknij drzwi. Usiądź.

– Tak jest!

– Naprzód formalności. Imię, nazwisko, miejsce i data urodzenia?

– Lwów, dwudziesty szósty marzec, tysiąc dziewięćset dwudziesty drugi rok.

– Data opuszczenia kraju? Skąd?

– Trzynasty kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego roku, ze Lwowa – wymieniałam, a pani porucznik dokładnie zapisywała.

– Pamiętaj, że obowiązuje tajemnica służbowa na temat przeprowadzonej tutaj rozmowy ze mną! – Przypomniała, a raczej poinformowała mnie.

– Tak jest.

– Oczywiście należy mówić prawdę, tylko prawdę i całą prawdę. To jest konieczne. Po prostu obowiązek. I to jest bardzo ważne. Mamy poważne problemy i poszukujemy prawdy. Dlatego właśnie przeprowadza się te wywiady. W imię sprawiedliwości. Nie można dopuścić do tego, aby kogokolwiek skrzywdzono. Rozumiesz? – Patrzyła badawczym wzrokiem.

– Tak. Rozumiem. To jest bardzo słuszne, ale bardzo ogólne i nie wiem, o co chodzi – przyznałam nieco zakłopotana.

– Dowiesz się. Podaj mi możliwie najdokładniej, z datami, gdzie przebywałeś od czasu opuszczenia kraju. Pamiętajsz?

– Tak, pamiętam. Wywiezienie: trzynastego kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego roku, przybycie na miejsce zesłania – w dniu drugiego maja – do sowchozu Tas Bułak, semipałatyński okręg, urdzarski rejon. Tam przebywałam z rodzicami i ciotką. Po roku... – Zaczęłam.

– Na której fermie? – Zaskoczyła mnie pytaniem.

– W centrali. Kazachska nazwa: Sigizbaj.

– Czy tam była w tym czasie także pani M?

– Tak, w centrali była przez pierwsze miesiące.

– Sama?

– Nie, z córką, Krysią, jedynaczką.

– W jakim wieku?

– Trzy lata młodsza ode mnie, miała piętnaście lat.

– Kiedy stamtąd wyjechały, dokąd?

– Zostały przeniesione, z grupą innych osób, na czwartą fermę, na Górne.

To musiało być gdzieś z końcem lata. Tak, bo gdy my przenosiliśmy się z tej sali klubu, gdzie upchano nas sto osób, do kwater (po byłej owczarni), to już tamtych z nami nie było. A to było w dniu ósmego października tysiąc dziewięćset czterdziestego roku – przypomniałam sobie.

– Tak dokładnie pamiętasz daty? – Podchwyciła.

– Na ogół tak, ale to był szczególny dzień. Rocznica ślubu moich rodziców. Trzydziesta. Dlatego tak zapamiętałam te przenosiny.

– Widziałaś je potem jeszcze?

– Tak. Krysia z matką przychodziły czasem do centrali na pocztę, bo była tylko jedna dla tych pięciu ferm sowchozu. Miały do nas około czterech kilometrów.

– Jak im się powodziło?

– Nie lepiej niż innym, początkowo. Potem zwyczajnie – głodowały, gdy już wysprzedaly swą odzież.

– To znaczy kiedy?

– Pamiętam to dobrze – tej pierwszej zimy, na przełomie roku czterdziestego i czterdziestego pierwszego. Raz Krysia wpadła do mnie, aby zwrócić pożyczoną książkę, bo miałam dość dużo polskich książek. To inteligentna dziewczynka i bardzo lubiła czytać. Wtedy pożyczyłam jej jakąś inną. Chwilę posiedziała, porozmawiała ze mną i z koleżanką, z której rodziną dzieliłiśmy kwaterę.

– Imię? Nazwisko? Czy też jest w PSWK?

– Elżbieta Wojciechowska. Nie. Została w Kazachstanie.

– No, i co dalej?

– Wtedy zapytałam Krysię, czy z kimś przyjechała saniami, czy może przyszła z Górnego. Nie było żadnych sań i nikt nie chciał się wybrać w taką drogę – odpowiedziała mi. A mama? – Zapytała matka Eli. – Bardzo jest słaba, bardzo... Dlatego ja przyszedłam, chciałam tu coś załatwić. Musisz już chyba iść, Krysiu, bo ciebie ciemność zaskoczy w stepie, albo lepiej przenocuj. Na to Krysia się zerwała – Nie, nie, dziękuję, mamusia się będzie niepokoić. Na

śniegu nie będzie aż tak ciemno. Lekko mi się będzie szło, bo jestem jeszcze na czczo. – I wybiegła bez pożegnania. Nawet nie zdążyłyśmy się przyznać, że my też. Było nam bardzo przykro, że nie miałyśmy nic, z czym można by ją dogonić, by jej dać.

– Długo to trwało? – Dociekała pani porucznik.

– Wkrótce potem spotkałam Kysię na poczcie. Ach, wiesz, jakie mnie spotkało szczęście? – Zawołała. Okazało się, że odkryła gniazdo chomików i zdobyła ich zimowe zapasy. Było tego około dwóch wiaderek. W ten sposób obie z matką przeżyły resztę zimy a wraz z wiosną doczekały się paczek z kraju, które przez sześć zimowych miesięcy do nas nie docierały – opowiadałam.

– A potem? Widziałyście się potem? – Nowe pytania wyrwały mnie z zadumy. – Nadal w tym sowchozie?

– W kwietniu tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku razem z rodzicami zostałam przeniesiona do Tiki Bułaku, to znaczy na trzecią fermę sowchozu Tas Bułak.

– Czy to daleko od centrali?

– Piętnaście kilometrów. Stamtąd z początkiem listopada, już po amnestii, przenieśliśmy się do miasteczka rejonowego Urdżar. Już wtedy moja siostra była z nami.

– Imię? Skąd przybyła?

– Wanda. Irena Wanda. Z łagru Wierchnyje Czebuły, rejon Maryńska, okręg nowosybirski.

– Spotkałaś panią M. z Kysią w Urdżarze?

– Tak. W zimie dowiedziałam się, że są w Urdżarze i że przyjechał ojciec Krysi, z łagru.

– Bywałaś u nich?

– Spotkałam Kysię, która mnie zapraszała, ale wiedziałam, że jej ojciec jest ciężko chory, więc nie chciałam sprawiać kłopotu. Poza tym Kysia weszła w nowe środowisko, mieszkała w tej dzielnicy, gdzie było dość dużo naszej młodzieży, nie była już osamotniona, jak dawniej.

– A jak wyglądały ich sprawy materialne?

– Znacznie lepiej. Ojciec przywiózł trochę odzieży dla żony i córki. Dostał to z Delegatury Rządu, gdy już znalazł rodzinę. Kysia otrzymała dwie pary butów skórzanych. Angielskie, nowe. Nawet te sznurowane mi pożyczyła, a zostawiła sobie te drugie, wysokie do kolan.

– Pożyczyła?

– Tak. Pożyczyła. Jaki dowód przyjaźni i serca w tak niepewnych czasach.

Dopiero w stepie przyszło mi na myśl, że przecież ryzykowałam, bo ja mogłam tam zamarznąć na śmierć, razem z tymi jej butami.

– Czekaaj, chwileczkę. Gdzie? W jakim stepie? Po kolei – pani porucznik przywoływała mnie do porządku.

– Moja siostra przyjechała z łagru z wiadomością, że tworzy się Wojsko Polskie na terenie ZSRR i że także kobiety i dziewczęta będą przyjmowane do służby wojskowej. Ta wiadomość została wkrótce potwierdzona przez nasze sowchozowe władze, które zorganizowały komisję lekarską dla Polaków, poborowych i ochotników. Obie z siostrą, jako harcerki, postanowiłyśmy wstąpić do służby sanitarnej w wojsku. Przeszłyśmy przez komisję w Tas Bułaku, w październiku, zaś od listopada mieszkaliśmy już w Urdżarze. W styczniu otrzymałyśmy odpowiedź z Buzułuku, gdzie, zgodnie z naszą prośbą, zostałyśmy wciągnięte na listę kandydatek. Gdy w marcu 1942 roku władze miejskie Urdżaru zapowiedziały Polakom transport do najbliższej stacji kolejowej, obie zgłosiłyśmy się do kapitana Jagiełłowicza, dowódcy, i wyruszyłyśmy razem z naszymi ochotnikami. Dano nam pięć sań, bo szóstego marca była tam sroga zima.

– Jaka to stacja?

– Ajaguz, najbliższa.

– Jak daleko?

– Sto siedemdziesiąt, dokładnie: sto siedemdziesiąt trzy kilometry marszu.

– A co z tymi butami? – Indagowała dalej.

– Krysia widziała, że całą zimę przebiegałam w tenisówkach.

– Bagatela: około czterdziestu do pięćdziesięciu stopni – szepnęła.

– Właśnie. Toteż na siłę zaciągnęła kiedyś mnie i Wandę do siebie, a tam, niby tak nagle, wpadła na pomysł, żeby mi na drogę do Ajaguzu pożyczyć buty. Jej matka się zgodziła, a gdy ja nie chciałam przyjąć, powiedziała, że my z siostrą mamy okazję i jej zrobić przysługę. Chodziło o zakupienie topki, czyli gałęzi na opał, na co sama nie miała siły, mąż chorował, a Krysi samej trudno, my i starsze, i dwie. Zgodziłyśmy się bardzo chętnie, Wanda jeszcze dodała, że gdybym pożyczyła buty od Krysi, to zwróciłabym je natychmiast po tej drodze, od razu w Ajaguzie, bo państwo M. mieli też za parę dni tam przybyć. Mieli już uzgodniony jakiś samochód, przecież trudno, aby taki chory człowiek, który ledwie żywy wyszedł z łagru, ledwie się jakoś wygrzebał, mógł wyruszyć w taką drogę piechotą. W takie mrozy i wichurę stepową...

– A te sanie?

– Woły ciągną powoli. Nie wolno siedzieć, można zamarznąć. Tylko ruch może uratować, doświadczyłam tego.

– A mieli na opłacenie samochodu?

– Ten pan jest oficerem, otrzymał swoją gażę po zwolnieniu z łagru. A samochód to załatwili taki, który jedzie w tę trasę z jakimś ładunkiem i przy okazji kogoś zabiera.

– A co z tym opałem?

– Kilka razy udało nam się z siostrą umówić Kazacha na placu i podprowadzić do domu pani M., którą poprosiłyśmy wcześniej, aby sama płaciła, bo bałyśmy się z pieniędzmi chodzić na targ. Ale ten ostatni raz, już przed naszym odmaszerowaniem, pani M. nie pozwoliła Kazachowi rozładować sań, lecz po zapłaceniu mu kazała jechać pod naszą kwaterę i oznajmiła, że to jest prezent dla naszej mamy, więc nie możemy odmówić. Byłyśmy uszczęśliwione.

– A te buty, to ci odebrali?

– Ta, gdzie! – Wyrwało mi się po lwowsku. – Nie, skądże! Gdy po przybyciu do Ajaguzu, po pięciu dniach marszu pytałam, czy już Krysia z rodzicami przyjechała, dowiedziałam się, że jej ojcu znowu się pogorszyło i nie ruszą, dopiero za parę tygodni. Wtedy awizowałam rozmowę z Urdżarem, z wezwaniem Krysi na pocztę, podziękowałam jej za buty, bez których bym nie doszła i umówiłam się, że je zostawiam dla Krysi u pani Ireny Markiewiczowej, która była przedstawicielem Delegatury Polskiej na rejon Ajaguz. I tak zrobiłam. Zawsze będę Krysi wdzięczna, pani rozumie, nie każdy zdobyłby się na taki czyn. Prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie. A biedę to i one poznały dość dobrze.

– Tak... Rozumiem ciebie... – Pani porucznik przypatrywała mi się przez chwilę z wielką powagą, zastanawiała się nad czymś głęboko.

– Posłuchaj mnie, moje dziecko – zaczęła z rozwagą. – Czy ty lub twoja siostra słyszałyście kiedykolwiek takie zdanie, że pan M., ojciec Krysi, otrzymał pełnomocnictwo na zabranie stamtąd Polaków?

– Owszem, tych ochotników do wojska. Chyba nawet sam to uzgadniał z tamtejszym *wojenkomatem*, gdy chodziło o te sanie, ale z powodu choroby sam organizację wymarszu powierzył kapitanowi Jagiełłowiczowi.

– Podobno to pełnomocnictwo rządowe, znacznie rozszerzone, przewidywało zabranie Polaków, którzy zdecydowali się na przeniesienie do Uzbekistanu, w celu zabrania ich do Iranu, przy okazji ewakuacji Wojska Polskiego ze Związku Radzieckiego. Czy ci coś na ten temat wiadomo?

– Jak to? Cywilnych też? Rodziny z dziećmi i ze starcami? Naszych wszystkich zesłańców stamtąd? – Gorączkowałam się.

– Mówiono, że jego żona udaremniła to wszystko mocno przesadzając z tą chorobą męża i panicznie drżąc o jego zdrowie.

– Niemożliwe! Nie, to nie może być prawdą! Nie uwierzę. Ludzie mogą być silni albo słabi, ale to nie znaczy, aby był ktoś tak podły w obliczu nieszczęść, które zna, na które patrzy. Zresztą, może się trafić jakiś wyjątek, szczególnie czarny charakter, ale przecież nikt z tych naszych znajomych, tych, którzy sami z głodu ginęli. Boże, Boże! – Wpadłam w popłoch, ale zaraz odrzuciłam wszystkie podejrzenia. – To szczęście, że pani, że władze, że ta cała sprawa jest badana. Jestem pewna, że prawda wyjdzie na jaw. Musi wyjść na jaw. Nie można nikogo tak okropnie oskarżać, to okropność. I krzywda. – Wołałam i czułam jak krew mi odpływa z głowy, z twarzy, aż chwyciłam się krzesła, złąkłam się, że spadnę.

– W każdym razie dziękuję ci za szczerość i za te wszystkie informacje – ledwie dosłyszałam. – Dowiedziałam się dużo o tych ludziach. Gdyby każdy zechciał tak dużo i dokładnie opowiedzieć to, co wie, o ile łatwiej można by dotrzeć do prawdy.

Coś tam jeszcze mówiła, ale ja gubiłam się we własnych myślach i równocześnie walczyłam z osłabieniem, bo bałam się, że zemdleję. Pani porucznik obrała dużą pomarańczę.

– To nas trochę posili – odezwała się, bardzo nieoficjalnym tonem. – Weź, proszę.

Przychodziłam do siebie powoli, wciąż pod wrażeniem.

– A ojciec Krysi był rzeczywiście bardzo chory, leżał przez kilka tygodni, nie mógł chodzić, widywałam Krysię w tym okresie, wiem, że się bardzo zamartwiały z matką, czy go zdołają utrzymać przy życiu. Krysia bardzo to przeżywała.

– Tak... To jeszcze nie wszystko, moja droga – zaczęła. – Bardzo mi przykro, ale musimy dzisiaj skończyć naszą rozmowę, mnie też obowiązują pewne rygory.

– Tak jest – szepnęłam machinalnie.

– Gdzie znalazłaś się po opuszczeniu Ajaguzu?

– Wylądowałyśmy z siostrą w Guzarze.

– Kiedy?

– Dwudziestego ósmego marca. Pamiętam, bo dwa dni wcześniej miałam urodziny – uzupełniłam od razu, wyjaśniając przyczynę tej dokładności.

– Właśnie wtedy, gdy wysiadałyśmy z jednego pociągu, drugi już wyruszał z Guzaru do Krasnowodska, z transportem wojska przeznaczonego do Iranu. Ostatni do ewakuacji.

– I co dalej?

– Polecono nam, abyśmy wracały tam, skąd przybywamy, bo nie ma dla nas miejsca ani żywności, nie dostałyśmy żadnego wezwania imiennego, nie byłyśmy nikomu potrzebne.

– Tak... Tak bywało... I co potem? Mów, mów!

– Wanda niespodziewanie spotkała kolegę z harcerstwa.

– Nazwisko, imię, stopień wojskowy?

– Szymański, Mieczysław Szymański, podporucznik, z artylerii. Wyjeżdżał. Właśnie wsiadał do pociągu i chciał nas natychmiast ze sobą zabrać, gdy usłyszał, że pobór ochotniczek wstrzymany, pociąg już gwizdał, że rusza. Ale nie mogliśmy, nie chciały... Rodzice zostali w Kazachstanie.

– Wyjechał?

– Tak, ale zdążył nas przedstawić swojemu dowódcy jako kuzynki i zostać pod jego opieką. Ledwie tyle zdążył i już musiał wskakiwać, bo pociąg ruszał.

– A ten jego dowódca, to kto?

– Kapitan Marcin Nalepa.

– Zajął się wami? Jak?

– Tak. Zabrał nas do obozu, dostałyśmy namiot.

– Pracowałyście?

– Tak, od razu. Wanda na poczcie polowej, przy sztabie, ja w kancelarii ewidencji artylerii, na miejscu, w Siódmym PAL – u, rejestrowałam zgłaszających się ochotników i poborowych.

– Jak długo to trwało?

– Do maja. W maju znów wznowiono rekrutację do PSK i od razu zostałyśmy przyjęte. Dziesiątego maja składałyśmy przysięgę żołnierską w obozie Ośrodka Zapasowego PSK w Guzarze, na Górcie.

– Wróćmy jeszcze do artylerii. Kto był szefem tej kancelarii, w której pracowałaś?

– Starszy ogniomistrz Bielawski, z Wileńszczyzny. Zawodowy.

– W porządku. Wróćmy do kapitana. Kto tam był najczęściej? Wymień wszystkich, bo to jest ważna informacja. Po prostu sprawdzenie pewnych zeznań, rozumiesz? Słucham.

– Bywał często kapelan, bo mieszkał tuż obok, niemal na terenie obozu – zaczęłam, głowiąc się, o co tym razem chodzi.

– Nazwisko?

– Ksiądz Józef Bednarczyk. Był porucznik Henryk Korczewski, z Wilna, aptekarz z zawodu, poważny i solidny. Bywał kapitan Bazyli Martysz, weterynarz. Bywali porucznik Zygmunt Lachowicz i podporucznik Roman Horszowski.

– Jak się nazywał ordynans kapitana?

– Michaś? Może sobie przypomnę...

– A co wiesz o tych cywilach, którzy tam byli?

– To były rodziny żołnierzy, tych z artylerii. Początkowo jeden namiot, potem dwa, później trzy i pięć. Kapitan przechowywał pewien zapas przepustek dla swoich żołnierzy, jeszcze z tego okresu, kiedy można je było oficjalnie wydawać. Gdy tylko któryś z żołnierzy odnalazł rodzinę, otrzymywał „pocichu” przepustkę, nawet wtedy, gdy już wstrzymano zezwolenia na prowadzenie rodzin.

– Znałaś kogoś stamtąd?

– Raczej przelotnie, ale siostra spotkała tam swoją szkolną koleżankę ze Lwowa.

– Imię, nazwisko?

– Mietka Nowi, była z siostrą.

– Jak było z wyżywieniem tych ludzi?

– No, cóż. Lepiej niż gdzie indziej. Otrzymywali zupełną żołnierską i trochę chleba, wszystko z żołnierskich racji żywnościowych, za zgodą samych żołnierzy, bo każdy to rozumiał. Gdyby ten, komu udało się sprowadzić rodzinę, czasem przecież liczną, chciał wyżywić ją swoją porcją zupy i chleba, nikt nie utrzymałby się przy życiu. Wszyscy starali się odnaleźć swoich bliskich, wiedzieli, że rodziny były na zesłaniu, więc godzili się, aby ich skromne porcje uszczuplić o tę łyżkę stawy, która w sumie zapewniała jakąś żywność tym kilkudziesięciu osobom cywilnym. Te rodziny ze swojej strony też starały się, jak mogły. Niejednokrotnie chodziły na kwaśne łąki, odległe o kilka kilometrów i zbierały szczaw, który przynosiły dla wszystkich, do kotła, a kiedyś trafiły się grzyby. Żołnierze się bardzo cieszyli.

– Czy kapitan nie głodził ludzi?

– Nic podobnego. Wręcz przeciwnie. Wyżywienie było lepsze niż pamiętam z Ośrodka Zapasowego w Guzarze, albo w naszym Ośrodku Szkoleniowym na Górcie.

– Lepsze?

– Tak. Kapitan często polecał cały przydział owsa, przeznaczony dla koni

pociągowych artylerii, odwieźć do kołchozu, do zmielenia, i taką niby – kaszę wypywano do zupy. A konie wypasano nocą na zapuszczonych, dość odległych pastwiskach. Czyż to nie było ratowaniem ludzi, jak tylko się dało?

– A jaki miał sposób bycia? No, czy miły, grzeczny, taki, co to jak mówią „da się lubić” – indagowała dociekliwie, a ja, już niczemu się nie dziwiąc, starałam się precyzyjnie odpowiadać.

– Nie, wręcz przeciwnie, raczej z tych, którzy łatwo robią sobie wrogów. Szorstki w obejściu, bardzo wymagający. Wydający kategoryczne rozkazy i nieprzyjemny, jeśli coś poszło nie tak, jak trzeba. Ale o ludzi dbał na pewno. Nie zabiegał jednak, aby wiedzieli. Zresztą raczej miał powody, aby utrzymywać w cieniu sprawy, choćby te, wspomniane.

– A ty skąd wiedziałas?

– Kapitan pierwszego dnia zapowiedział, że jako przyszłe ochotniczki, aktualne pracownice, mamy brać udział w porannej modlitwie i apelu, nadto bywać na herbacie wieczornej w namiocie oficerskim, a potem na modlitwie. Podczas herbaty rozmawiano przy nas, słyszałyśmy więc, gdy wracali żołnierze z rodzinami i przychodzili się meldować, by podziękować; także o tym owsie.

– Kończymy. Dziękuję. Wniosłaś dużo nowych elementów do obu tych spraw, wiele nieznanych szczegółów. W takich przypadkach nie istnieją rzeczy nieważne. Czasem najmniejsza, z pozoru nieistotna wzmianka może być nowym śladem. A kto jeszcze pracował w kancelarii ewidencji w Siódmym PAL-u?

– Podchorąży Waclaw Jackiewicz z Wileńszczyzny i Stanisław Dynowski, poborowy, rok, dwa, starszy ode mnie.

– A jaki był ten wasz szef?

– Starszy ogniomistrz Bielawski?

– Tak, właśnie. Jaki to typ człowieka?

– Spokojny i uczciwy. Bardzo dokładny i bardzo zdyscyplinowany. Wszystko musiało być w porządku. Był uważnym obserwatorem wszystkiego i wszystkich. Jestem przekonana, że wiele wie na różne tematy. I jest sprawiedliwy.

– Dziękuję za rozmowę. Możliwe, że jeszcze będziesz potrzebna. Pamiętaj, zawsze mów prawdę, tak jak dzisiaj. Ma to znacznie większe znaczenie, niż możesz sobie wyobrazić. Tak. Na tym już rzeczywiście kończymy. I pamiętaj o obowiązującej tajemnicy wojskowej.

– Tak jest!

– Możesz odmaszerować.

- Czołem! – Zasalutowałam.
- Czołem – usłyszałam z zaświatów.

Wysłałam stamtąd jak przekreślona przez maszynkę do mięsa. Tak, tak właśnie się czułam. Zastanawiałam się, o co właściwie chodziło, a głowa bolała mnie do granic możliwości. Byłoby z nią znacznie gorzej, gdybym wiedziała, że na dnie tych indagacji kryło się podejrzenie (czy oskarżenie) o działalność antypolską, z udziałem w akcji szpiegowskiej włącznie. Ale takie pogłoski dotarły do mnie znacznie później. Nie wiem, jaki był rezultat podobnych wywiadów, jak je rozstrzygnięto. W każdym razie, mimo że przeżywałam wciąż od nowa przebieg tego wywiadu, gdyż niełatwo było mi się uporać chociażby z samymi podejrzeniami o podłość ludzką; które ostatecznie uważałam za mylne i krzywdzące, nic z tego nie powtórzyłam nikomu. Nawet Wandzie, gdy przyjechała. Po pierwsze, czułam się związana słowem i obowiązkiem. Po drugie, myślałam, że jeśli Wandzia już była przesłuchiwana, a nie powie mi o tym, to widocznie tak powinno być. Jeśli zaś dopiero ją to czeka, to tym bardziej nie wolno mi niczego opowiadać, bo to mogłoby w jakiś sposób coś sugerować. Przesłuchiwana bez uprzedzenia powinna dawać szczerze odpowiedzi, spontaniczne, tak jak ja to czyniłam. Tylko wtedy możliwe będzie wyłowienie właściwych informacji, gdy wszyscy przesłuchiwani przedstawią szczerze swoje własne wersje wydarzeń. Prawda musi wyjść na wierzch, jak oliwa. Wierzyłam, że to jest jedyne słuszne stanowisko. Dla dobra sprawy. Dla poczucia sprawiedliwości.

Szkolna codzienność

Wreszcie pierwszego kwietnia nadszedł pierwszy list od Wandy, wysłany dwudziestego drugiego marca. Do tego czasu powinna otrzymać ode mnie już trzy listy, wysłałam je niemal równocześnie. Siostra stara się dodać mi otuchy w trudnych początkach edukacji, rozpoczętej od nowa po długiej przerwie. Nawet daje mi dobry przykład, ukończyła już pierwszą książkę do nauki języka angielskiego i zaczyna drugą. Uczą się w kilkoro, we własnym kółku. Nadal pracuje w biurze kwatermistrzowskim jako kreślarka. Awansowała do stopnia kaprała, żołą jej wzrósł z sześciuset sześćdziesięciu sześciu milsów do tysiąca sześciuset pięciu *milsów* irackich dekadowo. U nas sytuacja jest wprost przeciwna. Wszystkim żołą obniżono o połowę. Ucząc się w Szkole Młodszych Ochotniczek, musiałyśmy zejść ze stopnia ochotniczki, zostałyśmy niejako zdegradowane. W swym kalendarzyku zapisałam. „Otrzymałam dekadówkę, 550 milsów i oddałam pieniądze pożyczone na wycieczkę”. Miałyśmy pol-

skie zadanie szkolne (z panią Radwańską, jeszcze była z nami), a potem koniec z lekcjami, dezynfekcja baraku. Korzystając z okazji, zasiadłam z listami w cieniu rycynusów, które na szczęście nie pachną olejkiem rycynusowym, zmorą mego dzieciństwa. Wandzia pisze, że spotkała Mietka Szymańskiego, podziękowała mu za zapewnienie nam opieki w Guzarze, on wcale nie wiedział, że uratował nas od skrajnej nędzy. Spotkała też jego kolegę, znajomego ze świetlicy harcerskiej, Zdziszka Szmała oraz Wacka Blicharskiego, z tej samej paczki. Zdziszek napisał do mnie, właśnie otrzymałam ów list. Wacek znał Leona, naszego szwagra. Trzyma się jakoś razem „stara wiara”, krąg przyjaciół ze środowiska lwowskiego i harcerskiego. Ciekawe, co tam u nas? Jak Leon, Dzidka, wszyscy nasi? Jak sobie dają radę w kraju? Co się z nimi dzieje w tę okrutną wojnę? Tak bardzo Dzidka zamartwiała się nami, aresztowaną Wandzią i resztą rodziny, wywiezionymi na zesłanie. A teraz my nic o nich nie wiemy. Może dotarła do domu na Sieniawską moja kartka, wysłana z teherańskiego szpitala, za pośrednictwem Czerwonego Krzyża? Mogła zawierać tylko dwadzieścia pięć wyrazów. Ważyłam każde słowo, aby w tej liczbie zmieścić maksimum informacji; tak wiele się zmieniło w naszym życiu od ostatniego listowego kontaktu, przerwane w czerwcu 1941 roku wybuchem wojny niemiecko sowieckiej. „Kochani! Obie z Wandą jesteśmy razem, zdrowe. Tęsknimy za Wami i rodzicami, którzy zostali tam z ciocią. Co u Was, Dzidki, najbliższych? Piszcie. Ucałowania. Alicja”.

Zaadresowałam ten pieczołowicie wypełniony formularz do cioci Julii, bo nawet nie wiedziałam, gdzie Dzidka mieszka. Jej list sprzed półtora roku donosił, że uczyła na wsi. Do domu przyjeżdżała raz na dwa tygodnie, do Leona, który po ich ucieczce z Grzymałowa – gdzie zostali na czas ostrzeżenia, unikając represji – mieszkał u mojej cioci w Lwowie, w naszym domu rodzinnym. Chciałam im dać znać, że Wanda żyje – to była pierwsza wiadomość – została zwolniona i jesteśmy za granicą, bez najbliższych. Nie wiadomo, jakim torem potoczą się koleje naszego losu, toteż koniecznie chciałam się upewnić, przekazać tę wiadomość o pozostawieniu naszych w Kazachstanie, o rozłące. Może ci w kraju postarają się sprowadzić ich do ojczyzny, może to okaże się łatwiejsze do zrealizowania tam, niż tu, poza tyloma granicami. Nigdy nie wiadomo, ale Dzidka powinna przynajmniej wiedzieć, gdzie i kogo szukać. Ów list wysłałam wczesną jesienią 1942. Odpowiedź dotarła wiosną 1946; pierwsza wiadomość po niemal pięciu latach.

Znowu czułam się bardzo kiepsko. Mam te swoje kłopoty zdrowotne i osłabienie tak mnie zmogło, że za radą pani doktor przeleżałam cały dzień. Ro-

biłam sobie wymówki, że tak marnuję drogocenny czas, lecz to mnie nie powstrzymywało od ponownego usypiania, zanim zdołałam się podnieść. Tak doczekałam końca dnia. Sobotę starałam się lepiej wykorzystać, byłam na lekcjach, ale unikałam wszelakich wysiłków fizycznych, w każdym razie dnia nie zmarnowałam, uczyłam się. Widocznie ten przespany piątek jednak nieco mnie wzmocnił, zatem nie muszę niczego żałować.

W niedzielę wybrałam się z Krysią Zwierzańską do Tel Avivu. Ona pracowała w naszym obozie, przy którym stacjonuje szkoła. Była starsza ode mnie, przed wojną zdążyła zdać maturę, rozpoczęła studia na Akademii Handlu Zagranicznego we Lwowie, o parę kroków od „mojego” liceum pedagogicznego (przy Sakramentek). Krysia przyjaźniła się od czasów urdzarskich z Lidką, która poprzedniego dnia wyjechała na przepustkę, do ojca. Umówiły się w Tel Avivie, „po kościele” przed tą świątynią, którą odstąpiono Polakom. Podczas godzinnej jazdy autobusem żydowskim Krysia powiedziała mi, że ojciec Lidki, kapitan, został przeniesiony do rezerwy, do tak zwanych „leśnych dziadków”. Takich rezerwistów było wielu, nie wiem, czy po latach więzienia i łagrów odrzuciła ich komisja lekarska, czy, jak głosiła cicha propaganda, w grę wchodziły rozgrywki polityczne przedwojennych lub późniejszych ugrupowań, czy też chodziło o coś zupełnie innego. Mieszkali sobie ci oficerowie w wyznaczonych kwaterach prywatnych, dostawali gaże, raczej żywnościowe lub wyżywienie w kasynie oficerskim a poza prowadzeniem dysput politycznych (niczym Polacy czasu Wielkiej Emigracji) uczyli się intensywnie angielskiego. Kapitana poznałam w czasie pięciodniowego marszu z Urdzaru do Ajaguzu, owej wędrowni ochotników i poborowych, do której dołączyliśmy w tę pamiętną zimę, w marcu 1942 roku. Kapitan wraz z synami, Włodkiem i Jasiem, opiekowali się nami o tyle, o ile to było możliwe podczas tej niezwykle trudnej drogi. Z Ajaguzu transportowano ich wcześniej niż nas, tuż przed ewakuacją do Iranu – w której brali udział – trafili do dziesiątej dywizji w Ługowoje. Nasza sierpniowa ewakuacja zastała ich rozdzielonych. Chłopcy znaleźli się w Trzeciej Dywizji Karpackiej (stworzonej z Trzeciej Karpackiej Brygady i ochotników z ZSRR), sam kapitan zaś wylądował w Tel Avivie. Lidkę spotkałam w obozie w Pahlavi, w sierpniu tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku. Opowiadała, że matkę zostawiła w Ajaguzie, dokąd przeniosła się z Urdzaru, bo tam, wśród licznej Polonii, miała swoich znajomych czy nawet krewnych ze Lwowa. O ojcu i braciach jeszcze nie miała wiadomości. Gdy w październiku tegoż roku zobaczyłam w „Gazecie Polskiej” ogłoszenie kapitana, zawiadomiłam go listownie, że Lidka również wstąpiła do PSWK, że

spotkałam ją w Pahlavi. List z podziękowaniem otrzymałam w baonie saperów, tuż przed wyjazdem do Palestyny.

W poniedziałek, piątego kwietnia, byliśmy na filmie *Nice Girl* z Dean Durbin. Tytułowa bohaterka rzeczywiście ładna, miła, słicznie śpiewała. W pogodnych filmach grywa role szlachetnej, młodej panienki, toteż lubimy jej przedwojenne filmy, chociaż amerykańska wymowa ciągle sprawia nam więcej kłopotów niż angielska.

Szóstego kwietnia otrzymałam drugi list od Wandzi, pisany właśnie w dniu moich urodzin, zeszłorocznych. Oczywiście i ja je pamiętam. Stan zdrowia Wandy znowu uległ pogorszeniu. Wspomina, jakby na marginesie, lekceważąco, o seriach zastrzyków i lekarstw, które musi brać, ale ja wiem, co to oznacza. W następnym liście pisze, że chciałaby, abyśmy po mojej maturze wyjechały do Anglii i dostały się tam na studia. Skąd ten pomysł? Czy istnieją takie możliwości? Czy słyszała o nich? Czyżby wojna miała aż tak długo trwać? A może to tylko marzenia, wypisywane na użytek młodszej siostry? Może stara się dodać mi animuszu albo odwrócić uwagę od złych wiadomości, jak na przykład stan jej zdrowia? A jednak lekarka radzi wyjazd na kurację do Egiptu. Ba! Leczenie i zmiana klimatu. Jak gdyby drobny pionek mógł cokolwiek o sobie decydować.

We czwartek, ósmego kwietnia, zrobiono fotografię naszej pierwszej kompanii – obu naszych klas licealnych. Stoimy w obowiązującym szyku, w trójszeregu, na pobliskiej, małej, cichej uliczce miasta Rehovoth, jednej z tych, które otaczają obóz. Tu często odbywamy musztrę. Za nami zielony pardenes. Przed nami pani Jasia Fuchsowa, która właśnie wydaje komendę:

– Na prawo patrz!

Dzięki temu widać twarze pierwszego szeregu. Od lewej stoją: Iga Zemanek, Krysia Andrzejewska, Nuna Strzelec, Wanda Bania, ja, Danka Mazurkiewicz, Micia Dąbrowska, Krysia Berezowska, Iza Świętochowska oraz Irka Świstonowicz. W drugim szeregu widać: Irkę Szczepańską, Jaśkę Grodzieńską i jedną z sióstr Rajkowskich, chyba Stasię.

Wieczorem w sali kina miejskiego zorganizowano koncert szopenowski, dla chętnych gości, z miasta, z naszego obozu i ze szkoły. Naturalnie, audytorium dopisało, sala pełna, koncert wspaniały. Spośród wszystkich instrumentów fortepian zawsze będzie mi najmiłszy, a Chopin najbliższy. Od dziecka przepadałam za dźwiękiem fortepianu i strasznie mi szkoda tych lat, w których uczono mnie gry na tym instrumencie; wówczas jeszcze nie dorosłam do tego, zmarnowałam. Babcia mówiła mi. „Pamiętaj, że czego się nauczysz, co zwiedzisz i poznasz, tego ci nie odbiorą i to będzie twoje własne”. A teraz,

wzruszone, zasłuchane i urzeczone czarem preludiów i mazurków, wszystkie nasze tęsknoty ślemy do kraju lat dziecięcych, do tej ziemi, z której – jak i my – pochodzą.

W piątek, dziewiątego kwietnia, ktoś przyniósł wiadomość, że podchorążowie Piechoty Dywizji Karpackiej mieli wypadek na poligonie. Podczas ćwiczeń z granatami ręcznymi zginął jeden podchorąży, a trzech innych zmarło w drodze do szpitala. Pięciu następnych dowieziono na czas i zoperowano. Wśród zmarłych – mówiono – był Janek, brat Lidki Schramm i Włodka. Znałam ich zaledwie od półtora roku, ale w takich warunkach ludzi poznaje się dobrze. Wszyscy podziwiali Jasia wybitny talent do rysunków. Ja podziwiałam bardziej jego niezmaconą pogodę ducha, koleżeńskość i uczynność, kiedy całe miesiące jadał na zmianę z bratem; ledwie raz na dwa dni. Ponieważ kilka rodzin gnieździło się we wspólnej kwaterze, tak intymne szczegóły życia codziennego tylko na pozór były tajemnicą każdego z rodaków. I teraz, gdy to, co najgorsze było dla niego już czasem przeszłym, gdy wraz z innymi zgłosił się, by walczyć o Polskę, nagle, w tak bezsensowny sposób stracił życie. Mój Boże! Nasz naród ze wszystkich stron jest narażony na cierpienie i śmierć. Dlaczego? Kiedy wreszcie dość będzie ofiar? Wszędzie płacimy potężny haracz wojnie, życiem, wolnością, zdrowiem, nierzadko spodleniem tych, którzy w normalnych czasach byliby z pewnością zwykłymi, poczciwymi ludźmi, bo przecież nie mieliby powodu, aby nimi nie być. Te wszystkie okropności załamały ich morale, przerosły siły w tej obłędnej walce o przeżycie, przyczyniły się do znikczemnienia. Niestety, są tacy. To chyba najtragiczniejsze ofiary wojny. A los wybiera akurat szlachetnych. I w dodatku młodych, czyli tych, którzy jeszcze przez długie lata mogliby wiele dobra uczynić. Dlaczego to tak, Boże, dlaczego?

Splakana szłam na rekolekcje. Naturalnie, że lkać to słabość i wielki wstyd, ale bezsilnego buntu było we mnie więcej, znacznie więcej, niż pokory i podania się woli Bożej. Przez wszystkie lata uczono mnie godzić się z nią. Tymczasem wydało mi się teraz, że zbyt często widać rządy diabła na świecie; świadectwem wojna.

Wieczorem pani Haneczka wpadła do nas, posiedziała, trochę porozmawiała.

– Alinko, odprowadź mnie – szepnęła wychodząc.

Na dworze już było ciemno.

– Słyszałam, że twój chłopiec miał wypadek – zaczęła.

– Janek to nie mój chłopiec – sprostowałam. – To kolega. Znałam go z ze-

słania. Odbywaliśmy razem bardzo ciężką drogę do wojska, najgorszy jej etap. W takich sytuacjach poznaje się ludzi najlepiej. I dlatego tak żał. Taki solidny, porządny, uczynny i przyjacielski. Ktoś, na kim można polegać, a teraz...

– Czekaj, nie rozpaczaj. Wiadomość przecież nie jest wcale potwierdzona.

– Ale wypadek był, to fakt. I ofiary też, pani wie. I były i będą.

– I były i będą, jak mówisz – podjęła – a jednak ci, którzy zostają, muszą trwać. Nam nie wolno się załamywać, dziecko. Rozumiesz sama, że nie wolno. Mimo, że tyłu naszych ginie co dzień. Tym bardziej, że aż tyłu.

– Jak długo, jak długo jeszcze to będzie?

– Jakkolwiek by nie było, my musimy hartować się w nieszczęściu, uzbrajać w siły, twarzenie, uodparniać. Pamiętaj, na nas kraj czeka. My wrócimy do ojczyzny i jeszcze usilniej niż tutaj, będziemy pracować tam nad odrodzeniem wolności. Za siebie, że doczekamy, i za tych, którzy dojdą nie zdołają.

– Coraz trudniej w to uwierzyć – wyznałam.

– Może czasami. Ale przecież mamy cel i mamy siebie nawzajem do pomocy. I dzięki temu przychodzi znowu siła i wiara i pewność, że się nie ugnie. Pomyśl, to byłaby klęska. Na to właśnie liczy wróg. Do tego dąży, o to mu chodzi, abyśmy zginęli. I my sami mielibyśmy się załamywać, to znaczy ułatwiać wrogowi pokonanie nas? O, nie, my nie zginie. Historia zna wiele klęsk, ale my sami nie będziemy ich pomnażać? Nam zginąć nie wolno. My już zostaliśmy uratowani z tamtej przepaści, chyba w jakimś celu. Nie poddamy się. Nie warto, bo trzeba żyć dla Polski, bo Polska musi żyć. To nasz cel, ty wiesz.

– Polska... To wielkie słowo – zamyśliłam się. – I dalekie...

– I najbliższe, najbardziej własne, konieczne. Pamiętaj, my teraz wszyscy jesteśmy potrzebni. I teraz i tym bardziej w przyszłości. Za tych, którzy zginęli. Wszyscy. I ty też – mówiła z przekonaniem i z naciskiem.

– Ja? Cóż ja? „Z prochu powstałam i w proch się obrócę”.

– Ejże? – Zatrzymała się. – Czy ty przypadkiem nie chowałaś się w klasztorze, moja panno?

– Tak, ale...

Roześmiałyśmy się obie.

– A w takim razie weź łaskawie pod uwagę, że i twoje istnienie ma wyznaczony cel. I ty masz swoją częśćkę w tej naszej tułaczce po świecie i jakieś swoje obowiązki do spełnienia. Tak jak każdy z nas. I każdy z nas jest malutkim światem w tym wszechświecie, malutką częśćką.

– Bez której świat by się nie zawałił – dodałam gorzko.

– Tak, może istotnie. Ale cząstką, która w swoim malutkim zakresie może i powinna czynić dobrze. Nieść dobro. Być pomocą. Pełnić właściwą rolę. Przemysł to sobie, Alu. Pamiętaj, my jesteśmy sobie wszyscy potrzebni. Chociażby dla tej naszej wspólnoty, którą tworzymy, która pozostała, z którą wreszcie i świat się będzie musiał liczyć, bo z jednostką się nie liczy. To na teraz. Ale czeka nas przyszłość. A przede wszystkim przyszłość kraju, którą trzeba wywalczyć. Nie wątpiwanie jeszcze trzeba będzie bardzo dużo przejść i przeżyć. A kim ty chcesz być, gdy wrócimy?

– Zawsze marzyłam o tym, że będę nauczycielką na Polesiu, w bardzo dalekiej i zacofanej wsi.

– Marzyłaś? To już nie marzysz o tym? – Podchwyciła pani Haneczka.

– Czy ja wiem? Zawsze kochałam Polesie, którego...

– Znasz każdy zakątek? – Domyślała się.

– Nie znam z autopsji. Nigdy nie widziałam, znam tylko z książek – powiedziałam zgodnie z prawdą, lecz zażenowana.

– Ach, *Nauczycielka* Ferdynanda Ossendowskiego? – Odgadła.

– Tak. I inne. Wyobrażałam sobie, że lubię samotność i z chęcią osiadę na Polesiu, którego tak się boją wszystkie młode nauczycielki. Jednak po tych latach stepowych mogłam się przekonać, jak bardzo, jak rozpaczliwie jestem przywiązana do swojego rodzinnego miasta, co pewnie wszyscy lwowianie mają we krwi. My wszystko byśmy oddali, aby tam powrócić.

– A widzisz! A więc dlaczego nie miałaś zostać nauczycielką w swoim mieście – ucieszyła się z konceptu. – Wiesz, będziemy kiedyś koleżankami po fachu.

Rozmawiałyśmy, przechadzając się po ciemku wzdłuż zaciemnionych baraków, aż okazało się, że wychowawczyni odprowadziła mnie do samych schodków naszego baraku i tu zostawiła, spokojna, że jej pełne otuchy słowa dotarły do mojej świadomości i zostały przyjęte wdzięcznym sercem. Po jakimś czasie doszła wiadomość, że Jaś, który znalazł się wśród rannych dowiezionych w porę do szpitala, przeszedł szczęśliwie poważną operację, podczas której usunięto liczne odłamki granatu z jamy brzusznej. Wyzdrowiał i wrócił do oddziału.

* * *

Sprawa Katynia runęła w nas jak grom z jasnego nieba, była klęską. To już nie sporadyczne wypadki, jakie zdarzają się podczas ćwiczeń, nie jednostkowe ofiary. Wiedzielo się o obozach oficerskich w Kozielsku i Starobielsku, od samego początku ich istnienia dochodziły wiadomości o uwięzionych, toteż po amnestii, w 1941 roku, wypatrywano na zesłaniu przybycia zwolnionych stam-

tąd osób, oczekiwały ich rodziny oraz wojsko. Podczas organizacji naszych oddziałów, w całej zawierusze i gmatwaninie wydarzeń, nie od razu można się było zorientować, czy Polacy z określonych rejonów zasilają te same, czy różne formacje. Wędrówka ludu odbywała się wieloma trasami i w różnych kierunkach, począwszy od wstępnej fazy tworzenia Armii Polskiej w Buzulu, leżącym w europejskiej części Związku Radzieckiego, do faz kolejnych, gdy nasze jednostki rozrzucano po azjatyckim Uzbekistanie.

Sztab mieścił się w Jangi Julu, najbliżej Taszkientu. Dywizje formowano, gdzie się dało. Ósma znajdowała się w Czok Pak, dziesiąta w Ługowoje, siódma w Kermine. Inne w Karkin Batasz, Wrewskoje, Czemkiencie, Guzarze. Można było sądzić, że polscy oficerowie i podoficerowie z owych dwóch łagrów, kozielskiego i starobielskiego, zdołali dotrzeć do tworzącego się wojska, lecz szczegółów nie znano; tym bardziej nie mogły wiedzieć takie szeregowie figury jak my, ochotniczki. Jednak nie przestawano szukać bliskich, których uwięzienie stało się przyczyną zsyłki rodzin; niestety zwykle owe działania przypominały szukanie przysłowiowej igły w stogu siana. Pozostawała nadzieja, wierzone, że z czasem wszystko się wyjaśni. Aż tu nagle radio niemieckie obwieściło całemu światu, że znaleziono groby kilkudziesięciu tysięcy polskich oficerów w lasku pod Katyniem, koło Smoleńska, rozstrzelanych przez Sowietów. Związek Radziecki zaprotestował przeciwko oskarżeniom, które nazwał zwaleniem win Niemców na ZSRR. Ogłosił, że zlikwidowanie więźniów polskich i obarczanie Związku Radzieckiego zbrodnią jest perfidną odpowiedzią Rzeszy, odwetem za tworzenie Wojska Polskiego na terenach sowieckich. Niemcy domagały się wysłania międzynarodowej komisji do zbadania *status quo* na miejscu, co Sowietom uznali za *votum* nieufności oraz dowód, że świat gotów jest uwierzyć ludobójcom, budującym obozy zagłady i komory gazowe, a nie im, walczącym z najeźdźcą. W rezultacie ZSRR zerwał stosunki dyplomatyczne z Polskim Rządem w Londynie. Wstrzymał dalszą organizację Wojska Polskiego, położył kres przesiedleniom Polaków do Iranu. Poczta, dotychczas źle funkcjonująca, wskutek zamieszania wojennego oraz ciągłych przemieszczeń naszej ludności, teraz zupełnie przestała działać. Do tej pory można było kontaktować się poprzez Ambasadę Australijską w Moskwie, przychylną Polakom, teraz stało się to niemożliwe. Już wcześniej usiłowałam odszukać rodzinę w taki sposób, daremnie. Nie miałam żadnych wiadomości, nawet adresu, nie mogłam przyjąć z pomocą bliskim, którzy jej potrzebowali. Ujawnienie zbrodni katyńskiej pogłębiło tragedię żyjących. Oto odebrano im wiarę i nadzieję na ratunek.

W szkole po porannej modlitwie ksiądz wystąpił przed zwarte szeregi naszych kompanii i zapowiedział mszę żałobną za męczenników Katynia. Wtedy dowiedziałyśmy się o nich. Oleńka doznała szoku, my również potraciłyśmy głowy, naubliżyłyśmy księdzu. Niech sam godzi się z wolą Bożą, bo my już nie odróżniamy jej od woli szatana, triumfującego nad światem. Micia i Iga, których ojciec był w jednym ze wspomnianych obozów (Kozielsk, Starobielsk), odeszły razem z Oleńką, zawsze tak bardzo dzielną, teraz zrozpaczoną. Wszystkie przeżywały udrękę, prawie każda miała jedno z rodziców „po tamtej stronie”. Wiele krzywd rzuciłyśmy księdzu w twarz, jak gdyby miał w tym udział, jakbyśmy go chciały winić, chyba z racji noszonej sutanny – zastąpionej mundurem z koloratką – tudzież pełnionej funkcji (kapłan), za wszystkie podłości świata, w które wojna nas wpędziła, czyniąc świadkami, poszkodowanymi, ofiarami.

– Niech ksiądz powie sam – wypaliła Krzyżka. – Choćbym miała serce z kamienia, to by mi i tak pękło na widok dzieci. Małe dzieci płakały i ginęły z głodu, a matki odchodziły od zmysłów, że ani skąd wziąć, ani zarobić, kupić, wyżebrać, czy nawet gdzie ukraść, bo wszędzie to samo. A Bóg na to może patrzeć?

– Pewnie dalej będziecie nauczać, że cierpienie uszlachetnia?

– A jak ludzi strzelają wciąż nowych i nowych, nad rowem, i na końcu zasypują, bez sprawdzenia, czy tam na pewno są tylko trupy?

– A jak podpalają więzienia, pełne zamkniętych więźniów?

– A jak młody podleje tak, że odtrąca starca spuchniętego z głodu, aby wyrwać dla siebie ten najlichszy kąsek?

– Czy dziecku odebrać siłą...

– A jak jeden szaszczuty denuncjuje drugiego, aby za to coś wyżebrać? – Wołałyśmy jedna przez drugą, wyrываяc ze swych życiowych doświadczeń tylko te najbardziej wstrząsające, najokrutniejsze.

– Cicho już dzieci, cicho – zaczął pobladły ksiądz, jakimś zupełnie odmiennym głosem, drewnianym, złożył drżące ręce, jak do modlitwy.

– Oto jest, Boże, Ojcze nasz, mała cząstka litanii narodu polskiego, którą wykrzykują do Ciebie nasze oszalałe z bólu serca. Przyjmij ją, Boże Ojcze i zlituj się nad nami.

Długo w nocy nie mogłam zasnąć, miałam o czym myśleć. Tyle poległych, o których wiemy, i tych, o których nic nie wiadomo. Nasze groby na ziemi rodzinnej i na obczyźnie, pojedyncze i wspólne, znaczące naszą obecność. Gdzież ich nie ma? A ci, którzy jeszcze żyją na cudzej ziemi, nie wiedzą, czy

doczekają powrotu do domu. Pozostawieni w skrajnej nędzy rodzice, których miałam nadzieję z niej wyrwać. Ciocia Iza, osamotniona zupełnie na tę beznadziejnie głodną starość. Dzikka z Leonem, biedujący w kraju. Moje dobre przyjaciółki, nauczycielki kochane, przyjazne zakonnice, dzielne harcerki. Co z nimi się dzieje? Czy żyją, jak i gdzie? A tutaj, bliżej, obozy cywilne w Teheranie. Ewakuacja do Indii i do Ugandy. Nasze wojsko, rozsypane po świecie i żywcem porozrywane rodziny. Gdzie ich nie ma? I nie wiadomo, co nas czeka.

Prawie już usypiałam, gdy mi się przypomniała modlitwa Inki (Jadwigi) Czechowicz; powstała na zesłaniu, a do mnie trafiła poprzez kraj.

"Dzięki Ci, Boże, za wygnanie,
 Za mój opustoszały dom,
 Za ból, za rozpacz, za czekanie,
 Niech tylko z męki tej powstanie
 Sen niepodobny innym snom.
 Dzięki Ci, Boże, za te krzyże,
 Które mi sam pomagasz nieść.
 Daj mi się jeszcze ugiąć niżej,
 Niech tylko przez to się przybliży
 Najcudowniejsza z wszystkich wieść."

Tylko garstka z nas potrafi jeszcze tak się modlić. Ilu, może wbrew woli, nauczyło się przeklinać? I co dalej, co dalej? Kiedy wreszcie nadejdzie kres?

Dotarła do nas wkrótce dobra wiadomość. Z wyjątkiem podchorążego, który zmarł, wskutek wypadku podczas ćwiczeń na poligonie, wszystkich rannych uratowała operacja. Żyją, wracają do zdrowia. Wiadomość sprawdzona.

Rekolekcje zakończyły się w niedzielę jedenastego kwietnia 1943 roku. Datę tę zapamiętałam, gdyż kojarzy mi się z wcześniejszą, sprzed trzech lat, rozprawą dotyczącą udziału Wandy w harcerskim ruchu oporu, dowodzonym przez ZWZ, oraz imiennami Leona.

* * *

Niezależnie od nawału obowiązków szkolnych prowadziłam dość obfitą korespondencję. Zdarzało się, że listy pisywałam w poczekalni u dentysty, lekarz przyjmował wtedy, gdy nasza klasa miała lekcję angielskiego. Straciłam wiele zajęć, na szczęście straty w uzębieniu, zrujnowanym awitaminozą, ograniczyły się do jednego zęba. Wszystko dzieje się jakimś kosztem, trudna rada. Tym razem dokończyłam dziesiąty list do Wandy. Umówiliśmy się, że

będziemy numerować listy, aby wiedzieć, czy docierają i w jakich terminach. Naturalnie, adresowało się po angielsku, koperty przypominały o naszej historycznej sytuacji. Zamiast nazwy miejscowości, czy kraju pisało się symbole. Na przykład dla Iranu i Iraku stosowano skrót PAI (*Persia and Iraq*), dla Palestyny – *Middle East* (Środkowy Wschód), poniżej zaznaczało się: *Polish Forces* (Polskie Siły Zbrojne), wpisując odpowiedni numer poczty polowej. Znaczek w górnym prawym rogu koperty zastępowała adnotacja: *On active service* (W czynnej służbie). Na ostatek, na dolnym brzegu koperty, obowiązująca informacja dla cenzora: *Written in Polish* (pisane po polsku). Papier listowy mógł być zapisany tylko po jednej stronie. Czasem cenzor wycinał z listu pewną partię bez szkody dla pozostałych, ale zdarzało się, że jakiś list nie doszedł do adresata. Obok daty nie wolno było utrzymywać nazwy miejscowości, zamiast tego pisało się „m. p.” (miejsce postoju).

Długo czas nie mogłam się przyzwycząić, że cenzor czyta moje listy, nawet te adresowane do siostry. Sprawiało mi to przykrość, czułam się jakby przesłuchiwana. Potem przestałam się tym przejmować. Korespondowałam z Krysią Bojko, wymieniłam też parę listów z innymi mieszkankami namiotu „Siedmiu Jędraków”, których grono pomniejszyło się wskutek mojego odejścia ze szkoły. Stamtąd czasem pisywali koledzy, Józek Nowakowski, uczestnik walk o Tobruk oraz Staszek Malinowski, obaj podchorążacy. Napisałam też oficjalne podziękowanie za wysłanie mnie do szkoły; porucznikowi Śliwińskiemu, mojemu zwierzchnikowi, oficerowi oświatowemu baonu. Jeszcze w Iraku przekazałam do „Orła Białego”, który wychodził w Bagdadzie, ogłoszenie do działu poszukiwań, licząc na uzyskanie adresu lub jakiejś informacji o rodzicach. Niestety moje starania nie dały żądanego rezultatu. Jednak w odpowiedzi na owo ogłoszenie odezwał się mój szkolny kolega, Kazik Malach; z Liceum Pedagogicznego we Lwowie. List (z numerem poczty polowej 555) świadczył o jego pobycie w kawalerii zmotoryzowanej, bliskiej baonowi saperów, gdzie, jak nadmienia, już mnie nie zastał. Mały i wesoły blondas z falistą czuprynką, rocznik 1919, który w 1941 roku podlegał mobilizacji z naszych terenów, musiał „przeżyć swoje”, zanim trafił do Wojska Polskiego. Z tego samego ogłoszenia skorzystał Leonidas, właściwie Leonid Kliszewicz. Znał mnie tylko ze słyszenia i z paru listów, które z dalekiego stepu napisałam do Siaški Bilińskiej. Ta zdobyła gdzieś mój adres i zaczęła pisywać, tak nawiązałyśmy kontakt. Chodziłyśmy razem do jednej klasy w Gimnazjum Nazaretanek, ale mieszkaliśmy daleko od siebie, ona na Lewandówce, w dzielnicy domków rodzin kolejarzy, ja pod Wysokim Zamkiem. Dopiero wspólne, śliczne lato

1937, spędzone na kolonii szkolnej w Rozłuczu, zbliżyło nas naprawdę. Była narzeczoną Leonidasa, zaręczyli się z początkiem wojny z nadzieją, że się wkrótce pobiorą. Siaśka cieszyła się „swym malutkim szczęściem w tej olbrzymiej zawiei”, jak mi się zwierzała. Leonidas skontaktował się ze mną, by wreszcie móc z kimś porozmawiać o Siaśce, z kimś, kto ją zna. Miałam ze sobą kilkanaście przedwojennych fotografii, tyle całego skarbu, znalazła się między nimi malutka z owej kolonii, na której byłam z Siaśką i paroma koleżankami z Lewandówki. Jedno ze zdjęć, zrobione na tle naszego, polskiego krajobrazu, posłałam Leonidasowi. Ten mianował mnie powiernicą swej żołnierskiej drogi mając nadzieję, że jego listy dam kiedyś Stasi. Pisał, o czym tylko można było pisywać. Ja miałam nieporównywalnie mniej czasu i odpisywałam, ogólnie mówiąc, raz na dziesięć lub piętnaście jego listów, on jednak twierdził, że to wystarcza, że nie ma żadnych pretensji, bo sam fakt, iż może pisywać, ma dla niego większe znaczenie, niż papierosy dla nałogowego palacza. To niepowetowana strata, że w licznych podróżach nie ocalałam owej paczki listów. Były relacją z wydarzeń, dokumentem o niezaprzeczalnych walorach, autentyczne, szczerze, żywe. Opowiadały o kolejach losu żołnierza polskiego, rzuconego na dalekie szlaki. Bardzo żałuję, że z tych około trzystu listów, zebranych w ciągu kilku lat, nie zachował się ani jeden.

Leonidas studiował prawo, gdy wybuchła wojna. Pisał prosto, zrozumiale, był wielkim gawędziarzem, który chętnie brał pióro do ręki. Był optymistą, odznaczał się poczuciem humoru. Kiedyś angielski cenzor dołączył od siebie karteczkę do listu Leonidasa, prosząc mnie, adresatkę, abym w jego – cenzora – imieniu poprosiła uprzejmie nadawcę o pisanie listów krótszych; aby nie przeciążały pracą cenzora. Owa notatka zrobiona była na maszynie, po angielsku, więc poprosiłam Siolo o tłumaczenie, oryginał przekazałam Leonidasowi. Klasa zainteresowała się tą korespondencją z nieznanym. On zaś odpowiedział niefrasobliwie, że to przecież wszystko jedno, czy wypełniając kilkanaście kartek wyśle je w jednym liście, czy w kilku. Odtąd dołączał miłe pozdrowienia dla cenzora. To było w jego stylu.

Wkrótce Leonidas przysłał mi adres kolegi prosząc, abym zachęciła którąś z koleżanek do przyjacielskiej korespondencji. Początkowo dziewczęta zapaliły się do pomysłu, aby spletać mu figła, nakłonić jedną ze starszych pań do wymiany listów. Oczywiście zaraz zreflektowały się, że przecież żadna nie zechce nawet wysłuchać podobnych nonsensów. W końcu któraś dopadła Krysię Andrzejewską, zajętą wygłaszaniem przemowy do kotka, którego zachowanie wydało jej się, najłagodniej mówiąc, nieodpowiednie.

– *Quo usque tandem Catilina* (w wolnym tłumaczeniu: „miła Blanszetto”) *abutere patientia nostra?*

– Hej, przestań trzymać mowę do kota, stworzenie się nie zainteresowało i przybywaj! – Przekonywała ją Miła.

I tak się zaczęło. Samozwańczy dyktatura klasy natychmiast zobowiązała Krysę do pisania listu, który od razu wprowadzał odbiorcę w atmosferę baru, bowiem zaczynał się od mowy, którą uprzednio wystosowano do Blanszетки. O adresacie Krysia wiedziała niewiele, Leonidas uchylił jedynie rąbka tajemnicy: „Kolega podchorążak, prawnik, wysoki”. Od razu wydał nam się odpowiedni, taki, co to umie docenić pogodny humor Krysi i zalety jej retoryki, opartej na światowej klasy wzorach. Następnym przypadkiem epidemii korespondowania z nieznanymi – w istocie ze znajomymi wspólnych znajomych; nie mieli „po tej stronie” nikogo, od kogo by mogli spodziewać się listu – była Micia i Iruś. Muszę przyznać, że z początku listy pisywane były (i traktowane) pół żartem pół serio, stanowiły niejako własność naszej gromadki. Czasem nawet bywały wspólnie redagowane ku uciechu zespołu. Rychło jednak zmieniały swój, dotąd żartobliwy, ton, ustępując miejsca poważnej wymianie myśli, zwierzeniom, relacjonowaniu zdarzeń. Niekiedy jeszcze jakiś fragment listu nadał się do odczytania na głos, potem mówiło się jedynie o fragmentach. Zaczynały się korespondencyjne przyjaźnie, wynikłe z potrzeby zrozumienia; tudzież z chęci precyzowania myśli. Piszący czuli, że są komuś potrzebni, że owa korespondencja może chociaż na chwilę zastąpić brak wieści o bliskich.

Do listu z dwunastego kwietnia 1943 roku – dotarł do mnie jako czwarty – Wanda dołączyła ogłoszenie z „Orła Białego” o poszukiwaniu rodziców. Nadal bezowocne, mój Boże. Ona wciąż jeszcze bierze zastrzyki wapna i astmolicy i zapewnia, że czuje się lepiej, pomimo narastających upałów. Nie wiem, czy rzeczywiście tak jest, skoro lekarka w dalszym ciągu radzi jej wyjazd do Egiptu. W tym miejscu cenzor wyciął kawałek tekstu, około dwóch linijek. Co tam mogło być? Tuż przedtem Wandzia pisze, iż ze strachem myśli o lecie, kiedy powietrze stanie się ciężkie i trudno będzie oddychać, zwłaszcza astmatykom. Co takiego mogła napisać, że cenzor zareagował? Może niepotrzebnie wymieniła jakąś nazwę miejscowości, co w kontekście całego zdania wydało mu się sprawą niebezpieczną? Opowiada, że odwiedzili ją Jurek Horodyski i Staszek Mazur, moi koledzy z Tas Bułaku, dalej wspomina o Wacku Kublinie (znajomy z tej samej paczki), który po wyjściu ze szpitala (chorował na malarię) znalazł się w obozie ozdrowieńców. W którymś numerze „Orła Białego”,

wyczytała, że ktoś poszukuje Alojzego Stampiera (mąż naszej kuzynki, Zosi Drewniewskiej), natomiast w „Kurierze Polskim” Jana i Mieczysława Weissów, dawnych znajomych z wakacji, które spędziliśmy z rodzicami w Strzyłkach – Topolnicy (w latach 1928 i 1930). Weissowie przed wojną studiowali na Politechnice Lwowskiej. Widocznie ktoś próbuje odnaleźć ich poza krajem. Wanda pyta, czy pamiętam panią Schabowską; odnalazła również jej nazwisko. Pani Janina Schabowska. Tak, wspominam ją ze wzruszeniem, nigdy nie zapomnę. Stosunkowo krótko uczyła mnie w liceum pedagogicznym i chyba mało znała. A potem – taka niespodzianka – paczka od niej. Niezapowiedziana, nieoczekiwana i jakże cenna. Zawierała pięć kilogramów porządnie solonej słoniny i trzy kilo cukru, majątek. Otrzymaliśmy ją w jednym z tych trudnych dni. Paczka, dostarczona późnym wieczorem, zastała nas na czczo, bez nadziei na poprawę sytuacji. Mama rozplakała się z radości. Od razu coś z tego bogactwa wymieniło się na kilka ziemniaków, potem, szafując oszczędnie, dożywiając się artykułami, mogliśmy przetrwać jakiś czas. Jestem pewna, że żaden cukier świata nie przyniósł nikomu więcej słodczy, niż nam ten właśnie. O ile hasło Melchiora Wańkowicza „cukier krzepi” sprawdzało się w przedwojennej reklamie, o tyle ów żółty, wojenny cukier od pani Schabowskiej był dla nas, w Tiki Bułaku, długotrwałym pokrzepieniem. Także duchowym, wszak są dobrzy ludzie na tym okrutnym świecie. Kolejny spóźniony list od Wandy doszedł „okreźną drogą”. Dowiedziałam się, że Wacek Blicharski i lekarz Marian Bajorek, koledzy Leona, wysłali list do wspólnego kolegi, Teodora Blachuta, który przebywa w Szwajcarii. Wanda zna ich wszystkich ze świetlicy harcerskiej, do której zaczęła uczęszczać po maturze, ja pamiętam ich z niedzielnych, harcerskich wycieczek za miasto. To były wspaniałe czasy, zwyczajne zmartwienia, kłopoty na ludzką miarę. A teraz? Gdzież to Polaków nie ma? Dokąd ich los nie rzucił? Podobno w Szwajcarii wraz z Teodorem przebywa grupa naszych, mają kontakty z krajem. Wacek obiecał napisać do nich. Że też nie ma żadnej łączności, żadnych wieści o miejscu pobytu rodziców, wystarczyłby ich adres i cioci Izy. Wiemy na pewno, że wyruszyli z Kazachstanu, chyba od razu po otrzymaniu dokumentów zezwalających na dołączenie do córek służących w Wojsku Polskim. Podlegają teraz opiece, która należy się rodzinom wojskowych. Byłoby to realne, lecz sprawa Katynia mogła wszystko odmienić. Dniami i nocami robię sobie wyrzuty, że zostałam naszych staruszków; w wieku lat pięćdziesięciu pięciu i pięćdziesięciu siedmiu, mój Boże. A jednak taka jest bolesna prawda. I co dalej? Co jeszcze? Napisałam parę listów do koleżanek z Urdzaru, może coś wiedzą, może rodzi-

ce odezwali się i podali swój adres? Może któryś z tych listów trafi we właściwe ręce i odpowiedź nadejdzie? Złudzenie? Rozpacz, bezsilność.

* * *

W sobotę przed Niedzielą Palmową odwiedziłyśmy Lonię w szpitalu angielskim. Byłam tam z panią Haneczką i Olą Dąbrowską. Lonia choruje długo, ale jest już jej znacznie lepiej, Bogu dzięki. Po południu odwieziono do szpitala Irkę Świstunowicz i Ulkę Knizatko. Malaria, paskudna choroba, która już wcześniej dała mi się we znaki, dwa razy. Całe szczęście, że kuracja jest tu możliwa. Oczywiście nie ma co narzekać, choć ludzie ginęli na nią „jak muchy”; według określenia Jasi Gawlik, sanitariuszki w Szpitalu PCK w Teheranie.

Niedziela Palmowa, osiemnasty kwietnia. Po mszy, przed południem, przerabiałam łącinę z Haneczką Plewińską, młodszą koleżanką z czasów pobytu w szpitalu teherańskim. Popołudnie, niestety, przespałam z powodu bólu głowy. Wieczorem film *Młodość zwycięża*. List do Wandzi. Następne dwa dni leżałam chora. Ciągłe kłopoty ze zdrowiem, nie mogę się z tym uporać. I co z tego, że mierzę siły na zamiary, kiedy mi naprawdę owych sił brakuje.

Dwudziesty kwietnia, wtorek, zakończenie pierwszego półrocza. Stopnie mam następujące. Z łąciny dostateczny, z historii trójka z plusem i cała reszta przedmiotów dobry. Wcale nieźle udało mi się nadrobić pierwsze półrocze, i to w ciągu siedmiu tygodni. W dodatku przy problemach zdrowotnych. Mogę uznać, że powrót do nauki już się dokonał. Napisałam zaraz do Wandy, bo ostatnio, ze względu na pilne wkuwanie do licznych klasówek (nawet z religii, z etyki), brakło mi czasu na listy. Bardzo się ucieszy, że przebrnęłam przez owo pierwsze półrocze, w czym pomagała mi, podtrzymując na duchu.

Jeruzalem po hebrajsku znaczy „widzenie pokoju”, „dziedzictwo pokoju”. Z błaganiem o pokój ruszyli Polacy w tłumnej procesji na tę jerozolimską Drogę Krzyżową. Mnie oczywiście boli głowa. Jakżeby inaczej? Wściekły ból dokucza mi tak, że dosłownie każdy krok po tym okropnym bruku odczuwam jak uderzenie w głowę. Procesja jeszcze się nie rozmodliła. Usiłuję się włączyć, bowiem zapewne więcej nie będę miała okazji czegoś podobnego przeżyć. Idą Polacy w mundurach wojskowych niekończącą się cizbą, której szyk załamuje chmara tubylców. Rozlega się potężny śpiew. „Krzyż na skale, a pod krzyżem || *Stabat Mater Dolorosa*”. Matkę Bolesciwą widzę równocześnie z umęczoną, naszą, polską. Nic na to nie poradzę, że tak odczuwam, z pewnością nie ja jedna. I dalej idzie nasze wojsko, chłop w chłopca, a każdy

przybity, świadom oderwania od domu rodzinnego, żywo przeżywający bolesną rozłąkę. A to przecież święta, niegdyś spędzane wśród swoich. Kroczy wojsko ciężko pod górę i śpiewa całym sercem i pełnym głosem Chrystusową i własną skargę, pobrzmiwającą zdziwieniem. „Ludu mój, ludu, || Cóżem ci uczynił?”

Niektórzy, młodzi jak my, aż się czerwienią na twarzy od tamowanych wzruszeń, a czasem stare i wąsate chłopisko, widzę, głośno siąknie nosem, aby ukradkiem chustką otrzeć z oczu łzy. Droga Krzyżowa wiedzie pod górę. Idą Polacy zwartą masą, pną się na Golgotę. Dosłownie i w przenośni, a jakże. Wojsko Polskie w angielskich mundurach, na obcej ziemi, znowu. Ale ta jest Ziemią Świętą. Pieśń mocnym głosem rwie się w górę. „U stóp krzyża Matka stała”. O, Boże! Ileż to matek w kraju stoi nad grobem swojego dziecka? Dziecka odebranego przez wojnę. Na tej naszej świętej polskiej ziemi. A ile matek nie wie nawet, gdzie grób? Ileż rozpaczy i pustki pozostawia po sobie każda śmierć. Czy musi być jej aż tyle? Jakże ciężko po nią iść, mój Boże.

Uliczki zwięzają się a tłum rośnie. Coraz trudniej, ciaśniej. Obcych przybywa. Pieśń cichnie momentami, to znów wydobywa się z lawiny różnych hałasów. „Upadamy dziś pod krzyżem”.

O godzinie piętnastej wszyscy chcą być wewnątrz Bazyliki Grobu. Dokładnie w Godzinę Zgonu. Ścisk niesamowity. Przeraza tłok i hałas. Nie ma mowy o wycofaniu się. Tłum miesza nas, pcha, przetacza, wszystkich. Prędkiej! Prędkiej! Do środka! Prędkiej! No! Prędkiej, teraz do wyjścia! Prędkiej, na miłość boską! Prędkiej! Raptem kompletnie tracę poczucie rzeczywistości. Co to za koszmar? Co się tu właściwie dzieje? Jezu, gdzie ja jestem? Skąd ja się wzięłam w tym ludzkim mrowiu? I nagle do mózgu ostrym świdrem wwierca się rozpaczliwy jęk. „Wygnańcy Ewy do Ciebie wołamy: || Zlituj się, zlituj, || Niech się nie tułamy!” Ach, to Golgota. Przytomnieję. To my, Polacy, na Golgocie. Aż tutaj doszliśmy błagać Cię, Boże, o Twoje i nasze zmartwychwstanie. O, Panie, czy słuchasz, czy słyszysz nas, Ojczyzno? „Ojczyznę, wolność, racz nam zwrócić, Panie”.

Na Poniedziałek Wielkanocny zapowiedziano trzydniową wycieczkę, toteż świąteczną niedzielę starałam się spędzić bez nadmiernego wysiłku, zajęłam się pracami pisemnymi, aby mieć trochę więcej sił niż podczas wielkopiątkowej pielgrzymki. Po wspólnej mszy mieliśmy uroczyste śniadanie. Potem spotkałam się z Zuzią Accord. Zaprosiła mnie na pogaduszki. Chodziłyśmy razem do Szkoły Panien Benedyktynek sześć lat, dopóki nie przeniosłam się do Sióstr Nazaretanek; wtedy nasz kontakt się urwał. Ewa, siostra Zuzi, była

w tej samej klasie, co Wanda, potem uczęszczała do Gimnazjum Królowej Jadwigi, przed wojną zaczęła studia na AHZ. We Lwowie mieszkaliśmy blisko siebie, ale spotykałyśmy się rzadko. Dopiero Urdzar zacieśnił nasze kontakty. Ewa była już mężatką. Jej mąż, Staszek Prus, z zawodu lekarz, pracował w tamtejszym szpitalu, Ewa była tam pielęgniarką. Panie Accord ocaliły niejedną polską rodzinę od skrajnej nędzy, były miłosierne. Doktor Prus przetrzymywał polskich pacjentów w szpitalu, aby dłużej mogli karmić się szpitalną zupką, bo w domu żywności brakowało. Zuzię spotkałam we wrześniu 1942 roku w Teheranie. Przechodząc korytarzem szpitala PCK, usłyszałam słaby głosik. Ktoś wołał mnie po imieniu. Weszłam na salę, ale nie zobaczyłam nikogo znajomego. Już miałam się cofnąć, gdy jakiś łysy półtrupek, jak mówiła Jasia sanitariuszka, drugi raz mnie zawołał. Wtedy ją poznałam; po głosie.

– Zuzia? Naprawdę Zuzia? – Podeszłam bliżej, ze ściśniętym gardłem.

– Alu! Poznałaś mnie! Och, przynajmniej ty jedna poznałaś! Nikt mnie nie może poznać – jęknęła.

– Co ci jest, Zuziu? – Zapytałam, starając się ukryć zmieszanie.

– Ta, ja sama nie wiem. Tylko tyle, że nie tyfus, bo już minął. Popatrz, już mi nawet włosy zaczęły odrastać. Prawda? – Pytała z niedowierzaniem, z nadzieją w głosie.

Teraz włosy odzyskały urodę. Wspominałyśmy z Zuzią wspólne przeżycia, analizując skomplikowaną sytuację naszych rodzin; jej matka z babką zostały w ZSRR. Zuzia nie pozwalała nikomu zamartwiać się zbyt długo, zarażała optymizmem, który potrafiła wykrzesać z siebie niemal na zawołanie. Bardzo dobrze tak się rozerwać, ale w końcu musiałam pójść i zabrać się do zadanego tematu *Szlachta polska w XVII wieku na podstawie...* Na szczęście lubię pisać; natomiast podczas wypowiedzi ustnych zwykle czuję się speszona.

Poniedziałek Wielkanocny, dwudziestego szóstego kwietnia, rozpoczęty wczesną pobudką o szóstej, zastał nas w autokarach mknących ku północy. Śniadanie zjedliśmy w Hajfie. W życiu nie widziałam tak egzotycznego miasta. Rozłożyło się na stromym brzegu morza długimi tarasami ulic, biegnących coraz wyżej, niby po stopniach. Najniższe partie miasta kąpią swe stopy w jasno granatowym – wiosną – Morzu Śródziemnym. Górne tarasy ścielą się pasmami, coraz bliżej podchodzącymi pod szczyt Góry Karmel, uwieńczonej kościołem i klasztorem karmelitów. W kościele statua Matki Boskiej, siedzącej dostojnie w obramowaniu czterech kolumniek; trzyma Dzieciątka, które dźrzy w rękach jabłko, znak świata. Wszystko masywne, ciężkie, bardzo kolorowe. Czerwień i turkus podkreślają złocenia. Potem zwiedzaliśmy

egzotyczny, muzułmański grobowiec córki szejka, darzącego kultem kwiaty. Dziwne, jakby wymyślone rośliny kwitły na rabatkach wewnątrz grobowca, mauzoleum. Przypominały ogród w Teheranie, założony przez wyznawców teorii, że Bóg przebywa w kwiatkach, objawia się w nich. Były rzadkiej piękności, jak w Baśni z tysiąca i jednej nocy, a może raczej przywodziły na myśl ogrody Semiramidy, urzekały kształtami, barwami, wonią, a barwne motyle i pracowite pszczoły królowały w owym czarodziejskim świecie. Odpoczęłyśmy, oglądając ruiny rzymskiego Acrum, leżącego nad brzegiem morza i pamiętającego wojny krzyżowe. Potem zwiedzałyśmy kibuc, czyli dobrowolnie stworzoną wieś spółdzielczą, w której Żydzi taczkami przywozili ziemię, kładąc ją na skalistym podłożu płaskich tarasów, metr po metrze, by zakładać winnice, sadić *pardesy*. Znając z niewoli pracę w polu, mogłyśmy należycie docenić owe wysiłki, podziwiałymy plony. Niemniej jednak pierwszy raz spotykałyśmy Żydów pracujących na roli, pamiętałyśmy ich z Polski, gdzie przeważnie zajmowali się handlem. Spotkałyśmy parę rodzin żydowskich, które przed kilkoma laty przybyły tu z Polski. Chętnie opowiadali nam o życiu *kibucu*. Można by je porównać ze wspólnotą ludzi pracowitych, solidarnych, zdyscyplinowanych i stale gotowych do poświęceń, takich, jakie znamy z historii pierwszych chrześcijan. Dla przykładu, kształcenie dzieci uwzględniało indywidualne zainteresowania, zdolności i predyspozycje ucznia, wspólnie decydowano o wysłaniu kandydatów na studia (*nota bene*, bardzo kosztowne), rozważania takie odbywały się w obecności całego grona żydowskiego, były sprawiedliwe, nie preferowano własnego potomstwa. Takie postępowanie uznaliśmy za ewenement. Pokazywali nam wszystko, łącznie ze szkołą rolniczą, bogato wyposażoną w różne gabinety. W gabinecie biologicznym uwagę naszą zwrócił eksponat, jakiego w życiu nie widziałyśmy: zamknięty w słoiku z formaliną pięciomiesięczny płód ludzki. Biedne, martwe maleństwo. Kto je ofiarował spod serca, aby służyło innym dzieciom do nauki? Bardzo wiele nas tam zadziwiło. Znałyśmy kołchozy radzieckie, skrajnie różne od tych dobrowolnych, z których udziałowcy mogli się wypisać, choć nie kwapili się do tego. Wykształcona młodzież odpracowywała, na określonych warunkach i w ustalonym trybie, koszt swej edukacji. Rozliczywszy się, chętnie zostawała w swoim środowisku, dla którego pracowała zgodnie z uzyskanym zawodem, chyba, że takich możliwości – ze względu na wybrany fach – nie było. Opowiadano nam także o trudnościach życia codziennego oraz sposobach radzenia sobie z nimi. Miałam wrażenie, że znalazłam się na innej planecie. Po porcji

lekarstw jakoś głowa przestała mi dokuczać, toteż wieczorem, gdy dojechalismy do Tyberiady, chłonełam piękno tego miejsca.

Tuż nad brzegiem jeziora Genezaret, zwanego też Morzem Tyberiadzkim, w niezbyt dużym budynku klasztorным, mieściły się nasze kwatery. Od kilku dni przebywały tam nasze koleżanki, wysłane na wielotygodniową kurację; leczyć się miały za pomocą wód mineralnych. Obecnie czyniły honory pań domu. Z maturalnej klasy znalazły się tam: Alicja Pawlus, Danka Dobkowska i Danka Oktawiec, z naszej: Iga Zemanek i Zosia Grudzińska; z mamą, jako opiekunką, wytypowaną przez szkołę. Z gimnazjalnych klas pamiętam Irkę Sitkiewicz i Zosię Tomaszewską, razem było ich ponad dwadzieścia. Cieszyły się z naszej wizyty, opowiadały o pobycie, leczeniu chorób reumatycznych, o solankach i gejzerach oraz o swych wysiłkach samoksztalceniowych, mających zminimalizować braki w realizacji programu szkolnego. Zасiedziałyśmy się do późna na tarasie dachu, zapatrzone w gęstniejący zmrok, ścielący się niemal u stóp tafli jeziora, na zlewające się w mroku smukłe sylwetki palm. Zасłuchane w rytmiczny szum fal, urzeczone urokiem przedziwnego wieczoru i owej niezwykłej scenerii. Rozmowy zamieniały się w szept, a te z kolei rozdzwijały pieśnią *Kiedy księżyc łśni nad Tyberiadą*. I wyszedł księżyc, zwabiony polską pieśnią, naszym śpiewem. Chyba dziwił się nam nie mniej, niż my temu światu; jest piękny i mógłby dawać szczęście, gdyby nie było wojny. I dalej płynął nasz śpiew, raz wzniesiony zakończyć trudno. Popłynęła pieśń o Mlecznej Drodze, bo oto, rozpylona srebrnym blaskiem, łśniła nad naszymi głowami. „Po Mlecznej Drodze myśli moje mkną | | I może teraz nad Warszawą są. | | I może zatrzymały swój szaleńczy bieg | | I patrzą na piaszczysty Wisły brzeg?” Mimo woli niejedna wychyliła się, aby spojrzeć na ten brzeg, tutaj, odcinający się ciemną plamą od łśniącej w poświacie wody. Ach, nie! To nie jest Wisła, niestety. Tylko jezioro Genezaret. Morze Tyberiadzkie. Morze, które kiedyś Chrystus uciszył podczas burzy. Jakże byłoby cudownie, gdyby teraz uciszył tę najokropniejszą z wojennych burz.

Nazajutrz zwiedzałyśmy sławne miejsca. Tutaj, nad brzegiem jeziora, nastąpiło cudowne rozmnożenie chleba i ryby. Ileż koszy ułomków potem zebrano? Pamiętam, jak miesiącami, latami, marzyły nam się te wzgardzone ułamki, dostępne tylko w wyobraźni lub złudnych snach. A ilu jeszcze nadal marzy o nich, daremnie. Tego się chyba nigdy nie zapomni, do samej śmierci. Zwiedziliśmy ruiny Kafarnaum. Samotne kolumny, dumne, osieroczone, pnące się aż do nieba, jak niezapomniane schody donikąd, sterczące tam, u nas, ponad gruzami zwalonych kamienic we wrześnieym bombardowa-

niu. Kościół na Górze Błogosławieństw zbudowano na podstawie ośmiokąta równoramiennego. Przy każdej ścianie ołtarz, nad każdym z nich widnieje łaciński tekst kolejnego błogosławieństwa, ładnie to pomyślane i przyjemnie wygląda. Kościół jest mały, jasny, pogodny, przypomina nastrój naszego, lwowskiego kościoła dominikanów. Owo wspomnienie wzrusza nas nie mniej od przeżywanych teraz, wzniosłych doznań. Odwiedziliśmy także miejsce urodzenia Szymona i Pawła. Ziemia Święta pełna jest pamiątek. Mieliśmy trochę czasu na kąpiel w jeziorze (koniec kwietnia), po obiedzie ujrzelśmy solanki siarczanowe i gejzery, w których nasze koleżanki się kąpały.

Nazajutrz rano, za opłatą składkową kilkunastu *milsów*, wypływamy łodzią na jezioro. Jest bardzo rozległe, przeciwległego brzegu nie widać. Szumi jak morze, choć fala raczej łagodna. Toń przejrzysta, czysta. Na brzegu oczekują nas tubylcze dzieciaki, proponują długie naszyjniki, zrobione z niewielkich, podłużnych muszelek. Kupujemy za kilka *milsów*. Po kąpeli w jeziorze wyprawa do Kany Galilejskiej. Oto kościół w Kanie, upamiętniający pierwszy cud. W imię tradycji kupujemy miniaturowy dzbanuszek w kształcie amfory, na pamiątkę. Te naczynia mają zapewnić szczęście w małżeństwie, sprzedawcy w to wierzą. Są kruche – jak szczęście – gliniane, zatem trzeba o nie dbać, bacząc pilnie, by się nie stłukły, gdyż to źle wróży. Kupujemy.

W Nazarecie zwiedzałyśmy groty i wzniesione nad nimi kościoły. Cieszyłyśmy się widokiem miasta z góry klasztornej, zajrzałyśmy do owego kościoła, który może się szczyli rzeźbą Chrystusa Młodzieńca.

Wycieczka ciekawa, przyjemna, udana. Ślady historii, ziemia, zabytki, krajobrazy niespotykane gdzie indziej, całe to bogactwo przeżyć, oderwanie się od codzienności, odprężenie, sprawiło, że nabrałyśmy sił, poznałyśmy się lepiej, zacieśniły więzy przyjaźni. Było cudownie. Przypomniało mi się, że gdy w szkole u nazaretanek siostra Elekta czy siostra Prezepia przynosiły nam do obejrzenia przestrzenne fotografie (i przeglądarki, działające na zasadzie znanej nam z fotoplastykonu), Tosia Andrusz zwierzyła mi się.

– Wiesz, Alu, tak strasznie chciałabym zobaczyć to na własne oczy, tę Ziemię Świętą. A ty?

No, właśnie. Jadę sobie oto poprzez tę ziemię, o której nawet nigdy marzyć nie śmiałam i myślę o moim najdroższym mieście rodzinnym. Ogarnia mnie niewysłowiona nostalgia. A tam może Tosia wraca do dziecięcych marzeń o zwiedzaniu tej ziemi, na której my tu tak bardzo tęsknimy, za swoją.

Po wycieczce trzeba było ze zdwojoną siłą zabrać się do lekcji. Oprócz tego miałyśmy normalne musztry, dyżury, służbę, musiałyśmy wygospodarować czas na pranie, cerowanie pończoch, pisywanie listów. W sobotę, pierwszego

maja, odwiedziłyśmy nasze malaryczki, Irkę Świstunowicz, Ulkę Knizatko i wciąż chorującą Lonię Blok, w angielskim szpitalu numer dziewięćdziesiąt jeden. W niedzielę wybrałyśmy się do nich powtórnie, razem z panią Haneczką.

Trzeciego maja obchodziliśmy Święto Królowej Korony Polskiej, biorąc udział we mszy polowej na rozległym placu obozu w Quastinie, tam też uczestniczyłyśmy w uroczystej defiladzie, uświetniającej święto narodowe – rocznicę Konstytucji Trzeciego Maja. Wracałyśmy autostopem, byle szybciej, bo właśnie dopadłyśmy lekturę pod tytułem *Błogosławieństwo prawdy* (Boyera), zdobyła ją dla nas pani Radwańska i zapowiedziała dyskusję na jutro. Dobrałyśmy się grupkami do wspólnego czytania, w taki sposób, aby objęło i te dziewczęta, które w różnych godzinach pełniły dyżury, czy wartę. Niewiele czasu mogłyśmy poświęcić na przygotowanie koncertu życzeń naszym solenizantom, Oli i Mici, obchodzącym dziewiętnaste urodziny.

Lidka, która była w Ośrodku Organizacyjnym w Gederze, a teraz przyjechała zapisać się do szkoły, została warunkowo przyjęta do naszej klasy. Jeżeli nie zdoła nadrobić wszystkich zaległości do końca roku szkolnego, będzie zdawać po wakacjach. Wspaniała okazja, powinna ją wykorzystać, tym bardziej, że na okres wakacyjny może pożyczyć notatki z poszczególnych przedmiotów. Tymczasem uzgodniłyśmy wspólne odrabianie lekcji i uzupełnianie zaległości w takim zakresie, na jaki czas nam pozwoli, aby nauka ruszyła z miejsca. Wala przeniosła się w drugi kąt baraku, na miejsce Jadzi Jeżewskiej, która po długotrwałej chorobie nie wróciła do szkoły. Lidka ulokowała się tuż obok mnie i zabrałyśmy się do roboty.

Szóstego maja odwiedził nas taternik, alpinista i podróżnik, porucznik Wiktor Ostrowski. Opowiadał nam o wyprawie naukowej, w której uczestniczył, i zdobyciu szczytu Aconcagua (w Andach) o wysokości 6960 metrów, pokrytego lodowcem. Było to w roku 1934. Wspominał także o wyprawie na Kaukaz, odbytej rok później. Wspaniała przygoda. Ciężkie zmagania człowieka z siłami przyrody, aby krok po kroku, pokonując przeszkody, dojść do celu. Wykład przyjęłyśmy z wdzięcznością. Wciąż dużo spraw, o których nie mamy pojęcia. Cudowna jest nasza szkoła, ponieważ stara się nam ubogacić życie.

* * *

Ósmego maja, sobota. Od południa mam służbę podoficera. Otrzymałam szósty list od Wandy, z dwudziestego trzeciego kwietnia, i czternasty od Le-

onidasa. Przeczytałam je od razu i odpisałam podczas służby przy telefonie; od pierwszej w nocy do siódmej rano. Wanda pisała w Wielki Piątek, toteż list pełen jest wspomnień o tradycjach okresu wielkanocnego. Chodiliśmy z rodzicami po lwowskich kościołach, zwiedzając „Boże Groby”, gdzie straż honorową pełnili na zmianę żołnierze, harcerze i strażacy. Jakże inny był klimat tamtych dni. Przedziwne to wszystko. Dni nieraz pełne były cieni i cierni, lecz to sprawy normalne, zwyczajne. Była rodzina, były święta, zwykły dzień powszedni, nasze pory roku, Lwów. Przedwiośnie kaprysiło zmienną pogodą, jednak w powietrzu czuło się już rychłe odejście zimy, prawdziwie śnieżnej i mroźnej, lecz o ileż łagodniejszej od tamtej, wrogiej, stepowej, czy tej, deszczowej. A tam bazię; na ulicach, straganach, w koszach przygodnych handlarzy, w rękach przechodniów i na wystawach, zdobnych w bogate, wielkanocne dekoracje. U Zaleskiego, na Akademickiej, różnymi barwami mieniły się w staniolach czekoladowe baranki, zajączki, kogutki, bieleły baranki cukrowe i marcepanowe, pilnujące koszyczków z czekoladowymi i cukierkowymi pisankami. Höfliner, na Rutkowskiego, proponował pokaźne bloki słodkiej, półsłodkiej i gorzkiej czekolady, którą używało się głównie do robienia tortu *pischingera* z wielkich okrągłych andrutów.

Bracia Święs mieli sklep przy ulicy Rutkowskiego numer siedem, gdzie od lat kupowałam śliczne zeszyty w introligatorskiej oprawie, stu i dwustu-kartkowe i inne przybory szkolne, za co otrzymywałam drobne reklamówki; kątomierz, ekerkę, podział godzin. Edward Zimny, przy Batorego, gdzie towarzyszyłam zaopatrującej się tam Mysze Żurowskiej; równie solidarnie, jak ona mnie u Święsa. Bracia Karmańscy, przy Placu Mariackim; ulubiony sklep Marysi Stankiewicz. Wszystkie te firmy rozkładały na wystawach i ladażach przebogate zbiory kartek świątecznych. Pani Sosinowa zdobiła wystawę wędliniarni (na Halickiej) olbrzymią głową wieprza, rzeźbioną w prasowanym smalcu, otoczoną zwojami przeróżnych kiełbas, kabanosów i szynek, a Kranz, na rogu Krakowskiej i Skarbkowskiej, miał całe pieczone prosię, z jabłkiem w zębach, wylegujące się na półmisku przybranym barwnikiem. Firma „Tlen” mieściła się na Hetmańskiej, w pobliżu kawiarni Wiedeńskiej; sąsiadujący z nią przystanek tramwajowy stanowił miejsce naszych spotkań. Hübner i Winkler (w Rynku) przystrajali swe wystawy zajączkami z mydła, kokoszkami na jajkach (tudzież w koszykach); wszystko w kolorach, opatrzone bogatym asortymentem wód kolońskich na śmigus dyngus, który również należał do tradycji. A Niedziela Palmowa. Przed każdym kościołem harcerze sprzedawali wiązanki gałązek wierzbowych ułożonych w palmy a harcerki

oferowały własnoręcznie wykonywane pisanki. Największym powodzeniem cieszyły się pisanki z wydmuszek, oklejane kolorowymi szmatkami, których spojenia pokrywały złote lub srebrne papierowe paseczki, błyszczące jak staniole. Te – zachwycające różnorodnością deseni – kupowało się w sklepach papierniczych. Od czwartej klasy zrobiłam wiele pisanek, wtajemniczona we wszystkie arkana owej sztuki, zanim jeszcze sama zostałam harcerką. Wanda zabierała mnie „na przyczepkę” na zbiórki zastępu Jaskółek, była tam cudowna drużna – zastępowa – Tosia Thielówna. Zbiórki odbywały się w szkole im. Klementyny Tańskiej – Hoffmanowej, przy Zielonej, gdzie Trzecia Drużyna imienia Romualda Traugutta miała swoją izbę harcerską, w wielkiej sali na drugim piętrze. Niezapomniane to były zbiórki. Śpiewało się piosenki, czytało się odcinkami *Jaskółczym szlakiem* Marii Rodziewiczówny – stąd godło zastępu – potem *Węzeł na chustce*, *Bohaterski miś*, a choć wyznaczony na daną zbiórkę odcinek zawsze zdawał się urywać w najciekawszym miejscu, trzeba było na ciąg dalszy cierpliwie czekać tydzień, co należało do filareckiego ćwiczenia woli; bywały też inne sposoby, wybierane przez same dziewczynki, wszystko zależało od tego, co i w jakim stopniu sprawiało trudność. Jednego tygodnia brałyśmy się za utrzymywanie wszystkich swoich rzeczy we wzorowym porządku, w innym przyzwyczajałyśmy się pomagać mamie „z własnej pilności”, to znów szczególnie solidnie przygotowywałyśmy się do lekcji, z najbardziej nie lubianego przedmiotu. W poczet zadań wpisywało się także codzienne cerowanie pończoch, bo, jak się okazywało, to iście filareckie ćwiczenie woli nie wychodziło nam najlepiej, zatem, jak zwykle, trzeba się było zwrócić do mamy o pomoc. Z wykonanych zadań rozliczałyśmy się „z ręką na sercu”, w myśl drugiego prawa harcerskiego; „Na słowie harcerki polegaj jak na Zawiszy”. Codziennie czyniony rachunek sumienia (z całego dnia), obejmujący także ćwiczenie woli, okazywał się pomocny. Imponowała mi „dorosłość”, którą wpajało harcerstwo, zastęp Jaskółek. Nasz kącik, zdobiony obrazkami, do których własnoręcznie wykonywałyśmy ramki łowickie z pasiaków wyklejanych z kolorowych paseczków glansowanego papieru (ćwiczenie cierpliwości), utrzymany w stylu łowickim, z pięknie wykonaną jaskółką, zdobył pierwsze miejsce w konkursie na kącik zastępów. Drużynowa, drużna Wila Bandurówna, odczytała ten werdykt w raporcie na niedzielnej zbiórce drużyny. Zbiórki odbywały się każdej niedzieli (po rannej mszy) i wypełniały czas do obiadu, latem zwykle poza miastem.

Wracając do nastroju świątecznego i sprzedaży pisanek, nie sposób nie wspomnieć pomysłu Niny. Dyżurowała przy stoisku Trójki, przed katedrą or-

miańską. Wspaniały punkt. Połowa miasta, ta elegancka, schodziła się tutaj na dziesiątkówce. Katedra urzekła surowym pięknem i oryginalnymi freskami Rosena Niepowtarzalny nastrój świątyni, gdzie pełne prostoty, marmurowe ołtarze harmonizowały z kolorystyką fresków, wzbogacały witraże, sącząc kolorowe światło do mrocznego wnętrza. Nic dziwnego, że tak wielu uległo czarowi katedry ormiańskiej. Pod ową świątynią Nina, roześmiana i niezwykle żywa, zobaczywszy, że któraś z koleżanek zrobiła pisanek z wielkiego, gęskiego jaja, opatrzyła je informacją: „Uwaga! Kogucie jajo. Cena 20 groszy”. Wszystkie inne były po dziesięć groszy sztuka, a trzeba przyznać, że piękne.

Ukierunkowane wskazówkami drużyny Tosi, specjalizowałyśmy się w doborze skrawków szmatek, toteż każda pisanek była piękna, świetnie wykonana i różna od pozostałych, nigdy nie robiłyśmy jednakowych. Co do Wandy i mnie, to otrzymywałyśmy co roku sporo skrawków brokatu od pani Żubrowskiej, która z kolei dostawała je od zakonnic szyjących ornaty. Zwykle miałam z nich od czterdziestu do sześćdziesięciu pisanek, dzięki tym brokatom cieszyły się one niemałym powodzeniem. Tym razem stoisko Niny wzbudziło zainteresowanie, dzięki reklamie. Jakiś starszy pan zatrzymał się, szczerze ubawiony. Odczytał również informację, że zysk ze sprzedaży pisanek przeznaczony jest na zorganizowanie letniego krajoznawczego obozu wędrownego harcerek. Następnie zwrócił się zapytaniem:

– Czy mogę pisanek z koguciego jajka nabyć razem z tą kartką?

– Owszem – odpowiedziała z uśmiechem Nina, ale zaraz zrobiło jej się żal całej hecy, więc pośpiesznie dodała.

– Chociaż ta pisanek i ta kartka ściągały do nas od razu tak wielu nabywców, że niech się schowa konkurencja.

– W takim razie czuję się w obowiązku pokryć straty – elegancki pan nie dał Ninie marudzić dalej. – Proszę już mi nie wydawać reszty z tej złotówki. To jest honorarium za pomysłowy chwyt reklamowy!

– Naprawdę? – Nina nie dowierzała, ale nadzieja w jej głosie zabrzmiała tak silnie, że aż się sama roześmiała.

– Uszanowanie, panie profesorze! Brawa dla pana profesora! – Krzyczeli akademicy, kłaniając się czapkami korporacyjnymi.

Wszyscy klaskali radośnie, pisanek zniknęły błyskawicznie, niektórzy wołali na odchodnym – Nie trzeba reszty, nie trzeba – a gdy zabrakło pisanek, rozkupili nawet bazie, które stanowić miały jedynie dekoracje stoiska. Ach, jak to dawno temu. Potem był Wielki Piątek i odwiedzało się przynajmniej ze dwadzieścia najbliższych kościołów, deszczyk siąpił a w domu kończyło się

generalne porządki na wielką skalę, łącznie z przestawianiem mebli, żeby było odświętnie. Wielka Sobota pachniała domową szynką, naszpikowaną goździkami, błyszczała świeżością stołowych sreber, wypolerowanych sidolem, niosła emocje związane ze święceniem jadła. Mama stawiała talerzyk na dużej, białej serwetce, układała na nim chleb, kawałek kiełbasy, trochę chrzanu, ustawiała solniczkę z solą i pieprzem, ozdabiała to wszystko barwnikiem i zawiązywała rogi serwetki. Za pięć dwunasta maszerowałam z tym do pani Grazziadiowej, na drugie piętro (numer 11 A). Tam przez kuchnię i nyżę wprowadzono mnie do pokoju. Pani Grazziadiowa była chora, siedziała w fotelu, panna Alka przyszywała ostatnią gałązkę barwinku dookoła obrusu, panna Andzia wносиła ostatnie przystawki. Stół był zastawiony świątecznymi smakołykami. Na olbrzymim półmisku, otoczona zwojem kiełbas, królowała szynka. Ćwikła, różne chrzany i domowe marynaty wypełniały salaterki, wysokie klosze wznosiły dumnie stopy ciastek ponad niesłodkie pospólstwo. Gdy wybiła dwunasta, zjawiał się ksiądz (oczywiście w asyście), wkładał komżę, odmawiał pacierze, błogosławił stół wielkim kropidłem (także i mój talerzyk, stojący na brzegu), potem rozdawał obrazki. Pani Grazziadiowa zapraszała nas na jeden spośród trzech dni świątecznych, a ja przekazywałam od babci zaproszenie do nas. Jeśli się zdarzyło, iż w takim momencie był w domu pan Tosio, zaczynał grać na fortepianie i to tak pięknie, że nawet księdzu szkoda było odchodzić. Gdy wróciłam ze święconym, już było po dwunastej, wolno było spożywać mięso, więc jedliśmy, i to sporo. Oczywiście zaczynało się od studziny, czyli nóżek na zimno w galarecie, które wujcio Tadzio zawsze kropił octem, a babcia wołała jeść bez chleba. Co roku opowiadała, że jakaś znajoma sprzed lat robiła studzynię na żelatynie. Babcia wciąż miała jej to za złe.

Na rezurekcję szliśmy z rodzicami do kościoła benedyktynek, w późniejszych latach do katedry ormiańskiej na szóstą wieczór; gdy zakończono jej renowację, w 1929 roku. Wujcio Dziunio chodził z Olkiem do kościoła świętego Marcina, na szóstą rano w niedzielę. Gdy wracaliśmy do domu, gdzie oczekiwała nas babcia, drzwi były zamknięte od wewnątrz – na zasuwę w sieni – jedyny raz w roku przed nocą. Mama głośno pukała, chociaż już wcześniej dzwonił przy bramie podwórkowej, słychać było szczekanie Klapsa, następnie dobiegał nas babciny głos:

– A kto tam?

– Chrystus Pan Zmartwychwstał. – Wołała mama. – To my.

– Zmartwychwstałmy i my! – Wołała babcia i odsuwała zasuwę, a Klaps podskakiwał i szczekał radośnie.

Na kolację każdy jadł to, na co miał ochotę. Ja, ma się rozumieć, zabierałam się od razu do ciastek; na stole leżał sernik, cwibak, placek orzechowy z winną konfiturą z agrestu, piernik, makownik, placek kruchy z jabłkami. Nawet w latach, kiedy ojciec nie miał pracy (1931–1935), wszystko było na świątecznym stole. W mniejszych ilościach, mniej bogate w bakalie, czasem oszczędnościowe, ale było. Placek orzechowy pojawiał się każdorazowo do 1928 roku, kiedy to bardzo sroga zima przyczyniła się do zamrożenia naszego olbrzymiego orzecha, pod którym lubiliśmy się bawić, na okalającej go ławeczce.

Przemienęły lata dorabiania się rodziców – przerwane wzrastającym kryzysem i bezrobociem – nastąpiły lata pracy, gdy potrafililiśmy wiązać koniec z końcem, także i te, w których Dżidka otrzymała posadę nauczycielską i zaczęła pomagać mamie, dokupując odzież dla Wandzi i dla mnie. Zdawało się, że najgorsze minęło. Ojciec po trzyletniej pracy w Warszawie, dokąd pojechał „za chlebem”, wrócił w czerwcu 1938 roku do domu, uzyskawszy zatrudnienie w drukarni związkowej. Nadzieja na lepsze jutro zaczęła kiełkować w skołatanym sercu mamy. Jakże złudna. My możemy, mimo tragizmu obecnych czasów, czerpać siły nie tylko ze swej młodości, ale i z tego dzieciństwa, które rodzice starali się wypełnić radością i swobodą, zapewnić nam warunki, jakich sami nigdy nie zaznali; harujący od dziecka, zabiedzeni, obciążeni obowiązkami, często ponad siły i o wiele za wcześnie, zwłaszcza, jeśli chodzi o mamę. Dlaczego nie widziałam tego wtedy, spowita kokonem egocentryzmu i nieuświadomionej szczęśliwości, nieraz skarżąca się na brak zrozumienia? Jak oni teraz przeżywają te dni? Z czego mają czerpać siłę, pozbawieni choćby jednego dobrego słowa od nas, chociażby znaku życia i podziękowania za wszystko.

* * *

Wanda pisze, że odwiedził ją Zdziszek Szmal, który opuścił nasze miasto rok później niż my, zatem mógł wiele opowiedzieć o wydarzeniach tamtego okresu. Niewyczerpany temat. Zakochani we Lwowie przeżywamy chyba coś więcej niż „patriotyzm lokalny”. Makuszyński pisał w *Mlecznej Drodze*. „Miasto, które bez namysłu zedrze ze siebie koszulę ostatnią, aby nią ogrzać zamrożonego i ostatnią łyżką stawy podzieli się z głodnym”. To prawda, tak było we wrześniu 1939 roku. Nocami, mimo bombardowań, już po uszkodzeniu wodociągów miejskich, staliśmy w bardzo długich kolejkach do niewielu studni ulicznych, dźwigali wodę, gotowali zupę, dużo zupy, aby we

dnie nosić ją pełnymi wiadrami na Łyczakowską i inne ważne ulice, którymi maszerowało wojsko, głodne, odcięte od kuchni polowych, pozbawione żywności. Nikt nie wydawał nam żadnych poleceń czy rozkazów. Nie było potrzeby. Po prostu żołnierze szli walczyć, chleba prawie nie było, dzieliliśmy się więc, czym kto mógł. Dawaliśmy im supę. Pijąc maszerowali, a potem przekazywali kubki półlitrowe następnym kolegom. Idąc, pilnowali, aby strawa, darowana z serca, nie ominęła żadnego. A *Mleczna Droga* czytana była przez nas przed wojną; przed tak zwaną drugą. O dawniejszej wtedy mówiło się „wielka wojna”, przed „wielką wojną światową”. Mój Boże, nikt nie wierzył, że po niej nastąpi jeszcze jedna, przewyższająca bestialstwem wszystkie poprzednie. Ileż jeszcze rozpęta ich szanowna ludzkość? A może szatan? Boże, Ty widzisz, a nie grzmisz?

Wanda donosi, że Krysi Bojko już nie ma u saperów i po mój zeszyt z wierszykami, który zapomniałam zabrać z namiotu, będzie się musiała wybrać do miejsca, gdzie Krysia się zatrzymała. Napiszę, że szkoda fatygi. Mało to pamiątek przypadło? Mogę je odtworzyć z pamięci. Układane na zesłaniu, ubogie w formę, wyrażały zazwyczaj tęsknotę. Pisywałam dla siebie, rzadko kiedy pokazałam przyjaciółkom, stanowią najwyżej ilustrację epoki, nic poza tym.

Kolejny list Wanda pisała po świętach, we czwartek, dwudziestego dziewiątego kwietnia, pod wpływem wspomnień wielkanocnych. Stara się podtrzymać mnie na duchu, chociaż sama miewa problemy ze zdrowiem; astma bardzo jej dokucza w irackim klimacie. Jako ciekawostkę podaje, że generał Anders był u nich na świątecznym śniadaniu. Mogła sobie pozwolić na tę wzmiankę, list dotarł okazją, przekazany do rąk własnych. W taki sam sposób podam jej krążący tutaj wierszyk, gdzie mowa o generale. „Do dom droga pójdzie gładko, || Bo prowadzi nas trzech Władków. || Pierwszy: „bywszy” wojewoda. || Drugi: z boku stał, a szkoda! || I ten trzeci: w ranach cały, || Doprowadzą nas do chwały”.

Pani Haneczka, zapytana o autora, orzekła, że to „jakaś domorośla poezja żołnierska”, jednak lapidarność sformułowań wydaje się wskazywać na bardziej wprawione pióro. Dla nas szyfr jest prosty, ale nie wiem, ile przyszłe pokolenia odgadną. Pierwszy, to Władysław Raczkiewicz, od dwudziestego dziewiątego września 1939 roku prezydent Rzeczypospolitej na emigracji. Nam wydawał się bardzo daleki. Drugi, generał Władysław Sikorski, stanowił symbol walki o ojczyznę. Wódz Naczelny. „Im słończko wyżej, tym Sikorski bliżej”. W wojsku śpiewaliśmy o swoim wodzu. „Generał Sikorski, generał Si-

korski, || A z nim żołnierze, my, niezłomni. || Z odwiecznych naszych ziem || Nie damy wrogom nic. || A jeszcze Grunwald im przypomnim”. Jemu też zawdzięczaliśmy porozumienie ze Związkiem Radzieckim, zawarte w sierpniu 1942 roku, na którego podstawie utworzono wojsko z Polaków specjalnie zwolnionych z więzień, łagrów i zesłania, rozsianych po całym terenie ZSRR. Ten trzeci, według licznych relacji sześciokrotnie ranny, był dla nas niemal współczesnym Mojżeszem, który lud swój wywiódł z domu niewoli. Nie śpiewaliśmy o nim piosenek, ale większość z nas już uczestniczyła w jakimś spotkaniu z naszym generałem, obserwowała tę rzeczywiście generalską postawę, z przejęciem wysłuchiwała przemówienia, którego nie da się zapomnieć.

* * *

Kiedy Lidka wstąpiła do szkoły, ja byłam bardzo zajęta. Obiecałam jej pomoc w nadrabianiu zaległości i pożyczyłam swoje, raczej dokładne, notatki z wykładów. Niestety nie zawsze mogła je odszyfrować, bo tu i ówdzie moje literki biegły sznureczkiem, układając się w trzy rzędy pomiędzy dwiema zeszytowymi linijkami. Ja odcyfrowywałam je bez trudu, a ponieważ często jednym słowem sygnalizowałam przykład, czułam się zobowiązana dopowiadać. Zdawało mi się nieraz, że Lidka obserwuje mnie spod oka, co obrazowałam sobie w myślach „wykrzyknikiem w nawiasie”, wiedząc, że zainteresowanie moją osobą wynika z siostrzanej troskliwości o Włodka, bowiem wiedziała, że się przyjaźnimy, a znała mnie krótko. Czasami ulegała zadumie, nie była w stanie skoncentrować myśli. Nie chciała uwierzyć, że wszystkie tak zaczynałyśmy, wpadała w panikę; nie da sobie rady, nie podoła, musi zrezygnować. Staralam się natchnąć ją optymizmem, co mi się czasem udawało, niestety nie na długo. Podjęła naukę o dwa miesiące później niż my, peszyła się zestawiając swoje braki z naszymi wiadomościami. Zazwyczaj w sobotę po pracowitym, pewnie zbyt męczącym tygodniu, wybiegała tuż po lekcjach, bez obiadu, i pędziła do Tel Avivie, by nieco odsapnąć u ojca. Zapowiadała, że wróci wczesnym rankiem, toteż planowałyśmy na ten dzień wspólne, spokojne lekcje, jednak przeważnie wracała dopiero na niedzielną kolację, a kiedy i na nią się spóźniała, posiłek przynosiłam do baraku. Żał mi było Lidki. Wiedziałam, że martwi się o matkę. A ponieważ była bardzo skryta, nie chciałam się narzucać. Moja pomoc ograniczała się do koleżeńskich lekcji, poza tym nie wiedziałam, czy zdołałabym jej w czymś poradzić. W Urdzarze była rozśpiewana i pogodna, choć zdawała sobie sprawę, w jakiej nędzy żyje jej rodzina. Tutaj ojciec opiekował się nią, jak mógł, była w PSWK, utrzymy-

wała kontakt z braćmi, ale wydawała mi się ciągle przygnębiona, ledwie nadrabiająca miną, zagubiona.

We czwartek, trzynastego maja, przyjechała Irka Prokopczyc, której matka zmarła dwa lata temu w Tiki Bułak. Irka jest młodsza ode mnie o trzy, może cztery lata. Gdy wyruszała do wojska, zostawiła swego braciszka, Wiesia, pod opieką cioci. Jest chudziutka jak patyczek, wysoka. Żywa i dowcipna, bystra i inteligentna, toteż całym sercem cieszyłam się z jej odkomenderowania do szkoły, pewna, że wykorzysta szansę. Myślałam, że przyszła do mnie na pogaduszki, tymczasem oznajmiła, iż ma ważny interes. Z triumfem wyciągnęła z największej, spośród ośmiu mundurowych, kieszeni list dla mnie od Wandzi, zegarek i cztery denary irackie; odpowiednik czterech funtów palestyńskich. List pisany był piątego maja. Wandzia otrzymała nowy zegarek – dopłacając – za mój, ten, który kupiłam w Teheranie, gdy po trzymiesięcznym pobycie w szpitalu bez pełnego żołądu, otrzymałam wyrównanie. W Kaneguinie zaniósłam go do naprawy, jednak właśnie wyjeżdżałam do Palestyny, toteż poprosiłam Wandę, aby go w moim imieniu odebrała. Moja siostra zdecydowała się, po naradzie z zegarmistrzem, na lepszy, szwajcarski zegarek – *titus* – robiony na wzór *tissota*. Denary pochodzą w połowie od niej, w połowie zaś od jej więziennej koleżanki, Wiki Nazorek, która jako porucznik otrzymuje wysoką gażę i uparła się, że „musi sprawić małą przyjemność nieznannej siostrzyczce Wandzi”. Na koniec Irka wyciągnęła mój zeszyt z wierszykami, bardzo ciekawa, co to takiego, ale ponieważ nie zapytała Wandy o pozwolenie, nie czuła się upoważniona do obejrzenia. Teraz otrzymała moją zgodę. Koleżanki, uradowane moim niespodziewanym bogactwem, zorganizowały naradę i jednomyślnie zadecydowały, że tak poważna kwota nie może być rozmieniona na drobne. Oszacowano, że wystarczy na lekkie sandałki, które obowiązkowo muszą sobie kupić. Przeważnie każda z nich już takie miała, dzięki funduszom otrzymywanym od bliskich. W gorące lato palestyńskie fasowane półbuty angielskie odparzały nogi. Pozwalano nosić prywatne skarpetki koloru *khaki* (na jedwabne pończochy), jeśli się nie maszerowało kolumną, bo wówczas obowiązywały fasowane: *khaki*, fildekosowe. Ku naszej radości otrzymałyśmy także zgodę na używanie prywatnego obuwia; angielskie buty były cięższe. Iga Zemanek wykonała moją podobiznę, na której ważnym elementem, rzecz jasna, był widniejący na mojej ręce zegarek, oczywiście podpisany, aby nikt nie miał wątpliwości. Błada i dumna zachowałam dowód jej talentu i mojego bogactwa na pamiątkę.

Na lato wydano nam lżejsze, jasne, drelichowe mundury, z frenczem o krót-

kim rękawie i spódniczką, nieco rozszerzoną u dołu. Już nie prażyłyśmy się w tamtych ciemnych, wełnianych. Oprócz trzech popelinowych jasnych koszul mundurowych miałyśmy, każda, jedną z tropiku, bardzo tę lubiłyśmy, gdyż była przewiewna i wyposażona w czerwone guziczki. Do munduru obowiązywał pas skórzany. Przydziałowy okazywał się zbyt ciężki, gruby i twardy, pozwalano więc kupić lżejszy, ze skóry, toteż zdobyłam się na to. Od czasu do czasu kupowałam chusteczki do nosa (tego się nie fasowało) i skarpetki; na tym kończyła się lista prywatnego wyposażenia, które mnie satysfakcjonowało. Dekadówki wydawałam głównie na wycieczki, fotografie, zeszyty, atrament oraz pastę do butów tudzież do zębów. Mydło nam dawano. W okresie przedmaturalnym częściej wydawałam na pranie; z powodu braku czasu.

* * *

Miałam zamiar pisać o szkole, lecz tyle myśli się narzuca, całe życie jest powiązane rozmaitymi wydarzeniami; jedno się wspomina, a drugie z tym wiąże, tak to się plecie. Szkoła żyje własnym rytmem i tętni naszymi sercami. Jesteśmy w niej częsteczkami bytu, uczestniczącymi w niezwykłym biegu zdarzeń. Bardzo subiektywnie przeżywamy każdą chwilę, oddalone od wielu ważnych spraw, od których zależy powszedni dzień. Część owych spraw widzimy wąsko, jakby ze swojego podwórka. Ale i nasze problemy, doznania włączają się w przeogromną mozaikę życia na emigracji. Rozumiemy ciężar gatunkowy owego pojęcia. W wielonarodowościowym zbiorowisku ludzi, często różniących się rasą, nosimy na mundurach nazwę naszego kraju – *Poland*, a na furażerkach orzelki. Zostałyśmy „podpisane”, bez ustanku się prezentujemy. Nie jesteśmy ani przez moment osobami prywatnymi, zresztą nie mamy cywilnej odzieży, która miałaby szanse stworzyć takie złudzenie. Skoszarowane, nie mamy okazji odsapnąć w ciszy, w samotności. Czasem bywa to nader uciążliwe, ale czyż mamy prawo grymasić? Po tamtych latach życia „na kupie”, spania na gołej glinie, dobrze wiemy, że ów pobyt w szkole jest niebywałym szczęściem, wprost błogosławieństwem losu. Niezależnie od zbiorowych przeżyć i doznań, poglądów i przekonań, podlegamy osobistym nastrojom, wspomnieniom, tęsknotom, z którymi musimy się parć. Trudno o nich zapomnieć. Nasze myśli bronią się przed skrajną nostalgią, bywają jej wynikiem; owa świadomość niczego wszakże nie zmienia. Musimy mieć siłę, aby wytrwać. Wszystko jest podporządkowane nadziei powrotu a to, co tu się dzieje, ma nas przygotować do pracy w kraju, za którym bardzo tęsknimy. To jest nasza nadzieja, nasz cel, ratunek. A kiedy wrócimy, powinniśmy coś ze

sobą przywieźć, zaprezentować wartości. Przekonanie takie żyje w naszych sercach, w nim szukamy oparcia.

Istnieje tylko jeden mankament. Te wszystkie, jak najbardziej szczerze przeświadczenia, którymi się żyje, wydają się bardzo pompatyczne. Jak gdyby prosto z serca zostały wydarte na poniewierkę słowną. Grozi im podejrzenie o patos, nabierają wyglądu wyświechtanej monety obiegowej, niczym propaganda z wiadomego okresu. A przecież tym nie są. Jak to wszystko wyrazić? Juliusz Słowacki miał rację. „Język myślom kłamie”. Cóż poradzić?

* * *

Sobota, piętnasty maja 1943 roku. Minął tydzień repetycji. Miałyśmy dodatkowe lekcje popołudniowe, a później był kłopot z normalnym, lecz niedozwolonym „dokszałcaniem się” po capstrzyku.

– Patrzenie! Stasia Spólnik niesie żelazko. – Wykrzyknęła niespodziewanie Siolo, poruszona do żywego.

Sala lekcyjna przeobraziła się w prasownię. Na jedyny, profesorsko uczniowski stół wjechały koce i zanim żelazko poszło w ruch, ustalono listę chętnych. W klasie odbywało się prasowanie, a w sypialni szorowanie podłogi, Każda czyściła po kawalku prywatne „obejście”, które mimo szumnej nazwy ograniczało się do własnego łóżka. Tak. Sobotnie popołudnie jest wspaniałe. Nazywają je angielską sobotą, chociaż u nas występuje w wersji skróconej, od obiadu. Nawet owo kłopotliwe szorowanie stanowi oderwanie od wzorów, słówek oraz odprężenie dla zmęczonych umysłów. Jest też trochę czasu na zajęcie się garderobą, która zawsze musi być „na medal”, znajdzie się czas na wyjście do miasta po sprawunki lub na spacer, na pisanie listów, pogaduszki, słowem wypoczynek. Czasem w sobotę dostajemy puszkę skondensowanego, słodkiego mleka, jedną na dwie osoby. Ten przysmak zjadamy uroczyście, wkładając do mleka ząbki pomarańczy. Delektujemy się ze wzruszeniem, od kiedy któraś porównała go z poziomkami ze śmietaną. Czasem szarpniemy się na loda za dziesięć *milsów*; kosztem dziesięciu pomarańczy. Lodziarz często czeka ze swym towarem przy drodze do baraku – jadalni, narażając na pokusę nasze podniebienia a na szwank kieszenie. Sobotnia poobiednia cisza przestrzegana bywa mniej rygorystyczne. Towarzystwo rozłazi się po umywalkach i prysznicach (od razu po obiedzie), gdyż w ciągu tygodnia naprawdę brak czasu na pranie. Prześcieradła i fasowane, grube, ciężkie, ręczniki oddajemy do pralni, gdzie Arabowie (tylko mężczyźni) piorą je, całkiem porządnie, za niewielką opłatą i szybko. Na sobotnie popołudnie można dostać notatki ko-

leżanki, aby uzupełnić swoje, jeśli się na przykład miało służbę w czasie lekcji, albo było na warcie, czy u dentysty. Może się nawet trafić okazja wypożyczenia polskiej książki, co w każdy inny dzień jest całkowicie wykluczone bez planowanych kolejek i przemyślnych zabiegów. Ta sobota była wyjątkowo uroczysta. Imieniny Zofii. Mamy Zosię Grudzińską, podobną do Królowy Śnieżki, wysoka, szczupła brunetka o cerze kości słoniowej, pogodna, bardzo fajna. Uraczona przez nas całym zasobem życzeń i repertuarem piosenek, odmaszerowała do swojej mamy, która nam wszystkim po trosze matkuje, zarówno służbowo, jako pielęgniarka szkolna, jak i prywatnie, jako Mama Grudzińska. Późnym popołudniem zrobiło się bardzo cicho. Nasze miłe współmieszkanki z drugiej licealnej, którym przy najlepszych chęciach nikt nie mógłby zarzucić, że są ciche i spokojnego serca, tym razem znikły z baraku zaraz po obiedzie, przeniosły się do baraku lekcyjnego, by celebrować imieniny Zofii. Parę naszych również wyszło, reszta krzątała się cicho, nie wadząc nikomu, rozkoszując się spokojem i możliwością wykorzystania czasu wolnego. Cudowny był ten wypoczynek. Napisałam list do siostry, znalazłam chwilę na poczytanie ulubionych wierszy, przepisywanych podczas pobytu w szpitalu w Teheranie.

* * *

Było już po kolacji, kiedy wpadła roześmiana druga licealna z imieniem Zofii. Dziewczyny wleciały hurmem od strony naszej niby sali lekcyjnej, ze śpiewem na ustach, tym bardziej oryginalnym, że każdy poszczególny głos wyśpiewywał inną piosenkę tak, aby inne nie zdołały jej zagłuszyć. Pospolicie nazywa się to kocią muzyką, ale gdzież taka zwyczajna nazwa jest w stanie oddać cały kunszt owego arcydzieła. Najpierw usłyszałyśmy Dundę Jakubską. *Mare eats oats does eat oats || And little lambs eat ivy || A kid 'll eat ivy, too || Wouldn't you?* (Kobyły jedzą owies, jedzą owies, || A jagniątka jedzą bluszcz || Koziółek też będzie jadł bluszcz || Czy ty nie zjadłbyś też?)

To była jej ulubiona piosenka. Irka Świstunowicz w takt „osiołka” zawzięcie stepowała, wyrzucając ramiona na wszystkie strony świata, co razem ze stukotem podkówek przypominało styl Freda Astaire’a. Niezwykle wysoka Danka Oktawiec, przedrzeźniając junaczki, zaintonowała głośno ich ulubioną piosenkę *Zielony mundur mieć*.

- Te! Dziewcząt kwiat, bądźcie cicho! – Zawołała Alina.
- Dawajcie *Hiszpankę!*
- *Hiszpanka, Hiszpanka* – wołano bijąc brawo.
- Dziewczaki, nie macie pojęcia...

– Zielonego pojęcia...

– Jak Luna świetnie odstawia *Hiszpankę*.

Zbiegłyśmy się wszystkie z sypialnej części baraku do naszej klasy. Stół odsunięto, niektóre uznały go za galerię. Ławy poszły pod ścianę. Rozsunęłyśmy się wokół, zostawiając wolny środek sali, niczym ring, Luninym popisom. Ona zaś zawyrokowała, że musi się nieco roznegliżować, jak to tancerki mają w zwyczaju. Gdy jednak została w samym fasowanym staniczku różowym i w fasowanych majtach (ciemny *kbaki*), lśniąco jedwabnych i długich niemal do kolan, stwierdziła, że przydałaby się kiecka, „do machania”. Za takową posłużyła popelinowa koszula, której rękawy zawiązała wokół niezbyt wiotkiej kibici. Wtedy przybrała postawę godną toreadora i gromkim głosem zaintonowała. „Jestem Hiszpanka. Z Madrytu”. Chór maturzystek podchwycił. „Hiszpańska we mnie wre krew”. Luna przytupnęła kilkakrotnie i dalej popłynął wspólny śpiew tancerki i chóru. „Tańczę od zmierzchu, do świtu, || Uwielbiam taniec i śpiew”. Rozpoczął się taniec. O, niezrównany widoku! O, nasze, dawne wyobrażenia o wyglądzie, urodzie i tańcu Hiszpanek. Gdzie wam się równać z Luną. Niezwykle energiczna tancerka była „krótka wzdłuż” a „długa wszerz”, o kształtach nie tyle kulistych, ile raczej przypominających dorodną dynię. Na brak sadła absolutnie nie mogła się uskarżać, w żadnym miejscu. Zresztą, jak my wszystkie, solidnie odkarmiane. Potężnie, grube i krótkie nóżki, ujęte u dołu w jasne skarpetki a u góry w wąskie i długie nogawki fasowanych majtów (nad nimi powiewała niby kiecka), wytańcowywały jakieś dziwne ni to baletowe piruety, ni to prysyudy huculskie czy zbójnickie, coś pośredniego między hopakiem, włoską *tarantellą*, kankanem a niepojętym wirowaniem potępieńca tudzież tańcem świętego Wita. Ręce wdzięcznie machały prowizoryczną szatką, skąpo okalając nadobną kibicę, to znów strzelały palcami, niczym kastaniety, albo wachlowały różowitką twarzyczkę o bladoniebieskich oczkach, błogich i szczęśliwych. Jasne, krótkie włosy, trochę kręcone i rozwichrzzone, wyglądały jak postrzępiona aureola nad roześmianą buzią naszej „słowiańskiej Hiszpanki”. Dosłownie wyłyśmy z radości, pilnie śledząc taniec, będący dowodem talentu oraz inwencji twórczej naszej artystki. Luna, oblizawszy wargi, przyszła z pomocą chórowi, skutecznie zagłuszając śpiewaczki. „Mam temperament go-rą-ą-cy. || Cnotę zgubiłam niechcący”. Śpiewała z niesłychaną werwą i przekonaniem właściwym wielkim artystom. Cudnie wcieliła się w rolę, a my chichotałyśmy nieposkromione, zaskoczone widokiem oniemiałej ze zdziwienia i zachwytu pani Haneczki. Ta weszła niezauważona i oto stała na palcach, zaglądając po-

nad głowami dziewcząt stojących obok drzwi, pilnie obserwując taniec Bogu ducha winnej Hiszpanki. Współ z panią Haneczką popłakałyśmy się ze śmiechu, gdy artystyczny zapał tancerki nagle zamarł w połowie, pełnego ferworu gestu, a ta osłupiała w dziwacznej pozie, urzawszy, kto z nami dzieli głośną, spontaniczną radość.

– Wiecie, Hiszpanka, to było coś. – Opowiadałyśmy tym, które za późno wróciły z przepustek.

– Tak, ale wejście pani Haneczki to był dopiero gwóźdź programu.

* * *

Niedziela przypomniała nam o nadchodzącej, całotygodniowej pracy. Rano nie było gimnastyki. Po śniadaniu msza, zależnie od pogody, połowa albo w baraku kaplicy, z egzortą księdza, który po swojemu stara się pomóc dziewczęcej braci żołnierskiej. W obozowym kinie tym razem był film z Shirley Temple *Mały buntownik*. Muszę przyznać, że główna bohaterka faktycznie była uroczym dzieckiem. Po południu skryłam się w błogosławiony cień dostojnych i wysokich rycynusów, rosnących na terenie obozu, z zamiarem odrabiania lekcji. Niestety skończyło się na paru wierszykach, myśli wciąż miewają skłonność do błędzenia po różnorodnych rewirach. Potem dołączyła do mnie Lonia, z którą i porozmawiać można i odpocząć w milczeniu. Jest w niej jakiś cichy spokój, jakby pogodziła się ze swym losem. Poza tym osłabienie, będące skutkiem długotrwałej choroby, daje o sobie znać.

Na siedemnastego maja (poniedziałek) wypadła mi obowiązkowa wizyta u dentysty, jak zwykle w czasie lekcji języka angielskiego. Musiałam pójść. Do Wandy skleciłam list po angielsku, aby zobaczyła, że staram się, jak mogę. Dałam go Oleńce do korekty. Wanda cieszy się z moich postępów, chociaż w angielskim jest znacznie bardziej zaawansowana ode mnie. Po lekcjach czułam się okropnie, toteż zdecydowałam się skorzystać z cienia i kojącej ciszy, jaką oferowały rycynusy. Tym razem – na odmianę – usnęłam nad otwartym zeszytem. Obudziły mnie tak silne dreszcze, że od razu zrozumiałam, co się święci; atak malarii. A miałam z nią spokój od kilku miesięcy. Natychmiast powlokłam się na izbę chorych, do pani doktor Duczymińskiej. Niestety, chorym nie wolno pozostawać na terenie obozu. Zostałam odesłana do angielskiego szpitala polowego numer 91. Przesłano samochód, znalazłam się na oddziale malarycznym, zakwaterowano mnie w namiocie numer 20, długim namiocie angielskim, który współtworzył zespół szpitalny. Ataki, bardzo silne, dukały mi długi okres. Wieczorami, po uprzykrzonych i długotrwałych dresz-

czach, temperatura sięgała czterdziestu stopni Celsjusza, rankiem opadała nawet do trzydziestu dwóch stopni. Byłam okropnie osłabiona, czułam się jak „wyluta żaba”. Wielką trudność sprawiało mi stanie obok nocnej szafki podczas inspekcji angielskiego ordynatora. Pielęgniarki nie uwzględniały wyjątków, nasze nieśmiałe protesty czy tłumaczenia kwitowały stereotypowym „*That’s against King’s Regulations*”; to jest wbrew Królewskiemu Regulaminowi. Zdaje się, że w ich przekonaniu taka odpowiedź powinna rozstrzygnąć każdą kwestię. Nawet gdy któraś z pacjentek zemdląca, cuczyła ją pośpiesznie, by lekarz zastał podopieczną w postawie stojącej, chociażby w utrzymaniu takowej musiały pomóc koleżanki. Chora płakała, doktor uprzejmie pytał, jak się czuje, wysłuchał relacji o omdleniu, wydał stosowne dyspozycje, kazał ją położyć „niezwłocznie” do łóżka, gdy tylko skończy się inspekcja; co pielęgniarki uczyniły. *Nota bene* swoje obowiązki realizowały z precyzją automatów, krzając się według szczegółowo rozplanowanego zakresu zadań. Jedna mierzyła temperaturę, dwie inne poprawiały łóżka, aby koce nie wystawały poza materac, kolejna para zajmowała się roznoszeniem jedzenia i karmieniem pacjentów. Żadna nie była w stanie wykonać najdrobniejszej czynności wykraczającej poza zakres przewidzianych obowiązków. W razie potrzeby biegła po kompetentną koleżankę.

W sobotę odwiedziły mnie Oleńka, Micia, Krzysztofa, przyniosły listy z poczty polowej. Dwudziestego ósmego maja przywieziono Irkę Prokopczyc, która lamentowała nad stratą tygodni lekcyjnych. Nie dziwiłyśmy się jej, jako nowa uczennica była w gorszej sytuacji niż my. W następną sobotę wpadły Wala i Helenka Luro z listem od Wandy i Mici, a w poniedziałek pani Haneczka. Ze szkoły było w szpitalu kilka dziewcząt, z mojej klasy tylko ja.

Z początkiem czerwca ktoś mi pożyczył *Quo vadis* Henryka Sienkiewicza, dorwałam też *Trylogię*. Jak wspaniałą sprawą jest książka polska w szpitalu, nie muszę tłumaczyć. A zwłaszcza powieść pisana „ku pokrzepieniu serc”.

Wróciłam do szkoły piątego czerwca. Ucieszyłam się z listów; aż siedem. Wśród nich niespodzianka, list od Włodka, o którym wiem, że bardzo nie lubi pisać. To list czwarty, z bardzo miłą fotografią nadawcy. Od Leonidasa zaś dwudziesty i dwudziesty pierwszy. Pozostałe od koleżanek.

Po południu całą klasą wybrałyśmy się do miasta, by w kolorze obejrzieć Noc w Rio, ze słynną obsadą, Don Amanche, Alicja Fay, ekscentryczna Carmen Miranda. Odprężyłam się, jednak zamiast spokojnego snu czekała mnie noc koszmarna. Nie skutkowały żadne proszki, wszak dopiero co odrabiałam lekcje. Po obiedzie zaszyłam się w rycynusy, aby czytać notatki Mici (z czasu mo-

jej nieobecności w szkole), lecz niewiele rozumiałam. Wieczorem poszłam z koleżankami do obozowego kina, na co nie musiały mnie zbyt długo namawiać, gdyż wyświetlano film z Dean Durbin; jeden z tych, które grano w Polsce przed wojną, a którego nie zdążyłam obejrzieć, *Ich stu i ona jedna*; komedia muzyczna. Noc, mimo to, znowu koszmar, wskutek zagadkowego fetoru.

– Ki diabeł? – Zastanawiałam się, zrozpaczona, kompletnie odurzona, nieprzytomna wskutek bólu głowy.

Diabeł okazał się Blanszетка. Nasza ulubienica była nie mniej groźna, wprost nieposkromiona. Jako małe kociątko przyniosła ją litościwa Krysia Andrzejewska. Chował się kociak w baraku – a, niech tam – nikt nic nie miał przeciwko temu. Do czasu, bo oto właśnie wróciłam, schorowana, ze szpitala. Męczyłam się dniami i nocami, a tu nagle widzę, że bestia maszeruje prosto pod moje łóżko. Tam się załatwia. Niewinne kociątko.

– Ludzie, ratujcie! – Wrzasnęłam i rzuciłam się na kota. – Ach, ty paskudniku, świni, niegodziwcze! – Krzyczałam, aż się dziewczęta zerwały. – A, masz! A, masz!

Wpadłam w furję. Ryczałam jak opętana, płakałam, wściekła na kota, na szpital, na malarię, że mnie znów powaliła, na moją czasową nieobecność w szkole i na jej skutki, także na koleżanki, które rzuciły się na ratunek kotu, nie mnie. Zaskoczył mnie i jednocześnie zasmucił ów wybuch szewskiej pasji. Nigdy bym siebie o coś podobnego nie podejrzewała. Tłumiłam wstyd, kontynuując w myślach walkę z obrończyniami kotka. Dopiero na kolację wróciłam do baraku, gdzie zastałam wiele wyrozumiałych i bardzo koleżeńskich istot, usiłujących zaradzić okropnemu stanowi desek podłogowych, znajdujących się pod moim wyrkiem. Byłam zmęczona, nie padło ani jedno słowo na temat niesympatycznej przygody.

Nazajutrz nie mniej strasznie. Z powodu chininy dostałam szoku. Położono mnie w izbie chorych. Pani doktor Duczyńska i „mama Grudzińska” otoczyły mnie serdeczną opieką, a koleżanki, niepomne kocich awantur, odwiedzały co dzień; również pani Haneczka. Po kilku dniach przyszedłam do siebie.

* * *

Dziewiąty czerwca, środa. Wanda donosi (w liście z dwudziestego siódmego maja), że chora na żółtaczkę zakaźną i leży w szpitalu. Drugi raz w tym roku. Czy zniesie to jej organizm? Na żółtaczkę i na malarię ludzie ginęli jak muchy. Co do malarii – jest trochę lepiej – nasze dziewczęta wracają ze szpitala, śmiertelnych wypadków raczej już się nie notuje. Jak to jest z żółtaczką, nie wiem. Wanda nie czuła się dobrze, skoro pisała dopiero po dziesięciu

dniach choroby; nie mogła się zdobyć na list. Rozumiem to. Do szpitala, jak się okazuje, trafiła dzień później ode mnie. Ja spotkałam w swoim szpitalu Lale Kowalską, koleżankę z liceum pedagogicznego. Teraz Lala stara się dostać do naszej szkoły i ma z tym wiele trudności. Bardzo bym chciała, aby jej starania zostały uwieńczone sukcesem. Zasluguje na to. Wanda stara się o wysłanie paczki żywnościowej do kraju, dla Dzikki. Dowiedziała się od Wiki, że wpłaca się określoną kwotę do Biura Opieki nad Rodzinami Wojskowymi, oni tam wszystko załatwiają za pośrednictwem Czerwonego Krzyża. Wika już dostała od rodziny podziękowanie za otrzymaną paczkę. To świetnie, jeżeli tylko okupant nie będzie się mścił na tych, którzy mają swe rodziny za granicą. Niestety, za to nikt ręczyć nie może. Sama nie wiem, co radzić. Paczka byłaby dla Dzikki nie tylko pomocą materialną, ale także dowodem, że żyjemy. Równocześnie może wyjść na jaw, że dziewczyna ma kogoś za granicą, co mogłoby być powodem represji ze strony okupanta. Nieraz ze strachem myślę o tym swoim liście, wysłanym na blankiecie Czerwonego Krzyża ze szpitala w Teheranie, czy nie stał się przysłowiową niedźwiedzią przysługą. Ileż to już miesięcy minęło, a żadnej odpowiedzi nie ma. Co prawda, wiele razy zmieniałam miejsce postoju, pewnie takiego nadawcę odnaleźć niełatwo. Gubi się człowiek w domysłach, ale pewnie Wanda będzie starała się zdobyć tyle informacji na temat łączności z krajem, ile możliwe, mimo że obecnie nie można być niczego pewnym. Tymczasem siostra powiada mi o naszych koleżankach i kolegach, że spośród wszystkich sympatyzujących ze sobą przez ostatnie dwa lata par tylko Ninia z Władziem pobrali się. Właściwie to oni byli najstarsi, chyba się nie mylę. Reszta jakoś się rozeszła, jak Hanka z Jurkiem, Irena z Mietkiem, albo Lidka z Wackiem. To smutne. A było tak romantycznie, wzruszająco. Pierścionki zaręczynowe, plecione z trawy i rycerski chłopiec, niemal dzieciuch, opiekujący się młodszą i słabszą koleżanką. Pomagał jej, wyręczał w harówce, nie szczędził sił ani wyrzeczeń. I ta jej wdzięczność, pełna podziwu, przeradająca się w przyjaźń, uwielbienie. A potem ona poznaje tylu innych wspaniałych chłopców, którzy zgłosili się, by walczyć za Polskę, a że sama musiała wydorosnąć, pozbawiona matczynej opieki, zapomniała o tamtych pierwszych uniesieniach. Wanda jest przekonana, że to wynika z chęci zapomnienia o wszystkim, co wiąże się z bardzo ciężkim, kazachstańskim okresem naszego życia. Mnie raczej się zdaje, że ci nasi chłopcy, po kilkumiesięcznej rozłące, wobec konfrontacji ze starszymi, poznanymi później w wojsku, wydali się dziewczętom dziecinni, mimo ich wzruszającej wierności. Może brakło im jakiegoś powabu nowości, bo mieszkając najczęściej pod

jednym dachem przez tamte lata, znali się na wylot, niczego już w sobie nie odkrywali, wiedzieli o sobie wszystko. I tak działo się z tymi, którzy wspólnie harowali latem, przetrwali bezrobotne, beczynne zimy, zagrzebani w śniegu, pod jednym dachem ciasnej, zimnej i ciemnej lepianki. Sądzę, że dziewczęta bezwiednie pragną, aby ten wybrany czymś im imponował; to zwiększa ich szacunek do człowieka, jest ważne, potrzebne, a chyba też i bardzo ludzkie. Szuka się oparcia w kimś, kto jest silniejszy, bardziej doświadczony życiowo, mądrzejszy, oprócz zaufania chciałoby się mieć opiekę i ochronę. Tylko czy to jest realne, zwłaszcza podczas wojny? Złudzenie. Ale liczy się przyszłość prawdziwa, to znaczy powojenna. Czekamy właśnie na nią. Zdaje się, że trochę rozumiem, o co tym dziewczętom chodzi. I chyba ostateczne, gdy się nad tym zastanowić, trudno mieć im to za złe. Uczciwie mówią. „Nie, to nie to”. Może i szkoda, ale serce nie służy i nikt nie może na to nic poradzić. Z drugiej strony rozumiem zawód tych chłopców, prawie dzieciaków do niedawna. Przykro, że nie szczędzą teraz gorzkich słów, jak na przykład ów, który stwierdził. „Byłem dobry, gdy nie było innych, zwłaszcza do pomocy. A teraz niepotrzebni mogą odejść”. Chyba tamte uczucia wybuchały przedwcześnie. Dlatego nie wytrzymały próby czasu. A zresztą, czy ja wiem?

W Iraku są już tak straszne upały, że Wandy tygodniami prawie nikt nie odwiedza w szpitalu. Godziny wizyt ustalono na czas przerwy obiadowej, kiedy się leży i ledwie dyszy w otwartych namiotach, pod płachtą rozpaloną słońcem. Czasem zjawia się Zdziszek Szmaj, Wacek Blicharski (późnym popołudniem), rzadko ktoś inny, bo ta kamienista pustynia, żarząca słońcem, daje się mocno we znaki. Najczęściej Wanda widuje Mietka Freudenbergera, który pracuje w szpitalu. Znam Mietka ze swego pobytu w szpitalu meczecie (Guzar, maj 1942 roku), gdzie pracował w izbie przyjęć jako tak zwana siła biurowa. Mietek pochodził z Brodów, skąd w maju 1939 roku, tuż po maturze, pojechał na obóz przysposobienia wojskowego, obowiązujący wówczas absolwentów liceum. Stamtąd trafił do niewoli (we wrześniu), w rezultacie znalazł się na Dalekim Wschodzie; stracił jedno oko, pracując w kopalni złota. O tym dowiedziałam się od Wandy Szamraj. W Wojsku Polskim miał obniżoną kategorię zdrowia, ale nie widział dla siebie miejsca w cywilu i zakotwiczył w szpitalu. Jest świetnym kolegą i fantastycznym chłopcem. Moje kontakty z Mietkiem wiążą się również z pobytami w szpitalu (w Guzarze, w budynku szkoły), gdzie mieścił się oddział zakaźny. Tam właśnie leżałam z Wandą Szamraj, obie chorowałyśmy na czerwonkę. Wieczorami, gdy już słońce zachodziło, wychodziłyśmy na podwórko, aby odetchnąć świeżym

powietrzem przed czekającą nas męką nocy. Wtedy właśnie Mietek przynosił czasem książkę, wypożyczoną gdzieś dla nas i zatrzymywał się, by rozmawiać. Kiedy nie było żadnych dobrych wieści, ani innej możliwości przyniesienia ulgi chorym, cichutko śpiewał. Pamiętam, śpiewał kołysankę, której nigdzie i nigdy później nie słyszałam. Myślałam, że wspomina matkę, która nic o nim nie wie i tylko modli się, aby wrócił zdrow i cały. Oto tekst tej żołnierskiej kołysanki. „Śpij syneczku, śpij sokole! | | Jutro wyruszysz w pole | | Na krwawą walkę, na bój. | | A ja się będę modliła, | | Żebyś cię nie straciła | | Aj, luli, luli synku mój. | | Śpij, syneczku, mój żołnierzu, | | Twoi koledzy tu leżą. | | Będziesz spokojny już tu. | | Na grób ci krzyżyk dali | | Virtuti militari | | Aj, luli, luli, synku mój”.

Zwykle wygrzebywał z pamięci jakiś dowcip, opowiadał nam go na dobranoc i odchodził w ciemniejący wieczór czerwcowy, a może i we własną udrękę, której nikt się nie domyślał, gdyż zawsze wnosił wiele pogody ducha i prostej koleżeńskości.

* * *

12.06.1943. Sobota; przed Zielonymi Świątami.

Szalenie lubimy Teatr Żołnierza i Czołówkę Żołnierską. Ze wzruszeniem idziemy na te niecodzienne spotkania, które przybliżają nam kraj, przynoszą mowę ojczystą w jakże wysublimowanej formie; czyste piękno. Nie wiem, czy potrafię wyrazić ów nastrój, w jakim przyjmujemy słowo płynące ze sceny, jak włączamy się całą duszą w akcję, która się tam dzieje, jak delektujemy się sztuką. Moim pierwszym wielkim przeżyciem od września 1939 roku był przyjazd Czołówki Żołnierskiej do Szpitala Polskiego Czerwonego Krzyża w Teheranie, gdzie przechodziłam leczenie, jesienią 1942. Najbardziej w pamięci utkwiły mi piosenki. Andrzej Bogucki, młody, zdrowy, w tropikalnym mundurze, miał wygląd tak męski i postawny, że nam, „zdechlakom szpitalnym”, aż rumieńce wystąpiły na twarzach, z wypiekami patrzyliśmy na niego, zasłuchani, dumni, że takich Polska ma teraz wojaków. A jego dźwięczny głos płynął ponad nami. „Idą chłopcy szlakiem krwawym, | | Do dalekiej, do Warszawy”. Niektórzy zamarli w bezruchu, ktoś chrząkał, obok mnie pani Ziuta gniołła chusteczkę w rękach, a major Ossowski – starszy pan, od którego pożyczyłam *Chustę Świętej Weroniki* Ewy Szelburg-Zarebiny – wyprostował się nagle dziarsko i wysoko podniósł głowę. I wtedy pieśń rozbrzmiała melodyjnym głosem Renaty Bogdańskiej. „A Warszawa tęskni. A Warszawa czeka | | Kiedy przyjdą chłopcy malowani”. W niebieskiej sukience, zgrabna, dziewczęca, z duży-

mi, zielonymi oczami i różową buzią pięknej, porcelanowej lalki, o jasnych, miękkich włosach spadających do ramion, wyglądała jakby żywcem wzięta ze wspomnień o dziewczęciu z Polski przedwrześniowej. Zdało mi się wtedy, że przez łyzy widzimy stu Andrzejów, tak dorodnych, kroczących na czele tych chłopców malowanych, i sto dziewcząt, jak Renata wyciągających ręce w nieśmiałym geście oczekiwania. A gdy oba głosy w zgodnym duecie powędrowały w dal – „gdzie piaszczystej Wisły brzeg” – nie było chyba nikogo na całym zatłoczonym holu szpitalnym, kto nie chciałby z nimi tam wędrować, kto nie odczuwałby, gdzie jest nasze miejsce na tej ziemi. Ale wkrótce zmieniono nastrój, by chorych nie pozostawiać w bezsilnej nostalgii. Dziewczyna odpowiadając wciąż jednakowo, przekornie i żartobliwie, ostatecznie kończy piosenkę ku ogólnemu zadowoleniu. „Może dzień, może rok, któż to wie? | | Gdy zwycięstwo połączy nas znów, | | Wówczas spojrzę w twe oczy, bez słów. | | Idź i wróć, chłopcze mój, czekam cię”.

13.06. 1943.

Zielone Świątki spędziłam w bardzo miłej atmosferze. Odwiedziła mnie Kazia Korczyńska, która z Wandą siedziała w więzieniu; aresztowana tej samej nocy – ósmego lutego 1940 roku – w domu przy ulicy Dolnej, na górnym Łyczakowie (obok szkoły Zimorowicza). Razem z Wandą, będąc w „brygidkach”, wystrugały z patyków od miotły „druty”, dzięki którym Wanda przerobiła swój wielki i długi sweter tak, aby z reszty sporządzić kamizelkę i rękawiczki dla Kazi (przed transportem do łagru). Cała praca, począwszy od szlifowania patyków szklę, zdobytym w przemysłny sposób, odbywała się przy zachowaniu zasad konspiracji. Kazia jest fajną, zapaloną harcerką – z prawdziwego zdarzenia – toteż pogadałyśmy sobie a później napisałyśmy wspólny list do Wandy.

Poniedziałek i wtorek są dniami wolnymi od zajęć. Mam tyle nauki i pisanie, że nie jest mi nudno. Zresztą nigdy w życiu mi się nie nudziło. Nawet w najgorszych czasach, gdy dni trwały krótko, około sześciu godzin, a długie noce, spędzane w chłodzie, bez światła, nie pozwalały na żadne czynności. Czasem żałowałyśmy z Elcisą, że nie można spać na zapas. Godziny zmarnowane można byłoby później wykorzystywać we właściwy sposób. Wspominam Elcisę, gdyż właśnie ma urodziny w dzień świętego Antoniego. Młodsza ode mnie o trzy miesiące, swoje osiemnaste urodziny obchodziła w Tas Bułaku – Sigizbaju. Mama była tak kochana i hojna, że dała mi dla niej niespodziewany prezent, kromkę chleba posmarowaną miodem; chleb i miód przydzwigano z odległego o dwadzieścia pięć kilometrów Nowotrojska. Jakżebyśmy chciała

jeszcze kiedyś zobaczyć się z ową przyjaciółką z tamtych lat. I z Cesią Szalkalską, samotną, małą Cesią, taką bardzo dzielną, która szybko dorosnąć musiała. Co się teraz z nimi dzieje, z Janką Goryluk, z Matyldzią Kierepką, młodą panią Anią Nowak i jej dziećmi: Basią i Jerzykiem? A najważniejsze, co z moimi rodzicami. Jak wyglądają u nich Zielone Świątki? Nasze polskie pachniały w mieście tatarakiem i kaczeńcami, lecz u nas brama była majona gałązkami brzozy, o co zawsze miewałam pretensje do wujcia Dziunia, że kaleczy „tatówą” brzozę, moją kochaną brzozę.

Ciekawe, czy ta pochyłona brzoza jeszcze rośnie w kącie ogrodu? Chyba nie, bo ciocia Julia pisała w październiku roku czterdziestego, że na świeżym grobie babci, na Cmentarzu Janowskim, postawiono brzożowy krzyż. Co się tyczy babci, była patriotką. Jako młoda dziewczyna wyszła za męża za starego powstańca – 1830 roku – by do końca życia borykać się z kłopotami ponad półwiecznego wdowieństwa.

Różne zakupy, jeśli wykraczały poza zaopatrzenie obozowej kantyny, miałyśmy zwyczaj realizować w Rehovoth. Natomiast takie epokowe wydarzenia, jak zakup sandałów, wiążące się z niebagatelnym wydatkiem kilku funtów palestyńskich, oznaczało wyjazd do Tel Avivu. Ruszyliśmy tam we trójkę, Krysia Andrzejowska, Miła Probola i ja. Była niedziela, dwudziestego czerwca. Wyjechaliśmy zaraz po mszy polowej, pogoda dopisała, bo choć było słonecznie, wietrzyk łagodził nagrzone powietrze i było czym oddychać. Dwie z nas kupiły sobie sandałki; sklepy (wszystkie żydowskie) są w niedzielę nie tylko otwarte, lecz „wzmocnione” obsadą znającą język polski, w ten dzień jest największy utarg. Moje sandałki są takie, że nie sposób się nimi nie cieszyć – miękkie jak rękawiczki. Co to za ulga, po fasowanych półbutach z rondem. Zamsz bardzo delikatny, lecz solidny (cena niebagatelna, prawie cztery funty); jasne, kształtne. Obcas mają słupkowy, świetnie się w nich chodzi. Wspaniałe komponują się z letnim mundurem. Uczciłyśmy to wydarzenie wspólną fotografią, przyzwalając ulicznemu fotografowi na zrobienie zdjęcia w tradycyjnej scenerii: na nadmorskim deptaku, ciągnącym się wzdłuż plaży, przy balustradzie, na tle Morza Śródziemnego. Potem okazało się, ku mej nieskrywanej radości, że sandałki są nader fotogeniczne. Ja chyba też wyglądam lepiej niż w lustrze; no, i dobrze. Na koniec szarpnęłyśmy się na „lisanego loda”. Krysia z Miłą miały ochotę dłużej chodzić po sklepach, mnie było szkoda czasu, więc się zdecydowałam wrócić do Rehovoth autobusem. Godzina przyjemnej jazdy,

kontemplacja widoków, nizinne wioski arabskie, namioty wśród nieużytków, kozy pośród gromady dzieciaków, to znów małe miasteczko żydowskie, palmy, olbrzymie kaktusy; jakie to wszystko odmienne, dalekie. Można patrzeć a myśl stąd ucieka, do czegoś wraca.

O, Wanda pisała mi o książce, którą czytała jednym tchem, *Maria Curie* autorstwa Ewy Curie, córki bohaterki tytułowej. Bardzo mi ją poleca. Ba, ale jak ją zdobyć? Książkę polską z trudem pożyczają się nawet na godzinę, szczęściem jest otrzymanie jej na pół nocy, lecz o wyborze mowy nie ma. A jeszcze taka, co to „jednym tchem”, to już chyba niedoścignione marzenie. Swoją drogą muszę ją kiedyś przeczytać.

Do obiadu zdążyłam przerobić historię i łacinę, po obiedzie odrobiłam resztę lekcji, trochę pisałam. Wszystko to w nagrodę za wczesny powrót z Tel Avivu. Wieczorem pracowałam nad moją angielszczyzną, oczywiście w kinie. Arcyśmieszna *Ciotka Karola*, która przedstawia życie studentów w Oxford, rozbawiła nas, wywołując huragan śmiechu. Przebieranki, nieporozumienia, humor sytuacyjny. Filmowi studenci mieli niemal tyle werwy i gotowości do płatania psikusów, ile miewali nasi przed 1939 rokiem. Oczywiście ciocia Iza zaraz by korygowała, że lwowscy akademicy „za jej czasów”, to znaczy sprzed pierwszej wojny światowej, umieli choćby samą przeprowadzką zarazić miasto śmiechem. Przeprowadzka odbywała się z wielką pompą, przy czynnym udziale kolegów, idących gęsiego – aby nie tamować ulicznego ruchu – często z pieśnią na ustach. Każdy niósł dumnie jeden przedmiot stanowiący nader skromne zresztą, bogactwo przeprowadzanego. Jeśli, na przykład, żak miał skarpetki, to niesiono je niczym sztandary, po jednej; jeśli koszulę, to osobno kołnierzyk, osobno spinkę (wtedy do koszul dopinało się kołnierzyki, również do koszul wojskowych). Żadna część garderoby nie była pakowana, prezentowano ją w całej okazałości, nie zważając na stopień sfatygowania.

Z opowiadań cioci najbardziej podobało mi się historia przeprowadzki, kiedy to niesiono lampę naftową, rozłożoną na czynniki pierwsze. Student na przedzie niósł zbiornik, następny maszynkę, inny knot, kolejny szkiełko, za nim umbrę, a na końcu bańkę z naftą. To mnie najbardziej rozczulało. Gdy w dzieciństwie posyłano mnie po naftę, albo po „szkiełko numer jedenaście”, wyobrażałam sobie, że uczestniczę w słynnej akademickiej przeprowadzce.

Niestety, za moich czasów akademicy nie wykazywali tego typu humoru. Przeciwnie, słyszało się o wybijaniu szyb w sklepach żydowskich. Nie mogłam w żaden sposób pojąć owego wandalizmu. Dlaczego po prostu nie zrezygnują z kupna w tych sklepach? Takie rozwiązanie nie tylko byłoby kultu-

ralne, ale również wzbogaciłoby polskich sprzedawców. Nie wszystko, co się działo przed wrześniem, może stanowić przedmiot dumy narodowej. Wiele trzeba będzie naprawić, budować, porządkować, zmieniać; usunąć bezrobocie, analfabetyzm, zapewnić warunki życia tym, którzy ich dotąd nie mieli, obuć wszystkie dzieci. Potrzebny będzie wspólny wysiłek, mądre głowy, gorące serca. Nie zabraknie ich, naród da z siebie wszystko po tylu strasznych doświadczeniach.

Tymczasem zastanawia nas emigracja. Nawet tutaj są partie i koła, różne ugrupowania i to, jak za Wielkiej Emigracji, niekoniecznie idące ręką w rękę. Powtarzają się błędy polityczne, o czym my – będąc na tak zwanym dole – ledwie coś słyszymy. Kazania Piotra Skargi wciąż są aktualne, niestety.

Biskup Gawlina odwiedził naszą szkołę.

Wieczorem długo rozmawiałam z Irką Świstunowicz, którą bardzo lubię, jest solidna i szczerą. Jako pielęgniarka pracowała jakiś czas z Wandą w Guzarze. Irka ma w wojsku całą rodzinę, matkę, ojca, młodszą siostrę Hildegardę i brata Ewalda; u junaków. Wszyscy szczęśliwie przeżyli zesłanie i dotarli na czas do wojska. Pochodzą z Wilna.

* * *

Imieniny rozpoczęłam samotnie, przed pobudką. Dla ukojenia smutku wymknęłam się do kaplicy. Odmówiłam modlitwę dziękczynną według własnej koncepcji, aby sobie dobrze zdać sprawę, ile to już dobrego spotkało mnie w życiu niezasłużenie, iż nie mam prawa użalać się, poddawać smutkowi.

Dziękuję Ci, Panie, że jestem tutaj, a nie gdzie indziej,

- że jestem na Ziemi Świętej,
- że jestem wśród swoich, a nie wśród wrogów,
- że nie zostałam między zmarłymi,
- że nie jestem umierająca,
- że nie ginę już z głodu,
- że nie jestem gnębiona, ani poniewierana,
- że nie sypiam pod obłokami lub deszczem,
- ani na mokrej glinie,
- ani na kamieniach,
- że mam dach nad głową,
- że nie mieszkam wśród milionów pluskiew,
- ani wśród wszy,
- że Wanda jest uratowana,

– że nie zwariowałam,

– ale błagam, to wszystko daj, Panie, Im, bo to Oni zasługują na Twój ratunek, tylko Ty, Boże, możesz ich ocalić. Pamiętaj Panie, że jesteś jedyną i ostatnią nadzieją.

Jak mogłam tak zgłupieć, aby nie przewidzieć, że rozstanie podczas wojennej zawieruchy jest na zawsze? Co im z tego, że byłabym gotowa wszystko cofnąć i pójść od początku na całą poniewierkę, byleby być razem? Za późno na żal, wyrzuty, rozpacz. Nic to nikomu nie pomoże. Każdy dzień jest dla nich trudny do przeżycia. O, Boże, ratuj ich, ratuj! Daruj im życie! Dlaczego to mnie tyle dobrego spotkało, a ich nie? O, Boże!

Dziewczyny składały w baraku życzenia Alicji Pawlus, kiedy wróciłam z kaplicy, uściskały i mnie. Koleżanki mam udane. W większości pochodzą z mego miasta, wszystkie przeszły ten sam lub podobny tułaczy szlak, mamy wspólny język. Często wystarcza nam jedno słowo i już wiemy, o co chodzi. Chociaż dla niewtajemniczonych trzeba by referatu, aby wyjaśnić sprawę, my się rozumiemy „jak łyse konie”.

Cały dzień oczekiwałam listu od Wandy. Przed rokiem dostałam od niej list (gdy byłam jeszcze w Guzarze, na Górcie), pracowała wtedy w miejskim szpitalu, miała dyżur. Nie mogła do mnie przyjść, nawet gdyby nie miała dyżuru, wszak temperatura sięgała pięćdziesięciu stopni Celsjusza, a spacer do naszego ośrodka szkoleniowego, odległego od szpitala o cztery kilometry, przekraczał ludzkie siły. Wprawdzie Wanda pracowała, lecz zdrowa nie była. Wtedy to moja siostra, a raczej „ćwierć ćwiartki” z jej osoby, przysłała mi list, napisany na strzępku kartki i prezent imieninowy, dwa jajka. Ze łzami w oczach, drżąca, wzruszona i zawstydzona, mimo pogardy dla siebie – za nieopanowanie i żarłoczność – rzuciłam się na te jajka i zjadłam je natychmiast. Sama. Były to moje dwudzieste imieniny.

W dzieciństwie obchodziłyśmy imieniny razem, Wandzia i ja. Mama piekła ulubione cwibaki i koch, od taty dostawałyśmy piękne książki, a babcia uroczyście wkraczała rano z prezentami, na które wcześniej dawała pieniądze naszej rodzicielce, instruując, co ma kupić. Najbardziej cieszyłyśmy z zabawek. Babcia zawsze dokładała sandałki i coś ze złota, na przyszłość. Podwieczorek urządzano nam pod kasztanem, w końcu ogrodu, a stół ugiął się od cudownie pachnących, świeżutkich, leśnych poziomek (zamawianych u gospodarza Michała z Zagórza, zza Stryjskiej rogatki), a długie, ogrodowe ławki mieściły czeredę koleżanek Wandzi i moich, zaproszonych na poziomkowe imieniny. Pogoda zawsze dopisywała, goście odchodzili z kwiatami, świat był samą radością, czekały nas wakacje.

Wandy list z życzeniami, wysłany jedenastego czerwca ze szpitala – skąd pani doktor nie chce jej wypuścić – dotarł wreszcie. Martwię się o nadwerżone zdrowie siostry, choć ta ledwie o nim wspomina, przecież długotrwałe choroby pozostawiają na długie lata ślad w organizmie. Ona zaś najbardziej przejmuję się pracą, a raczej powrotem do niej. Denerwuje się na zapas, że ktoś zajmie jej miejsce. Zakłada, iż po wyjściu ze szpitala, zamiast wrócić do pracy, wyląduje w ośrodku zapasowym, gdzie się jedynie czeka na przydział i „nie ma nic mądrego do roboty”, a życie upływa na służbie, dyżurach, wartach, oczekiwaniu na odmianę. W owych dniach Wanda, podobnie jak ja, wspominała nasze wspólne imieniny. Tak wiele wyniosłyśmy z domu, choć przez tyle lat nie zdawałyśmy sobie sprawy. Wszystko było zwyczajne, naturalne, zrozumiałe. Dopiero gdy się to bezpowrotnie utraciło, wtedy stawało się bezcenne.

Dzień imienin Wandy był dla mnie bardzo ciężki. Chinina znów doprowadziła mnie do okropnego stanu, prawie niemożliwego do zniesienia. Wpadłam w panikę, bojąc się, że zwariuję. Wiem, że tak nie wolno, ale w takich razach wołałabym nie żyć. Czarna rozpacz. Zdawało mi się, że lecę w przepaść i nie mogę nic zrobić. Czuję się gorzej niż przysłowiowy zбитy pies. Nie potrafię dźwigać się z załamania. Może spróbuję na nowo włączyć się w życie naszego zespołu, od którego trochę się oddaliłam wskutek choroby, pobytu w szpitalu oraz konieczności uczenia się w pojedynkę, aby nadrobić zaległości. Może zbyttno zatopiłam się we własnych rozmyślniach, a lepiej tego unikać, skoro nie prowadzą one do niczego dobrego. Trzeba uzbroić się w cierpliwość.

Krysia Jurkiewicz, która daremnie starała się do szkoły, odwiedziła nas. Ela, jej starsza siostra, siedziała z Wandą, Kazią, Lalą na Zamarstynowie, potem razem były w „brygidkach”, jednak ja nie miałam okazji jej poznać, bo gdy spotkałyśmy Kysię w miasteczku Ajaguz, gdzie czekałyśmy na pociąg do wojska, Eli tam nie było. Krysia zwierzyła się, że martwi się o mamę (podobnie jak my wszystkie o swoich rodziców), Eli w wojsku nie odnalazła, ponieważ ta została włączona do transportu do Anglii, a nowe rozczarowanie, spowodowane trudnościami z uzyskaniem zezwolenia na pójście do szkoły, przepełniło ją żalem do reszty. Trudno się dziwić.

Boże Ciało wypadło późno w tym roku, dwudziestego czwartego czerwca. Kiedyś bywało ulubionym świętem, pachnącym różami i piwoniami, których wonne płatki, zmieszane z ceglasytymi smolinosaami, wielkimi romanami, czerwonymi makami, kolorowymi bratkami i lwią paszczą, wypełniały nasze głębokie, dziecięce koszyczki. Sypałyśmy kwiatki, na kolorowych i roz-

śpiewanych procesjach. W białych sukienkach i pończoszkach, pod łagodnym, słonecznym, polskim niebem, niewiarygodnie radosne, nieświadome szczęścia.

Dzień wolny od nauki wykorzystaliśmy na spacer po mieście. Ruszyliśmy zaraz po mszy świętej, by zdążyć przed największym upałem. Wspólnie z obiema Dąbrowskimi, Igą Zemanek i Wandą Frączek, zrobiłyśmy sobie kilka zdjęć w ogrodzie, na tle palm, wysokich, bogato kwitnących oleandrów, przy agawie, której skromne miniaturki hoduje się u nas w kraju, w doniczkach. Lidka, która wróciła z Tel Avivu późnym popołudniem, ponownie wyciągnęła mnie do fotografa. Także chciała mieć pamiątkę z owych wspólnie spędzonych dni. Koniec roku się zbliża; może to i dobry sposób, aby zatrzymać czas. Wszystko tak szybko przemija. Zbyt szybko.

Mam nadzieję, że te zdjęcia, jeśli się do nich wróci kiedyś, po latach, wydadzą się nam, już w Polsce, nie tylko egzotyczne, jak cała teraźniejszość, ale też wzruszające, jak owa niebanalna młodość, która mimo burzliwego czasu obdarzyła nas nie tylko bólem rozstań, ale także nieprzemijającymi wartościami i taką pełnią życia, jaka była możliwa. Staram się przeżywać ją z otwartymi oczyma, wnikać w nią głębiej niż w owo dzieciństwo, którego smakiem nie umiałam się delectować wtedy.

W Quastinie

25.VI.1943. Przeniesienie naszej szkoły z miasta Rehovoth do Quastiny – miejscowości wysuniętej na południe, leżącej między Gederą, gdzie stacjonuje Kompania Transportowa Pomocniczej Służby Wojskowej Kobiet, a Barbarą, kojarzoną z siedzibą szkoły junaków i kadetów. Szkoła w Quastinie rozciąga się pomiędzy rozległym obozowiskiem czteroosobowych namiotów mieszkalnych z jednej strony a kilkoma barakami klasowymi uszeregowanymi z drugiej strony. Znajdziemy tu także baraki z umywalkami, prysznicami i urządzeniami sanitarnymi, jak to zwykle bywa w obozach angielskich, ale są one znacznie mniej wygodne, niż tamte, które miałyśmy w Rehovoth. Były bliźniutko, pod ręką, odległe tylko o szerokość trzech baraków, toteż po kilka razy dziennie wyskakiwałyśmy pod prysznic. W takich razach owijałyśmy się prześcieradłami, nałożonymi na same majty i staniczki, aby w tym stroju chłodzić się strumieniami zimnej wody. Mokre wychodziłyśmy z umywalni, ale zanim się doszło do baraku – na co trzeba kilkudziesięciu kroków – prześcieradłowy kokon był dokumentnie osuszony przez słońce, zostawiało może nie całkiem suche włosy. Tutaj, na drodze umywalnia – namiot, zalewały nas

siódme poty, gdy prześcieradło ociekało wodą. Podczas gdy baraki w Rehovoth, skupione w jednym końcu obozu, stanowiły zwartą jednostkę, to w Quastinie na odwrót. Namioty, poustawiane na głębokim piasku, w równych rzędach, ciągną się na rozległej przestrzeni; służba podoficera łącznościowego z pewnością nie będzie należała do przyjemności. Prędko doceniłyśmy południowy wypoczynek pod namiotami. Podczas żaru słonecznego, gdy słońce leje się z nieba potokami, a powietrze zamiera w nieruchomym skwarze, brezent namiotu zda się być źródłem gorąca, zatrzymywać go, skupiać, z wielokrotnością, że aż trudno pod nim oddech złapać. Ów żar czuje się każdą komórką zgnębionego ustroju. Nie pomagają szeroko otwarte drzwi, nawet gdy się je rozsznuruje na przestrzał i klapy umocuje u góry namiotu. Nie ma się co spodziewać najmniejszego drżenia powietrza, duchota praży i dławi. Natomiast podczas upragnionego wiatru ma się natychmiast piasek w ustach, w nosie, w oczach, w uszach, we włosach, w gardle, w trzewiach, wydaje się jakby i w głowie go nie brakowało. Teraz dopiero potrafimy docenić, jak nam było dobrze tam, w rehovothskich barakach. Mamy porównanie.

W południe ratujemy się sposobem tubylców, obeznanych ze Środkowym Wschodem. Trzeba je przeczekać w bezruchu, nadaremno nie tracić sił. Resztę dnia, szczególnie poranki, wykorzystujemy na intensywną pracę. Wieczorami w namiotach jest słabe oświetlenie, zaś poza nimi obowiązuje zaciemnienie. W razie potrzeby używamy ręcznych latarek. Namiot dzielę z Krysią Andrzejewską, Marysią Parczewską i Lidką, którą w dalszym ciągu uczę, aby przed początkiem roku szkolnego mogła zdać całość materiału obejmującego klasę pierwszą i zacząć z nami drugą licealną. Znacznie później od Lidki dołączyła do nas Marysia Parczewska, odkomenderowana do Szkoły Młodszych Ochotniczek z Trzeciej Dywizji Karpackiej, gdzie była świetliczarką. Pochodzi z Wilna, jak Irka Świstunowicz, i tak samo musiała je opuścić w czerwcu 1941 roku. Przez ostatnie dwa lata uczyły się w Wilnie języka litewskiego, który dla nas jest egzotyczny. Marysia, rocznik dwudziesty piąty, została przyjęta z zastrzeżeniem, że będzie musiała zaliczyć całość materiału przed wrześniem. Zapowiedziała, że zamierza zdać jak najlepiej, a przede wszystkim opanować programową całość, aby czekający ją materiał klasy drugiej nie sprawiał trudności, stanowiąc podstawę matury. Marysia okazała się równie pilna, jak zdolna, cieszyłyśmy się, obserwując jej poczynania. Od razu zabrała się do roboty. Wnikliwie opracowała plan pracy i bardzo rygorystycznie go przestrzegała. Naukę własną rozpoczynała o brzasku, gdy my spałyśmy snem sprawiedliwego, korzystała z naszych notatek, wypisując najistotniejsze wiadomości. Marysia to bardzo miła dziew-

czynna, optymistka, nie pozbawiona samokrytycyzmu oraz poczucia humoru także wobec siebie samej, chętna do pracy, pomocna, bardzo ciekawa życia. Ową ciekawość zaspokajała w konstruktywny sposób.

Marysia przywiozła ze sobą zwyczaj śpiewania. Tę piosenkę, którą i Micia знаła, nuciłyśmy wspólnie, oczywiście w chwilach wolnych.

"Dalekich sto dróg
Pulsuje rytmem żołnierskich nóg.
Motorów łoskot
Żelazną piosenką
Wali w zaparte drzwi."

– Fe! Od tego można dostać zaparcia. A wtedy, ot i kłopot. – Jak spod ziemi wyrasta Krzysztofa, która, nie tracąc okazji, zawsze musi coś chlapanąć po swojemu, „aby nie było zbyt mdło”. Tymczasem piosenka płynęła dalej.

"Więc zaufaj snom,
Niech cię nie straszy działowy grom,
Bo nadchodzące
Dni są jak słońce
Przecudnym równe snom."

Po niej następuje inna, śpiewana na melodię *Hiszpanki*, co to „ma temperament gorący” i kojarzy nam się z niezrównanym tańcem utalentowanej Luny. Marysia z Micią zaczynają.

"Piosenka nasza jest prosta,
Marszowy dzwoni w niej rytm.
Czasem kołaca, jak osty,
Czasem surowa, jak byt.
Głód jej nie złamie, ni deszcze,
Z trudów i wysiłków drwi.
Zuchwale śmieje się jeszcze,
Choć w głowie zmęczenie brzmi."

– Tak jak i nam, jak nam, słowo daję. – Dorzucała Krzyśka, jakby od niechcenia, ale my już śpiewałyśmy melodyjny, porywający refren.

"Dzwoni, huczy i cekaemem gra.
Rytm marszowy odnajdziesz w niej,
Śmiech, czasem echo pogroźki złej."

Coraz więcej dziewcząt spontanicznie włącza się do chóru, liczne głosy wyśpiewują wojenne przesłanie niefrasobliwego walczyka.

"Lubi bagnetów światelka,
Piechoty miarowy krok,

Czasem się w bitwie rozełka,

Rakietą przeszyje mrok.

W podchorążakach się kocha."

– Jak niektóre koleżanki, co jest oczywiście tajemnicą. – Komentuje Krysia, tak na marginesie, a piosnka płynie dalej.

"Z trudów ich rośnie, jak kwiat,

Głośna, zalotna i płocha,

Natarciem zdobywa świat.

Dzwoni, huczy i cekaemem gra."

Nieśmiało i ja usiłuję włączyć się do chóru, równocześnie przychodzi mi na myśl, że ten świetny walczyk tak się roztańczył, jak gdyby skakał po słowach wybranych do ćwiczenia redakcyjnego na temat: „Bitwa”, czy raczej: „Wojna”; co prawda w mało aktualnym wydaniu, jakby z innej epoki, sprzed nalotów lotniczych, bomb, ruin miast, czołgów i tej całej, naszej, „ulepszonej” cywilizacji.

Teraz ja rozpoczynam piosenkę żołnierską, opowiadającą o losach powstańców listopadowych.

"Bywaj dziewczę zdrowe,

Ojczyzna mnie woła.

Idę za kraj walczyć

Wśród rodaków koła.

Pamiętaj, żeś Polką,

Że to za kraj walka.

Niepodległość Polski

To twoja rywalka."

– Hej, hej! – Myślę sobie w duchu – Mój nieznanany dziadku, powstańcze listopadowy! Nie wiem, czy znałeś tę piosenkę, czy śpiewałeś ją w czasie tamtej tragedii narodowej, ale wiem, że nie mogłeś przewidzieć, że twoje wnuczki będą ją śpiewać w swoich oddziałach wojskowych, tęskniąc za krajem, gdzieś pod dalekim, obcym niebem. Tymczasem już się toczy bliższy nam *Cygański wóz*, dość sentymentalny, by następnie ustąpić miejsca rzewnej *Tęsknocie*. Oto jej refren.

"Idę... Idę ciągle w twoją stronę,

Przez gościńce niezmierzone,

Przesmykami polnych dróg.

Idę... Niezliczone mijam lata,

Aby gdzieś na końcu świata

Wreszcie spocząc u twych stóp.
 Wiatr liściem targa,
 Na niebie chmury gradowe.
 Pochylam odkrytą głowę
 W zamęty burz i trwóg.
 Wiem, że znajdę cię wśród dróg miliona,
 Choćby świat był nieskończony,
 Nieskończony tak jak Bóg."

Bardzo lubię tę pieśń. *Tęsknotę i Wierzby* płaczące usłyszałam tuż po przybyciu do wojska, w Guzarze, w marcu 1942 roku. Trudno sobie wyobrazić, jak bardzo owe pieśni wzruszały nas tam, w owym czasie, niesłychanie poetyckie i bliskie sercu, układane spontanicznie, świeże, aktualne. Towarzyszyły nam w dalekiej wędrówce. Ale oto dołączyła do nas Baśka Wójcik, z czwartej (a może trzeciej) gimnazjalnej, ze swoim ulubionym repertuarem:

"Tylko tam
 Wisła bije falami o brzeg
 Tylko tam."
 Następnie usłyszałyśmy *Siadło na plantach złote słończko* oraz liryczną:
 "Pokochała raz rosa srebrzysta
 Złote słońko świecące w błękicie.
 Pokochała na własną niedolę,
 Pokochała na śmierć i na życie."

Śpiewałyśmy, dobierając piosenki do nastroju. Zniewalały swojskością, przeżywałyśmy je głęboko, stawiając ponad innymi, nawet lubianymi, lecz nie polskimi. Tych naszych, wzruszających, nigdy za wiele. Tak sobie myślę, że gdyby było możliwe, każda z nas uczepiłaby się piosenki, niczym pięcioletniej, by wraz z nią popłynąć jak dźwięk po drucie telegraficznym, górami, morzami do naszego, jakże dalekiego a bliskiego nam kraju, za którym tutaj żarliwie wyśpiewujemy tęsknotę serc tułaczy.

* * *

27. VI. 1943. Niedziela, Władysława. Mszę polową miałyśmy wspólnie ze szkołą kadetów. Oczywiście, pamiętamy o wszystkich naszych Władysławach, od których tak wiele zależy i którym tak wiele zawdzięczamy.

Po południu Lidka wróciła od ojca. Odetchnęłam z ulgą, gdyż, nie wiedzieć czemu, wyjechała bez przepustki, którą dostałaby bez trudu, gdyż pani Jasia nigdy nie odmawia. Nie ma żadnego sensownego powodu, dla którego warto na-

rażać się na nieprzyjemności. Lidka wróciła z bólem głowy. Wyglądała tak nie-szczęśliwie, że aż żal patrzeć. Nie poszła z nami do obozowego kina na *Halkę*, bo już widziała, a ten przedwojenny film – z Janem Kiepurą – był tak zniszczony, że aż przykro oglądać. Jednak nie miało to wpływu na dyskusje, które toczyłyśmy do późnych godzin; po capstrzyku. Naturalnie, nie w naszym namiocie, nie chciałyśmy bowiem przeszkadzać usiłującej spać Lidce oraz Marysi. Ta druga jest rannym ptaszkiem i pracowitą pszczołką w jednej osobie.

Dwudziestego ósmego czerwca, imieniny Ireneusza. Tak ma na imię korespondencyjny „znajomy nieznajomy” Mici. Z niego to dobrodusznie żartują miłe koleżanki. Powszechną radość budzi stwierdzenie, że Micia powinna przyjmować życzenia dla solenizanta, z którym osobiście nie jest zaznajomiona.

Przed południem cała szkoła znalazła się w Barbarze, w obozie kadetów. Naszą defiladę przyjął generał Władysław Sikorski. Uraczył nas przemową, przeszedł wzdłuż naszych szeregów, lustrując. Nasz Wódz Naczelny, Premier Rządu Polskiego w Londynie, taki po prostu starszy pan, o którym śpiewamy piosenkę. Na pewno mamy swoje miejsce w kręgu zainteresowań generała, jako młodzież, kształcząca się dla przyszłości narodu, kadeci, junacy i my, młodsze ochotniczki. Na pewno generał cieszy się z naszych szkół wojskowych, które i jemu zawdzięczają swoje istnienie. Młodzież, garnąc się do nauki – dopuszczona do niej, choć nielicznie – musi napawać optymizmem. Zbiorowisko „polskich serc w angielskich mundurach”, różne od tych, do których generał zdążył przywyknąć, zasłużyłyśmy na zainteresowanie, mimo że jesteśmy tylko wizytowaną jednostką. Dla nas owo spotkanie miało szczególne znaczenie. Wywołało powagę. Oto zetknęłyśmy się z Polakiem reprezentującym naród na arenie międzynarodowej. Otarłyśmy się o wielkie sprawy, od których zależy nasz los.

Obozowo szkolne życie toczy się codziennym, z góry ustalonym trybem. Głowa znowu boli mnie całymi dniami i nocami; pewnie z powodu upałów, nie ma na to rady. Chinina zażywana, według zalecenia lekarskiego, już czwarty tydzień, jakoś wyjątkowo daje się mi we znaki i czasem myślę, że tego nie wytrzymam. Denerwuję się z powodu Lidki. Lubię ją i byłoby mi przykro, gdyby wpadła. Wyjazdy bez przepustek są surowo karane, a ona znowu ukradkiem wymknęła się do Tel Avivu, lekceważąc przepisy, uzasadnione względami bezpieczeństwa.

Wtorek, dwudziesty dziewiąty czerwca, dzień świętych Piotra i Pawła (wolny od zajęć) przeleżałam chora, nawet nie byłam na mszy świętej. Środa również była dniem wolnym od nauki (ze względów organizacyjnych), podobnie jak czwartek; z powodu działań Komisji Uzupełnień. Czyż nam się nie za dobrze powodzi? Gronu pedagogicznemu te dni też pozwolą odrobinę odpocząć przed pierwszą w dziejach Szkoły Młodszych Ochotniczek maturą.

Odwiedziłam Lonię. Biedna, po wyczerpującej chorobie, z której ledwie uszła z życiem, będzie się musiała na dłużej pożegnać z nauką. Mimo to jest pokorna i spokojna, a ja nie mogę się oprzeć refleksji, że los bardzo ją skrzywdził.

Na piątek (drugi lipca) miałam wyznaczony egzamin z łaciny; z całego materiału. Musiałam zdać zaległości, które nawarstwiły się wskutek spóźnionego przyjazdu do szkoły (z końcem lutego) i trzytygodniowej nieobecności (pobył na oddziale malarycznym). Profesorka, pani Szoska, jest tak niezmiernie poważna i rzeczowa, a równocześnie życzliwa i przyjazna, że przed prezentacją wiadomości nie odczuwa się najmniejszego zdenerwowania.

Po obiedzie, znowu byle jakim – ryż z jarzynami, których mniej, niż oleju – przyniesiono nam pocztę. Otrzymałam siedemnasty list od Wandy, trzydziesty i trzydziesty pierwszy od Leonidasa, czwarty od Zdziszka Szmała (o odwiedzinach u Wandy) i trzeci od Maćka Leśniewskiego, poświęcony Krysi Bojko. Wanda pisze o spotkaniu z Urszulą Szechińską, tą samą, która w Guzarze transportowała mnie do szpitala, gdy straciłam przytomność na warcie; nie mogły sobie wtedy ze mną poradzić. Ula, pracując w baonie saperów słyszała, że dowództwo baonu wystosowało do Dyrekcji Szkoły Młodszych Ochotniczek pismo urzędowe, dotyczące mojego ewentualnego powrotu do nich (po maturze), na tak zwany przydział świetliczarski. Dowództwo powołuje się na opinię szkoły oraz informuje o chęci przyjęcia mnie do pracy. Dyrekcja niezwłocznie odpisała zainteresowanym, opinię potwierdziła. List uwieńczono dopiskiem, okazuje się, że tak są ze mnie zadowoleni, iż takich jak ja chciano by mieć więcej. Urszula dodała od siebie, że mój list z podziękowaniem za wysłanie mnie do szkoły dotarł do saperów dużo wcześniej i sprawił im niemałą satysfakcję. Moim skromnym zdaniem należało im się to zawiązką. Wanda jest uradowana, że się tak na mnie poznano. Jak to siostra. Wcale się nie dziwię. Rozumiem, że się cieszy. Tylu dziewczętom różne typy niesłusznie psują opinie, z rozmaitych pobudek, często niskich i niegodnych. Mimo wszystko jestem bardzo zaskoczona całym tym wydarzeniem; człowiek znajduje się „pod mikroskopem” i zupełnie nie ma o tym pojęcia. Staram się „na swój rachunek” być w zgodzie z poglądami, z zasadami, które przyjąłam z wyboru jako wartość tego, aby się stały drogowskazami na życie. Czasem zapominam, że „moje własne życie” nie jest tylko prywatnym dobrem, przynajmniej w obecnej sytuacji. Tak. Nie należy do mnie, podlega skrzętnej obserwacji, podobnie jak wszystkie listy ocenzurowane, jak dnie i noce spędzane w skoszarowanym zespole, każde wyjście „podpisanych” na przepustkę, choćby o krok poza bramę obozu. A jednak człowiek musi pozostawać sobą, „na swój własny użytek”. Najważniejsze, że Wanda uznała incydent za wystarczający powód, aby się choć trochę pocieszyć.

Na łacinę poszłam w dobrym nastroju, egzamin zdałam na zasłużony stopień (dobry), uczciwie zapracowany, jestem usatysfakcjonowana, a to jest bardzo konstruktywne.

* * *

Mieliśmy poważny problem z językiem polskim. Pani Radwańska nie wróciła z sanatorium z powodu złego stanu zdrowia. Podobno nadal przebywa w Ein Karem, pod Jerozolimą. Żałujemy jej bardzo, to porządny i dobry człowiek, a pobyt w sanatorium przeciwgruźliczym na obczyźnie, to naprawdę poważna sprawa. Przez parę miesięcy nie mieliśmy polonisty. Plan zajęć ułożono nam tak, aby nie zmarnować ani jednej godziny. Zaległe partie materiału trzeba będzie odrabiać ze zdwojonym wysiłkiem, ale wtedy może inne przedmioty, na które wykorzystano czas niezrealizowanych lekcji polskiego, będą mniej czasochłonne. Aż tu nagle sensacja, szkoła ma nowego polonistę. Ten przybył do nas na parę tygodni przed końcem roku szkolnego, przed maturą, której bez tego przedmiotu nie można było zorganizować. Ow nauczyciel rzekomo wykładał w polskim gimnazjum i liceum w Gdańsku.

Profesor Jan Madey z miejsca zapowiedział, że lekcje z konieczności poświęci głównie na wykłady, aby przerobić jak najwięcej zaległego materiału. Zachęcał do zadawania pytań. Sprawdzenie wiadomości, będące wyznacznikiem ocen, jakie otrzymamy na świadectwie, potraktował odrębnie, wyznaczył terminy, kiedy będziemy egzaminowane. Przy tym zaznaczył, że to samo czeka wszystkie klasy, toteż żadne zmiany terminów czy też niepunktualność nie wchodzi w rachubę. W piątek egzaminował jakąś klasę, a „na doczepkę” wyznaczył – z naszej; według alfabetu – Krysię Andrzejewską na godzinę piątą i mnie na pół do szóstej. Skończywszy egzaminować Krysię, punktualnie o pół do szóstej, wyszedł z klasy i zwrócił się do mnie, czekającej w cieniu.

– A, to pani ostatnia na dzisiaj?

– Tak jest, panie profesorze – odpowiedziałam.

– A czy pani wie, że już zaczynają wydawać kolację? – Zapytał i spojrzał na mnie badawczo.

– Ojej! – Zamartwiłam się w myślach. – Pewnie odłoży mnie do jutra. Szkoda. Byłoby już po wszystkim. Trudno. A może to lepiej, bo „Polak jak głodny, to zły”. – Nic nie odpowiedziałam.

– Wie pani co? Chodźmy najpierw na tę kolację, to kawałek drogi, do-brze?

– Tak jest – odpowiedziałam „po kretyńsku”, cóż można odpowiedzieć

na takie *dictum*, ale zaczerwieniłam się z przykrości, że mnie weźmie za regulaminową kretynkę, gadającą jak automat.

Profesor chyba nie zauważył mojego zmieszania, ruszyliśmy przed siebie.

– Czy może pani czytała *Pamiętniki Paska*? – Chciał się dowiedzieć o przeobionych lekturach.

– W dużych fragmentach – zaczęłam.

– Podobały się? – Rzucił od niechcienia.

– Owszem, świetny narrator.

– O? A nie gaduła? – Zdziwił się.

– Czasami i gaduła, ale szczerzy i nie pozbawiony fantazji. Teraz i tutaj przydałby się taki gawędziarz.

– A język? Chyba ciężki? – Profesor zaciekał się prywatną opinią młodej damy na temat staropolszczyzny; niczym na towarzyskim spotkaniu.

– Może i czasem ciężki, z tymi makaronizmami, ale łacina nie jest nam obca, a poza tym – ile Henryk Sienkiewicz z niego czerpał a nam udostępnił – wyjaśniałam nasz pogląd.

– A Morsztyna też pani lubi? – Nauczyciel najwyraźniej interesował się gustami młodszej generacji.

– Tak! Najlepiej *Odę do trupa*. Te kapitalne zestawienia kontrastów.

– A bajki? – Dociekał, wielce zainteresowany.

– Oczywiście – ucieszyłam się – przede wszystkim są rymowane, dowcipne i podchwytliwe, jak choćby ten *Wstęp do bajek* Ignacego Krasickiego, chociaż właściwie pod względem formalnym nie jest on bajką, bo nie mówi o zwierzętach, jak bajki, które przypisują zwierzętom ludzkie cechy. I kończą się tak dobitnie, jak na przykład Krasickiego. „Wśród życzliwych przyjaciół || Psy zająca zjadły”. Albo Trembeckiego. „I tę złotą maksymę w swej pamięci zapisz: || Nie sądź nikogo po minie, || Bo się w sądeniu poszkapisz!”

– A z czego to? Pamięta pani?

– *O myszce, kogucie i kocie*.

– Czyżby lubiła pani poezję?

– Bardzo. Naprawdę – musiałam przyznać.

– A jaką?

– Lirykę. Romantyzm. Młoda Polska; lekka i melodyjna, a tak bogata.

– I romantyzm?

– Naturalnie, jak najbardziej. Tym bardziej teraz; ten patriotyzm, wiara w uczucie, gotowość do ofiar...

Już od dłuższej chwili obserwowałam dwie panie idące przed nami. Ochotniczki, których nie znałam. Trochę zwolniły kroku i zaczęły nachylać się do siebie i coś szeptać. Potem to jedna, to druga, oglądały się, niby przypadkiem, święcie przekonane, że całe to postępowanie, te ich chytne manewry, nie zostały zauważone. Jeszcze kilka kroków i już nie ulegało wątpliwości, że mocno „rosły im uszy” w kierunku konwersacji nowego profesora z młodszą ochotniczką. Zerknęłam na profesora, ale nie dowiedziałam się, czy zwrócił na to uwagę. Szedł z miną sfinksa.

– Romantyzm wniósł coś nowego do poezji, prawda? – Zagadnął.

– Przede wszystkim bardzo wiele nowych treści – zaczęłam z entuzjazmem.

– Głównie akceptację uczuć; miłość, religijność, patriotyzm, przyjaźń, wiarę w siły nadprzyrodzone, pierwiastek ludowy, tajemniczość, zainteresowanie naturą.

Obie panie omal nie upadły, kiedy tak manipulując, aby jak najwięcej usłyszeć, potknęły się niespodziewanie o jakiś kamień, aż chwyciły się za ręce.

– A jak się pani podoba Fredro? – Zahaczył uprzejmie profesor, nawet nie miałam czasu na zwykle krępującą mnie nieśmiałość, skoro tak zabawiał mnie rozmową, przez całą drogę.

– Bardzo przyjemny i ma poczucie humoru.

– Czy widziała pani przypadkiem coś na scenie?

– Tak. *Śluby paniieńskie*, *Zemstę*, *Pana Jowialskiego*, *Ciotunię* – przypominałam sobie.

– Gdzie?

– W Łwowie, oczywiście.

– Przed wojną – dopowiedział. – A czy pamięta pani jakieś imiona, typy z tych komedii?

– O, tak! Eloquentny, śmieszny Papkin. Pełen werwy, pomysłowy Gucio, niezdarne i wciąż wzdychający Albin, Klara, Aniela, gwałtowny Raptusiewicz i *no-men omen* Milczek. A, jeszcze pan Jowialski ze swymi przysłowiami, na przykład. „Łatwiej grubowatego ocienkowacić, niż cienkowatego ogrubować”!

– Ciekawe, które sceny wydały się pani najśmieszniejsze?

– O, choćby ta scena z pisaniem dyktowanego listu: „Bardzo proszę, mocium panie, mocium panie, me wezwanie...”.

– Tego wszystkiego nie miałyście jeszcze tutaj w programie, prawda? Jak więc to pani sobie przypominała? – Zastanawiał się głośno profesor.

– Nie, nie miałyśmy... Myślę, że to dzięki temu, że widziałam te komedie na scenie, a nie tylko czytałam je kiedyś – doszłam do wniosku.

– A jak to tam dalej było? „Jeśli nie chcesz mojej zguby...”? – Zacytował.

– „Krokodyla daj mi, luby!” – Dokończyłam uradowana.

Obie panie przystanąły w drzwiach jadalni.

– Oto już jesteście na miejscu! – Obwieścił pan profesor uroczyście i, wymijając naszą wytrzymałą eskortę z lekkim cieniem uśmiechu, otworzył drzwi.

– Panie profesorze! – Spłoszyłam się trochę – a na ten egzamin, to pewnie mam się zgłosić już jutro? O której? – Pytałam – prawdę mówiąc – przerażona, jak to będzie wyglądał egzamin u takiego profesora, polonisty!

– Nie trzeba już, moje dziecko, nie trzeba. Egzamin już pani zdała.

Uśmiechnął się, jak gdyby udał mu się jakiś wspaniały figiel.

– Ja? Już? Zdałam? Egzamin? – Pytałam się z „błyskotliwą inteligencją”, trudno zaprzeczyć.

– Oczywiście. Całą drogę rozmawialiśmy o literaturze, prawda? Zdała pani. Dobrze. Gratuluję.

– Dziękuję! – Wykrzyknęłam, powstrzymując radosny zapał i pomyślałam. A, to ci heca!

Jeszcze lepsza heca była, gdy przysłała moja kolej na odbiór kolacji. Otóż po tamtej stronie okienka, uzbrojone w chochle, urzędowały obie „panie z podsłuchu”.

* * *

Jeszcze nie dotarłam do namiotu po kolacji, gdy wyskoczyła Krzysztofa:

– Alicja! *Congratulations*. Gratuluję pomyślnego egzaminu. – Zaczęła dłuższą owację.

– Którego, Krzysieńko, którego? Przecież zdałam już dwa: łacinę i polskie – dowiadywałam się ze skromniutką minką, a radość rozsadzała mnie na potęgę.

– Polskiego! Naturalnie, że z polskiego. Po pierwsze, że nas to wszystkie czeka. Po drugie, że tylko wy dwie z Krystyną jesteście już po tym koszmarze. Ale, co tam! Oto tutaj dla ciebie nagroda. Masz, pół kromki chleba z pastą rybną, czyli połowa mej kolacji; dodała uroczyście, ze wzruszeniem.

– Coś ty, Krzysztofa, daj spokój – zmieszałam się; nic dziwnego.

– No, no, wiemy, że ci egzamin świetnie poszedł – schlebiała mi ta przechera, a ja brałam to za dobrą monetę. O, naiwności ludzka!

– Skąd takie informacje? – Śmiałam się uszczęśliwiona.

– Ho, ho! Ma się te informacje. – Puszyła się Krzyśka tajemniczo.

– Wywiad działa. – Dorzuciła Marysia, która właśnie nadeszła.

– No, bierz chleb i wcinaj, jak ci dają! – Przynagliła Krzysztofa, jak gdyby w obawie, że długo tak nie wytrzyma obojętnie naprzeciw swojej połowy kolacji.

– Coś ty? Czyś ty chora? – Nie dowierzałam, coś mnie tknęło.

– Ta, gdzie! – Oburzyła się. – Ja się dzisiaj odchudzam. A ty jedz prędzej i chodź obkuć mnie do egzaminu! – Nie wytrzymała dłużej.

– No, wiesz! A ja myślałam, że ty to tak z czystej sympatii do mnie. Tak bezinteresownie. – Rozzaliłam się na nią.

– Ta, to ty chyba jesteś chora. – Zawyrokowała autorytatywnie. – Co tobie po głowie chodzi? – Zdziwiła się, całkiem szczerze. – Bezinteresownie ja bym się miała wyrzec kolacji? – Nie mogła się nadziwić.

– Podobno jedynie jej połowy? – Badała ze śmiechem Marysia.

– To i co z tego? Mucha dla słonia. Wielkie mi to porcje. A w dodatku obiad znowu był „pod zdechłym Azorkiem”. Ha! Bezinteresownie! – Kiwała głową z politowaniem. – Alinka to się nam udała, no nie? – Używała sobie dalej.

– Dość gadania! – Zdenerwowałam się. – Przestań wreszcie mówić na mnie „Alinka”! I w ogóle jedz sobie sama prędzej swój chleb z pastą rybną, jeśli mamy cokolwiek powtórzyć dzisiaj! Co ty sobie myślisz? – Dostało jej się.

– A widzisz! – Ucieszyła się. – Jak zjem swój chleb, bezinteresownie, to ty mnie zabierasz na porządny wykład, z przepytywaniem.

– Ku chwale ojczyzny! – Marysia podsumowała dyskusję.

Nielitościwy żar lał lipiec na nasze skołatane głowy, których naprawdę nie było gdzie skryć. Dni *chamsinu* tak duszne, że trudno było oddech złapać. Nasze popelinowe bluzki mundurowe już po pierwszej lekcji całe bywały „solone” od potu, zasychającego w białawe plamy. Letnie, drelichowe spódnice, niegdyś z radością wkładane, paliły nam uda, niczym rozżarzona, sztywna blacha, ale i tak były o niebo lepsze od tych wełnianych, ciemnych, nie mówiąc już o ćwiczebnych spodniach drelichowych czy o buciorach. Koce paliły każdego, kto spróbował ich dotknąć a prześcieradła, moczone i polewane dla złudnej ochłody, wysychały w mgnieniu oka.

– Wiecie, dziewczaki – odezwała się Dunda – w taki dzień – dziewiąty kolejnego *chamsinu* – Arab zostaje całkowicie uniewinniony za zabójstwo żony.

– A myśmy już kilka razy doliczyły się kolejnych siedmiu i raz ośmiu dni *chamsinu*! – Skonstatowała Wanda Bania, zgodnie z naszymi obliczeniami.

– Ciekawe, czy żona Araba też została uniewinniona? – Zastanawiała się Danka.

– Skądże! Według Mahometa kobiety nie mają duszy! – Włączyła się Nuna.

– A wy, z duszami, czy bez, chodźcie lepiej na repetycje. Matura na karku! – Przywoływała do rzeczywistości Alicja Pawlus.

– Niestety! I nikt jej nie odwoła, choćby wypadła nam w ósmy dzień cham-sinu – westchnęła Krysia Kalinka.

– Niewiele nam brakuje, abyśmy zostały bez dusz – ledwie zipnęła Stasia Spólnik.

– Daj spokój, Stacha! Popatrz na te biedne maturzystki, jak się powlokły! Ależ będzie im gorąco na maturze! – Martwiła się Zosia Grudzińska.

– Okropny termin, od czternastego do szesnastego lipca na pisemną. A potem ustna. Jak można myśleć podczas takiej spiekoty?

– Komisja też będzie ledwie żywa.

– Nam za to dobrze się powodzi. Tylko do siódmego.

– Tak, to już we środę. – Cieszyliśmy się, mimo koleżeńskiego stosunku do maturzystek.

– No, więc na ostatek jeszcze trochę trzeba by się pouczyć – wyraziła gotowość Marysia.

– Och, gdybym tak wreszcie mogła pozbyć się tej chininy – rozmarzyłam się w głos.

– Nie bredź, sama wiesz jakbyś wtedy wyglądała! – Oburzyła się Irka. – Już ja nie chciałabym tego widzieć.

– Ja nie lubię łaciny.

– Ty nie lubisz chininy. – Krzysia zaczęła rymować.

– A nikt mądry głupiej paplaniny. – Skończyła Mila, ale nikt nie miał siły się uśmiechnąć.

* * *

Wstrząsnęła nami wiadomość o śmierci generała Sikorskiego. Jak to? Dopiero co, w zeszły poniedziałek, rozmawiał z nami. Był tutaj, przyjmował defiladę, podszedł do naszych szeregów, jak gdyby nigdy nic. Nikomu do głowy nie przyszło, że został mu niecały tydzień życia. Ledwie zdążyliśmy wykupić fotografie, są jeszcze świeże, a on już nie żyje. Jeszcze kwitnie ten krzak róży, z której zerwał biały kwiat, co tak świetnie uchwycił fotograf, że wszystkie wybrałyśmy właśnie to zdjęcie. Teraz na nowo je oglądamy, jakby miało zaprzeczyć tragicznej wiadomości. Białej róży kwiat... Jak w Polsce, jak w żołnierskiej piosence, pewnie znanej mu z lat młodości, z lat tamtej wojny. Może nawet myślał o niej wtedy? Już polskiej róży nie zobaczy więcej. Zaczęły krążyć różne pogłoski na temat katastrofy w Gibraltarze, komentarzom, domysłom i dyskusjom nie było końca.

Zapatrzone w swoje zeszyty, przejęte maturą i końcem roku szkolnego, wy-

popomowane przez słońce i chamsiny, zapominałyśmy na chwilę, że poza opiekuńczymi skrzydłami szkoły szaleje wojna, skrywając czasem przed nami swe diabelskie oblicze. Co chowa w zanadrzu, co szykuje w swym nienasyconym i zwyrodniałym umyśle? Nie da zapomnieć o sobie. Nie wolno! Nikt nie może być pewny ni dnia, ni godziny. I co dalej? Kto będzie Wodzem Naczelnym, kto premierem? Z kim będą się liczyć alianci, a z kim wrogowie? Niepokój szarpie naszymi sercami, nie potrafimy sobie wyjaśnić wielu spraw, chociaż jesteśmy prawie dorosłe, ale jak tu się połapać w trudnym świecie?

Co do wodza, głosy są podzielone. Jedni sądzą, że naczelnym zostanie generał Kazimierz Sosnkowski, inni, że generał Władysław Anders. Wtedy docierają jakieś plotki na temat cichych rozgrywek personalnych, ale okazuje się, iż nikt nie wie nic konkretnego, że prawdopodobnie to tylko wroga propaganda. Wieczorem oblegamy panią Haneczkę, naszą wychowawczynię, szukamy jakichś wyjaśnień, przecież jest historyczką, a w historii tak wiele się działo. Tylko, że na temat najnowszej historii dość długo nie wie się wszystkiego, a przyszlą jeszcze trudniej przewidzieć.

Wtorek, szóstego lipca, ten ostatni przed wakacjami, był dniem wolnym od lekcji. Mieliśmy mszę żałobną za generała Sikorskiego.

Siódmego lipca, po mszy świętej, na której uczestniczyłyśmy wspólnie z kadetami, miałyśmy zakończenie roku szkolnego. Potem pani Haneczka rozdała nam świadectwa. Niestety nie wszystkie koleżanki ukończyły tę pierwszą licealną. Pierwsza odeszła Lonia Blok, w kwietniu, chociaż łudziłyśmy się, że po chorobie będzie mogła wrócić do szkoły. Według lekarzy należało się cieszyć z „wyrzebania się” Loni z ciężkiego stanu. Kolejna – Jadzia Jezierska – chorowała kilka miesięcy, była w sanatorium, do szkoły już nie wróciła. Podobno wyzdrowiała i potem wyszła za mąż. Ostatnia odeszła Irka Szczepańska. Przez kilka tygodni walczyła ze śmiercią, chora na zapalenie opon mózgowych, podobnie jak Lonia. Rodzice Irki mieszkali wtedy w Tel Aviv. W tym trudnym okresie zdarzało się nam spotkać z nimi. Na szczęście Irka wyzdrowiała. Znałyśmy się od czasów naszej pierwszej gimnazjalnej (1934 – 1935), razem chodziłyśmy do Szkoły Sióstr Nazaretanek przy Unii Lubelskiej, gdzie mieścił się internat, w którym mieszkała Irka.

Jednak powróćmy do świadectw. Co do mojego, jest akurat takie, na jakie zasłużyłam. Stopnie bardzo dobre mam dwa, z religii i przysposobienia wojskowego. Dostateczne, z historii, z zagadnień życia współczesnego i z języka angielskiego, zaś dobre figurują przy pozostałych siedmiu przedmiotach. Świadectwo jest udekorowane wizerunkiem orła i zaopatrzone aż w pięć pie-

czątek, w tym dwie są polsko angielskie (okrągła i podłużna), o tej samej treści: „Dowództwo Szkół Junaków – *Polish Young Soldiers Batalion*”, kolejna jest podłużna „Gimnazjum i Liceum Młodszych Ochotniczek”, dalej pieczętka naszej komendantki „Komendantka Szkoły Młodszych Ochotniczek – mgr Teodora Sychowska”. Największa pieczętka opiewa ustawę dotyczącą pełnych praw państwowych przyznanych szkole.

Pooglądałyśmy swoje świadectwa wytrwałej pracy i tych niezwykłych okoliczności, w których powstały. To przecież dokumenty naszych, polskich wysiłków, mających na celu przeciwstawienie się wrogowi, dążącemu do zagłady narodu, jest to wspólna i równocześnie osobista odpowiedź na zakusy zaborców. To ślad nie tylko woli przetrwania, lecz przede wszystkim walki o wolność, do której mamy prawo. Cieszę się, gdyż Wandzia na pewno będzie zadowolona z owych wysiłków i ze zdobytych przeze mnie ocen. To jest bardzo konstruktywne.

Tylko Lidka i Marysia nie zostały sklasyfikowane, mają to jeszcze przed sobą. Lato jest tutaj niemiłosiernie upalne, będą musiały zdobyć się na wiele wyrzeczeń, podporządkowując wakacje nauce. Nie mam wątpliwości, że Marysia upora się ze wszystkim, tak jak postanowiła. Nie zwalnia ani na chwilę tempa pracy, staramy się jej nie przeszkadzać, a nawet pomagamy, udostępniając swe notatki oraz, jeśli zajdzie taka potrzeba, dodatkowo wyjaśniając.

Co do Lidki, sprawa wygląda inaczej. Najgorsze jest to, że nie wierzy we własne siły. Zadeklarowałam, że chętnie podejmuję się przerobić z nią całą pierwszą klasę, wszystko, co tylko zechce, i zrobię to najlepiej, jak potrafię. Gdy oponowała twierdząc, że marnuję wakacje, wyjaśniłam, że takie korepetycje traktuję jako powtórkę materiału do matury, która już mnie ominie w krytycznym, końcowym terminie, dzięki czemu drugą klasę będę przerabiała normalnie, na bieżąco, a to dla mnie „czysty zysk”. Lidka z początku szczerze się ucieszyła z mojej propozycji, toteż uspokoiłam się sądząc, że dała się przekonać. Po trosze poczuwałam się do obowiązku z powodu wdzięczności wobec jej ojca i braci – za opiekę w drodze z Urdzaru do Ajaguzu – ale także z czystej przyjaźni względem Lidki, która potrzebowała wsparcia. Jednak już na drugi dzień okazało się, że Lidka ma zamiar starać się o zezwolenie na spędzenie wakacji u ojca, w Tel Aviv. Bagatela, pięć kwadranów drogi od Quastiny. Nawet Marysia zdecydowanie odradzała jej tak długi pobyt poza szkołą. Parę dni, to co innego. Zauważyła też, że skoro Lidka uznała za kłopotliwe obciążanie mnie powtórkami, które w przypadku przedmiotów maturalnych na pewno by mi nie zaszkodziły, to mogą wspólnie uczyć się wszyst-

kich przedmiotów; przecież obie mają zdawać. Bardzo to było koleżeńskie ze strony Marysi, o której wiem, że woli pracować sama a mimo to oferowała pomoc. Lidka dziękowała ze wzruszeniem, ale zastrzegła, że ostateczną odpowiedź da po powrocie z przepustki, którą wzięła na dwa dni.

Wakacje

8. 07. 1943. Imieniny Elżbiety. Wspominam je wszystkie, co z nimi? W pierwszy dzień wakacji pojechałam do najbliższego miasta, do Rehovoth. Miałam naprawdę szczęście. Spotkałam panią Miłę Rodzynkiewicz, która pracowała z Wandą w Szefostwie Budowlano Kwatermistrzowskim w Kanequinie, w Iraku. Przekazała mi list od Wandzi, z trzydziestego czerwca, osiemnasty, pisany po obu stronach kartki, jak za „normalnych” czasów, i długi na szesnaście stron. Jest optymistyczny i nie wygląda, że jedynie „na moją intencję”. Widocznie Wanda czuje się znacznie lepiej, jest pełna energii i zapału, jak dawniej. Bogu dzięki! Całkowicie przejęta organizowaniem harcerstwa i Sodalicji Mariańskiej usiłuje, wraz z kilkoma najbliższymi koleżankami, tchnąć w nie nowe życie. Owych organizacji dotąd tam nie było. Teraz odnalazły się niektóre koleżanki, inne, chętne, posłużyły się „szóstym zmysłem” i rozpoczęły swą działalność. Ułożyły program, nie brak im pomysłów, traktują wszystko bardzo serio. Miały już zbiórki harcerskie a sodalicja zebrania. Są zadowolone, pełne entuzjazmu. Takie organizacje powstają z potrzeby serca, spontanicznie zakładane przez młodych, dowodzą żywotności. Mam nadzieję, że u nas w szkole też takowe powstaną, gdy tylko okrzepnie niełatwy etap formowania się placówki.

Od Leonidasa był list trzydziesty drugi, odpowiedź na mój dziewiąty. Okropnie im się ta pustynia iracka daje we znaki. Nad listem od Włodka, piątym, zadumałam się najdłużej. Przypomina mi się wiersz Adama Mickiewicza, którym w dalekim stepie tak zachwycaliśmy się z Elcisą, że „nauczył nam się sam na pamięć”. I oto narzucają mi się znowu zwrotki Niepewności. „I znowu sobie powtarzam pytanie: | | Czy to jest przyjaźń? Czy to jest kochanie?”

Do późna gadałam z Irką Świstunowicz, która, zamknięta w sobie, od czasu do czasu chętnie się z kimś dzieli myślami. Bardzo ją lubię, jest poważna, można na niej polegać. Przypomniałyśmy sobie rozważania Barbary Niechcic, snute pod koniec *Wiecznego zmartwienia*, zwieńczone refleksją, która i nam trafiła do przekonania: „I dlaczego ja się właściwie martwię?” Naprawdę, dlaczego? To przecież i tak nic nie zmieni, nie pomoże w niczym.



Zefiryra Zych od jakiegoś czasu często pojawiała się na mej drodze, aż zaczęło mnie to zastanawiać. Właśnie miałam zamiar zagadnąć ją w tej sprawie, gdy zaproponowała mi wspólny wyjazd na przepustkę do Jerozolimy, ów wypad planowała na niedzielę. Nie miałam na ten dzień służby podoficera obozu czy też łącznikowego, żadnego dyżuru, ani warty, toteż zgodziłam się na tę przejażdżkę. Ledwie z przepustkami wyszliśmy na szosę do wczesnego autobusu, gdy nagle wielkie wojskowe auto zatrzymało się tuż przed nami. Mocno opalone dłonie pomogły nam wspiąć się do ciężarówki; znalazło się miejsce, na ławce. Żołnierze przyjaźnie się uśmiechali, wskazując nasze naszzywki na ramieniu z napisem „Poland” i swoje „Greece”; w ten sposób przedstawili się jako Grecy.

– Tel Aviv? – Zapytałam o kierunek ich jazdy.

– Tel Aviv. – Odpowiedzieli wesoło.

Doszliśmy do wniosku, że ich znajomość języka angielskiego jest mniej więcej taka jak nasza, toteż uspokoiłyśmy się, że nie grozi nam uciążliwa konwersacja. Grecy śpiewali całą drogę narodowe pieśni, nie słyszałyśmy takich dotąd. Przed Tel Avivem jedna z nich, długa i rzewna, jakoś szczególnie nam się spodobała, głównie ze względu na urzekającą melodię, w którą wsłuchiwałyśmy się niemal z chciwością. Może któryś z nich zauważył nasz zachwyt, bo poszeptywali między sobą, a jeden odezwał się do nas:

– *Do you like it?* (Czy wam się to podoba?)

– *Very much!* (Bardzo!) – Odpowiedziałyśmy zgodnym chórem.

Wtedy z uśmiechem zrozumienia, z zapalem, powtórzyli swą prześliczną pieśń, która pewnie wyraża tęsknotę za krajem ojczystym, przepelniona jest powagą i zadumą, równocześnie brzmi siłą i wzruszeniem. Piękna. Zachęcali nas do śpiewania, do nauczenia się jej, więc zaczęłyśmy nieśmiało nucić, a oni cieszyli się, że ich pieśń tak nas urzekła samą melodią. W Tel Avivie pożegnali nas z pieśnią na ustach, salutując i machając przyjaźnie, gdyśmy już wysiadły i dziękowały za autostop i śpiew. Tam też wsiadłyśmy do autobusu jadącego do Jerozolimy. Po drodze mogłyśmy obserwować miasta i wsie, całkowicie różne od polskich, żadnych drewnianych chat, strzech, studni, kapliczek przydrożnych. Albo samotne jurty arabskie, zagubione – wraz ze stadkiem owiec i kóz – wśród pastwisk i nieużytków, albo równiutkie rzędy *pardesów* na płaskich terenach i pięknie utrzymane winnice na łagodnych stokach, nachylonych ku słońcu.

Mogłyśmy też swobodnie rozmawiać, a czułam, że Zefiryńska ma na to

ochotę. Opowiedziała mi o sobie. Jest góralką, pochodzi z wielodzietnej rodziny. Ojciec odnalazł się, jest w Wojsku Polskim, a Zefiryńka trafiła do szkoły junaczek jeszcze w Karkin Batasz. Matka i młodsze rodzeństwo zostali w kołchozie, nie zdążyła ściągnąć ich do Uzbekistanu. Zefiryńka, osiemnastolatka, właśnie skończyła gimnazjum i postanowiła udać się do Jerozolimy, aby podjąć bardzo ważną decyzję.

– Jaką decyzję? – Zapytałam, skoro już tak wiele mi powiedziała.

– Na całe życie – zaczęła. – Widzisz, byłam już kiedyś w Jerozolimie. Bardzo mną wstrząsnęła Golgota. I tam właśnie poznałam polskie zakonnice, które od lat mają w Jerozolimie swój klasztor.

– Czy może siostry nazaretanki? – Zaciekawiałam się, jako niedawna wychowanka.

– Nie, elżbietanki. Rozmawiałam już wtedy z nimi. Wiesz, to spotkanie, właśnie w chwili, gdy błagałam Pana Boga o ratunek dla rodziny... Spotkanie z polskimi zakonnice, właśnie u Grobu Chrystusa, musiało być zrządzeniem Opatrzności.

– Albo prostym dziełem przypadku – nie byłam pochopna w wyciąganiu tak daleko idących wniosków.

– A wiesz, ja to przyjąłam, jako wskazanie życiowej drogi.

– Powiedziałaś o tym zakonnicom?

– Tak, Powiedziała. Chciałam wstąpić do klasztoru i o tym mówiłam. Chodziłam jeszcze do szkoły, więc stanęło na tym, że ją najpierw ukończę – przyznała z niejaką przykrością.

– O, to bardzo mądrze! Jak by nie było – ucieszyłam się, trochę przerażona, że dziewczyna może przedwcześnie podjąć tak ryzykowną decyzję, zrobić ten nieodpowiedni krok.

– Wiesz, może myślały, że ja to tak pod wrażeniem chwili, że może sama świadomość, że to jest ta prawdziwa Golgota, natchnęła mnie pomysłem, który nie wytrzyma próby czasu.

– Czy dały ci to odczuć? – Badałam.

– Niby nie... Tylko ta starsza tak mi powiedziała: „Jeżeli pani decyzja nie zmieni się po ukończeniu szkoły, proszę się do nas zgłosić”. Wiesz, to „jeżeli” było takie wymowne.

– Możliwe.

– Koniec roku szkolnego miałyśmy siódmego czerwca, potem miałam służbę, wczoraj dyżur, a dzisiaj już mamy jedenastego lipca. Sama rozumiesz, że bezpośrednio po ukończeniu szkoły łatwiej będę się mogła wystarać o zwolnie-

nie z wojska. Ja byłam junaczką, ale po skończeniu osiemnastu lat i ukończeniu gimnazjum podlegam poborowi do PSWK. Teraz jest właściwy moment, aby to załatwić, zanim będę podlegała Komendzie PSWK, zaś tutaj Dyrekcja i Komenda SMO nie odmówią w tej sprawie swojej uczennicy. Rozumiesz? – Tłumaczyła.

– Zefiryńko, a co twój ojciec na to? Czy się już przyznałaś? – Dociekałam.

– Naturalnie. Naprzód powiedział, że trudno mu coś doradzić, jak gdyby się bał, abym kiedyś nie żałowała. Uważa mnie już za trochę lepiej wykształconą, z małą maturą, ale gdy przekonywałam, że rzeczywiście tego właśnie pragnę – poświęcić życie Bogu, w intencji naszej rodziny i całej umęczonej ojczyzny – był bardzo wzruszony. Uważa, że prawdziwe powołanie jest wielką łaską i człowiek pójdzie za tym głosem, choćby mu to wszyscy odradzali.

– A czy jesteś tego zupełnie pewna, że to jest to „prawdziwe powołanie”? Może to tylko taka gotowość do poświęcenia się, do całopalenia „na intencję”? A nie ta nieodparta potrzeba całkowitego odizolowania się od świata, wynikająca z wewnętrznych predyspozycji? Skąd to wiesz? Może się mylisz?

– Rozmawiałam ze spowiednikiem. A dzisiaj będę rozmawiała z zakonnikami.

– Zefiryńko, bój się Boga, ty nigdy nie wrócisz do kraju? – Uzmysłowiłam to sobie dokładnie.

– Bóg jest wszędzie, moja droga, a Ziemia Święta będzie moją drugą ojczyzną.

– Nie zobaczysz nigdy mamy, rodzeństwa. – Lamentowałam.

– Może za to wyblągam Pana, aby one zobaczyły ojca. Aby zdrów i cały wrócił do Polski, i mama, i cała reszta. Aby oni wszyscy przeżyli zesłanie i powrócili do kraju, którego ja już nie ujrzę.

– Ja nie zdecydowałabym się na zamknięcie w klatce.

– Dobrowolne zamknięcie, Alu. Dobrowolne. – Dodała z naciskiem.

– Ale zamknięcie! Człowiek na szerokim świecie może mieć więcej okazji do czynienia dobra i do pomagania bliźnim, niż odcięty od świata. Czy tego nie bierzesz pod uwagę? – Argumentowałam, jak tylko potrafiłam.

– Z tym się zgadzam. Przyznaję ci rację. I ty przyznaj mi rację, że każdy człowiek musi znaleźć swoje miejsce w życiu. A moje jest w klasztorze.

Rozmowa zakonnicy z przyszłą elżbietanką odbywała się przy mnie, w rozmównicy, trwała długo. Matka przełożona, obserwując mnie badawczo, zapytała, czy też chcę się poświęcić służbie klasztornej. Kiedy poinformowałam ją uprzejmie, że nie jestem pewna, czy się do tego nadaję, zabrała Zefiryńkę, by

zapoznać ją z klauzurą. Pozostawiona sama sobie, analizowałam przebieg ledwie przebrzmiałej rozmowy. „Służba klasztorna” zabrzmiało mi podobnie do „służby wojskowej”. Dawniej o klasztorze mówiono „służba Bogu”.

Zefiryńka zameldowała, że już ukończyła gimnazjum.

– To się pewnie przyda w klasztorze. Będę się dalej kształciła, będę pracować, mam też początki angielskiego – entuzjazmowała się dziewczyna.

– Tak, pracować, oczywiście. My tutaj wszystkie pracujemy. Ale jakąż to pracę spodziewasz się ty dostać, wśród obcych, posiadając jedynie świadectwo ukończenia polskiej szkoły średniej? I to ogólnokształcącej, nie żadnej zawodowej, dającej jakiś konkretny zawód.

– Ja jestem gotowa zdobyć zawód, uczyć się wszystkiego, co jest potrzebne. Będę się uczyła i pracowała – deklarowała.

– Widzisz, moje dziecko, to nie o to chodzi. Nam najbardziej ze wszystkiego są potrzebne młode ręce do pracy i młode siły. Nie ma nas tutaj zbyt wiele, w naszym klasztorze, ale zupełnie nam brak młodych i silnych. Jeżeli chcesz się zdecydować, musisz o tym wiedzieć, być przygotowana.

– Tak. Dobrze.

– Czy jesteś gotowa na każdą, nawet najcięższą robotę?

– Tak. Jestem gotowa – odpowiedziała z powagą.

– A czy masz na to odpowiednie zdrowie i siły? Do nieustannej pracy?

– Tak, naturalnie – zapewniała Zefiryńka, niczym nie zrażona.

– I nie boisz się pracy fizycznej?

– Ależ nie. Z radością przyjmę każdą i będę wszystko wykonywała.

– A czy wytrzymasz zamknięcie, odejście od świata?

– O, miłsza mi cela klasztorna. – Rozmarzyło się dziewczę, a ja się temu nie dziwiłam. Na skutek dotychczasowego życia – teraz skoszarowanego, a wcześniej parę lat w ciżbie przypadkowych współmieszkańców – można marzyć o własnym, samotnym kąciku, który byłby azylem od wszelakiego tłumu.

– Czy jesteś gotowa do przyjęcia surowej dyscypliny zakonnej, do podporządkowania się jej nakazom?

– Tak, znam dyscyplinę i jestem przygotowana na wszystko.

– I wyrzekniesz się kontaktów ze światem, z przyjaciółmi, aby całkowicie poświęcić się Bogu, pracy i modlitwie do końca swych dni? – Indagowała matka przełożona, a mnie się zdawało, że pytania układają się w litanię zastrzeżeń i przestróg – z jednej strony – oraz przyrzeczeń, zapewnień, zafascynowania, z drugiej. Przeraziła mnie ta myśl.

– Wyrzeknę się wszystkiego – szepnęła Zefiryńka.

Gotową do posłuszeństwa i ofiar, z nieziemsko uduchowioną twarzą, młodą dziewczynę w wojskowym mundurze chwyciła mocna, starcza ręka, wyłaniająca się z habitu, by po chwili wielką, klasztorną furtą odgrodzić obie postacie – tę w habicie i tę umundurowaną – od tego niegodnego świata. Pozostałam oszołomiona. Długo czekałam. Za długo wychowywałam się w cieniu klasztornych murów, aby nie mieć pojęcia o tamtejszym życiu. W dzieciństwie rozumiałam je jako przebywanie w cichej kaplicy, wśród zapachu kwiatów, kadzideł, monottonnych modłów, recytowanych na głosy lub śpiewanych przy dźwiękach fisharmonii, wśród religijnych uniesień, otwierających duszę na najwyższe sprawy. Tymczasem tutaj odsłonił mi się jakiś inny obraz owego życia. Oto ujrzałam zgromadzenie starych, samotnych, często zniedołężniałych lub schorowanych kobiet, wtłoczonych w trudne klasztorne bytowanie, w dodatku w ciężkim klimacie, gdzie pomoc i opieka młodych rąk stałaby się dla nich ratunkiem, o który pewnie się modlą, kiedy brakuje im sił. Przerażona byłam entuzjazmem i stanowczością Zefiry, a najbardziej tym, czy jest w stanie podołać takiemu życiu. Czy nie wyjdzie stąd kompletnie załamana, po okresie próby, z poczuciem niezawinionej winy, kiedy się okaże, że się przeliczyła z siłami? Tak przecież może się zdarzyć. To decyzja, „na całe życie”. Wiem, że po nowicjacie jest czas na ostateczną decyzję, ale z jakim samopoczuciem odchodzą z klasztoru te, które nie zdecydują się na śluby wieczyste? Jak biednej, małej Zefiry, zagubionej na szerokiej drodze życia, obiektywnie przedstawić ów problem? Czy na pewno odnalazła swą drogę? Czy tego się od życia spodziewa, a raczej, chce mu to od siebie dać? Poczulałam w głowie zamęt.

W drodze powrotnej dowiedziałam się, że Zefiryna zdecydowała się pójść do elżbietanek i od poniedziałku przystąpi do załatwiania wszelkich formalności, począwszy od rozmowy z panią komendantką i z panią dyrektorką szkoły, co uważałam za bardzo rozsądne i pocieszające. Oprócz oficjalnego wystąpienia z wojska miała zamiar ustalić z ojcem kwestię wyposażenia w odzież obowiązującą w klasztorze, aby zgodnie ze zwyczajem zapewnić ją sobie na możliwie długi okres, no i kwestię pieniędzy, na które – jak twierdzi – będzie mogła liczyć.

– Jak to pieniędzy? – Dziwiłam się.

– Matka przełożona wytłumaczyła mi, bo ja też nie rozumiałam – przyznała.

– A więc?

– Wiesz, odzież, to rozumiała. One są biedne, no, te zakonnice. Elżbietanki częściowo żyją z kwesty. Z czego mogą tutaj żyć?

– Nie pracują nigdzie, nie zarabiają?

– Niektóre jeszcze pracują, najmłodsze, to znaczy te „najmniej stare”, w szpitalu. To jednak nie może wystarczyć dla wszystkich, rozumiesz? Te wszystkie starszki nie są już zdolne do żadnej pracy. Przeciwnie, przy nich jest wiele roboty. Parę posługaczek szpitalnych nie może zarobić na klasztor, rozumiesz przecież – tłumaczyła mi z przejęciem.

– A więc matka przełożona spodziewa się, że twój ojciec będzie ci czasem przysyłał jakieś zasiłki? – Domyślałam się.

– Stałą pensję! – Poprawiła.

– Stałą pensję? – Nie mogłam ukryć zdziwienia.

– Właśnie o to chodzi.

– A jeśli odmówi? – Nie wytrzymałam.

– Skądże by, Alu! Ty nie znasz mojego taty. Nieba by mi przychylił. Zresztą siostra mnie uspokoiła, że z pewnością chętnie będzie się ze mną dzielił, bo w wojsku i wyżywienie ma, i odzież, i kwaterunek, więc na takie potrzeby już nie wydaje. Mój tata nigdy nie tracił pieniędzy, wiesz, więc na pewno będzie się cieszył, że mi pomaga, tak jak się cieszy z mojego powołania. Pieniądze nie są mu potrzebne, bo i po co, powiedz sama.

– Po co? A choćby na paczki do rodziny. Chyba nie zapytasz mnie, po co wysłać paczki twojej matce i siostram? A na to są konieczne pieniądze, prawda? – Zawołałam.

– Paczki? Można wysłać jakieś paczki? A na jaki adres? – Zefiryńka była zaskoczona i zmartwiona. – Nie mamy ich adresu.

– Prawie wszyscy się pogubili, ale mnóstwo ludzi odnajduje się poprzez Polski Czerwony Krzyż, Biuro Rodzin Wojskowych, międzynarodowe jednostki Czerwonego Krzyża, przez znajomych, nawet przez przypadek. Ty też z pewnością ich odnajdziesz, albo twój ojciec. Na poszukiwania niewiele potrzeba, ale gdy tylko się już odnajdą, wtedy trzeba będzie dużo pieniędzy, aby skutecznie pomóc.

– Tak, oczywiście.

– A, widzisz! W wojsku masz żywność, odzież, kwaterunek. Ojciec nie musi łożyć na ciebie, masz kieszonkowe, czyli żołd, który wystarcza na mydło, pastę do zębów i do butów, a nawet na wycieczki; od czasu do czasu. Mógłby składać na pomoc rodzinie, gdy tylko to stanie się możliwe. A wobec miesięcznej pensji, którą miałby zadeklarować tobie do klasztoru...

– Muszę porozmawiać z ojcem – jęknęła.

– Jestem pewna, że musisz. Ja to bym tak streściła, że tam, harując od rana do nocy, nie zarobisz na łyżkę stawy, o czym ciebie siostry zapewniają z góry, tylko jeszcze będziesz wyciągała pieniądze od ojca, i to nie wiadomo, jak długo.

– Ależ Alu, nie można w sposób interesowny patrzeć na sprawę! Pieniądze to nie wszystko.

– To dlaczego każą twojemu ojcu dopłacać do twojej pracy, do owej harówki? To chyba nie ja patrzę interesownie na całą sprawę. – Wstąpił we mnie duch przekory.

– Widzisz, wszystko rozumiałaś inaczej. Nie powinnam ci była tego mówić – szczerze zmartwiła się Zefiryńska, solidaryzując się już z klasztorem.

– A właśnie, że dobrze się stało. Ja ci pokazuję inny punkt widzenia, byś i ten mogła rozważyć. Chyba to logiczne, prawda? – Zachęcałam strapioną.

– Po twojemu, być może, tylko, że moją pracą w klasztorze, dla klasztoru nie zdobędę ani milsa na własne wyżywienie i koszt utrzymania, jeśli ci o to idzie.

Wyczułam, że jest bardzo zmęczona. Jechałyśmy jakiś czas w ciszy. Rozmyślałam nad młodziutką kandydatką do stanu zakonnego i coraz bardziej było mi jej żal. Oto dziecko gór, przejeżdżając czarownie piękną serpentyną „Siedmiu Sióstr” pod Jeruzolimą, wspomina lata dziecinne. Rzucone zostało na Golgotę, aby tutaj podjąć decyzję o wstąpieniu na swoją drogę krzyżową. Ileż cierni ją czeka? Ile rozczarowań? Chociaż, co prawda, nigdy nie wiadomo, ile tego czyha na tak zwanym szerokim świecie.

– Wiesz – uśmiechnęła się nagle – najlepiej pomodlę się do Ducha Świętego, aby mnie oświecił – zwierzyła się rozpromieniona, jak gdyby już znalazła rozwiązanie problemu i dzieliła się ze mną odkrytą tajemnicą.

– Dobrze, pomódl się. – Odpowiedziałam i przyszedł mi do głowy cytat z Marii Konopnickiej. „I niechaj ci się stanie wedle wiary twojej”.

* * *

W poniedziałek odwiedził nas Adaś Zaniewski, świetny kolega z czasów urdzarskich. Obecnie Adaś jest w Trzeciej Dywizji Karpackiej, podobnie jak większość naszych chłopców z Urdzaru. Trafili do Dziesiątej Dywizji w Ługowoje (Uzbekistan), ową jednostkę scalono z Brygadą Karpacką i tak powstała Trzecia Dywizja Karpacka.

Marysia Parczewska niefortunnie uderzyła się w paluch u nogi, że aż

spuchł. Zaprowadziłyśmy ją do izby chorych, nazajutrz znalazła się w szpitalu angielskim. Paluch złamany, zagipsowano nogę do kolana. Okropne na czas lata. Znów byłam u dentystki. Stale mam kłopot z zębami wskutek przebytego szkorbutu. Ratuję i plombuję, co się da. Krysia Andrzejowska ma jeszcze gorsze zęby, chyba będzie musiała zdecydować się na usunięcie ich i założenie i protezy, więc i tak nie mam co narzekać.

W środę pojechałam z Krysią do obozu w Al Mugar, gdzie oprócz kompanii szoferek w czarnych beretach, mieścił się Ośrodek Zapasowy PSWK na teren Palestyny. Krążyły pogłoski o przybywających z Iraku jednostkach, toteż chciałam się dowiedzieć o Wandę. Okazało się, że jej jednostki jeszcze tu nie ma. W obozie spotkałam Dankę Kaliszczak, z którą kiedyś byłam w jednej klasie (u Panien Benedyktynek Łacińskich), potem chodziłyśmy razem do liceum pedagogicznego, ostatni raz widziałam ją w transporcie do Kazachstanu w 1940 roku. Teraz jej włosy srebrzą się siwizną. Danka starała się o zezwolenie na odkomenderowanie do naszej szkoły, bezskutecznie. Opowiedziałam jej tyle ciekawych rzeczy, że postanowiła spróbować jeszcze raz. Pamiętam jej wytrwałość. Mam nadzieję, że dopnie swego.

Po południu Krysię Andrzejowską odwiedziła siostra Barbara. Przyniosła jej własnoręcznie zrobioną na drutach kamizelkę, na którą przeznaczyła dwie pary fasowanych, popielatych wełnianych skarpet. Bardzo nam zaimponowała, a zauważywszy, jakie robi na nas wrażenie, roześmiała się tłumacząc, że taką robótką zajęła się z nudów. Barbara pełni funkcję kierowniczką magazynu mundurowego. Przesiadując całymi dniami w magazynie – odcięta od książek – znajduje czas na takie zajęcia.

Nasze maturzystki szykują się do pisemnego egzaminu z polskiego. Po południu Urszula Szczurek, roztargniona, przyszywała guziki do frencza. Siedziała na pryczy i chłonęła temat analizowany przez koleżanki, maturzystki. Potem gdzieś wyskoczyła, a gdy po powrocie położyła się na łóżku, zerwała się z krzykiem, wrzeszcząc „dzikim głosem”, jak później mówiono. Okazało się, że zostawiona igła weszła jej między zębra. Zaalarmowano służbą i szybko zawieziono Ulę do szpitala. Igła wbiła się w płuco. Nie obeszło się bez operacji i dłuższego leżenia; matura, niestety, przepadła.

– Trzeba było jej przyłożyć magnes do boku. – Zakpiła jedna z miłych koleżanek, czego mimowolnie byłam świadkiem.

– Dajcie spokój! Przecież ta zapomniana igła mogła wpakować jej się do serca! – Denerwowałam się.

– Niemożliwe, zajęte. – Odezwała się druga.

- To jeszcze nie tak groźne jak matura. Zwłaszcza z łaciny i matematyki.
- Przedrzeźniała inna.
- Jesteście bez serca. – Wypaliłam.
- A ty nie? – Powątpiewała któraś.
- Ja? Czy to ja się nabijam z chorej koleżanki? I to poza jej plecami! Leży biedaczka w szpitalu – zaczęłam.
- Phi! Biedaczka? Leży sobie „jak ta hrabina”, w szpitalu chodzą koło niej, ma te wykrochmalone, angielskie *nursy* na każde kiwnięcie palcem.
- I tych lekarzy w bieli – rozmarzyła się któraś.
- Ma czyściutko, wszystko podane.
- A my tu, piach w oczach, piach we włosach, piach w gardle – przerywały jedna drugiej.
- Barak szpitalny zacieniony, przewiewny – słychać było westchnienie.
- Prażymy się pod tym brezentem, że ani tchu...
- Biedaki, jutro będziemy się pocić przy maturze.
- Co tam, Urszula to ma dobrze!
- Biedaki, biedaki! To może byście tak i wy spróbowały, zazdrośnice jedne? Lu! Komu igłę w bok? – Wyrąbałam.
- Ach, ty z cicha pęk! – Rzucono gdzieś i uderzono mnie bawełnianą niby – poduszką.
- A, masz! Ty obrońco uciśnionych! – Dostało mi się z drugiej strony.
- I ode mnie! Ty, ty, nawiedzenie chorych! – Tym razem niby zagłówek bęcnał w moją stronę, rozsypując białe, wełniane, fasowane podkoszulki i takie majtadały.
- Ta joj! – Pisnęłam raczej nie za cicho. – Uciekam z tej klatki papug. Wrzaskliwych i zazdrośnych papug. – I wyskoczyłam z namiotu nieszczęśnych maturzystek, zanim cały utonął w rozsypanych *dessous 'ach*.
- W czwartek maturzystki pociły się nad pisemnym egzaminem z historii. Tymczasem ja wybrałam się z Zuzią do Gedery. Wandy jak nie ma, tak nie ma. Spędziłyśmy czas na pogaduszkach z Adasiem. W piątek pisano łacinę. Poczta przyniosła mi trzydziesty trzeci list od Leonidasa. Przerabiałymy sobie fartuszki szkolne, którymi obdarowała nas jakaś polska organizacja charytatywna. Były z rzadkiego i przewiewnego materiału, jasny *khaki*. Pozwolono nam je nosić na terenie obozu, zamiast mundurów. Oczywiście, musiałyśmy je dopasować. Maturzystki zdawały matematykę jako ostatni przedmiot egzaminu pisemnego. Zuzia umówiła się z Adasiem na wspólny wyjazd do Tel Avivu. W niedzielę i ja się tam wybrałam z Krysią i z Krzysztofą. Cieszyło nas

spacerowanie po deptaku wzdłuż plaży, rozmarzył nas wiatr, widok morskiego błękitu, spacer po mieście, zagładanie do sklepów, oglądanie wystaw, słowem korzystanie z wolnego czasu.

Spotkałam Halinkę, zwaną Tumbą, i Wiesię Klink, która „porwała mnie”, nie widziałyśmy się bowiem od pożegnania w Urdzarze. Krysia z Krzyšką poszły do sklepów, pożegnałam je i z Wiesią wróciłam nad morze. Tam spotkałyśmy Wojtkę, znajomego Lidki, a potem Adasia z paczką kolegów podchorążaków, Leszkiem i Ryśkiem – przed wojną student – Zuzią i Jurkiem Parylewiczem. Wracałyśmy całą ferajną. Nie złapaliśmy bezpośredniego autobusu i dłuższą część trasy kombinowaliśmy autostopem, jadąc odcinkami, by na ostatek maszerować szosą, z pieśnią na ustach.

Zmrok szybko zapada, egzotycznie brzmiały polskie piosenki, które śpiewaliśmy, idąc drogą obramowaną bryłami wysokiej, kaktusowej opuncji, gdzieś niedługo przeplatanej mgiełką drobnych listków, rosnących na smukłych i delikatnych drzewkach pieprzu. Czasami któraś z palm wdzieriała się w niebo, wicherząc, wysoko nad pnem, ciemnym pióropuszem liści. Jakież to odmienny krajobraz, zupełnie inaczej wyglądały nasze drogi, gdy się tak maszerowało w zapadającym mroku, po kolacji. Takie spacerowanie należały do stałego rozkładu zajęć harcerskiego obozu; chyba tylko deszcz mógł nas od nich odwieść. Nagle usłyszałam nieznaną piosenkę *Zmęczone róże w ogrodzie śpią*. Skończyli zwrotkę i zaczęli refren, którego melodia wydała mi się znajoma. „Czekam cię! | | Co dzień i co noc czekam chwili tej, | | Gdy wrócisz znów”.

I tak Adaś i jego paczka konwojowali Zuzię i mnie do obozu, do bramy wejściowej. Odeszli z pieśnią na ustach. „Maszerują chłopcy, maszerują”.

Tak, maszerują, a gdzieś czeka na nich front, zanim dojdą do kraju. Ilu z nich dojdzie? I jak? Którzy z nich będą mogli jeszcze kiedyś, jak dawniej, jak przed wojną, „wędrować jasną wstęgą szos”? Dzisiaj o tym śpiewają.

Zuzia przycichła, zamyślane maszerowałyśmy ku namiotom, szumiącym wieczornym życiem, po czym, życząc sobie dobrej nocy, rozeszłyśmy się, każda w swoją stronę. „Zmęczone róże w ogrodzie śpią”, zwierzyłam się poduszcze, by z obrazem naszych herbacianych róż – rosnących tuż przed oknem, w ogrodzie, tam, na Sieniawskiej – wspominać „to samo niebo”, jak w piosence, i ten sam Wielki Wóz, zwrócony dyszlem w stronę naszego ogrodu, a kołami w stronę kwietnego herbu najdroższego miasta; herbu pielęgnowanego przez starego ogrodnika, widniejącego na klombie Wysokiego Zamku.

Wreszcie matura dobiegła końca. Egzamin dojrzałości – fundament dla

samodzielnych studiów oraz sprawdzian szkoły – wypadł bardzo pomyślnie. Teraz dziewczęta rozsypią się po swych jednostkach, albo dostaną nowe przydziały, do czego potrzebują cenzusu. Szkoła przeszła swoisty chrzest bojowy. Tylko cztery koleżanki nie sprostają wymaganiom. Zbyt późno przybyły do szkoły, dopadła je malaria, zabierając całe tygodnie (hospitalizacja) i sukcesywnie podcinając wątłe siły. Szkoda, trudno. Nie było w tym ich winy, w tej kwestii szkoła zaapeluje do ich macierzystych jednostek, prosząc o wyrozumiałość. Rok szkolny ma być teraz skrócony do sześciu miesięcy, toteż interwencja powinna poskutkować i dziewczęta będą mogły – za pół roku, po maturze – wrócić do swoich oddziałów, czy też przydziałów. Znajdą się w naszej klasie. Po tylu latach pamiętam szczęśliwe absolwentki; być może, nie wszystkie. Wyliczę je dzięki fotografii. Wanda Bania, Danka Dobkowska, zwana Dobkosią, Jasia Grodzieńska, Wanda Jakubska, zwana Dundą, Lula (Elżbieta?) Juścińska, Krysia Kalinka, Waleria Luro, Danka Oktawiec, Alicja Paulus, Ola Pszeniczko, obie siostry Rajkowskie – Stasia i Iza – Władysława Strzelec, czyli Nuna. Tyle ich zapamiętałam. Szkoda, że nie mogę przypomnieć sobie więcej.

Ciężka do zdzierzenia temperatura (około pięćdziesięciu stopni Celsjusza), *chamsin* trwający kilka dni, wiatr z piaskiem, nie sprzyjały egzaminom, czyniąc je uciążliwymi dla zdających i egzaminatorów. A jednak Danka Oktawiec, Alicja i Dunda złożyły je z wynikiem bardzo dobrym, podobnie jak Wala i Dobkosią. Oceny były zróżnicowane, w zależności od przedmiotów. *Suma summarum* wielki to sukces. Wspólny, grona profesorskiego i dziewcząt. Cieszyliśmy się wszyscy. Liceum i gimnazjum żegnały pierwsze absolwentki.

Rozdanie świadectw maturalnych odbyło się uroczyście na placu apelowym, w obecności całej młodzieży, ustawionej w szyku, jak do raportu, w niepełnym czworoboku potrójnych szeregów, naprzeciw grona pedagogicznego i kadry instruktorskiej, ustawionej również w trójszeregu. Frontem do instruktorów stanęły: pani dyrektorka Maria Kościałkowska, pani komendantka Teodora Sychowska i pani wychowawczyni Hanna Bronclowa. Ta ostatnia bardzo wzruszona. Absolwentki, wzywane przez wychowawczynię (według alfabetu), występowały z szeregu. Kolejno podchodziły, otrzymywały świadectwo i gratulacje. Salutowały, robiły przepisowy w tył zwrot, by odmaszerować na swoje miejsce. Prezentowały się świetnie. Pani dyrektorka, wzruszona, przemawiała krótko, serdecznie, jakby po macierzyńsku, a potem rozdała upominki od szkoły, czym sprawiła nam niespodziankę. Były to złote, jerozolimskie krzyżki na złotych łańcuszkach; stanowiły spełnienie naszych marzeń. Zakup

takiego cuda przekraczał dotąd możliwości finansowe nawet tych z nas, które były wspierane przez rodzicielskie dotacje.

– Cztery funty taki jeden kosztuje – doleciał mnie cichy szept i odetchnęłam z ulgą, wdzięczna, że zadziałał niczym uszczypnięcie, w momencie wielkiego wzruszenia, kiedy oczy zanurzają się w dziwnie mokrej otchłani, gotowe skompromitować człowieka i ten mundur wojskowy, na tak uroczystym apelu.

– Przyjmijcie, drogie dziewczynki, ten znak od naszej szkoły, na pamiątkę pobytu w niej – zaczęła pani dyrektorka. – Przyjmijcie nagrodę za ten ogromny wkład pracy, na jaki zdobyłyście się tutaj, zdobywałyście się, dzień po dniu, kosztem wszelakich przyjemności, nawet koniecznego wypoczynku, by w tak bardzo krótkim czasie przypomnieć sobie materiał, stary i przeważnie zapomniany, przez tamte lata oderwania od szkoły. Poznałyście materiał nowy, zgodnie z obowiązującym w naszych polskich liceach programem nauczania. Dzięki szalonej pracowitości i wytrwałości zdołałyście ukończyć naukę w liceum, której nie zdążyłyście ukończyć w kraju, bo ją wam wojna przerwała. Pomimo wojny jednak zdobyłyście świadectwa dojrzałości, polskie świadectwa, chociaż jesteśmy oderwani od naszej ojczyzny. Weźcie te świadectwa, niech was prowadzą w dojrzałe życie. Weźcie też ten symbol wiary naszej, na ten burzliwy czas, ten znak, wywodzący się stąd, z tej Ziemi Świętej, niech was prowadzi do naszej, rodzinnej, polskiej ziemi. Noście go na sercu, bo otrzymujecie go razem z naszymi sercami. Noście tak dumnie i godnie, jak nosicie znak Orła Białego nad czołem. Niechaj oba te symbole, nam, Polakom, najdroższe, doprowadzą was szczęśliwie do kraju, do domu rodzinnego, który nasza szkoła, bodaj na ten krótki czas, w okresie wojennej burzy, starała się wam zastąpić. –

Tymi słowami pani komendantka pożegnała pierwsze absolwentki szkoły, pierwszej – w naszej bogatej historii – wojskowej szkoły dla dziewcząt. Udzieliła nam się radość, gdy stwierdziła, że nawzajem możemy być z siebie dumne, młodsze ochotniczki – otrzymujące te oto pierwsze w dziejach szkoły świadectwa dojrzałości – i szkoła, przyznająca je tak wspianiałym dziewczętom. Muszę przyznać jej rację.

Pani wychowawczyni przemawiała krótko, bowiem jej kontakty z wychowankami jeszcze się nie zrywały. Były to więzy serdeczne, przyjacielskie. Szybko została wtajemniczona w sprawy dziewczęcego życia, orientowała się w kwestiach rodzinnych, wiedziała o sympatiach, niemal znała (z opowiadania) każdego narzeczonego; a niektórych przedstawiano jej, gdy się zjawili w Pa-

lestynie. Tym goręcej zachęcała do nauki, każdej pomagała parać się z kłopotami, nie mówiąc już o trudnościach szkolnych, bo i temu umiała zaradzić, podpowiadając sposób pracy lub dobór koleżanek do wspólnej nauki.

Na koniec w imieniu dziewcząt wystąpiła Alicja Pawlus. Z zapalem dziękowała, tak serdecznie, że poruszyła wszystkich. Przypomniała pierwsze dni szkolne, wspomniała o trudnościach, z jakimi musiałyśmy się zmierzyć, przerastające nasze siły a jednak pokonane głównie dzięki wytrwałości organizatorów: komendy, dyrekcji, grona pedagogicznego i kadry instruktorskiej. Wylizowała zmiany miejsc postojów, zmiany warunków życia oraz organizacyjne zmiany w obrębie samej placówki. Jednak przede wszystkim skupiła się na atmosferze panującej w szkole, tak bardzo rodzinnej i niezwyklej, zwłaszcza, kiedy się spojrzy na otaczający świat, porażony wojną. Ala zwróciła się do koleżanek, wspominając miesiące przeżyte razem, wspólne mieszkanie (w ziemiankach, lepiankach, w barakach, namiotach), lekcje w najrozmaitszych warunkach, wspólną naukę, doskwierający brak podręczników i książek, wspólne czytanie lektur, gorące dyskusje. Miałam wrażenie, że owe przeżycia, jakże bogate, Alicja chciałaby zebrać teraz, wyposażyć w nie każdą z dziewcząt, rozchodzących się wkrótce w świat, jak w żołnierską porcję żelazną, którą dostaje się ruszając do boju; żeby ocalała. Ową żelazną porcję uczuć, aby starczyła na długo po rozstaniu, stanowiąc kapitał, do którego można sięgnąć w razie potrzeby.

– Dziewczaki! – Wołała jak zwykle Dunda, co się bardzo przyjęło. – Byłyśmy ze sobą we dnie i w nocy, w zażartej walce z czasem, w żarliwej nauce i w chwilach koniecznego wypoczynku. Pomagałyśmy sobie gorliwie, bez zbędnego proszenia. Nie trzeba było uczyć nas hasła. „Jedna za wszystkie, wszystkie za jedną”, bo każda z nas to czuła. Rozjeżdżamy się, za dzień lub dwa, ale myślami będziemy blisko siebie i sercem będziemy często, bardzo często, wracać do tych minionych dni, do naszej szkoły. Ona jest naszym domem rodzinnym, bo jesteście w niej rodziną. Rodziną, gdzie się wymaga bardzo wiele, wiele wybacza, ale też daje z siebie wszystko. Nie wiemy wcale, dokąd i jak długo jeszcze będzie nas gnała zawierucha wojenna. Jednak na tym obcym świecie znalazłyśmy dom, naszą szkołę. Rozchodząc się z tego naszego domu, wynosimy doprawdy cały skarbiec uczuć, taki ładunek serdeczny, jaki tylko od najbliższych można otrzymać. Wyposażono nas w wiedzę, na nowo wrócono wiarę w dobroć ludzką, w przyjaźń. Z tym kapitałem wyprawia nas nasz dom na dalszą drogę i walkę o powrót do rodzinnego kraju. Zanim osiągniemy ten niełatwy cel, cel nasz wspólny, pamiętajmy, że jesteście rodziną z wyboru, stanowimy wyjątkowo zżyłą rodzinę i możemy na sobie polegać,

że żadna z nas nie jest samotna na świecie. Przyjaźń trwa pomimo rozłąki i to się w życiu bardzo liczy. To coś bardzo cennego. –

Upał stawał się coraz bardziej uciążliwy, ale nikt nie zwracał nań uwagi. Każdy rozumiał, jak bardzo ciężko jest rozstać się z przyjaciółmi, nieoczekiwanie napotkanymi na szlaku tułaczki. Tym ciężiej, że rozstajemy się na niewiadome, w czas, w którym najbliższa przyszłość nadal zagrożona jest wojną, a dalsza nieznana i nie bez obaw. Kilkumiesięczny pobyt w szkole nie będzie nam się kojarzył tylko z nauką, uwieńczoną pomyślnym egzaminem, bowiem tam byliśmy wśród swoich, w przystani błogosławionej, niczym w pustynnej oazie, gdzie przybyszów częstuje się chlebem i sercem.

Wiele lat minęło, a promienne wspomnienie tej szkoły jest jednakowo żywe, nie straciło nic ze swego blasku. Tęcza wśród burzy.

* * *

W poniedziałek miałyśmy inspekcję komendantki Wysłouchowej. Z pewnością ona nie pamięta tego incydentu, kiedy meldowałam się w Kizyl Ribat z podaniem o zezwolenie na pójście do szkoły. Ja, to co innego, mnie się on dobrze wrył w pamięć. Zawsze pamiętam takie mocne przeżycia, chociaż potrafię wybaczać. Swoją drogą, gdybym się do szkoły nie dostała, z pewnością żałowałabym zawsze, byłoby mi szkoda, że nie zdobyłam matury, ale w żadnym wypadku nie mogłabym wiedzieć, ile rzeczywiście bym straciła. Nie miałabym o tym pojęcia, bo któż mógłby sobie wyobrazić taką szkołę? W najśmielszych marzeniach wydałaby się ułudą. Teraz komendantka Wysłouchowa, najwyższa władza Pomocniczej Służby Wojskowej Kobiet, wizytowała Szkołę Młodszych Ochotniczek, nasz obóz, oceniając warunki bytowe. Interesowała się wszystkim, dobrze usposobiona, miła, zadowolona, całkiem inna, niż ją zapamiętałam. No i dobrze. Po prostu tak fatalnie trafiłam, może przede mną już wielu interesantów zawracało głowę pani komendant podaniami, mając nadzieję na wyjątkową szansę? Ostatecznie, jakim prawem mogę komuś brać za złe niecierpliwość, czy choćby zły humor, skoro sama wpadłam w furię z powodu głupiego kota?

Marysia Parczewska wróciła ze szpitala. Dźwiga wielki gips na nodze i męczy się w te upiorne upały, ale wszystko z uśmiechem, bo przecież mogło być znacznie gorzej, lecz nie jest, i ten ból zanadto jej nie przeszkadza. Nadal uczy się – cichuteńko, od najwcześniejszego brzasku – uszczęśliwiona ogromnym zapasem naszych notatek.

Do Wandy napisałam we wtorek dwudziesty siódmy list. Donoszę, że wy-

słałam list do Zuzinej matki (na adres w Urdzarze), przekazując wiadomości o Zuzi, Ewie i Staszku oraz prosząc o adres naszych rodziców, którzy niewątpliwie wyruszyli z Urdzaru do Uzbekistanu, po otrzymaniu odpowiednich dokumentów. Z ową korespondencją nie wiązę wielkich nadziei, ale co innego mogłam zrobić?

Chamsin był tak ciężki, że trudno sobie wyobrazić. W czwartek zmusiłam się do wizyty u obozowej dentystki, ale następne dni przeleżałyśmy – ja i moje koleżanki – na wpół żywe, jak kłody. Nawet Marysia, wzór pracowitości, uczyła się leżąc. Wieczorem zwlokłyśmy się, bo, mimo wakacji i żaru, profesor Madey zapowiedział wykład na temat stronnictw politycznych. Wszystkie stawiłyśmy się w klasie. Wykład był wspaniały. Dowiedziałyśmy się sporo na temat problemów znanych nam tylko pobieżnie, często widzianych w „krzywym zwierciadle”, równocześnie utwierdziłyśmy się w przekonaniu, że profesor jest dla szkoły wspaniałym nabytkiem. Urządził nam w piątkowy wieczór „dziennik mówiony”, który wywołał niemałą dyskusję, jak się okazało, bardzo pożyteczną. Cenimy sobie wykłady profesora. Jasne, logiczne, uporządkowane, podane przejrzyście, zrozumiale. Z najtrudniejszych problemów potrafi zrobić proste sprawy. To świetny erudyta i obserwator. Cieszymy się, że jest gotów przekazywać nam uwagi na różne tematy. Informując nas, zmusza do myślenia i wyciągania wniosków. Znamy się krótko, lecz czujemy, że nas obserwuje i stara się zrozumieć, co, z pełnym poważaniem, jest odwzajemniane. Z całą pewnością doskonale zna się na wykładanym przedmiocie; i nie tylko. Podobnie rzecz się ma z panią Haneczką; ta również jest świetnym pedagogiem. Reasumując, prawdziwie nam się poszczęściło, jeśli chodzi o grono pedagogiczne.

W niedzielę zdołałam napisać dwudziesty ósmy list do Wandzi. *Chamsin* zadowolony był na sześć długich dni. W kalendarzu zanotowałam daty imienin: Ali Dawidowicz (dwudziestego siódmego lipca) oraz Martusi (dwa dni później). Potem okazało się, że Martusia Gąsiorowska – Kleszczyńska jest daleką kuzynką Oleńki i Mici Dąbrowskich. Jaki ten świat mały.

W niedzielę pierwszego sierpnia dało się odczuć, że *chamsin* ma się ku końcowi. Jaka ulga. Rano, przed mszą połową, poszłyśmy do spowiedzi. Wciąż pamiętamy o modlitwie za najbliższych, którym nawet owa pociecha nie jest dostępna, pozbawieni są wszystkiego, do czego przed wojną byli przyzwyczajeni. Wieczorem w kinie obozowym był film *Lady Hamilton*. Dni toczyły się jakby w zwolnionym tempie. Gdyby nie było służby czy dyżuru, to między gwizdkami, wyznaczającymi rytm dnia, od pobudki do capstrzyku, właściwie nic by się nie działo. Tubylcy zwykli przesywać owe rozwlekłe godziny połu-

dniowego skwaru. My też wolałyśmy położyć się na łózkach, pod moskitierą, niż kręcić się bez potrzeby. Ostatecznie były to nasze zasłużone wakacje, mogłyśmy sobie pozwolić na leniuchowanie. Nie było też specjalnych zajęć, kadra również musiała ratować resztki sił. Wszyscy mieli ten czas dla siebie.

Obiady w Quastinie fatalne. Kolejno chodziłyśmy dowiadywać się, co jest przygotowywane na następny dzień, jednak na podstawie tych informacji zwykle rezygnowałyśmy ze stołówki (odległej), gdzie zapach posiłków zniechęcał, nadmiar płynnego tłuszczu, którym uparcie psuto każdy posiłek, obrzydzał.

– Gdyby to jedzenie było jadalne, dalej byśmy tyły. – Pocięszaliśmy się, bowiem faktycznie nie przybywało nam kilogramów.

Najczęściej poprzestawałyśmy na śniadaniu i kolacji. Kromka chleba, do której dodawano łyżkę wołowej konserwy wędzonej (*corned beef*), danie na zimno lub z podsmażoną cebulą (kolacja na gorąco), tudzież pasta rybna (całkiem jadalna) albo jakiś ser. Do tego niemożliwie przesłodzona herbata, pachnąca kotłem. Po lody oraz świeże pomarańcze było stąd za daleko, zwłaszcza w upały.

Czasem wpadała do namiotu Zefiryńka, by z radością informować o przygotowaniach do życia klasztornego a także o pomocy ojca, który ciągle załatwia formalności związane z jej demobilizacją. Choć jesteśmy mocno otepliane, to żal nam Zefiryńki, jak gdyby szła na dobrowolną ofiarę, na całopalenie. A ona wygląda, jakby była w siódmym niebie. Ba! Henryk Sienkiewicz pewnie miał rację pisząc. „Szczęście jest zawsze tam, gdzie je człowiek sam widzi”.

Siedzimy obojętne, oszołomione „nic nie robieniem”, wyrwane raptownie z intensywnej pracy, zdeorganizowane i prawie ogłupiałe, powiedzmy, że od gorąca. Ale oto zjawia się ratunek. Od czego są profesorowie? Otóż polonista zdobył gdzieś kilka polskich książek, na które rzucamy się isticie wygłodniałe, dzieląc się nimi jak opłatkiem. Jest między nimi kilka lektur, prawdziwe skarby na pustkowiu. W poniedziałek dostałam *Kuzynkę Bietkę* Honoriusza Balzaca, we czwartek dorwałam *Beniowskiego* i *Jana Bieleckiego* Juliusza Słowackiego, z którymi to – z góry uprzedzona – musiałam się nazajutrz rozstać. W owe trudne dni pani Jasia nie szczędzi przepustek; zawsze jest przyjaźnie ustosunkowana, potrafi nas zrozumieć i nie potrzebuje zbędnych wyjaśnień.

W niedzielę, stale zapraszana przez Lidkę, odwiedziłam ją w Tel Avivie. Nie wytrzymałam, opowiedziałam o Marysi, o jej nauce, wytrwałości i postępkach. Lidka, niestety, upiera się, że nie może mieć dobrej pamięci, nie potrafi słuchać; z nami wszystkimi tak było w początkowym okresie wznowionej

edukacji. Swoją drogą, po takiej głodówce, może faktycznie Lidka potrzebuje więcej czasu, żeby dojść do formy. Rozumiem to lepiej niż koleżanki, chociaż taka szansa może się nie powtórzyć. Szkoda Lidki. We środę odwiedziłam w szpitalu Hanę Plewińską, chorą na malarię. Zaprzyjaźniłyśmy się w szpitalu, w Teheranie, i cieszę się, że Haneczka dostała się do gimnazjum i daje sobie radę; musiała nadrobić łacinę. W piątek wybrałam się z Lonią na *Wesołą trójkę*, bardzo zadowolona, że może już chodzić do kina, o czym przez długi czas nie było mowy. W niedzielę ósmego sierpnia odwiedził nas Adaś Zaniewski z dwoma Zdziszkami, których, jak się okazało, Marysia Parczewska zna z jednostki. Wspólnie z Zuzią i Marysią przegadaliśmy połowę naszego wolnego dnia i cieszyłam się, że Marysia mogła odetchnąć od ciężkiej pracy umysłowej, co się nie tylko jej należy; jest niewątpliwie potrzebne.

Kurs w Betanii

Na kurs języka angielskiego w Betanii zgłosiło się około trzydziestu osób; jedynym warunkiem rekrutacji było dostosowanie się do wymogów. Cały zaśob spraw organizacyjnych miał posmak przygody. Należało wziąć ze sobą niewielki ekwipunek, plecak i chlebak. Wór żołnierski nie był pożądany, podobnie jak koce i prześcieradła, które w sobie mieścił. Wspaniale. Łatwiej podróżować, tym bardziej, że same miałyśmy zatroszczyć się o środek komunikacji. Nie przydzielono nam żadnej władzy, w naszym gronie znalazły się absolwentki a kadrze należały się urlopy. Wysłuchawszy niezwykłych relacji na temat czekającego nas kursu, zapewniłyśmy, że damy sobie ze wszystkim radę i „spiszemy się gracko, jak trza”.

– Oto adres: Betania, cztery kilometry za Jerozolimą, klasztor zakonnicy. Traficie. Innego nie ma – poinformowano nas.

– Będziemy gotować na zmianę, tak jak ustaliliśmy – przypomniała Marysia z nieskrywaną satysfakcją.

– I podzielimy się dyżurami w zaopatrzeniu – dodała Oleńka Dąbrowska.

– Poradzimy sobie ze wszystkim – podsumowała Ola Pszeniczko autorytatywnie, jak przystało na absolwentkę.

– No, to do widzenia! Bądźcie zdrowe, dziewczynki! – Żegnała nas pani Haneczka, pani Jasia Fuchsowa i kancelaria. – Pożegnaliście już komendę?

– Tak, i dyrekcję też. Odmeldowaliśmy się już. Czołem!

– Czołem!

I już nas nie było. Z plecakami na plecach, z chlebakami przewieszonymi

przepisowo przez jedno ramię i prywatnymi torebkami – konduktorkami na drugim ramieniu, odmaszerowałyśmy w stronę szosy, by złapać autostop.

– Do Jerozolimy. – Zawołały koleżanki, gdy – w odpowiedzi na wyciągnięte ręce – zatrzymała się duża ciężarówka (*Dodge*, czyli „Dodża”) z polskimi żołnierzami.

– Wsiadajcie!

Pierwsza grupa już ruszyła. Teraz pora na następne. Do Tel Aviv docieraliśmy odcinkami, byle w tamtą stronę, to się dojedzie. Jeszcze nie ma żaru, wietrzyk przyjazny, aż można poczuć młodość. Zaskakujące, cudowne.

Zostałyśmy przy szosie już tylko trzy, gdy zatrzymał się przed nami „łazik”, czyli po ludzku mówiąc *jeep* z dwoma Anglikami.

– Do Jerusalem! – Wykrzyknęła Oleńka.

– *All right! Come on!* – Zaprosili, jechali do samej Jerozolimy.

– Miałłyśmy szczęście. – Zauważyła Micia.

– Naturalnie – zgodziła się Siolo. – Nie ma porównania z jazdą autobusem albo ciężarówką, pod brezentem, w dodatku dojedziemy niemal do samego celu. Bez przesiadek, czekania i tak dalej. Musiała zaraz przetłumaczyć to Anglikom, zaciekawionym naszym ożywieniem.

– *Oh, yes, of course* (Ach, tak, oczywiście) – zgodzili się z nami.

Prąd powietrza chłodził twarze, samochodzik jechał gładko, kiedy mijałyśmy pardedesy, osiedla i pochylone ku słońcu winnice. Jak na filmie. Podróż mijała szybko, czułyśmy się młode i wolne, cieszył nas widok Siedmiu Sióstr. Widziałyśmy je dokładnie, z każdej strony, co niesłychanie nas ubawiło.

– *Wonderful!* Wspaniale!

Flegmatycy uśmiechnęli się z zadowoleniem, gdy dziękowałyśmy za cudowną jazdę. Z Jerozolimy dotarliśmy do Betanii autobusem, złapanym na rogatce w Getsemani, u stóp Góry Oliwnej. Wsiadłyśmy tuż przy uliczce klasztornej, parę kroków od zabudowań. W podwórko wkraczałyśmy z całym ekwipunkiem, lekko, jak na skrzydłach. Przywitało nas parę koleżanek, inne dotarły później, różnymi autostopami i było o czym opowiadać, tyle wrażeń.

Zakonnice ulokowały nas w pokoikach na piętrze, do którego prowadziły zewnętrzne schody oraz długi ganek. Sale lekcyjne mieściły się na parterze, zaś po przeciwnej stronie korytarza znalazłyśmy niedużą kuchnię oraz jadalnię, do naszej dyspozycji. Niezrównane „Rajkosie”, pół żartem, pół serio, objęły ster, opracowały harmonogram prac i wydatków, dzieląc gotówkę przeznaczoną na owoce przez ilość dni, z zabezpieczeniem pewnej kwoty na nieprzewi-

dziane. Poinformowały o formalnościach zaprowiantowania w Intendenturze w Jerozolimie. Wszystko to przedyskutowałyśmy przy wieczornej herbacie, która autentycznie miała smak prawdziwej herbaty, niczym nie przypominającej tamtej, znanej nam, herbaty z kotła. Smakowała, jak nigdy. Tak nam się dobrze rozmawiało, że zdziwiłyśmy się, iż to już czas capstrzyku, do którego nas nikt nie poganiał, szepty wieczorne cichły samoistnie – po zgaszeniu światła – ogarniał nas zdrowy sen.

Nazajutrz powitał nas kierownik kursu *padre* Lazarus (ojciec Łazarz; to imię zakonne miało dość czytelny związek z Betanią, miejscem wskrzeszenia biblijnego Łazarza), zakonnik „ascetycznie wysoki” i długobrody, jakby wycięty ze średniowiecznego malowidła bizantyjskiego. Dwie zakonnice, po krótkiej rozmowie z nami w języku angielskim, podzieliły nas na grupy, mniej i bardziej zaawansowaną, i natychmiast rozpoczęły lekcje, które opierać się miały głównie na ćwiczeniach w mówieniu i pisaniu. Nauczycielki nie szczędziły wskazówek, dotyczących ćwiczeń zadanych na popołudnie; do samodzielnego przerobienia. Zabrałyśmy się do nich po kilkugodzinnej, poobiedniej przerwie. Zakonnice oddały się do naszej dyspozycji, gotowe tłumaczyć ćwiczenia lub prowadzić konwersację, cierpliwe i systematyczne, zadowolone, że nadobowiązkowe zajęcia cieszą się tak dużym powodzeniem. Koleżanki dyżurujące w kuchni (kucharki) lub w zaopatrzeniu (prowiantowe) pilnie uzupełniały zaległości a zakonnice sprawdzały ich ćwiczenia.

Od pierwszych dni mocno przysiadłam do nadrabiania zaległości, które niewątpliwie miałam, wskutek częstych wizyt u dentysty. Przeszkodę stanowił brak słownika, a zaawansowanym nie śmiałam się narzucać, miały swoje zadania. Zajęcia popołudniowe i cierpliwość zakonnicy pomogły mi przebrnąć przez gąszcz idiomatycznych wyrażen, głównego tematu kursu. Jeśli się czułam zmęczona, wystarczało mi spojrzeć na Marysię Parczewską, pracującą na zwiększonych obrotach z niezmienną wytrwałością, zgodnie z przemyślanym planem, uczącą się z entuzjazmem, aby widzieć w niej żywy przykład siły woli. Nawet wtedy, gdy w godzinach żaru zapadałyśmy w sen, Marysia nie darowała sobie tych godzin. Dowodziła ze śmiechem, że przedtem leniuchowała cały czas. Siedziała na łóżku, przecierała twarz chusteczką, moczona wciąż od nowa, i wgryzała się w notatki koleżanek. Ja często miewałam krwotoki z nosa, dokuczliwe bóle głowy do reszty pozbawiły mnie fantazji.

Czternastego sierpnia rankiem, korzystając z angielskiej soboty, której zakonnice przestrzegały, dając nam dzień wolny od zajęć, pojechaliśmy wszystkie do Jerozolimy po żołd. W intendenturze niespodzianka, oczekiwały nas

pani komendantka Sychowska i pani Haneczka, która przybyła z mężem – był nim Zdzisław Broncel, dziennikarz, poeta – stacjonującym w Jerozolimie. Zabrałyśmy to całe towarzystwo do siebie, do Betanii, na obiad przyrządzony przez młodsze ochotniczki, majstersztyk sztuki kulinarnej. Zupełnie co innego, niż owo jadło z kotła, chociaż z tych samych prowiantów. Niczym nie przypominało tamtego, dzięki któremu („z własnej pilności”) odchudzałyśmy się, najczęściej zeń rezygnując. Owa wizyta, a raczej wizytacja, która miała na celu poznanie sióstr zakonnych oraz przyjrzenie się tutejszym warunkom, sprawiła wszystkim dużą satysfakcję. Było bardzo przyjemnie. Po obiedzie okazało się, że nasi mili goście mieli w zanadru dodatkową niespodziankę, wycieczkę do Jerycha. Miasto położone w ślicznej kotlinie, jednej z tych „mlekiem i miodem płynących”. Jadąc tam, mijaliśmy plantacje krzewów bananowych, rozkosznie pachnących dojrzałym owocem.

– Oto jest Most Alembi i granica Palestyny z Transjordanią – pokazano nam z samochodu.

– Morze Martwe. – Cieszyliśmy się w głos.

– Czy wiecie, iż zasolenie owych wód jest tak duże, że nie sposób się w nich utopić? – Rzucił ktoś.

I było cudownie, naprawdę. Zmrok zapadł nagle i wody Morza Martwego posrebrzyły się zielonkawą poświatą księżyca.

– Jeszcze nie było tu nas – snuł refleksje poeta (mąż wychowawczyni), zapewne czując rytm tych słów.

– No, tak, to właśnie jest takie poetyczne – myślałam. – Woda malowana promieniami księżyca, dźwięki melodii, jakieś rzewnej, płynące z kasyna na przystani, i garstka nas, zagubionych w owej poświacie i melodii, stęsknionych aż do fizycznego bólu za wieczorami na ziemi naszej, rodzinnej, chociaż teraz uczymy się także dostrzegać piękno ziemi obcej. Właśnie tak. Piękno. Obce. I nostalgia. A Wielki Wóz, stary znajomy z lat dzieciństwa, zdawał się patronować nam z wysoka, wskazywał najważniejszy kierunek.

W niedzielę piętnastego sierpnia, wspominając tradycje związane z obchodami Matki Boskiej Zielnej – święcenie ziół leczniczych – wybrałyśmy się we czwórkę (Oleńka i Micia Dąbrowskie, Marysia Parczewska i ja) do kościoła. Nie czekałyśmy na autobus na przystanku, spokojne, że i tak się zatrzyma, aby nas zabrać, gdy będzie nas mijał. Poszłyśmy w stronę Getsemani, gdyż autobusy na tej linii w niedzielę kursują rzadziej. I tak doszłyśmy do samej Bazyliki Konania, gdzie akurat trafiłyśmy na mszę świętą. Nie napotkawszy żadnego samochodu jadącego do Betanii, wróciłyśmy w ten

sam sposób. Przebyta droga i pogaduszki sprawiły nam wiele radości. Zdążyliśmy wrócić przed upałem. Niestety po powrocie powalił mnie silny krwotok z nosa, poczułam się ogromnie osłabiona. Ciągle straszny ze mnie zdechlak; nie ma co.

W poniedziałek najwyższym wysiłkiem woli zwlokłam się na lekcje; wytrzymałam. Głowa bolała mnie tak, że aż patrzeć trudno, zatem bezpośrednio po obiedzie wzięłam proszek i położyłam się, a chociaż nie udało mi się usnąć ani na moment, czułam, że wypoczywam w ciszy, która przez parę godzin sprawiała mi znaczną ulgę.

– Alicja! Masz gościa! – Zza drzwi dobiegł mnie czyjś głos.

– Może Wanda? – Ucieszyłam się, ale po chwili oprzytomniałam, że przecież Wandę wprowadzono by do pokoju.

Wstałam ostrożnie z bolącą głową i skierowałam się w stronę wyjścia.

Na dole ujrzałam mężczyznę o pięknie opalanej twarzy, ubranego w letni mundur żołnierski, spoglądającego na mnie czarnymi, śmiejącymi się oczyma.

– Ta, joj! Włodek! – Zdumienie wybuchło lwowskim wykrzyknieniem i sfrunęłam ze schodów jak ptaszę, cokolwiek cięższego kalibru, aż schody jęknęły z zachwytu, a może doznały wstrząsu.

– Ta, joj, Ala! – Zawołał i podszedł bliżej, salutując jak należy.

– Jak się macie, młodsza ochotniczko? – Przywitał mnie.

– Jak się macie, szarżo z jedną belką? – Odpaliłam.

– Ho, ho! Nieźle was wyedukowano. – Śmiał się.

– Tak jest, melduję.

Uścisnęliśmy sobie prawice.

– Czy jesteś teraz bardzo zajęta?

– Właściwie nie, mogę mieć czas wolny.

– Może pójdziemy na spacer, albo gdzieś pojedziemy? Jak chcesz? – Proponował.

– A może posiedzimy w ogrodzie? – Staralam się wybrać najłatwiejsze rozwiązanie ze względu na tę nieszczęsną głowę, w której tysiące młotów waliło tak niemilosiernie, że przerażała mnie sama myśl o jakiegokolwiek fatydze.

– Świetnie. Prowadź.

Usiedliśmy na ławeczce, w cieniu rozłożystej, starej figi. Nadeszła mała dziewczynka, Arabka. Zbierała do swego koszyka świeże, dojrzałe owoce i częstowała nas nimi; kształtem przypominały gruszki. Przypomniało mi się jak

tato opowiadał, że „gdzieś na włoskim froncie” jadł świeże figi, prosto z drzewa, podobnie jak my teraz.

– Przyjechałem ciebie porwać. Zapraszają ciebie Lidka, ojciec, Janek i ja, do Tel Avivu. Na tydzień, dwa, na cały urlop. – Obwieścił.

– Ojej! – Wzruszyłam się.

– Jedziemy. Już? – Wyraził swą gotowość.

– Wiesz, ale ja jestem tutaj na kursie – zaczęłam.

– No wiem. Przecież ciebie odnalazłem tutaj. – Skonstatował, skoro sama nie doszłam do tak oczywistego wniosku.

– Tak, rzeczywiście.

– A więc się zwolnisz. – Zadecydował.

– Właściwie nie mam nawet u kogo – zastanawiałam się głośno.

– U komendanta, czy tam komendantki, ma się rozumieć.

– Ba! Nie ma tutaj nikogo takiego – zaczęłam gotowa tłumaczyć.

– Świetnie. Odpada kłopot – uważał sprawę za załatwioną.

– Poczekaj. Ja tak nie mogę. Zorientuję się.

– Jak to? – Dziwił się.

– Muszę porozmawiać z zakonnicą, u której jestem w grupie, bo mamy wiele ćwiczeń, program i tak dalej. No, i z koleżankami, które ustalały dyżury, bo my tutaj same gotujemy, przywozimy prowiant, nie mogę nagle tego wszystkiego dezorganizować.

– Dobrze. Rozumiem. Poczekam na ciebie w Jerozolimie i pojedziemy razem, jak to wszystko załatwisz. Zgoda?

– Zgoda.

Narodziłam się z zakonnicą i koleżankami, byłam wyjątkowo pilna na wtorkowych i środowych zajęciach, urlop planowałam rozpocząć we czwartek, by po trzech dniach, w niedzielę, wrócić do Betanii. Włodek miał przyjechać z Jerozolimy po południu.

Byłam już spakowana do wyjazdu, gdy nagle Marysia porwała moją teherańską, sfatygowaną konduktorę, otworzyła ją bez pytania i bez pardonu całą jej zawartość wysypała na moje łóżko.

– Co ty robisz, Marysiu? – Oburzyłam się.

– Musisz mieć ze sobą coś pożyczonego na szczęście, aby ci się urlop udał. Obowiązkowo. – Bujała jak z nut, klejąc na poczekaniu jakiś nowy zabobon.

– To się nazywa pobożne kłamstewko – zauważyłam.

– Z Lidki jest taka elegantka. Chyba nie chcesz się czuć przy niej jak przysłowiowa uboga krewna? Z tą twoją starą torbą – dowodziła.

– Jeszcze cała ta rodzina zechce się złożyć na nową – zażartowała bezlitośnie Oleńka.

– Właściwie – wahałam się już, osaczona.

– A widzisz! – Micia zaczęła układać moje manele w Marysinej konduktorze, uważając sprawę za rozstrzygniętą.

– Czeka! – Zawołała Stasia Spólnik. – Coś sobie przypomniałam. Weź ode mnie, chociaż tych dwieście *milsów*. Oddasz mi z następnej dekadówki. Lepiej będziesz się czuła z pełniejszym pularesem – i już do niego pakowała pieniądze.

– Dziękuję wam, strasznie dziękuję! – Wzruszyłam się przejęciem koleżanek, wyprawiających mnie na czterodniowy urlop. – Bądźcie zdrowe!

– Złam nogę! – Żegnały mnie serdecznie – zgodnie z zabobonem odzegnującym pecha.

Idąc gankiem i schodząc po schodach przypatrywałam się oczekującemu. Jasny mundur, sprężysty krok, zdrowa opalenizna i ten uśmiech. Jakież to wszystko zupełnie inne, całkowicie niepodobne do wspomnień o skurczonej, na wpół zamrożonej postaci, ubranej w stare łachy, zza których wygląda zsiniała twarz i tamte, olbrzymie, białe, śnieżne połacie pustkowiec. Nawet w najgorszy upał przenika człowieka dreszcz, kiedy wspomni tamten okrutny mróz i całe dni spędzane na spowitym zimą stepie. To tam Wandzia i Władek uratowali mi życie, narażając przy tym własne.

– Gotowa? – Usłyszałam, wyrwana z zadumy.

– Gotowa.

– Do czego?

– Do wyjazdu, oczywiście.

– Tylko? – Przekomarzał się, nie kryjąc zadowolenia.

– Jeśli to nie wystarczy, to lepiej od razu odmaszeruję. W tył zwrot! Naprzód marsz! – Sama sobie wydałam komendę.

– Bacność! Kierunek przystanek autobusowy, marsz! – Skończył komenderować i w tej chwili okazało się, że moje koleżanki chichoczą dyskretnie na długim ganku, podpatrując. A to małpiszony. Drapnęliśmy niezwłocznie, ku uciesze ciekawskich, którzy bez wątpienia poświęcą pięć minut bliźniemu, nie pozostawiając na nim suchej nitki.

Wygodnie i szybko autobusem dotarliśmy do Tel Avivu. W mieszkaniu ojca Władka, na Arlessoroff, czekała na nas kartka, dokładnie poinformowani udaliśmy się do Polskiego Kasyna Oficerskiego, gdzie zastaliśmy całą rodzinę oraz Wiesię Klink i pana Wojtkę. Wieczór spędziliśmy u Friedma-

na, czyli w kawiarni, gdzie pod olbrzymimi parasolami słuchało się szumu morza, polskiej muzyki tudzież oglądało eleganckich przybyszów spacerujących wzdłuż deptaku, zdaje się, tutejszego corso. Noclegi załatwiono mi w Domu Żołnierza, który za kilka tygodni miał być oficjalnie oddany do użytku, chociaż już teraz miał kilka urządzonych pokoików. Lidka, odstąpiwszy swe miejsce u ojca Jasiowi, który także korzystał z urlopu, dotrzymywała mi towarzystwa. W owej rodzinie brakowało tylko matki, która pozostała w dalekim Ajaguzie. Pan Wojtek przyjął Włodka na kwatery. I tak, rozchodząc się na noclegi, spotykaliśmy się wszyscy na śniadaniu w *Service Clubie*, część posiłków jadaliśmy w kasynie, niektóre w Gospodzie Polskiej, zaś na oranżadę, lody, a przede wszystkim na polską muzykę, chodziło się do Friedmana. Nie korzystaliśmy wcale z plaży, ani morza (nie było to wskazane), Włodek nie dał się namówić. „Skwarząc się”, łązkowaliśmy po mieście, w godzinach sjęsty kryliśmy się – jako nieliczni – pod parasolami u Friedmana, by sączyć sok ze świeżych pomarańczy, potem znów przemierzaliśmy całe miasto, któremu nadziewić się nie mogłam; nie przypominało żadnego z dotąd widzianych. Szerokie ulice obsadzone drzewami, przeważnie palmami i eukaliptusami, sklepy, dzielnice willowe – z egzotyczną roślinnością o srebrnych i ciemnofioletowych liściach, długi deptak wzdłuż plaży – wszystko to nadawało miastu odświętny charakter kurortu. Zwłaszcza, kiedy się przyjechało na urlop. W każdym sklepie, gdy się próbowało cokolwiek kupować, natychmiast się zjawiał sprzedawca mówiący po polsku.

– Wiesz, Tel Aviv powstał w ciągu ostatnich dwudziestu lat, jest chyba tak nowym miastem, jak nasza Gdynia. Mówią, że swój byt zawdzięcza przede wszystkim Fundacji Rockefellera, a zaludniony jest głównie przez Żydów, imigrantów z Polski – poinformowano mnie.

– Chyba są nam życzliwi, skoro tak miło zwracają się do nas w sklepach, w kawiarniach i na ulicy? – Dopytywałam się.

– Naturalnie, przecież zarabiają na nas! – Wyjaśniono mi.

– Ale tutaj wcale nie widać Arabów – zauważyłam.

– Pojedziemy do Jaffy, zobaczysz! – Zdecydował Włodek.

Jaffa to wiekowe miasto, stare domy, ciasne, ruchliwe, brudne i hałaśliwe uliczki i ten specyficzny zapach, a właściwie mnogość różnorodnych, ostrych woni, podobno typowych dla portów. Dzielnica portowa wydała mi się szczególnie krzykliwa, panowało straszne zamieszanie, toteż wkrótce, wskutek podejrzanych wyziewów, miałam już jej dość.

– To całkiem szczególne mrowie ludzkie i bardzo męczące – doszłam do wniosku.

– Dobrze, że ci to mogłem pokazać, bo, jak widzisz, tutaj przyjęło się, że młode dziewczyny chadzają z zakrytymi twarzami. Wracamy, skoro już mamy pojęcie o wyglądzie starego portu.

– Wracamy. – Zgodziłam się skwapliwie.

* * *

W niedzielny poranek pobiegliśmy z Lidką do kościoła, gdzie spotkałyśmy resztę naszego towarzystwa. Była tam masa Polaków. Po wczesnym obiedzie pożegnałam się z Lidką, która czuła się fatalnie i musiała pójść do domu, aby się położyć. Włodek z ojcem i Jasiem odprowadzili mnie na stację autobusową. Spotkałam tam Irkę Szczepańską, bladą i schorowaną, ale – jak zapewniała – wracającą do zdrowia. Obie ucieszyłyśmy się ze spotkania, mnie szczególnie uradował fakt, że Irka wygrzebała się z zapalenia opon mózgowych, wbrew prognozom lekarzy, bo tak już było z nią kiepsko, iż przygotowali jej rodziców na najgorsze, mówiąc: „Robimy wszystko, co w ludzkiej mocy... Ale...” Zamiast kończyć, rozkładali bezradnie ręce. Ojciec Włodka, który zniknął mi z oczu, kiedy wsiadałam do autobusu, odnalazł się nagle, gdy już zajęłam miejsce przy oknie. Położył mi na kolana dwie torebki kruchych ciastek, dosłownie w ostatniej chwili, nie zdołałam zaprotestować. Zdążyłam tylko pomachać przez okno kapitanowi i bliźniakom, którzy, uśmiechając się, uroczyście salutowali. Nie odpowiedziałam im podobnym gestem; siedziałam bez furażerki, a „do pustej głowy” się nie salutuje. Zatem jechałam ze swoją pustą głową, w której aż brzęczało od różnych wspomnień, rozmów, wrażeń i uczuć, nagromadzonych w ciągu tych ostatnich dni. Przeżywałam owo pożegnanie i przyjrzałam się swej prawej ręce, na której złożono uroczyście pocałunek. Jak to „dorośle”! Doprawdy wzruszające.

– Czy pamiętasz jeszcze, jak wymieniliśmy pamiątki ze sobą, przed rozstaniem w Ajaguzie? – Zapytał mnie Włodek; poprzedniego dnia.

– Pamiętam. Nieraz wspominałam i przyglądałam się tej odznace sportowej, która miała dla ciebie takie ogromne znaczenie jako symbol przezwyciężenia słabości w trudnym okresie. Nie rozstawałeś się z nią. Dopiero wtedy, aby mi ją dać. Na znak naszej przyjaźni.

– Naprawdę ma to dla ciebie znaczenie, Alu?

– Naturalnie. Zawsze będę twoim przyjacielem.

– A pamiętasz, co ja zrobiłem z pamiątką od ciebie? Z tą jedyną rzeczą,

jedynym przedmiotem, który mogłem od ciebie otrzymać, bo nie miałaś nic innego, co mogłabyś mi dać? Z tym pierścionkiem kazachskim?

– Włożyłeś na palec, aby się nie zgubił – zauważyłam inteligentnie – na rękę lewą, bo pierścionki pamiątkowe nosi się na lewej.

– Tak, na lewą. I zapowiedziałem, że zostanie on na lewej, dopóki będę przeświadczony, że jest symbolem przyjaźni. Tylko przyjaźni.

Nic nie mogłam powiedzieć. Skinęłam głową.

– A na prawej się nosi symbol miłości, prawda? – Dopytywał się, wiedząc doskonale, że już w chwili pierwszego spotkania zauważyłam zmianę.

– Tak, ale symbole miłości wymienia się z kimś, dla kogo warto żyć – snułam refleksje szeptem, sama zaskoczona i aż przerażona tym, co mi się powiedziało. Wtedy przypomniałam sobie tajemnicę, którą wyjawiał mi ojciec Włodka; syn zgłosił się do komandosów.

– Wcale nie wycofuję się ze swej pozycji. Zrozum. Jeśli ojczyzna wymaga ofiary życia.

– Ileż tych ofiar? – Jęknęłam.

– No, ja mam życie tylko jedno. A, widzisz. – Roześmiał się, by zaraz spoważnieć. – Jestem gotów. Ale na wojnie może wszystko się zdarzyć. Także i śmierć. I kalectwo. To chyba najgorsze. Lecz jeżeli przeżyję? – Zawahał się. – Jeśli wojna odrzuci moją daninę życia?

– Musisz przeżyć, musisz! – Powiedziała gorąco.

– Chcesz tego? Ty? – Czekał na potwierdzenie.

– Tak, chcę. Nie tylko ja – rada bym wymieniać całą jego rodzinę, przyjaciół i wszystkich świętych, aby spotęgować znaczenie tej nieodzownej konieczności życia.

– A jeśli przeżyję? To wtedy – zaczął.

– Porozmawiamy o wszystkim szczerze, jak zawsze.

– Tyle możesz mi obiecać, prawda? – Spojrzał mi w oczy.

– Tak – szepnęłam.

– Jak to dobrze – odszepnął i pocałował mnie w rękę.

Wysiadłszy z autobusu na stacji w Jerozolimie postanowiłam się przespacerować do przystanku na rogatce i tam złapać podmiejski autobus jadący do Betanii. Ten nie zjawiał się przez dłuższą chwilę, tymczasem mnie otoczyły bosa dzieci:

– *Bakszysz! Bakszysz!* – Małe, ciemne rączyny wyciągały się w moją stronę.

– Boże, tyle tej biedy na świecie, a ja sobie płynę na zaczarowanej tęczy i bujam w obłokach, jakbym żadnej biedy w życiu nie zaznała. – Zawstydziałam się i natychmiast otworzyłam torebkę z ciastkami.

Radość maluchów była wprost obłędna, większa niż moje zaskoczenie, które na ułamek sekundy odebrało im inicjatywę działania. Jedno z dzieci w mgnieniu oka napakowało sobie buzię ciastkiem, ledwo oczy było widać znad wypchanych policzków. Drugie, znacznie mniejsze, tak zacisnęło łapki na kruchym ciastku, że rozsypało się ono w drobny mak, nie było co zbierać. Za takie marnotrawstwo mali towarzysze poczęstowali biedaka kuksańcami, ten płakał nawet wtedy, gdy dostał kolejne ciastko wprost do buzi. Któreś schowało słodki przysmak, niczym skarb, do kieszeni, chmara chciwych rączek wyrosła przede mną na nowo. Sądzę, że tym dzieciom odbiera się miedziaki, które użebrają. Nadal częstowałam wygłodniałą gromadkę.

Przed klasztorem wstąpiłam do małej lepianki, w której stara Arabka handlowała kawonami. Kupiłam dwa olbrzymie owoce dla koleżanek wiedząc, że nie zdołam zatrzymać dla nich ani złamanego ciasteczka.

Wieczorem wyszłam na ganek, by odetchnąć świeżym powietrzem i popatrzyć na Kasjopeję. Potem napisałam listy do Wandy i Włodka. Na dobranoc zapewniłam koleżanki z mojego pokoju, że życie jednak jest piękne. Mimo wszystko. Uwierzyły na słowo. Nie powiedziałam, że jest także smutne. Bardzo.

W poniedziałek miałam dyżur w kuchni. Danie robiłam według wskazówek Stasi Rajkowskiej, udało się wcale dobrze. Ho, kiedy to się jadło ostatni raz coś równie znakomitego? Dwudziestego szóstego sierpnia, we czwartek, obchodzą teraz w Polsce – „po cichu” – święto Matki Boskiej Jasnogórskiej. A my zrobiłyśmy sobie wspólną fotografię, na której oprócz uczestniczek kursu znalazły się zakonnice i *padre* Lazarius. W piątek, po lekcjach, na które pilnie uczęszczałam, porządnie przygotowana, niezależnie od samopoczucia, czytałam *Lalkę* Bolesława Prusa. I znów nadeszła niedziela. Na mszę wybrałam się z Oleńką Dąbrowską do Bazyliki Konania. Piękna jest Góra Oliwna i lubię Ogród Oliwny, taki wiekowy, poważny, ze starymi drzewami, przypominającymi nasze rosochate wierzby iwy. Jak tu smutno, cicho.

We wtorek, trzydziestego pierwszego sierpnia, pobrałyśmy w Jerozolimie żołąd, potem Iga zaproponowała pójście do kina na *Fantazję* Disney’a z orkiestrą Stokowskiego. Naprawdę rzecz świetna i musiałam przyznać rację koleżance, że warto było zobaczyć. Wracałyśmy taksówką, wspólnie opłacając koszt przejazdu, bo uciekł nam autobus a na czterokilometrowy spacer było już za późno. Zwróciłam Stasi pieniądze, które pożyczyła mi na wyjazd, życie toczyło się dalej, niby tak samo, lecz to tylko pozory. W głębi duszy narastał jakiś nowy niepokój, pełen niepewności i melancholii.

W środę rocznica wybuchu wojny. Jak młoda byłam cztery lata temu. Jak zadziwiająco błahe wydają się dzisiaj ówczesne kłopoty i trudności, te sprzed

września. Jakże szczęśliwe wydają się tamte lata. Miało się wtedy tych siedemnaście lat. To chyba sto lat temu? A w każdym razie w innej epoce. Na pewno. W minionej bezpowrotnie. Co prawda było w niej wiele zła, były „rachunki krzywd”, jak pisał Władysław Broniewski. Chociażby to okropne bezrobocie, które dobrze pamiętam. Ojciec właściwie trzy i pół roku nie miał pracy, by przez kolejne trzy lata pracować w Warszawie kosztem rozłąki z rodziną. Sześć lat to długo, zwłaszcza dla dziewięcioletniego dziecka, którym wówczas byłam. O ile jednak tamte czasy były bardzo ciężkie, o tyle obecne są całkowicie nienormalne, okrutnie tragiczne. Owa refleksja nie opuszcza nas ani na chwilę, myśli płyną rozdwojonym torem, pomiędzy sprawami życia codziennego a niepokojem o bliskich, wspomnieniami o nich a rozmaitymi przewidywaniami, pomiędzy rozpaczą a nadzieją. A jednak chce się żyć. Toteż czepiamy się każdej chwili, póki jest, póki trwa. Niech trwa. Bo może przeminąć wraz z życiem, na zawsze. Czepiamy się tych drobnutkich spraw i codziennych wydarzeń, aby choć trochę upodobnić tę nienaturalną wegetację do normalnego życia. Oczywiście młodość z samej swej natury nam to ułatwia. Albo utrudnia. Obserwuję wnikliwie koleżanki i kolegów, a także i siebie, toteż wiem coś o tym. Nieraz zdaje mi się, że bardzo trudno jest być młodym w obecnych czasach. Bywa, że bezwzględny bieg wydarzeń wypacza nam młodość całkowicie, a cynizm i egoizm staje naprzeciw młodzieńczej ufności i łatwowierności. Często jednak obserwuję także, że obecna epoka, zmuszając do jednoznacznych postaw, wzmacnia charaktery, wskazuje właściwą drogę postępowania, kształtuje ludzi prawych.

Znowu dostarczono nam parę książek – pożyczonych na krótko – które czytywałyśmy poza lekcjami. Na niedzielę dostałam W *roztokach* Władysława Orkana, w poniedziałek *Hamleta* Williama Szekspira; przeczytałam uważnie, choć nie po raz pierwszy. Do lektury trzeba podejść w szczególny sposób.

W niedzielę byłam na mszy w kościele asumpcjonistów, gdzie spowiadał polski ksiądz. Na szóstego września przypada rocznica przyjazdu Wandy do nas w Tiki Bułaku, po opuszczeniu łagru. Dzięki Bogu zdołała przeżyć.

We wtorek rano, siódmego września, pakowałyśmy się na wyjazd, co było telefonicznie uzgodnione z komendą szkoły, gdy przyjechała pani Dąbrowska, mama Oleńki i Mici, z wiadomością, że wstrzymano rozkaz wyjazdu. Nazajutrz miała wyjechać. Do Jerozolimy odwiozły ją obie bliźniaczki. Stasia Spólnik i ja dołączyłyśmy, by w mieście zrobić fotografie, które później przydały się do świadectwa maturalnego.

We czwartek wyskoczyłam do Jerozolimy z Micią (zaraz po lekcjach), po

południu zaś odwiedził mnie ojciec Włodka – Włodek po urlopie powrócił do jednostki – oraz Janek. Przywieźli mi wiadomość, Wanda jest w Palestynie, w Al Mugar. Obarczona dyżurami mogłam udać się do niej dopiero w sobotę po obiedzie. Nie widziałyśmy się pół roku. Wandzia, bardzo opalona, zeszczupiała. Ja zgubiłam nieco nienaturalnej tuszy, której nie sposób było uniknąć, utylam, kiedy zaczęłam normalnie jeść. Bardzo cieszyłyśmy się, że już jesteśmy tak blisko siebie, a jeśli wrócę do Quastiny, to możliwie najbliżej. W każdym razie, gdyby okazało się, że Wandy jednostka będzie stacjonować gdzie indziej, to i tak nie rozdziela nas granice państwowe, czyli przepustka wystarczy, abyśmy mogły się spotkać. Po mojej maturze koniecznie musimy być już na stałe razem, jak tyle innych sióstr, które mimo wojny są razem.

Wyjechałyśmy w niedzielę rano, zaraz po mszy, bo Wanda dostała przepustkę do Betanii na dwa dni. W poniedziałek pomogła mi w praniu i została na obiedzie. Potem odwiozłam ją do Jerozolimy, Micia wybrała się tam ze mną, by zaopatrzyć się w zeszyty szkolne, zrobiłyśmy spory zapas.

Podczas dyżuru zaopatrzeniowego wybrałam się do Jerozolimy sama, zapewniając z przekonaniem, że dam sobie radę z dwoma plecakami.

– Wiesz co? – Zagadnęła Stasia Rajkowska, wyprawiając mnie po prowiant – weź te pieniądze i kup coś naprawdę dobrego.

– Zrobi się!

W intendenturze pobrałam należny nam przydział suchego prowiantu, z ciężkimi konserwami mięsnymi na czele, wszystko to wpakowałam do jednego plecaka i wybrałam się na poszukiwanie nadzwyczajnych przysmaków. Ruszyłam dziarsko – z ciężarem na plecach – aby zdążyć przed spiekotą. Miałam zamiar zapędzić się aż na stare miasto, wprawdzie odległe, ale znacznie bardziej obiecujące, gdy nagle moim zdumionym oczom ukazał się nader ponętny obraz. Oto na wystawie malutkiego sklepiku arabskiego dopatrzyłam się kilku ziemniaków. Prawdziwe. Świeże. Ledwie mogłam uwierzyć własnym oczom. Cena była wygórowana. Wezwałam wszystkie swoje dyspozycje umysłowe na wielką naradę bojową. No i podjęłam tę śmiałą decyzję, w imieniu własnym oraz nieobecnych koleżanek.

– Kupię! Kupię ziemniaki. Ależ będzie radość.

Weszłam zdecydowanym krokiem i od razu poprosiłam.

– Ile? – Zapytał sprzedawca.

– Za wszystkie pieniądze. – Oznajmiłam radośnie, wykładając je na małej ladzie i rachując skrzętnie.

– Wystarczy na dziesięć funtów – stwierdził.

– Hm, to znaczy prawie pięć kilo – zastanawiałam się. – Są drogie, bardzo drogie – przyznałam.

– O tak, bo tutaj bardzo trudno o ziemniaki, *madame*. To pewnie jakaś uroczystość? (*Any celebration?*) – Domyślał się.

– Ach tak, zakończenie kursu.

– A, jutro? Postaram się. Czy sprowadzić na jutro?

– Jutro będziemy daleko.

Wzięłam od niego odważoną część ziemniaków, gdy usłyszałam.

– Pani pozwoli, wyłożę gazetę – zniknął za przepierzeniem a ja zostałam sama, urzeczona uprzejmością sprzedawcy.

– To ja już wszystkie wsypię – dodał, odważywszy następną porcję.

– Dziękuję, dziękuję! – Wołałam za nim, zajęta równocześnie obliczaniem kilogramów, które będą dźwigać *pro publico bono*.

Usłużny sprzedawca z namaszczeniem podał mi plecak tak przepełniony, że wspólnie upychaliśmy jego zawartość. Nie dość na tym. Zapytał, w którym kierunku jadę, odprowadził mnie do przystanku przy sąsiedniej uliczce – dzięki temu zaoszczędziłam spory kawał drogi i zbędną przesiadkę – i niósł mi plecak z ziemniakami. Po drodze zdążył się pochwalić, że będzie miał co opowiadać, jak to *young lady* (młoda dama) z dalekiego kraju kupiła u niego aż tyle ziemniaków, że musiał nawet z wystawy je ściągać, bo w sklepie zabrakło tego rzadkiego rarytasu.

Byłam ogromnie zadowolona. Jak to dobrze, że natrafiłam ten sklepik. I na ziemniaki, tutaj egzotyczne. I aż tyle. To przecież wystarczy na sporą porcję dla każdej z nas. Będzie można poczęstować zakonnice, które aż się dziwią, takie delicje. Wspaniale. Należy im się, tak nas dobrze uczyć. Jak ja to wszystko rozumiałam, co ten Arab mówił. Trzeba przyznać, że w oczach dziewcząt wypadnę wspaniale. Żadnej nie udało się zrobić tak cudownego sprawunku. No tak, ale żadna nie dysponowała taką gotówką. Jeden funt ziemniaków, w prostym przeliczeniu, kosztował sto *milsów*, czyli sto pomarańczy. Luksus. Czyste szaleństwo. No, nie będą chyba mi tego miały za złe? Zresztą połowę kwoty pokryłam z własnych pieniędzy, ale nie muszą o tym wiedzieć. I nie będą. Co tam. Za te wszystkie paskudztwa z kotła. Należy nam się. Przejazd minął mi na błogich rozmyślaniach, ocknęłam się tuż przed rogiem naszej uliczki. Powodzenie dodało mi siłę, niemal bezboleśnie doniosłam do domu dwa plecaki pełne skarbów żywnościowych. Ha! To triumf! To dopiero trofea!

– Dziewczaki! – Darłam się w ich stylu, rozradowana. – Dziewczaki! Nie macie pojęcia, co przyniosłam, co mi się udało kupić.

– Co? Co? – Zbiegały się zaciekawione.

– Ach, nie pokażę, nie pokażę, aż wszystkie przyjdą. – Przekomarzałam się niefrasobliwie, a duma aż mnie rozsadzała, jak nigdy.

– Kartofle! Jak mamę kocham!

– Kto by się spodziewał?

– Cały plecak? Niemożliwe!

Okrzykiem zachwytu nie było końca.

– Będzie prawdziwa uczta.

Energicznym ruchem wywróciłam nad stołem plecak do góry dnem, aby wysypać zawartość.

– O, Boże! – Jęk zamarł mi na ustach. – Boże!

Oto spod górnej warstwy ziemniaków wysypały się na cały stół piękne, świeżutkie, dorodne pomarańcze.

– O, Boże! – Usiadłam machinalnie. – Dobrze mi tak!

– Co się stało?

– Oszukali cię?

– Co? Wszystkie pieniądze?

– Za te pomarańcze?

Tym razem trudno cytować Mickiewicza. „Pełno radości i krzyku”. Było pełno krzyku, a żadnej radości. Szumiało dookoła. Zaskoczenie, rozczarowanie, osłupienie, oburzenie, wściekłość, żal i wstyd, myślałam, że mnie zadławią. Co za idiotka ze mnie. Tak się dać okpić. Za takie straszne pieniądze. I jeszcze tyle moich prywatnych, lecz o tym przynajmniej nikt nie wie.

– Pieniądze wam oddam, oczywiście – zaczęłam, ale głos mi zadrżał po-dejrzanie.

– Zwariowała do reszty – skwitowała jakaś wyrocznia.

– Oddam z najbliższej dekadówki – starałam się przekrzyknąć koleżanki, licząc rozpaczliwie na pożyczkę od Wandzi.

– Nie o to chodzi, ale jak można?

– W jaki sposób pozwoliłaś aż tak dać się oszukać?

Szumiało, brzęczało, żądliło, zbyt wiele naraz, a wściekła złość zalewała mi oczy.

– Tak się dać okpić i aż tak wygłupić! – Rozpaczłam i nagle rozbeczałam się, na domiar tego wszystkiego, jak gdybym dała za mały popis swoich możliwości. Dobrze mi tak. Mają rację. Mam za swoje, idiotka głupia. Dostało mi się, mam nauczkę. Nie kupuje się kota w worku i to na dodatek za cudze pieniądze.

– Cicho! Bądźcie cicho, mówię – dotarł do mnie spokojny głos, nie znoszący sprzeciwu. Przeciął szum w połowie słowa.

– Patrzcie – podjęła Stasia Rajkowska – oto siedzi Alicja nad stołem ślicznych, dojrzałych i pachnących pomarańczy. I płacze. Płacze, że to nie są kartofle. A banda rozwrzeszczanych dziewczątek kipi nad nią od wyrzutów, że ich uraczyła pomarańczami, zamiast kartoflami. Ależ to świetny kawał. Jak opowiecie to wnukom, to kto uwierzy? – I roześmiała się ze swego konceptu.

Danusia zanuciła. „Wnuków zbierze się gromadka. || Co ja wtedy powiem im?” Po chwili wszystkie ze śmiechem odstawiały scenę, jaka ich zdaniem rozegrała się w malutkim sklepiku, w którym „młoda dama z dalekiego kraju” kupowała drogie ziemniaki. Pomarańczowa przykrość została zażegnana. Nauczka, mam nadzieję, została. Kiedy jednak okazało się, że i nasi żołnierze, obiężyswiaty też dawali się w ten sposób nabrać, muszę wyznać, że troszkę się podbudowałam. Zawsze to już lżej na sercu, gdy się nie jest – pod niektórymi względami – jedyną osobą na świecie.

Nie udało się wprawdzie uczta ziemniaczana, ale ostatni wieczór upłynął nam wesoło, śpiewaliśmy trochę sobie i zakonnicom, aby wypoczęły po nieustannej ciszy klasztornej, i posłuchały naszych, polskich melodii, które oczywiście podobały się im. Rano opuszczałyśmy ów gościnny dom. Z rozrzwieniem spojrzałam na długi ganek, przypominający mi widok, jaki rozpościerał się z okien domu rodzinnego, obraz podwójnych schodków zewnętrznych, po których zbiegałyśmy i wspinały się kilka razy dziennie. Obejrzałam się na ogródek klasztorny, z ławą pod drzewem figowym, i furte, otwartą dla nas i strzegącą tutejszej ciszy, której i my zasmakowałyśmy. Przymknęłam oczy, aby obraz tej maleńkiej oazy, która dała nam schronienie na parę tygodni, zapamiętać. Na długo muszą wystarczyć siły nabyte w Betanii. Żegnaj, Betanio, ojczyzno wskrzeszonego Łazarza! Ile nadziei potrafiłaś w nas wskrzesić, ile sił! Będziemy cię wspominać wdzięcznymi sercami.

W Jeninie

Z letniego obozu w Quastinie Szkoła Młodszych Ochotniczek została przeniesiona – w drugim tygodniu września 1943 roku – do miejscowości Jenin, gdzie za czasów Chrystusa znajdowała się osada trędowatych. Odwołanie rozkazu naszego wyjazdu z Betanii do szkoły nastąpiło wskutek owej przeprowadzki.

Z Jeruzolimy do Jeninu jechałyśmy przez miasto Nablus. Obóz w Jeninie typowy, angielski. Liczne baraki, stojące w równych rzędach, tworzyły małe, drewniane miasteczko. Wzdłuż wąskich uliczek zazwyczaj rosły drzewka pieprzu o wiotkich, długich gałązkach i listkach, miniaturki naszych akacji.

O tej porze roku widniały na nich wążiutkie, zielone strączki, w których dojrzewały ziarenka pieprzu. No, więc tym razem zaniósł nas lichy tam, gdzie pieprz rośnie. Na prawo od wejścia do obozu była kancelaria – obok gabinetu dyrekcji i komendy – gdzie pracowała mama Dąbrowska jako sekretarka szkoły. Na lewo duży plac apelowy, a na nim maszt z polską flagą, znajdujący się obok krzyża, otoczonego małym płotkiem. Za placem w równych rzędach stały baraki, klasy – zajmowały przestrzeń od głównej obozowej ulicy – a po lewej stronie drogi znajdował się barak kaplica. Następna uliczka zakreślała w prawo, ciągnęła się wzdłuż kantyny, której patronowało angielskie towarzystwo, zajmujące się żołnierskimi kantynami i ich wyposażeniem, NAAFI (*Navy Army Air Forces*). W naszej szkolnej kantynie nigdy nie brakowało atramentu, pasty do butów, przyborów toaletowych tudzież szkolnych, zawsze były soki do picia a wieczorem gorąca herbata, owoce a nawet pączki. Zwyczajne, polskie pączki. Za kantyną znajdował się nasz barak maturzystek.

Powitano nas szumnie, kiedy wróciłyśmy z nieco przedłużonych wakacji. W czasie przeprowadzki koleżanki musiały zatroszczyć się o nasze worki, ale nie miały o to do nikogo najmniejszych pretensji, spisały się na medal. Zajęły nam łóżka, układ taki sam jak w Rehovoth. Jedyną przykrość sprawiła mi wiadomość, że Lidka zrezygnowała ze szkoły. Mogłam podejrzewać, że tak to się skończy, lecz nie mogłam nic poradzić. Wielka szkoda. Za to Irka Świstunowicz zajęła mi sąsiednie łóżko, ucieszyłam się tym bardziej, że klasie przybyło wiele nowych dziewcząt. Wreszcie nasze władze przestały robić trudności; maturzystki i absolwentki czwartej (ostatniej) klasy gimnazjalnej odeszły, było dużo wolnych miejsc. Nie zdawałyśmy sobie sprawy, że pomyślna rekrutacja w znacznej mierze była rezultatem likwidacji etatów i przydziałów w jednostkach wojskowych, które, wobec perspektywy wymarszu na front, nie chciały zatrudniać ochotniczek. Do szkoły dostała się Krysia Kowalska (dołączyła do naszej klasy), Danka Kaliszczak, Mietka i Danka Niesielskie (znałam je z pobytu w guzarskim ośrodku zapasowym), Danka Kijanowska, która przebywała ze mną w Tas Bułaku, a także Irma Frączek, przyjaciółka Igi (z lwowskiego Gimnazjum Królowej Jadwigi); znałam ją ze szpitala PCK w Teheranie, gdzie pełniła funkcję instrumentariuszki przy operacjach. Z Piątej Kresowej Dywizji dołączyły do nas łączniczki, Zosia Sulik, Irka Ćwirko i mała Jadzia Szumicka; zwana Pimpusiem. Z kompanii szoferek przybyła Danka Kazanecka. Z nowych dziewcząt pamiętam Anulę Nowak, Kysię Pilarz, Halinę Trembecką, Dżanurę Bajraszewską, Walę Łuczak, Irenę Blümitz. Stworzono drugi oddział klasy maturalnej, gdzie znalazły się: Janka Rusiec-

ka (koleżanka Mici z czasów teherańskich), Jagoda Hodała oraz Halka Jakub (znajoma Danki Kaliszczak). Nowe koleżanki lokowały się w drugim końcu baraku. Marysia Parczewska, której egzaminy ze wszystkich przedmiotów wypadły wspaniale, zakotwiczyła obok Krysi Andrzejowskiej, gdyż ta zajęła dla niej łóżko.

Pierwszy dzień w szkole zaczął się od nadrabiania zaległych lekcji. Nie było tego tak dużo, raptem tydzień do uzupełnienia. Zdążyliśmy przywyknąć do takiego tempa pracy, ale dla nowych przydałaby się taryfa ulgowa, wszak na te biedne, odwykłe od nauki, głowy runie ogromna porcja wiedzy.

We czwartek uraczono nas zastrzykiem przeciwtyfusowym.

Profesor Madey od razu rozpoczął wykłady z literatury, które były dla nas niezwykle cenne, chciałyby się powiedzieć, na wagę złota. Równie ciekawie pani Haneczka wykładała historię Polski; na tle historii powszechnej. Tematyczna segmentacja przebogatej problematyki dziejów „na przestrzeni wieków” pogłębiała naszą wiedzę, tym bardziej, że wszystkie sprawy ocenialiśmy wspólnie, wyciąganie wniosków dawało nam sporo satysfakcji. Natomiast lekcje łaciny w dalszym ciągu wprowadzały nas w arkana języka, z którego od wieków tak wiele czerpano, zaś pani Szoska, dzięki systematyczności oraz zdolności podporządkowania naszych umiejętności wszelkim wymogom programu, potrafiła niemal ożywić ów język. Z przedwojennej szkolnej zmory wyczarowała całkiem przyjemny przedmiot, który absorbował nas pięć razy w tygodniu.

Czaruś, związany nauczaniem języka niemieckiego z tubylczą szkołą w Rehovoth, nie przeniósł się wraz z naszą placówką, zatem do nauczania języka angielskiego przydzielono nam palestyńską Żydówkę. Lekcje te należałoby określić jako poważne i pracowite, lecz nieco pozbawione polotu. Nauczycielka o imieniu Ewa była stateczną osobą w wieku około lat czterdziestu. Zdaje się, że specjalnie nie szukała z nami kontaktu, raczej skupiała się na zagadnieniach lekcyjnych, na owej płaszczyźnie układała się nasza współpraca.

Wciągnął nas wir nauki. W pracowitym okresie odwiedzili nas Leonidas i Jerzy. Pierwszy pisywał listy do mnie, drugi do Krysi Andrzejowskiej, teraz chcieli się nam przedstawić. Owo spotkanie zajęło sobotnie popołudnie i prawie całą niedzielę, chłopcy mogli się przyjrzeć naszemu szkolnemu życiu, którego obraz znali z listów. Teraz konfrontowali swe wyobrażenia z rzeczywistością, obserwując młodzież szkolną, liczącą ponad tysiąc osób.

Leonidas okazał się bezpretensjonalnym gawędziarzem, czyli taki, jakim wydawał się z listów. Jednak moja wiedza o nim wzbogaciła się o element,

którego z korespondencji znać nie mogłam. Lwowski akcent, na co jesteśmy wyczulone, zwłaszcza, że w tyglu akcentów zaczynają się zacierać swoistości regionalne. W sposobie bycia otwarty i bezpośredni, zaliczał się do tych, o których mówi się „swoją chłop”, oczywiście w znaczeniu dodatnim. Co do Jerzego, Krysia była raczej speszona, uznała bowiem, że jest bardzo dorosły i zbyt poważny, miała wrażenie, że tylko z grzeczności nie traktuje jej jak sztabaka, a nim właśnie się czuła. Poza tym przejęła się referatem, który miała prezentować na języku polskim, a choć miała sporo czasu, chciała zabrać się do przygotowań jak najwcześniej.

Po odjeździe pancerniaków długo nauczyłyśmy się z Krysią, wykraczając poza dozwolone godziny, czyli wbrew królewskiemu regulaminowi, jak by rzekły angielskie pielęgniarki ze szpitala numer 91. Porządnie zaciemniłyśmy barak naszej klasy – mieścił się w pobliżu garaży, daleko od kwater sypialnych – by uczyć się w ciszy. Potem chyłkiem przemknęłyśmy w stronę baraków sypialnych, aby wpaść prosto na służbową lustrującą teren obozu, ta, rzuciwszy okiem na nasze zeszyty, machnęła ręką, wdychając. „Oj, te maturzystki, maturzystki”, po czym dodała oficjalnie.

– Ostatni raz!

– Tak jest! – Zapewniłyśmy ze szczerym przekonaniem i czmychnęły do siebie, już bez dalszych przeszkód.

* * *

Swoją pracę pod tytułem *Nowa epoka w poezji polskiej* oddałam profesorowi już w poniedziałkowy ranek. Zwrócił mi ją nazajutrz, a gdy wpisywał lekcje do dziennika, zajrzałyśmy z Irką do mego zeszytu. Ani jednej czerwonej kropki czy przecinka, ani jednej literki, nic, nawet stopnia na końcu nie było, tylko podpis, znak, że przeczytane.

– Bezbłędnie. Fajnie. – Ucieszyła się Irka.

Na polecenie profesora odczytałam referat, od deski do deski, a było tego sporo.

– Otwieram dyskusję – oznajmił profesor.

– Referat podaje masę wiadomości na temat walki o romantyzm w jego najwcześniejszym okresie w Polsce – zaczęła Iga.

– Ujęcie bardzo przejrzyste – kontynuowała Micia.

– Proponuję ocenę bardzo dobrą – podsumowała Hanka Pstrokońska.

Profesor zajrzał do notesu, po czym oznajmił.

– Niedostateczny. Przecież to w ogóle nie jest żaden referat. Pani po prostu

streściła rozprawę i nic więcej. Kto na podstawie całej tej pani pisaniny, zgrabnej i gładkiej, może domyślić się, albo przynajmniej odgadnąć, po czyjej stronie pani się opowiada?

– Ja? – Całe zdziwienie zawarło się w tym pytaniu.

– Naturalnie, pani, ze swego punktu widzenia. Już kiedyś rozmawialiśmy o literaturze, przecież pani wie, co się pani podoba i dlaczego. Właśnie o to chodziło, aby po przeczytaniu przedyskutować problem i wyłowić to wszystko, co dzisiejszy czytelnik przyjmuje z tamtej epoki, co się podoba i z jakich powodów, co nas nie chwyta, może nawet razi, a może zupełnie nie interesuje. Tam porównuje autor opinie starych klasyków z młodymi romantykami, a pani nam je tylko opowiedziała, bez najmniejszej wzmianki o swoim stanowisku. Można podać też opinie krytyków, innych pisarzy i tak dalej, ale w tym wypadku nie miała pani takich materiałów. Chodziło o sądy współczesne, obecne.

– No, tak. Teraz zrozumiałam – odetchnęłam z ulgą. Zrozumiałam, że ta dwójka pozostanie osamotniona, jedyna. Ma dla mnie duże znaczenie, jest progim, który już mogę uważać za przekroczony. Wiem, o co chodzi.

– Nie martw się Alicja, to się da naprawić, zobaczysz – szepnęła mi Irka i uśmiechnęła się, mimo wszystko bardzo spłoszona.

– Na pewno – rzuciłam z otuchą, chociaż doskonale zdawałam sobie sprawę z tego, jak wiele wiadomości mi brak, abym się odważyła wygłaszać swoje opinie i poglądy. Najważniejsze jednak, że profesor wyłożył nam swoje racje, teraz już chyba trafię na właściwy trop. Ten nieszczęsny referat, pierwszy w klasie, stał się przestrogą dla wszystkich, rozpoczął epokę w uczniowskim piśmiennictwie.

Profesor precyzyjnie przedstawił zakres materiału do przerobienia, przewidział liczbę godzin, które będą potrzebne do jego wykonania i, mając na uwadze znikomą ilość czasu lekcyjnego, zachęcał do nauki własnej, bowiem matura ma odbyć się już w lutym. Wskazał także możliwość zdobycia książek, (raczej trudności), wspomniał o konieczności zapewnienia czasu, który będzie potrzebny na sprawdzanie wiadomości czy pisemne prace klasowe. Obiecał systematycznie prowadzić wykład, gdyż stanowi podstawę przedmiotu. Za bardzo ważną rzecz uważał wzbogacanie ramowych wiadomości poprzez bezpośredni kontakt z twórczością pisarzy. Ze względu na rozpaczliwy brak czasu i lektur zaproponował podział pracy. Każda z nas miała przygotować referat na konkretny temat w sposób wnikliwy i krytyczny, aby dzielić się z klasą zdobytą wiedzą. Tematy do opracowania rozdzielono według zainteresowań indywidualnych tudzież możliwości. Nauczyciel zawsze był do dyspozycji, wyjaśniał wątpliwości czy trudności, które niejednokrotnie napotykałyśmy,

nie mając odpowiednich podręczników. Książki zaś przynosił jak czarodziej. Nie wiadomo, skąd pochodzą, wiadomo, że dostajemy na krótko. Profesor wprowadzał w zagadnienia właściwej epoki a następnie czynił nas przewodnikami po niej, my zaś dzieliłyśmy się z klasą swoimi odkryciami. Wieczorami zbierałyśmy się na referat, zazwyczaj wsparty koreferatem, potem dyskutowaliśmy i dokonywały podsumowania. Na koniec profesor, niczym malarz wieńczący dzieło sztuki paroma mistrzowskimi pociągnięciami pędzla, uzupełniał całość, tworząc niezapomniany fragment z obrazu literatury polskiej czy światowej. Czasem na przygotowane przez nas referaty zapraszał czwartą licealną, raz zabrał nas do nich na Placówkę, którą omawiała Irka Peszyńska.

Oto przykłady opracowywanych zagadnień, które notuję ze swego brulionu, łącznie z datami oraz nazwiskami koleżanek, jeżeli w nim figurowały.

– 7 X 1943. Referat HANKI Pstrokońskiej: „*Księgi narodu polskiego*”. *Od początku świata, aż do umęczenia narodu polskiego; Aktualność „Książ narodu polskiego”*; koreferat Aleksandry Dąbrowskiej.

– *Co wniósł Chateaubriand do literatury powszechnej? Wprowadzenie do „Atala” i „René”* (w przekładzie Tadeusza Boya Żeleńskiego); referat Krysi Jarmułowicz; *Atala* Irka Szczepańska; *René* Cesia Iżyłowska.

– „*Giaur*” George’a Byrona (*w tłumaczeniu Adama Mickiewicza*) jako przykład utworu romantycznego; Stasia Spólnik, 21 X 1943.

– „*Książę Niezłomny*” Calderona i jego wpływ na Juliusza Słowackiego; Alicja Bober.

– *Konstrukcja komedii Aleksandra Fredry („Zemsta”, „Pan Geldhab”)*; Marzena Kuczera, 22 X 1943.

– *Obraz XVIII wieku w utworze Juliusza Słowackiego pt. „Złota czaszka”*; Ludmiła Dąbrowska.

– „*Fantazy*” Juliusza Słowackiego jako komedia romantyczna; Zosia Sulik.

– *Tragedia klasyczna na podstawie analizy „Prometeusza skowanego” Aischylosa*; Irma Frączek, 4.XI.1943.

– *Wpływ „Prometeusza” na pisarzy polskich*; koreferat, 4 XI 1943.

– *Za co kochamy „Pana Tadeusza”?*; 6.XI. 1943.

– *Ignacy Kraszewski i cykl jego powieści historycznych*; Irka Ćwirko.

– *Romantyzm w cieniu trzech wieszczów*.

– *Twórczość Adama Asnyka na tle epoki*.

– *Spółczesność polskie w okresie 1863 – 1905 w „Nocach i dniach” Marii Dąbrowskiej*; Ludmiła Dąbrowska.

– *Chłop w literaturze polskiej. Od pism Jana z Ludziska do „Kordiana i chama”* Leona Kruczkowskiego; Irka Świstunowicz.

– *Problematyka powieści Bolesława Prusa*; Cesia Iżyłowska.

– *Hasła pozytywizmu u Bolesława Prusa*; koreferat, Krysia Jarmułowicz.

– *Obraz społeczeństwa w twórczości Karola Dickensa*.

– *Twórczość Jana Kasprowicza*; Marysia Parczewska.

– *Krajobraz polski w twórczości Józefa Weyssenhoffa*.

– „*Wojna i pokój*” *Lwa Tolstoja*; Marysia Parczewska.

Temat *Powieść historyczna Henryka Sienkiewicza* Zosia Sulik nieco zmieniła, proponując następujące ujęcie zagadnienia *Za co kochamy Henryka Sienkiewicza?* Wywołała ciekawą dyskusję, naświetlając pogląd młodzieży na sprawę „niezgodności z historią” w ujęciu Sienkiewiczowskim.

* * *

W środę, dwudziestego dziewiątego września, odwiedziła nas Czołowska Jednostki Zmotoryzowanej z programem artystycznym, który może nie dorównuje repertuarowi Teatru Żołnierza, ale cieszy się powodzeniem, jak wszystko, co zawiera polską pieśń, słowo, co umożliwia kontakt ze sceną.

Doręczono mi list od Wandy. Moja siostra przy okazji dołącza do niego paczuszkę. Wiedząc, czego mi brak, przysyła pończochy, skarpetki, chusteczkę do nosa, dwa staniczki i wszystkie moje zeszyty z pierwszej klasy licealnej. Przed wakacjami pożyczyła je Lidce a ta, odjeżdżając z Ośrodka Zapasowego w Al Mugar – na przydział do szpitala polowego – oddała je Wandzi.

We czwartek, trzydziestego września, miałyśmy klasówkę z języka polskiego *Wpływ Mickiewicza na twórczość romantyków*. Poszła mi dobrze. Nasz kręgosłup dnia, rzecz trzeba, odpowiada zespołowi sygnałów gwizdkiem, którymi szufladkowane są codzienne sprawy. A raczej twardo upychane, na siłę. Głównym zajęciem są lekcje, programowe przed południem i dodatkowo po południu, często również wieczorem. Nasi profesorowie bywają hojni w ofiarowywaniu nam prywatnego czasu. Rzecz jasna, bezinteresownie; dodatkowe godziny pracy nie są nagradzane; przy tym nie wszyscy mają stopień oficera.

Oprócz lekcji i nauki w naszym dniu powszednim liczą się listy. Nasi korespondenci, którzy nie zdołali przyjrzeć się naszemu szkolnemu życiu, nie mogą sobie wyobrazić, że można nie mieć czasu, jeśli „się nic nie robi, tylko chodzi do szkoły”; tak w chwili rozżalenia pisał kolega jednej z uczennic. Zupełnie bez pojęcia. Teraz mamy okres wkuwania i na korespondencję brak czasu. Wskutek zmęczenia na pisanie trudno się zdobyć. Wanda w pełnym

żału liście uprzedza mnie o prawdopodobieństwie wyjazdu do Anglii. Chciałaby tego uniknąć ze względu na rodziców i na mnie. Jednak nie jest pewna, czy będzie mogła cokolwiek załatwić. Od kilku dni do szkoły chodzi Krysia Marchut. Jest w gimnazjum, w ostatniej klasie. W niedzielę wpadła z wizytą znajoma paczka z Tas Bułaku i Urdżaru, Grześ Bader i Adaś Zaniewski z kolegami. W poniedziałek polonista zwrócił klasówki. Uważnie analizował liczne oceny niedostateczne. Ja uzyskałam ocenę dobrą. No, wreszcie wpadłam na właściwy trop. Najbardziej lubię język polski, w przeciwieństwie do historii, która mnie męczy.

Od jakiegoś czasu męczyłam się nad trylogią Juliusza Kadena Bandrowskiego *Mateusz Bigda*, którą polecono mi przeczytać, przeanalizować i opracować. Profesor zapytał, kiedy się z owym zadaniem uporam, gdyż chciałby sprawdzić mój referat, zanim go przedstawię na lekcji.

– Ojej, to jest takie trudne, takie okropnie ciężkie, że strasznie się wolno daje czytać – zmartwiłam się.

– O? Zdawało mi się, że dość chętnie zgodziła się pani na Kadena Bandrowskiego?

– Tak, ale przecież nie miałam pojęcia, że to jest coś takiego. Znałam tylko *Miasto mojej matki* i *W cieniu zapomnianej olszyny*.

– Czyli Mateusz Bigda się pani nie podoba?

– Okropnie trudne. Nie znam epoki, nie mogę sobie wyrobić żadnego sądu o wydarzeniach czy też o granicy między rzeczywistością a fikcją literacką. Nie rozumiem licznych aluzji, które autor wygłasza tak, jakby były same przez się zrozumiałe, podczas gdy ja nie jestem w stanie rozszyfrować. Strasznie mnie to denerwuje.

– Tylko tyle?

– Nie, to nie wszystko, jeśli pan profesor chce wiedzieć, dokończę. Nie podoba mi się bohater, nie odpowiada mi treść książki i bardzo nie lubię takiego naturalizmu. Wszystko odarte z piękna, ludzie to hieny i szakale. Czytelnik czuje się, jakby wpadł w błoto, jest „stłamszony”, mówiąc (straszonym) językiem autora.

– Dać pani coś innego w zamian?

– Naprawdę? Czy to możliwe? – Kamień spadł mi z serca.

– A czy zreferowałaby pani za to Calderona *Księcia Niezłomnego*?

– Ależ tak, dobrze. Czy mogę odnieść Bandrowskiego?

– Jutro dam pani Calderona i wezmę Bandrowskiego.

Książę Niezłomny zafascynował mnie od razu. Czytałam, poruszona do ży-

wego, oczarowana treścią, formą, stylem oraz pięknem przekładu Juliusza Słowackiego. Arcydzieło, cudowne. Referat opracowałam natychmiast, na gorąco, a po zatwierdzeniu przez profesora odczytałam klasie z wielkim przejęciem i z satysfakcją. Dyskusja, jak zwykle, była żywa i owocna, „ospałe” się u nas nie zdarzają, bowiem tematy zawsze są interesujące, a rozmaite ujęcia zachęcają do wypowiedzi. Profesor podsumował dyskusję i dodał. „Temat, jak się okazuje, był tym razem dobrany właściwie dla autorki referatu”. Ha! To już coś. Niezależnie od tego nikt nie wie, ile prawdziwych wzruszeń dał mi *Księżę Niezłomny*. Trylogii Bandrowskiego nauczyciel nie zaproponował już żadnej.

Oficjalnie wierzymy, że w obecnej sytuacji nauka musi być ponad wszystko. Mniej oficjalnie trzeba przyznać, że istnieje poza nią jakaś reszta. Zapewne „w odstawce, jak ci dziadkowie leśni”, nie powinna przeszkadzać w edukacji. Nic dziwnego, że myślę listy. Koresponduję dopiero wtedy, kiedy jestem zmęczona, aby się uczyć, czy opracowywać tematy z literatury lub historii. Otóż Wanda pisze mi (dziesiątego października), że w kopercie adresowanej do niej znalazła mój list, który powinien dostać Władek; drogą pośrednią otrzymała od niego właściwy. Dałam popis, jestem roztrzepana, jak to ujęła moja siostrzyczka.

Staram się odrabiać wszystko na bieżąco, zatem często, jak to mówią, padam na zбиты nos ze zmęczenia. Dla przeciwwagi Wanda denerwuje się, nie może doczekać się przydziału, chyba dlatego, że poza służbą, dyżurem czy przepustką nie ma co robić. Ma za dużo wolnego czasu. Aż trudno uwierzyć. U nas przeciwnie. Rano, przed pobudką, dosłownie nie daję sobie rady. Budzę się niemal zawsze z dokuczliwym bólem głowy. Wieczorem (około godziny ósmej czy dziewiątej), nie mogę usiąść; zasypiam. Wtedy uczę się, klęcząc na twardej podłodze, aby mi nie było wygodnie; żeby nie usnąć. Na wyrku kładę zeszyty. Moje koleżanki, muszą przyznać, znacznie dłużej wytrzymują w nocy czy nad ranem. Mnie udaje się wytrwać do jedenastej, najwyżej do dwunastej w nocy. Oto maksimum moich możliwości. Koleżanki zasypiają jakieś trzy godziny po mnie. Czuję się zażenowana, lecz bezsilna, kiedy usiłuję przekroczyć granicę swoich możliwości. Nic z tego nie wychodzi. Wówczas nie rozumiem nawet po polsku, albo zaczyna mi się wszystko plątać. Na domiar złego zjawia się bezsenność i jestem „na szmelc”.

Piętnastego października wpadła Wanda, wykorzystując przepustkę. Otrzymała przydział do Szpitala Polowego Nr 5 (inwalidów). Pracuje w kancelarii jako maszynistka. Drugi raz odwiedziła mnie w środę dwudziestego października, odjechała dzień później. Obecnie z Gazy – tam mieści się szpital – nie będzie jej łatwo mnie odwiedzać.

Niedawno wystąpił w Jeninie Teatr Żołnierza z *Damami i buzarami*. Znacomity spektakl. Wszystkie obejrzałyśmy, później omawiały z polonistą, zachwyconym, że Teatr Żołnierza ma Fredrę w repertuarze.

* * *

Na dzisiejszy dzień, dwudziesty czwarty października, niedziela, wypadła czwarta rocznica ślubu Dwidki. Nie wiadomo, czy małżonkowie są w domu (przy ulicy Sieniawskiej), czy się ukrywają, jak głosiły wieści sprzed dwóch lat. Ileż to się mogło zmienić w ciągu owego czasu, tam, pod okupacją. Jutro zaś rocznica śmierci babci, trzecia. Czy zobaczę nasz stary dom, tych, którzy powinni jeszcze tam być i nowy grób, którego nie widziałam, chociaż minęły lata?

Mój temat pracy pisemnej z języka polskiego – *Dramat ginącego narodu na podstawie „Lilli Wenedy”* – podobał mi się bardziej niż inne, dotyczące tej lektury. Profesor zwykle daje po kilka zagadnień dotyczących jednej książki, aby wszechstronnie przeanalizować temat. Przekonał się, że stworzyłyśmy zwyczaj pisania większych prac „na brudno”. Zdziwił się, że mamy aż tyle czasu, aby „nie myśleć od razu porządnie”, lecz zadajemy sobie dwukrotnie więcej roboty z powodu przepisywania.

– Pamiętajcie, panie, że czeka was pisemny egzamin maturalny. Trzeba jak najwięcej pisać, aby nabrać wprawy w wyrażaniu myśli i opinii. Dobre pisanie trzeba ćwiczyć. Przekonana o słuszności takiego postępowania napisałam wypracowanie od razu w zeszytcie – po dokładnym przemyśleniu tematu – i wyszło niezłe. Od tej pory nie będę używała żadnego brulionu do ćwiczeń, bo to jest strata czasu.

W poniedziałek byłyśmy zaproszone przez profesora Madeya do klasy IV „d” na referat Irki Peszyńskiej o *Placówce*; rzecz jasna, i koreferat. Dziewczęta z satysfakcją gościły nas, maturzystki, a opracowanie, którego wysłuchałyśmy, zrobione było porządnie. Klasom czwartym grono pedagogiczne także poświęca czas spoza godzin lekcyjnych.

Na wtorek miałyśmy zadaną pracę o *Lilli Wenedzie* Juliusza Słowackiego. Zdążyłam napisać w niedzielę, lecz większość uczennic nie zdąży przygotować na wyznaczony termin, a co najmniej połowa klasy jeszcze nie czytała utworu. Po kolacji ruszyłyśmy pod kwaterę profesora Madeya i właśnie naradzałyśmy się, co dalej czynić, gdy z domu wyszedł profesor Kotowicz; po naszymu Florek. Obaj zamieszkują jeden pokój, na piętrze. Powiedział, że „Madejusza” jest u siebie. Otoczyłyśmy więc Florka, aresztując go w ten spo-

sób, i urządziłyśmy serenadę pod profesorskim oknem. Oczywiście reakcja była natychmiastowa. Profesor Madey wyrżał, by sprawdzić, co się stało. Poinformowałyśmy go o niezwykłych okolicznościach zajścia, zaś ultimatum zabrzmiało jednoznacznie i nieodwołalnie. W pierwszej chwili próbował pertraktować, ale przecież miałyśmy zakładnika, którego gotowe byłyśmy więzić całą noc. Groźba była okrutna. I to nie tylko dla Florka, ale i dla nas samych. Ha! Z czym muszą się liczyć desperaci? Pytanie retoryczne. Profesor Madey, jak przewidywałyśmy, ujął się za zakładnikiem. Nie rzuca się bowiem przyjaciela na pastwę tłumu, nawet wtedy, gdy tłum okazuje się zbiorowiskiem dobrze wychowanych panienek. Termin wypracowania pisemnego o *Lilli Wenedzie* został przesunięty, zakładnika bez szwanku zwróciliśmy przyjacielowi, nie licząc, rzecz jasna, wygasłej fajeczki biedaka; zwierzył się, że „świat, ni korona polska nie widziała, aby...”, ale co tam, ostatecznie historia to nie jego specjalność. Wśród wiwatów i śpiewu maszerowałyśmy spod murów zdobytej, aczkolwiek nie zburzonej, bastylji. Nawiasem mówiąc, miałyśmy szczęście, że Florkowi przytrafiło się porwanie i areszt. Szczęście dla nas, nie dla Florka. Nie mam pojęcia, co byśmy poczęły, co wymyśliły, gdybyśmy trafiły na Madejuszę. Mógłby – z całą męską chytryością i przewrotnością – dać się porwać. I co zrobiłybyśmy? Widać niebo czuwało nad nami.

Trzydziesty października, sobota. Rano ledwie wspomniałam instruktorce, pani Jasi, że się zastanawiam nad przepustką, a ta wręczyła mi ją od razu przy obiedzie. Natychmiast rozpoczęłam przygotowania do wyjazdu. Wybierałam się do Wandy. Gdy już miałam ruszać do Gazy, okazało się, że samochód z kantyny jedzie aż do Gedery i może mnie zabrać. Świetnie. Co najmniej połowę drogi będę miała z głowy, tę trudniejszą. Z Gedery o wiele łatwiej dostać się do Gazy, jadąc główną szosą. Pewnie zrobię Wandzi niespodziankę, powinnam być około piątej godziny. Kiedy nasz samochód dojechał do drogi głównej, okazało się, że czeka tam długi sznur samochodów. Oto szosą sunęła wolno olbrzymia kolumna pancerna. Ziemia jęczała pod ciężarem, a my patrzyłyśmy z niedowierzaniem, wszak to nie jest zwykła zmiana miejsca postoju. To na pewno przegrupowanie sił zbrojnych, zapowiedź wymarszu na front. Po kilku miesiącach szkolenia wojennego na pustyni Iraku, nad rozłożystym Tygrysem i jeziorem w Habanii, spod Kaneguinu, Bagdadu, Kirkuku i Mossulu żołnierz rusza do walki. Kolumna zdąża na południe, przez Palestynę do Egiptu. I dalej do kraju. Krętymi drogami wiedzie szlak powrotu. Ilu z „chłopców malowanych” nie dotrze tam? Chyba nie mnie jednej krążyły po głowie takie myśli. Oto ktoś cienkim głosikiem zanucił. „Może nie wszyscy, ale dojdziemy. | |

Może nie wszyscy, jak zechce Bóg. || Ale na pewno wszyscy będziemy || Szukać zwycięskich do Polski dróg”.

– O, Boże, chciej! – Modliłam się w duchu. Nie wolno wyprzedzać, ani wiskać się w kolumnę, wlekliśmy się więc za sznurem różnorakich aut, jadących wolno. Za nami tworzył się długi ogon. Zrazu ze ściśniętym gardłem patrzyliśmy przed siebie, potem, gdy coraz bardziej mrok tuszował rzekę żelastwa, głośnym echem szumiało nam ono w głowach, by przytłaczającym szczękiem metalu zagłuszać bicie odrętwiałych serc. Tak. Koniec października 1943 roku niczym nie przypomina końca sierpnia roku 1939. I ci „chłopcy malowani” coraz mniej są podobni do młodych romantyków. Dziś – zbrojni w niewiele poza owym „drugim sercem w plecaku” – ruszają do boju z powagą nieustępliwą, wojna dała im się dobrze poznać. Już nie będą walczyć brawurą rozpaczą. Oto widzimy mężczyzn zahartowanych głodem, mrozem syberyjskim, nostalgią; wszędzie jednak. A jakże wielu z owych żołnierzy – wyszkolonych, choć jeszcze nie zaprawionych w boju – we wrześniu roku 1939 było jeszcze chłopcami.

Dopiero o godzinie trzeciej w nocy mogliśmy się zatrzymać. Mijaliśmy wtedy jakiś obóz, już za Gederą, a przed Barbarą. Wartownik wskazał naszej grupce namiot ochotniczek, które zrobiły nam miejsce. Jedną z mieszkańek namiotu okazała się pani Maria Woszczyńska, z którą byłam przydzielona do saperów; ona wówczas pracowała w kancelarii. Bardzo miło się mną zajęła i już po chwili spałam, otulona kocami.

Nazajutrz, w niedzielę, po śniadaniu i mszy polowej, wybrałam się z panią Marią do naszych saperów; stacjonowali tuż obok. Ani etatów dla Pomocniczej Służby Wojskowej Kobiet, ani żadnych ochotniczek już u nich nie było. Przyjęto nas bardzo serdecznie, gdy zameldowałyśmy się w biurze. Od razu zjawili się ci, z którymi współpracowałyśmy. Porucznik Śliwiński, oświatowiec angażował nas w dość wybredny sposób, lecz okazał się przyzwyczajonym, troskliwym zwierzchnikiem, oraz nierozłączny jego kompan, „Kapitan *I sorry*”, Wajdowicz, który zawsze był zyczliwy, interesował się pracą „Siedmiu Jędrzejów Baonu”. Uroczyście wystąpił w zamieszonych, prywatnych półbutach, zawsze zachwycających panią Wandzię, która w naszym namiocie odstawiała scenę chuchania i dmuchania na owe buty, jaka musiała – jej zdaniem – każdorazowo poprzedzać ranne wyjście oficera z namiotu. Przybiegł wielki kucharz, pan Stanisław, gotów uraczyć nas – swoim zwyczajem – porcjami godnymi brygady głodomorów; tym razem dał się przekonać, że nie jesteśmy głodne. Zjawili się także trzej zaprzyjaźnieni ze sobą podchorążacy, chyba „karpaczczy” spod Tobruku: Józek Nowakowski – nasz instruktor na kursie samocho-

dowym, zawsze gotów do pomagania każdemu i we wszystkim, mój bezpośredni szef – świetlicowy Józef Majchel i „blondyniasty” Wacek Gorczyński; na fotografii zrobionej nad wodami Tygrysu stoi obok Krysi Bojko i mnie. Spędziłyśmy z nimi dłuższą chwilę, opowiadając o wspólnych znajomych, nieobecnych. Cieszyliśmy się ze spotkania a nasi saperzy byli nam za wizytę szczerze wdzięczni, nie pomni wcale, że to właśnie ja mam wszelkie powody być wdzięczną za wysłanie mnie do szkoły, za serdeczność i życzliwość, jaką mi okazali. Bardzo się im podobało, iż noszę na klapach kołnierza czarne, saperskie naszywki z czerwonymi wypustkami, przyszyte jeszcze podczas pracy w baonie. Każdy je zauważył. Szkoła pozwalała dziewczętom nosić znaki ze swoich przydziałów. Nasi rozmówcy zastrzegali, że muszę do nich wrócić z maturą, jeżeli tylko dostanę etat świetliczarki. No, właśnie, jeżeli. Przecież oni oczekują wymarszu na front.

Pozegnaliśmy się z uśmiechem i zapewnieniem o wzajemnej pamięci. Czy się kiedyś zobaczymy, czy się zejdą nasze drogi, wiodąc do kraju? „Saper myli się tylko raz”; przypomniało mi się ich powiedzonko. O, Boże, nie daj się pomylić żadnemu z nich!

Poniedziałek i wtorek – Wszystkich Świętych i Dzień Zaduszny – były dniami wolnymi od zajęć. Wróciłam do szkoły dopiero we wtorek, gdyż chciałyśmy z Wandzią być jak najdłużej razem, lecz miałam zamiar również trochę popracować w „bezlekyjny” dzień. Wracałam przez Tel Aviv, gdzie sprawiłam sobie wieczne pióro, narzędzie pracy; z zakupu jestem bardzo zadowolona. Mam nadzieję, że dzielnie sprawi mi się na maturze. Po południu zaszła do nas pani Haneczka zobaczyć, jak wracamy z przepustek. Przysiadła na chwilę i okazało się, że chyba już nie ma tematu, którym nie mogłaby się z nami podzielić. Wtajemniczona w nasze sprawy szkolne i prywatne, znała marzenia każdej. Świetnie się z nią rozmawiało. Rozumiała wszystko doskonale, często lepiej od nas samych, jednak nigdy nie dawała tego odczuć. Nie stawiała siebie na piedestale wieku czy doświadczenia, chociaż miała prawo, słuchała nas z prawdziwym zainteresowaniem. Miała poczucie humoru. Niektóre koleżanki twierdziły, że potrafi być złośliwa. Może to i prawda, ale tym lepiej, wiemy więc, że ma jakieś ludzkie (małe) przywary; wszak bez żadnych słabostek byłaby zbyt idealna, niewiarygodnie mądra i dobra, jak jakiś książkowy bohater. A to przecież człowiek z krwi i kości. Chyba nasze wyjątkowe grono pedagogiczne zdaje sobie sprawę z not, jakie wystawiają uczennice, pełne szacunku wobec rzetelnej pracy nad nami i z nami, wdzięczne za niezwykle przyjacielski stosunek do nas. Musi wiedzieć, jak wiele dla nas znaczy.

Piątek, szósty listopada. Wieczorem, zamiast dodatkowej lekcji polskiego, profesor ogłosił obowiązkowe wyjście do kina całej klasy na amerykański film kolorowy z 1941 roku *Krew na piasku*, według powieści Blasco Ibaneza *Krew na arenie*, z roku 1908. Nauczyciel z wyraźną satysfakcją zapowiedział, że nazajutrz odbędzie się czytanie naszych recenzji. Film był piękny, zrobiony z rozmachem, mnie jednak nie interesuje corrida, po prostu jej nie lubię. Mało tego, torreadorów nie akceptuję. Czy to wypada, aby torreador doprowadzał zwierzęta do furii a potem triumfował nad pokonanym, narażając przy tym swoje życie? Czekало nas pisanie recenzji, okropność. Iga Zemanek miała zaprezentować swoją w klasie. Zanim zaczęła, pocztą pantoflową dotarła do mnie wiadomość, że machnęła kilkanaście kartek. Czytała, a my zamieniłyśmy się w słuch. Profesor stał jak urzeczony, ale swoim zwyczajem nie powiedział ani słowa przed zakończeniem dyskusji. Dopiero wtedy wyjął swój notes i głośno podyktował sobie stopień, celujący. Potem przyznał się, że w pewnym momencie zaczął podejrzewać, iż Iga w ferworze pisarskim nie uchroni się przed wyjawieniem treści filmu, czego nie przystoi dobrej recenzji, ale okazało się, że Igosia zabrała się do rzeczy po mistrzowsku. Omówiła problemy, postaci, grę aktorów – główną rolę odtwarzał Tyron Power – wszystko we właściwych proporcjach.

W sobotę dyskutowaliśmy nad *Panem Tadeuszem*. Zupełnie inaczej odbieramy go teraz, na obczyźnie, czujemy doskonale, żyjąc na pograniczu dwóch epok, na przełomie dziejów. Dziwimy się, wspominając sztubackie pojmowanie epopei narodowej. No i tak różnie zapamiętałyśmy fragmenty, których uczyłyśmy się na pamięć.

Niedzielę wykorzystałam na opracowanie *Irydiona* z Irką Świstunowicz. Ona woli historię od literatury, ja przeciwnie, dlatego często uczymy się razem, wzajemnie uzupełniając wiadomości. Znacznie lepiej pracować we dwójkę a z Irką to przyjemność; jest bardzo konkretna, zdyscyplinowana i ma zapał, nie mniejszy niż ja. Razem odrabiamy łacinę i przepytujemy się ze słówek, czego pomyślnym rezultatem okazała się poniedziałkowa klasówka; obie dostałyśmy dobre oceny; każda z nas pisała samodzielnie.

We wtorek, dziewiątego listopada, z okazji imienin komendantki – pani Teodory Sychowskiej – dzień wolny. Na pewno solenizantka zasługiwała, aby jednostka uczciła ów dzień. Pani komendant jest młodą, miłą, pogodną osobą, lubianą i szanowaną przez wszystkich. Przed wojną uczyła geografii, najpierw w gdańskim gimnazjum, potem w Wilnie, skąd wojenne szlaki zaprowadziły ją daleko na wschód. W Szkole Młodszych Ochotniczek była niemal od począt-

ku, to znaczy od założenia placówki w uzbekistańskiej miejscowości Karkin Batasz, wiosną 1942. Z właściwą sobie energią wzięła się do pracy, cieszyła się każdą uczennicą, dbała o sprawy codzienne, umiała wprowadzić atmosferę przyjaźni i zapewniła nam opiekę, jaka wówczas była możliwa. Dziewczeta, pamiętając komendantkę z tamtego okresu, wiedzą, że dniami i nocami walczyła o każde życie, kiedy epidemie i okrutny klimat uśmierciły aż tak wielu. Była niestrudzona, zawsze pomocna, gotowa doradzić, podnieść na duchu niczym zastępowe z harcerstwa, drużyny, o których myślę ze wzruszeniem. Teraz komendantka nie musi zajmować się różnymi sprawami organizacyjnymi, jak to się działo w okresie formowania placówki. Kontakty nasze się nieco rozluźniły, lecz nadal należą do serdecznych.

Po południu, w imieniny komendantki, przyjechał Włodek. Wszedłszy na teren obozu spotkał Kiki. Obeszliśmy we trójkę pagórki otaczające obóz, pogoda sprzyjała spacerom. Wieczór spędziliśmy „U Nafego” – co w szkolnym żargonie oznacza kantinę NAAFI – na pogaduszkach przy soku z pomarańczy. Wskutek skoszarowanego życia odruchowo garniemy się do każdej namiastki prywatności. Włodek odjechał drugiego dnia, we środę. W czwartek, jedenastego listopada, Święto Niepodległości, nie było więc lekcji, tylko msza. Wspominaliśmy przedwojenne defilady uroczyste, jak trzeciomajowe, choć, zwykle mniej liczne, ze względu na chłód jesienny. Pamiętam, że w 1939 roku, wraz z kilkoma harcerkami, wybrałam się na cmentarz, by zapalić świeczki na Grobie Nieznanego Żołnierza. Jakże tam było ciemno o piątej po południu; smutno i pusto, nie licząc naszej gromadki.

Analizowałam *Irydionę*. Profesor znów rozdzielił tematy do opracowania.

W piątek dostałyśmy spodnie ćwiczebne, które wymagają dopasowania, jeśli mamy unikać opinii „łajzy obozowej”; jaka przyłgnęła do ochotniczki Helenki, postaci z Teatru Żołnierza, chodzącej w dwóch prawych buciorach wojskowych. Przerabiamy nowe spodnie. Jedna głośno czyta – zdobytą „na małą trochę” – naszą lekturę *Nieboską komedię*. Inne szyją, nie tyle umiejętnie, co zawzięcie. Dobrze, że mamy fasowane napastrki. Teraz właśnie jest okazja, by je docenić. Wieszcz nie mógł przewidzieć, że do repertuaru szkolnych powiedzonek wejdą niektóre jego cytaty, na przykład owa „mrówka ludzka, pełna podłości i kłamstwa”. Wbrew opinii poety czuliśmy się mrówkami pełnymi wzniosłych uczuć i samozaparć, graniczącego z bohaterstwem, co podtrzymało na duchu i wzmacniało wytrwałość. Krzyśka śpiewała głośno, fałszując. „Ciężko wam przy igle”; sama zdołała się uporać z szyciem i brała się już do czytania.

W sobotę klasówka z propedeutyki filozofii, potem znów jakieś powtórki,

lekcje dodatkowe, referaty, lektury, słowem nauka *non stop* do późnych godzin, ile kto wytrwa. Musztra dwa razy w tygodniu. Nawet alarmy nas nie omijały, jak w wojsku. Coraz bliżej matura i wymarsz na front.

Dziewiętnastego listopada 1943 roku robiono nam fotografię. Stałyśmy w standardowym szyku, trzy trószeregi oraz kadra profesorka i instruktorska, czworobok. Wtedy szkoła liczyła tysiąc osiemdziesiąt młodszych ochotniczek, mnóstwo dziewcząt odkomenderowano po wakacjach. Zrobiono też zdjęcie w obozowej kaplicy. Tego dnia szkołę wizytował Naczelny Wódz generał Kazimierz Sosnkowski oraz dowódca Drugiego Korpusu Polskiego generał Władysław Anders, wraz z asystą. Kupiłam tę fotografię. Władze, w towarzystwie komendantki Sychowskiej, przechodzą przez plac apelowy. Później cała świta uczestniczyła w przedstawieniu (fragmenty *Halki*) zorganizowanym w szkole kadetów, w Barbarze; i nasze dziewczęta miały swój udział. Mam i te fotografie, oprócz tego zakupiłam również parę zdjęć junaków, czyli umundurowanych i skoszarowanych chłopców ze szkoły powszechnej. Ileż lat mogli mieć ci trębacze? Najwyżej dwanaście. A dobosze około dziesięciu. Dziecięce wojsko. Widać, że są odżywieni i zadbani, to już nie owe „półtrupięta” sprzed roku. To ci, których zdołano uratować ze szponów śmiertelnej epidemii. Te fotografie kupiłam z myślą o przyszłości, chciałam zawieźć do kraju. Może kiedyś dzieci polskie będą się uczyć o małych, dzielnych junakach z wojennej Palestyny.

* * *

– Najlepiej poproś Alicję – powiedziała pani Dąbrowska do Mici, stojącej przed naszym barakiem w Jeninie, gdy wracałam z obiadu.

– Alicja! Z nieba mi spadał! – Zaczęła gorąco. – Iruś przysłał okazjnie po mnie wóz służbowy, zaprasza mamę i Siolo, wiesz, miał sam przyjechać na pożegnanie, ale przepustki cofnięte, bo stan alarmowy – wytrzepała jednym tchem.

– A ja właśnie mam taką robotę, że w żadnym razie nie mogę z Micią pojechać – wtrąciła mama. – A Ola jest chora.

– A przecież ja muszę. Oni już ruszają na front! Muszę się z nimi zobaczyć, pożegnać.

– Tak, ale nie sama, ktoś powinien być z nią, bo jak się będzie tam czuła? Trzeba się liczyć z noclegiem.

– Samochód zjechał z drogi i zaraz musi odjeżdżać.

– Dobrze. Jadę – zdecydowałam.

– Powiem im, że już jedziemy. – Wykrzyknęła Micia i poleciała, jak na skrzydłach.

– Prosi mnie o Micię i o błogosławieństwo – zwróciła się do mnie jej matka. – Zgadzam się. Ufam mu. Powiedz mu to ode mnie, dobrze?

– Dziękuję. Powiem – obiecałam wzruszona i pobiegłam się szykować.

– Załatwię wam przepustki. – Usłyszałam jeszcze.

Nasze pidżamy, ręczniki i przybory toaletowe zmieściły się w jednym chlebaku, w alarmowym tempie byłyśmy gotowe. Ledwie Mama Dąbrowska zdążyła z przepustkami, gdy wskoczyłyśmy do samochodu czekającego tuż pod jej kancelarią. Pancerniacy trzeciej karpackiej stacjonowali w Gederze.

– Zaraz zamelduję podchorążemu Suchowskiemu. – Krzyknął kierowca.

Wielki, trochę misiowaty Iruś rozpromienił się na widok Mici.

– Ludka! Ludeczka! Jesteś. – Cieszył się jak dziecko. – Tak się bałem, że coś mogłoby stanąć na przeszkodzie.

– Niewiele brakowało. Mama nie mogła a Ola jest chora, lecz Alicja przyjechała ze mną i w ten sposób...

– Jesteś! Jak dobrze, że jesteś, że jesteście. Jakie to szczęście! Dziękuję za przyjazd. – Zwracał się do Mici, to znów do mnie, prowadząc w głąb obozu.

– Nasze panie przygotowały dla was namiot, ten.

Umyłyśmy się, uczesały, a za chwilę Irek zjawił się po nas. Podziękowałyśmy gościnnym ochotniczkom i poszły za gospodarzem. Wprowadził nas do namiotu, gdzie czekali przyjaciele Irusia, kilkunastu podchorążych i paru oficerów. Długi stół, biało zastany nowymi prześcieradłami, był obficie zastawiony. Wszyscy i wszystko wyglądało bardzo uroczyście. Po wstępnych przedstawieniach, gdy poproszona do stołu zajęłam miejsce przy Mici, zjawił się Włodek.

– Staraliśmy się coś skombinować, abyś nie czuła się tutaj tak całkiem obco – wyjaśniła uśmiechnięta Micia, widząc moje zaskoczenie.

Przyjacielski i swobodny nastrój uniemożliwiał jakiegokolwiek skrępowanie czy poczucie obcości, nawet ja zapomniałam o tremie i kompleksach. Młodzi chłopcy częstowali nas humorem na równi z pysznymi kanapkami i dykteryjkami na temat kolegów, przedstawiając kwintesencję ich życiorysów, podkolorowanych żartobliwą albo nawet karykaturalną charakterystyką typowych cech delikwenta. Widać było, że są wtajemniczeni w sprawy Irusia, a ten ma oddanych przyjaciół. A kiedy Iruś, upewniwszy się dyskretnie, że Micia przyjmie od niego obrączkę na znak zaręczyn, dawał ją ukochanej, widziałam, że wszyscy przeżywali tę chwilę. Szkoda, że matka Mici nie mogła uczestniczyć w tym wydarzeniu, poznać przyjaciół Irka, i że chora Oleńka nie może towarzyszyć swej bliźniaczej siostrze.

Będę się starała odmalować nastrój panujący wśród młodych, do których uśmiechnęło się życie przed wymarszem na front. Wszyscy chcieli się cieszyć i te godziny spędzić najlepiej, najspokojniej, najpiękniej. Może, aby życie zniewolić do trwania? Albo przeciwnie? Ostatnie pożegnanie z życiem?

– O czym myślisz, Alu? – Zaniepokoił się Włodek.

– Do licha! Czy wszystko musi być zaraz wypisane na mojej facjacie? – Zezłościłam się na siebie w duchu.

– No, cóż. Właśnie zastanawiałam się, kiedy oni dadzą na tej obrączce, na obu obrączkach, wyryć datę ślubu, jak to Irek wspomniał – odpowiedziałam, łapiąc strzęp jednej z wielu tłoczących się myśli.

– Może już wkrótce, po waszej maturze – odpowiedział.

– Możliwe – zgodziłam się.

– Pozwolę sobie wznieść toast – usłyszałam.

– Za szczęście!

– Za pomyślność!

– Za przyszłość!

– Jak to dobrze, że nie mówią „za życie”, bo jeszcze by się człowiek gotów rozbeczeć – pomyślałam z ulgą.

– Pani nie spełniła toastu? – Zwrócił się do mnie kapitan.

– Owszem, sokiem pomarańczowym!

– No, nie! To nieważne. – Usiłował perswadować.

– Ależ tak! Ważne i wypróbowane!

– Proszę nie odmawiać – włączył się ktoś.

– Pan przekona swojego gościa. Ta odrobina wina nie może zaszkodzić – tym razem zwrócono się do Włodka.

– Na pewno nie, ale ja też jestem za sokiem pomarańczowym – odpowiedział z uśmiechem, więc z uśmiechem podano nam sok, bez zbędnych ceregieli.

– To jest mój Maciuś – któryś z kolegów Irka podał mi fotografię, gdy już Micia ją obejrzała.

– Strasznie miły. – Ucieszyłam się na widok uśmiechniętej buzi i bystrego spojrzenia malca.

– Tak. Świetnie to pani ujęła. Właśnie, strasznie miły. Uwielbiał bawić się ze mną. Przepadał za swym tatą.

– Będzie się bardzo cieszył, gdy pan wróci.

– Tylko, że nie będzie się już ze mną bawił w konną jazdę dookoła stołu – stwierdził ze śmiechem i żalem.

– Ach, ty stary koniu. Nawet już twój Maciuś rozszyfrował ciebie, do czego się najlepiej nadajesz. – Parsknął kolega.

– Za to będzie mu pan opowiadał o dalekich, przemierzonych krajach – rozmarzyłam się, bo chciałam uwierzyć w te pobożne życzenia.

– Za Maciusia!

– Za wszystkich Maciusiów!

– O, tak. To najważniejszy toast. I ostatni.

I rzeczywiście. Co do alkoholu, było wstrzemięźliwie i przyzwoicie. Niewymuszona werwa i rozmowa nie potrzebowały żadnych sztucznych podniet. Parę toastów uświetniło całą uroczystość. Wspominki, od niechcenia przeplatane szkicami planów na przyszłość, tworzyły mozaikę przeżyć, zróżnicowaną odmiennością odczuć. Wszystko niby dawało się sprowadzić do wspólnego mianownika, a przecież to taka różnaitość. To błysk refleksji na temat dziennika radiowego z Londynu, to fragment przygody na kolejnym miejscu postoju, to jeszcze jakiś kawał polityczny, to urywek scenki z ćwiczeń odbywanych między Kirkukiem a Mosulem, to – na odmianę – list od brata z innej jednostki, z wiadomością o losach siostry i jej ocaleniu, a to znów heca podczas ostatniego alarmu nocnego. Ba! Przydałby się tu Stanisław Wyspiański, by odmalować barwność różnorodnych wątków, jak w *Weselu*. Spojrzałam na Micię, czy widzi, czy słyszy, czy rozumie po polsku? Chyba jakby przez mgłę, chyba gdzieś zatopiona jest w tęczowej melodii własnej duszy, do której obecne chwile trafiają, jeśli trafiają, na razie tylko do podświadomości. Promiennymi oczyma uczy się na pamięć Irusia, przed rozłąką na niewiadome, a on zdaje się wzrokiem gładzić jej włosy i pełną wzruszenia twarz.

– Boże! – Prosiłam. – Daj, aby to była zapowiedź szczęścia, a nie bólu i rozpacz. Boże! – I tłumiałam obawy, jak zabobonna. Przecież musi być życie, szczęście. Dosyć już zaprzeczeń.

– Ach, wiesz... – Włodek zagadywał, gdy się nieopatrznie zamysślałam.

Rozmowy stawały się mniej ogólne. Zbliżała się pora capstrzyku i zakończenia uroczystości.

– Ojej! Popatrz na moją fryzurę! Jak mnie jutro mój narzeczony zobaczy?

– Martwiła się Micia, gdyśmy się znalazły w namiocie ochotniczek.

– Wiesz, faktycznie lepiej mu się jutro wcale nie pokazuj. Bez fryzury? Też coś! Wyjedźmy lepiej bez pożegnania. – Strzeliłam.

– Nigdy!

– Ha! W takim razie nakręć papiloty. – Śmiałam się, niegodziwa.

– Nie mam. Zapomniałam.

– „Ot i przykreść w ta pora!” – Zaopiniowałam jednym z cytatów Floraka, wysypując na łóżko całą zawartość konduktorki, książeczkę wojskową,

chusteczki, okulary, pulares, portfel z fotografiami (czyli największy skarb), grzebień, lusterko. – Nic – stwierdziłam z przykrością.

– Jak ja będę wyglądała? – Rozpaczła Micia, jak gdyby od tego zależało zbawienie świata.

Byłam absolutnie po jej stronie – to bardzo ważne.

– Musimy coś poradzić. Tylko co? – Zaczęłam sukcesywnie wkładać wszystkie swoje skarby do torebki.

– Patrz!

W *paybook* u tkwiły kartki zeszytowe, z fragmentem wypracowania z historii Polska granica zachodnia na przestrzeni wieków.

– Papier? – Skonstatowała, lekko zawiedziona.

– Papier – Stwierdziłam z satysfakcją i, poskładawszy kartki na równe paski, przedzierałam je starannie. – Masz! Kręć!

– A co będzie z twoim pisaniem? – Protestowała.

– W najgorszym wypadku można potem poskładać i odszyfrować – żartowałam. – Ale nie martw się, skoro już mam temat przemyślany, nie będzie problemu. Zmocz trochę włosy. Nasze dobre wróżki zostawiły nam tu wodę.

– Dobrze. Dziękuję. Co ja bym bez ciebie zrobiła!

– To ja tak nieraz mówiłam, gdy w pierwszej klasie odrabiałaś ze mną historię – pomyślałam sobie.

– Jeszcze nigdy nie spałam na polskiej granicy zachodniej, ani na przestrzeni wieków – przyznała się, wielce rozweselona.

– Ani pewnie na papierowych papilotach, które przecież już Adam Mickiewicz opiewał, a ty ich omal nie zbojkotowałaś – dogadywałam, nie domyślając się wcale, że Micia, nie szczędząc poświęcenia i wyrzeczeń, pomyślała i o moim wyglądzie.

– Popatrz! Te dwa dla ciebie! – Ucieszyła się.

– Dwa? Nie liczyłam na to wcale.

– Weź chociaż te dwa! – Podawała mi od serca – lewą ręką, która nie przywykła jeszcze do zaręczynowej obrączki, podczas gdy ja rozsznurowywałam swe fasowane półbuty. To mnie natchnęło.

– Ta, joj! Mam pomysł. Sznurówki. – Zawołałam.

– Chyba ich nie potniesz żyłką? – Upewniała się, bo widziała przed chwilą żyłkę w moim *paybook* u.

– Ta, nie! Jutro muszą być związane.

W końcu dwa papierowe papiloty przyozdobiły moje szlachetne czoło, a tył głowy dekorowały sznurówki, przebiegle powiązane – bez przecinania, na trzy papiloty każda. Majstersztyk.

– Wiesz, gdyby nie ta twoja pomysłowość, Alu, jutro wyglądałabym jak czarownica – zwierzała się pochlebcy.

– Wiesz, gdyby nie twoja ofiarność, gdybyś nie zaoszczędziła dla mnie tych dwóch skrawków papieru, to mnie nie przyszłoby do głowy, że i ja mogłabym jutro mniej przypominać obozową łajzę. – Rewanżowałam się.

– No, też coś! Jak gdyby tu nie było nikogo wpatrującego się pilnie w moją przyjaciółkę i to bez specjalnej przykrości. – Oburzała się, aż przypominałam sobie, że trzeba podziękować za niespodziankę w postaci specjalnie dla mnie zorganizowanego towarzystwa.

– Czas już pożegłować w krainę snów, Miciu. Dobranoc. To był piękny wieczór. Nigdy go nie zapomnę.

– Tak. Jedyny. Dobranoc – powiedziała i usnęła natychmiast.

Z przyjemnością rozważałam reakcję Irusia na „posłannictwo”, które mu przekazałam. Przeżywałam w myślach cały ten wieczór od początku, byłam pod wrażeniem przyjaciół Irka, owej niezwyklej przyjaźni, choć zbliżonej do naszej, szkolnej. Jaką wspaniałą młodzież ma Polska. „Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba | | [...] Tęskno mi, Panie...” Fragmenty poezji spletały się z przeżyciami, urywkami rozmów, piosenkami. „Może nie wszyscy, ale dojdziemy. | | Może nie wszyscy, jak zechce Bóg. | | O, Boże, chciej! Chciej! O, Panie Boże!”

* * *

Wanda pisze w liście z dwunastego grudnia, że ma anginę, ale dzięki temu może docenić serdeczność i pomoc koleżanek. Jest im bardzo wdzięczna, lecz choroba i cierpienie zawsze martwią. Dobrze, że trafiła na te koleżanki, wszak ostatnio nie miała szczęścia.

W szkole doświadczamy prawdziwego koleżeństwa „na każdym kroku i o każdej porze” (A. Mickiewicz). Tu wszystko łączy, inaczej niż w przypadkowym zbiorowisku ochotniczek „babskiego obozu”, gdzie młodzież różni się wiekiem, pochodzeniem – z rozmaitych środowisk, wiejskich, bądź też miejskich – wykształceniem, kulturą osobistą, temperamentem, zainteresowaniami. My mamy cel wspólny, podobne zainteresowania, jesteśmy niemal w jednakowym wieku, nasze doświadczenia życiowe mieszczą się w kręgu pokrewnych przeżyć, czasem jedno słowo wystarczy, abyśmy się rozumieli. Solidaryzujemy się ze sobą; także z gronem pedagogicznym i kadrą instruktorską. Nauczono nas ufać ludziom. Owo zaufanie bywa odwzajemniane, jakbyśmy nie przeszły tak wiele podczas najokropniejszej z wojen.

Wandzia zapewnia, że wkrótce wróci do siebie i zaprasza na święta.

Niezależnie od wytężonej pracy sama sobie przygadywałam cytatem z książki Magdaleny Samozwaniec *Na ustach grzechu*. „Snujesz się jak bielmo własnej prababki”. Kilka odwiedzin Włodka, miłe listy od niego (czternaście) zdawały się wzbudzać we mnie melancholię i prowadzić ku sprawom znanym głównie z poezji, za którą przepadałam. Co prawda wciąż jeszcze nie byłam w stanie rozwikłać kwestii. „Czy to jest przyjaźń, czy to jest kochanie?” Byłam pod urokiem Adama Mickiewicza, działała wyobraźnia. Konfrontowałam poezję z życiem, ze swoimi uczuciami. A może to jedynie aprobata zasad chłopca tudzież ze wszech miar oczywisty bunt przeciwko skazaniu na egzystencję mięsa armatniego. Wspominałam pożegnanie, oczekiwałam listów. A pamięć czarnych, płomiennych oczu, gotowych stracić blask „na ojczyzny zew”, napawała mnie smutkiem bezbrzeżnym. Setki razy powtarzałam w myślach słowa Marii Konopnickiej. „A największa tobie chwała, ty, co żyjesz dla idei”. To moja hipnoza, czar. Do nieustannych myśli o rodzicach, do obaw o ich los, do trosk o Dzikę i rodzinę, pozostawioną w kraju, do niepokojów o Wandzię, o cały naród, doszła jeszcze jedna, osobista intencja.

* * *

Te spośród młodszych ochotniczek, które miały poza szkołą kogokolwiek bliskiego, mogły korzystać z przepustek, wyjechać na Wigilię i święta. Takich było jednak niewiele, większość przeżywała Święta Bożego Narodzenia w szkole. Po wielomiesięcznej rozłące z Wandą cieszyłam się, że już nie dzielą nas granice, że jesteśmy w Palestynie. Do Gazy, gdzie siostra pracowała w szpitalu inwalidów, dotarłam tuż przed wieczszą. Wanda powitała mnie z radością.

– Wiesz, pracy mam teraz nie za dużo, na szczęście, bo nie dałabym sobie rady, ale też i nie za mało, z czego się cieszę, gdyż nie cierpię bezczynności. – Opowiadała.

Przełamawszy się opłatkiem z pracownikami szpitala, siadłyśmy przy długim stole żołnierskim. Od czasu rozstania się rodzicami to już dla mnie drugie Święta Bożego Narodzenia, dla Wandy czwarte. Gdzie spędzają je nasi najbliżsi? Z kim? Jak? Czy mają chociaż opłatek? Ile jeszcze będzie takich świąt z dala od siebie? Czy dane nam będzie spędzić je kiedyś razem?

Znowu kołędujemy pod obcym niebem, tym razem w Ziemi Świętej. Rok temu wiatr roznosił polskie kołędy po kamienistych brzegach Tygrysu. Dziś również kończymy je żarliwym akordem. „Podnieś rękę, Boże Dziecię,

|| Błogosław ojczyznę miłą!” Melodię dławi bolesny lęk. Jak nasi ukochani spędzają święta? Rozpacz przepelnia bezsilne serca.

– Wiesz – zagadnęła Wanda w pierwszy dzień świąt – wybierzmy się do Tel Avivu, zaraz po mszy, dobrze?

– Naprawdę? – Ucieszyłam się. Wanda zawsze miała doskonałe pomysły.

– Tak będzie najlepiej. Tutaj cały dzień w beczynności trudno usiedzieć.

Smutno wśród obcych. Praca zawodowa, różne obowiązki służbowe, codzienna krzątania do reszty wypełnia czas. Często zapominamy o sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, uświadamiamy ją sobie dopiero w czasie świąt, dawniej obchodzonych pośród rodziny. Oderwane od gniazda rodzinnego, wracamy doń myślami i miejsca sobie znaleźć nie możemy, zdane na pastwę wspomnień albo marzeń, które udźwignąć trudno. Pojechaliśmy. Podróż była całkiem przyjemna, także spacer w mieście, przechadzka po deptaku wzdłuż morza, gdzie wiatr zrywał furazerki z głów. Fotograf uliczny zrobił nam zdjęcie przy barierze nad plażą, to znaczy w najbardziej reprezentatywnym miejscu. Boże Narodzenie, a my w samych mundurach, bez płaszczy czy swetrów, w śródziemnomorskiej scenerii. Cóż za odmienne święta.

Po obiedzie zdecydowałyśmy się wpaść do Lidki, pewne, że w święta znajdziemy ją u ojca. Nie zastałyśmy nikogo. Wobec tego autobusem wróciłyśmy do Gazy, gdzie zatrzymałam się na jeszcze jedną noc, by nazajutrz wrócić do szkoły w Jeninie. Dobrze choć parę dni być z siostrą. Ostrożnie krążyłyśmy wokół bożonarodzeniowych tematów. O dzieciństwie myślałyśmy z uśmiechem, lecz wspomnień po wrześniu 1939 roku żadna wskrzeszać nie chciała. Bolały. Plany na święta spędzone z najbliższymi stawały się niewyraźne niczym owe drzewka z lat dawnych, strojone szklistym „śniegiem”, pełne tęczyowych barw i blasków, już nierealne. Nadzieja tliła się słabym płomieniem jak dopalająca się świeczka na choince. A przecież musiałyśmy się trzymać, walczyć z rozpaczą i zwątpieniem, narzucać wiarę sobie i otoczeniu.

– Pamiętasz, Wanduś – rozpoczęłam głośne rozważania – jak zeszłego roku w Iraku postanowiłyśmy z Krysią i Cesią zrobić choinkę? Widziałaś ją.

– Tak! U saperów. – Podjęła Wanda a jej współtowarzyszki zaciekały się, słysząc ożywioną rozmowę.

– Wiecie – rozgadałam się – dostałyśmy od magazyniera zapas drutu.

– Kij od kucharza.

– O, to ciekawe – pani Jasia zachęcała do kontynuowania opowieści.

– Ale jak z tego zrobić drzewko? – Zaciekała się pani Stasia.

– Bardzo prosto – gałązki robiłyśmy z drutu.

– A pień z kija – dopowiedziała Wandzia.

– Najlepszy numer odstawił zaopatrzeniowiec. Nie macie pojęcia. – Zapaliłam się. – Wyjeżdżał z Kizyl Ribat do Bagdadu. Dałyśmy mu pieniądze na zieloną bibułkę.

– A on przywiózł niebieską i wmawiał, że to nic nie szkodzi, skoro zielonej nie było.

– Żeby chociaż białą.

– Biała byłaby wspaniała. Jakby przyprószona śniegiem.

– No i co? I co dalej?

– A, no właśnie! Po prostu zrobiliśmy śliczną choinkę. Niebieską.

– E, tam! Co za pomysł?

– Ja bym nie zrobiła wcale.

– Jak to? Wszystko było gotowe, szkielet z dużych gałęzi u dołu, mniejsze zaś pięły się ku górze. Tak cierpliwie formowałyśmy je, aż palce bolały.

– Bardzo cieszyłyśmy się z wyniku. Myślałyśmy, że zdobędziemy zieloną farbę lub tusz.

– Przedwojenne marzenia.

– Udało się?

– Niestety nie. Była sobie raz choinka niebieska...

– A to ci heca!

– A choć niebieska i puszysta od igieł (czyli frędzli), oplatających drucziane gałązki, nieprawdziwa, nie pachniała lasem, to jednak ściągała do kantyny żołnierzy z całego baonu (także podchorążówkę). Każdy chciał zobaczyć ją na własne oczy.

– Duża? Gdzie stała?

Padaly pytania a ja marzyłam, że niektóre ze słuchaczek przy okazji zakupią na zapas bibułkę zieloną, planując następną Wigilię, gdyby znów wypadła w terenach, gdzie brak drzew iglastych.

– Duża, prawie metrowa. Stała na stoliku w kantynie, w wielkim namiocie obozowym nad Tygrysem; zastępowała żywą, uświetniała tradycję – snułam swą opowieść.

– Miałaś fotografię – podpowiadała Wanda.

– Och, tak, mam ją w szkole. Przywiozę, świetnie wyszła, bo nie widać koloru. Pokażę kiedyś w kraju; ugryzłam się w język za późno.

Trudno. Zagadujemy tęsknoty, wyciągamy byle śmieszności do pomocy, aby w ogromie trosk uczynić maleńką wyrwę, którą rade byśmy choć na mo-

ment wykpić, a tu, czego się nie tknąć, wszystko wraca niczym bumerang do jedyne go punktu odniesienia, czyli Kraju pisanego w myślach dużą literą.

Gdy wróciłam do szkoły, koleżanki opowiedziały, jak spędziły święta, urządzone tym, którzy zostali w placówce. Wieczera rozpoczęła się opłatkiem a kończyła kolędami. Były prezenty. Każda z dziewcząt otrzymała serwetę – do przyszłego domu – aby kiedyś mogła wspomnieć ów „dom przejściowy”, który stworzyła szkoła. Parę koleżanek na przepustkach miało możliwość wybrać się na Pasterkę do Betlejem. Msza odbyła się w Mlecznej Grocie, która pierwszy raz rozbrzmiała tak licznymi głosami Polaków z różnych zakątków Palestyny, kolędującymi u źróbka o pokój.

Jeszcze poczta przynosi spóźnione życzenia świąteczne, a tu już Nowy Rok wojenny. Następny rok cierpień, śmierci, okupacji, niewoli, walk i rozstań. Dla ilu będzie ostatnim? Wiem, że tak myśleć nie wolno. Pesymizm jest ciężkim grzechem. Nie można sobie nań pozwalać; obezwładnia, działa destruktywnie. Byłby wodą na młyn wroga; twierdzi pani Haneczka. Tymczasem życie toczy się dalej. Zbliża się matura, która zdawała się drogowskazem.

W Nazarecie

Pierwszego stycznia 1944 roku zmiana miejsca postoju. Nazaret. Już nie namioty, ani baraki koszar, lecz prawdziwe budynki. Jeden z większych podobno miał być szpitalem żydowskim, tymczasem oddano go nam na szkołę. Klasy mieszczą się także w sąsiednich kwaterach, również sypialnie dziewcząt i kadry instruktorskiej. Maturzystki będą się uczyć w budynku poklasztornym, usytuowanym przy Kościele Świętego Józefa; wznosi się nad Grotą Najświętszej Rodziny (trzyizbową); według tradycji Jezus, Maryja i Józef zamieszkiwali w niej po ucieczce z Egiptu. Nad kościołem wysoka wieża z zegarem, kurant co godzinę obwieszcza czas melodyjnym *Ave Maria*. Po drugiej stronie naszego budynku kościół, wzniesiony nad Grotą Zwiastowania, sąsiaduje z klasztorem zakonnic, sprawujących pieczę. Przed frontem naszego budynku plac apelowy, znacznie mniejszy niż w Jeninie. Za domem i Kościołem Świętego Józefa park klasztorny; oddano go nam do dyspozycji. Cały teren leży nieco na uboczu miasta, z dala od zgiełku. Spokojnie tu i cicho. Sypialnie mieszczą się w małych pokoikach cztero lub pięcioosobowych.

Nasza klasa otrzymała drugie piętro, poza nami nikogo tam nie było. Pokoików zabrakło, toteż jeden urządzono prowizorycznie z wnęki korytarza; na szczęście, z oknem. Tam, oddzielone kocem od reszty, miały łóżka dziewczęta, które przybyły ostatnie. Świetne koleżanki, łączniczki z Piątej Kresowej

Dywizji: Zosia Sulik, Irka Ćwirko, Jadzia Szumicka („Pimpus”) oraz Danka Kazanecka (z kompanii szoferek; po naszymu „drajwerek”). Kwaterowałyśmy się w dobranych zespołach, wedle dziewczęcych paczek; znałyśmy się z przydziałów, zawartych przyjaźni. Nasz pokoik liczył piątkę. Irka Świstunowicz („Gwizdalska”), Danusia Mazurkiewicz, Ulka Knizatko – od pierwszej klasy trzymały się razem – i Dżanura Bajraszewska, która dołączyła do nich po wakacjach. Miałyśmy różne usposobienia i temperamenty, toteż nigdy nie groziła nam nuda.

Z Irką żyłam się najbardziej. Od Jenina uczyłyśmy się razem, znałyśmy nawzajem swe życiorysy i dzieliłyśmy się problemami. Czasem rozmawiałyśmy o jej Wilnie, które pamiętam z wycieczki, prowadzonej przez panią Sanojcową, zapaloną turystkę, dyrektorkę w szkole lwowskich nazaretanek. Irka zawsze była zorganizowana, praktyczna, konkretna, nie traciła czasu. Świetnie się z nią pracowało. Dżanura Bajraszewska również pochodziła z Wileńszczyzny. W jej żyłach płynęła krew tatarska, co Dżanura zaznaczała ulubionym okrzykiem „na Allacha!” Ze mną całe lato pertraktowała kilka razy na tydzień, mniej więcej w taki sposób.

– Alinko, błagam, pożycz mi skarpetki!

– Znowu? – Dziwiłam się uprzejmie, aczkolwiek wymownie.

– Koniecznie. Idę na przepustkę – tłumaczyła.

– *All right!* – Godziłam się. – Masz świeżo uprane, wczoraj pocerowałam.

– Ślicznie, artystycznie. Jak ty potrafisz pięknie cerować! – Zachwycała się szczerze, prawdę mówiąc, nie było czym, gdyż więcej cierpliwości mogłaby wykazać tylko stonoga, cerująca dla całej rodziny; to uwaga Mici.

– Wiesz, mogę i ciebie nauczyć. Z chęcią – proponowałam chytrze.

– Wspaniale. Jutro, teraz się spieszę. – Wykręcała się i już pędziła.

A nazajutrz:

– Dżanura! – Wołałam. – Gdzie moje skarpetki?

– Ach, skarpetki? Na Allacha! Zapomniałam. Weź sobie, skarbie – pozwalala uprzejmie. – Stoją pod łóżkiem.

I rzeczywiście, stały. Bez butów.

– Dżanura! To chyba nie moje? – Zdenerwowana, łudziłam się jeszcze.

– Twoje, skarbuniu, twoje. A czyjeż by?

– Moje były czyścusiśnięćki, świeże.

– Ojej! Przecież się zbrudziły. Wiesz, pocą mi się nogi. A piasek tak łatwo się wbija.

– Ależ te są podarte, to nie moje. – Stwierdziłam z ulgą.

– Och, podarły się? „Ot i przykrość w ta pora”. To od źwiru, co mi wpadał do sandałów, paskudztwo. Ale popatrz, tu są twoje cery. To twoje skarpetki, Alinko, twoje. – Krzyczała z triumfem.

– Rzeczywiście, moje. – Stwierdzałam z jawną przykrością, przekonana.

– A, widzisz! – Cieszyła się Dżanura.

– I takie oddajesz? Brudne? – Nie wierzyłam w aż taką niefrasobliwość.

– Ta, gdzie? – Oburzyła się. – To nie ja ci oddaję. To ty sama mi je odbierasz – korygowała.

– Takie podarte? – Rozgoryczyłam się.

– Skoro już koniecznie chcesz, to bierz! Ale ja w sobotę zrobię pranie, to ci je mogę wtedy uprać. Tylko, że ty pewnie będziesz dzisiaj prała.

– No, wiesz? I aż tak podarte. – Nie mogłam otrząsnąć się z wrażenia.

– Oj, Alinko, nie marudź! – Upominała mnie cierpliwie. – Przecież wiesz, że ja nie cierpię cerowania. Gdybym lubiła, to i swoje mogłabym pocerować, bo mam przecież kilka par. Ty co innego. Przepadasz za cerowaniem – dowodziła.

– Ja? – Oburzyłam się nie na żarty. – Nie znoszę, nie cierpię! Nigdy nie lubiłam.

– Jak to? A zawsze cerujesz. I to podwójną niteczką tylko. Gęsto, ślicznie. – Przekonywała, obłudnica, spryciara.

– Ceruję, mam tylko trzy pary, w tym dwie od siostry, a skarpetki są drogie i nie fasujemy ich przecież. Chyba ci już więcej nie pożyczę – uprzedziłam lojalnie.

– A to dlaczego, na Allacha? – Pytała, zaskoczona.

– Bo niszczysz! – Dobiłam mocnym argumentem.

– Fe, wstydź się! – Mitygowała mnie. – Wróg okupant niszczy nasz kraj i naród, a ty lamentujesz nad parą skarpetek. Starych.

Po dwóch dniach, gdy wracałam z obiadu, wpadła na mnie Dżanura:

– Ach, Alinko! Tak się spieszę. Pożyczyłam sobie twoje skarpetki. Dziękuję! Szczęście, że uprane i pocerowane, bo kto by mnie poratował? – Wołała w biegu.

Dżanura była zawsze wesoła, dowcipna, bezpośrednia i w swoim stylu. Na Allacha, niepowtarzalna.

* * *

– Dziś powtórzenie tematu – historia Anglii – ogłosiła Irka, wchodząc do pokoju.

– Historia Anglii! – Głos Ulki zabrzmiał radośnie. – Historia Anglii. Akurat! Muszę dobrze uważać. Przecież Ludwik jest w Anglii. Właśnie.

– Co czytasz, Danusiu? – Pytałam, gotowa zająć kolejkę do lektury.

– Miałaś, *Nad Niemnem*.

– Ach, *Nad Niemnem*! Wspaniała rzecz o miłości. Pamiętacie, jak tych dwoje zakochanych podaje echu najdroższe imię? W tak rozmaity sposób ludzie mówią sobie po raz pierwszy o miłości. Mój Ludwik – owo rozmarzenie zawocowało serią westchnień.

– Dziewczaki, nie macie Orkana? – Wpadła Zocha z zapytaniem.

– Orkana? *W roztokach?* – ocknęła się Ulka. – Ach, to stąd jest to „twoja, najtwojsza”. Świetne, co? Już tak zakończyłam list.

– Jaka tam dzisiaj pogoda? – Zastanowiła się któraś.

– Bezchmurnie. Niebo niebieskie – zrelacjonowała inna.

– Niebieskie? Właśnie; oczy Ludwika są niebieskie – Ulka wpadła w trans.

Z korytarza słychać piosenkę. „Choć dzieli ocean nas dwoje || Choć dzieli nas szum morskich fal...”

– Och, dzieli, dzieli! Tak daleko jest on, daleko – smuciła się Ulka, a od westchnień chyba cały nasz pokój uleciał w niebo, by, niczym obłok, żeglować do celu. Taka to nasza Ulka.

Danusia Mazurkiewicz jest osobą zbyt serio, by przypinać jej łatkę, co się udało wobec dwu poprzednich koleżanek. Nie ceni zwierzeń, ani dziewczęcych pogaduszek, które zdają się strata czasu. Od kiedy opuściła polską szkołę w kraju pozbawiona była dostępu do książek. Odczuwa braki w czytaniu, które trudno jej nadrobić, ponieważ rzadko można dostać jakkolwiek lekturę. Spokojna i koleżeńska, ma rodzica w wojsku. Danusia skontaktowała mnie z Ewą Byrą. Ewa przyjechała ze Związku Radzieckiego ostatnim cywilnym transportem rodzin wojskowych; drogą lądową przez Aszchabad. Jej matka sprawowała funkcję Delegata Rządu Polskiego; od czasu tak zwanej amnestii w sierpniu roku 1941. Pani Byra, po ewakuacji Armii Andersa do Iranu, patronowała skupiskom Polaków w Kirgizji; w okręgu miasta Osz. Ewę męczył nawał pytań o naszych bliskich; chciałam się dowiedzieć o miejscu ich pobytu.

– Tak, znałam twoich rodziców, byli tam – odpowiedziała na moje pytanie. – Nie, cioci nie znam. Czy w ogóle była z nimi? – Zastanawiała się, kiedy pytałam o ciocię Iżę.

– Może jednak jakiś następny transport stanie się faktem. Może przyjadą; byli na liście do ewakuacji. To wszystko zdarzyło się nagle. Moją mamę wezwano do urzędu w pilnej sprawie, ja poszłam razem z nią, bo chciałyśmy później wybrać się do miasta. A tam nagle okazało się, że albo się natychmiast decydu-

jemy i jedziemy od razu, albo... Nigdy nie wiadomo, czy jakiś transport będzie. I jak stałyśmy, tak pojechałyśmy – opowiadała zgaszonym głosem.

– A reszta? A moi? A wszyscy nasi? – Usiłowałam się dowiedzieć.

– Nic nie wiem. To się stało nieoczekiwanie, nagle. Prawdę mówiąc, nie miałyśmy wyboru, rozumiesz? Może zdarzą się pertraktacje, inne transporty. Może następnym razem.

– Ale kiedy? Kiedy? – Sondowałam rozpaczliwie, jakby Ewa z matką odpowiadały za fanaberie losu i wojennego porządku.

– Nie wiem, skąd mogę wiedzieć? – jęknęła.

– Słuchaj, a jak oni tam żyją? Jak?

– No, wiesz, była już jakaś pomoc delegatury – trochę odzieży, trochę żywności, trochę zasiłków pieniężnych.

– A teraz? Co będzie teraz?

– Nie wiem. Wskutek zlikwidowania placówki podsunęto mojej mamie ten wyjazd; że za chwilę będzie za późno, wiesz.

– A oni? Jak tam żyli i jak będą teraz żyć?

– No, cóż. Może zostaną powołane inne placówki? Dzięki zasiłkom wielu przyszło do siebie, może dzięki temu będą w stanie przetrwać.

– A adres? Dasz mi adres?

– Naturalnie, proszę – napisała. – To nic pewnego, może być nieaktualny, zanim list dojdzie.

– A czy mieli jakieś wiadomości o nas, o mojej siostrze i o mnie? Nie wiesz?

– Nie. Nie wiem. Chyba raczej nie mieli, bo o kontaktach mówiło się głośno. Może później coś dotarło? Przecież i to jest możliwe. Może już dostali od was jakiś znak życia.

– Czy bardzo są samotni? – Odważyłam się zapytać.

– Nie. Tam dużo naszych, czekających, mój Boże – westchnęła i spojrzała mi w oczy.

Zrozumiałam. Niełatwo uciec, lecz nie miały wyjścia, ani wyboru. To nie jej wina, ani matki. Zaczęłam lament. O, gdybym mogła odwrócić bieg zdarzeń, cofnąć czas i tamtą moją decyzję. Gdybym mogła.

– Daj pokój – perswadowała Danusia, kiedy wracałyśmy. – A czy sądzisz, że tam przeżyłabyś owe choroby, które ledwie pokonałaś w Teheranie, leżąc tyle miesięcy w szpitalu? Do tego, co przechodzą twoi rodzice, dołożyłabyś swoje umieranie i śmierć. Chciałabyś, aby patrzyli, bezsilni? Pomyśl. Są inni rodzice, którzy i tego musieli zaznać. Przynajmniej tyle oszczędziłaś swoim – powiedziała i uściśnęła mi rękę.

– Może ma odrobinę racji? – Uczepiłam się złudnej pociechy.

Dobra Danusia, moja współmieszkanka.

Lekcje odrabialiśmy w pokoiku, raczej milcząc, aby nie przeszkadzać sobie nawzajem. Każda miała łóżko, pod którym stały „na baczność” plecak i chlebak. I to właśnie łóżko, z powodu braku innych mebli, stanowiło królestwo każdej, rezydencję na wyspie szczęśliwości. Tam się zasiadało, opierając plecy o ścianę, dzierżąc zeszyt w ręce lub trzymając na podkurczonych kolanach. Co do mnie, bywałam nawiedzana przez męczącą senność. Dlatego zwykle klęczałam przed wyrkiem, na którym pisałam lub kładłam zeszyt z materiałami do czytania. Starałam się nie opierać o łóżko, wszak to wystarczało, aby mnie dopadł sen. Powtarzanie materiału, które zrazu usiłowałyśmy realizować w piątkę, zespołowo, szło nam kulawo. Wkrótce wróciliśmy z Irką do starego sposobu uczenia się we dwójkę. Z braku wolnego miejsca, gdzie my nie przeszkadzałyśmy nikomu, a nikt nam, dotarliśmy na strych.

Zima była nader chłodna, deszczowa. Wiele godzin spędzałyśmy z Irką na ciemnym i wietrznym strychu, wciśnięte w najmniej przewiewny kąt, gdzie dało się jakoś przycupnąć na belkowaniu. Owinięte w ciężkie koce, z nogami wsuniętymi w kozuszek saperski, z ręcznymi latarkami – aby oświetlać notatki – uzupełnialiśmy swą wiedzę, której wciąż każdej za mało. Deszcz dudnił po płaskim, blaszanym dachu, jakby chciał nam wbić do głów wszystkie wiadomości. Nadwerżone gardła zaczynały chrypieć, lecz nie dawałyśmy za wygraną. O jedenastej siedziałyśmy zawsze w pokoju ze względu na panią Haneczkę, która przychodziła życzyć nam dobrej nocy i persadowała, abyśmy nie świeciły światła, gdy zgasi, wychodząc. Co prawda, rozmaicie z tym bywało, zresztą założyłyśmy, że przypomina o tym raczej z obowiązku, niż z przekonania. Ciszy przestrzegaliśmy, była nam potrzebna, jednym do pracy, drugim do wypoczynku. Dzieląc się lekturami i materiałami, wykorzystywałyśmy je na wszelkie sposoby, głównie nocami, „systemem zmianowym”. Polegał on na tym, że książka nie mogła leżeć „w stanie spoczynku”, lecz była przekazywana z rąk do rąk, niczym sztafeta. Często umawiałyśmy się co do spisywania cytatów, ważnych informacji, sporządzania notatek; aby wymieniać. Owa współpraca była zrozumiała sama przez się. Takim to trybem mijały dni i noce, rzadko przerywane wydarzeniami, o których się mówiło i pamiętało. Jednak i one się zdarzyły.

– Zbiórka! W galowych mundurach!

Nawoływania służbowej rozlegały się na korytarzu, docierając wszędzie, zanim otworzono drzwi.

– Generał!

– Schodzimy!

Stanęliśmy plutonami sprawnie, według wzrostu. Plutony zajęły swe miejsca w kompaniach. Gdy nasz „niepełny czworobok” się uformował, rozległy się słowa komend i na plac apelowy weszła świta, z generałem na czele, pani komendantka Sychowska, pani dyrektorka Kościółkowska, grono pedagogiczne i nasza kadra wojskowa.

– Czołem, młodsze ochotniczki!

– Czołem, panie generale!

– Do hymnu!

„Jeszcze Polska nie zginęła...” słychać było chyba na cały Nazaret.

Wzdłuż trójszeregów generał, salutując, szedł krokiem marszowym, na tyle wolnym, że zdołał każdej zajrzeć w oczy, w serca; akurat tak odbierało się jego uważne spojrzenie; nie inaczej było, gdy wizytował Ośrodek Zapasowy PSWK w Guzarze („na Górcę”) z początkiem sierpnia 1942 roku, kiedy przyleciał ze sztabu w Jangi Julu śmiesznym, małym dwupłatowcem. Teraz miały szeregi, lustrując okiem znawcy. Napotykał poważny wzrok, czyste, ufne spojrzenia.

– Spotykamy się jeszcze raz na ziemi obcej, aby tym razem pożegnać się przed kolejnym etapem ku ojczyźnie. Wojsko Polskie rusza w bój, gdyż drogę powrotną trzeba wywalczyć, dla was, dla siebie, dla Polski.

Cisza zawisła nad tysiącem dziewcząt, zdało się, że nie słychać oddechów, tłumionych, aby nie przeszkadzały.

– Szlak tułacza został pasowany na bojowy szlak żołnierza, który stoi na straży honoru i który zwycięży wroga, a krajowi przyniesie wolność. Czeka nas ciężki bój i ciężkie ofiary. Gotowi jesteście. Przygotowani. Wojna toczy się okrutna a kraj niszczonej jest ciężką niewolą. Idziemy temu położyć kres. Dziewczęta! Polskie dziewczęta! Od was w znacznej mierze zależy duch żołnierza polskiego. Jego zapał, jego morale. Wy, swoją modlitwą, nieustanną, wytrwałą pracą, o jakiej tu słyszałem, musicie stanowić ten bastion zalet narodowych, którego wróg nie przełamie, a w który żołnierz polski wierzy i z którego czerpać musi swe siły duchowe. Pamiętajcie stale, że wasi ojcowie, bracia, koledzy i wasi chłopcy potrzebują waszego wsparcia w każdej chwili, a każda chwila na wojnie, na froncie, niesie śmiertelne niebezpieczeństwo.

Piszcie do nich! Będziecie wy i wasze listy łącznikiem ze światem w tę wojenną walkę. Jedynym odpoczynkiem strudzonych, jedynym wytchnieniem. Oni wierzą w zwycięstwo, ale droga do Polski będzie ciężka i twarda, więc muszą wiedzieć, że i wy w zwycięstwo wierzycie i wierzycie w nich. Jesteśmy jednym narodem i możemy liczyć tylko na swoją wzajemną pomoc. Wasza pomoc – to wasze przy nas uczucia i wasza godna postawa. –

Czy generał wyczytał to w naszych oczach? Czy z serc nam wydobył te myśli, aby, odczuwane głęboko, w słowa mocne pozbierać i wyrazić dobitnie, zasygnalizować, nadać jak hasło, by wywołać odzew?

– Wasza modlitwa, postawa i praca, wasza wytrwała wierność i czyste dziewczęce serca będą nam tarczą i puklerzem, będą nas chronić od kul i doprowadzą.

– Skąd nas zna? Tak doskonale zna? Przecież każda tak czuje w głębi serca, chociaż tego nie mówi, to przecież bardzo osobiste. No, i zrozumiałe bez słów. Nie ma w tym odrobiny patosu, tylko sama prawda, która dumnie po-brzmiewa w słowach, chociaż w sercu jest stateczna i skromna.

Gdzieś zgubiłam ostatni wątek przemówienia. Otrząsnęłam się nagle, gdy szeregi huknęły. „Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki || Otaczał bla-skkiem potęgi i chwały”. Zaraz potem znalazłam się w kościele z całą młodzie-żą, a ksiądz rozpoczął mszę, chociaż dzień powszedni i godzina nietypowa na nabożeństwo. Tysiąc natchnionych modlitw unosiło się nad rozpalonymi głowami. Tysiąc serc waliło młotem i przeżywało od nowa każdą myśl, argu-ment, zachętę. Ksiądz miał rację, gdy mówił, że po skończeniu szkoły wiele z nas włoży mundur pielęgniarski, by prowadzić walkę o polskie życie. Świe-tliczarki będą walczyć ze zmęczeniem, a może i ze zwątpieniem w trudnych chwilach o polskie serca. Służba łączności będzie wiązała każdą zerwaną nić kontaktu. Jesteśmy silni jednością. I wszyscy, każda z nas, jesteśmy potrzebni i współodpowiedzialni za naszą świętą sprawę. Każdy w swoim szeregu, na stanowisku, pełni powierzoną funkcję; jest na służbie, trzyma straż. Liczy się każde ogniwo, także i my. „O, Boże, skrusz ten miecz, co siecze kraj! || Do wolnej Polski nam powrócić daj”. Włączyłam się do śpiewu, sama nie wiem, kiedy. Tak. Każda musi mieć osobisty udział w owym „kruszeniu miecza”, tak samo w powrocie do wolnej Polski, o co musimy walczyć ze wszystkich sił.

– Niech Bóg ma w swej opiece generała. I całe wojsko. – Modliłam się wraz z tysiącem zgromadzonych.

Profesor Madey znacznie bardziej, niż inni poloniści umiał przybliżyć nam Juliusza Słowackiego. Przedstawił sylwetkę romantyka z uwzględnieniem

cech osobowościowych, sprawiając, że rozumieliśmy go dobrze. Autor *Balady* zyskiwał dzięki porównaniu z osobą Adama Mickiewicza („żyłem jak basza”). Pierwszy raz konfrontowaliśmy człowieka z twórczością. Dowiedzieliśmy się, że odbrażowanie ma na celu przybliżyć bohaterów narodowych współczesności poprzez ściągnięcie z piedestału i ukazanie, iż mieli zwykłe wady i przywary. A mimo to, dzięki zaletom i zasługom, godni są szacunku. Takie ujęcie stanowiło rewelację. Lekcje o poezji romantyzmu były wzbogacane zbieraniem wiadomości „na temat”, wszakże bezpośredni kontakt z utworami przynosił prawdziwe doznania artystyczne.

Hymn o zachodzie słońca – znany na pamięć – od nowa trafił do naszych serc, dla których dawno nostalgia przestała być pojęciem abstrakcyjnym. Wszak dopadała nas we dnie lub w nocy. Oznaczała tęsknotę za krajem ojczystym, bliskimi, rodzinnym domem, miastem dzieciństwa oraz młodości, przyjaciółmi, znajomymi. Siłą rzeczy za tradycjami, obyczajami. Za zwykłym życiem, od początku do końca nicowanym przez wojnę. Rozumialiśmy więc nostalgię i jej literackie odzwierciedlenia. Traciła koturnowość, przestawała być podejrzana o przesadę, pozwalała szanować patos. Akurat to wszystko podpowiadało nam własne doświadczenie. Nasze odczucia wydawały się nie mniej intensywne niż te w cudownych strofach poezji. „Smutno mi, Boże! – dla mnie na zachodzie || Rozlałeś tęczę blasków promienistą”. *Hymn o zachodzie słońca* czytała na lekcji Micia. Spokojny jej głos wyrażał bezgraniczny smutek, wszystkie czułyśmy tak samo. Żar i skarga poety zdawały się wstrząsające, usprawiedliwione, osobiste aż do bólu. Dosłownie. Przez dłuższą chwilę drżał jeszcze w powietrzu głos Mici, pełen statecznego, opanowanego wzruszenia, a cisza zdawała się przeniknięta smutkiem słów ostatnich, wyrwanych nam z serca. Nikt nawet nie westchnął, trwaliśmy w milczeniu, w rozpamiętywaniu.

– Dziękuję. Dziękuję pani – podniósłszy wzrok profesor szepnęła do Mici. Ów szepet zdradzał uczucie nostalgii, ostrej, dojmującej.

– Tak. To arcydzieło – profesor z wolna jakby wracał do siebie a myśmy wiedziały, że pełen prostoty sposób odczytania wiersza odsłonił rąbek tajemnicy wielkiej poezji.

Godzinę później wpadła na mnie Micia, pędząc ze swego pokoiku.

– Napisał! – Obwieściła z triumfem.

– Irek? – Podjęłam nader bystro.

– Napisał. – Uściskała mnie, jak gdyby to była moja zasługa.

– Bogu dzięki! – Cieszyłam się razem z nią.

– Lecimy na obiad. – Chwyciła mnie za rękę i wydawało się, jakby nagle znikły z jej pamięci tygodnie oczekiwania na list.

– Pierwszy list z Włoch. Wreszcie jest. Żyje. Wylądowali szczęśliwie. Napisał.

Zbiegałyśmy schodami z drugiego piętra, trzymając się za ręce. I nagle Micia, zawsze opanowana, delikatna, wzór dobrze wychowanej panienki – w dawnym rozumieniu słowa – zaczęła śpiewać na całe gardło, biegnąc i wlokąc mnie za sobą. Coraz głośniej rozlegała się melodia skoczego walczyka, który, zgodnie z warszawską tradycją, brzmi w ten deseń. „W Saskim Ogrodzie, koło fontanny, | | Jakiś się młodzian przysiadł do panny. | | Była niewinna, jak wonna lilia ...” Byłaby to więc znana dobrze *Panna Cecylia*. Tylko, że Micia wydzieriała się, śpiewając radośnie, z całej duszy, na tę właśnie melodię słowa różne; wieszczą wzbogacała wymownym wykrzyknieniem. „Smutno mi, Boże! Bum, cyk, cyk! Bum, cyk, cyk! | | Dla mnie na zachodzie, bum, cyk, cyk! Bum, cyk, cyk! | | Rozlałeś tęczę, bum, cyk, cyk! Bum, cyk, cyk! | | Błasków promienistą, bum, cyk, cyk! Buuum!”

Pędziłam za Micią bez tchu, z ogłupiałą miną, na tyle przytomna, że po drodze zdołałam spostrzec nieklamany zachwyty mijanych młodszyczków. Melodię podchwyciły wraz ze słowami. Zlatując omal nie przewróciliśmy profesora Madeya, który wchodził na górę. Ledwie zdążyłam uskokczyć, trzymana i wleczona za rękę przez Micię.

– Co się stało? – Krzyknął przerażony nauczyciel.

– Przedemną gasisz, bum, cyk, cyk! – Cieszyła się Micia, nie widząc niko- go, a profesor stanął jak wryty.

– Co się stało? – Ponowił pytanie, lecz ja, uczepona rozkosznej śpiewaczki, leciałam już dalej, usiłując ją przekrzyczeć.

– List! Liiiiist!

– Irek? – Profesor pojął od razu.

– Taaak!

– O, to świetnie. – Usłyszałam gdzieś z oddali, widocznie profesorowi spadł kamień z serca.

– Smutno mi, Boże! Smutno mi, Boże! – Szalał niefrasobliwy walczyk i pełna werwy Micia parsknęła śmiechem, ubawiona, szczęśliwa ponad miarę ludzką.

– Bum, cyk, cyk! A, niech tam! – Dodałam, sapiąc jak miech kowalski, wrywając rękę z żelaznego ucisku.

* * *

W liście z czwartego stycznia Wanda przesłała życzenia noworoczne. Pyta o przeprowadzkę i świętowanie Nowego Roku. Siolo z Micią rozpoczęły go koleją *Nowy Rok bieży* i wędrówką od pokoju do pokoju. Kolejne mieszkanki przyłączyły się, powstał swego rodzaju pieszy kulig. Życzeniom nie było końca. Korzystając z soboty i niedzieli wiele koleżanek było na przepustce, choćby Irka i Dżanura. Do Danki przyjechał ojciec, sprawia wrażenie kochającego, toteż czuła się szczęśliwa. Ulka poszła do mamy, zostałam więc sama. Dużo czytam, czas wykorzystywałam znakomicie. Na koniec, zmęczona pracą, wróciłam do listu od Wandy. Pisze ona, że otrzymała już korespondencję z Włoch, od Józka i od Zdziszka, poczta więc kursuje. Tylko ja nie mam wiadomości od Włodka. Zanim wyjechał stąd, zaatakował go ostry ból nogi, toteż rodzina denerwuje się i gubi w domysłach. Powinien napisać; tyle należy się ojcu. Wanda ma sporo racji, kiedy twierdzi, że Włodek to dzieciak, tego samego zdania jest również Lidka. Przecież Włodek ma ledwie dwadzieścia jeden lat; chyba zbyt mało, aby na tym etapie kończyć życie. „Smutno mi, Boże”, lka wiersz Słowackiego. „Bum, cyk, cyk”, wybucha śmiechem przewrotna natura ludzka. Niestety, dzisiaj ów śmiech ma posmak goryczy.

* * *

Pani Haneczka weszła do klasy z paczką papierów.

– Usiądźcie. Sporządzimy zestaw danych na wasz temat. Kolejno muszę wypełniać rubryki przy każdym nazwisku.

Odtwarzam wszystko, co pamiętam. Oto spis drugiej klasy „a” (licealnej) Szkoły Młodszych Ochotniczek w Nazarecie, ze stycznia 1944 roku; uwzględnia liczbę porządkową, nazwisko, imię, rok, miejsce urodzenia.

1. Andrzejowska Krystyna, 1923, Lwów.
2. Bajraszewska Dżanura, 1924, Wileńszczyzna (Grodno?).
3. Berezowska Krystyna.
4. Blümitz Irena.
5. Bober Alicja, 1922, Lwów.
6. Ćwirko Irena.
7. Dąbrowska Aleksandra, 03. 05. 1924, Lwów.
8. Dąbrowska Ludmiła, 03. 05. 1924, Lwów.
9. Dekońska Jadwiga.
10. Domiszewska Laura.
11. Frączek Irma, 1922, Lwów.

12. Gabańska Krzysztofa, 1925.
13. Grudzińska Zofia, 1925, Lwów.
14. Hodała Jadwiga, 1923.
15. Iżyłowska Czesława.
16. Jarmułowicz Krystyna.
17. Kaliszczak Damiana, 1920, Lwów.
18. Kazanecka Danuta.
19. Kijanowska Danuta, 1923, Lwów.
20. Kniżatko Urszula, 1923, Lwów.
21. Kotłowska Izabela.
22. Kowalska Krystyna, 1922, Lwów.
23. Kuczera Marzena, 1923, Sambor.
24. Łuczak Waleria.
25. Mazurkiewicz Danuta, 1923, (Grodno?).
26. Niedzielska Danuta, 1922, Zaleszczyki.
27. Niedzielska Mieczysława, 1920, Zaleszczyki.
28. Nowak Anna, 1924, Lwów.
29. Parczewska Maria, 1925, Wilno.
30. Pilarz Krystyna, 1922, Bydgoszcz.
31. Probola Emilia, 1921.
32. Pstrokońska Anna, 1922, Kalisz.
33. Rumun Hanna, 1923.
34. Rusiecka Janina, 1923.
35. Spólnik Stanisława, 1924, Stanisławów.
36. Sulik Zofia, 1924.
37. Szumicka Jadwiga, 1923.
38. Świętochowska Izabela.
39. Świstunowicz Irena, 1923, Wilno.
40. Trembecka Halina, 1922.
41. Zemanek Jadwiga, 1923, Lwów (Grodno?).

Około dwudziestu dziewcząt wstąpiło do klasy pierwszej licealnej, reszta dołączyła po wakacjach już do klasy drugiej. Rocznik urodzenia mieści się w przedziale czasowym 1920–1925. Nazwiska spisałam chronologicznie. Pamiętam niektóre dane o zawodzie rodziców. Oficerami byli ojcowie takich oto koleżanek: sióstr Dąbrowskich, Army Frączek i Zosi Sulik (pułkownik), Igi Zemanek i Krysi Gabańskiej (major), Stasi Spólnik, Danki Mazurkiewicz i sióstr Niedzielskich (podoficer). Nauczycielami: rodzice Krysi Pilarz (nieżyjący)

oraz ojciec Krysi Kowalskiej (profesor Politechniki Lwowskiej, zmarł w 1939 roku). Ojciec Danki Kijanowskiej dziennikarz. Ojciec Irki Świstunowicz policjant. Rodzice Marysi Parczewskiej posiadali majątek ziemski po obu stronach granicy polsko litewskiej. Ojciec Zosi Grudzińskiej był inżynierem.

Niewiele z nas miało obojga rodziców: Irma Frączek, Zosia Sulik, Irka Świstunowicz; w Palestynie byli rodzice Jadzi Dekońskiej, Krysi Jarmułowicz a także – chodzącej z nami do pierwszej licealnej – Irki Szczepańskiej.

Następujące matki koleżanek pracowały w szkole: „Mama Dąbrowska”, w kancelarii, „Mama Grudzińska”, pielęgniarka, „Mama Knížatko”, w administracji i „Mama Spólnik”, w intendenturze. Inne matki w PSWK to panie: Hodała, Kowalska, Niedzielska, Nowak, Parczewska, Świstunowicz. Kontakt z rodzicielkami w cywilu miała Krysia Andrzejowska i Danuta Kijanowska; ich matki były w Teheranie. Matka Krysi Berezowskiej zaopiekowała się samotną Izą Świętochowską, nazywała ją drugą córką i cieszyła się z przyjaźni Izy z Krysią.

Wiele dziewcząt nie wiedziało, czy ojcowie żyją, choćby: Parczewska, Andrzejowska, Dąbrowskie, Kijanowska, Zemanek. Ojciec Krzysztof Gabańskiej znalazł się w Ankarze. Spośród rodziny Cesi Iżyłowskiej został już jedynie wujek. Żadnych wiadomości o obojgu rodzicach nie miałam ja jedna. Tylko ja się zgłosiłam, gdy pani Haneczka wypełniała rubrykę, zawód robotnik.

– A dokładnie, kim był twój ojciec? – Zapytała.

– Drukarzem. Zecerem.

– Ależ Alinko! To przecież pracownik umysłowy. – Skorygowała mnie z przekonaniem i tak zapisała.

Rubryka wyznanie rzymsko-katolickie i narodowość polska wypełniono jednako wszystkim. Co się tyczy daty opuszczenia kraju, przeważnie był to początek 1940 roku, trzynasty kwietnia, jak w moim przypadku (Iwowieńki), kilkakrotnie padła wszakże data piętnasty czerwca roku 1941; Dąbrowskie, Parczewska, Świstunowicz, Pstrokońska.

Na końcu zestawiono nas wedle funkcji przed wstąpieniem do szkoły, pielęgniarki oraz różne pracownice szpitala, służba łączności, szoferki, świetliczarki, pracownice administracyjne, kantyniarki tudzież inne; na przykład Hanka Pstrokońska była instruktorką w szkole, a z poprzednich maturzystek Ola Pszeniczko i Nuna Strzelec. Tak wyglądało zestawienie. Na pozór suche liczby, ot statystyka, po prostu. W istocie sygnał z wycinka życia garstki emigrantów, doświadczonych najokropniejszą z wojen.

* * *

W liście z siódmego stycznia Wandzia pisze, że Wika musi pójść na operację tarczycy; druhowie z Włoch również pisują. Wandzię odwiedził Jurek Horodyski, który jest w Barbarze w szkole kadetów. Obiecał Wandzi dać znać, gdyby jego szkoła jechała do nas na wycieczkę. Do listu siostra dołączyła fotografie z Tel Avivu, znad morza. Ona wygląda ładnie z rozwichrzoną morską fryzurą, ja gorzej. Trudno, z taką figurą nie przypominam nimfy. I tak lepiej się prezentuję niż przed rokiem, kiedy ciężko było uwierzyć, że nie jestem spuchnięta.

Czwartego lutego 1944 roku Wandzia donosi, że czternastego stycznia w Biurze Pomocy Rodzinom Wojskowym uzyskała adres rodziców, Oszkaja obłast, rejon Karasu, miasto Karasu, ulica Zawodska 14. Od razu napisała list, ma zamiar wysłać paczkę, na którą pożyczyci pieniądze od pani Olgi (Banszel?). Adresu cioci Izy nie mają. Wandzia pytała o wszystkich, których pamiętała. O Elę Wojciechowską, Cesię Szakalską; bezskutecznie. Znalazła adres Janki Goryluk, Urdzar, ulica Lenina 55 (czyli na starym miejscu) oraz matki Krysi Bojko, Ajaguz, kwartał VI, dom nr 119. Muszę zawiadomić Krysię. Teraz będziemy pisywać do rodziców i wysyłać paczki. W ten sposób pomożemy im trwać. Wiem dobrze, iż brak kontaktu czy wiadomości potęguje gorycz. Każdy list przełamuje udrękę, może być iskrą nadziei. Wandzia wpłaciła na przesyłkę żywnościową sześć funtów. Obiecano umieścić rodziców na liście osób, którzy otrzymają bezpłatne paczki odzieżowe. Bardzo bym chciała, aby już zaczęli otrzymywać. Co się tam dzieje? Strach myśleć. Napisałam do nich list. Oby dobry Bóg uratował ich z wojennej toni.

* * *

Konferencja rady pedagogicznej o dopuszczeniu do egzaminu dojrzałości odbywała się w pokoju nauczycielskim, na pierwszym piętrze. Wiedziałyśmy, kto przystąpi do egzaminu, rada miała zatwierdzić listę. Te zaś koleżanki, którym nie wyszły klasówki sprawdzające, nie oskarżały nikogo, nie rozpaczały, rozumiały. Liczyły się z taką ewentualnością. Inna sprawa z Hanką. W pierwszej licealnej dobrze sobie radziła. Gdy my rozpoczynałyśmy szkołę (z końcem lutego), Hanka miała już przerobiony cały materiał i uczyła się z samych wykładów, bez notatek, których nie potrzebowała. W drugiej klasie chorowała chronicznie na malarię, toteż częściej przebywała w szpitalu, niż na lekcjach. Kiedy zjawiała się pod koniec skróconego roku szkolnego, w okresie przedmaturalnym, raczyłyśmy ją najlepszymi radami, propozycjami, zaproszeniem do powtórki materiału, którego nie opowiadała wskutek notorycznych nieobecności zarówno na normalnych lekcjach,

jak i dodatkowych. Wszystko po to, aby nie zrezygnowała z matury, gdyż zapowiedziała, że tak właśnie uczyni.

– Dziękuję wam uprzejmie, ale dajcie spokój! Teraz nie mam na to siły. Ale przecież stać mnie na lepsze wyniki, więc się do tego wezmę w następnym turnusie – wyjaśniła, niby całkiem logicznie.

– Stopnie? Kto i kiedy będzie się zastanawiał nad stopniami? Albo matura jest, albo jej nie ma. I kwita.

– Nigdy nie wiadomo – oponowała Hanka. – A jeśli kiedyś będzie można studiować? Wtedy stopnie okażą się ważne.

– Daj spokój, Hanka! Studia? Marzenia pisane na wietrze.

– Pomyśl raczej o tym, co teraz. No, ta, kto to widział, żeby móc siadać do matury i zrezygnować? Spróbuj! Pewnie się uda, zobaczysz.

– Wiesz co, Krzyśka? To sobie zdawaj, a mnie zostaw.

– Wiecie co? Czy nie lepiej zorganizować jakąś „dwójkę”? – Padło niewinne pytanie retoryczne.

– Dwójkę? Parę? Do czego?

– Ach, „dwójkę”, czyli wywiad. – Wreszcie któraś zrozumiała.

– Niby „w odniesieniu do tej konferencji”? – Zapytano stylem Florka.

– Ta, niby po co? I tak się właściwie wie.

– Dajcie spokój. „Nie uchodzi. Nie uchodzi”. – Spłoszyłam się.

– Ta, coś ty? Zwiad to bojowe zadanie. – Zlekceważyły moje obiekcje.

– Hej, cichociemni! Wymarsz w milczeniu!

– Zwiad, naprzód marsz!

Okazało się, że część korytarza, która bezpośrednio przylegała do pokoju nauczycielskiego, była specjalnie obstawiona strażą służbowych wartowniczek.

– Kto by przypuszczał? – Dziwiły się adeptki wywiadu i z miną niewiniątek udały się na spontaniczny spacer na zewnątrz budynku. Okna pokoju konferencyjnego wychodziły na wprost starego, wysokiego drzewa o dobrych, solidnych i rozgałęzionych konarach, takich, jakie mają sędziwe rycynusy.

– Phi! Patrzenie; pierwsze piętro nie jest znowu tak zawrotnie wysoko – zauważyła Hanka przenikliwym szeptem.

– Proszę bardzo; odstąpię ci ten wysoki zaszczyt. Właż, jeśliś taka cwaniara – przedrzeźniała ją Krzyśka, również szeptem.

– A może myślisz, że stchórzyć, jak by to zrobiły niektóre inne? – Syknięto w odpowiedzi.

– Mnie tam nie zależy.

– No, też coś! Lepiej mnie podsadźcie. No, jazda! – Zapaliła się Hanka.

– Hej, rób! – Skwapliwie podchwyciła jedna ze zwolenniczek czynnej akcji zwiadowczej.

– Hej, rób! – Szeptano komendę.

Wspólnymi siłami, zasilone dodatkową odsieczą, wiedzione tajemną pasją odkrywczą, uniosły Hankę do góry. Ta, niczym tresowane małpiątko, wspinające się na niebotyczną palmę, rychło dosięgła konarów. Uplasowała się wygodnie, gotowa trwać na szczytnym posterunku do końca. Obiekt zainteresowania ogółu, okno najbliższe konarom dźwigającym posterunek zwiadu, było zaciemnione kotarą, gdyż przestrzegano *blackout* 'u (zgodnie z dyscypliną wojskową i wojenną koniecznością), ale jedna część okazała się uchylona wystarczająco dobrze. Toteż podsłuchiowano.

– No i jak? – Szeptano z dołu.

– *Okey!* – Rzuciła Hanka, zamieniając się w słuch.

Według późniejszych relacji naocznych świadków Hanka, z godną podziwu wytrwałością, przywarła do konara rycynusu, niepomna chłodu lutowego wieczoru. Tkwiła tam, by podsłuchiwać konferencję.

– Wiecie – entuzjazmowała się potem – tam się mówiło o każdej z nas „od A do Z”. O każdej tak detalicznie, tak „z północy na południe”, ze wszystkimi zaletami, wadami, kłopotami i tak dalej.

– Nikt się nikogo nie czepiał?

– Absolutnie nie! Nawet, gdy były jakieś trudności, to tak jakoś godzili się, że z powodu przyczyn obiektywnych trzeba będzie dać dziewczętom szansę – relacjonowała. – W ostateczności zapewnić pozostanie na drugi rok.

– Ba! Na drugi rok. A ośrodek zapasowy nie ściągnie niedoszłych absolwentek?

– Chyba nie. Szkoła będzie interweniowała w sprawie.

– Hanka, powiedz, co mówili o mnie? – Pytało jakieś rozgorączkowane dziewczę.

– No, nie! Po tym wszystkim nie mogę – odmówiła stanowczo.

– Po czym wszystkim?

– Ani słowa nam nie szepnęła na dół.

– Ta, pewnie, że musiała siedzieć cicho, cichuteńko, jak mysz pod miotłą – skonstatowała domyślnie.

Zwiadowczyni salwą śmiechu odpowiedziały na moją błyskotliwą uwagę.

– Co wy? – Jęknęłam, zbita z pantałyku.

– Ta, mówcie przecież, co się stało! – Poparła mnie któraś.

– Co was opętało? – Ktoś się zirytował słusznie.

– Przepraszam, co ja takiego powiedziałam? – Dopytywałam się.

– Właśnie chciałam trochę poprawić pozycję, gdyż ścierpłam do niemożliwości – Hanka usiłowała nie dać się zakrzyczeć – a cisza była, jakby plac stał na baczność.

– I nagle w tej nocnej głuszy rozległ się nieludzki wrzask „ratunku”! Jakby obdzierano, solono i polewano kogoś wrzącym olejem.

– Sama nie wiem, jak to się stało – zastanawiała się biedaczka.

– Spadła, jak zgniła pomarańcza.

– Jezus, Maria! Mogła się zabić.

– Równocześnie okno otworzyło się na oścież.

– Ktoś szarpnął zasłony.

– Mimo *blackout* Ź.

– I w oknie od razu zjawiły się głowy ciała pedagogicznego.

– Strasznie byli poruszeni, że nieszczęście komuś się przydarzyło. Profesor zaświecił reflektor.

– No, miała szczęście, że nie połamała rąk i nóg.

– A, rzeczywiście. Tylko, że nie będę mogła siedzieć ze dwie dekady. – Rozżaliła się poszkodowana, ledwie słyszana w tym jazgocie.

– A co grono na ten przypadek?

– Ach, kiedy się okazało, co i jak, i że żyje, to profesorowie nie umieli się wstrzymać od śmiechu.

– Tylko pani Haneczka nie mogła wyjść z podziwu, że to właśnie Hanka.

– Oho! Chyba będzie karny raport?

– Co? To mało mnie los pokarał? Chyba mam jeden wielki siniec, że o siadaniu nie wspomnę – zachnęła się główna postać dramatu.

– I najgorzej, że ani go zademonstrować, ani pokazać jako *corpus delicti* bohaterkiego poświęcenia.

– Oto jest wdzięczność ludzka. Małpoludy. Czy ja dla siebie tak się narażałam? – Podsumowała Hanka, nie bez goryczy.

– Oto jeszcze jedno z poświęceń dla niewdzięcznych. Na dodatek tego nawet żadna kronika nie zamieści – zauważył ktoś.

– Chyba jednak ja zapamiętam to wydarzenie. Nie często as wywiadu tak nisko upada i może się szczyścić tak znikomym sukcesem – myślałam, przejęta aferą i jej zakończeniem, co prawda bezpiecznym, ale nie bezbolesnym.

* * *

Nazajutrz odczytano obu klasom listę dopuszczonych do matury, zgodną z naszymi przewidywaniami. Niedopuszczenie oznaczało jednak szansę na zostanie w szkole. Spośród naszej klasy dotyczyło to Hanki, Danusi, Ulki, Dżanury.

– Rozporządzamy odtąd własnym czasem, weźmy przepustkę i chodźmy na sok pomarańczowy! – rzekła Hanka.

– Fajnie! – Zgodziła się Dżanura. – Mam dość powtórek.

– No cóż; będziemy dłużej, przez rok szkolny, młode – skwitowała pogodzona z losem Danusia i dołączyła do koleżanek.

Zjadłszy obiad obie z Irką przyjęłyśmy zaproszenie Danki Kazaneckiej na powtórkę z matematyki i solidnie pracowałyśmy do kolacji. Wieczorem Danusia Mazurkiewicz wpadła, wołając.

– Nie ma tu Ulki? Widziałyście ją? Nigdzie jej nie ma! – Wiecie – kontynuowała – że ma przyjechać z Anglii Lutek. Pisał, że otrzymał zezwolenie na ślub. Może Ulka się przejęła niedopuszczeniem.

– Kiedy ją widziałaś – pytała Irka.

– Nie widziałam jej od rana. Z klasy poszła do mamy, wspólnie udały się na obiad. Potem znikła.

Rozbiegłyśmy się wszystkie, aby po nieudanych poszukiwaniach spotkać się znów w naszym pokoiku.

– Przepustki nie brała. Do miasta nie wyszła.

– U matki jej nie ma.

– Ani u siostry, Wandzia jej nie widziała.

– Wszystko sprawdzone?

– A strych?

– Biercie latarki! – Irka myślała konkretnie. Wyprzedziła nas.

– Taras! Patrzcie!

– Drzwi otwarte!

– Boże! Chodźmy na taras! – Zadrżałam; drzwi zawsze były zamknięte.

Stromymi schodami wbiegłyśmy na taras budynku.

– Ulka! – Stłumiony okrzyk Danusi zmroził krew w żyłach.

Jednym susem znalazłyśmy się tam, skąd doleciał okrzyk. Ulka siedziała na krawędzi okalającej taras, dość szerokiej, lecz starczyłby drobny przechył, żeby spadła z trzeciego piętra. Drgnęła, gdy Danusia chwyciła ją za rękę:

– Ulka! Szukałyśmy cię wszędzie – jęknęłam z ulgą i wyrzutem.

– Ula, mama czeka z kolacją, chodź! – Irka zaczęła zdecydowanym głosem pielęgniarki zwracającej się do trudnego pacjenta.

Czułam dreszcze od stóp do głowy jak podczas malarii.

– Co ta szalona chciała zrobić? – Zastanawiałam się i drętwiałam z przerażenia.

– Ach, dziewczynki! – Ulka przytomniała. – Moje kochane – westchnęła i nagle, wyrzuciwszy ręce w górę, roześmiała się i zaśpiewała. „Oj, wolny ja chłopak, wolny, || Wolny, jak ten ptaszek polny!”

– Ula! Wstawaj! Idziemy! – Irka komenderowała, nie dopuszczając sprzeciwu. – Już. Idziemy!

– Och! Jak słodko marzyć – westchnęła osaczona. – Patrzcie; mrok otula wieżyczki minaretów, wśród których czekam na przyjazd miłego. Jak cudownie czekać z nadzieją. Mam trochę czasu, mogę myśleć spokojnie.

– No, dobrze już, dobrze! Będziesz rzeczywiście miała trochę wolnego czasu, ale w tej chwili chodź, bośmy narobiły ruchu na temat twojego zniknięcia.

– Zniknięcia? Mojego? – Nie posiadała się ze zdumienia.

– Mama się przejęła.

– Wandzia jeszcze szuka.

– Zniknięcia? Przecież ja nie zniknę. Czekam na Lutka.

* * *

Środa, dziewiąty lutego 1944 roku. Nazaret. Po obiedzie profesor Madey zapowiedział zbiórkę klasy; przed drugim budynkiem.

– Peleryny obowiązkowe! – Dorzucił za nami.

– Właściwie naszemu Madejuszy to się chyba pierwszy raz zdarza – zastanawiała się Anula Nowak. – Naprawdę nie dawał dotąd powodu do narzekań.

Przed drugim budynkiem razem z nami zjawił się profesor Madey, jak zwykle z miną nieodgadnioną. Znalazł się tam również Florek, cmokając gasnącą fajeczkę, lecz nie obdarzyliśmy go specjalną uwagą. Obecność matematyka na zapowiedzianej powtórcie z polskiego wydała się nam raczej przypadkowa.

– Bacność! W trójszeregu zbiórka! Kolejno odlicz! W lewo zwrot! Naprzód marsz! – Polonista skandował komendy.

Odruchowo – wskutek dobrej tresury – spełniałyśmy rozkazy, pomimo całkowitego zaskoczenia. Pierwszy raz profesor wziął się do musztrowania. Miał stopień porucznika, lecz nikomu do głowy nie przyszło zwracać się do niego per „panie poruczniku”, ani do Florka „panie kapitanie”; zawsze „panie profesorze”. Nigdy żaden z nich nie zwracał się do nas służbowo „młod-

sza ochotniczko”, mówili „pani”. Równym tempem szliśmy – profesorowie dotrzymywali kroku – po błotku, zdziwione, zaintrygowane. Zastanawialiśmy się, dokąd i dlaczego nas pędzą? Znając mores, maszerowałyśmy bez entuzjazmu. Mżawka przybierała na sile, przypominała nasz swojski, dokuczliwy kapuśniaczek jesienny.

– Pluton, stój! – Usłyszałyśmy przy czwartym kilometrze. – Spocznij! Rozejść się!

– Panie profesorze! Panie profesorze! – Otoczyłyśmy sprawców dziwacznej musztry.

– Tam jest wiadukt! – Wskazał Florek.

– Biegiem marsz! – Rzucił Madejusza i zaczął biec, dając przykład, który pono działa cuda.

Deszcz na to chyba czekał. Uraczył nas prysznicem, z wytrwałością godną lepszej sprawy łał na Ziemię Świętą dwie godziny. Ledwie zdążyłyśmy schronić się pod litościwy wiadukt.

– „Nie lij, descu, nie lij, bo cię tu nie tseba!” – Zaczęła któraś niepewnie, lecz deszcz palestyński miał za nic góralską przyśpiewkę, jakby nie rozumiał po polsku. Koleżanki podjęły piosenkę. „Obeńdz góry, lasy, || Obeńdz góry, lasy...”.

– Świetnie! – Rzekł polonista. „Obeńdz góry, lasy, || Zawróć się do nieba!”

– Naturalnie, co się tyczy deszczu. – Włączył się matematyk i kapitańskim gestem nabijał fajkę, która nie chciała się palić, co należało do jej zwyczajów.

Deszcz nie przejął się nami, zaczęłyśmy więc śpiewać – z innej beczki – optymistycznie. „Kiedy będzie słońce i pogoda”.

– Panie profesorze – zaczęła Zosia Sulik, gdy piosenka umilkła a jej pytający głos wystarczająco tłumaczył, o co jej chodzi. Ba! Wszystkim.

– Jak mówiliśmy, wieczór ostatni przed maturą należy przeznaczyć na zdrowy wypoczynek – zaczął profesor, nawiązując do onegdajszych swych rad i odgadując Zosine myśli.

– „Od tego można dostać zapalenia płuc” mawiał Zrzędek, gdy Królowna Śnieżka kazała krasnoludkom myć ręce – wtrąciła Iga.

– Ależ nie! To chodziło o mycie szyi. – Sprostowała Danka Kazanecka.

– A, szyje. To faktycznie ryzyko. – Cieszyli się panowie.

– A to z tego filmu, aktualne. „Hej, ho! Hej, ho! || Do domu by się szło!” I popłynęła piosenka krasnoludków.

– A co panie powiecie na to? – Polonista zaintonował. „Choć burza huczy wkoło nas, || Podnieśmy bracia skroń!”

Podchwyciliśmy. „Weselmy, bracia się! || Choć wichur żagle rwie!”

– Nie tak żagle, jak loki, czy inne sploty – wyjaśniał Florek, lecz uszło mu na sucho, gdyż jego fryzura nie była w najlepszym stanie i chyba nawet nie zauważyłaby zgubienia symbolicznego grzebyka.

Nasze „jadwiżanki” z przedwojennego, państwowego Gimnazjum imienia Królowej Jadwigi, zaintonowały. „W dzień deszczowy i ponury || Z Cytadeli idą z góry || Szeregami lwowskie dzieci || Idą tułać się po świeci”. A potem kolejno śpiewały: *Maszerują chłopcy drogą, trąbka larum gra, Karpacka Brygada, Rozszumiały się wierzby płaczące, Wojenka, wojenka, Może dzień, może rok, któż to wie?*

Ukryci pod wiaduktem nuciliśmy, co komu przychodziło na pamięć; profesorowie wtórowali, jeśli repertuar był im znany.

– *My z Polski, my tułacz* – zaczęła swoją ulubioną pieśń Lala Kowalska.

– „Przez los rzuceni na kraj świata, dziś tu a jutro tam” – Halina Trembecka z Zosią wykonały refren.

Z owej tęsknoty wyzwoliła się polska wersja *Wizji sztyldwachy*. „Wrócimy tam, dokąd serce i tęskni i marzy! || Wrócimy tam! Wszyscy razem i młodzi i starzy! || Wrócimy tam, aby zerwać ojczyźnie kajdany! || Wrócimy tam, gdzie nasz dom, gdzie nasz kraj ukochany”.

– Tymczasem wracamy do szkoły, deszcz mija – radził profesor Kotowicz.

– Sprawiedliwości stało się zadość – szepnął Florek w stronę fajeczki.

– To niby w odniesieniu do czego? – Zaczęłam się zastanawiać, ale oczywiście ze spóźnionym refleksem, jak to ja.

Irma złapała w lot.

– O czym pan mówi, panie profesorze? – Pytała uprzejmie, jedwabnym głosem.

– Ja? Ach, nic. Drobiazg. Przypomniało mi się tylko jakieś wzięcie kogoś gdzieś do niewoli. Nic takiego. – Niby się plątał w zeznaniach.

– A, więc to „porwanie Sabineek”? – Zasugerowała Oleńka.

– Aaa! Tu pies pogrzebany. – Włączyła się Micia.

– Odwet. – Domyśliłyśmy się wreszcie.

– No, dobrze. Powrót w szyku dowolnym. – Zaaprobował profesor a deszcz się znacznie uciszył, skoro nie zdołał nas zmóc.

Ogoniaste, prostokątne peleryny trzepały mokro po naszych nogach. Maszerowałyśmy rażno bezładną grupą niczym cywil banda. Zdążyliśmy na ko-

lację. A potem nawet pani Haneczka nie musiała nas namawiać do wczesnego snu. Uwijałyśmy się, na wyścigi, pod prysznicami, by jak najszybciej skorzystać z zasłużonej, cudownej, błogosławionej ciszy.

Matura

Czwartek, dziesiąty lutego 1944 roku. Po rannej mszy i śniadaniu zgromadziłyśmy się w korytarzu budynku „Cassanova”. Wyczytywane kolejno według alfabety, wchodziłyśmy do dużej sali. Wizytówki – napisane przez Irkę Świstunowicz zielonym atramentem – wyglądały imponująco i zachęcająco. Dostałam miejsce w siódmym rzędzie. Na szczęście miałam okulary, by widzieć tablicę. Irka siedziała w ósmym rzędzie. Tematy ucieszyły mnie bardzo. Irka sygnalizowała, że według niej powinnam wybrać drugi, *Polska poezja romantyczna służebnicą narodu*. Ręczy, że pójdzie mi najlepiej. Naprawdę piękny. Dopiero przerwa na śniadanie ściągnęła mnie z obłoków. Uśmiechnięci członkowie komisji egzaminacyjnej roznosili talerze pełne kanapek z szynką, gorącą herbatę, pomarańcze. Nastrój był pogodny. Spostrzegłam zadowolenie koleżanek. Niektóre ułożyły przed sobą zegarek, zrobiłam tak samo. Napisawszy, sprawdziłam uważnie całość. Zadowolona, trochę speszona, oddałam komisji pracę liczącą dwadzieścia stron.

Po południu była pisemna matura z polskiego dla oddziału „b”. Nazajutrz rano dziewczyny z tej grupy zdawały historię, a my miałyśmy pisać ją dopiero kilka godzin później. Rano wstałam jednak z tępyim bólem głowy. Bałam się, że sobie nie poradzę.

– Alu, przyniosę ci proszek od bólu głowy – rzekła Ulka.

– Siadaj tu! Pisz! – Irka podsunęła kartkę z notesu. – Pisz!

Niebawem na kartce, znalazły się daty, nazwiska, nazwy miejscowości. Nic poza tym. Wystarczająco dobry szkielet do rozwinięcia tematu.

– Ależ to ściąga! – Oburzyłam się na Irkę.

– A jak zostawisz pod poduszką, to też będzie ściąga?

– Weź dwa i popij dużo! – Ulka wpadła z proszkami i herbatą.

– Połóż się na chwilę i zamknij oczy.

Po południu już czułam się lepiej, jakoś na historię zawlokłam. Wybrałam temat, który wydał się mi najmniej przerażający: *Ruchy wolnościowe i rewolucyjne w XIX wieku*. Męczyłam się długo, nieudolnie, z wielkim mozołem wykuwając, jak z kamienia, zdanie po zdaniu. Ból głowy dokuczał mi bardzo, wciąż gubiłam ważne słowa, czynił mnie otepiałą. Sięgnęłam do kieszeni frencza po chusteczkę. Co to? Niewinna karteczka, którą na moich oczach

Irka włożyła pod poduszkę. Utrwalałam na niej jakieś wiadomości. Skąd się tutaj wzięła? Kiedy mogłam ją schować? Może zrobiłam to podświadomie? To przecież ściągą. Boże! Oburzenie i złość na samą siebie zaczęły mnie dławić. Postanowiłam wyjść z sali. Przecież ja mam ściągę. Nikt nie podejrzewa mnie o to. Sama nie uwierzyłabym w taką podłość. Zaraz wstanę i wyjdę, tylko żebym nie była tak słaba. Niech tylko mi przejdzie zawrót głowy. Jeszcze chwileczkę. Tylko spokój może mnie uratować. Muszę postąpić honorowo, wyjść z sali ze ściągą, nie jestem oszustką. Zaraz wstanę, lecz mi się robi dziwnie słabo, raz zimno, raz gorąco.

– Dobrze się czujesz, Alinko? – Pani Haneczka pochyliła się nade mną. – Zaraz będzie herbata, to się pokrzepisz. – I znikła równie nagle, jak się zjawiła.

– Co ja teraz zrobię? Pani Haneczka wierzy we mnie, a ja? – Myślałam gorączkowo. – Przecież ja nie odpisuję. Nie wolno mi wpadać w panikę. Co z tego, że owa nieszczęsna kartka jest w mej kieszeni? Wszak teraz nie czytam. Irka miała rację, coś mi się utrzymało w pamięci na skutek zapisywania.

Herbata naprawdę mnie pokrzepiła. Staralam się otrząsnąć z załamania.

– No, cóż? – Przekonywałam siebie. – Żołnierz walczy do ostatka. Nie ucieknę więc z pola walki. Może choć osiągnę najniższy stopień pozytywny.

Czytanie kontrolne nie sprawiło mi satysfakcji, mimo to wytrwałam. Pewnie niebo zesłało mi panią Haneczkę w momencie krytycznym. Zakończyłam rozprawkę i prosto z „Cassanovy” udałam się do pani doktor. A kiedy wzięłam lekarstwa, zmorzył mnie kamienny sen, spałam bardzo długo.

W ranek sobotni, dwunastego lutego, pisałyśmy łacinę. Tekst Liviusa o Sabinkach, choć dotąd nie znany nam, nie wydał się trudny. Poszło mi dobrze. W poniedziałek, czternastego lutego, egzamin pisemny z matematyki. Wysłałam zadowolona, że dostanę trójkę. Cieszyłam się, że już mam kłopot z głowy. Każdą obowiązywały cztery egzaminy pisemne i ustne z tych samych przedmiotów. Żadnych zwolnień, nawet dla celerek, nie było. W tej mierze regulamin okazywał się bardzo surowy, aby matura zachowała odpowiednią rangę. We czwartek, siedemnastego lutego, ogłoszono zaliczenie egzaminów pisemnych. Nasza klasa rozpoczynała maturę ustną w sobotę, dziewiętnastego lutego, rano. Tego dnia zdawała również klasa pani Dobkowej (po południu), następnie obowiązywał harmonogram uwzględniający przemienność. Zezwolono nam dobrać czwórki. Wchodzić zatem będziemy grupkami. Złożywszy egzaminy, usłyszymy werdykt.

Ponieważ ostatnio się kurowałam, goniłam resztkami sił. Poprosiłam więc koleżanki, aby przewidziały mnie już na sobotę, w pierwszej czwórce.

- A czy nie będziesz miała nic przeciwko temu, żebym ja odpowiadała przed tobą? – Zwróciła się do mnie Siolo.
- Dobrze! Zatem będę druga pierwszego dnia. – Ucieszyłam się.
- A ja po Alicji – zdecydowała Irka.
- Wobec tego ja ostatnia w naszej czwórce – zgłosiła się Micia.
- Byłyśmy z sobą zżyte, w piątek wieczorem stroniłyśmy od notatek, powtórek, wypoczywając.

* * *

W sobotę, dziewiętnastego lutego, już przed pobudką, pełne różnych uczuć, bieglyśmy do Kościoła Świętego Józefa na mszę dla maturzystek. Zanim wybiła ósma, nasza czwórka czekała pod drzwiami „Sezamu”, obie Dąbrowskie, Irka Świstunowicz, ja. Kilka innych koleżanek nam towarzyszyło. W długim korytarzu – od drzwi wejściowych – zjawiła się wysoka postać w mundurze kapitańskim z czarno białą koloratką u szyi. Ksiądz.

- Ha! – Zawołał, rzuciwszy okiem. – „Bobery” dzisiaj oblewają maturę.
- Co? Co proszę? Jak? Proszę księdza? – Spłoszyłam się.
- Jak mówię, że oblewamy, to oblewamy. – Powtórzył dobitnie.
- Ja? Ja mam oblewać? Mam oblać? – Dociekałam.
- Oczywiście! – Huknął głosem nabrzmiałym pewnością.
- A skąd ksiądz wie? – Zdenerwowałam się nie na żarty.
- Moje dziecko! Zapamiętaj sobie te słowa, ksiądz wie wszystko. – I uroczyście podniósł w górę palec.
- Naprawdę?
- Oczywiście – potwierdził z godnością.
- Dziękuję, dziękuję bardzo! I już mnie tu nie ma.
- A to co? – Ksiądz stanął jak wryty.
- Rezygnuję, oczywiście. Nie chcę oblać. – Krzyknęłam, energicznie odchodząc.
- Zwariowała! – Zatrzepotał rękami i złapał mnie za ramię. – Zwariowała dziewczyna. Widzicie? Co za komedia? – Szukał wyjaśnienia u świadków.
- No, przecież „ksiądz wie wszystko” – zaczęłam tłumaczyć, ale co tu właściwie było do tłumaczenia?
- Ona źle zrozumiała księdza – Zosia Grudzińska przybyła z odsieczą.
- Właśnie. U nas „oblać” znaczy nie zdać. – Rzekła Jadzia, zwana Pimpusiem.
- Niemożliwe! – Nastroszył się ksiądz.

– Niestety, tak jest – potwierdziła Marysia Parczewska.

– To ty to tak zrozumiałaś? – Najwidoczniej był zaskoczony, co z kolei i mnie wprawiło w zdumienie.

– A czy ksiądz myślał w ogóle inaczej? – Zawahałam się.

– Ależ dziecko! Oblewać to znaczy oblewać. No, zapraszam was, całą czwórkę, już po egzaminie, na naprawdę malusienką, symboliczną lampeczkę. No, po prostu na symboliczne przyjęcie w poczet dorosłych, na oblanie matury. No, właśnie! A, jakże! Wiesz? Czyś ty z nieba spadła, że nie rozumiesz po polsku? – Oburzył się na mnie. – To ja tu lecę dodawać otuchy...

– E, ja jednak chyba lepiej sobie pójdę – nie dawałam się zabajtlować, zbita z pantałyku i nagle ogarnięta przez niesamowitą treść.

– Ty? Alicja?

– Co? – Zastanowił mnie ten niezwykle zwrot, nazwanie mnie moim pogardzanym imieniem.

– No, Jezus, Maria! Ona zwariowała! Przecież napisałaś piękną pracę o poezji romantycznej. Kiedy mi profesor pozwolił rzucić okiem, musiałem od deski do deski przeczytać. To, ma się rozumieć, tajemnica służbowa. Ale nie tajemnica spowiedzi. Sama wiesz, jak napisałaś. I ty teraz chcesz drapnąć? To nonsens. Jak Boga kocham! Grzech i obraza boska. Nie dam rozgrzeszenia!

– A czy ksiądz czytał także moją pracę z historii?

– Nie, bo co?

– A nie, tylko tyle, że chyba by się ksiądz nie dziwił, że nie chcę wejść za ten próg.

– Historii się boisz? Historii? – Nie mógł się nadziwić.

– Przecież pisemną zdałaś. – Irka zaperzyła się na mnie.

– Czekaj, nie bój się! Ja ci powiem, jaki dostaniesz temat.

– Niemożliwe! – Nie dowierzałam własnym uszom.

– Słuchaj, niewdzięczna, historia Anglii.

– Naprawdę?

– Na mur, żelazo, beton.

– Historia Anglii?

– Tak.

– Dziękuję! Jestem bardzo wdzięczna. Do widzenia. Zmykam. – Znow ruszyłam z kopyta.

– Dziewczyno! Co się z tobą dzieje?

– Nie tknęłam owego tematu. Leżałam w szpitalu, gdy trwał cykl lekcji

o historii Anglii a na izbie chorych, kiedy była powtórka. Tego tematu bałam się najbardziej.

– Czy to możliwe? – Zmartwił się ksiądz. – Wiesz, ja sam miałem go na maturze i świetnie mi poszedł – starał się pocieszać, jak mógł.

– A mnie nie pójdzie. Obleję. Nie mam szans żadnych.

– Cicho! Skąd wiesz, że ci się trafi akurat właśnie to? – Zirytował się.

– Przecież ksiądz sam to powiedział.

– A to ci heca! – Koleżanki wybuchły śmiechem.

– Ja? Ach, tak, rzeczywiście. Tylko, że ja nie jestem prorokiem. – Wyznał z rozbijającą szczerością. – Ja ci, po prostu, życzyłem tego, co najlepsze według mego doświadczenia.

– A, to pobożne życzenie. – Westchnęłam i przypomniała mi się bajka o myszce, która życzyła laleczce, aby jej wyrósł długi ogonek.

– Jedynie Anglii się tak boisz?

– Jak czort święconej wody.

– Ona się modliła, aby tego nie wylosować.

– No to się nie bój! Jest co najmniej pięćdziesiąt różnych pytań i tyleż możliwości wylosowania czegoś innego. Zresztą dostaje się dwa. Uszy do góry.

– Dowodził z przejęciem, serio, logicznie. Ale oto w korytarz wchodzi komisja. Przewodniczący, por. dr Tadeusz Poźniak, dyrektorka kpt. Maria Kościalkowska, wychowawczyni pani Hanna Broncel (historia), pan Jan Madey (język polski), pani Maria Szoska (łacina), pan Florian Kotowicz (matematyka).

– Uszy do góry – szepnęła ksiądz, nim się wycofał w asyście naszych kibiców. Złożył ręce jak do modlitwy, „ku pokrzepieniu serc”.

* * *

Długi stół, nakryty zielonym sukniem, wyglądał uroczyście. Komisja przybrała sympatyczny wyraz twarzy, aż Irka się zaróżowiła z wrażenia i nabrała tchu, jak przed nurkowaniem. Każda z nas losowała pytania z polskiego, wręczała egzaminatorom. Dostawszy z powrotem, odpływała na jedną z samotnych wysp, które stanowił stolik oraz krzesło. Oleńka najszybciej zgłosiła gotowość do odpowiedzi. Zajrzałam do swej kartki. 1. *Życie i twórczość Juliusza Słowackiego*. 2. *Polskie pisarki*. Ucieszyłam się. A gdy Oleńka zaczęła mówić, zmieniłam się w słuch. Ola rozwija temat – *Mesjanizm trzech wieszczów* – pięknym stylem i tak ciekawie, że nie mogłam skoncentrować się na swoich zagadnieniach. Siedziałam jak urzeczona, nie śmiałam nawet sapnąć, by

nie spłoszyć natchnienia Siolo. Jej wypowiedź stanowiła wykład prowadzony przyjemnie, ilustrowany cytatami.

– Majstersztyk. – Pomyślałam. – Komisja słuchała jak urzeczona.

Oleńka zbliża się do drugiego tematu, kończy wypowiedź. Co ja zrobię? Po tak wspaniałej odpowiedzi koleżanki muszę dać z siebie wszystko, aby nie zepsuć wrażenia, nie zniszczyć nastroju. Pięknie mówiła ta nasza Siolo. Jakby czytała wspaniałą książkę, jakby wszystko miała napisane. Och, o ile łatwiej byłoby pisać, niż mówić. I nagle mnie olśniło. Dlaczego mówić zwyczajnie? Mogę sobie głośno dyktować myśli, w ten sposób łatwiej będzie organizować wypowiedź. I dbać o styl. Boże! Skąd takie natchnienie?

I rzeczywiście. Byłam przejęta odkryciem, które bardzo mi pomagało. Starałam się, aby moje tematy zostały przedstawione interesująco i przyjemnie. Z radością zauważyłam, że komisja słucha z przejęciem mojego „dyktowania sobie” myśli, coraz śmieiej zwalczałam tremę. Byłam pewna, że profesorowie podzielają mój zachwyt wobec Juliusza Słowackiego, z zapalem zabrałam się do naszych pisarek. Wszystko było dobrze dopóty, dopóki nie przestałam mówić. Nie mam pojęcia, dlaczego coś mnie nagle wstrzymało. Omawiałam właśnie różne formy twórczości i – podając przykłady – wspomniałam *Na ustach grzechu* Magdaleny Samozwaniec jako parodię *Trędowatej* Heleny Mniszkówny, niestety zgubiłam najważniejsze słowo, parodia. No i czym tu je zastąpić; jak na złość umknęło mi z pamięci. Speszyłam się na ułamek sekundy i – niespodzianie – chwyciłam ze stołu pióro, dziobnęłam nim coś na uroczystym suknie i oznajmiłam.

– Zaraz sobie przypomnę, co chciałam powiedzieć, ale to taka śmieszna heca, napisana w celu ośmieszenia *Trędowatej* Heleny Mniszkówny.

Spostrzegłam miny egzaminatorów; powstrzymywali wesołość.

– Parodia! – Obwieściłam z triumfem i z ulgą.

– Dziękujemy. Wystarczy – z uprzejmą powagą rzekł przewodniczący, a pani Haneczka jakby machinalnie wyjęła mi z ręki pióro.

– Ojej! Nieodpowiedzialnym odbiera się narzędzia zbrodnicze – pomyślałam ze wstydem.

– Pracę napisała pani też świetnie – orzekł przewodniczący; chyba nie miał pojęcia, jak podniósł mnie na duchu. – Czy wie pani o tym? – Kontynuował.

– To bardzo piękny temat. – Odezwałam się z przekonaniem.

Irce „polskie” wyszło lepiej niż się spodziewała, nie musiała „dziobać” piórem. Trafiła na temat, który lubi – *Chłop w literaturze polskiej* – rozległy, przekrojowy, uznany za trudny, notowany wysoko. Cieszyłam się, że się już

nie denerwuje. Da sobie radę; pomyślałam. Zająłam się tematami z historii. 1. *Stosunki Polski z Cesarstwem Niemieckim na przestrzeni wieków*. 2. *Rozwój przywilejów szlacheckich*. Pierwszy, podczas toczonej wojny z Niemcami, był tematem obkutym, uważaliśmy go za łatwy. Drugi, przeciwnie, lecz dobrze się w nim orientowałam, znałam z wykładów, powtarzałam z Lidką. Rozbrojona atmosfera, spisywałam główne punkty odpowiedzi na kartce. Tymczasem Ludka, czyli Micia Dąbrowska, dawała popis z języka polskiego; zdawała czwarta. Mówiła pięknie jak siostra. Oleńka rozpoczęła następną rundę – historię – egzaminem również wspaniałym. Moja historia – teraz trzymałam się z dala od pióra – poszła mi składowiej, niż mogłabym wymarzyć. Przewodniczący nie dał mi żadnego tematu skończyć; czego było mi żal. „Musi, co” Wanda wymodliła mi pytania i dobre samopoczucie; bo skąd taki cud?

Z łaciny dostały mi się następujące zagadnienia. 1. *Livius: „O filozofach”*. 2. *Filozofowie greccy*. Teksty nie były trudne, choć mi nieznanne, za to ciekawe. Nie sprawiały kłopotu. Miałam słabość do Greków, najciekawszych w filozofii starożytnej; tłumaczenie rzeczy interesujących sprawia przyjemność. Poszło mi dobrze, ustąpiła trema. Emocje, kłopoty, zaczęły się od nowa przy matematyce. Myślałam, że zdenerwowanie minęło, lecz poczułam się wprost oklapnięta. Otrzymałam parabolę, elipsę; wykres funkcji. Straciłam głowę, wpadłam więc w panikę, że teraz to na pewno koniec z moją maturą.

– O, Boże! – Jęknęłam, nie zdając sobie sprawy, że myślę głośno.

Zdawało się, że cisza niezręczna trwa wieki. Przewodniczący komisji, matematyk – uczył w pierwszej klasie liceum – podszedł do tablicy, napisał ciąg logarytmów i prosił, abym omówiła. Poradziłam sobie. Drugi raz rozpoczął jakieś działanie, podjęłam je wprost automatycznie jakby ktoś za mnie to robił. Było również było trochę trygonometrii, przy której oprzytomniałam

– A teraz może pani przyjrzy się pierwszemu tematowi? – Ponieważ coś już świtało w mej łepetynie, wzięłam się do pisania, liczenia, wykreślenia. Zrobiłam.

– A drugi temat? Proszę spróbować tylko wyjaśnić, jak się zabrać – usłyszałam spokojny głos.

Zacząłam głośno rozważać, co i jak zrobić, a gdy skończyłam, zwolniono mnie z liczenia, pisania, wykreślenia. Nie wiedziałam, czy się cieszyć, czy smucić. Siadłam. Czulałam się wyczerpana. Nie widziałam, nie słyszałam, nie rozumiałam już nic. Napiłabym się wody, gdyby nie stała zbyt daleko. Jak przez mgłę dotarło do mnie, że Irka i Micia również zdają matematykę. W końcu powiedziano, że komisja idzie się naradzić – na tarasie – i proszono, abyśmy

odpoczęły i czekały. Ledwie Irka dała mi szklankę wody; już wrócili. Wstałyśmy. Werdykt brzmiał mile dla ucha. Gratulowano serdecznie, uroczyście; och, jak dobrze. Wyszłyśmy z maturą.

Szłam korytarzem jak lunatyczka. Nagle pani Haneczka złapała mnie w ramiona i uściśkała z zapalem.

– Alinko! Dziękuję za niespodziankę Ładnie zdawałaś historię. Bałam się, abyś się nie zacukała i nie sknociła wszystkiego, jak na klasówce przedmaturalnej. – Przyznała dopiero teraz

– Ależ to ja dziękuję – rozczuliłam się. – Jak to? – Myślałam – Olenka i Micia zdały celująco, z wyróżnieniem, Irka bardzo dobrze, a mnie się dostały pierwsze, entuzjastyczne uściski? Musiała się pani Haneczka porządnie o mnie martwić. Pewnie nie mniej niż ja sama.

Ścisnęłyśmy się teraz wszystkie nawzajem. Otępienie minęło, nastąpiła ulga i radość. Od razu na dole znalazła się cała klasa, nadbiegły dziewczęta z drugiej „b”. Gwar, „pełno radości i krzyku”.

* * *

– Ależ, oczywiście. Przepustka się należy. Jedź do siostry, odeśpij, odsapnij – pani Haneczka, jak zwykle, okazała się uosobieniem wyrozumiałości.

Ruszyłam z naszej Galilei na południe, do Gazy; tuż po obiedzie. Pod wieczór byłam w połowie drogi, zdecydowałam się więc nocować u Lidki, w Trzecim Szpitalu Polowym. Była po dyżurze, miała czas wolny, ucieszyła się z odwiedzin tym bardziej, że sama wszystkie przepustki wykorzystwała na wyjazdy do Tel Avivu, do samotnego ojca. Miałam okazję podziękować jej za pończochy, które przysłała mi w przeddzień matury. Lidka dzieliła się ze mną relacją od Jasia o Włodku, wyjechał stąd chory na zapalenie nerwu kulszowego, co uniemożliwiło realizację jego marzeń. Domyśliłam się, że nie dostał się na kurs komandosów. Wiadomo, że owa zaszczytna służba nie zapewniała przeżycia wojny, uspokoiłam się więc. Trapił mnie problem inny, nader osobisty. Żyłam pod pręgierzem przekonań Włodka, iż umrzeć na polu chwały, oddać życie za wolność i ojczyznę, to spełnienie marzeń, potwierdzenie zaszczytnej roli w wojnie. Tego się po sobie spodziewał. Stąd moja gotowość budzenia w nim chęci życia, gotowość, która nagle zbladła, stała się zbędna.

Nie mogłam rozgryźć własnych uczuć, doznań, realnych i wyobrażanych. Uważałam, że milczenie Włodka niezupełnie jest w porządku. Tymczasem Lidka przyznała, że ma problemy i chce pogadać. Skryta z natury, zaskoczyła i wzruszyła mnie

zaufaniem. Zwierzenia pomogą jej się odnaleźć, skłonią do refleksji. Żal, że nie umiała wytrwać w szkole. Jednak cieszyłam się, iż wciągnęła ją praca szpitalna.

* * *

Wandzia nie posiadała się z radości, gdy się zjawiłam u niej. Przeżywała ze mną każdy egzamin.

– A widzisz! – Krzyknęła, promieniejąc. – A mówiłam. Mama się ucieszy. I tato. Pomyśl.

– Wiesz, pisałam im, że zdaję.

– To dobrze. Będą się mieli z czego cieszyć.

Opowiadała, co uczyniła w sprawie poczty.

– A co teraz z wami zrobią, po maturze? Czy już wiadomo?

– Najprawdopodobniej szykuje się duży transport do Anglii, ale też ma być i do Włoch.

– Ojej! Pamiętaj, musimy być wreszcie razem.

– Matka Krysi Kowalskiej pracuje tu, w szpitalu.

– Tak, Krysia mówiła. Chcą być razem, gdy Krysia zda maturę. Została zapisana na wyjazd do Anglii. Mają tam wysłać nas po maturze, razem z dziewczętami, które skończyły gimnazjum.

– A czy ona chce zostać tu, w Palestynie? – Zapytała.

– Jej wszystko jedno, czy tu, czy tam, byle razem z mamą.

– Słuchaj! A może byśmy się tak zamieniły z nimi?

– Dwie w Palestynie, dwie do Anglii. Tyle samo osób, choć inne.

– Wandziu, jesteś genialna. To do załatwienia, dla władz drobnostka.

– Ależ tak, w ramach łączenia rodzin – cieszyłam się.

– A czy wiesz, że w naszym Ośrodku Zapasowym Al Mugar komendantką jest pani Obfitowiczowa?

– Nie wiedziałam. Miła gimnastyczka ze szkoły nazaretanek, pamiętam. Będziemy mogli z naszym pomysłem zwrócić się do niej. Pani Hanka pomoże.

– Możemy od razu powiedzieć o pani Kowalskiej i Krysi.

– Na pewno się okaże, że to żaden problem. Skreślą jedno nazwisko, wpiszą inne, i już – łudziliśmy się.

Przywiozłam, by pokazać Wandzi tematy maturalne z egzaminów ustnych. Bardzo się nimi interesowała. Oto pytania z języka polskiego:

1. *Dwie epopeje polskie, „Pan Tadeusz” i „Pan Balcer w Brazylia”.*

2. *Polski romantyzm w literaturze i w życiu.*

3. *Mesjanizm trzech wieszczów.*
4. *„Konrad Wallenrod” i „Irydion”.*
5. *Dramaty trzech wieszczów.*
6. *Świat fantastyczny trzech wieszczów.*
7. *Postaci kobiece w naszej literaturze.*
8. *Chłop w literaturze polskiej.*
9. *Polskie pisarki.*
10. *Rozwój komedii polskiej na przestrzeni wieków.*
11. *Rozwój powieści polskiej i jej związki z zachodem.*
12. *Pierwiastek religijny w literaturze polskiej.*
13. *Polski humanizm w literaturze i w życiu.*
14. *Polscy pisarze obyczajowi.*
15. *Polscy pisarze polityczni.*
16. *Zagadnienia społeczne w naszej literaturze.*
17. *Epoka stanisławowska i jej twórcy.*
18. *Odzwierciedlenie powstania listopadowego w literaturze.*
19. *Reakcja na rok 1863 w twórczości literackiej i w myśli narodowej.*
20. *Pozytywizm polski.*
21. *Postaci wieszczek: Kasandra z „Odprawy posłów greckich”, Roza Weneda i Maria z „Warszawianki” oraz ich wpływ na naród.*
22. *„Lilla Weneda” i „Wesele” – symbolizm.*
23. *Pozytywizm Bolesława Prusa.*
24. *Znaczenie Henryka Sienkiewicza jako wychowawcy narodu.*
25. *Twórczość Elizy Orzeszkowej.*
26. *Polski naturalizm i impresjonizm.*
27. *Modernizm polski i jego przedstawiciele.*
28. *Literatura średniowieczna. Polska scholastyka.*
29. *Humanizm i renesans w literaturze polskiej.*
30. *Wiek XVII, czasy saskie i ich udział w literaturze polskiej.*
31. *Oświecenie. Życie kulturalne czasów stanisławowskich.*
32. *Nasi wieszczowie jako nauczyciele narodu.*
33. *Polska poezja poromantyczna.*
34. *Historia prądów literackich.*
35. *Związki kulturowe Polski z Zachodem i jej rola pośredniczenia ze Wschodem.*
36. *Dlaczego i o co walczył Stefan Żeromski?*
37. *Świat klasyczny w literaturze polskiej.*
38. *Polscy dziejopisarze.*

39. „Ludzie bezdomni” Stefana Żeromskiego.
40. Bohaterowie „Wiernej rzeki”.
41. *Dwa światy w „Quo vadis” Henryka Sienkiewicza.*

Tematy z zakresu historii.

- A. Z zakresu dziejów Polski:
 1. *Polska w walce z Niemcami.*
 2. *Polska a Moskwa.*
 3. *Polska a Turcja.*
 4. *Polska a Szwecja.*
 5. *Polska a Krzyżacy.*
 6. *Dzieje unii polsko litewskich.*
 7. *Polska jako przedmurze chrześcijaństwa.*
 8. *Polska w walce o Bałtyk.*
 9. *Dzieje polskiej granicy zachodniej.*
 10. *Śląsk, jego przeszłość i współczesność.*
 11. *Gdańsk, jego przeszłość, współczesność i związki z Polską.*
 12. *Sprawa kozacka.*
 13. *Prusy Wschodnie w dziejach Polski.*
 14. *Polskie ziemie wschodnie.*
 15. *Rozwój władzy monarszej w Polsce.*
 16. *Rozwój przywilejów szlacheckich.*
 17. *Sejmiki i sejm walny w Polsce szlacheckiej.*
 18. *Analiza wad ustroju Polski szlacheckiej i próby jego naprawy.*
 19. *Złoty wiek w Polsce.*
 20. *Charakterystyka epoki saskiej.*
 21. *Reformy polityczne i społeczne epoki stanisławowskiej.*
 22. *Rozbiory Polski, przyczyny i przebieg.*
 23. *Sprawa Polski w epoce Napoleona.*
 24. *Królestwo Kongresowe, ustrój, stosunki.*
 25. *Polska w walce o niepodległość.*
 26. *Walka z germanizacją i rusyfikacją po upadku Polski.*
 27. *Sprawa polska na tle pierwszej wojny światowej.*
 28. *Polski czyn zbrojny w latach 1914 – 1921.*
 29. *Ustalenie granic Polski po wielkiej wojnie.*
 30. *Charakterystyka ustroju Polski odrodzonej.*
 31. *Polska polityka zagraniczna po 1918 roku.*
 32. *Wojsko Polskie w latach 1939 – 1943.*

33. *Władze polskie po wrześniu 1939 roku.*
34. *Nasze emigracje.*
 - B. Z zakresu dziejów powszechnych:
 1. *Cesarstwo i papieństwo w wiekach średnich.*
 2. *Wyprawy krzyżowe.*
 3. *Feudalizm.*
 4. *Wytworzenie się i rozwój parlamentaryzmu w Anglii.*
 5. *Wytworzenie się i rozwój absolutyzmu we Francji.*
 6. *Odrodzenie i reformacja.*
 7. *Zasadnicze konflikty polityczne i dynastyczne czasów nowożytnych.*
 8. *Racjonalizm i jego znaczenie, teorie polityczne.*
 9. *Wielka rewolucja francuska i jej wpływ na Europę.*
 10. *Napoleon we Francji i w Europie i jego znaczenie.*
 11. *Charakterystyka Europy w latach 1815 –1848.*
 12. *Wielkie traktaty europejskie, westfalski, wiedeński, wersalski.*
 13. *Zjednoczenie Włoch.*
 14. *Zjednoczenie Niemiec.*
 15. *Przemiany ustrojowe we Francji w XIX wieku.*
 16. *Przyczyny i przebieg pierwszej wojny światowej.*
 17. *Przebudowa Europy po pierwszej wojnie światowej.*
 18. *Zasadnicze konflikty po pierwszej wojnie światowej.*
 19. *Geneza i przebieg obecnej wojny, drugiej światowej.*
 20. *Powstanie i rozwój Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.*

Owymi problemami pasjonowałyśmy się, chociaż wojna mogła się zdać wystarczającym usprawiedliwieniem, gdybyśmy chciały twierdzić, że nie warto się przejmować szkołą. Cały rok stanowiła puklerz. Broniła przed rozpazą. Była swego rodzaju odpowiedzią rzuconą wrogowi, namiastką samoobrony. Celem zabiegów codziennych, potencjalną nadzieją na przyszłość. Błogosławieństwem, które przywróciło nam młodość.

* * *

Odpuściwszy u Wandy, wracałam przez Tel Aviv, gdzie łatwiej o przesiadkę. Przy okazji znalazłam zegarmistrza, który wstawił mi szkielek do zegarka, nie-
tłukące. Spotkałam kapitana. Powiedział mi, że otrzymał list od Włodka. A ten obiecał, iż napisze więcej, „gdy tylko się upora z listem do Ali”. Zafrasowany kapitan usiłował osłodzić mi ową informację kilkoma tabliczkami czekolady. Przyjęłam tę pociechę, by wysłać – w imieniu ojca – bliźniakom. Wiedziałam,

że koleżanki Wandy ślą paczki mężom, aby sprawić radość. Za ich przykładem do zrobionej paczki włożyłam latarki elektryczne oraz przybory toaletowe, z nadzieją, iż sprawię Jasiowi i Włodkowi niespodziankę; ucieszy ich pomysłowość ojca, którego wpisałam jako nadawcę.

Do szkoły nazaretańskiej wracałam, jak do domu. Spotkałam Ulkę, która na mój widok krzyknęła rozpromieniona.

– Masz list. Mówiłam, że przyjdzie.

– Już jest? – Upewniałam się.

– Czekaj. Schowałam pod poduszkę, aby się nie zawieruszył. Tak się cieszę, że dostałaś. To nagroda za maturę. Czy można lepszą wymarzyć? – Trzepała dalej w ten deseń z przejęciem, aż nie wytrzymałam i drapnęłam na górę, sadząc po dwa stopnie naraz.

Za chwilę usiadłam na wyrku, mocno opierając się o ścianę. Miałam dość czasu na rozmyślania. No, „ot i cudak”; jak mawiał Jaś o bracie. Nie bez racji. Po co się martwiłam? Chwała Bogu, żyje. Przez miesiące myślałam, że nasze listy, ślone pomimo braku odpowiedzi, wymijają się. Potem żywiłam nadzieję, że pewnie będzie ich kilka naraz – jak od Leonidasa – lecz w miarę upływu czasu coraz bardziej się martwiłam. Strach ma wielkie oczy. Może Włodek stracił nogę i dlatego nie daje znaku życia, albo zginął. Modliłam się. „Panie, ocal go. Niech tylko żyje. Żeby tylko przeżył”. No i żyje, jest. Wszakże cudak. Nie pisał, gdyż rozumiał, że jego uczucie do mnie to przyjaźń. Nic innego. Prawdziwa przyjaźń. Nie pisywał, „nie chciał przeszkodzić w zdawce”. Czy kto widział większego cudaka? Żeby choć wyraził się z uszanowaniem należnym, „w egzaminie”. No, nic, dobrze, że żyje. I nie jest kaleką. A ja? Ależ ze mnie idiotka. Mogę sobie pogratulować. Słałam listy „ku pokrzepieniu”, gdy ich nie potrzebował? Dobrze mi tak! Byłam „bardziej katolicka niż papież”? Stale kładłam uczucia na wadze Niepewności Mickiewiczowskiej. Nie rozumiałam. Istota małżeństwa zdaje się mi nader przerażająca, w odróżnieniu od przyjaźni. No i dobrze, już po kłopotach. Nagle poczułam się urażona. Jak można narażać kogoś na tyle niepokoju z błahej przyczyny? Ambicja wprost uwiera. Przynajmniej brak rozpaczy. Samokontrola stawia nas na właściwym miejscu. Nie ma mowy, abym nie umiała wyobrazić sobie życia bez Włodka. Przeciwnie, trudniej wyobrazić sobie życie z nim. Przyjaźń, zaufanie, zrozumienie, akceptacja zasad życiowych, dzielenie się myślami, owszem. Szkoda, że to nie zostało uzgodnione w porę, na zasadzie wyłożenia „kawy na łąkę”. Czy wcześniejszy list przeszkodziłby mi w maturze? Nie sądzę. Chyba uwolniłby mnie od zbędnego niepokoju. Dobrze, że to wszystko poza mną, a matura w garści. Z wielkiego żołnierskie-

go wora wygrzebiuję zeszyt z przepisany mi wierszami. Na tę strawę duchową rzucam się jak zgłodniały pies.

Pani Haneczka dziwnym trafem znalazła się na mojej drodze, kiedy wracałam z modlitwy wieczornej.

– Oho! „Wiedzą wszyscy, co w trawie piszczy”. – Przypomniało mi się, gdy ukradkiem posłała mi badawcze spojrzenie. Wiedziałam, że obie doznamy ulgi, jeśli porozmawiamy. Z wdzięcznym sercem przyjął pomoc.

Później z Włodkiem, od czasu, do czasu, wymieniałam listy. Podzielałam jego radość, kiedy za Monte Cassino otrzymał *virtuti militari*. Wojnę przeżył. Nie został kaleką. Już nigdy go nie spotkałam.

Ostatnie dni w szkole

W obu klasach matura szczęśliwie dobiegła końca. Spodziewaliśmy się wkrótce otrzymać dyplomy i pożegnać szkołę. Rozkaz dzienny, odczytany przez komendantkę Sychowską na apelu, był zaskoczeniem. Otóż w nagrodę za egzamin dojrzałości komenda i dyrekcja fundowały absolwentkom liceum wycieczkę do Syrii, Bejrut, Damaszek, Baalbeck, góry Libanu. Syria i Liban stanowiły jedno państwo. Wspaniała nagroda, nie znałyśmy Syrii, nie leżała na szlaku żadnej z grup, których drogi wiodły poprzez Egipt do Włoch lub Anglii. Teraz stworzono nam szansę zwiedzenia ciekawego zakątka świata. Tym samym mogłyśmy jakby przedłużyć szkołę w scenerii odmienionej, wy-poczynkowej. Coś wspaniałego. Toteż mówiłyśmy, że na całym świecie nie ma drugiej szkoły, która by tak troszczyła się o młodzież i ofiarowywała jej tyle serca. Wyjazd nastąpił w piątek dwudziestego piątego lutego 1944 roku, po południu. Samochodami dotarliśmy do Haify, gdzie przesiadłyśmy się na pociąg, którym w sobotę osiągnęłyśmy Bejrut. Doznałam zachwytu, jadąc tramwajem. Piętrowe kamienice, zdobne w schody zewnętrzne. Tramwaj dzwoni, zgrzyta, piszczy na zakrętach, jak we Lwowie. Poddałam się ułudzie.

– Wsiadamy! – Koleżanka przerwała mi ciąg marzeń.

Teraz będzie muzeum, pełne zabytków fenickich. Potem obiad w kantine NAAFI, zwiedzanie miasta, rozłożonego tarasami na lekko spadzistym wybrzeżu, spacer dzielnicą nadmorską. Krótki odpoczynek profesor Madey zaserwował nam w cukierni. Nocowaliśmy w budynku komendy placu; oddanego w dyspozycję władz polskich.

Niedziela, dwudziesty szósty lutego. Zbudziłam się z okropnym bólem głowy, lecz pojechałam do Baalbeku; w dolinie Beaa, u stóp Antylibanu. Na miejscu miasta fenickiego – z czasu od trzeciego do pierwszego wieku *ante*

Christum natum – ruiny świątyń rzymskich, powstałych później. Upředzono nas, że owe zabytki są dziełami sztuki, lecz to, cośmy ujrzaly, przeszło wszelakie wyobrażenia. Na wysokim Akropolu wznoszą się trzy świątynie. Największa, za czasów rzymskich poświęcona Jowiszowi, stanowiła wcześniej miejsce kultu fenickiego boga słońca, Baala. Mniejsza, dobrze zachowana, to sanktuarium Bachusa. Najmniejsza, o kształcie rotundy, związana była z kultem Wenus. Imponujące wrażenie robią dwudziestometrowe kolumny. Upływ czasu – wojny, trzęsienia ziemi – dokonał zniszczeń, wszakże ślad potęgi i kunsztu architektury rzymskiej istnieje po dziś dzień i chyba zostanie na wieki. Owe kolumny, podpierając niebo, przypominają mi sieroce schody lwowskie, pozostałe po zbombardowaniu miasta we wrześniu roku 1939; samotne, wiodą donikąd. Takie skojarzenia tkwią we mnie niczym zadra.

Oczarowały nas ślady dziejów. Fotografując, dziewczęta namówiły matematyka, by wszedł we wrota świątyni Bachusa.

– Oto świątynia Bachusa. I Florek w roli tego bożka na progu królestwa swego. – Komentowały później, oglądając fotografie; szkoda, że ich nie mam.

Jazda do Damaszku trzęsącym autobusem zmęczyła mnie bez reszty. Krzysztofa, aby rozbawić, śpiewała na nutę dowolną młodzieńczy utwór Adama Mickiewicza. „Niedaleko Damaszku || Siedział diabeł na daszku”. Otoczenie kwestionowało autorstwo przypisane wieszczowi i melodię, prezentowaną przez Krzysię, a imputowaną diabłu „na daszku”. Co prawda, to mnie podniosło na duchu, lecz ani trochę nie przyczyniło się do „wydobrzenia”.

Zjadłszy obiad, nie zdołałam przyjść do siebie, kiedy towarzystwo wycieczkowe pojechało dalej zwiedzać. Nie zauważyło mojej nieobecności. Nie wiadomo, gdzie się udało, ani na jak długo. Nic nie mogłam zrobić. Wysłałam przed budynek, usiadłam na skwerku, naprzeciw kobiet syryjskich. Nie mogłam się dogadać, chociaż próbowałam. Zagaiłam po angielsku, francusku, rosyjsku, nie rozumiały. Trochę spacerowałam. Widziałam pomnik, zespół budynków na kolumnie. Ciemny, chyba granitowy, wyglądał raczej na pałac niżeli budowlę sakralną. Wróciłam na skwerek i siedziałam samotnie kilka godzin, zjadając od czasu do czasu tabletkę piramidonu, ledwie żywa, znużona.

Udałam się do schroniska. Wróciła wycieczka z fabryki włókien. Każdy uczestnik otrzymał kupon brokatu. Przykro mi się zrobiło, że nikt o mnie nie pamiętał. Nagle Irka powiedziała.

– Alicja! Co się z tobą? Jak ty wyglądasz?

– Trupiec zielona. – Stwierdziła Micia.

– Zachorowałam.

– Nie byłaś z nami?

Koleżanki zajęły się mną, omal się nie rozbeczałam ze wzruszenia tudzież samopoczucia. W drodze powrotnej do Bejrutu zapewniono mi najlepsze miejsce. Siedziałam w autobusie niczym ważna persona. No, cóż; zdechłak ze mnie. Otulono mnie swetrami, ani na chwilę nie zostawiono w samotności. Niestety, jazda pogorszyła mój stan.

W poniedziałek bez poprawy. Wszyscy jechali w ośnieżone góry Libanu, a ja zostałam sama. Musiałam leżeć i nie mogłam pozwolić, aby którakolwiek z dziewcząt została przy mnie. Nic by nie pomogła, a mnie byłoby przykro, że zepsułam koleżance wycieczkę. Tylko bym się denerwowała, co nie wyszłoby mi na zdrowie. To nasza druga zima bez śniegu, dlatego jazda na nartach lub sankach stanowi atrakcję po spacerach wśród palm nad brzegiem Morza Śródziemnego. Wycieczkowicze ujrzeli słynne cedry libańskie, nabrali w płuća górskiego powietrza, zrobili dużo zdjęć. Przeżyli piękny dzień razem. To im się należało. Grono pedagogiczne nie posiadało się z radości, uczestnicząc w młodzieńczej ucieczce od trosk i zgrzytów dnia codziennego. Tymczasem ja parę godzin leżałam jak kłoda, dostałam herbatę i kanapkę. Dopiero później wybrałam się do kina. A kiedy wrócili wycieczkowicze, wtedy ich twarze roześmiane, opowiadania, przekomarzania, wybuchy śmiechu sprawiały mi sporo przyjemności. Wieczorem wszyscy razem poszliśmy na ciastka.

W kawiarni wytworzył się miły nastrój przy herbacie, sokach owocowych i rozmaitych pysznościach. Profesor Madey spostrzegł fortepian, poprosił więc o muzykę. Tymczasem nie było pianisty. Dlatego namówił Igę do grania a Irmę do śpiewania; nauczyciele wszystko o nas wiedzieli.

– Krysiu, przecież ty świetnie grasz. – Rzekła Iga do Andrzejowskiej, z którą chodziła do gimnazjum we Lwowie.

Ustały szepty, sala cichła, popłynęły mazurki Chopina i *Nocturn*. Chwila zasłuchania czciła tę muzykę bardziej wymownie, niż brawa. Znalazł się ktoś spośród obcych, kto bez słów podał Krysi kwiatek.

Wtorek, dwudziesty dziewiąty lutego roku 1944. Z Bejrutu wracaliśmy pociągiem, śpiewając. Wstąpiliśmy do Hajfy przycupniętej na stromym zboczu góry Karmel, gdzie odwiedziliśmy, królującą w błękitach i złocie, Madonnę z Dzieciątkiem. Stamtąd jechaliśmy już prosto do Nazaretu. Moje samopoczucie się poprawiło. Oczekiwał mnie szesnasty list Włodka, nie różnił się ani trochę od wcześniejszego, sporządzony na wszelki wypadek; gdyby tamten zaginął. Wskutek przygotowań do opuszczenia szkoły i pożegnania tyłu przy-

jaznych dusz, nie miałam czasu na rozmyślania o sprawie Włodka. Żegnałyśmy się w czas niepewny, przed wielką niewiadomą, może na zawsze. Miałyśmy tyle wspólnych przeżyć, wspomnień, wtajemniczeń. Będzie nam siebie nawzajem brakować. Nie ma się co łudzić, owej atmosfery nie przeniesiemy w żadne z przyszłych środowisk. Nie przyjmie się. Niepowtarzalna. Wzmocniła nas, wyrobiła gotowość niesienia pomocy wzajemnej, wrażliwość na potrzeby bliźnich, aktywność duchową oraz intelektualną. Szkoła umiała nas porwać ideami czerpanymi z historii – pierwsi chrześcijanie, filareci, filomaci, harcerze, żołnierze, więźniowie wielkiej sprawy; toteż przyjaźń, jeśli się zawiązała, to, rzecz jasna, na śmierć i życie. Uczono nas bezinteresowności, poświęcenia, rezygnacji z egoizmu. Taka przecież była postawa całego zespołu; szczególnie układ stosunków międzyludzkich. Tym bardziej żał się rozstawać.

* * *

Środa, pierwszy marca 1944 roku. Po mszy porannej w Kościele Świętego Józefa, którego kurant obwieszczał dotąd godziny szczęśliwe, z reguły spędzone przy nauce, zwołano nas na wręczenie dyplomów dojrzałości. Najpierw z rąk dyrektorki Kościałkowskiej otrzymały świadectwa dziewczęta wyróżnione ze wszystkich przedmiotów, Oleńka Dąbrowska i Zosia Sulik oraz najlepsza w przedmiotach humanistycznych, Ludmiła Dąbrowska. Reszta zaś została uhonorowana świadectwami matury przez wychowawczynie. Byłam naprawdę zadowolona. Ocenę bardzo dobrą z polskiego zawdzięczałam egzaminom wieńczącym cały rok nauki, która dostarczyła cudownych przeżyć. Dane mi było obcować z lekturami i twórczo realizować się dzięki pracom pisemnym. Miałam cel, chciałam sprostać wymaganiom profesora. Stopień dobry z historii na egzaminie ustnym stał się oceną maturalną, co uznałam za niespodziankę. Choć pracowałam solidnie, wszakże historię uważałam za moją piętę achillesową; i tym razem pani Haneczka okazała się przyjacielem, pełnym wyrozumiałości. Reszta ocen maturalnych była spodziewana, łacina – dobry, matematyka – dostateczny. Na drugiej stronie świadectwa widnieją przedmioty pozostałe, język angielski, fizyka z chemią (dostateczny), propedeutyka filozofii (dobry). Z pewnością pomogły modlitwy za mnie. Przy słabym zdrowiu spisałam się całkiem dobrze, moje wysiłki nie spęły na niczym. To bardzo podnosi na duchu.

Byłyśmy oficjalnie żegnane przez panią dyrektorkę Marię Kościałkowską, panią komendantkę Teodorę Sychowską i wychowawczynie klas drugich licealnych; panią Bronclową oraz Dobkową. W imieniu absolwentek mowę

wyłosiła Oleńka Dąbrowska, dziękując pięknie za wszystko, czym szkoła nas obdarzyła.

Kiedy się skończył pożegnalny obiad, wtedy zaproszono nas na część artystyczną, którą przygotowały młodsze koleżanki. My, trzymając fason, bardziej od nich nadrabiałyśmy miną. Zdawałyśmy sobie sprawę, że to nie była szkoła zwykła ani czasy normalne, kiedy można się bez trudu spotykać, umawiać, odwiedzać, urządzać wycieczki, planować wspólną naukę czy wakacje. To, co tutaj przeżyliśmy, było wyjątkowe, skłaniało do refleksji.

W korytarzu, gdy wyszłam z sali, zatrzymała mnie mama bliźniaczek.

– Moje dziecko – rzekła. – Będzie mi szkoda, że i ty odchodzisz.

– Dziękuję pani.

– I szkoda, że nie będziesz blisko Mici, zapisano cię do Anglii, prawda?

– Tak, ale nie wiem, co z siostrą, czy uda się nam być razem.

– Och, starajcie się, koniecznie. Widzisz, ja będę miała Oleńkę przy sobie.

– A Micia? – Spytałam nieśmiało.

– Odwleka decyzję. Myśli o małżeństwie z Irkiem. Chce być z nim.

– A pani?

– Wiesz, Alu – powiedziała – zdradzę ci, co sędzę. Żyjemy tu w ciężkim klimacie i czasy są niepewne. Jeśli w grę wchodzi głębokie uczucie, to Micia nie może nie pójść za Irkiem.

– Czyli wyjechać do Włoch? Sama?

– Tak. Ja zostanę w szkole. Oleńka otrzyma przydział. Szkoła starała się o dodatkowy etat pielęgniarki i właśnie przyznano. Oleńka go obejmie, komenda i dyrekcja tak zdecydowały. Ale z Micią to co innego. Powinna poślubić Irka teraz. Jest wojna i nie wiadomo, co jutro będzie. Mogłaby do końca życia żałować zwłoki. Jest zdecydowana na Irka, na dobre i na złe.

– Będzie jej trudno rozstać się z panią i z Siolą – martwiłam się.

– Jeszcze trudniej byłoby nam żyć z przeświadczeniem, że z naszego powodu wyrzekła się marzeń. A gdyby tak, nie daj Boże, Irek został kaleką, wtedy sam wycofa się, aby jej nie wiązać życia. Dla niej ważne jest, aby byli razem. Poza tym jest inna kwestia. Chcę, aby choć jedna z dziewcząt wyszła za mąż przy mnie. Chodzi mi o gwarancję opieki, jak każdej matce. Powstanie rodzina. Żadna z siostr nie będzie całkowicie osamotniona, to już nie dwie samotne dziewczyny, lecz rodzina. Rozumiesz?

– Tak, ale to rozstanie... Teraz...

– Każda matka wie, że jej córka kiedyś odejdzie z domu. To zwykła kolej rzeczy. Trzeba iść za głosem serca, gdy się odezwie. Naprawdę.

– Czy pani już to z Micią omówiła?

– Rozmawialiśmy trochę, choć bez definitywnych rozstrzygnięć. Ona musi być pewna, zdecydowana. Chyba nadszedł czas.

– Przyślę Micię do pani, dobrze?

– Przyślij. Czekam.

– Mój Boże! – Rozmyślałam, idąc na górę. – Jak bardzo serce matki bywa wyrozumiałe, pozbawione egoizmu, ile mieści uczuć najgłębszych, mądrości życia. Godzi się na wyrzeczenia i ofiary w imię szczęścia dziecka. Dane mi było otrzeć się o tajemnicę serca matczynego. Otworzyły mi się oczy dopiero teraz, na cudzym przykładzie. O, mamó, moja mamó! Czy wiesz, że rozumiem? Jakże to ci powiem, kiedy?

* * *

Składałyśmy z Irką rzeczy. Robiłyśmy porządkowanie papierów, małe pranie, przegląd zawartości plecaka i worka wojskowego. Wówczas wpadła Anula Nowak, aby nas wyciągnąć na chwilę.

– A gdzie Danką, Dżanurą, Ulką?

– Poszły do kina.

– W porządziu! Chodźcie obie, już są niemal wszystkie oprócz tych, które wyszły do miasta. Siedzimy w naszym pokoiku.

Uwinęłyśmy się szybko, dołączyłyśmy. Szum, gwar, śmiech niosły się po korytarzu. W małym pokoiku – co uwidoczniła fotografia – pełno dziewcząt. Jego mieszkanki: Siolo i Micia (czyli, Oleńka i Ludka), nierozłączne bliźniaczki, które tym razem będą musiały się rozstać. Mała Anula; jej natchnionego tańca nie miałam okazji obejrzeć, pomysłowa, obdarzona zdolnością parodiowania bliźnich. Dalej, złotowłosa Iga Zemanek i czarnowłosa Irma Frączek, zaprzyjaźnione przed rokiem 1939 w Gimnazjum Królowej Jadwigi, kilkakroć rozdzielane przez wojnę; teraz los im zaszerwował wyjazd do Anglii. Cała piątka to pielęgniarki – sprzed pobytu w Szkole Młodszych Ochotniczek – o blisko rocznym stażu, trudnym, szpitalnym, odbywanym w czasie epidemii. Reszta to goście gospodyń. Miła i pogodna Krysia Jarmułowicz z małym psem na kolanach i drugim, o imieniu Bamboleo, u stóp. Ma rodziców w Palestynie; czy i ją los oderwie od bliskich? Obok Krysi, jej przyjaciółka, sympatyczna Jadzia Dekońska, od koleżanki trochę jaśniejsza, chociaż ciemna blondynka. Także ma rodziców niemal w zasięgu ręki, czy

będzie nadal tak blisko nich? Jadzia przynosiła nam wiersze kuzyna, Janusza Wedowa, recytowane w szkole podczas okolicznościowych imprez. Jeden dobrze zapamiętałam; osnuty na tle słów Marii Konopnickiej „*Idziem do ciebie, ziemio, matko nasza...*”. Dalej przysiadła Cechna Iżyłowska; cicha, nie zabierała głosu bez potrzeby, poważna, bacznie obserwowała świat. Obok niej zadziorna Marzena Kuczera. Tuż obok Stasia Spólnik; przynosiła cudownym sposobem (dzięki mamie) żelazko na węgiel drzewny, czym, miast zaskarbić wdzięczność koleżanek, narażała się na zrzęczenie, gdyż prasowała sobie prócz bluzek także staniczki. W takich razach Marzena skarżyła się.

– I nas drapią. Ale czy to powód, aby później zabrakło żelazka innej na bluzkę, którą widać?

Stasia siedzi tuż obok Mili Proboli. Ustawiają w patefonie płytę – prezent od narzeczonego Mili, lubiany przez klasę – *Adieu l’amour*. Płyta jest zdarta i ochrypła wskutek naszej sympatii, czyli bezlitosnego używania. Nierozłączki, Iza Świętochowska i Krysia Berezowska, rozmawiają z Micią. Krysia Andrzejowska z Marysią Parczewską debatują o czekanej podróży do Anglii. Wiadomo, że tam się udadzą. Również Krysia Kowalska, Krysia Pilarz, Danka Kijanowska i ja; z naszej klasy. Natomiast z klasy równoległej, Damiana Kaliszczak, Danka i Mietka Niedzielskie, Jagoda Hodała, Hanka Rumun. Krzysztofa Gabańska kiwała głową nad Irką Świstunowicz i Zosią Grudzińską, które usiadły na podłodze z braku miejsca na którymkolwiek z łóżek.

– Patrzcie, koleżanki, na te dwie czarnule, jak się umawiają. Obie staną wkrótce na ziemi włoskiej i ślubnym kobiercu. Nie one jedne, ma się rozumieć.

– Raczej tak – uśmiechnęła się Irka.

– Co do mnie, to tylko na ziemi włoskiej, a nie na ślubnym kobiercu – sprostowała Zosia ku naszemu zdziwieniu.

– O! A to czemu?

– Jak to?

– Dlaczego, Zosiu?

– Co się stało?

– Wczoraj miałaś list.

– I tak się cieszyłaś.

– Ojej! A może twój Włodek Krauze już żonaty? – Któraś wietrzyła sensację, albo żartowała.

– No, właśnie! Właściwie żonaty. – Zosia spoglądała badawczo.

– Jak to?

-
- Niemożliwe! Z kim? Od kiedy? – Wołały z wielu stron jednocześnie.
- Od przeszło półtora roku – zaczęła odpowiadać na ostatnie pytanie, lecz nie dano jej dojść do słowa.
- I Boga się nie boi? I mamy się nie wstydzi? – Ktoś torpedował argument ciężkiego kalibru.
- A ty nie wiedziałaś? – Biadolono.
- Z kim to, u licha, żonaty? Może znamy?
- Ze mną. – Rzuciła, przekrzykując pytania.
- Co?
- Powiedz zaraz, jak to jest! Słyszałaś?
- Ha! Słyszę. No, więc najpierw musiałam mieć zezwolenie na ślub z jego jednostki i od władz PSWK – zaczęła ze śmiechem.
- Ale dlaczego wysłaś za mąż tak wcześnie?
- Sumiało jak w ulu.
- Jeśli nie dopuścicie jej do głosu, to się nie dowiecie – zawyrokowała Iga rzeczowo.
- To było tak. Mama zachorowała na serce, a doktor nie robił jej żadnej nadziei. Właśnie wtedy przyjechał z Iraku Włodek na urlop i miał ze sobą zezwolenie swoich władz na małżeństwo; już wcześniej się starał.
- „Z własnej pilności”.
- Mamusia była pewna, że jej godziny są policzone. Zgodziła się więc na małżeństwo, chciała mnie zostawić pod opieką dobrego męża. Zamartwiała się, że zostanie sama; Włodek jest kilka lat starszy, opiekuńczy. Był z nami na zesłaniu, a ludzi poznaje się w biedzie. No więc wzięliśmy ślub, to wszystko.
- Jak to? Od razu?
- Nazajutrz, gdyż wcześniej nie zdążył zorganizować. Ksiądz zgłaszał obiekcje, ponieważ nie miałam zezwolenia od moich „babskich” władz.
- I jak wyście to załatwili?
- Włodek przekonał księdza w Tel Avivie, dokąd zabraliśmy ze sobą ciężko chorą mamę. Zresztą tego się domagała, chociaż nie miała siły wsiąść do taksówki.
- A twoje zezwolenie?
- Obiecaliśmy dołączyć po uzyskaniu.
- I dali? Otrzymałaś? Przecież jesteś uczennicą.
- Niepełnoletnią.
- Mamusia uprosiła. A my oboje przyrzekliśmy, że z tym właściwym małżeństwem zaczekamy, aż będę po maturze. No wiecie – speszzyła się.

– Ach, *non consumatum*?

– Tak, właśnie. Do czasu.

– Boże, jak romantycznie! – Westchnęłam z pochwałą. – Takie „ślubne narzeczeństwo”, coś wspaniałego.

– Komuś wspaniale, komuś nie. – Cyniczny głos strącił mnie z obłoków.

– I nikt o w szkole nie wiedział?

– Dyrekcja, komenda, wychowawczynie, znając prośbę o zezwolenie, wiedziały. Część grona pedagogicznego również знаła tajemnicę; nie było sensu o niej trąbić; to szkoła dla dziewcząt, nie przewiduje się w niej kobiet zamężnych. Ja dotrzymałam warunku, pod jakim wydano zezwolenie, toteż nikt mnie nie wydał. Wszystko w porządku, a najważniejsze, że mamusia żyje.

Paczka koleżanek z Piątej Kresowej, nasza „Łączność”, wróciła z miasta ze sprawunkami; niosąc łakocie, pomarańcze i inne specjały. Zocha Sulik, Irenka Ćwirko, Jadzia zwana Pimpusiem oraz Danka Kazanecka, współlokatorka kącika za parawanem. My też znosiłyśmy od siebie, co która miała, i na serwetach gwiazdkowych, pamiątkowych prezentach od szkoły, rozłożonych na łózkach, urządziliśmy bufet *ad hoc*. Prawdziwa uczta pożegnalna.

– Hej, „Hasmonea”! Ta, może byśmy tak coś zaśpiewali? – Anula zwróciła się do blondynek; przybrały nazwę klubu sportowego ze Lwowa.

– *Czekam cię* – dedykowane tym, na które czekają mężczyźni we Włoszech – proponowała Halina Trembecka.

– Koncert życzeń. – Uznałyśmy pomysł, gdy piosenka dobiegła końca.

Wszakże, rzucane tu i ówdzie, wspomnienia przerwały wspólny śpiew, który dawniej umiłał nam rzadkie chwile wolnego czasu.

– A pamiętacie, jak po Alicję Pawlus przyjechał jej Witek z zezwoleniem na małżeństwo, a ona zrezygnowała na rzecz matury? – Wspominała Marzena, widocznie pod wrażeniem aktualnej sensacji.

– Naciągałam ją wtedy, że to „szalona okazja”, lecz śmiała się, że okazja nie minie i Witek poczeka.

– Tak, zdecydowała inaczej niż Helenka Luro, która opuściła szkołę, aby wyjść za Jurka.

– Właśnie! Nie słuchała rad Wali, starszej siostry, ani nie chciała, by ją ktokolwiek przekonywał. Gotowa cały świat rzucić, żeby być bliżej Jurka, tym bardziej, że wyruszał na front.

– Miała swoje racje.

– Pocieszała się, że nie wiadomo, czy się komu przyda polska matura. Wszak nikt nie wie, czy w ogóle doczeka powrotu do kraju.

– Ale, ale! Za to Zosia będzie się miała czym pochwalić mężowi. Zblednie, dumny, jak nikt na świecie. Założę się. Nikt na świecie nie znalazł się tak oryginalnie w decydującym momencie. Można opatentować – intrygowała Irma, przemawiając wyniośle z szelmowskim uśmiechem.

– O co ci chodzi? – Zaniepokoiła się Zosia.

– O co? Też pytanie! A gdzie, kiedy i kto pod słońcem widział coś tak niesłychanego, aby na maturze, dokładniej – podczas ustnego egzaminu – nagle usnąć? A? Co?

– Ach, rzeczywiście.

– Otóż Zosieńka się denerwowała co nieco, dlatego Mama Grudzińska tuż przed wejściem na salę...

– Dosłownie, w drzwiach...

– Poczęstowała ją dwiema łyżkami bromu.

– Nie wiedząc wcale, że zaradna córeczka już się sama zdążyła uraczyć.

– Ta, joj! I co dalej? – Lala Kowalska nie wytrzymała.

– Ha! Zosia wzięła grzeczniutko kartkę z pytaniami z polskiego, usiadła we wskazanym kąciku i...

– Naprzód zdrzemnęła się niewinnie, jak dziecię.

– A najgorsze przyszło, gdy już siedziała na cenzurowanym.

– Kochana nasza Bronclicha pierwsza się zorientowała, że coś się złego dzieje – dorzuciła Anula.

– Zaraz Zosię odholowano do jej kącika, posadzono.

– Co niezwłocznie wykorzystała na solidne spanko.

– A tymczasem trójka zdających zdążyła zaliczyć wszystkie cztery przedmioty, po kolei jak należy.

– Potem Zosia oprzytomniała na tyle, że mogła mówić.

– Tak. Coś mi aplikowano, wypilał sok z grejpfrutów i jako się rozkręciłam.

– Strasznie fajni byli wszyscy na maturze, prawda?

– Prawdę mówiąc, cały czas, nie tylko na samej maturze.

– A pamiętacie, jak ksiądz prosił, aby któraś wybrała religię jako przedmiot nadobowiązkowy? Historia kościoła, dogmatyka, etyka chrześcijańska.

– Ledwo się obroniłyśmy! – Mówiły celerki, nieświadome kulis.

– Wy? Nic podobnego. To pani Haneczka uratowała sytuację. Ksiądz to wyznał na „malutkim oblewanku”. Mówił, że niczym lwica rzuciła się w obronie małych, aby zwalczyć „ambicje popisywania się harówką nadobowiązkową, nałożoną na biedne i przepracowane istoty, którym wydzierano by na to konto bardzo liczne godziny snu; okrajanego już i tak do minimum, a niezbędne-

go dla młodych organizmów, przeładowanych nieludzko pracą umysłową”. I jeszcze dodała, że „to grzech i obraza boska”.

- A to ci dopiero! – Czyż nie wspaniała?
- Szkoda, że jej akurat nie ma, bo by sobie z nami pogwarzyła.
- Szkoda tego rozdziału życia, bo się kończy.
- Szkoda, taki niepowtarzalny.
- „Upływa szybko życie, jak potok płynie czas” – zaczął ktoś.
- „Za rok, za dzień, za chwilę, razem nie będzie nas”.

* * *

We czwartek od rana uzupełniało się wszelkie formalności wynikające z ukończenia Szkoły Młodszych Ochotniczek. Teraz trzeba wrócić do Komendy Głównej Pomocniczej Służby Wojskowej Kobiet. Kończyłyśmy pakowanie, koleżeńskie pogaduszki, wymianę zdjęć, adresów. Niezależnie od wcześniejszych pożegnań przy uroczystym stole, posłaliśmy jeszcze raz żegnać się z gronem pedagogicznym. Z panią Haneczką, z profesorami, księdzem, kadrą oficerów – jedyną na świecie; wszak nie dawała podkomendnym „w kość”. Ciężko się rozstawać. Czy oni zdają sobie sprawę, że rozumiemy, ile dla nas uczynili? Czy wiedzą, że ich wysiłki nie padały w próżnię? Chyba nikt z nas nie byłby w stanie spłacić długu wdzięczności.

Wyplacono nam ostatni raz żołd młodszej ochotniczki – połowa żołdu ochotniczki – i dodano, zliczone skrupulatnie, obowiązkowe oszczędności, przeciwko którym tak bardzo buntowałyśmy się; Po sto *milsów* z każdej dekadówki. Uzbierała się tego spora sumka, blisko trzech funtów. Muszę przyznać, że z własnej inicjatywy nie umiałabym tyle zaoszczędzić. Owe pieniądze przydadzą się „na wyprawę w świat”. Kupię półbuciki brązowe; nadają się do munduru i w przeciwieństwie do fasowanych, angielskich, są wygodne, miękkie, lekkie. Może wystarczy jeszcze na neser podręczny, który można nosić przy mundurze. Zawsze o takim marzyłam. Zmieściłyby się w nim fotografie, listy, pamiątki, na które brak miejsca w plecaku, chlebaku, worze; podlegającym kontroli podczas każdego przeglądu sortów mundurowych. Ot, miałabym prywatny skarbczyk.

Po południu przyjechał Teatr Żołnierza z przedstawieniem *Sprawa numer 113*. Na spektakl udałam się z Danusią Mazurkiewicz. Reszta dziewcząt chodziła po Nazarecie. Równie i my zdążyłyśmy zrobić mały spacer. Każda chciała się pożegnać z gościnnym miastem.

W piątek, trzeciego marca 1944 roku, udałyśmy się do kościoła, na-

stępnie spakowałyśmy worki, plecaki. W chlebakach znalazł się suchy pro-
wiant, który powinien starczyć na dwa dni; konserwa mięsna czyli *corned
beef*, porcja chleba, margaryna, dżem, paczka sucharów, oprócz tego – do-
datek od szkoły – pomarańcze, banany, herbatniki, „sucha” herbata.

– Gdzie masz koce? Daj, zroluję i przypnę do plecaka – troszczyła się
Danusia.

– Dziękuję, są już w worze.

– Niczego nie zapomniałaś? – Sprawdzała Dżanura.

– Chyba nie. Mam wszystko.

– A pranie ze strychu? – Wtrąciła Ulka.

– Tak, zabrałam, już spakowane.

– A kożuszek? Wzięłaś kożuszek? – Dopytywała się Danka.

– Przepisałam w magazynie na Micię. Jej się przyda we Włoszech. Tam
noce zimne.

Zdyszana Irka wpadła po swoje rzeczy.

– Idziemy! Samochody już podjeżdżają.

– Idziemy!

– Dawajcie, pomożemy! – Danka, Ulka i Dżanura wzięły nasze бага-
że.

Rzuciłam okiem na nasz pokoik. Bardzo się wzruszyłam.

– Dajcie pyska na pożegnanie. Tutaj. Tam będzie rwetes.

– Bądźcie zdrowe!

– Bądźcie zdrowe! Wszystkiego dobrego!

– Najlepszego!

– Trzymajcie się!

– Pamiętajcie o nas!

– Napiszemy.

Zbiegłyśmy na dół, spotykając po drodze wiele koleżanek. Ostatni rzut
oka. Ostatnie uściski z Mamą Dąbrowską, z panią Haneczka, z Mamą Gru-
dzińską, Mamą Książatko, Mamą Spólnik, z panią dyrektorką, kome-
dantką, z panią Jasią Fuchsową, instruktorką, z księdzem, z gronem peda-
gogicznym, z Oleńką Dąbrowską, ze wszystkimi, którzy zostają.

– Żegnajcie! – Wołają za nami.

– Żegnajcie! Dziękujemy!

– Żegnaj szkoło!

Nasza, najlepsza, jedyna! Zwróciłaś nam młodość, wiarę w człowieka,
w dobroć, serce. Uczyłaś radości życia, mimo wszystko. Rozbudziłaś uf-

ność. Dzięki tobie poznałyśmy, jak może cieszyć praca. Szkoło Młodszych Ochotniczek! Byłaś domem. Tęczę wśród burzy.

Sygnaturka na wieży świętego Józefa grała pożegnalne *Ave Maria*. W tej samej chwili odezwał się zegar. Odliczał nam ostatnie chwile w szkole. Rytmicznie, z namaszczeniem, raz, dwa, trzy. A może tak biło serce?

Epilog

Wspomnienia ze Szkoły Młodszych Ochotniczek sporządzałam na przełomie lat 1976 – 1977 dla swoich dzieci i wnucząt, na pamiątkę; z mizerną nadzieją ujrzenia ich w druku. Staralam się pisać szczerze i zgodnie z prawdą. Czas spędzony w owej niepowtarzalnej szkole zachowałam mocno w pamięci. Posiłkowałam się wszakże pamiątkami, kalendarzykami, notesikami, brulionem, pełnym wszelkich zapisków; zawiera pytania maturalne. Listami, zwłaszcza od siostry, z którą los pozwalał mi spotykać się od czasu do czasu. Świadczeniami, zaświadczeniami, fotografiami. Wkrótce po ukończeniu drugiej części wspomnień – tytuł *Tęcza wśród burzy* stanowi kwintesencję wojennych doświadczeń – latem roku 1977 gościłam u kuzynki w USA, gdzie skontaktowano mnie z jedną z wychowanek Szkoły Młodszych Ochotniczek. Zadzwoiła do mnie Terenia Głowacka (Dzierzbicka), a kiedy okazało się, że wstąpiła do szkoły rok po mojej maturze, krzyknęła:

– Kochanie, nic nie szkodzi. Przecież jesteście koleżankami z tej samej, niezapomnianej szkoły, prawda? My, „nazaretanki”, wszystkie się ze sobą przyjaźnimy. Wyliczaj mi koleżanki z twojej klasy, a z pewnością ci którąś odzyskam. I rzeczywiście. Pół godziny później odezwała się Hanka Pstrońska.

– Alicja? Musisz mnie odwiedzić. Ja nie mogę, jestem po operacji serca.

U Hanki, w Chicago, zastałam jej młodszą siostrę, Baškę, która przyleciała z Londynu odwiedzić chorą. Hanka wracała do zdrowia. Wcześniej owdowiała, lecz nie była całkowicie samotna, gdyż córka, zięć i wnuk mieszkali w Chicago. Przed odlotem Baški pięć koleżanek z jej klasy stawiło się na pożegnanie. Jedna pamiętała mnie i Wandę z Guzaru. Właśnie ona, Irka Piątek (Zapaśnik), przeznaczyła wolną sobotę, aby razem z mężem pokazać mi swój dom i Chicago.

Wieczór pożegnalny, pełen wspomnień tudzież dzielenia się informacjami o losach koleżanek, natchnął obecne do proponowania mi pracy nauczycielki języka polskiego w szkółce sobotniej. Pomogły załatwić formalności związane z przedłużeniem pobytu; ze względu na możliwość otrzymania zezwolenia na pracę. Hanka zaś ofiarowała nieodpłatnie mieszkanie, mówiąc, że raźniej będzie się czuła po chorobie, nie będąc sama w domu. Wzruszyłam się, gdy zapewniły, że postarają się, żebym uczyła również w tygodniu. Polacy, wyjeżdżający na weekend z miasta, nie posyłają dzieci do sobotnich szkółek,

choć pragną, żeby się języka ojczystego uczyły. Dzięki koleżankom miałam szansę podreperować budżet. Żałowały, gdy zrezygnowałam z owej oferty ze względu na sytuację rodzinną i zawodową w kraju.

Hanka skontaktowała mnie z Dąbrowskimi, byłam u Ludki, czyli Mici. Iruś, jej mąż, ciężko ranny we Włoszech w 1944 roku, cierpiał wskutek odnawiania się ran i w ciągu pięciu lat przechodził kilka razy operację nogi; skończyło się amputacją. Nie załamał się. Zaocznie studiował sztuki plastyczne, wykładał w uczelni. Dom zdobiły jego rzeźby. Micia osiem lat pracowała na nocnej, dobrze płatnej zmianie w banku, by utrzymać rodzinę. Mają dwie córki.

Oleńka z mężem, chemikiem i trzema synami, mieszkała w Kanadzie (Windsor) i pracowała w Detroit, gdzie była profesorem psychologii na uniwersytecie katolickim. Obwoziły mnie obie po mieście i okolicy. Zobaczyłam Orchard Lake z polskim wydziałem teologii. Terenia Głowacka, mimo, że była po poważnej operacji, zawiozła mnie do Toronto na spotkanie z koleżankami i nad wodospad Niagara, pokonując kłopot, bowiem nie miałam wizy. Nadzwyczajna.

Oleńka skontaktowała mnie z Zochą Grudzińską, która telefonowała z Los Angeles. Rozmawiałyśmy tak długo, że aż wystraszyłam się, iż za ową rozmowę zapłaci majątek. Uspokoiła mnie. To niewielka suma w porównaniu z kosztem przelotu przez cały kontynent, z czego zrezygnowała wskutek ostatnich wydatków; odnowienie domu. Jej życie z Włodkiem, którego poślubiła w Palestynie, układało się bardzo dobrze, chociaż nie mieli dzieci. Matka Zosi wróciła do Polski; spoczywa na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

Irka Świstunowicz telefonowała i uzgodniła z moją kuzynką, że w drodze powrotnej z Saint Louis wstąpię do niej, stamtąd odwiezie mnie do Nowego Yorku na lotnisko. Spędziłam u niej trzy dni, które wyrwała ze swego dwutygodniowego urlopu, przysługującego jej raz na rok. Irka wyszła za mąż – w Bolonii – za Mietka, którego poznałyśmy w Palestynie. Był lekarzem, Irka, kierownikiem laboratorium analitycznego, ich córka studiowała medycynę w Krakowie. Własnoręcznie odrestaurowali tanio nabyty budynek mieszkalny; bardzo zniszczony i zaniedbany, pięknie położony, wśród dębów i sosen. Uczynili z niego cacko, przytulny dom rodzinny. Irka również obwoziła mnie po okolicy. Pokazała statek muzeum „*Mayflower II*”, upamiętniający przybycie do Ameryki pierwszych osadników z Anglii – w roku 1620 – założycieli Plymouth.

Zebrałam trochę wiadomości o koleżankach i naszym kochanym gronie pedagogicznym. Pani Haneczka jest w Londynie. Pani Kościółkowska, dyrek-

torka, profesorowie, Madey i Kotowicz, oraz pani komendantka Sychowska już nie żyją. Zocha Strzelec leciała specjalnie z Londynu do Sao Paolo, by odnaleźć grób komendantki. Dzięki prezydentowi miasta trafiła do męża i dzieci zmarłej. Pokazano jej na cmentarz, gdzie złożyła kwiaty; a w prasie ukazał się artykuł o wdzięczności ludzkiej; przedstawiał w serdecznym tonie sylwetkę Polki, która zaskarbiła sobie serca dzieci, uratowanych w czasie wojny. Tę wiadomość znalazłam w Księdze pamiątkowej – wydanej przez nazaretanki w Londynie – którą przejrzałam u Hanki. Szkoda, że nakład mały, aczkolwiek kosztowny; trudno było ją dostać.

O niektórych koleżankach ktoś coś wiedział. Iga Zemanek została z mężem w Anglii. Jej siostra, Zosia, nie żyje. Irma Frączek także. Siostra Irmy, Wandzia, w Anglii. Krysia Andrzejowska skończyła medycynę i z mężem pracuje na Filipinach. W Kanadzie osiedliły się: Wanda Bania, Krysia Turek, Krysia Marchut i Marysia Schmall, której siostra, Alicja, mieszka w Londynie. Wszystkie wyszły za mąż za Polaków. Nie wiem nic o Krysi Kowalskiej, Marysi Parczewskiej, ani o tych koleżankach, z którymi studiowałam medycynę w Edynburgu, na przełomie lat 1944 – 1946.

Nazaretanki, rozsiane po świecie, zajęte swoimi obowiązkami i wtłoczone w najrozmaitszą rzeczywistość, zwołują się systematycznie – początkowo, co dziesięć, teraz – co pięć lat, aby zanurzać się w ożywczy nurt wspomnień młodości; zwróconej nam w tamtych dniach przez garstkę ludzi dobrej woli, i aby cieszyć się nadal więzami przyjaźni. Jak dobrze cząstkę takiej tęczy zachować na jesień życia.

Gustaw Ostasz
Katarzyna Waszczyszyn

Wspomnienia, diariusz, powieść

Alicja Bober jest pisarką samorodną; nie związała się nigdy z żadną grupą, czy orientacją literacką. Na swoim koncie ma teksty piosenek, wiersze i utwór o charakterze pamiętnika z elementami diariusza. Długo czekała na zaistnienie w czytelnicznej świadomości. W czasach PRL nie mogła znaleźć akceptacji ze strony wydawców. Część druga wspomnień z lat 1940-1944, *Tęcza wśród burzy*, chociaż wyróżniona ogólnopolską nagrodą i zakwalifikowana do publikacji, nie doczekała się druku. Po roku 1989 garść wierszy ogłosiła prasa krajowa i polonijna. Osobny zbiór *Tęsknotą pisane* (1997) wyszedł dopiero w serii „Varia Kolbuszowskie”. Wybrane fragmenty z powieści wspomnieniowej – sygnowanej nadrzędnym tytułem *Życie autorem*; część pierwsza *Dziś tu a jutro tam*, część druga *Tęcza wśród burzy* – zamieszczał „Aspekt”¹ w roku 1995. Docenił walory poznawcze i fabularne, apelował o druk całości². Ów apel zachował merytoryczną ważność. Wszak i dzisiaj przemawiają racje te same.

Pierwsza; pamiętniki Alicji Bober unaoczniają los Polaków, którzy do 17 września 1939 roku mieszkali na wschodnich ziemiach Rzeczypospolitej. Druga; stanowią zapis świadomości pokolenia wojennego. Trzecia, bardzo ważna. Ułożone zostały w formę powieści szczególnej, ma ona prosty tytuł *Życie autorem*. O porządku fabularnym decyduje bieg życia, chronologia zdarzeń, które składają się na los autorki. Powieść, relacjonowana z gawędziarską swadą, tu i ówdzie operuje polszczyzną wschodnią, dzisiaj już rzadko słyszaną³.

Alicja Bober urodziła się 26 marca 1922 roku we Lwowie jako najmłodsza córka Marii Emilii – z domu Szmigielskiej – i Adama Wiktora Boberów. Jest siostrą Zdzisławy Jadwigi i Ireny Marii Wandy, kurierki Związku Walki Zbrojnej (ZWZ) w roku 1940. Uczęszczała do trzech szkół lwowskich. Najpierw do Szkoły Powszechnej Panien Benedyktynek Łacińskich, potem do Gimnazjum Sióstr Nazaretanek i wreszcie do Liceum Pedagogicznego. Trzynastego kwiet-

¹ A. Bober *Żegnaj, Lwowie!* „Aspekt” 1995 nr 2; *Ewakuacja*. „Aspekt” 1995 nr 3; *Norwy grom*. „Aspekt” 1995 nr 4; *Pożegnanie gen. Andersa w Nazarecie*. „Aspekt” 1995 nr 5.

² G. Ostasz *Pamiętniki, które czekają na wydawcę*. „Aspekt” 1995 nr 2.

³ Ibidem.

nia 1940 roku została uwięziona i deportowana – wraz z rodzicami i ciotką Izydorą – w głąb ZSRR. Sowietci ukarali ją zsyłką, ponieważ była siostrą Ireny Marii Wandy, aresztowanej ósmego lutego 1940 roku za przynależność do konspiracyjnego wojska polskiego (ZWZ). Te zdarzenia stanowią genezę fabuły części pierwszej wspomnień *Dziś tu a jutro tam*. Do owych faktów odnoszą się również wiersze ze zbioru *Tęsknotą pisane: Trzynastego kwietnia, Wandy, Nie potępiaj*. Istnieje oczywisty związek pomiędzy twórczością liryczną i fabularną Alicji Bober.

Od początku maja 1940 roku, znalazłszy się w sowieckim Kazachstanie, pracowała przy sianokosach i żniwach na fermie centralnej sowchozu Tas Bułak, rejon Urdżar, okręg Semipałatyńsk. Od 15 kwietnia następnego roku pasażerka owce, zatrudniona w fermie Tiki Bułak. Sześć miesięcy później rodzina Boberów została przeniesiona do miasteczka Urdżar. Szóstego marca 1942 roku Alicja pożegnała rodziców, by wspólnie ze – zwolnioną z łagru, amnestionowaną – siostrą Ireną Wandą (we wspomnieniach występuje ona pod imieniem Wanda) oraz grupą ochotników dotrzeć do organizującego się Wojska Polskiego gen. Władysława Andersa. Piechotą – 173 kilometry – szła z Urdżaru do stacji kolejowej Ajaguz. Dwudziestego ósmego marca 1942 roku była już w Uzbekistanie. Tam w miasteczku Guzar została przeszkolona w Ośrodku Służby Wojskowej Kobiet. Złożyła przysięgę wojskową (10 maja 1942 r.). Chorowała. Później wraz z wojskiem Andersa i rzeszą cywilów – przez Morze Kaspijskie, Persję, Irak – dotarła do Palestyny, gdzie ukończyła Wojskową Szkołę Młodszych Ochotniczek, składając egzaminy maturalne.

Właśnie w Palestynie rozgrywa się część druga wspomnień, czyli *Tęcza wśród burzy*. Fabułę spaja wątek Wojskowej Szkoły Młodszych Ochotniczek. Nasycona cierpkim humorem opowieść ma wymiar epicki. Narratorka, osoba skromna, z charakterem, unaocznia zdarzenia różnej rangi, skupia się tyleż na przeżyciach własnych, co osób zaprzyjaźnionych. Rozumie, jak bardzo los prywatny splata się z egzystencją zbiorowości, zwanej narodem. Wie, że – aby nadal mogła być sobą – musi pielęgnować wspomnienia o domu rodzinnym, o dzieciństwie, o małej ojczyźnie, Lwowie. Mimo ogromu cierpień, jakich zaznała, wydaje się pogodna, chyba szczęśliwa. Przyjmuje za aksjomat, iż trzeba zachować pamięć doświadczeń, wyciągać z nich naukę. Formułuje jednak sporo pytań retorycznych o charakterze egzystencjalnym. Odnoszą się one do sensu życia w okrutnym czasie wojny. Gorycz tułaczki osładza bohaterce polska szkoła palestyńska, atmosfera tam panująca, namiastka domu rodzinnego, zawiązane przyjaźnie; trwale nad podziw.

Tęcza wśród burzy rejestruje, poniekąd *in statu nascendi*, urzekające – niczym paradoks – bogactwo codzienności tudzież ustroju szkoły młodszych ochotniczek. Nade wszystko bogactwo w wymiarze naukowym, czego dowodzą, zachowane przez autorkę, tematy referatów, zagadnienia maturalne z polskiego i historii, spisane dialogi z nauczycielami oraz koleżankami, uwagi o lekcjach, szacunek do ciągłego kształcenia; na przekór rzeczywistości wojennej. Ale także bogactwo w aspekcie kulturalnym i wychowawczym. A zatem przedstawienia Teatru Żołnierza, seanse kinowe, pielgrzymka do Jerozolimy w Wielki Tydzień 1943 roku, wycieczki – do Galilei (1943) oraz do Syrii, Bejrutu, Damaszku i w góry Liban (1944) – czytane i omawiane lektury, śpiewane piosenki, wszelkie uroczystości szkolne, nabożeństwa, wizyty generałów, Władysława Sikorskiego, Władysława Andersa, rozmowy o pracy delegatury rządu w Rosji Sowieckiej, wzmianka o nowych poetach⁴. Nie ma potrzeby mnożyć przykładów. Czytelnik sam będzie mógł ocenić bogactwo książki, która siłą rzeczy wpisuje się w krąg dzieł znanych, takich jak: Józefa Czapskiego *Wspomnienia starobielskie* (1944) oraz *Na nieludzkiej ziemi* (1942-1947), Melchiora Wańkowicza *Dzieje rodziny Korzeniewskich* (1945), Beaty Obertyńskiej *W domu niewoli* (1946), Zdzisława Peszkowskiego *Wspomnienia jeńca z Koziełska* (1989), Stanisława Lisieckiego *Byłem w łagrze* (1994); i wielu innych⁵. Pamiętnik Alicji Bober ma swoją specyficzność. Przypomina dziariusz. Skupia uwagę na prywatnym losie narratorki, jej siostry Wandy, przyjaciół, kolegów, znajomych. Nie pomija drobiazgów, z których składa się ludzkie życie nawet wówczas, gdy dzieje się wielka historia.

Biografia Alicji Bober toczyła się nadal torem znaczonej przez meandry historii. Pisarka trafiła do Wielkiej Brytanii, pracowała w lotnictwie. Dwa lata, 1944-1946, była studentką na Polskim Wydziale Lekarskim Uniwersytetu w Edynburgu. Wiedzioną nostalgią, w czerwcu 1947 roku wróciła z mężem do kraju. Nie dano jej wszakże kontynuować medycyny. Dopiero po latach mogła skończyć filologię polską na UMCS (1968). Pracowała w Bibliotece Powiatowej w Kraśniku, a od roku 1971 do 1991 uczyła angielskiego w tamtejszym liceum ogólnokształcącym.

⁴ Przykładem Janusz Wedow, autor tomów: *Wracające zagle. Wiersze*. Roma 1944 (Biblioteka „Orla Białego”); *Czterolistna koniczyna*. Londyn 1957. O wejście tego poety w krwioobieg świadomości historycznoliterackiej zabiega usilnie jego przyjaciel z lat zesłania i tułaczki wojennej, ks. Z. Peszkowski.

⁵ Podstawową informację o tej literaturze można znaleźć w rozprawie Jerzego Świącha *Literatura polska w latach II wojny światowej*. Warszawa 1997, s. 395-429.

Wspomnienia Alicji Bober *Życie autorem* mogą być ubogacającą lekturą nauczycieli, zwłaszcza polonistów i historyków, choć nie tylko ich. Także czytelników nieprofesjonalnych chcących znać prawdę o losie naszej zbiorowości, ponieważ uznają go za wartość bezsporną, odpowiednik *magistra vitae*. Z tworzywem słownym fabuły korespondują fotografie. Niektóre mają charakter prywatny, inne zgoła historyczny; utrwaliły zdarzenia związane z działalnością Władysława Sikorskiego, Kazimierza Sosnkowskiego, Władysława Andersa.



Alicja Bober 1942 r. Gazar (Uzbekistan)



Alicja Bober 1944 r. Winslow k./ Manchesteru



Z siostrą Ireną Wandą nad morzem w Tel Awiwie 25.XII. 1943 r.



Jenin - Palestyna 1943 r. Poranny apel w Szkole Młodszych Ochotniczek.



Gen. Sosnkowski wśród młodszych ochotniczek i kadetów po przedstawieniu ocen z "Halki" Barbara, X 1943 r.



Gen. Władysław Sikorski w Barbara 28.VI.1943 r., na spotkaniu z młodszymi ochotniczkami i kadetami.



Gen. Kazimierz Sosnkowski w Szkole Junaków w Barbara (Palestyna) X. 1943 r.



Jenin, X. 1943 r., Gen. Sosnkowski, gen. Anders, komendantka Szkoły Mł. Och. Teodora Sychowska



Profesor Jan Madey, Nazaret 1944 r.



*Kazachstan: Urdżar, 1.III.1942 r. Młodzież Polska po przedstawieniu
- przed wymarszem Polaków do Wojska Polskiego.*



Jenin 1943 r. Kaplica obozowa przy Szkole Mł. Ochotniczek.



Palestyna (Barbara) - obóz Szkoła Junaków, 19.X.1943 r.



Anglia (Winslow) lato 1944 r. Absolwentki Gimnazjum i Liceum SMD (Palestyna) na unitarnym kursie Pomocniczej Służby Lotniczej Kobiet (WAAF) podczas musztry angielskiej. Pierwsza od lewej Halka Bansa, za nią Alicja Bober, Danka Banszel, pierwsza w rządzie sąsiednim.



*Palestyna (Barbara), 28.VI.1943 r. - Władysław Sikorski, Komendantka Szkoły Młodszych Ochotniczek
- Teodora Sychowska*



Palestyna (Rehowoth), wiosna 1943 r. Szkoła Młodszych Ochotniczek - instruktorka Janina Fuchsowa



Spotkanie Wodza Naczelnego gen. Władysława Sikorskiego z uczennicami Szkoły Młodszych Ochotniczek w rejonie Szkoły Kadetów w Palestynie, w Barbarze, w dniu 28 czerwca 1943 roku



Palestyna: Barbara - obóz kadetów. dn. 28.VI.1943 r., Defilada przed Gen. Wł. Sikorskim

Metryka urodzenia i chrztu

REPUBLICA POLONIA

Diocesis: *Lespolsensis* Palastratus: *Lespolsensis*
 Parochia: *P. S. Marci et Stephani* Districtus: *Lespolsensis*
 N-ro: **688**


Testimonium natiuitatis et baptismi.

*Ex parte officii parochialis r. l. t. Ecclesiae sub P. S. Marci et Stephani in campus 50
 et alia matriculatione natiuitatis hujus Ecclesiae r. l. t. pro Lespoli*

Tam. **38**. Pag. **1**. Repariet sequentia:

Anno 1922 Mensis Dies extinctio	NOMEN	Status Secular	PARENTES: Nomen, cognomen et conditio	PATERNI: Nomen, cognomen et conditio
<i>Anna Domini Katharina Ludwig Katharina decessit die 22 Junii 1922</i>	<i>Elisica Kasimir Katharina</i>	<i>Matrimonialis</i>	<i>Robert Roda mors Victor typographus Mathias et Katharina mors</i>	<i>Leviti Katharina mors Katharina mors Ludwig</i>
<i>Styria die 22 Junii 1922</i>			<i>Maria Lucretia mors Katharina. f. l. t. Ludwig et J. mors Katherina d. l. t.</i>	
Sacerdos baptizans: <i>Jacobus Piszniak parochus</i>				
Obduxit: <i>Jacobus Piszniak parochus</i>				
Annotaciones:				
<i>Quae testimonio eius proprio veritas, in officio Ecclesiae parochialis mansi</i>				
<i>Lespoli die 22 Junii. A. D. 1922</i>				
<i>Jacobus Piszniak parochus.</i>				

Lespoli die 22 Junii 1922



Metryka urodzenia i chrztu

URZĄD OŚWIATY I SPRAW SZKOLNYCH
PAŃSTWOWA KOMISJA EGZAMINACYJNA



ŚWIADECTWO DOJRZAŁOŚCI

Bobak Artur



(imię i nazwisko)

urodzony dnia *26-go* miesiąca *marca*

roku *22* we *Wrocławu*

województwa

wyższego *Wym. kat.*

po skończeniu nauki w *Liceum
Chłopskich Techników
i Państwowej*

do którego był a *projekta* w *1943* roku
szkolen w terminie *zimmijem* *1944* roku

swiercający egzamin *humanistyczny* typu
wobec Państwowej Komisji Egzaminacyjnej, powołanej przez
Ministerstwa W. R. i C. P. Delegata

L.Dz. *23/44* z dnia *17-go* grudnia *1944* z. i otrzymał a następujące
oceny oceniane z przedmiotów egzaminacyjnych :

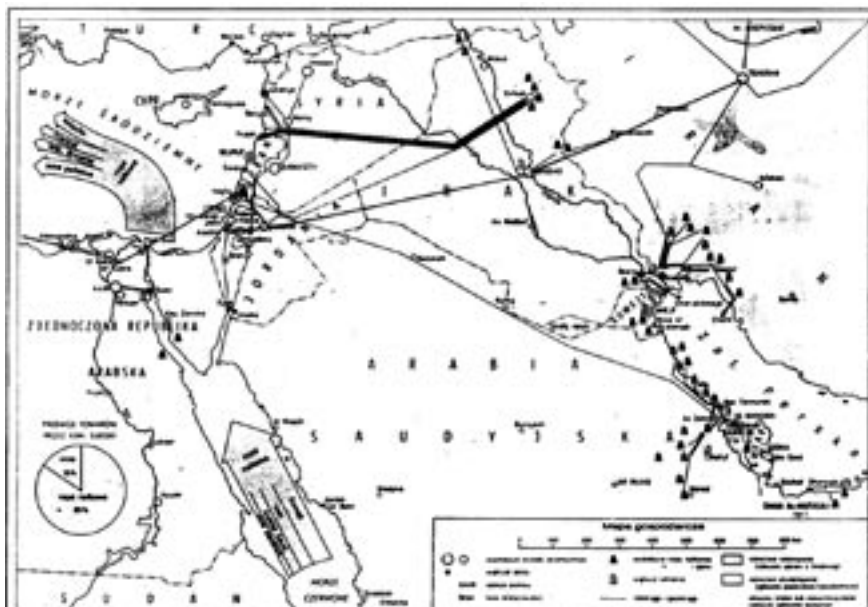
- z religii *bardzo dobry*
- z języka polskiego *bardzo dobry*
- z języka łacińskiego *dobry*
- z języka *_____*
- z historii wraz z zagadnieniami *dobry*
- współczesnego *dostateczny*
- z matematyki *_____*
- z fizyki wraz z chemią *_____*

Form. 13.10. Dł. Nr. 1
(Dł. Dł. Dł. Dł.)

<p><u>Bober Alicja</u> Nazwisko i imię</p> <p>Stopień: <u>ochotniczka</u></p> <p>Form. wojsk.: <u>Dir. Ogr. Armii</u></p> <p>Przynależność wojsk.: <u>Dir. Zap. Kobiet</u></p> <p>Data i miejsce urodzenia: <u>26-III-1922 w Warszawie</u></p> <p>Stan rodzinny: <u>panie</u></p> <p>Wzrost: <u>160 cm</u>, data 1942 r.</p>	<p><u>Бобер Алиция Адамовна</u> Фамилия, имя и отчество</p> <p>Состоит на военной службе в Польской Армии в С.С.С.Р.</p> <p>Член <u>Добровольца</u></p> <p>Предложение: <u>Дир. Учен. Арм. Советов</u></p> <p><u>26-III-1922 г.</u> рождения: год, месяц, число</p> <p>Место рождения: <u>Варшава</u></p> <p>Разрешит как жена: <u>М.В. Будни</u></p> <p>Действительно по 31 декаб. 1942 г.</p>
------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------	-------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------

Родило прав Хозяного

Legitymacja wojskowa wydana w Guzarze, latem 1942 r.



Mapa Bliskiego Wschodu

КАССР
Народный Комиссариат
Внутренних Дел
УПРАВЛЕНИЕ НКВД
по Семипалатинской области
Здринсарский
РО НКВД
31.8.1941 1941 г.
И. Бурдakov

Удостоверение
Предъявитель сего гр ка Бобер
Алиция Яковлевна рождения 1922 года
уроженка села Яков
д. 12-го с/пос. области
на основании Указа Президиума Верховного Совета
Союза ССР об амнистии и высылке польских граждан имеет право
свободно проживать на территории Союза ССР, за исключением в пограничных зонах,
запретных зонах, местностях, объявленных в военном положении, и режимных городах
1-й и 2-й категории.
При нем (ней) находится: _____

Гр. ка Бобер Яков Яковлев
направляется к избранному месту жительства села м. Я. Волкова
д. 12-го с/пос. Здринсарского района
Семипалатинской области Казах. ССР

Настоящее удостоверение действует на протяжении трех месяцев и подлежит обмену на
паспорт. Что и удостоверяется.

Начальник Здринсарского РО НКВД (Подпись)
С. (Подпись)

Специальная форма № 1306-41 г.

Zaświadczenie wydane w sierpniu 1941 r., po tzw. "amnestii".

RZECZOSPOLITA POLSKA

Ministerstwo Wewnętrznych Spraw

Państwowy Urząd Repatriacyjny

Punkt Przyjęcia

Gdańsk - Port

Wzrost Nr. 3

(Za wydaniem w wieku od lat 16 do 50)

Zaświadczenie № 920944

okult

Zaświadczam niniejszym, że ob. Michałowska Elżbieta

(nazwisko, imię, imię ojca)

c. Adama 26-3-1922, Łwów

(miejsce i data urodzenia)

przybył do Polski z terytorium Angliii dnia 15-VI-44 1946 r. zarejestrował się na Pankcie

Gdańsk - Port

Przyjęcia w

Obecnie udaje się do Kramnik Sub. ul. Kościuszki 9

(obstawy adres)

Na podstawie zarządzenia Rady Ministrów z dnia 5.5.45ob. Michałowska Elżbieta ma pierwszeństwo i prawo

jednоразowego bezpłatnego przejazdu wszelkimi środkami lokosnoejji do

Kramnik Sub. w. Sublin

Władze Państwowe i Samorządowe są proszone o udzielenie jaknajdalej idącej pomocy okazielowi niniejszego

U W A G A :

1. Okaziciel niniejszego zaświadczenia obowiązany jest zachować się Miłoci Obywatelskiej w terminie do 14 dni od daty wystawienia zaświadczenia i do 3 dni po przybyciu na miejsce zamieszkania.
2. Po upływie terminu ważności, zaświadczenie winno być wymienione w miejscu stałego pobytu - na dowód tożsamości.

Kierownik Punktu Przyjęcia

Gdańsk - Port

Wydano 15-VI-44 46 r.Wzrost: 170 cm

300-000 - XII 46 w Łodzi





Pamiątkowa tablica ufundowana przez byłe młodsze ochotniczki w Bazylice Zwiastowania



Alicja BOBER urodziła się 26 marca 1922 roku we Lwowie jako najmłodsza córka Marii Emilii – z domu Szmigielskiej – i Adama Wiktora Boberów. Jest siostrą Zdzisławy Jadwigi i Ireny Marii Wandy, kurierki Związku Walki Zbrojnej (ZWZ) w roku 1940. Uczęszczała do trzech szkół lwowskich. Najpierw do Szkoły Powszechnej Panien Benedyktynek Łacińskich, potem do Gimnazjum Sióstr Nazaretanek i wreszcie do Liceum Pedagogicznego. Trzynastego kwietnia 1940 roku została uwięziona i deportowana – wraz z rodzicami i ciotką Izydorą – w głąb ZSRR. Sowietci ukarali ją zsyłką, ponieważ była siostrą Ireny Marii Wandy, aresztowanej ósmego lutego 1940 roku za przynależność do konspiracyjnego wojska polskiego (ZWZ).

Te zdarzenia stanowią genezę fabuły części pierwszej wspomnień *Dziś tu a jutro tam*. Do owych faktów odnoszą się również wiersze ze zbioru *Tęsknotą pisane: Trzynastego kwietnia, Wandzi, Nie potępiaj*. Istnieje oczywisty związek pomiędzy twórczością liryczną i fabularną Alicji Bober.

Od początku maja 1940 roku, znalazłszy się w sowieckim Kazachstanie, pracowała przy sianokosach i żniwach na fermie centralnej sowchozu Tas Bułak, rejon Urdżar, okręg Semipałatyńsk. Od 15 kwietnia następnego roku pasła owce, zatrudniona w fermie Tiki Bułak. Sześć miesięcy później rodzina Boberów została przeniesiona do miasteczka Urdżar. Szóstego marca 1942 roku Alicja pożegnała rodziców, by wspólnie ze – zwolnioną z łagru, amnestionowaną – siostrą Ireną Wandą (we wspomnieniach występuje ona pod imieniem Wanda) oraz grupą ochotników dotrzeć do organizującego się Wojska Polskiego gen. Władysława Andersa. Piechotą – 173 kilometry – szła z Urdżaru do stacji kolejowej Ajaguz. Dwudziestego ósmego marca 1942 roku była już w Uzbekistanie. Tam w miasteczku Guzar została przeszkolona w Ośrodku Służby Wojskowej Kobiet. Złożyła przysięgę wojskową (10 maja 1942 r.). Chorowała. Później wraz z wojskiem Andersa i rzeszą cywilów – przez Morze Kaspijskie, Persję, Irak – dotarła do Palestyny, gdzie ukończyła Wojskową Szkołę Młodszych Ochotniczek, składając egzaminy maturalne.

Właśnie w Palestynie rozgrywa się część druga wspomnień, czyli *Tęcza wśród burzy*. Fabułę spaja wątek Wojskowej Szkoły Młodszych Ochotniczek. Nasycona cierpkim humorem opowieść ma wymiar epicki. Narratorka, osoba skromna, z charakterem, unaocznia zdarzenia różnej rangi, skupia się tyleż na przeżyciach własnych, co osób zaprzyjaźnionych. Rozumie, jak bardzo los prywatny splata się z egzystencją zbiorowości, zwanej narodem. Wie, że – aby nadal mogła być sobą – musi pielęgnować wspomnienia o domu rodzinnym, o dzieciństwie, o małej ojczyźnie, Lwowie.

Mimo ogromu cierpień, jakich zaznała, wydaje się pogodna, chyba szczęśliwa. Przyjmuje za aksjomat, iż trzeba zachować pamięć doświadczeń, wyciągać z nich naukę. Formułuje jednak sporo pytań retorycznych o charakterze egzystencjalnym. Odnoszą się one do sensu życia w okrutnym czasie wojny. Gorycz tułaczki osładza bohaterce polska szkoła palestyńska, atmosfera tam panująca, namiastka domu rodzinnego, związane przyjaźnie; trwałe nad podziw.

Obecnie mieszka w Gdańsku.

G. Ostasz, K. Warwyszczyn